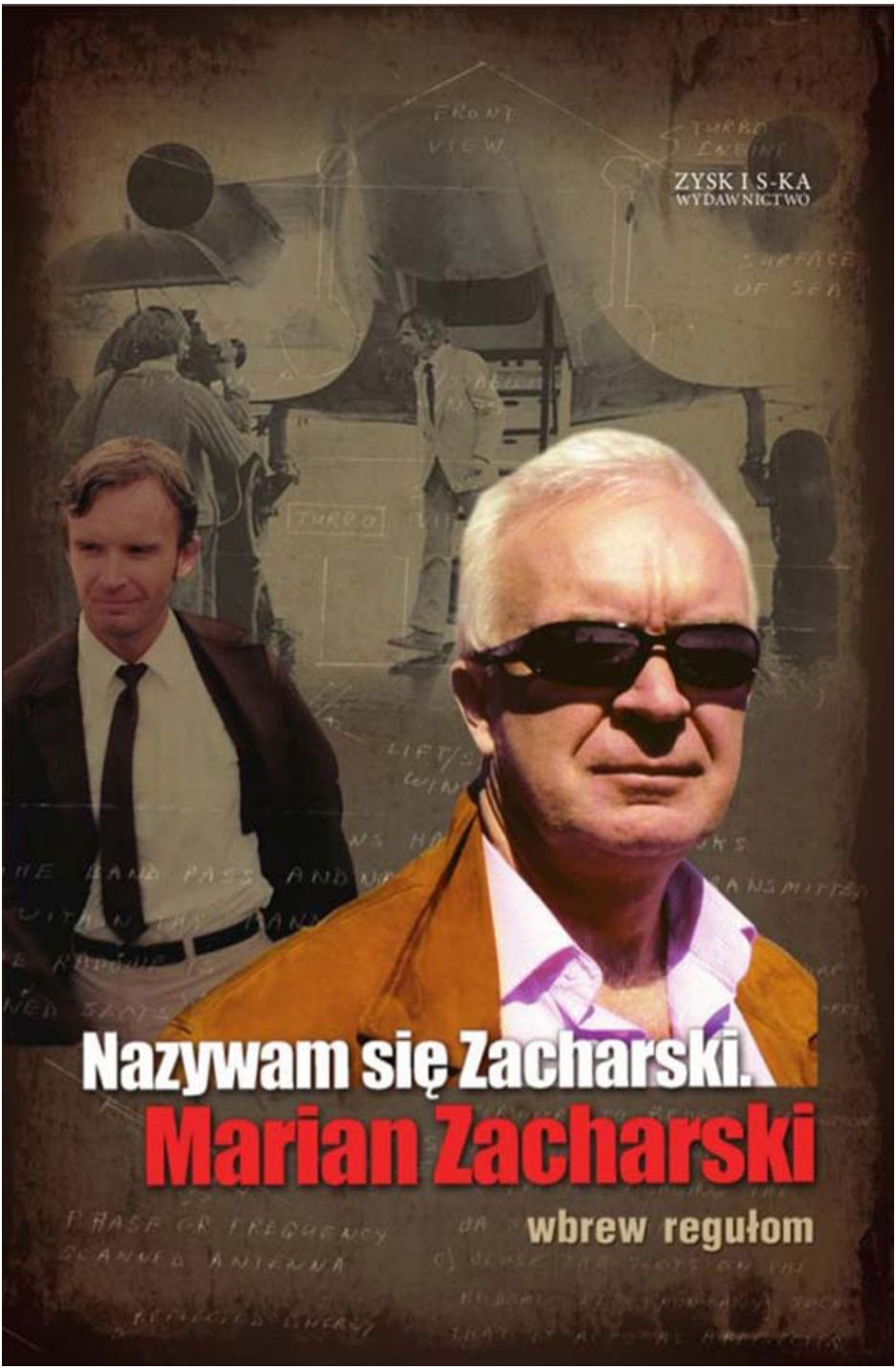
ZYSKI S-KA
WYDAWNICTWO
Nazywam się Zacharski.
Marian Zacharski
wbrew regułom

ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO

Nazywam się Zacharski. Marian Zacharski

wbrew regułom

Zamiast wstępu

Książka, którą oddaję w Państwa ręce, ukazuje moje życie, a przede wszystkim działalność zawodową do roku 1985.

Pomysł podzielenia się z Czytelnikami wiedzą i przeżyciami, jakie wiążą się z działalnością w strukturach wywiadu, towarzyszył mi od dawna, ale ostateczną decyzję o napisaniu książki, podjąłem, nie mogąc zgodzić się z nieustającą, polityczną i medialną nagonką na oficerów wywiadu. Zaliczenie nas do jakiejś bliżej nieokreślonej ,,grupy przestępczej" jest nie tylko niesprawiedliwe, ale najzwyczajniej w świecie krzywdzące.

Książka ta jest zbeletryzowaną historią bardzo ważnej części mojego życia. Fakty, o których opowiada, miały miejsce naprawdę. Pisząc, szeroko korzystałem z materiałów amerykańskich ujawnionych w trakcie mojego procesu lub uzyskanych od ,,przyjaciół Amerykanów" po zmianach ustrojowych w Polsce, a także z rozmów z moim agentem Billem Bellem przeprowadzonych zaraz po ogłoszeniu wyroków oraz z materiałów polskich i własnej pamięci, która, dzięki Bogu, pozostała prawie nietknięta pomimo upływu lat.

Praca oficera wywiadu jest wymagająca i frapująca, ale jednocześnie ze wszech miar stresująca i wyczerpująca. Co za tym idzie, nie pozostaje bez wpływu na sytuację rodzinną. Mogę zaryzykować stwierdzenie, że im większe sukcesy na polu profesjonalnym, tym większe kłopoty w utrzymywaniu harmonii w życiu rodzinnym. Moje przeżycia są dowodem na poparcie tej teorii.

Chciałbym skierować słowa najwyższego uznania dla osoby, której niezwykły talent pisarski pomógł mi w konstrukcji tej książki. Respektując w pełni życzenie pozostania w cieniu, pozostawiam jej nazwisko w swej życzliwej pamięci.

Bardzo dziękuję mojemu wydawcy, Panu Tadeuszowi Zyskowi i całemu

jego zespołowi za słowa otuchy w trakcie powstawania tej książki. Ale także dziękuję za niewątpliwą odwagę przy podejmowaniu decyzji o jej wydaniu.

Książkę w całości dedykuję moim córeczkom, które z mego powodu przeżyły wiele ciężkich chwil. Mam nadzieję, że udało mi się im to wynagrodzić. Zawsze w trudnych momentach życia towarzyszyła mi jedna myśl: by nie pokalać nazwiska, które i one noszą.

Byłem dla nich często trudnym i wymagającym ojcem, ale mogę z dumą powiedzieć, że moja miłość do córek jest bezgraniczna. Są moją nadzieją i radością. Dziękuję im za zrozumienie, jakim mnie obdarzyły.

Marian Zacharski

Słowo wstępne

Któregoś dnia w czerwcu 1985 roku, oglądając „Dziennik Telewizyjny” zobaczyłem, jak na warszawskim lotnisku młody, szczupły mężczyzna składa starszemu panu meldunek, którego treść — jak wówczas usłyszałem — brzmiała następująco: „Towarzyszu generale! Kapitan Marian Zacharski melduje się po wykonaniu zadania wywiadowczego”.

Zorientowałem się, że musiało dojść do wymiany Zacharskiego — polskiego szpiega skazanego w USA na dożywocie. Nie miałem oczywiście pojęcia o warunkach tej wymiany. Wówczas nie przypuszczałem, że za kilka lat los zetknie mnie z Marianem Zacharskim, ba — że będę podejmował decyzję co do jego służby w wywiadzie cywilnym III Rzeczypospolitej (Zarząd Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa).

Wtedy, w czerwcu 1985 roku, minął rok i 2 miesiące od mojego wyjścia z więzienia, gdzie przebywałem przez 2 lata i 4 miesiące za organizowanie i kierowanie solidarnościowymi strajkami w Szczecinie po wprowadzeniu stanu wojennego. Wkrótce po wyjściu z więzienia wszedłem w skład kierownictwa podziemnej „Solidarności” — na szczeblu regionalnym, a następnie krajowym (TKK NSZZ „S”, KKW NSZZ „S”), później uczestniczyłem w organizowaniu i kierowaniu solidarnościowymi strajkami w Porcie Szczecińskim i szczecińskiej komunikacji miejskiej w sierpniu 1988 roku. Protesty te miały istotne znaczenie dla przystąpienia przez władze i „Solidarność” do rozmów przy Okrągłym Stole (brałem udział przy podstoliku prawnym).

W maju 1990 roku premier Tadeusz Mazowiecki powołał mnie na funkcję zastępcy szefa nowo tworzonego Urzędu Ochrony Państwa (UOP), zaś od 1 sierpnia 1990 roku do 31 stycznia 1992 roku pełniłem funkcję szefa tego urzędu. Od 4 czerwca 1992 roku do 22 grudnia 1995 roku

kierowałem Ministerstwem Spraw Wewnętrznych.

Powyższe fakty z życiorysu przytoczyłem po to, by nie było wątpliwości co do mojej proweniencji.

Okresy kierowania najpierw Urzędem Ochrony Państwa, a następnie Ministerstwem Spraw Wewnętrznych (gdzie sprawowałem nadzór nad UOP) przyniosły mi sporo doświadczeń i wzbogaciły moją wiedzę, m.in. o funkcjonowaniu służb specjalnych PRL.

Nie mogę się zgodzić z jednostronnymi, uogólniającymi ocenami działalności wywiadu i kontrwywiadu oraz innych jednostek Służby Bezpieczeństwa po 1956 roku.

W strukturach służb specjalnych PRL (w tym wywiadu i kontrwywiadu) wówczas działających zdarzały się w niemałej liczbie działania przestępcze. Niemniej nie można rzucać anatemy na wszystkich czy większość funkcjonariuszy. Działania służb specjalnych — niezależnie od ustroju — mogą być i bywają dotkliwe dla osób, w które są wymierzone, względnie których dotyczą. Dotkliwość ta mieścić się powinna w określonych granicach i nie naruszać przepisów prawa, choć w pewnych sytuacjach mogą pojawiać się wątpliwości co do stosowania tej zasady (np. przy werbunku źródeł).

Oceny mówiące o przestępczym czy nawet zbrodniczym charakterze służb specjalnych PRL działających w okresie lat 1957-1990 uważam za przesadzone. Przypadki rażącego łamania prawa zdarzają się wszystkim służbom, niezależnie od ustroju politycznego, choć działania służb PRL były bardziej represyjne, przede wszystkim ze względu na ich skalę. Trzeba też pamiętać, że służby te stały na straży nonsensownych ograniczeń praw i wolności obywatelskich, ograniczeń ustanowionych przez decydentów politycznych. Niemniej uważam, iż należy zachować umiar w ocenie działań służb PRL-owskich w latach 1957-1990.

W czasie mojej ponad pięcioletniej pracy — najpierw w UOP, a potem w MSW poznałem setki oficerów byłej SB — wywiadu, kontrwywiadu, szyfrów, biura śledczego, ale także policji politycznej (Departamentu III, Departamentu V), Obserwacji, Techniki i Ewidencji.

W trakcie weryfikacji, następnie przyjmowania do służby w UOP, a potem wspólnej pracy poznałem ich dość dobrze, a z niektórymi — m.in. z Marianem Zacharskim zaprzyjaźniłem się. Wielu z nich uważam za znakomitych profesjonalistów, a niektórzy pokazali, że godność i honor to wartości dla nich istotne.

Wyniki uzyskane wówczas przez Urząd Ochrony Państwa mówią za siebie, że wymienię niektóre: sprawa Art. „B”, sprawa FOZZ, operacja POMOST (zapewnienie bezpiecznego tranzytu Żydów z byłego ZSRR do

Izraela), operacja w Iraku w 1990 roku, ustalenie i oddanie pod sąd dwóch szpiegów niemieckich, jednego szpiega rosyjskiego, ustalenie kilku agentów wywiadu rosyjskiego w Wojsku Polskim — to tylko niektóre ze znaczących osiągnięć UOP.

W owym czasie funkcjonariusze byłej Służby Bezpieczeństwa — w tym wywiadu i kontrwywiadu — stanowili ponad 90 procent stanu osobowego Urzędu Ochrony Państwa. Jestem dumny z faktu kierowania tym urzędem i biorę odpowiedzialność za jego działania w okresie, gdy nim kierowałem.

Po tym długim wstępie, który wydał mi się jednak niezbędny, pora przejść do książki i jej Autora.

Marian Zacharski pracę w wywiadzie rozpoczął w drugiej połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, w dekadzie gierkowskiego ograniczonego otwarcia na świat, pewnej liberalizacji i złagodzenia represyjnych oddziaływań systemu. Pracował w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego Metalexport, co wiązało się z możliwością zagranicznych wyjazdów. Pracę za granicą, do tego również w wywiadzie, postrzegał jako uśmiech losu, dający możliwość samorealizacji, a przy tym wstęp — jak sam pisze — do elitarnego klubu oficerów wywiadu.

W 1975 roku Metalexport utworzył i zarejestrował w USA firmę początkowo nazywającą się Mexpol, potem Polamco. Spółka miała siedzibę w Chicago i zajmowała się sprzedażą i serwisem polskich obrabiarek w USA.

W październiku 1976 roku Marian Zacharski sprowadził do USA żonę i dziecko, początkowo do Chicago, po kilku miesiącach do Los Angeles, gdzie zorganizował oddział firmy. Działał z rozmachem — jak sam pisze: „Jesteśmy w Ameryce więc pracujemy po amerykańsku: szybko, bez zbędnej zwłoki". Wcześniej jednak zauważa: „Warunki były amerykańskie, a mentalność polska" (chodzi o zatrudnionych w firmie niektórych polskich pracowników).

Zacharski zdobywał coraz więcej zamówień, poznawał wiele interesujących osób, przede wszystkim z biznesu, choć nie tylko. W 1977 roku poznaje Williama Holdena Bella, wybitnego specjalistę systemów radarowych, pracującego w firmie Hughes Aircraft Company (HAC) z El Segundo (w Kalifornii), której produkcja — jak pisze Zacharski — w 82 procentach była realizowana na potrzeby organizacji wywiadowczych i na rzecz projektów specjalnych Departamentu Obrony USA.

Zacharski szybko ustalił sytuację materialną i osobistą Bella, cechy jego charakteru i mentalności. Stopniowo zaczął uzyskiwać od Bella coraz więcej tajnych materiałów dotyczących największych tajemnic z zakresu obronności Stanów Zjednoczonych, w tym najnowocześniejszych

systemów radarowych dla wojsk lądowych, lotnictwa (m.in. samolotów F-14, F-15, F-16, F-18, bombowców B-1, samolotów Stealth), marynarki wojennej (m.in. sonaru dla atomowych okrętów podwodnych), rakiet typu Hawk i typu Roland, systemu obrony przeciwrakietowej Patriot i wiele innych materiałów.

Do listopada 1979 r. Bell przekazywał tajne dokumenty bezpośrednio Zacharskiemu, który ekspediował je dalej — do polskiego konsulatu w Chicago, a czasem sam przewoził do Warszawy.

Od listopada 1979 roku tajne materiały Bell przekazywał bezpośrednio oficerom Centrali Wywiadu w Europie: w listopadzie 1979 roku w Innsbrucku, w maju 1980 roku w Innsbrucku, w październiku 1980 roku w Linzu i w kwietniu 1981 roku w Genewie.

Przez cały okres współpracy Bell był wynagradzany, przy czym otrzymywane przezeń kwoty były śmiesznie niskie w stosunku do wartości tajnych materiałów przekazanych polskiemu wywiadowi.

Od początku 1979 roku FBI było w posiadaniu informacji otrzymanej od CIA, że tajne dokumenty z Hughes Aircraft Company (HAC) są przekazywane agentom polskiego wywiadu. Wkrótce potem agenci FBI wprowadzili ciągłą obserwację Mariana Zacharskiego, a następnie Williama Bella. Dowodów przeciwko nim jednak nie uzyskali. Dopiero w trakcie rozmowy z Bellem w czerwcu 1981 roku, po zastosowaniu przez nich pokerowej zagrywki Bell przyznał, iż przekazywał tajne dokumenty polskiemu wywiadowi. Bell zgodził się również na dokonanie przez niego tajnego nagrania rozmowy z Zacharskim, co nastąpiło 28 czerwca 1981 roku. Dowód ten i zeznania Bella stanowiły podstawę do skazania Zacharskiego na dożywocie. Blisko cztery lata przebywał Zacharski w amerykańskich więzieniach, odrzucając składane mu przez amerykańskie służby oferty wypuszczenia na wolność, otrzymania znacznej sumy pieniędzy, pracy i domu w Kalifornii — w zamian za współpracę z FBI.

11 czerwca 1985 roku, na moście Glienicke w Berlinie doszło do wymiany 25 osób więzionych w krajach bloku wschodniego (w tym pięciu Polaków: Leszka Chrósta, Jacka Jurzaka, Jerzego Pawłowskiego, Bogdana Walewskiego i Norberta Adamaschka) na cztery osoby więzione w USA (Marian Zacharski, Bułgar Penjo Baiczew Kostadinow, obywatel NRD Alfred Zehe i obywatelka NRD Alice Michelson — kurierka służb radzieckich). Jerzy Pawłowski nie wyraził zgody na opuszczenie Polski. W wymianie tej pośredniczył mecenas Wolfgang Vogel, którego Marian Zacharski zachował we wdzięcznej pamięci.

Marian Zacharski witany i fetowany przez przedstawicieli Wywiadu PRL oraz Wywiadu NRD (w tym samego generała Marcusa Wolfa), po

powrocie do Polski został dyrektorem Peweksu.

Książka Mariana Zacharskiego jest pozycją niezwykłą. Od wielu lat czytam literaturę faktu związaną z działaniami służb specjalnych, lecz nie spotkałem dotąd książki o takim stopniu szczegółowości opisu operacji wywiadowczej (dotyczy to zarówno fazy, gdy Zacharski bezpośrednio od Bella otrzymywał materiały szpiegowskie, jak też późniejszego okresu, gdy Bell w Innsbrucku, Linzu i Genewie dostarczał takowe materiały oficerom Centrali Wywiadu). Odnosi się wrażenie, jakby treść raportów i notatek oficerów wywiadu (w tym samego Zacharskiego) przeniesiona została do książki w formie ciekawej i żywej narracji. Szczegółowo została też opisana operacja zatrzymania Zacharskiego przez FBI, a także przygotowanie wymiany i sama wymiana na moście Glienicke.

Niezaprzeczalnym walorem książki jest szczerość wypowiedzi jej Autora. Zacharski nie mówi wszystkiego — o tym jestem głęboko przekonany. Niemniej, w tym co mówi jest szczery. Nie szczędzi ostrych słów niektórym przełożonym i funkcjonariuszom Wywiadu PRL, ale też niektórym agentom FBI. Nie kryje uznania dla szefa Wywiadu byłej NRD generała Marcusa Wolfa, nie tylko za jego profesjonalizm, ale także za sposób bycia oraz inne cechy wskazujące, że był wybitną osobowością.

Zacharski nie dba o lansowaną obecnie w naszym kraju linię poprawności ocen co do faktów, ludzi czy zdarzeń. Ma własne zdanie i nie waha się go wypowiadać, nie tłumaczy się ze swoich poczynań, nie przyznaje, by miał zawinić w czymkolwiek. Moim zdaniem ma rację, bo w swoich ocenach kieruje się po prostu zdrowym rozsądkiem.

Podane w książce nowe okoliczności oraz szczegółowe opisy prowadzonej przez Zacharskiego operacji wywiadowczej bez wątpienia stanowić będą przedmiot zainteresowań wielu służb (choć nie tylko).

Niektórzy z adwersarzy Zacharskiego stawiają mu zarzut, iż musiał wiedzieć, że otrzymane od Bella tajne materiały były następnie przekazywane Związkowi Radzieckiemu. Uważam, iż zarzut ten jest chybiony. Oficer wywiadu zdobyte informacje i materiały przekazuje przełożonym. Nie do niego należy decyzja, komu zostaną udostępnione. Uzyskując od Bella pierwsze partie materiałów i przekazując je do Centrali, Zacharski nie miał podstaw sądzić, że otrzymają je Rosjanie. Jeśli w późniejszym czasie taką orientację uzyskał, to nie mógł przecież przerwać swojej działalności, roztrząsając filozoficzne dylematy dobra i zła. Był oficerem wywiadu.

Książka zawiera wiele ciekawych, unikalnych zdjęć, a także publikowanych po raz pierwszy dokumentów.

Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Marian Zacharski

został przyjęty do służby w Zarządzie Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa. Z powodzeniem wykonywał trudne zadania wywiadowcze, na ujawnienie których jeszcze dzisiaj za wcześnie. Zmuszony okolicznościami związanymi z tzw. sprawą Oleksego, odszedł ze służby w 1996 roku, w wieku 45 lat, w stopniu generała brygady Urzędu Ochrony Państwa.

Andrzej Milczanowski

Szczecin, 27 kwietnia 2009 roku

Los Angeles, 28 czerwca 1981 roku, niedziela

Strumień wody na spocony kark. Jest pełnia lata. Jest pięknie.

Przed południem w Santa Monica z dziewczynkami, godzina beztroskiego spaceru.

Małgosia uparcie ćwiczyła niespadanie z roweru, Karolina biegała za piłką.

Gdyby nie wyjazd zabrałbym je na basen. Potem zjedlibyśmy obiad gdzieś pod miastem. Może w knajpce Benihana of Tokyo w Marina del Rey? Dziewczynki piszczałyby z uciechy, patrząc na popisy japońskiego kucharza.

A potem, wieczorem, nim niedziela zamieni się w poniedziałek, poszukałbym na ciele Basi cienia tych wszystkich chwil, które spędziliśmy osobno. Może nawet znalazłbym w jej oczach i ustach rozgrzeszenie.

Strumień wody na głowę. Chłodny.

Zimny prysznic.

Nic z tego nie będzie. Nie dzisiaj. Za dwie godziny mam samolot do Chicago i zobaczymy się dopiero za tydzień. Ale wtedy czeka nas przeprowadzka, bo od dwóch tygodni z Los Angeles łączy mnie tylko nieprzeniesiony dom. Odkąd awansowałem na głównego szefa Polamco, pracuję w Chicago. Remont domu, który dla nas wyszukałem, kończy się i za tydzień możemy się wprowadzać.

Znam swoją pracę i znam siebie. Pierwsze miesiące upłyną w rytmie dwunastogodzinnego dnia pracy. Dziewczynki będę widywał rano, a potem całował śpiące w czoło. Basia zmęczona całodzienną opieką nad domem i nimi, nieraz zaśnie, nim zdążę wrócić. Są jednak awanse, których się nie odrzuca.

Mam dwadzieścia dziewięć lat i jestem najmłodszym prezesem w historii firmy. Gdy zostałem mianowany i delegowany do Chicago, niektórym starszym pracownikom to się nie spodobało. Jeden nawet poprosił o przeniesienie do Polski. Słusznie, tam żaden gówniarz nie będzie nim kierował. Moja kariera w Stanach jest całkowicie amerykańska: niecałe sześć lat. Najpierw jestem zwykłym pracownikiem, potem zostaję szefem sprzedaży na całe Zachodnie Wybrzeże, po krótkim czasie okazuje się, że robię osiemdziesiąt procent obrotu firmy. Awans na wicedyrektora Polamco, a teraz zostałem szefem centrali. Zostawiam w Los Angeles świetnie prosperujący oddział, w Chicago czeka na mnie zarządzanie całą firmą. Jasne, że mam żyłkę sportowca.

Zakręcam wodę. Ręcznik.

Myślę sobie: „Tydzień, dwa i wszystko się poukłada. Basia zajmie się urządzaniem nowego domu, dziewczynki poszukają koleżanek. Nie będę pracował w weekendy. Tylko rodzina. Zwiedzimy okolice, będziemy razem”.

Mam godzinę i dwadzieścia minut do odlotu. Straciłem poczucie czasu pod prysznicem.

Jeszcze kilka drobiazgów do torby. Od dwóch tygodni żyję na walizkach, a moja rodzina niemal w kartonach. Basia spakowała już większość rzeczy. Dziewczynki kłócą się o coś w swoim pokoju. Kalisia jest młodsza i nieustępliwa jak każda przyzwoita trzylatka. Z kuchni dobiega dźwięk talerzy, więc Basia przygotowała lunch. Mam spodnie, nie mogę znaleźć koszuli. W tę, którą miałem rano na spacerze, dziewczynki wytarły buzie kolorowe od lodów. Moja żona w niebieskiej sukience, widzę ją, jak wspina się na palce, by sięgnąć talerze z wyższej półki. Ma nieobecny, rozkojarzony wzrok. Jestem w nieustającej podróży, odkąd się znamy. Nigdy się nie przyzwyczaiła. Pytanie o koszulę tylko ją rozdrażni, szukam sam.

Jest. „Mam farta” — myślę, wyciągając ją z płaskiego kartonu i burząc przy okazji symetryczny ład poukładanych ubrań. Nie potrafię ich wsunąć tak, jak były. Upycham, może Basia nie zauważy.

Mam godzinę i piętnaście minut.

Może nie będę jadł? Zamiast tego usiądziemy z Basią i napijemy się kawy. Pocałuję ją w kark, jest taka ładna w tej sukience i w tym przedwyjazdowym smutku. Nie, gotowała cały poranek, wścieknie się, jeśli odmówię.

Pukanie do drzwi.

Zastygam.

— Otwarte! — krzyczy Basia w stronę drzwi i w jej głosie mógłbym

usłyszeć spokój, że to sąsiadka, albo mały Sean chce wyciągnąć Małgosię na plac zabaw.

Mógłbym, gdyby nie błyskawiczny strumień skojarzeń, który połączył ostatnie miesiące i dni z godzinami dzisiejszego przedpołudnia. Strumień, który nie był pytaniem. Był pewnością.

Patrzę na Basię otwierającą drzwi, zdziwioną widokiem „Chińczyka". Już odwraca się do mnie, jakby chciała zapytać, ale Special Agent Tom Moon Eng Linn nie wchodzi. Stoi w progu, wyciągając przed siebie legitymację FBI. Patrzy mi w oczy i mówi:

— Marian, jesteś aresztowany pod zarzutem złamania tytułu 18 paragraf 794 kodeksu karnego Stanów Zjednoczonych.

Nie spuszczam oczu, nie odwracam głowy, odpowiadam:

— Proszę o kontakt z polskim konsulem generalnym w Chicago.

Basia blednie i pyta „Chińczyka":

— Pod zarzutem?... Czego?

— Szpiegostwa — odpowiada Tom Moon Eng Linn, nie patrząc na nią, i przekracza próg mojego domu.

Zza jego pleców dosłownie wylewa się grupa uzbrojonych agentów. Wbiegają do mieszkania z odbezpieczoną bronią. Trzy, cztery, pięć... Po co ja ich liczę? Jakie to ma znaczenie? Nas jest dwoje — Basia i ja, i nasze dwie córeczki. Ich piętnastu, razem z „Chińczykiem" — SA Linnem. Poznaję jeszcze jednego: SA McCarthy. Niedobrze. Rozbiegają się po całym mieszkaniu. Dwóch jednym susem ląduje za mną, odgradzając mnie od otwartych drzwi balkonowych (Naprawdę myśleli, że będę skakać? Nie przyszło mi to do głowy). Zaglądają wszędzie — łazienka, sypialnia, krzyk: wbiegli do pokoju dziewczynek. Kurwa mać! Z odbezpieczoną bronią?! Do dzieci?! Pieprzony „kompleks Johna Wayne'a"! Czterech jest przy mnie, pozostali biegają, wymachując bronią. Dobra, pozwalają Basi pójść do dziewczynek. Wśród agentów są dwie kobiety, jedna towarzyszy mojej żonie i wraz z dwójką innych zostaje tam, w pokoju, razem z nimi, przy otwartych drzwiach — słyszę już, jak Basia uspokaja dziewczynki. Druga kobieta jest w tej czwórce, która pilnuje mnie osobiście. To tłumaczka. Podobno mówi po polsku. Chwała Bogu, że znamy angielski! Pozostali zaczynają systematyczne przeszukiwanie domu. Z niepokojem śledzę każdy ruch McCarthy'ego. Niestety, w pewnym sensie się znamy i to z najgorszej strony. Mamy ze sobą na pieńku. Według mnie to człowiek nieopanowany. Dobra, wariat wymachujący bronią. Nie chcę, żeby zbliżał się do dzieci. Proszę o to „Chińczyka", on uspokajająco kiwa głową i kończy procedurę aresztowania:

— Ma pan prawo milczeć, cokolwiek pan powie, zostanie użyte

przeciwko panu w sądzie.

Teraz to „pan”, bo czyta formułkę z kartki, wcześniej się nie krępował, byliśmy przecież po imieniu.

— Ma pan prawo rozmawiać z adwokatem, aby zasięgnąć porady przed przesłuchaniem, ma pan prawo być przesłuchiwany w obecności adwokata, jeśli nie stać pana na adwokata, przydzielimy go z urzędu, jeśli zdecyduje się pan odpowiadać na pytania bez obecności adwokata, przysługuje panu prawo zrezygnowania z odpowiedzi do czasu rozmowy z adwokatem — recytuje jednym tchem.

Dalej zwyczajowo: że przeczytałem oświadczenie, że rozumiem, że nie działam pod żadnym przymusem (piętnastu uzbrojonych agentów to, rzecz jasna, jeszcze nie przymus), że nie potrzebuję adwokata i zgadzam się teraz złożyć zeznania. I miejsce na podpis.

Odmawiam podpisania.

Tłumaczka czyta tekst po polsku. Domyślam się raczej, że to o to chodzi. Proszę, żeby nie czytała. W tej sytuacji to groteskowe. Kaleczy język. „Chińczyk”, tłumacząc koleżankę, mówi:

— Jesteś pierwszym aresztowanym przez nas Polakiem.

— Dobrze mówię po angielsku. Nie podpiszę tego. Żądam kontaktu z polskim konsulatem.

— To później. To może zaczekać.

Podpisali oświadczenie sami: na wersji angielskiej SA Linn i SA Smith, na wersji polskiej SA Knight i SA Charron (to ta, pożal się Boże, tłumaczka!).

Smith dzwoni (domyślam się, że do przełożonego) i melduje, że „wejście” jest udane i wszystko jest pod kontrolą. Na zakończenie podaje przez telefon godzinę: 14.58. Przemknęło mi przez myśl, że za godzinę mam samolot, ale to tylko mgnienie. Przecież wiem, że dzisiaj już nigdzie nie polecę.

Wciąż przeszukują mieszkanie. Najpierw robili to chaotycznie, teraz zaczęli systematyczne wyrzucanie wszystkiego z szaf. Niewiele tego było, więc zabrali się do rozpakowywania kartonów. Kątem oka złowiłem wściekłe spojrzenie Basi. Pakowała to od ponad tygodnia. Rozglądam się za McCarthy’m. Nie ufam mu. Od samego początku myślę, że ten drań może mi coś podrzucić w trakcie rewizji. Linn widzi, że nie spuszczam wzroku z McCarthy’ego. Obserwuje teraz nas obu. Nie pozwalają mi niczego dotknąć. Mam stać i się nie ruszać. Na moje żądania kontaktu z konsulatem odpowiadają niezmiennie: „To później”. W końcu „Chińczyk” zamienia kilka słów ze Smithem i jeszcze jednym agentem (jak się domyślam, dowodzącym akcją) na boku, wraca do mnie i mówi:

— Zbieraj się. Jedziemy.

— Dokąd? — pytam.

— Dowiesz się w swoim czasie.

„Chińczyk” mimo wszystko stara się być miły. Albo raczej: nie stara się być niemiły. Jako jedyny z agentów FBI zachowuje się normalnie, choć jest śmiertelnie poważny. „Jak w filmach” — myślę.

Pozwalają mi założyć koszulę. Ale najpierw dokładnie ją przeszukują. Ręce do tyłu. Zakładają mi kajdanki. Przed zapięciem jeden z nich dwa albo trzy razy je obraca. Skracają długość łańcuszka. Boli jak cholera. Przez zapięte kajdanki przerzucają moją marynarkę.

— Mogę pożegnać się z żoną?

„Chińczyk” waha się chwilę, ale woła Basię.

Nachylam się do jej ucha:

— Dzwoń do konsulatu, powiedz im, co się stało. Wszystko będzie dobrze... Basiu, zobaczysz...

Ma łzy w oczach, tamta agentka stoi przy niej i odciąga ją ode mnie. Całuję ją w policzek, Linn popycha mnie lekko, koniec, nie ma czasu. Odwracam się spod drzwi, chcę spojrzeć na Basię, ale znikła już w pokoju dzieci, SA Smith szturcha mnie mocniej. Skończył się wersal. Pod eskortą do samochodu, na tylne siedzenie. Obok mnie „Chińczyk”, za kierownicą Smith, przy nim SA Frank H. Knight. Ten najwyraźniej mnie nie cierpi, a jego antypatia przekracza profesjonalny wymiar akcji. Ruszamy. O dziwo, bardzo wolno. Nagły spadek obrotów po błyskawicznym aresztowaniu? Po chwili wszystko się wyjaśnia: wzdłuż drogi stoją tylko samochody FBI, a z każdego z nich wysiada kierowca i staje przed autem. No tak, oto chwila chwały nadeszła! Sami sobie oddają honory. Rozkoszują się. Los Angeles. Wyczuwalna bliskość Hollywood! Agentów i samochodów tyle, że można by aresztować pół miasteczka!

Skrócone kajdanki boleśnie wbijają mi się w nadgarstki. Mam wykręcone do tyłu ręce. Pytam „Chińczyka”, czy nie można ich przepiąć do przodu. Natychmiast odwraca się SA Knight:

— To wbrew instrukcji! — syczy wściekle.

Udaję, że nie słyszałem Knighta i ponownie spokojnie zwracam się do Linna:

— Znasz mnie już, czy naprawdę jesteś skłonny pomyśleć, że będę próbował wam uciec z jadącego samochodu? Przecież zdaję sobie sprawę, że jedziemy pod eskortą.

„Chińczyk” chwilę myśli i zgadza się. Ale SA Knight na czas przepięcia kajdanek przyklęka na przednim siedzeniu odwrócony w moją stronę. Lufę opiera na oparciu. Z odbezpieczonej broni mierzy mi między oczy. Od

początku akcji widzę, że jest nerwowy i nieobliczalny. Modlę się, żeby samochód nie podskoczył na jakimś nieoczekiwanym wyboju. Ten świr jest gotów palnąć mi w łeb z byle powodu. Na szczęście Linn szybko załatwia sprawę.

Po chwili jesteśmy na miejscu. Wilshire Boulevard, wiem, że tu mieści się siedziba FBI na Południową Kalifornię. Pod eskortą do windy towarowej. Ruszamy w górę. Knight zdejmuje krawat i zawiązuje mi oczy.

— To na wypadek, gdybyś kiedykolwiek przypadkiem — zatrzymał się z satysfakcją przy tym słowie — gdybyś przypadkiem wydostał się na wolność. Nie będziesz znał rozkładu naszych pomieszczeń.

Przypadkiem. Obiecująca perspektywa. Mimo wszystko bęcwał z niego. Krawat zawiązał mi tak, że przypadkiem wszystko widziałem. Nie tylko rozkład pomieszczeń, ale i pracowników. Niedzielne popołudnie, a tam tłok jak na odprawie. Chcieli mieć wszystkich pod ręką, w gotowości, w ten swój wielki dzień... Gdybym się uparł, mógłbym ich policzyć. Pomieszczenia też. Tak czy siak wiedziałem, że jesteśmy na dwóch ostatnich piętrach budynku. Więc tu mieści się sekcja kontrwywiadowcza FBI.

Wprowadzili mnie do pokoju. Knight zdjął swój krawat z moich oczu. No tak, pokój bez okien, całkowicie pusty. Tylko biurko, stare biurko i równie wiekowy, bakelitowy czarny telefon. Agent Knight zostaje sam na sam ze mną. Barykaduje drzwi krzesłem i siada na nim. Cisza jest nieznośna. Gdyby mógł, wydobywałby ze mnie zeznania wzrokiem. Nie, gdyby mógł, dałby mi w pysk. Albo roztrzaskał mi głowę tym telefonem. Przynajmniej patrzy tak, jakby na to właśnie czekał.

Po chwili zaczyna się nerwowy ruch. Do pokoju wchodzą agenci. Nie bardzo wiem po co, bo prócz biurka i nas dwóch nic tu nie ma. Żadnych papierów. Nic. Więc wchodzą i wychodzą. Zaczynają rozmawiać i milkną. Chyba przypominają sobie, że świetnie mówię po angielsku. Wychodzą. I tak w kółko. Za każdym razem bojowo nastawiony SA Knight musi wstać i odsunąć swoją barykadę. I usiąść. Nie jest mi do śmiechu, ale koniec końców, to jest komiczne.

W końcu zmiana: Knight dostaje wiadomość i ponownie zdejmuje krawat, rozumiem, że będziemy wychodzić, ale mój SA stara się, by napięcie rosło. Podchodzi do mnie powoli, patrząc mi w oczy i naciągając krawat w rękach. Pewnie chce, bym się bał. Bym myślał, że gotów jest mnie udusić. Mam napięte nerwy, jestem w zamkniętym pomieszczeniu z tym szaleńcem, ale nie daję się nabrać. Nie spuszczam wzroku, czekam, aż zawiąże mi krawat. Wychodzimy. Czy oni mają w swojej Akademii zajęcia z zasłaniania oczu aresztowanym? Jeśli tak, to mój prześladowca był

kiepskim studentem. Znów w czasie przemarszu prawie wszystko widzę. W końcu jesteśmy w pomieszczeniu sekcji technicznej. Najpierw zdjęcia. Tło: wielka miara. Ujęcia: wszystkie możliwe — profil prawy, lewy, przód. Obsługuje mnie kierownik działu. Nazywa się Richard D. Fernandes. W trakcie sesji fotograficznej wbiega nowy agent. Przedstawia się jako Supervisory Special Agent James B. Reid.

— Marian Zacharski! Nareszcie możemy poznać się oficjalnie! Bo znam cię od dawna! Prowadzę twoją sprawę od czternastu miesięcy.

— Nie mogę panu podać ręki — mówię, pokazując na skute nadgarstki, choć teraz sam słyszę, że brzmi to dwuznacznie. Reid nie zwraca uwagi na niuanse, jest podekscytowany.

— Procedury! Sam rozumiesz, w twoim wypadku!

— Procedury? Cały czas proszę o ich przestrzeganie. Żądam kontaktu z polską placówką dyplomatyczną lub konsularną.

— Spokojnie, na to będzie czas. Ile to jeszcze potrwa? — zwraca się do pracujących w sekcji technicznej agentów.

Zamiast odpowiedzi kręcą głowami, pokazując, że sami nie wiedzą. Reid drapie się po głowie, nerwowo zerka na zegarek, pociera brodę.

— Panowie, szybciej w miarę możliwości, bo czekamy z konferencją... Dobra, róbcie swoje, ja zawiadomię szefa! — i już jest przy drzwiach. Ale wraca, staje przede mną i kręci głową:

— Marian Zacharski!... Kto by pomyślał...

Ogląda mnie od stóp do głowy, patrzy na mnie bezczelnie, choć bez agresji. Czuję się jak zwierzę na łańcuchu.

— Pamiętasz zabawki pluszowe, które nasz agent przekazał dla twoich córeczek?

Pamiętam dokładnie. 23 listopada zeszłego roku. Niedziela, przyjęcie urodzinowe Małgosi, Burger King. Nie dałem ich dziewczynkom, zostawiłem w bagażniku. Nic nie odpowiadam.

— No właśnie. To był początek twojego problemu.

OK, myślę, jeśli tu umiejscawiają początek, to nie jest źle.

Reid znów idzie do drzwi. Odwróci się? Tak, wraca. Jego mina ma wyrażać poufałość wynikającą z poczucia wyższości.

— Ale wiesz, Marian, my do Basi i dzieci nic nie mamy. Zupełnie nic! Sprawę mamy tylko z tobą. One mogą sobie spokojnie żyć w naszym kraju. Pamiętaj!

Patrzy na mnie chwilę i wychodzi. Tym razem naprawdę. Wiem, co chce mi przekazać. Rozumiem. Ale im nie ufam.

Prowadzą mnie do drugiego pomieszczenia. Fernandes i Knight zabierają się do zdejmowania odcisków palców. Potem całych dłoni. Są

bardzo skrupulatni. I wciąż niezadowoleni z efektów. Każdy palec powtarzają w kilku wersjach. Knight wbrew pośpiechowi Reida komentuje:

— Mamy czas. — I po chwili kończy z paskudnym uśmiechem. — Ty już się nigdzie nie musisz śpieszyć, bo już nigdy nigdzie nie pójdziesz...

Dobra — myślę, on nie jest tu od tego, aby mnie podnosić na duchu. Ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że celowo tak obraca moją dłonią, żeby zadać mi jak najwięcej bólu. A może raczej już traktuje mnie jak trupa? Zresztą, kończąc dzieło, potwierdza:

— Masz szczęście, że z nami współpracujesz. Jakbyś się stawiał, powyrywalibyśmy ci palce, żeby dokończyć pobieranie odcisków.

Nie wątpię. Ale sądzę, że zrobiłby to sam, bez pomocy Fernandesa. Krawat na oczy i po chwili jesteśmy z powrotem w pomieszczeniu bez okien. Pozwalają mi zadzwonić do konsulatu. Oczywiście w asyście. Gdy wykręcam numer, dwie rzeczy jednocześnie przychodzą mi do głowy: pierwsza — że dzisiaj jest niedziela i w konsulacie może nikogo nie być, druga, że stary, bakelitowy telefon jest czarny, żeby tacy jak ja nie brudzili go palcami poplamionymi tuszem od zbierania odcisków. Jest sygnał, ale nikt nie odbiera. Knight informuje mnie zimno, że mam prawo do jednego połączenia. Jestem prawnikiem i z tego, co pamiętam, mam prawo do skutecznego połączenia, ale w tej chwili całą energię skupiam na sygnale w słuchawce. Mam szczęście. Dyżurny odbiera. I mówi, że wszystko już wiedzą, dzwoniła do nich moja żona, a oni podjęli stosowne kroki. Uff. Ulżyło mi tak, jakbym już był bez kajdanek. Będzie dobrze. Lubię ten stary, ciężki telefon. Naprawdę go lubię. Odkładam słuchawkę na widełki. Jest 17.41.

Jeszcze raz pytają, czy będę składał zeznania. Po raz kolejny odmawiam, więc krawat, winda towarowa i znów jestem w samochodzie. Agenci bez zmian: Linn, Smith, Knight. Widzę, że jedziemy w stronę centrum. Wjeżdżamy na podwórze Parker — centralnego aresztu policji Los Angeles. W slangu mówi się na niego „szklany dom” (Glass House). Po chwili wiem, skąd ta nazwa: tu nie ma krat. Są pancerne szyby. Znów procedura przyjęcia mnie na stan. Zdjęcia: profil prawy, lewy, przód, tył. Odciski palców. Każdy z osobna, całe dłonie. Przeszukanie. Numer.

6205655. Numer dla tymczasowo zatrzymanego przez policję w Los Angeles. Nazwisko już niepotrzebne.

Widzę, że procedura zbliża się ku końcowi, pytam więc Linna, czy może sprawić, że nie trafię do wieloosobowej celi wespół z jakimiś szaleńcami. Zamienia kilka słów z przyjmującym mnie funkcjonariuszem i uspokajająco potakuje. W drodze do celi przekazują mi wiadomość, że mam rozmowę telefoniczną. Na końcu długiego korytarza stoi biurko

strażnika i tam pozwalają mi odebrać. Na linii jest prawnik z centrali mojej firmy Polamco Corporation w Chicago. Pyta, jak się czuję i jak jestem traktowany. Nie bardzo mogę rozmawiać, właściwie potakuję. On zresztą też uważnie dobiera słowa. Instruuje mnie, żebym o niczym nie rozmawiał z FBI. Przecież nie odpowiem mu: „Słuchaj, wiem dobrze, co mam robić”, więc nadal potakuję. Mówi, że jutro zgłosi się do mnie jego kolega, prawnik z Los Angeles, nazywa się Charles Grotts, potem dokładnie opisuje mi jego wygląd. Dziękuję mu serdecznie, a on szybko dodaje, że gdyby polskie władze zdecydowały się na jego usługi, to znaczy, by reprezentował mnie jako obrońca, to jest gotów przenieść się natychmiast z Chicago do Los Angeles.

Odkładając słuchawkę, myślę: „Jakie to amerykańskie! Serdecznie, profesjonalnie, ale z myślą o sobie. Sprawa zanosi się na przedstawienie medialne, błyskawicznie pomyślał o reklamie swojego nazwiska”.

Wprowadzają mnie do jednoosobowej celi. Glass House szklany jest tylko w części. Tylna i boczne ściany celi są murowane. Przednia to jeden wielki, przejrzysty wizjer, w nim metalowe drzwi. Terrarium dla niebezpiecznych, egzotycznych i ponumerowanych stworzeń. Wieczne światło. Całodobowy monitoring. Wewnątrz łóżko, coś na kształt stolika i toaleta. Oczywiście doskonale widoczna. Siadam na tym łóżku. Zdejmuję buty i kładę się tak, jak stałem. Nie zdejmuję marynarki. Jestem piekielnie zmęczony.

Chcę zasnąć, choć na chwilę.

Okazuje się, że to nie takie proste. Jakby mój umysł nastawił się na czuwanie.

Męczące, jarzeniowe światło przebija się przez zamknięte powieki. A przez metalowe drzwi w szklanej ścianie do celi przedostają się zwielokrotnione odgłosy codziennego życia więzienia. Krzyki, jęki, pohukiwania, wycie, chwilami jednostajne wrzaski. Dotknąłem dna Ameryki.

Po kilku godzinach przyzwyczajam się do tego niemilknącego tła dźwięków.

Zaczynam myśleć. Co ja tu robię? „Tytuł 18, paragraf 794. Szpiegostwo” — to Tom Moon Eng Linn. James B. Reid: „Zabawki pluszowe to był początek twojego problemu”. Więc mniej więcej od siedmiu miesięcy. „Do Basi i dzieci nic nie mamy” — to ważne. Rewizja. Czego szukali? Cokolwiek to, według nich, było, nie znaleźli. Jeśli chcieli mi coś podrzucić (McCarthy mógłby, był do tego zdolny), zrobiliby to przed zabraniem mnie z mieszkania. Więc co? Co naprawdę się stało? Co pękło?

Nie mogę zapomnieć widoku Basi, pobladłej, wystraszonej. Nawet nie

zdążyła zrobić tej swojej dzielnej miny. Dziewczynki. Czy je uspokoiła? Czy ktoś z konsulatu już do nich przyjechał? Pewnie dopiero jutro, dzisiaj niedziela. Jak sobie radzą?

O 6 rano nowa zmiana strażników. Więc jeszcze nie zdążyłem zasnąć. Stukają w szklaną ścianę. Wstaję i podchodzę w nadziei, że mnie stąd wyprowadzą. Pomyłka. Przyszli ze świeżym wydaniem „Los Angeles Times". Pokazują sobie i porównują: mnie ze zdjęcia na pierwszej stronie gazety i mnie w celi. Są zadowoleni. Ptaszek w klatce. Zdjęcie, którym mi mignęli, to takie, jakie mam w prawie jazdy. Dziennikarze szybko się uwinęli. Wczoraj była przecież niedziela. Po jakiejś godzinie przychodzi strażnik i każe mi się przygotować.

— Przyjdą cię zabrać.

I nic więcej.

Ale we mnie rodzi się jakaś nadzieja, że „zabrać" to może oznaczać: zabrać i wydalić z USA do Polski. Jednak po chwili okazuje się, że „zabrać pod prysznic". Więc zimny prysznic. Każą mi wejść w ubraniu do niewielkiego pomieszczenia. Strażnik zamyka je na klucz. I niemal natychmiast z umieszczonego pod samym sufitem prysznica zaczyna lać się woda. Rozbieram się błyskawicznie. Nie ma mydła, nie ma lustra. Jest ścierka. Chyba ma być ręcznikiem. Nie ma nic innego, więc wycieram się tym. Ubieram się dopiero, gdy strażnik wyłącza strumień wody. Jestem nieogolony, mam na wpół mokry, pognieciony garnitur. Domyślam się, jak wyglądam. Wracamy do celi.

Przez klapę w metalowych drzwiach wsuwają tacę ze śniadaniem. W pierwszej chwili, gdy ją widzę, żołądek przypomina mi, że od wczorajszego poranka nie jadłem. Ale kiedy podchodzę i patrzę na to, co leży na tacy, zapominam o głodzie. Nie jadam rzeczy, których nie umiem nazwać. Nie jest jeszcze tak źle. Jeszcze nie muszę.

Czekam. Coś przecież musi się wydarzyć. W istocie, przychodzą po mnie. Pytam strażników:

— Kto?

— FBI — odpowiadają zdawkowo.

Czeka na mnie wczorajsza eskorta: Linn, Smith, Knight też. Znów zostaję skuty. Oficjalnie kwitują odebranie mnie z więzienia policyjnego Parker. Linn wpisuje: godzina 9.24. Przed wyjściem zatrzymują się, „Chińczyk" przygląda mi się chwilę i... zaczyna mnie głaskać. Nie, on mi poprawia włosy! Zdecydowanym ruchem głowy strząsam jego rękę, jestem w kajdankach, nie mogę go odepchnąć, ale dwuznaczność sytuacji budzi mój niesmak. Linn niezrażony wzrusza ramionami i wyjmuje z kieszeni małe lusterko. Sam się przegląda, poprawia sobie krawat. Jestem

zdezorientowany, ale widzę, że dokładnie to samo robią pozostali. Nawet Knight. Wzajemnie lustrują swój wygląd, „Chińczyk" pokazuje Smithowi, żeby sobie poprawił kołnierzyk. Wraz z otwarciem drzwi wszystko się wyjaśnia: na dziedzińcu więziennym są dziennikarze. Kamery telewizyjne, błysk fleszy, zgiełk przekrzykujących się pytaniami. Smith idzie przodem, torując nam drogę. Linn i Knight prowadzą mnie, trzymając pod ręce. Wczoraj, jak mnie tu przywozili, podjechali pod same drzwi. Dzisiaj samochód ustawili na przeciwległym krańcu dziedzińca. Hollywoodzki kicz. Brakuje tylko czerwonego dywanu. Prowadzący mnie robią nieprzeniknione miny Prawdziwych Agentów Federalnych (Szkoda, że nie założyli ciemnych okularów. Może zapomnieli?), a Smith uniesionym w górę ramieniem osłania nas. Przed czym? Przecież nawet się uczesali do tej roli. Przez głowę przechodzi mi idiotyczny amerykański kawał o skazańcu, którego prowadzą na krzesło elektryczne. Na końcu drogi są jednak dwa krzesła, a nieszczęśnik ma wybrać. Pierwsze: opiekanie normalne. Drugie: na chrupko.

Bzdury, ale całe to nasze przejście jest farsą.

W końcu lądujemy w samochodzie. Prowadzi SA Smith, jak wczoraj.

North Spring Street 300. US Marshals w podziemiach Sądu Federalnego. To już trzecia od wczoraj procedura fotografowania i zdejmowania odcisków palców. Dostaję nowy numer. Tym razem federalny. Teraz jestem: 73820-012. Żadnych wyjaśnień. Zamykają mnie w celi. Czekam.

Po godzinie, może dwóch, strażnik przyprowadza mężczyznę. Jest młody, niewiele po trzydziestce. Szczupły, na oko metr osiemdziesiąt wzrostu. Przerzedzone jasne włosy. Z kieszeni marynarki wystają okulary w metalowych oprawkach. Zgadza się. Przedstawia się jako Charles Grotts, kolega ze studiów mojego prawnika z Polamco Corporation. Witamy się krótko, pytam, czy już coś wie w mojej sprawie.

— Nie, przyszedłem najpierw do ciebie, żebyś wiedział, że już jestem. Poza tym musisz podpisać mi pełnomocnictwo. Procedura jest taka, że teraz podadzą, kiedy masz się stawić przed sędzią pokoju, to będzie raczej szybko. Sędzia postawi ci oficjalny zarzut, wyznaczy kaucję i termin rozprawy.

— Myślisz, że wypuszczą mnie za kaucją?

— Tak, a dlaczego nie? Może przeholują z jej wysokością, ale wyznaczą. Dobra, idę dowiedzieć się czegoś na temat oskarżenia, wrócę najdalej za pół godziny.

Bierze podpisane przeze mnie pełnomocnictwo i idzie. Zastanawiam się. Kaucja. Wcześniej nie brałem tego pod uwagę. Ale może? Umysł ludzki z niebywałą łatwością chwyta się optymistycznych odsłon. Charles Grotts

mówił o kaucji w sposób tak naturalny, tak zaraźliwie oczywisty... Zostaję z tą myślą do jego powrotu. Ale gdy prawnik powtórnie wchodzi do mojej celi, pod przykrywką profesjonalnego opanowania wyczuwam w nim coś jeszcze. W zamyśleniu pociera wierzchem dłoni podbródek, siada i wciąż nie przestaje czytać kilkustronicowego dokumentu, z którym przyszedł. Jakby zapomniał o mojej obecności!

— Charles, co jest? — pytam.

Patrzy na mnie rozkojarzony i widzę, jak próbuje się skupić.

— Marian, muszę to spokojnie przeczytać, bo tak na pierwszy rzut oka nie wszystko rozumiem.

— Co to jest?

— *Affidavit*, oświadczenie pisemne agenta federalnego George'a S. Bacona.

— Bacona? Nie znam. A co z kaucją?

— A, tak. O godzinie 14 masz stawić się przed sędzią magistrackim Jamesem J. Penne'em. Wtedy zapadnie decyzja w sprawie oskarżenia i wysokości kaucji.

— To nie znasz jeszcze treści oskarżenia?

— Nie. Ale przeczytaj to — podaje mi sześciostronicowy dokument — oświadczenie SA Bacona.

Rzucam okiem i już w punkcie drugim widzę to, czego szukałem. I jednocześnie to, czego najmniej na świecie się spodziewałem. Imię i nazwisko. Klucz do tej sprawy. William Holden Bell. Siadam. Zaczynam czytać.

Po półgodzinie mój adwokat wychodzi. O godzinie 14 sędzia magistracki James J. Penne, głuchy na argumentację mojego obrońcy, nie zgadza się na wypuszczenie mnie za kaucją. Wyznacza termin pierwszej rozprawy na 13 lipca 1981 roku. Będę oczekiwał na nią w areszcie federalnym, bo, jak powiedział prokurator, jestem oskarżony o najcięższe przestępstwo wymienione w kodeksie karnym Stanów Zjednoczonych.

Więzień numer 73820-012 wraca do celi.

Jak to się stało, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat, jako prezes Polamco, jednej z pierwszych polskich firm w Stanach Zjednoczonych, wylądowałem w więzieniu federalnym oskarżony o szpiegostwo?

Może po kolei.

Urodziłem się 15 sierpnia 1951 roku w Gdyni.

Mój ojciec, Wacław Zacharski, był rodowitym warszawiakiem. Rocznik 1925. Był uczniem gimnazjum, kiedy wybuchła wojna. Przeżył

aresztowanie przez gestapo i więzienie na Pawiaku. Wstąpił do Armii Krajowej, w czasie powstania warszawskiego był w zgrupowaniu Kampinos. Próbowali ataku na Dworzec Gdański. Po upadku powstania został wywieziony do Niemiec na przymusowe roboty. Trafia w okolice Bambergu w Bawarii. Po zakończeniu wojny wraca do Polski. Piechotą, okazją — jak się dało. Widząc totalnie zrujnowaną Warszawę, postanawia szukać szczęścia na Wybrzeżu Gdańskim. Tam kończy studia na Wydziale Mechaniki Politechniki Gdańskiej. Poznaje moją mamę.

W Warszawie zostaje jego brat i matka. Moja babcia, Sabina, po ciężkich przeżyciach z powstania do końca życia cierpi na głęboką depresję. Brat ojca, Jan, ciężko ranny w powstaniu, cudem przeżywa rozwałkę chorych dokonywaną przez zdziczałe wojska pod niemiecką komendą. Kilku zbyt ciężko rannych powstańców, w tym i mój wujek, nie mogło być ewakuowanych przez wycofujące się polskie oddziały. Zostali w szpitalu, czekając na pewną śmierć. Wujek opowiadał mi kiedyś, że słyszeli, jak Ukraińcy rozstrzeliwują rannych na kolejnych piętrach szpitala. Do sali, w której leżeli, zajrzał esesman i z niewiadomych dla nikogo przyczyn, powiedział: „Zostawcie ich”. Mówił, iż czuł się, jakby przeżył własną śmierć. Potem wyzdrowiał i rozpoczął karierę w wojsku. Służył w lotnictwie. Pracował między innymi na lotnisku na Bemowie, potem przez wiele lat w dowództwie Obrony Powietrznej Kraju na rogu ulic Wawelskiej oraz Żwirki i Wigury. Przeszedł na emeryturę w stopniu pułkownika.

Mama, Czesława, tak jak ojciec urodzona w 1925 roku, chociaż pochodziła z Poznańskiego, już przed wojną przeniosła się z rodzicami, dwójką braci i siostrą do Gdyni. Józef, ojciec mamy, urodzony w 1893 roku, miał barwne życie jak wielu, którym przyszło żyć pod zaborami. Całą edukację odbył w szkołach z językiem niemieckim, choć w domu naturalnie mówiono wyłącznie po polsku. W czasie I wojny światowej wcielono go do armii niemieckiej. Przez cztery lata wojny służył w artylerii. W powstaniu wielkopolskim walczył po stronie polskiej, a po odzyskaniu niepodległości ponownie został wcielony do wojska — tym razem polskiego. Mawiał, że gonił ruskich z armią Piłsudskiego aż pod Kijów. II wojna światowa zastała mamę wraz z rodziną w Gdyni. Dziadek pracował na poczcie. Świetnie mówił po niemiecku, więc nakłaniano go do podpisania volkslisty, ponieważ odmówił, zmuszono go wraz z rodziną do wyjazdu. Podobnie jak tysiące innych Polaków. Znajomość niemieckiego przydała się tylko do wynegocjowania dodatkowych trzydziestu minut na spakowanie dobytku i stawienie się na dworcu kolejowym. Po dwu- lub trzydniowej podróży dotarli w rejon siedlecki i tam zostali we wsi Mordy.

Przez resztę wojny mieszkali sześcioosobową rodziną w jednym małym pokoju u gospodarza. Po zakończeniu wojny natychmiast ruszyli na Wybrzeże. Osiedli w Sopocie, przy ulicy Mikołaja Kopernika. Mój dziadek Józef miał żelazne ślubowanie. Co roku, niezależnie od okoliczności, 15 sierpnia udawał się do kościoła, spowiadał się, uczestniczył we mszy i przyjmował Najświętszy Sakrament. Nigdy nikomu nie zdradził powodu tego ślubu. Rodzina domyślała się tylko, iż złożył go w dramatycznych okolicznościach. Dziadek w doskonałym zdrowiu dożył dziewięćdziesięciu jeden lat, ale ponieważ zmarł w 1984 roku, nie mogłem uczestniczyć w jego pogrzebie. Siedziałem w amerykańskim więzieniu i nie był to jedyny pogrzeb wśród najbliższych, na który nie poszedłem.

Mój ojciec, ponieważ był członkiem AK i z racji pobytu w Niemczech na przymusowych robotach, po wojnie stale musiał się meldować w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa w Sopocie. Potwierdzać, że jest, nigdzie nie uciekł, informować, czym się zajmuje. Dopiero 24 marca 1947 roku obejmuje go amnestia. Potem jest aktywny w harcerstwie i w lutym 1948 roku zostaje mianowany podharcmistrzem. Pracował w Sopockich Zakładach Przemysłu Maszynowego i zatrudniał tam wielu ciekawych ludzi. Jeden z nich to były szef Wywiadu AK na okręg lubelski, po wojnie aresztowany i skazany na śmierć. Jego żona robiła wszystko, by wydobyć męża, w końcu udało jej się przekupić decydentów i zamieniono mu wyrok śmierci na długoletnie więzienie. W czasie odwilży znalazł się na wolności. Był częstym gościem moich rodziców, a ja uwielbiałem jego opowieści. Gdy tylko do nas przychodził, starałem się być jak najbliżej, by nie uronić ani słowa. Pamiętam, jak opowiadał o brawurowych akcjach armii podziemnej, na przykład gdy wchodził na teren obozu w Majdanku na lewych papierach Czerwonego Krzyża i robił zdjęcia aparatem ukrytym w rękawiczce!

Innym, niezwykłym przyjacielem mego ojca był mecenas Wójcicki. Ojciec zatrudniał go jako radcę prawnego w zakładach, którymi kierował. Gdy byłem małym chłopcem, lubiłem jego wizyty, bo przynosił mojemu bratu i mnie książeczki z bajkami Walta Disneya, które kupował w Empiku na deptaku Monte Cassino. Był człowiekiem o niezwykłym życiorysie. Przed wojną sprawował funkcję sędziego Sądu Najwyższego. Po wojnie zaangażował się we współpracę ze Stanisławem Mikołajczykiem i wraz z nim miał w dramatycznych okolicznościach w 1947 roku opuścić Polskę. Nie zdążył, jego żona i synowie wyjechali transportem Mikołajczyka, on sam został aresztowany i przesiedział w więzieniu do 1956 roku. Ponieważ władze nie wydawały mu zezwolenia na wyjazd za żelazną kurtynę, tylko raz spotkał się z synem, podczas urlopu w Jugosławii, gdzieś w okolicach

Triestu. Opowiadał, iż syn namawiał go na wyjazd do Stanów, ale on odmówił. Czuł się związany z Polską. Długo mieszkał w wynajmowanym pokoju, gdzie mieściły się jedynie szafa i łóżko, tam trzymał swe niezbędne rzeczy. Dopiero później dostał niewielkie, samodzielne mieszkanie. Mecenas Wójcicki był niezwykle elegancki i zawsze punktualny, nigdy też nie bawił u rodziców zbyt długo. Jego opowieść o synu, Stanisławie, który był fizykiem atomowym, przypomniała mi się, gdy pracowałem w Stanach. Mecenas Wójcicki mówił, iż syn jest profesorem na Uniwersytecie Stanford w Kalifornii. Będąc za oceanem, czytałem publikacje, w których nazywano go nowym Einsteinem. Pojechałem więc na uniwersytet i udało nam się spotkać. Skromny, ciepły i serdeczny człowiek. Jak na tyle lat życia poza krajem, świetnie mówił po polsku. Zaprosił mnie na kolację do swojego domu. Na zakończenie wieczoru dał mi jakieś drobiazgi dla swojego ojca z prośbą, bym spróbował mu je przekazać. Przywiozłem je do Polski i dałem mojemu ojcu, a on mecenasowi Wójcickiemu. Choć, jak się okazało, nie było to proste, bo Wójcicki długo wzbraniał się przed ich przyjęciem, mówiąc, iż nie wie, skąd pochodzą. Ostatecznie mój ojciec go przekonał.

Z domu wyniosłem szacunek dla ojczyzny. Moi rodzice, a także ich przyjaciele przeszli przez wojenną gehennę. Wycierpieli niejedno, raz z ręki obcych, raz z ręki swoich. Ale nigdy nie usłyszałem z ich ust słów potępienia, pogardy czy złości. Przeciwnie, uczyli nas, że Polska jest jedna. Mówili, że różne państwa przechodzą przez zakręty historii, ale swój kraj należy szanować i, jak trzeba, walczyć o niego. Budować, dbać o jego dobro, bo to nasz kraj. Innego nie mamy i nie chcemy. Mój ojciec, kiedy mówił: „Polska”, nie dodawał przymiotników. Nigdy nie mówił „Polska Ludowa” czy „Polska Sanacyjna”. Tylko: Polska.

Ojciec za swoją działalność okupacyjną, a potem już po wojnie, za pracę na rzecz Polski, został odznaczony wieloma orderami, w tym Warszawskim Krzyżem Powstańczym, Krzyżem Partyzanckim, Medalem za Warszawę 1939-45, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Miał też odznakę „Syna Pułku” nadawaną w uznaniu zasług młodocianym żołnierzom.

Mama przestała pracować po urodzeniu mojego brata Bogdana. Trzy lata później na świat przyszedłem ja i mama całą energię skierowała na nasze wychowanie. Wcześniej miała w planach studia, ale ostatecznie poświęciła się opiece nad nami. Była wraz z ojcem miłośniczką opery, baletu, teatru. Często razem wychodzili. Odkąd pamiętam, pasjonowała ją literatura związana z działalnością wywiadowczą. Gdy byłem starszy, zacząłem podbierać jej książki.

Mieszkaliśmy w Sopocie przy ulicy Westerplatte nr 8. Nie chodziłem do przedszkola, ale już jako mały brzdąc stawiałem pierwsze kroki w szkółce tenisowej jednego z braci Kornelóków, którzy byli podporą Sopockiego Klubu Tenisowego. Ćwiczyłem w grupie pana Jana. Początkowo grałem paletką, a gdy nieco podrosłem, świętowałem z powodu otrzymania swojej pierwszej rakiety — Slazengera. Chodziłem wtedy do Szkoły Podstawowej nr 7, która była położona niedaleko kortów tenisowych.

Później rodzice wybudowali dom przy ulicy Kopernika 17, vis-à-vis domu dziadków, i przeprowadziliśmy się. Musiałem też zmienić podstawówkę, z „siódemki" na „szóstkę". Aby tam dojść, trzeba było pokonać wzniesienie i przejść przez las, krótko mówiąc: do szkoły miałem pod górkę!

Rodzice bardzo troszczyli się o naszą edukację i zdrowie. Chcieli nas jak najlepiej przygotować do dorosłego życia, które — jak mówili — pełne jest konkurencji. Uważali, że wykształcenie jest najważniejsze. Posyłali nas na prywatne lekcje języka angielskiego, nigdy na tym nie oszczędzali.

Poza nauką pochłaniał mnie sport. W podstawówce brałem udział w czwórboju lekkoatletycznym, dotarliśmy do finału ogólnopolskiego i bardzo dumny pojechałem na swoją pierwszą delegację — do Szczecina.

W piłkę nożną grałem do upadłego. W tamtym czasie na boisku Sopockiego Klubu Sportowego „Ogniwo" organizowane były turnieje podwórkowe. Podczas jednego z nich zainteresowali się moją grą działacze Lechii. Przyszli do taty, by wyraził zgodę na zapisanie mnie do trampkarzy Lechii Gdańsk. Ojciec jednak nie zgodził się. Powiedział wówczas, że moim głównym obowiązkiem jest nauka, nie sport. Nie odwrotnie. Byłem zawiedziony. Tyle razy siedziałem na trybunach Lechii, z zapartym tchem podziwiając Korynta i Lenca w obronie albo Gronowskiego w bramce. Znałem wszystkie okrzyki, zawołania. Pamiętam i te zabawne — „Korynt! Galanteria się pali!" — Roman Korynt potrafił być w złej formie, a ponieważ miał we Wrzeszczu sklep galanteryjny, kibice uznali, że ich pupil obudzi się na boisku, słysząc taką uwagę. Wtedy byłem rozżalony, dzisiaj jestem wdzięczny za tamtą pryncypialność ojca.

I Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie przy ulicy Książąt Pomorskich było fantastyczną szkołą życia i przyjaźni. Kierowała nim pani Emilia Narudzka, historyczka, osoba niedużego wzrostu, lecz wielka duchem, która umiała nas wszystkich utrzymać w ryzach. Choć, by nam się przyjrzeć, musiała wysoko podnosić głowę, cieszyła się niekwestionowanym autorytetem. Ona i grono pedagogów przygotowali nas do egzaminów na wyższe uczelnie w sposób nienaganny. Do dzisiaj, gdy przypomnę sobie liceum, myślę: „To była świetna szkoła".

W mojej klasie spotkali się synowie kapitanów żeglugi wielkiej, architektów, lekarzy, profesorów wyższych uczelni i zupełnie zwykłych ludzi. Panowała między nami doskonała atmosfera, o czym najlepiej świadczy fakt, iż w większości wymyślonych przez nas drak nigdy nie wydało się, kto nimi dowodził i kto je zorganizował. Na każdej dużej przerwie biegaliśmy na plażę, szkoła położona była tuż nad morzem. Trzy, cztery minuty spaceru.

Końcowe lata liceum to czas wielkiej miłości. Małgorzata była moją rówieśniczką, bardzo piękną dziewczyną. Byliśmy zakochani, snuliśmy plany na przyszłość, pewni, że się spełnią. Niestety, gdy wyjechałem na studia, Małgosia została w Sopocie, a ja nie umiałem sprostać miłości na odległość. Nasze drogi się rozeszły, czego przez wiele lat bardzo żałowałem. Dziś Małgorzata nadal jest piękną kobietą, o wielkiej kulturze osobistej.

Rodzice wysłali mnie do Anglii, żebym doskonalił angielski i poczuł, że jestem obywatelem świata. Spędziłem tam sześć tygodni, najpierw w Leicester, a potem w Londynie.

Interesowało mnie wszystko, co się działo na świecie, frapowały podróże. Historia, polityka, gospodarka, pakty militarne. Pochłaniałem książki, wśród nich i te związane z wywiadem i kontrwywiadem. Nie miałem jednak pojęcia, że wkrótce to, o czym czytam, stanie się częścią mego życia.

Namiętność do książek mi została. Dzisiaj mój księgozbiór jest wielojęzyczny i niemal wielotonowy. Dominuje w nim tematyka historyczna i literatura faktu. Kolekcjonuję książki dotyczące działalności wywiadowczej w różnych aspektach historycznych. Najczęściej wracam do lektury, która rozpaliła mą wyobraźnię w bardzo młodym wieku — do „Trylogii" Sienkiewicza. Mam co najmniej cztery różne wydania.

Moja żona z obawą myśli dzisiaj o każdej kolejnej przeprowadzce. Wielka, onyksowa kula pochodząca z Kaszmiru w Pakistanie, która waży około trzystu kilogramów, i mój księgozbiór to nasze najcenniejsze skarby. Słodki ciężar.

Po maturze złożyłem papiery na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Rozważałem też handel zagraniczny, fascynowało mnie dziennikarstwo. Chciałem podróżować, poznawać świat. W końcu pomyślałem, że prawo da mi doskonałą edukację z wielu dyscyplin i po studiach będę mógł zdecydować, co dalej. Egzamin wstępny był wyzwaniem, bo o każde miejsce walczyło dziesięciu kandydatów. Zdałem i, nie czekając na wyniki, pojechałem na Wybrzeże, do dziadków, do Małgosi. W końcu było piękne lato, a tam plaża, morze, znajomi. W tym

samym czasie mój ojciec został służbowo przeniesiony do Warszawy, więc to na niego spadło heroiczne zadanie przedarcia się przez tłumy przyszłych studentów i sprawdzenie, czy ja też nim zostanę. Gdy telefonował do mnie, był dumny — nie tylko dlatego, że byłem przyjęty, ale i że zostałem wysoko sklasyfikowany.

Od października rozpocząłem studia. Zamieszkaliśmy z rodzicami na Żoliborzu, przy ulicy Kazimierza Promyka 5. Wielki gmach. Mój brat, Bogdan, został w Sopocie. Studiował na Wydziale Elektroniki Politechniki Gdańskiej. Kontynuował tradycję naszego taty. Ja nie miałem zainteresowań technicznych. Brat odwiedzał nas czasami w Warszawie, ale jeszcze częściej my jechaliśmy na Wybrzeże. Tam mieszkała przecież cała rodzina. Początkowo codziennie pisywaliśmy z Małgosią do siebie listy. Z czasem ja pisywałem coraz rzadziej. Potem wciągnęło mnie nowe życie — książki, kino, przyjaciele, nowe dziewczyny. Zresztą czas na studiach biegł tak szybko!

Przełom roku 1970 i 1971 to w Polsce czas wielkich protestów robotniczych. Koncentrują się głównie na Wybrzeżu. Martwię się o brata, który studiuje na politechnice w Gdańsku, ale także o rodzinę mieszkającą w Trójmieście. Są w oku cyklonu tych przełomowych wydarzeń. Przeżywamy z mamą i tatą, słysząc wieści o masakrze na wiadukcie nad dworcem gdyńskim. Stoczniowcy idący do pracy zostają bez powodu ostrzelani. Wielu ginie. Wymuszone przez protesty odejście zatęchłego, wypalonego systemu sprawowania władzy wraz z jego liderem Władysławem Gomułką daje wszystkim wielkie nadzieje. Rozpoczyna się era Edwarda Gierka. Gierek otwiera Polskę na świat, przewietrza. Czuję wokół siebie przypływ optymizmu, chęci pracy na rzecz zmian, nowego oblicza kraju. Wydaje się wówczas, że mamy szansę wyrwać się z zaklętego kręgu i zacząć budować rzeczywiście nową Polskę. Chcę w tym uczestniczyć.

Jeszcze jestem normalnym studentem. Chodzę do kina, uganiam się za dziewczynami, zdaję kolejne egzaminy. Ale gdzieś w tamtym momencie przechodzę drugi, bezpośrednio związany ze zmianami w kraju, okres dojrzewania. Zaczynam życie w życiu.

Na ostatnim roku studiów przygotowuję się do podjęcia pracy. Dostaję dwie możliwości pracy naukowej. Jedna pochodzi wprost z mego wydziału. Profesor Witold Czachórski, kierujący Katedrą Prawa Cywilnego, zaprosił mnie do swojego gabinetu i złożył mi oficjalnie propozycję pozostania na uczelni i rozpoczęcia pracy w jego katedrze. Podobną rozmowę przeprowadził ze mną pracownik naukowy Polskiej Akademii Nauk. Podziękowałem im obu serdecznie i odmówiłem. Nie

chciałem zostać teoretykiem prawa. Miałem inne plany, chciałem zarządzać dużymi zespołami ludzi, prowadzić negocjacje, podróżować. Spełnienie tych marzeń widziałem w handlu zagranicznym. Jest rok 1973 i możliwości takiej pracy były nieporównywalnie mniejsze niż obecnie. Przedsiębiorstw zajmujących się handlem zagranicznym nie było wiele. Po rozmowie z ojcem mój wybór padł na Metalexport. Zaniosłem swoje dokumenty do działu kadr i czekałem. Początkowo niewiele się działo, ale gdy ojciec porozmawiał ze swym serdecznym kolegą, panem Andrzejem Dyszym, sprawy ruszyły z miejsca. Pan Andrzej był zastępcą naczelnego dyrektora Metalexportu i szefem Biura Eksportu Obrabiarek. Znał mnie i gdy dowiedział się, że staram się o pracę w jego zakładzie, po prostu przyśpieszył obieg papierów. Zresztą od początku chciał, abym pracował właśnie w jego biurze. To mnie silnie zmobilizowało, postanowiłem, że jeśli dostanę tę pracę, zrobię wszystko, by udowodnić, że jestem tam, bo się naprawdę do tego nadaję, a nie dlatego, że mój ojciec znał dyrektora.

Tak, chciałem takiej pracy. Potrzebowałem wyzwań. A sektor handlu zagranicznego mógł je zaoferować. Częste podróże, kontakty z ludźmi z całego świata. To było po części spełnieniem moich marzeń. Ale tylko po części, bo dla mnie wówczas to jeszcze *nie było wszystko*. Moja osobista poprzeczka była ustawiona o wiele wyżej. A ten kierunek pracy, handel zagraniczny, był krokiem do spełnienia moich prawdziwych ambicji.

Wybiegając do przodu, powiem, że w pewnym momencie tej, już czasowo mocno zaawansowanej rewolucji gierkowskiej, skontaktował się ze mną ktoś, kto przedstawił się jako urzędnik Ministerstwa Przemysłu Maszynowego. Zaproponował spotkanie w kawiarni na MDM-ie.

— Ale ja pana nie znam. Jak się poznamy?

— Proszę się nie martwić. Ja pana znam doskonale — odparł.

— Dobrze. Będę na czas.

Gdy wchodzę po schodach (kawiarnia mieści się na pierwszym piętrze), już z daleka widzę mężczyznę siedzącego przy stoliku w pobliżu szatni. Podnosi się z miejsca i podchodzi do mnie. Witamy się. Siadamy w rogu sali. Zamawiamy kawę i zaczynamy rozmowę.

Kilka zdań na tematy ogólne i on przedstawia się jako oficer wywiadu. Mówi, że jestem idealnym kandydatem do pracy. Perfekcyjny angielski, szeroka wiedza, umiejętność nawiązywania kontaktów. Jeszcze niedowierzam, nie jestem pewien, czy dobrze słyszę. Ale tak jest: on składa mi propozycję podjęcia dodatkowych obowiązków na rzecz polskiego wywiadu cywilnego działającego w ramach struktur Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Czuję się poniekąd jak bohater książek, którymi do niedawna się zaczytywałem. Moja pierwsza myśl? Jestem wewnętrznie

poruszony. Wiem, że powiem: tak.

Ale mówię:

— Poproszę o dziesięć dni do namysłu.

Wychodzę i wcale nie mam ochoty ochłonąć. Moja młodzieńcza wiara, że młodość to siła, która zburzy najgrubsze mury, odnajdzie nowe idee i odwróci wszystko, co złe, rozkwita. Wszystkie marzenia życiowe dwudziestoparolatka zmierzały do takiej właśnie chwili: Tak, zostałem zauważony! Postrzegam oficerów wywiadu, bez względu na system polityczny czy nazwę państwa, jako elitarny klub. Mam szansę stać się jednym z niewielu. Będę mógł zmierzyć się z najlepszymi, nie wiem jeszcze, czy wygram, ale chcę tej konfrontacji, chcę tego spotkania. Chcę być najlepszy! Dostać szansę pracy, która wymaga przenoszenia gór, bo ja czuję, że jestem w stanie te góry przenosić. Od dzieciństwa marzyłem o ciekawej, nietypowej pracy! Nie usiedziałbym za żadnym biurkiem. A teraz naprawdę taką propozycję otrzymałem. Wówczas tak to postrzegałem. Dzisiaj, z perspektywy czasu, miewam momenty, w których zastanawiam się nad słusznością podjęcia takich, a nie innych postanowień i decyzji życiowych. Przypominają mi się rozmowy z ojcem, który na moje nawoływania do gwałtownych, często nieprzemyślanych zmian, reagował spokojnie. Mówił: „Rozumiem, że tak to widzisz, ale kiedy nabędziesz doświadczenia, pewnie dostrzeżesz i inne aspekty, które powinieneś wziąć pod uwagę”. Wtedy miałem młodzieńczy zapał, nie posiadałem jednak żadnego doświadczenia.

W jednej chwili myślałem o wszystkim naraz. O tym, że zawsze w historii wystawiali nas przyjaciele. Myślałem o naszych ukochanych sojusznikach — Francuzach, Anglikach, Amerykanach; o tym, jak jedni zostawili nas w trzydziestym dziewiątym, a drudzy sprzedali Stalinowi w Teheranie i w Jałcie.

Albo jeszcze wcześniej, gdy zrobili to samo w czasie wojny z Rosjanami w 1920 roku. Wtedy też, nie licząc małej grupki oficerów z Francji z generałem Weygandem na czele, zostaliśmy osamotnieni. Blokowali dostawy amunicji, zdecydowanie odmawiali pomocy w postaci przysłania oddziałów zbrojnych.

Ojciec zawsze mi powtarzał: „Nie oglądaj się na innych. Nie ma odpowiedzialności zbiorowej. Nie jesteś baranem w stadzie. Polska jest jedna i jest twoja”.

I w tamtej chwili czuję to jak nigdy wcześniej. Przypominam sobie wszystkich moich cichych bohaterów, w tym i z kręgu wywiadowców (rotmistrza Jerzego Sosnowskiego i jego wybitne, trudne do powtórzenia osiągnięcia w czasie pracy wywiadowczej na terenie Niemiec,

matematyków: Mariana Rejewskiego, Henryka Zygalskiego i Jerzego Różyckiego i ich fenomenalny sukces w złamaniu systemu kodów niemieckich, a także tajemnic maszyny szyfrującej Enigma) i nie myślę o tym, jak skończyli, tylko o tym, co zrobili dla kraju. Jesteśmy Polakami i musimy walczyć o swoje, bo nikt inny nam tego nie da.

Potem kolejne spotkania, podczas których przybliża mi warunki pracy. Zagrożenia. Oczywiście prosi o dyskrecję. Mam nawet przeczucie, że sprawdzają wśród moich znajomych, czy rzeczywiście jej dochowuję. Wśród blasków przyszłej pracy pokazuje mi życie, jakiego pragnie młody człowiek wychowany w pewnej monotonii PRL-u: podróże po świecie, pieniądze lepsze niż w państwowej firmie, zastrzyk adrenaliny. W naszych rozmowach nie ma walki ideałów socjalizmu z krwiożerczym kapitalizmem. Są to zaawansowane lata siedemdziesiąte i niestety trwa zimna wojna. Jasne, że nie widać jej na ulicy. Oczywiste, że każda ze stron rozwija własną, propagandową wersję jej przebiegu. Ale oficer, który zwraca się do mnie, mówi o faktach. Pokazuje mi — nie zdradzając żadnych tajemnic, wszak to wciąż tylko rozmowy wstępne — jak kojarzyć informacje. Jak je *czytać*. Pokazuje, że to, co obecnie rozgrywa się w polityce między mocarstwami, to pozór odprężenia. W naszych rozmowach wracamy do pierwszych lat sześćdziesiątych, do momentu, gdy w wyniku kryzysu kubańskiego świat stanął na krawędzi konfliktu jądrowego.

Potrzebujemy wiedzy, co w zakresie zbrojeń robią nasi przeciwnicy. Potrzebujemy wiedzy o technologii. Swojej wiedzy. *Samodzielnie* zdobytej. Własnej. Nie tej, która przyjdzie z Moskwy.

Podczas jednego ze spotkań oficer opowiada mi o przypadku pewnego naukowca, który wydatnie przyczynił się do utrzymania równowagi nuklearnej na świecie. Uważał on, że pozostawienie tajemnicy technologicznej związanej z produkcją bomby jądrowej wyłącznie po jednej stronie to igranie z ogniem, stwarza bowiem sytuację miażdżącej przewagi. Nie był jedynym, który w tamtym czasie myślał, iż tylko równowaga nuklearna może uchronić świat od wojny totalnej. Ale on akurat był tym, który miał dostęp do wiedzy. To oczywiście przykład z najwyższej półki, ale przekładając go niżej, zarówno wówczas, jak i po dziś dzień, duża część pracy wywiadu naukowo-technicznego koncentruje się na pozyskiwaniu szczegółów z zakresu najnowszych technologii. Zasada jest wciąż ta sama: nie dopuścić do powstania nadmiernego dystansu w rozwoju technologicznym, dystansu, który mógłby się okazać zgubny w skutkach. Trzeba pamiętać, iż wtedy, w latach siedemdziesiątych, kraje bloku wschodniego obowiązywało dosyć szczelne embargo w

zakresie sprowadzania z Zachodu nowych technologii, tak poszukiwanych przez przemysł. To stanowiło pole do działania wywiadu cywilnego. Moja część Departamentu I MSW, Wydział VI — sekcja wywiadu naukowo-technicznego, koncentrowała się na pozyskiwaniu informacji potrzebnych do rozwoju całego przemysłu elektronicznego i militarnego. Technologie wojskowe i zbrojeniowe były jedynie częścią tej pracy. Znaczące sukcesy odnoszono w zakresie farmacji, zdobywając między innymi informacje o technologii produkcji nowych leków, jak i na przykład — gotowe szczepy bakterii, później należało je już tylko odpowiednio hodować. Pomoc, jaką dostaje gospodarka państwa dzięki działalności wywiadu naukowo-technicznego i gospodarczego, jest bezcenna. Choć można ją, oczywiście szacunkowo, wyliczyć. Stawiając po stronie kosztów cenę wieloletnich badań naukowych, ekspertów, lat prób i eksperymentów związanych z wynalezieniem i wdrożeniem nowej technologii i porównując ją z kwotą, jaka jest przekazywana na potrzeby wywiadu, a przeznaczana na opłacenie kosztów pozyskania tej technologii… Proszę mi wierzyć, stosunek tych dwóch wartości jest niemal nieporównywalny. W innym wypadku nie byłoby potrzeby istnienia wywiadów technicznych i gospodarczych. Rachunek jest prosty, nawet dzisiaj. A wtedy, w latach siedemdziesiątych, skutkiem zimnej wojny, nawet gdyby któreś z państw bloku wschodniego chciało legalnie nabyć daną technologię, to po prostu nie mogło tego zrobić. Byliśmy całkowicie wyizolowani. Ale tylko formalnie. Sytuacja polityczna zmuszała do podejmowania ryzyka pozyskania technologii w sposób specjalny, poprzez wywiad. A po drugiej stronie zawsze znaleźli się chętni do sprzedawania informacji, nawet w krajach bogatego Zachodu. Na końcu jest po prostu człowiek i jego potrzeby finansowe. I czysto ludzka skłonność do nieustannego podnoszenia standardu życia. Ktoś był gotów sprzedać informacje, więc my byliśmy gotowi je kupić. Finansowo w tym zakresie wspomagał nas przemysł, bowiem to bezpośrednio dla niego pracowaliśmy. Ci, którzy interesują się tematyką związaną z wywiadem, doskonale zdają sobie sprawę, że choć mówimy tu o konkretnej sytuacji politycznej, to dokładnie te same zasady obowiązują i dzisiaj, gdy spadła żelazna kurtyna, gdy nie rywalizują ze sobą systemy polityczne. Przykłady tej działalności możemy z powodzeniem śledzić od starożytności.

Wtedy złożyłem przysięgę, że zachowam w tajemnicy wszystkie szczegóły i okoliczności związane z moim wejściem do służby, zwłaszcza szkoleniem i charakterem pracy. Dzisiaj nadal traktuję to zobowiązanie poważnie. Jeśli mówię, to tylko to, co w jakimś zakresie przestało być tajne. Nie jestem politykiem, bym mógł mówić, co chcę, co jest dla mnie korzystne w tej jednej chwili, by potem wypierać się tego albo zmieniać

zdanie, gdy wymagają tego okoliczności. Niektórzy mówią, że jestem śmieszny z tym swoim zasłanianiem się tajemnicą czy złożoną przysięgą. Być może ich świat tak się zdewaluował, że nic niewarte są dla nich i słowa, i przysięgi. Ale, choć mój osobisty świat nie raz legł w gruzach, wciąż spokojnie patrzę w lustro i nie wstydzę się konfrontacji ze sobą. Przysięgałem służyć Polsce. Nie partii. Polsce. I do dzisiaj, choć jestem na emigracji od czternastu lat, trzymam się tego.

Wracając jednak do chronologii mojej opowieści, to w dniu 1 września 1973 roku nadszedł mój pierwszy dzień pracy. Zgłosiłem się do działu kadr. Stamtąd wysłano mnie do Wydziału Koordynacji w ramach Biura Eksportu Obrabiarek. Miałem tam przeczekać jakieś dziesięć dni, aż pan Dyszy wróci z zagranicy i ostatecznie zdecyduje, do którego wydziału mnie przydzieli. Szefem był tam pan Romuald Kowalski, którego zapamiętałem jako serdecznego i rzutkiego człowieka. Mówiliśmy na niego: Romek. Przez pierwsze dni siedziałem przy biurku kogoś, kto był akurat w delegacji zagranicznej. Czytałem całe stosy regulaminów, okólników, pism. Normalna kolej rzeczy dla nowicjusza.

W tamtych dniach sporo rozmawiałem z jednym z pracowników, który opowiadał mi mnóstwo ciekawych rzeczy o przemyśle niemieckim. W tym samym pokoju, przy biurku vis-à-vis mojego, siedział jeszcze jeden pracownik. Nazywał się Leszek Chróst, był raczej milczący, zamknięty w sobie. Miał taki tik, nerwowy ruch głową. Pomyślałem wtedy, że praca tutaj najwyraźniej może być źródłem silnego stresu. Wtedy ledwie zarejestrowałem jego obecność. Później Chróst wyjechał do Helsinek i reprezentował interesy Metalexportu w całej Finlandii. Byłem tam służbowo kilka razy. Rozmawialiśmy, zaprosił mnie do domu, poznałem jego żonę. Traktowałem go neutralnie, bo był człowiekiem, którego trudno lubić, ale też i nie było żadnych powodów, by go nie lubić. Oschły, jakby ciągle wystraszony. Kiedy już na stałe pracowałem w Kalifornii, podczas jednego z pobytów w Polsce, u rodziców, zobaczyłem w telewizji film. O działalności szpiegowskiej Leszka Chrósta na rzecz Stanów Zjednoczonych. Aż przysiadłem, bo uznałem to za niesamowity zbieg okoliczności, że swoje pierwsze dni pracy spędziłem właśnie w jego towarzystwie. Wówczas nie wiedziałem, że to nie koniec zadziwiających zbiegów okoliczności, które mnie i Leszka Chrósta postawią naprzeciw siebie.

Chociaż miałem świadomość, iż Metalexport musi być miejscem pracy wielu osób związanych zarówno z wywiadem, jak i kontrwywiadem, nie spodziewałem się, że pierwsze dni pracy spędzę z jedną z nich.

Pan Andrzej Dyszy wrócił z urlopu i przydzielił mnie do Wydziału Eksportu Tokarek S-140. Jego szefem był Augustyn Szczepański, jeden z najciekawszych ludzi, jakich spotkałem podczas swojej pracy w Polsce. Otwarty, odważny, dowcipny i pełen niespożytej energii. Wciąż pamiętam jego odprawy z pracownikami: swobodna dyskusja o tym, co robimy, o naszych osiągnięciach i niedociągnięciach. Stwarzał podczas tych spotkań atmosferę, w której nie było miejsca na rzeczy niemożliwe. Dawał nam niesamowitą energię do pracy. Myślę, że był jednak niedoceniany, bo przy jego możliwościach mógł swobodnie kierować większą organizacją niż Wydział Eksportu Tokarek. Pan Augustyn wyznaczył mnie od samego początku do prowadzenia rynków skandynawskich. Bardzo szybko odbyłem kilka podróży na te „swoje rynki”. Po pół roku zostałem szefem sekcji Europy Zachodniej, a niedługo potem zastępcą szefa wydziału.

W tym czasie poznałem swoją przyszłą żonę. Pracowała w tym samym budynku, w którym mieścił się Metalexport, ale w firmie Kolmex. Najpierw widywałem ją na korytarzu. Potem szukałem jej wzrokiem wśród wielu przechodzących. Była bardzo ładna, nie sposób było jej nie zauważyć. W końcu szczęście się do mnie uśmiechnęło. Wsiedliśmy kiedyś do jednej windy. Basia. Nieduża blondynka, przy której mężczyzna zaczyna natychmiast myśleć o założeniu rodziny. Przypuszczam, że zakochaliśmy się w sobie jeszcze w tej windzie. Pracowałem, zarabiałem swoje pierwsze pieniądze. Wynająłem mieszkanie i zamieszkaliśmy tam z Basią. Chcieliśmy być razem w każdej możliwej chwili. A nie było ich tak wiele, moja praca łączyła się z ciągłymi wyjazdami zagranicznymi. Basia każdy mój dzień poza domem zamalowywała na czarno w kalendarzu. W tamtym czasie, od 1974 roku stworzyła „czarny kalendarz". Pobraliśmy się w styczniu 1975 roku.

Gdy Basia zakreślała kalendarz na czarno, jeździłem nie tylko po całej Europie Zachodniej, ale również do Azji i Ameryki. Moje życie było niezwykle intensywne. Także z powodu dwutorowego biegu, jaki został mu nadany. Byłem osobą pracującą pod tak zwanym przykryciem, w moim wypadku stał się nim Metalexport. Jednak z większością spraw musiałem sobie radzić sam, co jest też bezpośrednio związane z charakterem pracy — gdyby Departament I występował z oficjalnym pismem, mającym na celu ułatwienie Marianowi Zacharskiemu załatwienia czegokolwiek, prowadziłoby to do natychmiastowej dekonspiracji wywiadowcy. Oczywiście, jeśli tylko mógł, jeśli było to w jego zakresie — ułatwiał. A akurat w kwestii wyjazdów zagranicznych mógł. W owym czasie nikt nie wyjeżdżał na placówkę zagraniczną bez uprzedniej zgody Departamentu I.

Zaczęła rodzić się koncepcja utworzenia firmy i sprzedaży naszych obrabiarek w Stanach. Dobrym przykładem był Toolmex — już działający w USA oddział Metalexportu zajmujący się sprzedażą narzędzi. Mieścił się w Natick w stanie Massachusetts i w owym czasie już osiągał bardzo dobre wyniki sprzedaży. Zresztą Metalexport pracował wtedy przez swoje firmy już w wielu krajach europejskich: Belgia, Włochy, Skandynawia. Także Kanada. Ale USA to wyzwanie dla firmy, a dla mnie szansa, na którą czekam, szansa na zupełnie nową jakość w mojej pracy.

Zaczyna się proces rejestracji: początkowo firmy nazywającej się Mexpol, potem przekształconej w Polamco — Polish American Machinery Corporation w stanie Delaware, zanim to jednak nastąpi, udaję się w swoją pierwszą podróż do Stanów.

We wrześniu 1975 roku na pokładzie British Airways lecę do Kanady.

Na lotnisku w Toronto czekają na mnie panowie z Immigration i, nim zdążę pokazać paszport, prowadzą mnie do osobnego pokoju. Tam trzech dżentelmenów, którzy nie fatygują się nawet, by przedstawić choćby fałszywe nazwiska, przeprowadza ze mną rozmowę. Po co przyjechałem, z kim mam zamiar się spotkać, gdzie będę mieszkał. Mają wiele pytań. Najwyraźniej moje odpowiedzi są dla nich satysfakcjonujące, bo po półgodzinie podbijają mi paszport i mogę się udać na poszukiwanie swojego bagażu. Nie było to łatwe, bo w czasie gdy ci trzej panowie odpytywali mnie, ich koledzy sprawdzali zgodność moich odpowiedzi z zawartością walizki. Zaczynałem poznawać system pracy obcych służb od podszewki. Ale nie powiem, bym nie był na to przygotowany. Szkoda tylko, że dyrektor naszej firmy, pan Henryk Łuniewski, musiał tak długo na mnie czekać. W Kanadzie przez kilka dni rozmawiam z kierownictwem spółki polsko-kanadyjskiej reprezentującej interesy Metalexportu. Potem krótki lot do Chicago i dalej, do Los Angeles, gdzie ma siedzibę nasz główny importer i jednocześnie dystrybutor obrabiarek — firma Given International. Moja podróż to ważny etap przygotowywania pracy dla tworzonej spółki. Rozglądam się na miejscu, jak się sprawy mają. Od tamtego pierwszego pobytu dobrze się czuję w Stanach. Widzę nieograniczone perspektywy rozwoju dla Metalexportu. W każdym kanale telewizyjnym sprawozdanie z próby zamachu na prezydenta Forda.

Po powrocie do Polski dostaję propozycję ponownego wyjazdu do Stanów, tym razem na dłużej. Oczywiście, że chcę pojechać. Wiem już, że tam mogę naprawdę rozwinąć skrzydła — zresztą nie tylko w działalności na rzecz Metalexportu. Basia znów bierze do ręki czarny pisak, ale rozumie, że ta praca jest ważna nie tylko dla mnie, ale i dla nas. To było wyzwanie i zaszczyt. Mam dwadzieścia cztery lata i jestem najmłodszym pracownikiem w dziejach firmy delegowanym na stałe do pracy za granicą. Ona najlepiej wie, jak ciężko na ten awans pracowałem przez poprzednie „czarne dni”. Zresztą, uspokajam ją, jak tylko ustawimy tam pracę i urządzę się, choćby prowizorycznie, przyleci do mnie i zamieszkamy tam razem. We trójkę. Basia jest w ciąży.

Proces rejestracji spółki Polamco dobiega końca. Pod koniec listopada 1975 roku na świat przychodzi Małgosia, nasza pierwsza córka. W styczniu 1976 odlatuję do Stanów. Po drodze Bruksela i kilka dni rozmów w sprawie sprzedaży polskich maszyn, potem już lot, przez Londyn, do Chicago.

Przez trzy miesiące pracujemy w pomieszczeniach Konsulatu Handlowego w Chicago. Jest nas trzech — pierwszych pracowników Polamco (choć delegowanych jeszcze przez Metalexport). Przygotowujemy

materiały ofertowe, dzielimy Stany na rejony i ruszamy w drogę. Mnie przypadł w udziale Mid-West, obszar od Minnesoty do Zatoki Meksykańskiej. Podróżuję, spotykam się z dealerami i klientami. Początkowo problemem jest brak obrabiarek na składzie w USA. Tam trzeba towar dostarczać od ręki. Znaleźliśmy budynek, który miał zarówno część biurową, jak i obszerny magazyn. Znajdował się w Elk Grove Village, miasteczku, w którym swe siedziby miały wielkie firmy o światowej renomie, ale też i początkujący gracze. Polamco należało oczywiście do tej drugiej grupy. Widzieliśmy, że rynek nie jest łatwy, ale jego potencjał był nieograniczony i to dodawało nam energii.

Jeżdżę, poznaję ludzi i kraj wielkich kontrastów. Jak porównać Missisipi z Kalifornią bez szokujących dysproporcji? Trafiam do miasta Huntsville w stanie Alabama. Tam mieści się pierwsze centrum badań i kierowania rakietami. Niedaleko Huntsville, ale już na terenie Tennessee, mieszkają ludzie, którzy przybyli tu jeszcze z ekipą profesora von Brauna. Właściwie to już dorosłe dzieci tamtych wybitnych naukowców. Kultywują język niemiecki i tradycję kraju pochodzenia. Jeden z nich nawet żonę „sprowadził" sobie z Gdańska. Są dla mnie zaskakująco otwarci, serdeczni. Ale wyczuwam, że nie czują się tam jak u siebie. Choć większość z nich przyszła na świat w Ameryce, mentalnie są związani z ojczyzną rodziców. Mają tu dobrą pracę, pieniądze, ale czują się w jakimś sensie obco. Wiedziałem, że będę starał się wracać do nich w niedalekiej przyszłości.

Poruszam się swobodnie. Nikt mnie o nic nie pyta. Najwyraźniej wszyscy wychodzą z założenia, że skoro tu jestem, to mogę być. W końcu w Ameryce tylko Indianie są naprawdę u siebie. Reszta przybyła z różnych zakątków świata.

W tym czasie jesteśmy jeszcze na garnuszku firmy matki, czyli Metalexportu. Nasze diety, koszty podróży i hoteli pokrywane są z funduszu firmy. Mamy problemy z tak prozaiczną rzeczą, jak zakup biletów lotniczych. Otrzymujemy z centrali tzw. MCO (Miscellaneous Charges Order) opiewające na walutę rozliczeniową ustaloną między liniami lotniczymi, zwaną FCU. Nikt w Ameryce, z wyjątkiem pracowników linii lotniczych Delta, nie ma pojęcia, co to jest FCU, ani tym bardziej, jaka jest jego wartość w stosunku do dolara. Delta nie wszędzie lata. Zakup każdego biletu wymaga sporo wysiłku i talentu negocjacyjnego. Widząc bezradność pracowników w kasach lotniczych, proponuję, by liczyli 1 FCU jak 1 USD, choć w rzeczywistości wartość FCU jest wyższa. W ten sposób staram się przenieść dyskusję na poziom księgowych. Naprawdę nie mam czasu na takie sprawy. Ale wkrótce znajduję lepsze rozwiązanie: kupuję bilety w Delcie na jakiekolwiek trasy i

potem zamieniam je na bilety innych przewoźników zgodne z trasami, które muszę odbyć.

Powoli zaczynają się rysować zręby organizacji sprzedaży. Pozytywną cechą Amerykanów jest to, iż nie mają żadnych zahamowań związanych z krajem pochodzenia towaru, który jest im potrzebny. Nie przeszkadza im, że obrabiarki są produkowane za żelazną kurtyną. Owszem, czasami zdarzają się pytania z gatunku: „Czy na pewno ta maszyna obraca się w dobrą stronę?”. Ale to rzadkie sytuacje. Czasami wręcz odnoszę wrażenie, że fascynuje ich fakt kupienia czegoś, co pochodzi z kraju, który w oficjalnej propagandzie odmalowywany jest w czarnych barwach.

Po upływie trzech miesięcy wracam do Warszawy. Do domu. Jest maj, Małgosia już siedzi. Nie mogę się nacieszyć córką, Basią. Dyrektor Dyszy każe mi się natychmiast pakować i lecieć z powrotem do Stanów. Mam czas tylko na błyskawiczne wypełnienie formularzy na wyjazd wieloletni. A jest tego sporo. Dotyczą mnie i Basi, bo staramy się o zgodę na jej wyjazd z dzieckiem. Do tego stosy zaświadczeń, poświadczeń, oświadczeń, odpisów, podpisów i po kilka zdjęć. Zdążyłem i znów byłem na pokładzie samolotu lecącego do Stanów. Dalsza część formalności nie należała już do mnie, to domena innych służb. Robiły między innymi tzw. wywiad środowiskowy — czyli chodzenie po sąsiadach i wypytywanie o mnie i rodzinę. Ale nie spodziewałem się problemów. Gdy wyjeżdżałem pierwszy raz, w poprzednim roku, wiem, że były jakieś pomrukiwania w KC. Nie należałem przecież do partii. A do tego stara śpiewka zasłużonych, a może raczej, wysłużonych działaczy: taki młody?! Jednak w owym czasie nikt nie mógł wyjechać na placówkę zagraniczną bez zgody Departamentu I, więc jak się łatwo domyślić, pomrukiwania zostały szybko i sprawnie uciszone, a ja wyjechałem bez przeszkód. Teraz też się ich nie spodziewałem.

W Stanach zastałem już nowego dyrektora firmy — pana Stanisława Trzeciaka. Sprawy Polamco zaczęły się powoli układać. Oczywiście, nie bez drobnych problemów. Niektórym pracownikom nie odpowiadało, że będą mieli tak młodego szefa nad sobą. Warunki były amerykańskie, a mentalność polska. Ktoś poprosił o przeniesienie do kraju. Tak bywa w skupiskach rodaków. Poprosiłem prawnika Polamco, aby zajął się sprawą mojej wizy. Potrzebowałem wizy L1, która daje możliwość pracy i pobierania wynagrodzenia w Stanach. Wiza taka jest ważna przez dwanaście miesięcy, z tym, że przez pierwsze sześć jest wizą wielokrotną, a później jednokrotną i wówczas, chcąc wyjechać, trzeba każdorazowo aplikować o zgodę. Kiedy dostałem sygnał z Warszawy, że tam już mam zatwierdzony wyjazd na stałe, muszę tylko osobiście odebrać papiery, nie

mogłem wyjechać ze Stanów, bo... nie miałem wizy. Błędne koło. Prawnik rozkładał ręce i mówił: „Trzeba czekać”. Nie chciałem czekać, gdy mogłem już przywieźć rodzinę. Sam pojechałem do biura Immigration w centrum Chicago. W poczekalni pełnej ludzi zobaczyłem urzędnika z teczką pod pachą. Podchodzę do niego i mówię mu, jaki mam kłopot. A on na to: „Chodź ze mną”. Weszliśmy do pokoju. Spytał, jak się nazywam, po czym bezbłędnie z olbrzymiego stosu dokumentów, jakie zalegały na jego biurku, wyciągnął moje. Usiadł do maszyny i od ręki przygotował dla mnie dokument uprawniający do pracy w USA. Miałem szczęście. W firmie niedowierzanie, że załatwiłem sprawę na miejscu, dyrektor Trzeciak śmieje się i zgadza się, bym od razu pojechał do Polski po rodzinę. Tylko prosi o powrót w najkrótszym możliwym terminie. Muszę mu to obiecać.

W Warszawie załatwiam wszystko tak szybko, jak się da, i w październiku 1976 roku na pokładzie boeinga 747 amerykańskiej linii TWA, trasą przez Londyn, lecimy do Stanów. Małgosia ma dziesięć miesięcy, przez całą drogę śpi w czymś w rodzaju pudełka, które dla niej zamontowano, albo psoci, wyjmując słuchawki z uszu naszego sąsiada. Robi to z wielkim wdziękiem, więc ten reaguje wyłącznie uśmiechem. Na lotnisku okazuje się, że część z naszych bagaży zaginęła. Mówią nam, że z pewnością dolecą nazajutrz. Jednak znajdują się jeszcze wieczorem tego samego dnia. Basia się dziwi, ja domyślam się, że przeszły osobną kontrolę wybiegającą poza normalne procedury celne.

Mamy już wynajęte mieszkanie w Intl Village — kompleksie mieszkalnym w miasteczku Schaumburg. Pierwsze niezbędne zakupy, by dom mógł funkcjonować, i zaczynam pracę.

Już moje poprzednie przyjazdy do Stanów były intensywne. Ale teraz zaczęła się prawdziwa praca. Najpierw zostałem szefem sprzedaży na całe Zachodnie Wybrzeże. Do mojego regionu należał stan Kalifornia. Gdyby traktować go jak osobne państwo, zająłby szóste miejsce wśród światowych gospodarek pod względem produktu krajowego brutto. Samo Los Angeles, a właściwie okrąg sześćdziesięciu mil w ramach miasta, znalazłby się na jedenastym miejscu w tej samej statystyce. To tutaj, w północnej Kalifornii, mieści się legendarna Dolina Krzemowa. Zagłębie nowych technologii. Większość zakładów produkujących na potrzeby armii Stanów Zjednoczonych. To nieograniczony rynek zbytu dla naszych obrabiarek. I wymarzone pole do działania dla wywiadu naukowo-technicznego. W Los Angeles nie było ani polskich placówek, ani dyplomatów. Najbliższe polskie punkty na mapie mieściły się w San Francisco. Jedną z nich była Polska Izba Handlu Zagranicznego, reprezentowana przez dwóch pracowników, a drugą sklep Cepelii. Do

niedawna nawet polscy dyplomaci, gdy chcieli tu przylecieć, musieli występować o specjalną zgodę na lot z Waszyngtonu do Los Angeles. A i wtedy nie wolno było im korzystać z trasy bezpośredniej, aby lot nie przebiegał nad poligonami Nevady. Z punktu widzenia mojej pracy — i tej oficjalnej, i tej niejawnej — to ziemia obiecana. Ale musimy otworzyć tam oddział. Klienci Polamco oczekują, iż zarówno obrabiarki, jak i ludzie zajmujący się sprzedażą oraz serwisem technicznym, będą na miejscu. Rozmawiam z dyrektorem Trzeciakiem, pokazuję mu możliwości i tłumaczę, iż z doskoku nie zdobędziemy rynku. Przystaje na moją argumentację i pyta:

— Dobrze, ale kto to poprowadzi?

— Ja. Jeśli pan się zgodzi — odpowiadam.

Jesteśmy w Ameryce, więc pracujemy po amerykańsku: szybko, bez zbędnej zwłoki. Trzeciak zgadza się i w krótkim czasie wysyła mnie z misją stworzenia bazy w Los Angeles. Na miejscu pomaga mi Chet Schaeffer, straszy pan urodzony w Michigan, ale czujący się Polakiem, bo z Polski pochodzą jego rodzice. Ma własną firmę szlifierską, a w niej dużo polskich maszyn.

— Pamiętaj, jeśli wynajmiesz dom nad Pacyfikiem, a biuro w centrum Los Angeles, to i do pracy i z pracy będziesz jeździł pod słońce. Marian, strony świata są najważniejsze! — powtarzał mi, gdy szukałem mieszkania.

— Lepsze słońce niż wiatr w oczy! — odpowiadałem Chetowi, bo dla mnie, urodzonego i wychowanego nad morzem, pokusa zamieszkania nad oceanem była zbyt silna. Już czułem bryzę!

Mieszkanie znalazła mi żona Cheta. Cross Creek Village w Playa del Rey. Nieduże, ładnie położone osiedle, odległe o pięć minut jazdy samochodem od oceanu. Na jego terenie basen dla dzieci, basen dla dorosłych, korty tenisowe i klub. Kameralne, trzypiętrowe bloki. Szybko podpisałem umowę najmu z datą od 1 lutego 1977 roku.

Po powrocie do Chicago pakowanie. Początkowo plan jest taki, że najpotrzebniejsze rzeczy zabieram do samochodu i jadę, a gdy dotrę na miejsce (to kilka tysięcy mil!), Basia z Małgosią przylecą do mnie samolotem. A meble dojadą ciężarówką. Ale gdy załadowałem samochód, Basia spojrzała na opustoszałe mieszkanie, potem na mnie i zobaczyłem, że plany się zmieniły. Cóż miałem robić. Dopakowałem do samochodu kolejne „najpotrzebniejsze rzeczy”. Na miejscu obok kierowcy bagaże sięgały sufitu. Basia i Małgosia jechały z tyłu, ale w pozycjach leżących, bo nie było miejsca na nogi. Ruszyliśmy. W Chicago był środek zimy, mieliśmy około czterech dni jazdy przed sobą. Do ostatniej chwili analizuję trasy. Normalnie lepsza jest południowa, przez Teksas, Nowy Meksyk,

Arizonę. Tym razem prognozy pogody sugerują północną, przez Iowa, Nebraskę, Wyoming, Utah, Nevadę.

Pierwszy przystanek zrobiliśmy w Lincoln, w stanie Nebraska. Drugiego dnia zatrzymaliśmy się na noc w Rawlins, w stanie Wyoming. Trzeci dzień był krytyczny. Przejechaliśmy przez Góry Skaliste i gdy zatrzymałem się w okolicy Salt Lake City, żeby zatankować samochód, Małgosia uciekła z niego i odmówiła powrotu. W żaden sposób nie byliśmy w stanie zmusić dziecka, by wsiadło do swego więzienia. Postanowiliśmy odpocząć jeden dzień. Zresztą zmiana klimatu z zimy w Chicago na pełnię wiosny też odebrała nam siły. Przed nami były jeszcze setki mil. Kolejny dzień był widowiskowy, przejeżdżaliśmy przez stan Utah z urzekającymi, czerwonymi górami. Patrzyliśmy jak zahipnotyzowani. Potem Las Vegas, niczym oaza na pustyni, nie mogliśmy sobie odmówić pokusy zjedzenia lunchu w takim miejscu. Na nocleg zatrzymaliśmy się w niedużym mieście Barstow. Pokoje hotelowe mieściły się w skrzydłach obiektu, samochód parkowało się wprost przed swoim pokojem. Rano zmobilizowała nas do wyjazdu wyłącznie świadomość, że koło południa powinniśmy być na miejscu. Ostatni etap podróży. Jednak po mniej więcej godzinie zorientowałem się, że coś mnie uwiera. Sięgam do kieszeni, a tam klucz od pokoju hotelowego. W tej samej chwili zdałem sobie sprawę, że wyjechałem nie tylko z kluczem, ale i nie zapłaciłem rachunku za pobyt. Z najbliższej budki telefonicznej zadzwoniłem do sekretarki w naszej centrali w Chicago, Carole Jagielski. Obiecała, że natychmiast załatwi płatność czekiem. Klucz miał na wywieszce adres hotelu, wrzuciłem go do skrzynki na listy. Marzyłem, żeby ta podróż się skończyła.

Około południa dotarliśmy na miejsce. Kalifornia przywitała nas piękną pogodą. Temperatura powietrza oscylowała w okolicach 28 stopni. Gdy wyjeżdżaliśmy, tyle samo było w Chicago, tyle że poniżej zera. Szok termiczny sprawił, że wszyscy się rozchorowaliśmy. Najbardziej Małgosia. Miała wysoką gorączkę. Mieliśmy kłopot. Nie znaliśmy tu jeszcze nikogo, tym bardziej lekarza. Na dodatek system bankowy nie działał dość sprawnie i miałem problem z realizacją czeku. Pieniądze miały zostać odblokowane, ale za kilka dni. Żyliśmy za ostatnie drobniaki, jakie zostały nam z podróży. Priorytetem był zakup leków dla małej. Ale za to błogosławiliśmy każdą „niezbędną rzecz”, którą przeklinaliśmy w czasie podróży. Wszystko się przydało. Ciężarówka z meblami się spóźniała, spaliśmy na podłodze, jedliśmy przy barku w kuchni, ale byliśmy szczęśliwi. Piękna pogoda, ocean, egzotyczna zieleń. Bliskość. To wszystko sprawiało, że zachłystywaliśmy się życiem. Małgosia szybko doszła do siebie.

Mieliśmy trochę czasu, by rozejrzeć się po okolicy. Pierwszy rekonesans robiliśmy, zdając się na własną intuicję. Byliśmy tu nowi, to raz, i byliśmy pierwszymi Polakami z zielonymi paszportami[1], jacy pojawili się tutaj na stałe, a nie tylko przejazdem. Naturalnie w Los Angeles mieszkało wielu Polaków, ale byli to głównie emigranci. Wielu z nich poznałem i byli to w większości ludzie niezwykle zacni. Szczególną grupę wśród nich stanowili byli piloci RAF-u, którzy rozmaitymi drogami dotarli po wojnie do Kalifornii. Sporo było ludzi, którzy urodzili się w Stanach, nigdy nie byli w Polsce, a mimo to czuli się Polakami, bo stamtąd pochodzili ich rodzice lub dziadkowie. Dla jednych i drugich Polska była świętością. Nie lubili przymiotnika „Ludowa", ale, bez względu na ustrój, kochali swój kraj.

Na ich tle tak zwana nowa emigracja wypadała zdecydowanie mniej korzystnie. Ludzie ci byli często pełni nienawiści do kraju swego pochodzenia. Już nie mówili po polsku, a jeszcze nie zaczęli po angielsku. Często pod maską agresji ukrywali swoje frustracje z powodu trudności w znalezieniu się w nowym, odmiennym środowisku.

Początkowo pracowałem w domu. Poszukiwałem biura, które mógłbym wynająć, kontaktowałem się z dealerami, poznawałem nowych. Jak to w życiu bywa, trzeba mieć trochę szczęścia. Do mnie się uśmiechnęło, gdy poznałem Toma Walkera, właściciela firmy Rosemead Machinery. Tom był nie tylko dealerem sprzedającym obrabiarki, ale, co najważniejsze, niekwestionowanym autorytetem w tej dziedzinie. Każdy chciał sprzedawać ten asortyment, którym handlował Tom. Ci sprzedawcy, którzy nie mieli bezpośredniego dostępu do producentów maszyn, kupowali je po prostu od Toma Walkera. Tak się szczęśliwie złożyło, że Czesi, których obrabiarki Tom sprzedawał, nie byli w stanie dostarczyć mu na czas bardzo dużej tokarki. On potrzebował pilnie tej maszyny dla klienta, który nie mógł dłużej czekać. Zadzwonił do mnie i spytał, czy mogę mu pomóc. Mogłem. Mieliśmy na składzie w New Jersey obrabiarki firmy Poręba, o podobnych parametrach do tej, której szukał Tom. Nasza była nawet większa od czeskiej, ale zaproponowałem mu dogodne warunki finansowe i dogadaliśmy się. Dalej sprawy potoczyły się wartko. Zanim ta wielka maszyna dotarła na Zachodnie Wybrzeże, Tom złożył u mnie kolejne zamówienia na mniejsze obrabiarki. A w najbliższym wydaniu miesięcznika branżowego poświęconego obrabiarkom zamieścił swoje wielostronicowe ogłoszenie pełne zdjęć naszych maszyn. Lawina ruszyła. Rozdzwoniły się telefony z zamówieniami. Magia Toma Walkera działała. Pojawili się i inni dealerzy, którzy chcieli się przyłączyć. Zdawałem sobie sprawę z konkurencji, jaka panuje na tym rynku. Dogadałem się z Tomem, że kolejnych dealerów będę włączał po uzgodnieniu z nim. Chcieliśmy

uniknąć morderczej walki cenowej, tu nazywanej wprost prostytucją towaru. Wiedziałem, że z racji wielkości Los Angeles, trzeba działać przez kilka firm, ale zależało mi na zrównoważonym rozwoju. Poza tym w interesach obowiązuje lojalność, tym większa, gdy załatwia się je na słowo. Jak się okazało, ta strategia w pełni się sprawdziła.

Znalazłem pierwsze lokum dla swojej firmy w miasteczku Paramount, bardzo blisko kompleksu firmy Rockwell, w którym budowano promy kosmiczne. Dobra lokalizacja.

Miałem już szerokie grono klientów. Wśród nich zdarzali się ludzie bardzo osobliwi. Jeden z nich przyjeżdżał do mnie dwa razy do roku. Wysiadał z najnowszego rolls-royce'a „Silver Shadow" w stroju, delikatnie rzecz ujmując, roboczym. Nigdy nie widziałem go ogolonego, zawsze miał na sobie minimum pięciodniowy, nierówny zarost, a w ręku styropianowy kubek z kawą. Po krótkiej, luźnej rozmowie przechodziliśmy do składu maszyn. Podchodził do różnych obrabiarek, pytał o kilka szczegółów technicznych i wskazywał palcem te, które chciał kupić. Zawsze było ich kilka. Za pierwszym razem nie miałem pojęcia, jak uzgodnimy warunki. Zapytałem go, kiedy może zapłacić. On uśmiechnął się szeroko i odpowiedział, że zaraz. Poprosił tylko o fakturę pro forma, gdy moja sekretarka ją przygotowywała, zanurzył rękę w kieszeni i wyciągnął stamtąd pliki banknotów. Raz musiał zapłacić 50 albo 100 tysięcy dolarów. I zrobił to w ten sam sposób. Zaiste głębokość jego kieszeni była niezmierzona! A trzeba pamiętać, że w Stanach wyjęcie w supermarkecie banknotu studolarowego wywoływało u kasjerki panikę i prowadziło do nieuniknionego spotkania z kierownikiem sklepu. Wówczas płaciło się głównie czekami. Na odwrocie karty kredytowanej mieliśmy tzw. kartę gwarantującą. W ten sposób bank dawał gwarancję sprzedającemu, że posiadacz takiej karty jest osobą zaufaną i jego wypłacalność jest zagwarantowana przez bank, w moim wypadku był to Security Pacific National Bank. Tak więc w tych realiach ekstrawagancja gotówkowa mojego klienta była imponująca. Uzgadnialiśmy warunki dostawy, zwykle na dzień następny, i po jego wyjściu zamykaliśmy drzwi na klucz. Pakowaliśmy pieniądze i jechałem do banku, obawialiśmy się bowiem o bezpieczeństwo swoje i gotówki. W Los Angeles chętnych do szybkiego, nielegalnego zarobku nie brakowało.

Był to jedyny klient, któremu sprzedawałem maszyny bez pośrednictwa dealera. Trudno mu było odmówić. Poza tym było w nim coś tak oryginalnego, jak na warunki amerykańskie, że żal było tracić nie tylko okazję do zrobienia interesu, ale i możliwość spotkania się z nim i pogadania.

Chcąc mocno zaistnieć w branży obrabiarek, zgłosiłem udział firmy w wystawie, która odbywała się w Convention Center w Los Angeles. Byliśmy tam jedyną firmą zza żelaznej kurtyny, więc w sposób naturalny wzbudziliśmy spore zainteresowanie. Podchodziło do nas wielu Polaków, którzy nigdy w ojczyźnie nie byli, stanowili bowiem drugie lub trzecie pokolenie urodzone na emigracji. Odczuwali więź z krajem i chcieli koniecznie spróbować swoich sił, mówiąc po polsku. Czasami było to bardzo zabawne, ich język był ubogi, ale pomysłowość nieograniczona. Nie mogąc znaleźć słowa, używali zastępczych. W ten sposób obrus bywał, na przykład, pokrywką na stół.

Reprezentowali wiele ważnych firm, wśród nich te, które mnie interesowały w sposób szczególny: aeronautyczne. Z większością spotkałem się później przynajmniej raz, bo przychodzili do mnie, by z dumą potwierdzić, że dopięli swego — kupili polską obrabiarkę dla firmy, w której pracowali. Z niektórymi z czasem zaprzyjaźniłem się i spotykałem regularnie. Jednym z nich był pan Kazimierz Tarczyński. Urodził się w Stanach, ale jego rodzice byli żarliwymi polskimi patriotami, nawet imię, jakie mu nadali, świadczyło o tym (mało kto potrafił je tu prawidłowo wymówić). Pan Kazimierz nosił je z dumą i zawsze podkreślał, że nie będzie robił interesów z kimś, kto nie potrafijego nazwiska i imienia porządnie wymówić. A że w tamtym czasie był niezwykle cenionym przedsiębiorcą, fachowcy z firm aeronautycznych ćwiczyli prawidłową wymowę, drżąc przed każdym spotkaniem. Tarczyński miał zakład pokrywania krytycznych elementów twardym chromem, z najgłębszym szybem wśród tego typu w Stanach. Cieszył się wielkim szacunkiem przedstawicieli najważniejszych firm aeronautycznych. Pomagał mi w nawiązaniu kontaktów z nimi, bym mógł tam sprzedawać obrabiarki. Nie zdarzyło się, żeby ktoś odmówił po telefonie pana Kazimierza. Dla mnie był jak „złoty klucz”, który zawsze działał. Nigdy nie powiedziałem mu o moim drugim zajęciu. Nie było takiej potrzeby. Choć niezwykle mi pomógł, ułatwiając poznanie ludzi, którzy byli dla mnie szalenie interesujący, robił to pośrednio i bezwiednie. Nigdy nie zdarzyło się nic, co by mogło naszą przyjaźń wystawić na próbę.

Był eleganckim, starszym mężczyzną, chodziliśmy na wykwintne lunche, podczas których rozmawialiśmy o jego życiu i największej miłości — Polsce. Polsce, której przez długie lata nie widział. Raz tylko odbył podróż do kraju. Gdy obsługa samolotu LOT lecącego z Londynu do Warszawy oznajmiła przez głośniki wejście w przestrzeń powietrzną Polski w okolicach Darłowa, rozpłakał się. O swoich rodzicach nigdy nie mówił inaczej niż „mamusia” i „tatuś”. Zapraszał mnie do swojego domu nad

kanionem. Na spacer chodziliśmy z kijami, na wypadek spotkania z grzechotnikiem. Na półce z książkami miał kolekcję grzechotek odciętych tym gadom, z którymi spotkał się na terenie swojego kanionu. Jeździł cadillakiem z tablicą rejestracyjną czytelną tylko dla Polaków. Było na niej jedno słowo: CZUWAJ. Oczywiście tłumaczył to Amerykanom — BE ALERT. Byłem pod wielkim wrażeniem tego człowieka.

Po moim aresztowaniu dowiedziałem się od wspólnych znajomych, że był oburzony moją drugą działalnością. Nie mógł zrozumieć, że będąc człowiekiem (jak ponoć powiedział) tak dużego sukcesu w oficjalnym biznesie, zdecydowałem się na tę drugą działalność.

Start firmy w Los Angeles był naprawdę udany. Ale wymagało to ode mnie pełnego poświęcenia. W Stanach w interesach obowiązuje wiele zasad, najważniejsze są oczywiście te niepisane. A jedną z nich jest tzw. pierwsze wrażenie. Masz trzy minuty od poznania nowego człowieka i albo będzie twoim kontrahentem, albo nie. Trzeba w tej pierwszej chwili od podania sobie ręki zainteresować sobą, sprawić, by chcieli rozmawiać i słuchać. Nie reprezentowałem firmy giganta, światowego potentata, któremu się nie odmawia. Przyjechałem z Polski, gdzie funkcjonowała gospodarka socjalistyczna. Nikt nas nie uczył, jak pracować na rynku tak odmiennym od naszego. Ale to właśnie było wyzwanie, które mnie elektryzowało. Często działałem intuicyjnie, wykorzystywałem zainteresowanie, jakie budziłem jako człowiek „stamtąd". Nasze maszyny były konkurencyjne cenowo, ale nie w takim stopniu, by sprzedawały się od ręki. Musiałem przekonać klientów, że są dobre. I robiłem to.

Wyjeżdżałem z domu o 6 lub 7 rano. Jechałem pod słońce, jak mnie przestrzegał Chet, trzydzieści trzy mile do biura, budziłem się, lawirując na zakorkowanych *freewayach*, dociskając gaz, robiąc z tego porannego rajdu rodzaj sportu, rozgrzewki przed ciężkim dniem. Jeśli zostawałem na miejscu, wracałem do domu koło szóstej, siódmej wieczorem. Jeśli w planie miałem spotkanie z klientami gdzieś w okolicy, wracałem później, koło dziesiątej. Wtedy Małgosia już spała i spała rano, gdy następnego dnia jechałem do pracy. Basia czekała na mnie, a ja często byłem zbyt zmęczony, by z nią normalnie, serdecznie porozmawiać. Częściej słuchałem, niż mówiłem. Basia nie miała czasu, by się nudzić, w końcu opieka nad dwuletnią, żywą dziewczynką wystarczająco absorbuje. Może czasami mieliśmy trudności ze wzajemnym zrozumieniem. Mnie wydawało się, że zapewniłem jej wszystko, co potrzebne do wygodnego życia, a ona patrzyła na moją pracę jak na nieustanne spotkania z ludźmi, których jej brakowało. Zaczęła nawiązywać przyjaźnie wśród sąsiadów. Na

osiedlu był klub, w którym dość często organizowano spotkania i imprezy, jeśli tylko przyjeżdżałem do domu o normalnej porze, wyciągała mnie tam, żebym poznał ludzi. Początkowo nie zdarzało mi się to zbyt często. Nazywaliśmy Cross Creek Village „małym ONZ-etem", bo rzeczywiście społeczność sąsiedzka była międzynarodowa. Basia zaprzyjaźniła się z Brendą, która mieszkała obok nas. Pochodziła z Filipin, z dobrze sytuowanej rodziny. Do Stanów przyjechała, by studiować modę i tu poznała Michaela Heffrona, swojego męża. Mieli synka w wieku Małgosi, Seana, co szybko zbliżyło nasze rodziny do siebie, z czasem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Spotykaliśmy się wieczorami, jedliśmy wspólnie kolacje, w weekendy siedzieliśmy razem przy basenie, gdzie dzieci bawiły się w wodzie. Michael grywał w tenisa i gdy dowiedział się, że ja też, już mnie pilnował, bym mu towarzyszył na korcie. Zawsze lubiłem tenisa, nieźle grałem, a teraz był dla mnie dobrą formą odreagowania napięć wynoszonych z pracy. Kiedyś Michael wspomniał, że nasz wspólny sąsiad, Bill Bell, jest „szychą" w przemyśle aeronautycznym. „Geniusz, mówię ci, geniusz!". Dobrze zapamiętałem tę informację. Michael pokazał mi Billa z daleka, a ja zacząłem dyskretnie obserwować jego poczynania. Nie robiłem żadnych gwałtownych ruchów. Po prostu przyglądałem się, co Bill robi, gdzie chodzi. Zauważyłem, że podąża na boisko sąsiadującej z nami szkoły, by tam odbijać piłkę tenisową o ścianę. Upłynęło trochę czasu i gdy Basia wspomniała, że w klubie planowana jest impreza sąsiedzka, postanowiłem, że to będzie ten dzień. Moja żona była mile zaskoczona, że przełożyłem inne spotkania, by jej towarzyszyć.

Wieczory w Kalifornii są najprzyjemniejszą porą dnia. Ciepło, lekki wietrzyk. Wymarzone warunki na spotkania na świeżym powietrzu. Ludzi nie było dużo, a co najważniejsze, klimat tych spotkań nigdy nie był sztywny. Ktoś przychodził, wychodził, dzieci biegały za piłką, psy za dziećmi, gwar, śmiech. Mężczyźni mogli odreagować cały tydzień ciężkiej pracy, kobiety dni spędzane tylko w domu. Dla nich to była okazja do wyjścia. Ubierały się zwykle starannie, by przez tych kilka godzin poczuć się kimś więcej niż tylko żoną i matką. Bill przyszedł z żoną. Zauważyłem od razu jego krępą sylwetkę. Byłem zaskoczony, że jego żona jest od niego chyba o połowę młodsza. Nawet na pierwszy rzut oka widać było, iż nie jest typową Amerykanką, bo robiła wszystko, by na nią wyglądać. Miała ładną figurę trzydziestolatki, ciemne równo obcięte włosy i wielkie oczy. Starała się zwrócić na siebie męską uwagę, na mój gust zbyt przesadnie. Zresztą w ogóle nie była w moim typie. Ale nie to było ważne, ważny był jej mąż. Zostawiła go przy stole, a sama poszła nałożyć jedzenie. Widziałem, jak Bill łapczywie wychyla drinka. Znalazłem się przy

sałatkach i podałem jej talerz.

Odpowiedziała mi długim spojrzeniem mocno umalowanych oczu i rzuconym z uśmiechem:

— Rita!

— Marian...

— Ach, tu jesteś! — to moja żona nagle stanęła między nami, a za nią Brenda. Mógłbym się zdenerwować tak nieoczekiwanie przerwanym dobrym początkiem, gdyby nie nieoceniona Brenda, która natychmiast przyszła z serdeczną pomocą.

— To jest właśnie Rita Bell, o której wam opowiadałam. Też pochodzi z Europy jak wy. A tam siedzi Bill, jej mąż.

Rita Bell nie wyglądała na zachwyconą tłokiem, który się obok nas zrobił, ale nadszedł Michael, mąż Brendy, i jego pojawienie się poprawiło jej humor. Zakręciła się na pięcie, pokazując Michaelowi i mnie sukienkę mocno wyciętą na plecach.

— Chodźcie, chodźcie, musicie poznać mojego męża.

Pociągnąłem Basię za sobą.

Bill podniósł głowę, słysząc głos swej żony. Zobaczyłem zmęczoną twarz i podkrążone, lekko nieprzytomne oczy człowieka, który myślami jest zupełnie gdzie indziej. Jasna sportowa koszulka miała odjąć mu lat, ale tylko podkreślała jego ciężką sylwetkę sześćdziesięciolatka, który zbyt wiele czasu spędza za biurkiem. W ręku ściskał pustą szklankę po drinku. W jednej chwili stało się dla mnie jasne, że to dla niej, dla tej młodej żony, chodzi na tamto boisko i samotnie stara się przywrócić formę. Uścisnęliśmy sobie ręce. Przysiedliśmy się.

— Polacy! My z Ritą uwielbiamy Europę, bo tam się poznaliśmy — powiedział i w oczach zapaliły mu się iskierki czegoś, co było już dawno za nim. — Prawda, kochanie?

Pocałował Ritę w policzek, a ona przymilnie poklepała go po ramieniu. Zbyt przymilnie i chyba protekcjonalnie. Uśmiech, który powinna dołączyć do tego gestu, skierowała do mnie. Albo do Michaela. Wziąłem z ręki Billa pustą szklankę i powiedziałem:

— W Polsce zaczyna się znajomość od wspólnej wódki. A wiecie chyba, że nasz kraj słynie z najlepszych wódek na świecie. Schowałem tu w lodówce butelkę. Pozwólcie, że ją przedstawię!

Bill spojrzał na mnie z wdzięcznością. Basia ze zdumieniem. Idąc w stronę lodówki, myślałem tylko o tym, by moja żona nie wyartykułowała swego zaskoczenia. Ona świetnie wie, że nie znoszę wódki. Nie cierpię. Pijam ją tylko, kiedy muszę. Ale to właśnie była ta chwila. Bill przechylił szklankę, twarz mu się wypogodziła i powiedział:

— Marian, podobają mi się wasze polskie zwyczaje. Muszę się o nich więcej dowiedzieć!

I uśmiechnął się jak dziecko, któremu udał się dowcip.

Rozmawialiśmy swobodnie, o wszystkim i o niczym ważnym. Akurat tyle, ile się mówi przy pierwszym spotkaniu. Bill ożywiał się wraz z kolejnymi szklankami żytniej, potrzebował błyszczeć. Brenda opowiadała historię jakiejś wspólnej kolacji, gdy Bill, zamyślony i roztargniony jak prawdziwy naukowiec, zdjął pod stołem mokasyny. Atmosfera cudowna, drinki doskonałe, ale czas był na nich i Bill poprosił kelnera o zamówienie taksówki. Pożegnał się i poszedł. I dopiero w taksówce zorientował się, że jest bez butów. Zaśmiewali się z tego, a ja zapamiętałem także i ten szczegół, że Heffronowie płacili za tamtą kolację. Billowi największą przyjemność sprawiało, iż Brenda podkreślała z atencją: „naukowiec”.

Podczas tego pierwszego spotkania padła nazwa firmy, w której pracuje Bill: Hughes Aircraft. Nic nie brzmiało dla mnie bardziej obiecująco. Zrobiło się późno, Basia już drugi raz szeptała mi do ucha, że trzeba zwolnić sąsiadkę, która została przypilnować Małgosi. Ale wciąż szukałem tego jednego momentu. Heffronowie też się zbierają. Bellowie najwyraźniej nie.

— Chodź, Bill, pokażę ci, która butelka w lodówce jest polska, zaopiekujesz się nią godnie!

Chwytam się ostatniej szansy, nie będąc pewnym, czy coś w tej butelce w ogóle zostało. Bill podnosi się. Gdy jesteśmy sami, rzucam mimochodem:

— Och, pograłbym jutro w tenisa, ale nie z Michaelem, to za trudny zawodnik. Jest dla mnie za dobry, wyciąga mnie na kort, a potem rozbija w dwóch setach! — Michael byłby szczęśliwy, gdyby to słyszał. Graliśmy kilka razy i dawałem mu fory.

— A wiesz, że ja też trochę grywam! — ucieszył się Bill. — Właściwie to... dopiero próbuję. Ale nie bardzo mi idzie, a chciałbym trochę popracować nad sylwetką!

Poklepał się z westchnieniem po wydatnym brzuszku. Z niedaleka dochodził dźwięczny śmiech Rity.

— No to jak chcesz, to ci pomogę, podciągnę cię trochę. Chyba że mnie załatwisz tak jak Michael!

— Nie, Marian. Ja naprawdę dopiero zaczynam!

— Jutro?

— Nie, jutro nie mogę. Ale w środę kończę wcześniej pracę. Pasuje ci?

— Środa? Może być — mówię, choć wiem już, że będę musiał przełożyć dwa spotkania, żeby mi pasowało.

— Jesteśmy umówieni!

Wyjąłem mu butelkę wódki z lodówki i uścisnęliśmy sobie dłonie.

W domu Basia powiedziała ni stąd, ni zowąd:

— Wiesz, a ja nie lubię tej Rity!

W myślach chciałem dodać: „Ja też”. Ale na niczym mi bardziej nie zależało niż na rozwoju przyjaźni między Bellami a nami. Więc zamiast tego odpowiedziałem najłagodniej, jak potrafiłem:

— No wiesz, to pewnie fajna dziewczyna, tylko samotna, nie ma tu wielu przyjaciół, Bill całe dnie w pracy...

Basia spojrzała na mnie lodowato:

— A co ty wiesz o samotnych kobietach, których mężowie są cały dzień w pracy?

Boże, głupiej już nie mogłem. Musiałem z tego wybrnąć.

— Wiem, wiem. Znam taka jedną, ma na imię Barbara, i nieporównywalnie lepiej radzi sobie z tym... — mruczałem już Basi do ucha, szukałem zapięcia jej sukienki — ...z tym wielkim problemem społeczności Cross Creek Village.

Już śmiała się do mnie, jak zawsze, gdy nie umiałem dać sobie rady z jej sukienką. Gdy udawałem, że nie wiem, jak to się robi.

Bill grał kiepsko. Przekonałem się o tym w środę, 14 grudnia 1977 roku, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się na korcie. Właściwie musiałem mu pokazać wszystko, jak trzymać rakietę, jak brać zamach, jak się ruszać. Ale miał wiele zapału. Bardzo chciał grać. A ja bardzo chciałem zagrać z nim.

Po tenisie zaprosiłem go do siebie na drinka. Nie odmówił. Posiedzieliśmy, pogadaliśmy. O pracy, o życiu. Wspomniał, że kiedyś żyło mu się naprawdę dobrze, teraz ma spore problemy. Oczywiście finansowe, bo żona — jak podkreślił — to wspaniała kobieta. Wypił jeszcze jednego. Odprężył się. Wrócił do domu w świetnym nastroju. Umówiliśmy się na kolejne spotkanie na kortach.

Od pierwszej chwili, gdy go poznałem, miałem do niego mnóstwo cierpliwości. Wiedziałem, że nie muszę się śpieszyć. Nic nie mogło popsuć mojego planu. Potrzebowałem tylko czasu. Naturalnego, swobodnego rozwoju naszej znajomości.

W czasie swojej pracy na „cichym froncie” w Stanach, nigdy nie uciekałem się do żadnych drastycznych metod. Żadnego szantażu, nacisku. Wiem, że te metody stosuje się niekiedy w wywiadzie, ale to nigdy nie były *moje* metody. Długo szukałem odpowiednich ludzi. A potem stwarzałem sytuacje, w których moje potencjalne źródło czuło się komfortowo. W których drugi człowiek sam *chciał* pracować dla mnie. Tak

było za każdym razem. Jeśli wyczułem po drugiej stronie niechęć, opór do współpracy, wycofywałem się i zawsze mogłem z takim człowiekiem nadal pozostać w kontakcie, bo nie stało się nic, co by tę znajomość dyskredytowało.

W przypadku Billa wiedziałem, że pewne słowa nigdy nie mogą zostać wypowiedziane.

Jak czas pokazał, miałem całkowitą rację.

MICE — to skrót sformułowany przez Amerykanów, by określić cztery główne powody, dla których ludzie decydują się na zdradę swojego kraju:

M — money (pieniądze),

I — ideology (ideologia),

C — coercion (przymus),

E — ego.

Ostatni z nich jest najpojemniejszy. Mieści się w nim poczucie odrzucenia, niedowartościowanie, chęć „bycia kimś". Czasami tak zwykłe rzeczy, jak brak spodziewanego awansu w pracy czy nawet zemsta za pominięcie w podwyżce.

W wypadku Billa od początku sytuacja była jasna: potrzebował pieniędzy. Zdradzał wszystkie objawy dyskomfortu życia wywołanego brakiem gotówki. Wspominał o tym od początku, dodając mimochodem, że płaci wysokie alimenty swojej byłej żonie, że ma kłopoty z urzędem podatkowym. Ale jednocześnie wiedziałem, że jest wrażliwym facetem. Z takimi trzeba ostrożnie. Nie można dopuścić do sytuacji, w której warunki „nowej pracy" ich przytłoczą, bo to może być początek końca. W sytuacji skrajnej mogą puścić im nerwy. Do tego Bill był typem naukowca, którego fascynowała praca. W Hughes Aircraft był ceniony, ale nie aż tak, jak potrzebował. Zresztą, gdyby naprawdę doceniali jego talent i możliwości, skierowaliby go do projektów indywidualnych i — co tu kryć — zdecydowanie lepiej płacili.

Była połowa grudnia 1977 roku. Po naszym pierwszym meczu spotkaliśmy się jeszcze na kolejnym. Gdy zaprosiłem go do domu na drinka, ucieszył się. Zwierzył mi się, że chciałby zabrać Ritę na jakieś ekskluzywne przyjęcie sylwestrowe, ale kiepsko u niego z pieniędzmi.

— Bill, a może poszlibyście z nami na bal na „Queen Mary"? Mam cztery zaproszenia, moja firma płaci, a nie bardzo mamy z kim iść. Michael i Brenda wyjeżdżają, Basia już się martwi, że sami nie pójdziemy. Bill, proszę, wybawiłbyś mnie z kłopotu.

— Naprawdę? Na „Queen Mary"? Serio, Marian? — jeszcze niedowierza, ale już się cieszy.

Oczywiście przyjęli zaproszenie. Płaciła moja firma, ale nie ta, w której pracowałem oficjalnie. Bawiliśmy się doskonale. Widziałem, jak Bill odżywa, jak bardzo chce cieszyć się życiem. Rita też czuła się jak ryba w wodzie. Udało jej się nawet zaskarbić sympatię Basi.

Zresztą moja żona była w wybornym humorze. Niedawno odkryła, że jest w ciąży.

Od lewej: mój brat Bogdan, mama i ja, rok 1957.

W lesie w Sopocie, rok 1968.

Ze Zbyszkiem Jurewiczem (z prawej), przyjacielem mojego brata i moim, rok 1968.

W klasie maturalnej, rok 1969.

Z mamą i Małgorzatą, moją szkolną, wielką miłością; Gdynia, wystawa lalek Anny Smolany.

Czesława i Wacław Zacharscy, moi rodzice. Zdjęcie zrobione w trzydziestą rocznicę ślubu, w 1977 roku.

Małgosia, moja starsza córka. Październik 1976 roku, kilka dni po naszym przylocie do Chicago. Miała wówczas 10 miesięcy.

Gdy o północy otwierałem szampana, pomyślałem, że chcę, aby to był rok Billa i mój. 1978.

Od tamtej chwili zaczęliśmy prowadzić intensywne, wspólne życie towarzyskie.

Systematycznie graliśmy w tenisa, a w przerwach dużo rozmawialiśmy. Potem szliśmy do mnie na drinka. Bill od naszego pierwszego spotkania zapałał wielką atencją do polskiej wódki. Pił ją w wysokich szklankach, tylko z lodem. Towarzyszyłem mu, ale choć znałem wagę tych spotkań, nie chciałem się katować, więc do swojej szklanki lałem wodę jedynie z symbolicznymi kroplami alkoholu. Bill coraz częściej opowiadał mi o swoich kłopotach. Coraz więcej dowiadywałem się o jego rzeczywistej, skomplikowanej sytuacji finansowej. Nieraz wtrącił, że miał już różne pomysły na wyjście z tarapatów, ale się nie powiodły, a przecież zrobiłby wiele, by zdobyć pieniądze. Rozmawialiśmy o wszystkim, wspominał swoje wojenne przygody. Widząc jego zainteresowanie historią, podarowałem mu komplet pamiętników Winstona Churchilla. Potem książkę Jamesa A. Michenera „Poland”. W końcu „Bitter Glory” — historię Polski napisaną przez Richarda M. Watta. To stało się okazją do rozmowy o trudnych dziejach mojego kraju, o jego wiecznym problemie położenia między dwoma gigantami, Niemcami i Rosją. Zwróciłem mu

uwagę, że z tego powodu Polacy są szczególnie wyczuleni na punkcie zagadnień związanych z bezpieczeństwem, uzbrojeniem, armią. Tamta rozmowa miała wielkie znaczenie. Bill w pełni rozumiał, że Polska to kraj szczególny. Narodziło się w nim współczucie dla naszych historycznych zaszłości.

Bill czuł się przy mnie coraz swobodniej, zdarzało się, gdy graliśmy w tenisa, że w przerwach zaczynał mi opowiadać o swojej pracy, o problemach technicznych, które ma rozwiązać. To go nieustannie nurtowało. Za pierwszym lub drugim razem, gdy zorientował się, że opisuje mi projekt, nad którym pracuje, przerwał i powiedział:

— Marian, przepraszam! Nie dość, że zawracam ci głowę swoimi problemami, to przecież w ogóle nie powinienem tego wszystkiego mówić, przecież ja pracuję nad programami poufnymi! Nawet tajnymi!...

— Nie ma sprawy, Bill. Lubię cię słuchać, bo jesteś świetnym facetem, masz głowę jak komputer! Zawsze mam nadzieję, że przy tobie podszlifuję mój techniczny angielski, bo na temat obrabiarek potrafię powiedzieć wszystko, ale dalej, to wiesz, różnie bywa.

— No dobra, ty pracujesz nad moją grą w tenisa, ja mogę popracować nad twoim fachowym językiem!

Słuchaj, à propos spraw fachowych, jest jedna związana z obrabiarkami...

— Marian, ty ciągle o obrabiarkach!

— Nie, czekaj. Ma dla ciebie pewną propozycję.

— Ale ja się nie znam na obrabiarkach.

— Nie musisz się znać, żeby zarobić.

— Co masz na myśli?

— Coś mam, ale pogadamy przy kolacji. Zapraszam ciebie i Ritę. Jutro, pasuje ci?

— Może być, wiesz, ja teraz wieczory mam wolne.

Jedziemy do dobrej restauracji, bo wiem już, że Bill i Rita to lubią. Proszę go o pomoc w kontakcie z wicedyrektorem Hughes Aircraft odpowiedzialnym za zakupy sprzętu. Chciałbym mu pokazać ofertę naszych obrabiarek. Oczywiście obiecuję Billowi prowizję, zaznaczając, że przy cenach tych maszyn są to ładne pieniądze. Ricie świecą się oczy, Bill mówi, że jeśli cokolwiek uda mu się załatwić, zrobi to z czystej przyjaźni dla mnie.

Krótko potem dzwoni, że ma dla mnie wiadomości.

Znów zapraszam ich na kolację. Bill po prostu zorientował się, jakie maszyny kupują u niego w zakładzie, jakich firm, jakie parametry. Telefon do wicedyrektora Hughes Aircraft obiecał następnym razem, teraz ma tylko

taki oficjalny, do sekretariatu, wiadomo, taki to i ja mogę wziąć z książki telefonicznej. Jestem mu niezmiernie wdzięczny. Gdy nasze żony idą do toalety, wyjmuję 200 dolarów i daję mu. Bill patrzy z niedowierzaniem, kręci głową, że to niepotrzebne, że on robi to dla mnie, z sympatii, ale bierze pieniądze. Dbam o jego dobre samopoczucie, mówię:

— Mam fundusz reprezentacyjny. Nasza firma jest mała, wchodzi na wasz rynek, zależy nam na każdym dobrym kontakcie. A informacje, u kogo kupuje potencjalny klient, to w biznesie bezcenne, uwierz mi, Bill.

Wierzy mi. Chowa pieniądze, bo Rita i Basia już wracają.

Gdy jakiś czas później przynosi informację, iż umówił mnie na telefon z tym wicedyrektorem, robię z tego święto. Znów zapraszam ich na kolację i jak poprzednio, gdy jesteśmy sami, daję mu 200 dolarów. Nie ociąga się, bierze.

Jeśli idziemy do restauracji i rozmawiamy o nowych kontaktach w związku z obrabiarkami, biorę rzeczywiście rachunki na Polamco. Ale powoli zaczynam się z nim spotykać i w innych sprawach. Spokojnie dążę do drugiego celu. Wtedy płacę z własnej kieszeni. Rozliczę to później z funduszu operacyjnego Rezydentury albo w trakcie pobytu w Polsce. Z amerykańską służbą skarbową nie ma żartów. Muszę dbać o kontakt z Billem, pielęgnować go i zasilać, ale muszę też dbać o interesy Polamco. Nie chcę kłopotów w razie jakiejkolwiek, rutynowej kontroli.

Bill zaczyna coraz więcej mówić o swojej pracy. Dostał w końcu nadzór nad nowym programem i pracuje nad jego wdrożeniem. Jest tak zaabsorbowany, że tylko o tym myśli. I coraz częściej mówi. Czasami na tyle szczegółowo, że po spotkaniu idę do domu i natychmiast zapisuję to, co usłyszałem. Małe notatki, czytelne tylko dla mnie. Pracuje w firmie, która produkuje najnowsze technologie zbrojeniowe. Każdy drobiazg, o którym mówi, jest ciekawy. Zwłaszcza że zbliża się termin mojego wyjazdu do Polski, chcę jak najwięcej informacji od Billa przekazać w Warszawie. Raz czy dwa proszę go o dokładniejsze wytłumaczenie jakiegoś zagadnienia, o którym opowiada. Tłumaczę się słabością technicznej znajomości języka. Cierpliwie mi wyjaśnia. Potem mimochodem mówię z niekłamanym zachwytem, że to genialne rozwiązanie i że polski przemysł wiele by dał, by mieć takich specjalistów. Bill cieszy się z komplementu. Po jednym z takich spotkań, gdy tłumaczy mi działanie radaru i gdy wspominam o polskim przemyśle, wsuwam mu kolejne 200 dolarów do pokrowca na rakietę tenisową. Wiem, że tylko udaje, iż tego nie widzi. Ale ani on, ani ja niczego nie komentujemy. A przy kolejnym spotkaniu widzę, że chciałby coś powiedzieć, że nie wie, jak zacząć, więc mówię, iż to za lekcję trudnego języka technicznego. A on na

to:

— Marian, gdybym jeszcze kiedyś mógł ci jakoś pomóc...

— Wiesz, Bill, dużo myślałem po naszym poprzednim spotkaniu. Nasz przemysł naprawdę mógłby skorzystać na wiedzy takiego naukowca jak ty.

— Tak uważasz? — Bill jest wyraźnie ucieszony. — A co dokładnie mógłbym robić?

Nadchodzi czas na konkrety. Ale mimo jego zapału wcale nie wiem, czy to już odpowiedni czas. Właśnie z tego powodu. Muszę go lekko ostudzić.

— Jadę w przyszłym tygodniu do Polski, mam spotkanie ze swoimi dyrektorami, porozmawiam z nimi o tym, jeśli się zgodzisz.

— Oczywiście. A kiedy wracasz? — jest niecierpliwy. Zdaje się, że jego apetyt na szybkie pieniądze rośnie.

— Za dwa tygodnie będę. Od razu się spotkamy.

Lecę z Basią, to pewnie jej ostatni wyjazd do Polski w najbliższym czasie. Spodziewamy się przecież drugiego dziecka. Nie jestem pewien, czy podróż samolotem w jej stanie to dobry pomysł. Ale ona koniecznie chce się spotkać z rodzicami, zresztą ma tak zmienne nastroje, że zostawianie jej samej w Los Angeles jest równie kiepskim rozwiązaniem. A ja nie mogę odwołać wyjazdu. Jest zbyt ważny z powodu Billa Bella. Zwykle latam co trzy miesiące. W Polamco nikogo to nie dziwi, choć jestem najczęściej kontaktującym się z Metalexportem pracownikiem. Ale jestem też niekwestionowanym liderem w sprzedaży obrabiarek. Wszyscy uznają, że to naturalne. Tym razem jednak, poprzez Rezydenturę mieszczącą się w Stanach, sam proszę Centralę Wywiadu o przyśpieszenie spotkania. Wiem, że Bill jest tuż przed „rozwiązaniem” (niczym kobieta w ciąży — tak mi się wtedy wszystko kojarzyło). Muszę więc z Centralą uzgodnić warunki pracy z Billem. W takich nagłych sytuacjach załatwiają to przez Ministerstwo Przemysłu Maszynowego. Ważny urzędnik ministerialny (pracujący oczywiście na dwóch etatach, w tym jednym tajnym) spotyka się z dyrektorem Metalexportu i prosi go o wystosowanie do Polamco stosownej prośby o przyjazd pana Zacharskiego do Warszawy w celu dokonania niezbędnych ustaleń dotyczących sprzedaży w Stanach. Wszystkie sprawy związane z moją drugą pracą są traktowane niezwykle poufnie. To reguła w pracy wywiadu, by jak najmniej osób wiedziało o sprawie. Działa to w obie strony. Ja także nie wiem o innych prowadzonych na terenie Stanów działaniach. Tylko tyle, bym nie wszedł w drogę innemu wywiadowcy. Tą koordynacją zajmuje się już Centrala. W ten sposób, jeśli któremuś z nas noga się powinie, wywiad traci tylko jednego człowieka, bez zagrożenia dla następnych. Wiele przyziemnych szczegółów dotyczących naszej pracy jest kłopotliwych. Ale już się

przyzwyczaiłem. Na przykład sprawa wynagrodzenia.

System jest taki, iż będąc oficerem wywiadu, przysługuje mi w kraju wynagrodzenie. Jest ono o jakieś dwadzieścia procent wyższe niż to, które otrzymuję w Polamco. Więc albo oddawałem całe swoje wynagrodzenie z firmy, przekazując je na specjalne konto wywiadu, a oni mi w zamian przekazywali moje wynagrodzenie, albo też dopłacali tylko różnicę, wyrównując pensję z Polamco do tej, która przysługiwała mi z tytułu pracy dla Departamentu. Nie pobierałem dwóch wynagrodzeń.

Po przylocie spotykam się w lokalu konspiracyjnym z moimi przełożonymi i ze Zdzichem — moim oficerem prowadzącym. Relacjonuję im sprawę Billa. Oczywiście są zainteresowani. Im także Bell wydaje się kandydatem idealnym. Poważne tarapaty finansowe, młoda żona, której musi zapewnić dostatnie życie. Jednocześnie rozmawiamy o potencjalnych zagrożeniach. Bill pracuje w firmie zabezpieczanej przez kontrwywiad amerykański. Mam być uważny. I jak najszybciej postarać się o jakąś dokumentację od Billa. Przenieść współpracę z informacji ustnych na papiery. I nie zapominać o pokwitowaniach. Żeby Bill *koniecznie* kwitował u mnie odbiór pieniędzy.

— Wiesz, Marian, księgowość...

Wiem. Wiem.

Potem zapraszają mnie na kolację do Bazyliszka na Starym Mieście. Właściwie to kolacja jest symboliczna, na stole nie brakuje wódki. Mój oficer prowadzący, zastępca dyrektora Departamentu I, Jerzy Cześnik, i niejaki Sergiusz, szef Wydziału VI.

— No, panowie, wielki sukces trzeba opić!

— Na zdrowie!

— Na zdrowie!

— E tam, wielki sukces to trzeba porządnie opić!

— No to chlup!

— Święte, za przeproszeniem, słowa!

— No to za powodzenie!

— A teraz na drugą nóżkę!

— Chyba na czwartą?

— Ty mi, kolego, tu nie licz, matematyk, widzicie go, się znalazł! Weź mu polej, bo mnie denerwuje...

— A ty, Marian, co się ociągasz? Weź się napij porządnie jak chłop, bo może się okazać, że ty się do pracy w służbach nie nadajesz!

— He, he, he!...

— A w tej ich cholernej Ameryce, to co oni tam piją?!

— Wóde rude, łyski piją, świństwo jak mało co, brzydzę się takim

imperialistycznym alkoholem.

Szczerze? Ja też się brzydzę. Ale nie whisky.

Siedzę, wychylam z nimi. Kątem oka patrzę na mojego oficera prowadzącego, czuję, że mnie rozumie. On zna mnie najlepiej, wie, że postawa Sergiusza jest dla mnie nie do zaakceptowania, chyba widzi, że nie mogę przestać myśleć: „Co ja tu, kurwa, robię?! Tylu jest utalentowanych, młodych, otwartych na świat ludzi w tej organizacji, a mnie musiał trafić się niejaki Sergiusz jako pryncypał".

Uspokaja mnie wzrokiem, zresztą ja siebie też, że taki polski obyczaj. Niech im będzie.

Najważniejsze, że rejestrują Billa w Centrali Wywiadu jako źródło informacji. Oczywiście pod kryptonimem. „Lambda". To potrzebne, by któraś z innych służb go nie przejęła. Trzeba też sprawdzić, czy się już gdzieś wcześniej nie pojawił w papierach. Nie. Wszystko w porządku. Mam nad nim pracować. Mozaikowa robota. Składanie wszystkich informacji w całość. Najważniejsze to próba ustalenia faktycznych długów Billa. Dzięki temu dowiemy się, z jakim oddaniem może dla nas pracować. I ile będziemy mu płacić. Bezwzględne realia tej pracy: jeśli zbyt szybko upora się dzięki naszym pieniądzom ze swoimi problemami, może stracić zainteresowanie współpracą. Już trochę go poznałem i wiem, że długi to jedno, a chęć życia na wysokim poziomie to drugie. I imponowania młodej żonie. I apetyty tej żony. Wiem, że jak Bill raz posmakuje pieniędzy, nie będzie chciał odciąć się od źródła. Ale oczywiście sprawdzę jego zadłużenie. Omawiamy jeszcze kwestie dalszych kontaktów, przepływu informacji. W jednym z lokali konspiracyjnych spotykam się z technikiem, który pokazuje mi, jak obsługiwać nowy film, pozyskany dzięki dobrej współpracy od służby NRD-owskiej. Niemcy stosowali go przy najważniejszych sprawach. Był to film do kamery filmowej, dlatego można było zrobić na nim około 1800 zdjęć. To był duży postęp, bo dotychczasowe aparaty dawały nam szansę na 36-60 zdjęć. Klisza była umieszczana w oryginalnej kasecie kupowanego filmu firmy Agfa czy Kodak. Przygotowywano to tak, że pozostawiano oryginalną taśmę, mniej więcej 1,5 m na początku i na końcu szpuli. Między te odcinki wklejano film specjalny, o dużej rozdzielczości, odpowiedni do fotografowania dokumentów. Aby utrudnić zadanie FBI, miałem kupować w Los Angeles kasety z filmami firmy Kodak, przesyłać je do Centrali, a oni w ciągu kilku dni otrzymywali z NRD już w pełni przerobioną wersję. Skoro film pochodził ze sklepów w Los Angeles, nie można było w żaden sposób udowodnić, że te konkretne filmy mają coś wspólnego z Polską czy też z NRD. Takie same filmy stosował wywiad Markusa Wolfa w pracy ze

swoim genialnym źródłem uplasowanym w bezpośredniej bliskości kanclerza Willy'ego Brandta. Technik pokazał mi, jak najlepiej przesuwać film do pozycji gotowej do filmowania dokumentów, aby przypadkowo nie urwać delikatnej kliszy. Uzgodniliśmy wymagania dotyczące oświetlenia i odległości od papierów, które będę fotografował. Dostałem jednocześnie pieniądze i polecenie zakupu kamery filmowej z możliwością wykonywania zdjęć poklatkowych. Gdy wszystko zostaje dopięte na ostatni guzik, wracamy z Basią i Małgosią do Stanów.

Po powrocie zastajemy niespodziankę. Nasz domowy telefon jest głuchy. Dzwonię od sąsiadów do firmy telefonicznej. A jej pracownica dziwi się, dlaczego zgłaszam pretensje, skoro sam prosiłem o wyłączenie telefonu i przesłanie ostatniego rachunku na adres w San Diego. Teraz to ja się dziwię. Proszę, żeby sprawdzili jeszcze raz. Podają mi informację, że 14 lutego 1978 roku zadzwonił do nich pan Zacharski i wydał dyspozycję zlikwidowania telefonu. Czyli w czasie, gdy byliśmy w Polsce.

Przywracają mi linię, uzgadniam, że mój nowy numer będzie zastrzeżony. Jest dla mnie oczywiste, że dla instytucji typu FBI nie będzie żadnym problem pozyskanie tego numeru. Basia się niepokoi. Tłumaczę jej, że jesteśmy tu jedynymi Polakami przebywającymi służbowo. Dla USA jesteśmy ludźmi z wrogiego obozu. To naturalne, że nas kontrolują.

— Zobacz, jak otwieraliśmy Polamco, wielu u nas w kraju stukało się w głowę. Że po co my się tu pchamy. A teraz co? Patrzą na nasze wyniki sprzedaży i nadziwić się nie mogą, więc Amerykanie tak samo. Firma z Polski, którą tu najchętniej przedstawialiby jak kraj Trzeciego Świata, a świetnie sobie radzi na rynku. Chcą mieć na nas oko. I tyle.

— Szpiegowskie fanaberie! — mówi moja żona i traci zainteresowanie tematem. Zresztą ma swoje własne — właśnie zaczął się szósty miesiąc ciąży i weszła w fazę nieustannego apetytu na pomarańcze. Chwała Bogu, że jesteśmy w Kalifornii, gdzie jest ich pod dostatkiem, a nie w Polsce, gdzie nie mógłbym w żaden sposób sprostać jej wymaganiom.

Od samego początku nie miałem złudzeń. Wszystkie firmy zza żelaznej kurtyny są pilnie obserwowane przez FBI. Rutynowo. Więc liczyłem się i z tym, że nasz domowy telefon jest na podsłuchu, firmowy zresztą też. Dlatego o niczym, co mogłoby ich interesować, przez telefon nie mówiłem. Postanowiłem jednak, że od tej pory rzadziej będę spotykał się z Billem w knajpkach. Wspólne wypady z żonami, tak, od czasu do czasu. Ale z nim już tylko w ramach osiedla. Jeśli równie rutynowo jak telefon, będą chcieli sprawdzać, co robię po pracy, niech to wygląda na wyłącznie sąsiedzki, przyjacielski układ. Z ewentualnych rozmów z Hughes Aircraft w sprawie obrabiarek też postanowiłem się wycofać. Ja te maszyny sprzedam dziesięć

razy szybciej gdzie indziej, a nie jest potrzebne, aby w tej sytuacji pojawiło się w papierach moje nazwisko i nazwa firmy tak blisko Billa i jego pracy. Od chwili gdy Bill został zarejestrowany, nie chcę by nasza znajomość i moje powiązanie z Hughes Aircraft rzucały się agentom FBI w oczy.

Jednak najciekawsza była reakcja Billa na moją przygodę z telefonem. Spotkaliśmy się zaraz po moim przylocie z Polski i opowiedziałem mu wszystko.

— Marian, bądź ostrożny. Na pewno założyli ci podsłuch.

— Jeśli tak, to niech ci, którzy go założyli, martwią się, by telefon działał jak trzeba!

— Wiesz co, nie takie rzeczy widziałem przez *nich* spartaczone.

Tym samym Bill ułatwia mi dalszą pracę. Pokazuje, że domyśla się prawdziwego charakteru zadania, jakie jemu i sobie wyznaczyłem. I że wie dokładnie, jakie agencje i jak działają. I na co trzeba być wyczulonym. I że to nie przeszkadza mu w chęci podjęcia pracy. Dopytuje, czy widziałem się z „ludźmi z przemysłu". Nie było mnie ponad dwa tygodnie, najwyraźniej potrzebuje nawet tych dwustudolarowych zastrzyków gotówki. Ma zresztą dla mnie wiadomość, że umówił mnie na spotkanie z tym wicedyrektorem do spraw zakupów. Jest mi to już co najmniej nie na rękę. Dopiero co podjąłem decyzję, by się z tego wycofać. Ale załatwię to już sam, bez wciągania Billa. Daję mu 300 dolarów i na świstku papieru proszę o pokwitowanie. Nie jest specjalnie zaskoczony, nie ma oporów. Dodaję, że to dla naszej księgowości. Oczywiście nie jest tam napisane, dla której. Jest tylko kwota, data i podpis. Billowi mówię, że „ludzie z przemysłu" się zastanawiają. Zgodnie z sugestią Centrali zabieram się za składanie życiorysu Billa. Gramy często (mówię mu, że musimy nadrobić czas, gdy mnie nie było), potem idziemy do mnie na drinka. Bill chętnie mówi o sobie. Nastrój tych spotkań jest całkowicie przyjacielski, niezobowiązujący. Jednego dnia rozmawiamy o jego wojennych przygodach, innego o początkach romansu z Ritą, potem o pracy i nieuchronnie pojawia się w tych rozmowach konsekwencja burzliwego życia — jego obecne kłopoty. Składam to wszystko po kolei.

William Holden Bell urodził się 14 maja 1920 roku w Seattle, w stanie Waszyngton. Ma ledwie 18 lat, gdy porzuca szkołę i wstępuje w szeregi Marynarki Wojennej. Musi pomóc ojcu w utrzymaniu rodziny. Służy na niszczycielu — poławiaczu min. Pierwszy raz duże szczęście uśmiecha się do niego w trakcie ataku na Pearl Harbor. W czasie japońskiego nalotu jego okręt akurat trałował kanał w porcie i w związku z tym zdołał wyjść bezpiecznie w morze, unikając prawie pewnego zniszczenia. Potem Bill

Bell bierze udział w walkach na Iwo Jimie i w wyniku wybuchu podwodnego doznaje szeregu zranień. Marynarkę Wojenną opuszcza po otrzymaniu zwolnienia z honorem.

Krótko po zrzuceniu munduru poślubia swoją pierwszą żonę, Eleonorę. Pobrali się 14 lutego 1947 roku w Riverside. Mają razem dwóch synów i jedną córkę. W trakcie służby w Marynarce Wojennej Bill dokończył naukę w liceum korespondencyjnym. Następnie rozpoczął studia najpierw na USC (Uniwersytet Południowej Kalifornii), a potem na UCLA (Kalifornijski Uniwersytet Los Angeles), gdzie otrzymał tytuł Bachelor's Degree (BA) z fizyki stosowanej. W roku 1950 został zatrudniony na próbę jako technik w Hughes Aircraft Company. Rok później zostaje zaakceptowany jako inżynier i wchodzi w skład staffu technicznego firmy. I już na stałe zostaje związany z Hughes Aircraft.

W ciągu trzydziestu lat pracy w firmie, kontynuuje swoją edukację poprzez badania, eksperymenty, seminaria, sympozja i stałą lekturę literatury fachowej. Jest świetnym ekspertem w militarnych zastosowaniach radaru zarówno w operacjach taktycznych, jak i w systemach broni.

Swoją pracę dla Hughes Aircraft wykonywał nie tylko w laboratoriach firmy. Często pełnił rolę delegata w rozmaitych programach zewnętrznych. Zaczynał w starych budynkach siedziby firmy w Culver City. Mieściło się tam również lotnisko prywatne firmy Hughes. Budynki wyglądały, jak gdyby były częścią techniczną obsługi.

Kolejny etap swojej kariery Bill spędza w bazie amerykańskich sił powietrznych McChord w Tacomie, w stanie Waszyngton. Pracuje tam około roku. Stamtąd zostaje przeniesiony do Western Air Defense Force Headquarters w Nevadzie, nie tak daleko od San Francisco. Spędza około ośmiu miesięcy w Zachodnim Dowództwie Obrony Powietrznej. Dalej czeka na niego przeniesienie do słynnej bazy sił powietrznych USA Eglin Air Force Base na Florydzie.

W latach 1962-1965 jest menedżerem europejskich programów w firmie Hughes. W ramach swoich nowych obowiązków rezyduje najpierw przez rok w Paryżu, a stamtąd przenosi się do małej francuskiej wioski Villefranche-de-Rouerque, odległej o około 80 kilometrów od Paryża, ale będącej blisko bazy wojskowej, z którą bezpośrednio współpracował. Po ośmiu miesiącach zmienia ponownie miejsce zamieszkania. Tym razem czeka na niego stolica Szwajcarii — Berno. Jego obowiązkiem było reprezentowanie swojej firmy wobec decydentów w strukturze spraw wojskowych rządu szwajcarskiego. Jednocześnie rozpoczął bliską współpracę z fabryką samolotów w Lucernie — firmą Pilatus.

W wątku szwajcarskim pojawia się interesujący fragment życiorysu Billa Bella. Otóż w trakcie swojego pobytu w Szwajcarii Bell utrzymywał kontakty z oficerem CIA rezydującym w ambasadzie USA w Bernie. Potem wraca do Kalifornii, gdzie przebywa do maja 1974 roku. Jak mi opowiada, swoją współpracę z CIA kontynuował jeszcze przez jakiś czas, będąc w kontakcie z placówką tej służby ukrytą w firmie Summa Corporation.

Lata 1974-1976 spędza w Europie, pełniąc funkcję menedżera operacji radarowych na Europę i Bliski Wschód.

Ma wówczas trochę więcej czasu, bo zabiera się za pisanie książki. Jest to (jak mi mówi, bo sam jej nie czytałem) sensacyjna opowieść o agencie w rodzaju Jamesa Bonda, który pracuje na Bliskim Wschodzie dla amerykańskiego producenta broni (jak widać, Bill po części wykorzystuje fragmenty swoich doświadczeń, rozwijając je jednak znacznie; być może fantazjował na temat tego, kim mógł lub chciałby być). Jego bohater krzyżuje plany „złych Arabów" i żyje otoczony luksusem i pięknymi kobietami. Później, na prośbę CIA, współpracuje z agentami wywiadu francuskiego, którzy go zdradzają i zostaje uwięziony przez Arabów. Zakończenie książki ukazuje brawurową ucieczkę dzięki skomplikowanemu rozwiązaniu technicznemu — tu Bill mógł się wykazać własną wiedzą i pomysłowością techniczną. Bill nawiązuje nawet kontakt z agentem, który obiecuje zająć się wydaniem tej książki, ale sprawa utknęła w martwym punkcie.

W trakcie tego pobytu w Europie zakochuje się bez pamięci w swojej sekretarce — Ricie. Jak mówił, nałożyło się na to kilka czynników, w tym i problemy w pierwszym małżeństwie. Ale nie bez znaczenia był najzwyczajniejszy w świecie fakt, że Rita była młoda i ładna. Zamieszkali razem.

Bill opowiada mi, jak to wówczas chce za wszelką cenę zaimponować swojej nowej miłości. Szaleje z wydatkami. Zaprasza ją do najlepszych restauracji, kupuje wspaniałe kreacje, futra. Aranżuje romantyczne weekendy we dwoje. Na przykład wylatują z Brukseli w piątek na weekend do Acapulco. Ta krótka czasowo, a długa z punktu odległości podróż kosztuje go fortunę. Bill czuje, że żyje.

Krótko po tym zaczynają się kłopoty. Jego pierwsza żona zorientowała się już, że jest zdradzana i wyjechała do Stanów. Bill wystąpił o rozwód z Eleonorą, ale ma teraz na utrzymaniu dwa domy.

Kończąc pobyt w Europie, postanawia, że zabierze swoją wielką miłość, Ritę, i jej małego synka do USA. Przylatują razem. Nie są jeszcze małżeństwem. W marcu 1976 roku wprowadzają się do mieszkania w

Cross Creek Village.

Finansowo powoli zaczyna się staczać po równi pochyłej. Według amerykańskich przepisów Bill, pracując w Europie, musi płacić podwójne podatki, nie tylko w kraju czasowego pobytu, ale także w Stanach Zjednoczonych. On płacił tylko podatki w Europie. Urząd podatkowy w Stanach nalicza mu podatki do zapłacenia za cały okres wstecz. Do tego wysokie odsetki. Bell wpada w pułapkę zadłużenia.

Rita w Stanach ma status turystki. Nie ma wizy na pobyt stały, Bill chce za wszelką cenę uzyskać rozwód i ją poślubić.

Udaje mu się, ale cena jest rzeczywiście wysoka. 23 września 1976 roku Bill i Eleonora otrzymują rozwód. Tydzień później, 30 września, Rita i Bill pobierają się. Jak orzeka sędzia, Bill ma do zapłacenia wszystkie koszty procesu oraz zostaje zobligowany do przejęcia całości długów, jakie zaciągnął. Wiele z nich jest związanych z jego szaleńczą, nową miłością. Dodatkowo, w każdy piątek musi przekazywać swojej pierwszej żonie 200 dolarów, aż do jej śmierci, ponownego wyjścia za mąż lub innej decyzji sądu. Tak więc teraz ma na głowie cotygodniowe alimenty, utrzymanie nowej rodziny i niezapłacone podatki, obciążone wysokimi odsetkami. Bill jest w zaklętym kręgu. Zaczyna popijać dość intensywnie. Ma swoją *watering hole*, tak nazywa ulubiony bar. Jego oaza na pustyni. Mieści się blisko plaży, na zakręcie w Manchester Boulevard. W drodze z pracy do domu systematycznie robi tam przystanek. Do tego dochodzi tragedia z synem. W trakcie wyjazdu do Meksyku na jakimś campingu wybucha butla z gazem. Jego syn jest ciężko poparzony. Bill postanawia jak najszybciej przewieźć go do słynnego szpitala w Houston, specjalizującego się w leczeniu poparzeń. Jedna z linii lotniczych odmawia przyjęcia syna na pokład. Rita leci do Meksyku i załatwia przelot inną linią. Po dotarciu do Houston syn umiera, a Bill rozpoczyna proces z linią lotniczą, która odmówiła jego przewozu. Rok 1976 dobiega końca. Bill Bell nie radzi sobie ze spłatami, musi się chronić przed napierającymi wierzycielami. Występuje do sądu o ogłoszenie bankructwa.

Na to wszystko nakładają się napięcia w pracy. Jest mężczyzną grubo po pięćdziesiątce, zmęczonym kłopotami rodzinnymi. A po powrocie z Europy w firmie zastaje nowych, zdolnych pracowników. Ma doświadczenie, staż, ale trudno mu się odnaleźć w nowych warunkach, czuje oddech tych młodych na plecach. Pierwsze zadanie, jakie mu przydzielają, to zbudowanie propozycji marketingowej już opracowanego, gotowego sytemu radarowego do samolotów F-18. A on jest przede wszystkim naukowcem. Czuje, że nie tylko w życiu osobistym, ale i w pracy musi zaczynać wszystko od nowa.

Dopóki Rita przebywa tylko na warunkach określonych przez prawo wizy turystycznej, nie może podjąć oficjalnej pracy. Początkowo próbuje sprzedawać kosmetyki firmy Avon. O pełni desperacji ich obojga najdobitniej świadczy fakt, iż próbowali nawet dorabiać, jeżdżąc jako taksówkarze. Rita w ciągu dnia, Bill w nocy, po pracy. Nie trwało to długo i skończyło się, gdy jakaś pasażerka kazała Ricie przenieść walizkę. Żona Billa obraziła się i przestali jeździć. Gdy Rita dostała w końcu zieloną kartę, zatrudniła się jako księgowa w firmie Syska and Hennessy i, jak mówił Bill, przynosiła do domu około 1000 dolarów miesięcznie. To już było dla nich pewną ulgą. Ale nie rozwiązywało głównych problemów finansowych. Bill był winien urzędowi podatkowemu około 16 tysięcy dolarów. Odsetki od tej kwoty stale rosły. Do tego wciąż miał niezapłacone stare rachunki, a nowe napływały systematycznie. Zupełnie brakuje mu komfortu życia. I nie ma do kogo się zwrócić.

Chociaż już niezupełnie. Na jego drodze pojawiłem się przecież ja.

Któregoś dnia umawiamy się u niego w domu. Swobodnie przeglądam jego księgozbiór umieszczony w salonie na skromnym regaliku. Widzę „Radar Handbook” — podręcznik radarowy. To okolicznościowe wydanie na jubileusz jego firmy; skórzana oprawa, złocone litery, dedykacja dla Billa. I ponad tysiąc stron. Pytam, czy mogę to pożyczyć, chcę poczytać i poznać tę wyspecjalizowaną terminologię, przy której mój angielski wciąż kuleje. Chcę lepiej rozumieć, gdy mi opowiada o problemach, nad którymi pracuje. Bill mówi: „Jasne, nie ma sprawy”. Następnego dnia po pracy zostaję w biurze i uruchamiam kserokopiarkę. Tysiąc stron, jest co kopiować! Oddaję Billowi książkę po kilku dniach wraz z 400 dolarami. Kwituje z datą 2 maja 1978 r. — To moja drobna inwestycja w poprawę twojej sytuacji finansowej — mówię. I zastanawiam się, jak te tysiąc stron przekazać Centrali. Ponieważ i tak muszę lecieć do Chicago w sprawach Polamco, umawiam się z oficerem Rezydentury.

Spotkanie się jednak przesuwa, oficer musi je przełożyć z ważnych przyczyn. Tymczasem w „Los Angeles Times” z 13 maja 1978 roku zamieszczona jest krótka notatka: „Rozbicie się eksperymentalnego samolotu w Nevadzie potwierdzone przez Pentagon”. Przynoszę gazetę na korty i pokazuję Billowi. Czytamy wspólnie, że Pentagon potwierdził, iż w ubiegłym tygodniu w tajnym regionie wokół poligonu bazy Nellis Air Force, na północ od Las Vegas, rozbił się samolot eksperymentalny i że Pentagon odmawia dalszych informacji, powołując się na bezpieczeństwo narodowe. Czytamy dalej, że pilot samolotu, 52-letni William Parks po opatrzeniu ran został wypisany do domu. Gazeta informuje również, że

pilot jest pracownikiem firmy Lockheed Aircraft Corporation, która testowała w bazie Nellis Air Force szpiegowskie samoloty U-2 i SR-71 oraz pracowała nad następcą U-2, zwanym TR-1. Pytam Billa:

— Ciekawe, co to za samolot? Słyszałeś o czymś takim?

— Mówi się, że to maszyna z rodziny Stealth. To wciąż na etapie eksperymentów, dobrze napisali. Samoloty budowane są z materiałów kompozytowych, w każdym razie w dużej części, bo z samego kompozytu nikt jeszcze samolotu nie zrobił. Chodzi o to, że jest niezwykle lekki i niewidzialny dla radarów. Można go wykryć tylko na podczerwień albo promieniami ultrafioletowymi. To się wiąże z radarami budowanymi w technologii LPIR.

Wracamy do gry, a w drugiej przerwie Bill mówi jeszcze, że liderem w technologii Stealth jest właśnie wymieniony w artykule Lockheed (czyli zakłady Skunksa w Burbank) i Northtrop, który słynie z technologii kompozytowych. To drugie już wiem. Od jakiegoś czasu ta firma jest w kręgu moich szczególnych zainteresowań. Potem Bill precyzyjnie opisuje mi budowę tego typu samolotu. Nie miałem czasu czytać „Radar Handbook", ale już widzę, że muszę go przynajmniej porządnie przejrzeć. To, co było moim usprawiedliwieniem, gdy brałem tę książkę od Billa, stało się faktem prędzej, niż mogłem przypuszczać. Bez znajomości specjalistycznego słownictwa ciężko będzie mi zrozumieć Billa. Po powrocie do domu robię błyskawiczną notatkę sobie tylko znanym systemem skrótów. Muszę przyśpieszyć spotkanie z rezydentem. Zresztą sprawy Polamco naprawdę wymagają konsultacji z centralą.

Już od pewnego czasu rozglądam się za nową siedzibą dla firmy — obecna mi już nie wystarcza. Mam coś na oku w Santa Fe Springs. Niezły obiekt, jeszcze lepsza lokalizacja. Miałbym stamtąd niedaleko do X. Teraz, gdy oswajanie Billa wymaga ode mnie poświęcania mu sporej ilości czasu po pracy, dobrze by było, abym tak dobrze zapowiadający się kontakt jak X, miał w zasięgu ręki.

Potrzebuję też więcej pracowników. Do tej pory pracuję z sekretarką i serwisantem. A ponieważ interes rozkwitł, muszę mieć więcej serwisantów do obsługi technicznej obrabiarek, obszerniejszy skład na maszyny i jeszcze kogoś do pomocy w biurze. Najlepiej drugą sekretarkę. Ale najważniejsze — potrzebuję zastępcy. Żeby zdobywać nowych klientów, muszę odbywać dziesiątki spotkań, a jak nie ma mnie w biurze, sekretarka nie radzi sobie z dopilnowaniem tych rzeczy, które mamy rozpoczęte. Jest już wstępna zgoda z centrali Polamco w Chicago na zatrudnienie nowych ludzi, ale trzeba dopiąć szczegóły.

Szybko załatwiam sprawy firmy. Dzięki obrotom, jakie ma mój oddział,

nie robią mi szczególnych problemów. Poza tym nie ma wyjścia — zatrzymanie rozwoju firmy na tym etapie byłoby skazaniem jej na stratę wywalczonej pozycji. W biznesie nie ma litości: trzeba iść tylko do przodu. Kto zwalnia — przegrywa.

Z oficerem Rezydentury spotykam się w konsulacie. Potem jedziemy jeszcze pogadać. Nad jeziorem Michigan jest wiele zacisznych parkingów. Sprawdzamy, czy na pewno jesteśmy sami. Ale jeszcze się nie zdarzyło, by ktoś nas niepokoił. Spacerujemy, rozmawiamy. Potrzebuję przegadać z kimś sprawę X, ale przede wszystkim przekazuję mu treść swego ostatniego spotkania z Billem. Zarówno Bill, jak i firma, w której pracuje, ma nadany kryptonim, możemy więc swobodnie mówić, nie używając prawdziwych nazw. Wpadamy do jednej z licznych, niewielkich knajpek. To niedrogi lokal, więc wyglądamy na typowych Polaków, którzy liczą się z każdym dolarem. Ponieważ i tak jadę do Warszawy, ustalamy, że sam zawiozę kopię książki Billa. Nie mogę czekać, bo Centrala wyraża duże zainteresowanie. I prosi o pośpiech. Ta książka da im pierwszą sposobność zapoznania się z możliwościami Billa, jest szansa, że będą mogli zacząć precyzować swoje oczekiwania. Choć nie jest to wydawnictwo, które można kupić w pierwszej lepszej księgarni, to jednak jest ono oficjalne. Pozostaje liczenie na łut szczęścia, że nikt na lotnisku nie będzie dokładnie sprawdzał mojego bagażu, a tym bardziej przeglądał stert papierów, które ze sobą wiozę. Bo może jednak zaczęliby się zastanawiać po co biznesmenowi od obrabiarek książka o radarach. Odrobina adrenaliny.

Bezpiecznie dowożę do Polski „Radar Handbook” Billa. Jest początek czerwca 1978 roku. Warszawa jest zadowolona. Bardzo zadowolona. Charakterystyka sytuacji Billa odpowiada naszym potrzebom. Zarówno jego cechy charakteru, jak i kłopoty finansowe dają podstawy do owocnego werbunku. A miejsce i zakres pracy, jaki prowadzi, dostęp do istotnych tajemnic o charakterze militarnym, są dla wywiadu niezwykle interesujące. Pozostaje pytanie, czy Bill powiedział mi o wszystkich długach. W każdym razie dostaję zgodę na operacyjne rozpracowanie Billa. Przygotowano też plan przedsięwzięć z nim związanych. Od tego momentu mam zająć się tylko Williamem Bellem. Inne sprawy i naprowadzenia przekazać Centrali. Nie rozwijać ich zbyt szybko. X zostaje zarejestrowany, ale mam go pozostawić na tak zwanym podgrzewaczu, aby zawsze był gotowy do uaktywnienia. Szkoda. Nie widzę problemu w jednoczesnym prowadzeniu dwóch wątków. Ale priorytet jest jeden: Bell.

Centrala wychodzi z założenia, że firma Billa, z racji realizowania projektów militarnych specjalnego znaczenia, ma zarówno wewnętrzny, jak i zewnętrzny system ochrony, a ponadto przy wdrażaniu przedsięwzięć

takich jak te, nad którymi pracuje Bill, z pewnością jest zabezpieczana przez służby federalne. Uważają też, że służby kontrwywiadu Stanów Zjednoczonych mogą okresowo sprawdzać Billa — jego najbliższych, znajomych, rodzinę. Dostaję więc zalecenie, by po powrocie wysondować, czy nic się nie zmieniło w stosunku Billa do mnie. Czy nie chce nadmiernie schładzać naszych stosunków lub odwrotnie: nadto zacieśniać. Polecenie obejmuje także wybadanie wzajemnych relacji Rity i Basi. Ale jednocześnie mam uzyskać dalsze informacje na temat projektu, nad którym obecnie pracuje Bill, tyle tylko, że mam to zrobić kapturowo, nie wprost. Nie zmieniać w niczym swojego dotychczasowego stosunku do Billa. Zachowywać się tak jak do tej pory. Pogłębiać tylko prowadzone z nim rozmowy. I konsekwentnie zmierzać do ustalenia ostatecznej kwoty, na jaką Bill jest zadłużony.

Po powrocie mam mnóstwo pracy. Dopinam warunki najmu nowej siedziby, prowadzę rekrutację pracowników. W końcu mój wyjazd do Polski był naprawdę po części związany ze sprawami Polamco. Dostałem zgodę na zatrudnienie zastępcy. I udało mi się przekonać dyrektora Metalexportu, że powinien to być rodowity Amerykanin. Czułem, że to pozytywnie wpłynie na wizerunek firmy w Los Angeles. Pokaże, że ten biznes tak dobrze idzie, iż polską firmę stać na zatrudnianie Amerykanów. George Amberg spodobał mi się już na pierwszym spotkaniu. Spokój, rzeczowość i chęć zagrania w teamie. Nieźle się prezentował, lubię pracować z wysokimi mężczyznami, takim mogę patrzeć w oczy, nie muszę się schylać. Poza tym coraz częściej zauważam, że ci niscy mają za dużo kompleksów. Razem z George’em zatrudniłem drugą sekretarkę, a lada moment miał przylecieć z Warszawy kolejny serwisant, który będzie zatrudniony na stałe. Obecny serwisant, Jan Wojciechowski, to świetny pracownik. Wynajęliśmy dla nich mieszkania na osiedlu położonym niedaleko Cross Creek Village, i jeszcze jeden lokal dla serwisantów, którzy przyjeżdżają na miesiąc, dwa. Z optymizmem patrzyłem na ten nowy zespół, a z pracą Amberga łączyłem wiele nadziei — przede wszystkim tę, że mnie odciąży. Zdarzały się przecież dni, gdy potrafiłem przejechać ponad czterysta mil, odwiedzając tylko kilku klientów z samego Los Angeles. A do tego coraz częściej musiałem latać na spotkania do: San Francisco, Portland, Seattle, Salt Lake City czy Phoenix w Arizonie. Spotykałem się zarówno z dealerami, jak i bezpośrednimi użytkownikami naszych obrabiarek. Amerykanie robiąc interesy, wymagają spotkań osobistych. One często więcej znaczą niż dziesiątki stron umów. Wiele rzeczy po prostu załatwia się na uścisk dłoni. W tym wypadku oni chcieli

też po prostu zobaczyć i poznać człowieka zza żelaznej kurtyny, jednocześnie jakby mając przeświadczenie, że kontakty osobiste są swoistą gwarancją jakości maszyny, którą kupowali. W ten sposób poznaję Y, znajomość sama „wchodzi mi w ręce". Pamiętam, że priorytetem jest Bill, ale nie sposób zostawić w spokoju tej znajomości. Może Centrala uzna, że warto?

Na szczęście lotnisko było niedaleko. Wylatywałem o 7 rano i starałem się wracać w godzinach wieczornych. Nie zawsze się udawało, czasami musiałem zostać na następny dzień, ale robiłem to niechętnie. Basia była już w dziewiątym miesiącu ciąży.

Spokojnie, bez pośpiechu szukam miejsca na dobrą skrytkę w ramach swojego osiedla. Obserwuję, sprawdzam. W najbliższym czasie powinna zacząć być potrzebna.

Kontynuuję spotkania z Billem zgodnie z instrukcją, by prowadzić naszą znajomość dokładnie tak jak wcześniej.

Coraz śmielej rozmawialiśmy o jego firmie.

HAC — imperium Howarda Hughesa[2] składało się z trzech podstawowych grup. Pierwsza to odziedziczona przez Howarda po ojcu Hughes Tool Company z siedzibą w Houston w stanie Teksas. Firma ta zbudowała swój sukces w Luizjanie, wokół miast Shreveport i Vivian, znanych ośrodków wydobycia ropy naftowej. Druga to Hughes Medical Institute z główną siedzibą na Florydzie. Z czasem to ona, jako organizacja non profit, stanie się właścicielem całości giganta o nazwie HAC. Trzecia to właśnie Hughes Aircraft Company, w której pracował Bill i która stała się obiektem mego zainteresowania. Według pozyskanych przeze mnie informacji, osiemdziesiąt dwa procent produkcji firmy w tamtym czasie było realizowane na potrzeby organizacji wywiadowczych i na rzecz projektów specjalnych Departamentu Obrony.

Właściciel HAC, Howard Hughes (wówczas już nieżyjący, zmarł w 1976 roku), był genialnym biznesmenem, ale przede wszystkim wielkim entuzjastą awiacji (stąd Aircraft w nazwie, choć wówczas firma nie produkowała żadnych samolotów). W czasie wojny, początkowo we wspólnym przedsięwzięciu ze znanym fabrykantem, Henrym Kaiserem (budowniczy podstawy konwojów zaopatrzeniowych w okresie II wojny światowej, tj. statków Liberty), skonstruował i wybudował gigantyczny samolot transportowy, latającą łódź, o rozpiętości skrzydeł wynoszącej 98 metrów, wyposażony w osiem silników po 3000 HP każdy, który miał służyć do przerzucania wojsk przez Atlantyk. Trzeba przyznać, że pomysł

samolotu należał do Henry'ego Kaisera, który widząc straty ponoszone przez marynarkę handlową w wyniku działalności U-Bootów z Kriegsmarine, uważał, że transport lotniczy mógłby je ograniczyć. Zwrócił się do Howarda Hughesa, który miał reputację świetnego awiatora i pioniera lotnictwa. Samolot pozwalał wejść na pokład 750 żołnierzom. Po pewnym czasie pan Kaiser wycofał się ze współpracy, ale Howard Hughes postanowił kontynuować ten projekt na własną rękę. Na skutek problemów materiałowych samolot został wykonany z drewna, stąd krytycy nazwali go złośliwie *Spruce Goose* (świerkowa gęś). Trzeba jednak wspomnieć, że do dzisiaj wielu specjalistów uważa, że unikalny system obróbki drewnianej dykty w połączeniu z wieloma warstwami laminatów oraz ze specjalnym wygrzewaniem spowodował, że powstały materiał był lżejszy i mocniejszy od aluminium. Hughes wykonał na tym samolocie lot próbny, niestety było to dopiero 2 listopada 1947 roku. Potem Hercules H-4 nie był już wykorzystywany dla potrzeb militarnych. Stał się natomiast wielką atrakcją turystyczną. Najpierw eksponowano go w Long Beach, niedaleko transatlantyku „Queen Mary", obecnie znajduje się w muzeum lotnictwa w McMinnville w stanie Oregon. Z biegiem czasu Howard Hughes zdziwaczał. Zamykał się w pokoju hotelowym z zasłoniętymi oknami, twierdząc, że społeczeństwo go dusi, nie pozwala mu oddychać, że atakują go wszechobecne zarazki. Bill opowiadał, że ponoć w ostatnich latach Hughes na okrągło oglądał stare filmy. Jak mówiono u nich w firmie, najczęściej oglądanym był „Ice Station Zebra" — opowieść o pojedynku amerykańskiej łodzi podwodnej o napędzie atomowym z Rosjanami.

W pewnym stopniu film ten nawiązuje do jednego z najtajniejszych i najbardziej kosztownych przedsięwzięć wywiadu amerykańskiego z udziałem firmy Hughes Aircraft Company. Za pomocą HAC, CIA uruchomiła projekt zbudowania ogromnego statku. Miał on podnieść rosyjską łódź podwodną, która zatonęła na Pacyfiku, na północ od archipelagu wysp hawajskich, w odległości zaledwie 360 mil od Honolulu i osiadła na głębokości nieco ponad pięciu kilometrów.

Problem był gigantyczny, albowiem zatopiona łódź wraz z wodą, która wdarła się do jej pomieszczeń, mogła ważyć nawet około sześciu tysięcy ton. Według Billa Bella zdecydowano się na współpracę z koncernem Hughes, bo, będąc własnością prywatną, nie musiał się tłumaczyć przed wspólnikami, czym firma się zajmuje, jakie generuje zyski etc. Dawało to również i Hughesowi pewne plusy w relacjach jego firmy z agendami rządowymi.

Historia zaczęła się 11 kwietnia 1968 roku, kiedy to odbywająca rutynowy patrol na Pacyfiku rosyjska łódź podwodna klasy Golf-II, będąc

w wynurzeniu, walcząc z falami wzburzonego Oceanu Spokojnego, nagle wybuchła i w bardzo szybkim tempie zatonęła. Amerykańskie ustalenia wskazywały, że zdarzyło się to między wyspami Necker i Nihoa na północny zachód od wyspy Oahu, będącej siedzibą wielkiego portu marynarki wojennej Pearl Harbor. Poszła na dno z całym inwentarzem. Tego typu łódź miała zwykle osiemdziesięcioosobową załogę (tym razem były informacje, że być może na pokładzie był dodatkowy personel), wyposażona była w trzy rakiety z głowicami nuklearnymi typu Sark SS-N-5, mającymi zasięg około tysiąca kilometrów, oraz torpedy, w tym i z głowicami nuklearnymi.

To, co najbardziej interesowało organizacje wywiadowcze, to supertajne pomieszczenia kodowania i łączności. Zdaniem Billa to właśnie te pomieszczenia były głównym celem operacji: próby wydobycia wraku. Poza tym, jak mi dodawał, sądzili, że wydobędą co najmniej jedną rakietę z głowicami nuklearnymi.

Łodzie podwodne klasy Golf-II zaprojektowano w latach pięćdziesiątych. Miały napęd oparty na silnikach dieslowskich, który pozwalał osiągać im prędkość w granicach 17 węzłów. Całkowita długość łodzi wynosiła około 96 metrów.

Według ocen amerykańskich ekspertów, łódź zatonęła w wyniku wybuchu, natychmiast po prawdopodobnej próbie wystrzelenia jednej z rakiet.

Rosjanie w porcie macierzystym, Władywostoku, nie mieli pojęcia, co się stało i gdzie, o ile w ogóle, zatonęła. A jeżeli, to gdzie leży jej wrak. Amerykanie dzięki swojej zdecydowanie lepszej technologii nie tylko byli w stanie dokładnie ustalić miejsce, ale również, według Bella, udało im się sfotografować leżącą na dnie oceanu nieszczęsną łódź podwodną. Wykonali tysiące zdjęć. Podobno użyli do tego ówczesnego cudu techniki, jakim był USS Halibut (łódź podwodna o napędzie atomowym przerobiona do zadań specjalnych) — rodzaj pływającego laboratorium pełnego urządzeń elektronicznych. Aby ukryć, w jaki sposób dotarli do miejsca, w którym spoczywa rosyjska łódź podwodna, Amerykanie rozpuścili informacje, że dokonali tego, używając podwodnego batyskafu USS Mizar. Był on szeroko wykorzystywany przez amerykańską marynarkę wojenną. Za jego pomocą Amerykanie podobno poszukiwali swoich zaginionych łodzi podwodnych, takich jak USS Thresher czy USS Scorpion. Bill wspominał także, iż właśnie Mizar brał czynny udział w ustalaniu miejsca i dalszym procesie wydobycia amerykańskich bomb wodorowych w okolicach Palomares, w Hiszpanii. W rzeczywistości użyta w akcji atomowa łódź podwodna USS Halibut, przebudowana do celów

specjalnych, miała właz w dolnej części kadłuba, który pozwalał na wypuszczanie sondy pełnej elektroniki i urządzeń do fotografowania. Halibut pracując cały czas pod wodą, nawet na głębokości dwustu metrów, nie zdradzał miejsca, gdzie i jakie konkretnie prowadzi poszukiwania.

Zdjęcia rozbitej o dno rosyjskiej łodzi podwodnej sugerowały, że istotne dla Amerykanów części nie są zniszczone i warto podjąć wysiłek wydobycia. Rosjanie umieszczali tajny pokój łączności w opancerzeniu, w ramach tzw. kiosku. Tam też znajdowały się stanowiska trzech rakiet. Fotografie wskazywały, że pewne urządzenia są w dobrym stanie. Słona woda i ciśnienie były świetnym środkiem konserwującym. Księgi kodowe mogli ewentualnie odczytać, stosując metodę, w której wykorzystuje się laser.

Budżet tego przedsięwzięcia ustalono na 500 milionów dolarów i zaczęto budowę niezwykłego statku, który nazwano Hughes Glomar Explorer. Już w stoczni stworzono legendę, mającą ukryć prawdziwy cel przedsięwzięcia. Mówiło się, że jest to pierwszy statek do pobierania minerałów z dna morskiego. Ta skomplikowana jednostka o wyporności nieomal 60 tysięcy DWT miała pośrodku kadłuba wielki basen z wrotami otwierającymi się na zewnątrz, inaczej mówiąc: do dołu. Poprzez te wrota planowano wysunąć i następnie zanurzyć na pełną głębokość gigantyczne urządzenie z wielkimi hydraulicznymi łapami, które miało uchwycić łódź podwodną. Nazywano je barką i jej wodowanie w styczniu 1972 roku w stoczni w San Diego (National Steel and Shipbuilding Company) zaszczycił sam prezydent Richard Nixon. Barkę nazwano HMB-1 od Hughes Marine Barge 1.

Bill zaznaczał, że był to program bardzo czasochłonny, bowiem upłynęło niemal sześć lat od pomysłu do wyciągnięcia łodzi lub jej fragmentów. Do dzisiaj trudno ustalić, co naprawdę za te wielkie pieniądze udało się Amerykanom zdobyć. Jest to objęte całkowitą tajemnicą. Według Bella wiodącą rolę w tym przedsięwzięciu, z punktu widzenia pewnego rodzaju przykrycia, miała firma Summa Corporation, która powstała w 1972 roku jako holding grupujący firmy Hughesa. To właśnie ta firma miała kontraktować fachowców niezbędnych do pracy na tym nietypowym statku. Sam statek zamówiono w Sun Shipbuilders & Drydock Company w Chester w Pensylwanii. Przykrycie w ten sposób projektu wydawało się świetnym pomysłem. Nikt się nie dziwił znakomitym, acz wielokrotnie ekstrawaganckim pomysłom pana Hughesa. Jeżeli ten świetny biznesmen ocenił, że zasoby naturalne są na wyczerpaniu i trzeba ich poszukiwać na dnie oceanu, to widocznie tak jest w rzeczywistości.

Jak to zwykle w świecie wywiadu bywa, cała działalność jest po latach

oceniana na remis. Nawet jeżeli Amerykanom udało się wejść w posiadanie tajnych urządzeń do komunikacji, ksiąg kodowych itd., to trzeba pamiętać, że niewiele wcześniej, a dokładnie w styczniu 1968 roku, sami ponieśli dotkliwą porażkę. W wyniku bardzo szybkiego ataku ścigaczy Korei Północnej stracili okręt wywiadowczy „Pueblo" wraz ze wszystkimi supertajnymi urządzeniami i książkami kodowymi na jego pokładzie.

Bill wiedział jeszcze, że wyjęto z morza kilka przełamanych części kadłuba.

Druga część operacji została odwołana z powodu ukazania się artykułu w „Los Angeles Times" w dniu 7 lutego 1975 roku, który dosyć precyzyjnie prezentował rzeczywisty cel budowy tego niezwykłego okrętu.

Z rozmowami dość ogólnymi o takich projektach, jak ten z wydobyciem łodzi podwodnej, w naszych spotkaniach przeplatają się informacje bieżące. Bill mówi na przykład, że budynek, w którym obecnie pracuje, mieści się w Culver City (to już wiedziałem wcześniej, ale jak zawsze słuchałem uważnie). Jest tam najdłuższe trawiaste lotnisko, jakie służyło Howardowi Hughesowi. Ale mówi też, że firma buduje dla Grupy Systemów Radarowych (w której pracuje) nowy budynek. Mieścić się będzie przy Sepulveda Boulevard, w ramach tej części kompleksu firmy Hughesa, w której powstają satelity telekomunikacyjne i szpiegowskie.

Przede wszystkim zmierzam do ustalenia, nad czym dokładnie Bill pracuje. Słucham i wiem, że jest to ogromnie interesujące. I że gdyby nie gra rozpoczęta między nami przed kilkoma miesiącami, to w żadnym wypadku nie powinien mi tego mówić.

Projekt powstał w wyniku założenia poczynionego przez dowództwo NATO, że nie są w stanie zrównoważyć ilości czołgów z Układem Warszawskim. W związku z tym, są gotowi przeznaczyć duże pieniądze na stworzenie nowej broni przeznaczonej wyłącznie do zwalczenia zagrożenia bronią pancerną, będącą w posiadaniu wojsk krajów UW. I to właśnie w głowie Billa Bella, siedzącego teraz ze mną przy stoliku nad basenem, zrodził się pomysł tej nowej broni. W głównym założeniu opiera się ona na najnowocześniejszych systemach rozpoznawania i naprowadzania na cele. Tu już Bill stał się powściągliwy. Choć po chwili pociągnął kolejny łyk ze szklanki, którą mu napełniłem, i powiedział:

— Część z rozwiązań, które wprowadziłem, będzie opatentowana.

Mógłbym teraz wstać, postawić przed nim kolejną butelkę żytniej albo go po prostu wyściskać. Ale nie robię żadnej z tych rzeczy. Mówię tylko:

— Naprawdę? Bill, to bardzo interesujące.

— Tak. Ale wiesz, patent należy do Hughes Aircraft.

— Jasne. Doskonale rozumiem. Ciekaw jestem, jak wygląda taki formularz patentowy, sam druk. To pewnie skomplikowany papier, co?

— Tak, tak! Ale mogę ci kiedyś pokazać. No, sam druk oczywiście!

— Jeśli to nie kłopot, byłbym wdzięczny. Tyle się przy tobie uczę.

Nie widzimy się przez kilka dni. Przenoszę siedzibę firmy do Santa Fe Springs, wracam późno. Mamy akurat gości z Chicago. Basia gotuje obiad i nagle ni stąd, ni zowąd mówi:

— Marian, jedziemy do szpitala.

Powiedziała to tak normalnie, jakby mówiła: „Podaj mi sól", a przecież zaczął się poród! Oczywiście wpadłem w panikę. Ustaliliśmy, że będę przy porodzie, ale prawda jest taka, że źle znoszę widok krwi. Gram bohatera przed Basią, ale gdy jesteśmy w szpitalu i doktor Gold mówi: „Przebieraj się i chodź za mną", to mam odruch ucieczki. Lekarz śmieje się:

— Albo wchodzisz, albo mdlejesz. Jesteś za duży, żebyśmy cię wyciągali po wejściu.

Wchodzę. Spojrzenie Basi mnie dyscyplinuje. Żadnych scen. Jak dobrze, że ona jest profesjonalistką! Karolina jest z nami po chwili. Cieszę się żoną, córeczką. Wracam do domu. Tam przyjaciele czekają na wiadomości. Napadają na mnie przy drzwiach. I co? I co? Idę do lodówki. Wypijam duszkiem dwa piwa. Siadam. Dopiero mogę mówić. Basia i Karolinka są w świetnej formie. Wracają do domu po kilku dniach.

A w pierwszej wolnej chwili umawiamy się z Billem na korcie. Przynosi mi wzór formularza. Oglądam go skrupulatnie, a on wyjmuje drugi, wypełniony przez siebie.

— A wiesz, pomyślałem, że ty tak się zawsze interesujesz moją pracą, zobacz, jak to naprawdę wygląda.

Niemal nie wierzę. Ale się przecież spodziewam, mam przy sobie 200 dolarów. Daję je Billowi. I na karteczce piszemy pokwitowanie. Z datą: 12 lipca 1978.

Opis patentu Billa zawożę do Chicago. Pojedzie do kraju z najbliższą pocztą dyplomatyczną, w podręcznym bagażu kuriera. Trochę poczekamy, zanim trafido Centrali, i nim wróci do nas informacja zwrotna. W pokoju oficera Rezydentury zapoznaję się z depeszą na temat „Radar Handbook". Wynika z niej jednoznacznie, iż podręcznik został oceniony jako bardzo wartościowy. Zastępca szefa zarządu II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, pułkownik Edward Poradko wysłał 28 czerwca 1978 roku list do zastępcy dyrektora Departamentu I MSW pułkownika Jerzego Cześnika z

podziękowaniami za ten materiał.

Tam też piszę krótką notatkę z ostatnich informacji Bella. Pokój, obok gabinetu rezydenta, a raczej rodzaj małego pomieszczenia, schowka, w którym przebywam, jest wprawdzie specjalnie przygotowany, obudowany dodatkowymi ścianami jako zabezpieczenie przed podglądem, ale korzystam też z dodatkowych sposobów. Na małym biureczku, przy którym piszę, ustawiam niewielki karton. Jedna ścianka otwarta, piszę w jego wnętrzu. Drobiazg, a skuteczny.

Zanim notatka wyjdzie z Rezydentury do Centrali, zostanie podwójnie zakodowana. Każda wzmianka o źródle czy materiałach będzie najpierw zabezpieczona kodem rezydenckim, dostępnym tylko szefowi Rezydentury, a dopiero potem przekazana do dalszego zakodowania już przez szyfranta.

Krótko po tym mam już zabezpieczoną skrytkę. Trochę to trwało, ale musiałem wszystko sprawdzić, by potem korzystać z niej naprawdę spokojnie.

W moim bloku są trzy klatki i trzy piętra. W korytarzu każdej klatki schodowej znajdują się bardzo ciężkie drzwi otwierające się w kierunku schodów. Dzięki małej nóżce u dołu drzwi zawsze pozostają otwarte; instrukcja przeciwpożarowa budynku mówi, że należy je zamknąć w razie pożaru (by odciąć drogę ognia). Za drzwiami (tak jak i na całej klatce schodowej) sufit zrobiony jest z płytek z perforowanej płyty pilśniowej zamocowanej na stelażu. Sprawdziłem wcześniej, że w tym podwieszanym suficie nie ma żadnych instalacji, których awarie czy naprawy mogłyby prowokować kogokolwiek do zaglądania w to miejsce. Dodatkowo z żadnego z wizjerów umieszczonych w drzwiach mieszkań, nie można było dojrzeć tego miejsca. Przy moim wzroście odchylenie narożnej płytki i wsunięcie tam worka z zawartością nie było kłopotem.

W firmie gorąco. Mój nowy zastępca, George Amberg, wdraża się w pracę szybko, ale muszę mu poświęcić trochę czasu, żeby jak najlepiej poznał tajniki pracy. A klienci chcą, abym się z nimi spotykał. Zaczynam dzień od spraw z wczoraj i kończę na przekładaniu na jutro. Kłopoty z serwisantami. Tych dwóch na stałe to za mało, wciąż mamy dwóch lub trzech dodatkowych; przyjeżdżają z Polski na miesiąc, dwa, zanim się dobrze wdrożą w pracę — wyjeżdżają. Ale taka jest strategia firmy — oni pracują na wizach czasowych, teoretycznie jako serwisanci fabryczni. W kraju czeka kolejka chętnych na taki wyjazd, a i firma chce wysłać wielu pracowników. To zrozumiałe. Ale odbija się to na naszej pracy. Zwłaszcza że co tu dużo mówić — nasze „najlepsze na świecie” obrabiarki często

ulegają awariom. Kwestia jakości jest tu głównym zmartwieniem. W Polsce nikt nie robi z tego powodu szumu. Psuje się, no i co? Urządzenie musi się psuć. W Stanach jest inaczej. Obrabiarka się psuje, klient ma przestoje w pracy i ci bardziej nerwowi zaczynają wspominać coś o odszkodowaniach. Na wszelki wypadek jesteśmy ubezpieczeni. Ale kłopoty są.

Mam niezłe kontakty w firmie lotniczej McDonnell-Douglas. Podchodzę do nich od dawna, teraz system „małych kroków" zaczyna procentować. Ta firma to potentat. Produkują samoloty cywilne i wojskowe. Też potrzebują obrabiarek. Od blisko roku rozwijam swój kontakt z cywilną częścią firmy. Na tę drugą przyjdzie czas później. „Cywile" są zainteresowani sprzedażą dla Polskich Linii Lotniczych LOT samolotów pasażerskich DC-9 i DC-10. Mają aktywne programy offset na zdobycie dewiz przeznaczonych na zakup ich samolotów. Teraz, gdy tam często bywam, mają na przykład uruchomiony program z Jugosławią. W kantynie firmy są potrawy z jugosłowiańskiej szynki, w sklepie sprzedają pracownikom kożuchy i rękawiczki. Tego samego McDonnell-Douglas wymaga od swoich poddostawców. Można powiedzieć, że jedząc lunch w ich kantynie, współfinansujemy samoloty dla firmy JAT.

Któregoś dnia dzwoni do mnie Ed Rug z McDonnell-Douglas z informacją, że jego firma, w wypadku zakupu przez LOT ich samolotów pasażerskich, byłaby zainteresowana offsetem na polski węgiel i miedź. To było raczej pewne, od początku zdradzali taki kierunek. Ale druga wiadomość, jaką przekazuje Ed, jest znacznie ciekawsza: są w stanie zagwarantować uzyskanie dla LOT-u prawa do lądowania w Chicago. LOT marzył o tym od dawna z racji licznej chicagowskiej Polonii. Ed Rug na odwrocie firmowej wizytówki ma swoje imię i nazwisko napisane w polskim brzmieniu: „Edmund Róg". Bardzo życzliwy i oddany człowiek.

Jadę do niego w pierwszej wolnej chwili. Ed intensywnie pracuje nad sprawą pozyskania kontraktu z LOT-em. Daje mi zdjęcie DC-9 w barwach i z logo LOT-u. Dostaję też od niego książkę, która jest porównaniem ich DC-10 i IŁ-62 ze wszystkimi parametrami obu samolotów. Przygotowali też nowy rozkład lotów dla LOT-u pokazujący, że przy użyciu ich samolotów polskie linie nie muszą mieć ich wiele, by obsłużyć całość sieci. Ed ma w sobie determinację, by sfinalizować ten kontrakt. Obiecuje, że gdy będę miał delegacje z Polski, mogę je przywieźć do McDonnell-Douglas, a on chętnie oprowadzi ludzi po hangarach produkujących najnowsze samoloty. Przy okazji zabiera mnie, abym sam to zobaczył. DC-10 składają na hali mieszczącej sześć gigantycznych kadłubów. Mówi,

że co tydzień są przesuwane na inną pozycję montażową. Imponujące. Jedziemy też do gigantycznej hali, pełnej setek maszyn, gdzie produkują części samolotu. Oglądam elementy skrzydeł produkowane w technologii uważanej za najsilniejszą konstrukcyjnie, zwaną Honeycomb (plaster miodu).

Przekazuję Centrali informacje systematycznie. Z każdego ważnego spotkania robię notatki, które mogą stać się źródłem dalszych naprowadzeń. McDonnell-Douglas z wiadomych względów interesuje moją Centralę wyjątkowo.

Znajomość z X także rozwija się doskonale. Jakby na przekór wytycznym z Warszawy, które nakazują koncentrację wyłącznie na Billu. X szuka kontaktu, jeśli to przerwę, ja wyjdę na kretyna. Próbuję więc znaleźć choćby godzinę w tygodniu, by spotkać się z nim „towarzysko".

Właśnie teraz, kiedy pracy jest tyle, muszę być w domu wcześniej. Wyciągać Billa na korty, na basen i udawać, że mam w pracy trochę luzu, bo Amberg mnie odciąża. Wylegujemy się przy basenie, jestem pokazowo zrelaksowany. W głowie odcinam się od spraw niezałatwionych. I smutnego spojrzenia Basi, że nie zostaję z nią i dziewczynkami, tylko wychodzę z Billem.

Ta wypracowana aura lenistwa wynika z tematu, nad którym pracuję z Billem. Otóż czytamy wspólnie gazety. No dobra, do rzeczy! Czytamy gazetkę „Hughes News" — wewnętrzne wydawnictwo jego firmy. Już kiedyś zwróciłem na nią uwagę, w domu u Billa. Dwa razy pożyczyłem do „poczytania". A Bill stwierdził, że po co mam czekać, aż on przeczyta swoją. Skoro mnie to tak interesuje, bierze dwie gazetki. I czytamy sobie razem. Dla relaksu. Dwóch kumpli przy basenie. Czego tam nie ma! Są informacje o programach, nad którymi pracuje Hughes zarówno tymi, które już wdraża, jak i tymi, o które jeszcze walczy z konkurencją. Są podpisane imieniem i nazwiskiem zdjęcia pracowników tworzących zespoły projektujące czy już budujące konkretne urządzenia. Są zdjęcia samych urządzeń. Na przykład w gazetce, którą przeglądam, jest zdjęcie systemów naprowadzających na cel i kierujących ogniem, a na dokładkę sam radar dla samolotu F-18. I jeszcze jedna bezcenna ciekawostka: symbole poszczególnych urządzeń. W chwili gdy Centrala zastanawia się, jak zadaniować Bella, ten drobiazg staje się istotny. Ciekaw jestem, jak zareagują w Centrali na to cudo. Śmiać mi się chce, bo to tak, jakbym im podał prospekt reklamowy firmy. Nic, tylko pokazać palcem i składać zamówienie! Muszę jeszcze popracować nad dostawcą.

— Bill, słyszałem od Basi, że twoja żona stara się o pracę stewardesy w Pan Am?

— Ach, nie mów mi! Myślisz, że mi się to podoba? Wcale! Ale tam ma perspektywę lepszych zarobków niż w biurze księgowym. A my wciąż potrzebujemy pieniędzy. IRS[3] przyciska mnie o spłatę. Gdyby nie to, nie pozwoliłbym jej na taką pracę. Stewardesa! Wiesz, jak faceci patrzą na stewardesy!

— Przestań! Przecież nie będzie pracowała w PSA[4], tylko w Pan Am.

— No tak, ale to marna pociecha. Jeśli dostanie pracę, będzie ciągle poza domem. Inaczej to sobie wyobrażałem! Zabrałem ja do Stanów, bo chciałem, żeby miała lepsze życie. A wszystko układa się nie tak! Szkoda gadać...

— Bill, chciałbym ci jakoś pomóc. Jesteś świetnym facetem, pracujesz w tak ważnej branży, twoje pomysły są wiele warte! Zasługujesz na lepsze życie. Gdybym był twoim pracodawcą, umiałbym cię znacznie lepiej docenić...

— Właśnie. Chciałbym, żeby moi szefowie myśleli tak jak ty.

— Ale nie myślą i chyba nic na to nie poradzisz. Jesteś dla nich jednym z wielu pracowników... — zawieszam rozmowę. Gorzka chwila. Ale prawdziwa. Musi wybrzmieć. Może gdyby Bill Bell zarabiał w Hughes tyle, ile czuł, że jest wart, nigdy nie doszlibyśmy do tego etapu. Chociaż... Nie sądzę. Sytuacja Billa była po prostu skomplikowana. Mógłbym już powiedzieć kolejne zdanie, ale jeszcze czekam. Mam przeczucie, że Bill sam zapyta. Nie mylę się. Opróżnia szklankę do końca. Bierze wdech.

— Marian, nie chciałem cię pytać, żebyś nie pomyślał, że jestem może jakiś natarczywy... Ale powiedz, ci ludzie z przemysłu nie odezwali się?

— A, tamci. Tak. Ale nic takiego konkretnego nie przekazali.

— To znaczy, że nie są zainteresowani?

— Nie, są. Oczywiście, że są zainteresowani. Tylko widzisz, oni nie bardzo wiedzą, czego mogliby od ciebie oczekiwać.

— Nie rozumiem...

— Nie wiedzą, jakiego rodzaju wiedzę mógłbyś im zaoferować. No wiesz, co konkretnie.

— A, teraz rozumiem! — Bill odpręża się wyraźnie. Chwila, gdy poczuł, że może stracić rysujące się na dalekim horyzoncie źródełko, była dla niego trudna. — A ten system elektroniczno-radarowy, nad którym pracuję... Czy to by ich zainteresowało?

— Ten patent, który mi pokazałeś ostatnio?

— Nie, trochę więcej. Wniosek patentowy nie zawierał szczegółowych danych. I dotyczył tylko mojego usprawnienia w radarze. Myślałem raczej o opisie całego systemu.

— Mógłbym ich zapytać, ale to trochę potrwa, zanim się zastanowią i

dadzą odpowiedź. Zróbmy inaczej. Przynieś mi to, ja im przekażę i zobaczymy, co dalej. Z tego, co mi opowiadałeś o tym systemie, jestem pewien, że jak to obejrzą, będą zadowoleni. I poproszą o więcej.

Bill rozluźnia się. Dolewa do szklanki, zaczyna opowiadać. Gdy się rozstajemy, przytrzymuję go na chwilę.

— Bill, jesteś pewien, że to, co chcesz mi dać, możesz wynieść z firmy w sposób niewzbudzający podejrzeń?

— Marian, gdybym nie mógł, to bym nie proponował. Nie zamierzam stracić pracy. Bądź spokojny.

W gruncie rzeczy jestem. Bill współpracował kiedyś z CIA, chwalił się tym, jak przy tej okazji go przeszkolono w podstawowych zasadach bezpieczeństwa. W HAC też przechodził szczegółowy instruktaż na temat bezpieczeństwa; szkolili go z punktu widzenia kontrwywiadowczego, krótko mówiąc, przeciwko takim ludziom jak ja.

Jeśli teraz przyniesie to, co zapowiada, to za chwilę nasza współpraca zacznie się na dobre. Wtedy przyjdzie czas na to, bym i ja udzielił mu niezbędnych wskazówek. Z Billem Bellem najważniejsze jest to, że jego potrzeby finansowe są duże. Najpierw musi się uporać z wierzycielami, ale gdy to już zrobi, będzie szybko chciał nadrobić stracone lata. Potrzebuje tego dla siebie i Rity. On tę kobietę naprawdę kocha.

Nie, nie mam wyrzutów sumienia, że wciągam go we współpracę z nami. Poznaliśmy się, on już nazywa mnie swoim przyjacielem, ja mam dla niego wiele sympatii. On naprawdę potrzebuje pieniędzy, żeby wyjść z tarapatów. A ja mogę mu w tym pomóc. I w tej chwili jestem jedynym, który mu oferuje pomoc. Jakoś nikt inny się tym nie interesuje! Gdzie jest jego firma? Gdzie ich słynne systemy bezpieczeństwa, mające uruchamiać dzwonki alarmowe, gdy pracownik jest w tarapatach?

Jeśli ta współpraca rozwinie się tak, jak sobie to wyobrażam, może dojść do sytuacji, że Bill, nie przerywając swojej pracy w Hughes, będzie nie tylko przynosił nam gotowe systemy, ale może także — po godzinach — projektować coś na nasze konkretne zamówienie. Ale to dzisiaj jeszcze marzenia. Realia są takie, że najpierw musi zacząć się naprawdę starać, aby Centrala miała go za co docenić. Ja znam potencjał tego faceta. Teraz on musi tego dowieść, a ci, którzy są nade mną, muszą to poczuć. Inna rzecz, że przy zastosowanej przeze mnie procedurze wprowadzania Bella, teraz nastąpi mały punkt krytyczny. Do tej pory dostawał pieniądze niemal za nic. Przyzwyczaiłem go, że jak coś przynosi, to dostanie. Niedużo, ale dla niego każde pieniądze są ważne. A te dotychczas były wyjątkowo łatwe. Teraz na każde kolejne naprawdę będzie musiał zarobić. Sprzyjam mu, ale takie są zasady.

Dzwoni do mnie po kilku dniach i pyta, czy nie mam ochoty na tenisa. W jego głosie jest podenerwowanie, ale trzyma się dzielnie. Nie mówi żadnych: „mam to, o co prosiłeś”, ani „chcę ci coś pokazać”. W duchu gratuluję mu profesjonalizmu. Ale tak się składa, że nie mogę wyskoczyć ani na chwilę. Basia nie czuje się najlepiej, mała Kalisia płacze od godziny. To może być kolka. Przed chwilką wróciłem z pracy i po prostu nie mogę wyjść i zostawić jej znowu samej z tym wszystkim. A wcześnie rano wylatuję w interesach. Wrócę jutro wieczorem. Źle się składa. Choć zjada mnie ciekawość, proponuję wspólną kolację pojutrze, w piątek. Zarezerwuję stolik w Warehouse w Marina del Rey i wyskoczymy z żonami. Bill jest zawiedziony, ale się zgadza.

Basia dogaduje się z panią Wojciechowską, żoną mojego serwisanta, że zostanie z dziećmi. 28 lipca po południu jesteśmy umówieni. Bill i Rita przychodzą po nas. Już w progu widzę, że Bill jest zdenerwowany. Rita wchodzi do pokoju obejrzeć małą, a on sam przytrzymuje mnie za ramię przy drzwiach. Gdy dziewczyny znikają, przekazuje mi dużą brązową kopertę.

— To jest to, co obiecałem... Pomówimy o tym?

— Nie, nie w domu. Jutro na korcie.

— Dopiero jutro?

— Tak, nie denerwuj się — wsuwam mu do kieszeni 200 dolarów. On kiwa głową i sprawdza, ile dostał. Widzę w jego oczach lekki zawód. Patrzy na mnie nerwowo.

— Uspokój się, Bill. Wszystko będzie dobrze. Ale porozmawiamy o tym jutro.

Proszę Billa, żeby wszedł do Basi i Rity, do pokoju dziecinnego, i przytrzymał je tam, aż po nich wrócę. Szybko wychodzę na klatkę i chowam kopertę w schowku.

Po chwili jesteśmy gotowi do wyjścia.

Dopiero po kilku drinkach i dobrej kolacji Bell się odpręża. Ale nie siedzimy długo i gdy wracamy do domu, jest na tyle wcześnie, że mogę jeszcze zadzwonić do konsulatu. Podaję przez telefon kilka szczegółowych danych dotyczących obrotu mojego oddziału firmy. Zwykła informacja, o którą prosił radca handlowy. Ale jednocześnie kod. Dzięki niemu za trzy dni o godzinie 17 przyjedzie do mnie kurier po odbiór specjalnej przesyłki. Do poniedziałku muszę ją przechować.

Nazajutrz spotykam się z Billem na korcie. Przeprasza mnie za swoje wczorajsze zdenerwowanie.

— Do diabła, Marian! Wynieść to z firmy to nic, gorzej, że musiałem to trzymać w domu od środy!

— Spokojnie, Bill. Na przyszłość musimy skoordynować działania. Nie chcę, żebyś cokolwiek przechowywał w domu. To naprawdę ważne. Jeszcze będzie czas, że omówimy spokojnie zasady zachowania naszego wspólnego bezpieczeństwa. Na początek najważniejsza jest absolutna dyskrecja. Czyli Rita też nie może wiedzieć, co dla mnie robisz.

— Ale Rita jest godna zaufania, wierz mi!

— Bill. Takie są zasady. Dla jej i twojego bezpieczeństwa. Rozumiesz?

— Dla jej... Rozumiem, jasne.

— Chyba nie rozmawiałeś z nią na ten temat?

— Nie, no nie rozmawiałem.

— Bill. Proszę cię. Dla waszego dobra.

— Obiecuję, Marian. Obiecuję.

Cholera. Wcale nie mam pewności, czy już jej nie powiedział. Mój przyjaciel ślepo ufa swej małżonce. I nie do końca jestem przekonany, czy dobrze robi.

Basia o niczym nie wie. Nigdy jej nie powiedziałem. Więcej, nigdy przez głowę mi nie przeszło, żeby to zrobić. Dzięki temu naprawdę jest bezpieczna. Nie wiedzą też moi rodzice. Nikt. To nie jest kwestią tego, że tak świetnie potrafię ukryć to, co robię. Albo że im nie ufam. To jest bezdyskusyjny wymóg bezpieczeństwa. To ja pracuję dla wywiadu. Nie oni. Więc konsekwencje wynikające z tego biorę wyłącznie na siebie. Nawet jeśli jedną z nich jest niemożność podzielenia się z najbliższymi ludźmi swoimi problemami. Tych wynikających z oficjalnej pracy mam tyle, że wystarczy. Z pozostałymi muszę radzić sobie sam. Wiedziałem, że tak będzie, gdy podejmowałem tę decyzję. Teraz dochowuję warunków umowy. To dla mnie jasne i oczywiste.

Mówię Billowi, że gdy „ludzie z przemysłu” zapoznają się z tym, co dostarczył, i ocenią zawartość koperty, będę mógł mu wypłacić dodatkowe pieniądze. Że te 200 dolarów ma traktować jak zaliczkę. Jest zadowolony. Mówi mi, że jest tam wstępny opis nowego systemu elektroniczno-radarowego przeznaczonego do lokalizacji, ale i zwalczania obiektów latających i naziemnych. Nosi nazwę CAWGS[5] i w nim właśnie zamierzają użyć usprawnienia, które Bill wymyślił — tej nowej idei radaru pod nazwą „Spin Table Doppler Resolution Improvement Real Beam”.

Zgodnie z ustalonym sygnałem w poniedziałek przyjechał do mnie kurier. Dla niego był to długi dzień. Zaczął wcześnie rano od trasy sprawdzeniowej, by przekonać się, że jest na pewno sam. Potem dopiero dotarł na lotnisko O’Hare w Chicago. Przyleciał do Los Angeles na pokładzie samolotu linii TWA. Zjawił się u mnie w domu na czas. Właściwie był chwilę wcześniej i przy jego pierwszym podejściu nie było mnie jeszcze, ale gdy zapukał po raz drugi, właśnie wróciłem z pracy. Przekazałem mu kopertę, a on wyjął z teczki małą buteleczkę polskiej wódki i wypiliśmy na szczęście. Po kieliszku. Basia zrobiła nam herbaty i wyszliśmy na spacer. Zabrałem ze sobą Małgosię. Był błąd w tym systemie, bo on chciał jechać ode mnie taksówką na lotnisko. Moje osiedle jest kameralne, taksówki jeżdżą tu rzadko, a zamawianie jej przez telefon z domu nie było dobrym rozwiązaniem. W tej sytuacji bezpieczniej już było, żebym sam go odwiózł. Odprowadziłem więc Małgosię do domu, on pożegnał się z Basią i pojechaliśmy. Dobrze, że tylko zamoczyłem usta w kieliszku. Samolot miał w nocy, a na lotnisku byliśmy przed siódmą. W domu będzie o 6 rano. Zostawiłem go z życzeniami powodzenia.

Jednak wracałem do domu w nieszczególnym nastroju. Jeśli współpraca z Billem rozwinie się tak, jak się zapowiada, Centrala musi znaleźć lepsze rozwiązanie na przekazywanie materiałów. Porozmawiam o tym z rezydentem i przez niego przekażę swoją prośbę do decydentów. Teraz to była jedna koperta. Co będzie dalej?

Dalej jest pięknie.

Ponad siedem miesięcy cierpliwego oswajania Williama Holdena Bella, krok po kroczku, koszmarne gry w tenisa, podczas których pozwalałem mu od czasu do czasu wygrać, litry żytniej, które woziłem dla niego z Chicago — wszystko to, połączone z moją autentyczną sympatią do tego gościa — zaczyna przynosić efekt.

W połowie sierpnia dostaję wiadomość z Centrali, że mam Billowi

wypłacić jeszcze 400 dolarów za „kopertę”.

W tym samym czasie mój przyjaciel przynosi 784 (tak, siedemset osiemdziesiąt cztery!) strony tajnych materiałów z HAC. W nich pełen opis założeń technicznych do przekazanego mi wcześniej CAWGS. I żeby niczego nie brakowało, propozycja rozwiązania konstrukcyjnego projektu i napędu wieżyczki czołgu, na którym miałby być zainstalowany ten system. Cudownie! W mojej służbie, jak w każdej innej na świecie, na takie osiągnięcia czeka się niekiedy latami. Czasami nigdy się do nich nie dochodzi. Przypominam sobie euforię, jaką czułem, gdy zaproponowano mi wejście do służby. Myślałem wtedy: chcę być wielki! Chcę przenosić góry dla mojego kraju! Chcę pokazać, że Polak potrafi! I teraz czuję, że żyję.

Dokumentacja CAWGS prezentuje go jako projekt nowych systemów elektronicznych, przeznaczonych do lokalizacji i zwalczania obiektów latających i naziemnych. W rozwiązaniach wykorzystano najnowsze osiągnięcia optyki i elektroniki — lasery, radary itp. Systemy te będą montowane na pojazdach naziemnych oraz na niektórych obiektach latających. Ich zadaniem będzie dokładne, dotychczas niewykrywalne, rozpoznawanie czołgów, pojazdów opancerzonych, helikopterów, samolotów oraz innych celów militarnych przeciwnika i ich niszczenie. Zdolne będą również do przechwytywania i zwalczania rakiet bliskiego i średniego zasięgu.

Niewiele śpię, bo w pracy nawał roboty. Cholerne awarie obrabiarek. Szukamy rozwiązania systemowego, bombardujemy Henryka Słowińskiego, dyrektora technicznego Polamco w Chicago, żeby coś z tym zrobił. Jestem w stanie sprzedać obrabiarkę każdemu, ale jak zaczyna się psuć, muszę używać całej swej energii na łagodzenie niezadowolenia klientów. Serwisanci pracują non stop. Amerykanie przecierają oczy ze zdumienia na widok naszych szaf sterowniczych i porcelanowych bezpieczników. Od 6 rano jeżdżę od klienta do klienta i nadrabiam miną. 400 mil dziennie samochodem to teraz norma. Wracam do domu, a tam czeka na mnie Basia z nadzieją, że wezmę od niej płaczącą Karolinę albo chociaż zabiorę Małgosię na spacer. Bill niecierpliwi się, chce, żebym miał dla niego czas bez limitu. Wieczorami muszę popracować nad tym, czego nie zrobiłem w firmie. W nocy Kalisia źle śpi.

W noc po tym, jak Bill przyniósł mi te 784 strony, nie śpię wcale. Wracam do firmy. Muszę zadzwonić do ochrony, podać swój kod. To nie jest komfortowe rozwiązanie, mój przyjazd będzie odnotowany. Ale nie ma innego wyjścia. Przecież nie pójdę z tym do punktu usługowego. Zamykam się, choć nie sądzę, by ktoś tu przyszedł. Mój zastępca wyjechał z biura o

18, napracował się dość. Kopiuję. Przez cały czas zastanawiam się, jak ukryć te prawie 800 stron na liczniku kserokopiarki. Moje sekretarki zawsze mogą pamiętać, jaki był ostatni stan licznika. Wprawdzie ostatnio, przygotowując grunt pod przyszłe uzyski od Billa, zachęcam pracowników do kserowania różnych materiałów, ale 800 stron to sporo. Po namyśle biorę najgrubszą z instrukcji technicznych obrabiarek i ją też kopiuję. Ma niecałe 100 stron. Zostawiam ją w widocznym miejscu. Jutro powiem, że potrzebowałem osiem takich dla klientów. Wychodzę z pracy po północy. Po drodze odwiedzam skrytkę. Kopertę od Billa schowałem w korytarzu na swoim piętrze, tym razem korzystam z tego samego miejsca, ale na parterze. W domu czekają na mnie papiery do przejrzenia — dokumentacja kilku ostatnich reklamacji. Kończę czytać przed 5 rano. Nie ma po co się kłaść. Nim wyjadę do pracy, wstępuję do Billa. Oddaję mu jego materiał. On też musi go dzisiaj odłożyć tam, skąd wziął.

Trzeba to szybko dostarczyć do Chicago. Wprawdzie poprzedni kurs oficera do mnie zakończył się sukcesem, ale jestem już przekonany, że mniej nietypowy będzie mój przylot do Centrali Polamco niż jego kolejny rejs do Los Angeles. Już wtedy czułem, że sprawę łączności trzeba rozwiązać, ale nie sądziłem, że tak szybko stanie się to niezbędne. No, dobra. Skoro nie ma wyjścia. Dzwonię do Polamco, zapowiadam swój przyjazd. Do konsulatu nie dzwonię.

Proszę sekretarkę o jeszcze jedną kopię instrukcji obrabiarek. Do tego biorę dokumentację transakcji mojego oddziału z ostatniego miesiąca i kilka reklamacji. Robię z tego wszystkiego, wraz z materiałami od Billa, niezły przekładaniec. Myślę, że przydałby się jeszcze Kopciuszek w pakiecie. Zręczne rączki, które to wszystko rozdzielą w Chicago. Ale oczywiście w tej bajce ja sam jestem księciem, wróżką i Kopciuszkiem na dokładkę. Trochę mi pomaga oficer Rezydentury. Akurat tyle, co te gołąbki czy myszy, czy co to tam było w bajce (dawno nic nie czytałem Małgosi). Rozkładamy całą bibliotekę z mojej teczki na podłodze i rozdzielamy na kupki. CAWGS, instrukcja, reklamacje, sprzedaż. Zrobione. Jako dokładkę zostawiam mu kilka numerów „Hughes News” i proszę o przekazanie w komplecie.

Najbliższą pocztą dyplomatyczną przesyłka dostanie się do Polski. Jest tego za dużo, by kurier miał to w bagażu osobistym. Więc zostaną odłączone strony, które w jakikolwiek sposób mogą naprowadzić na źródło (zarówno Billa, jak i HAC) i tylko one zostaną włożone do bagażu osobistego kuriera. Kurier bagaż ma przypięty do ręki łańcuchem z ogniwem (trochę jak kajdanki) i przez całą drogę się z nim nie rozstaje. W tej „osobistej” walizeczce znajduje się ładunek, który — w razie otwarcia

jej przez osobę niepożądaną — spopieli zawartość. Reszta dokumentów poleci w plombowanym worku dyplomatycznym, który jest ładowany do luku bagażowego i zamykany w obecności kuriera. A gdy samolot wyląduje, kurier pierwszy zejdzie na płytę lotniska, by być przy otwarciu luku. Kurierzy latają we dwójkę, na wypadek gdyby któremuś z nich przytrafiły się, na przykład jakieś kłopoty zdrowotne.

Jedziemy z oficerem na spacer, musimy omówić sprawy związane z poprawą łączności. Jest kilka pomysłów, ale mój rozmówca nie sądzi, by Centrala wyraziła na nie zgodę. Mówi jeszcze jedną rzecz, która mnie niepokoi.

— Wiesz, najgorsze, że jest problem z dobrym tłumaczeniem, z właściwym zrozumieniem tych zagadnień od Billa, nad którymi pracuje w Terra (nasz kryptonim Hughes Aircraft Company). Nowoczesne radary, sensory, systemy naprowadzania to trudne teksty, bardzo specjalistyczne. Trochę potrwa, zanim na dobre będą wiedzieli, z czym mają do czynienia.

— Przecież są specjaliści z WAT-u.

— Tak, tak. Ale to nie takie proste.

— Kurwa! Jakby było proste, to by nie było tajne. Wydobywam materiały robione dla Sztabu Generalnego NATO, a ty chcesz mi powiedzieć, że Centrala nie znajdzie dobrego tłumacza?!

— Nie denerwuj się. Ja tylko mówię, że nie każdy to może tłumaczyć.

— To chyba jasne.

Rozstajemy się w takim sobie nastroju. Klnę w myślach.

Jadę do centrali Polamco. I znów klnę w myślach — reklamacje. Nie ma jeszcze decyzji ze strony producentów maszyn (bo kto za to zapłaci?) na montowanie kompletnych amerykańskich szaf sterowniczych. Za to jest postanowione, że do oferty włączamy silniki elektryczne. Na szczęście po dosyć gwałtownej dyskusji zapada jednak oczekiwana decyzja, że tu, na miejscu będziemy kupować amerykańskie skrzynki i w całości wkładać je do obrabiarek (z których uprzednio wyjmiemy skrzynkę z elementami elektryki produkcji krajowej). Robota dla naszych serwisantów, ale za to szansa, że nie będą wzywani do klientów co chwilę i nie będą musieli wysłuchiwać na temat naszych „porcelanek”.

29 sierpnia znów jestem w Chicago. Przychodzi specjalna depesza. Czytam ją w konsulacie. A tam opinia ze Sztabu Generalnego WP, że dokumenty, które przekazałem, wzbudziły duże zainteresowanie. Piszą, że CAWGS to niezwykle nowoczesne rozwiązanie, które pozwala na jednoczesne śledzenie kilku celów metodą wielowiązkową. Ulżyło mi. Po ostatniej rozmowie z oficerem miałem mieszane uczucia. Teraz mi lżej, bo

mam pewność, że w sztabie wiedzą, co dostają.

Zapoznaję się też z analizą mojego ostatniego raportu, przygotowaną przez oficera Centrali Wywiadu. To stały rytm naszej pracy, obieg papierów, analiz, raportów. Ja piszę raporty mniej więcej raz na dwa miesiące. Szczegółowe opisy tego, co robię, jak robię, jak zachowuje się moje źródło, jak otoczenie. Centrala na tej podstawie przygotowuje analizy. W tej, którą czytam, za okres od 11 czerwca do 21 sierpnia 1978 roku, zawarte jest streszczenie mojej pracy z Billem, analiza jego zachowania i wnioski. Zwracają uwagę na przytoczony przeze mnie w raporcie fakt, iż Rita podczas wspólnej kolacji powiedziała: „Ja też kiedyś pracowałam z generałami, w pewnej firmie serwisowej" (a było to tuż po tym, jak Bell przekazał mi „kopertę"). Oficer, podobnie jak ja, uważa, że Rita jest zorientowana w działalności męża. We wnioskach analiza sugeruje zwiększenie częstotliwości i wysokości wypłat dla Billa, ale bez zbytniej przesady, aby nie rozwiązał swoich problemów finansowych przed ostatecznym związaniem z naszą służbą.

We wrześniu dostaję potwierdzenie, że za poprzednie materiały mogę wypłacić Billowi 1000 dolarów. Pieniądze dostaję w naszej Rezydenturze.

Bill systematycznie przynosi „Hughes News", ja równie regularnie przekazuję je do Chicago.

W wyniku lektury wpadam na pomysł, by poprosić Billa o wewnętrzną, firmową książkę telefoniczną. Mam więc z gazetek informacje, kto nad czym pracuje. A z książki telefonicznej bezpośrednie namiary do tych ludzi. Bill sugeruje, że on mógłby dla mnie o coś popytać, ale proszę go, żeby tego nie robił. Wraz z oficerem Rezydentury na podstawie gazetek sporządzamy listę osób, które nas interesują, taką swoistą biblioteczkę danych. Zwłaszcza że książka telefoniczna obejmuje także pracowników zatrudnionych we wszystkich zakładach Hughesa, w tym i w Tuscon, w Arizonie. Tam, gdzie produkują między innymi rakiety przeciwczołgowe typu TOW (Tube Launched Optically Tracked Wire Guided Missile), a także inne rodzaje rakiet, na przykład te, które są montowane w samolotach myśliwskich.

I wtedy dostaję w Rezydenturze instrukcję operacyjną, od której cierpnie mi skóra. Jej motyw przewodni brzmi: inspiracja obcych służb.

Kurwa mać! W wywiadzie tak jest: jak sam spieprzysz robotę, to nazywaj to „prowokacją", a jak się boisz zadania, to okrzyknij je „inspiracją obcych służb" i możesz schować głowę w piasek. Jestem pewien, że za instrukcją stoi Sergiusz, naczelnik Wydziału VI[6].

Wnioski w instrukcji są takie, że „może zachodzić" (sformułowanie służące do krycia tyłka autora) inspirujące działanie Amerykańskich Służb

Specjalnych. Wysnuwają je z informacji Bella o rosyjskich radarach i (to jeszcze lepsze!) z „całości opisowej programu". Zastrzeżenia budzi także fakt, iż żona Bella powiedziała mimochodem coś o współpracy z generałami. I konkluzja: całość sprawia wrażenie logicznego działania celem wciągnięcia nas w określoną aferę (niemal widzę, jak Sergiusz pisze te słowa!), co więcej, żeby zachowanie Bella wobec mnie było naturalne i nie wzbudzało podejrzeń, służby amerykańskie mogą prowadzić swoją grę bez jego świadomego udziału. I polecenie: mam chwilowo nie przyjmować od Billa żadnych materiałów, żeby sprawa się mogła wyklarować.

Czytam dwa razy, bo nie wierzę. Oficer Rezydentury rozkłada ręce i wzrusza ramionami:

— Stara szkoła!...

— Czy on był kiedyś w terenie? Czy on kiedyś pracował?... Ach, szkoda gadać!

— Pewnie czyścił oficerki towarzyszom na froncie. I tropił wrogów ludu po wsiach!

— Przestań. Wiesz, co mi ostatnio tłumaczyli „specjaliści" w kraju? Żebym pamiętał, jak gubić obserwację na ulicach. Gada do mnie, gada, pokazuje. A ja mu mówię: człowieku, w Los Angeles nie ma chodników! Tam, gdzie ja pracuję, tam, gdzie uczysz mnie, jak gubić obserwację, w tym małym kawałku wielkiego Los Angeles tak się akurat składa, że nie ma chodników! Wszędzie jeździ się samochodami, a obserwację pieszą to mogę wykrywać w centrum handlowym, na wystawie łódek albo w parku w Santa Monica!

— A on co? — oficer jest rozbawiony, z jego miny wnioskuję, że niejedno takie szkolenie przeszedł.

— A on zamrugał i pyta mnie: „Nie ma chodników? To co jest?".

— *Freewaye*! — kończymy obaj chórem i wybuchamy śmiechem.

Ale gdy wracam do domu, nie jest mi do śmiechu. Bill jest gotowy do pracy na najwyższych obrotach, przełamał się. Zaczyna zbierać dla nas fenomenalne materiały, a ja mam mu powiedzieć: „Stary, teraz nie biorę"?! Bo pewien towarzysz w Warszawie (przepraszam, człowiek od przemysłu) boi się, że za tobą stoi FBI z gotową inspiracją? Absurd. Zresztą nie chodzi tylko o Bella. To nie jedyna rzecz, nad którą pracuję. Jak to ma wyglądać dalej? Będę dokonywał cudów, dwoił się i troił, narażał siebie i tych, którzy dla mnie pracują, a w kluczowym momencie, będę im mówił: „Weź i potrzymaj to trochę w garażu, bo chwilowo nie mogę tego przyjąć"? Ta cholerna instrukcja otworzyła strumień gorzkich refleksji, których wcześniej starałem się do siebie nie dopuszczać. Źle radzę sobie z ludzką głupotą. Ale w końcu nie po to wchodziłem do tej rzeki, by z niej

wychodzić, bo ktoś na brzegu krzyknął ze strachu. Służba to także odpowiedzialność. A ja nie przysięgałem temu palantowi, tylko Polsce. I tego będę się trzymał. Pracuję dalej.

W październiku mój serwisant Ryszard Nowak opowiada mi ciekawą rzecz. Siedzimy w pracy, czekamy na dostawę. Opóźnia się, więc jest okazja, by pogadać. Mówi, że z naszą sekretarką, Evą Guzman, kontaktowało się FBI. O mało się nie zakrztusiłem kawą.

— Kiedy?

— Jakiś czas temu, jeszcze jak mieliśmy siedzibę w Paramount. Zadzwonili do niej do domu i poprosili o współpracę. No, żeby opowiadała im co się dzieje w firmie, jakich mamy klientów, takie rzeczy.

— A Eva co?

— O, to jest cwana babka! Zapytała ich, za ile będzie ta dodatkowa praca, gościu z FBI się speszył, powiedział, że za darmo, i Eva go wyśmiała.

— Słusznie. Nie ma się co nimi przejmować, to normalna procedura. Jesteśmy na ich terenie, chcą wiedzieć, z kim mają do czynienia. Zresztą wydaje mi się, że po przeprowadzce tutaj jeszcze częściej ich widuję. Trzeba się liczyć, że do każdego z pracowników mogą zadzwonić.

— No tak właśnie jej powiedziałem.

— A do ciebie dzwonili?

— Szefie, a co, ja na kapusia wyglądam?

Śmieję się razem z nim, i myślę, że ci, którzy najmniej wyglądają, najszybciej się łamią. Czas pokaże.

Kilka dni później przyjmujemy towar. Jestem w magazynie. Sekretarka krzyczy przez całą halę, że jest do mnie telefon, dzwoni Kaziu Tarczyński. Odkrzykuję, że nie mogę podejść, że oddzwonię. Ale ona skacze, macha do mnie, jakby się paliło. Zostawiam więc wszystko i biegnę do biura. A Kaziu w słuchawce łka i śmieje się na przemian:

— Wojtyła został papieżem! Mamy papieża Polaka! Jezus Maria!

Nie wierzę, każę Kaziowi się uspokoić i powtórzyć wszystko od początku. W końcu dociera do mnie. Dzwonię do Basi, ale ona już wie, oglądała telewizję. Dzwonię do Waldka Soszyńskiego. On też już wie. Serwisanci klepią się po plecach, panu Jankowi łza się kręci w oku. Mowy nie ma o przyjmowaniu towaru. Obrabiarki naprawdę mogą poczekać.

W listopadzie mam dwie ważne informacje, właściwie jedna po drugiej.

Y, którego, zgodnie z instrukcją Centrali, miałem zostawić wyłącznie na później, przynosi mi informacje o nowych projektach wdrażanych przez

firmę konkurującą z HAC. Pamiętam, jak w gazetkach od Billa czytałem o rywalizacji trzech firm na elementy związane z produkcją samolotów przy zastosowaniu technologii Stealth. Więc wszystko się zgadza.

Jednocześnie Bill przynosi mi niewielki konspekt, który jest udoskonaleniem przekazanej wcześniej technologii CAWGS.

Mam w pamięci „zakaz przyjmowania" z powodu spiskowej teorii dziejów wymyślonej przez naczelnika Wydziału VI. Trudno, najwyżej mnie odsuną. Nie mogę nie brać takich gorących materiałów, kiedy mam taką możliwość. Albo jestem wywiadowcą, albo nie. Biorę, płacę ze swoich pieniędzy. Lecę do Chicago, pokazuję oficerowi w Rezydenturze, co przywiozłem. Przeciera oczy.

— Marian! Serio?!

— Tysiąc wyłożyłem ze swoich. Zdecyduj, czy mi oddacie, czy mam to traktować jak inwestycję w przyszłość służby.

— Jasne, że ci oddamy. Zrobię raport do Centrali w trybie dokonanym. Zobaczymy, jak zareagują. A za dwa dni leci kurier dyplomatyczny do Warszawy, więc za długo nie będą czekali. Sam jestem ciekaw.

— Dzięki, stary, że przynajmniej na tobie mogę polegać.

Wiadomość z Centrali nadchodzi po tygodniu. Są zachwyceni. I gdzie tu logika? Chociaż nie, przepraszam. To właśnie jest logika: dostali z zaskoczenia dobry materiał, więc mają się czym pochwalić przełożonym. A ryzyko było żadne. Dla nich oczywiście. Kocham swoją pracę. Ale o ileż łatwiej byłoby, gdybym pracował w innym zespole. Wiem, że talentów tam nie brakuje. Mnie chyba „ukarano" towarzyszem Sergiuszem.

Gdybym mógł polegać na tych ludziach tam, tysiące kilometrów stąd. Przy tym, co otwiera się przede mną, moglibyśmy zaplanować pracę na dłuższy czas. W zasięgu ręki są możliwości i efekty, jakimi nie poszczycił się żaden wywiad naukowo-techniczny w krajach naszego bloku w ostatnich latach. To jest realne. Ale po drugiej stronie za często zmieniają zdanie, jakby nie mieli świadomości tego, co się tutaj dzieje. Momentami są w tej robocie zbyt chaotyczni. Brakuje jasnych, przejrzystych posunięć. Szczególnie w aspekcie łączności. Odnoszę wrażenie, że tego najważniejszego tematu w ogóle nie posuwają do przodu. Jakby czekali, aż „samo się rozwiąże".

Na początku grudnia Cross Creek Village zostało zelektryzowane pismem, które otrzymali wszyscy mieszkańcy. Regis Homes, firma administrująca naszym osiedlem, poinformowała nas, że musimy wykupić mieszkania. Zmienia się system zarządzania i przestają wynajmować lokale, jak było do tej pory, przekształcając je w lokale własnościowe. W niedzielę, 10 grudnia 1978 roku, zostało zwołane spotkanie wszystkich

mieszkańców z Davidem Jacobsonem, prezesem Regis Homes. Na spotkanie poszliśmy w trójkę: Michael Heffron, Bill Bell i ja. Brenda i Basia zabrały w tym czasie dzieci na spacer, a Rity nie było w Los Angeles, bo dostała swoją wymarzoną pracę stewardesy w Pan Am i już drugi miesiąc siedziała w bazie na Hawajach. Nie wyglądało to dobrze, bo albo trzeba się było zdecydować na wykup mieszkania, albo... szukać nowego. Nasze mieszkania zostały wycenione na 77 tysięcy dolarów. Do 22 grudnia trzeba było zarezerwować mieszkanie, wpłacając część sumy. Taka szybka rezerwacja dawała prawo do trzech tysięcy upustu od ceny mieszkania. Potem należało wpłacić dziesięć procent wartości mieszkania i resztę można było skredytować w firmie Regis Homes. Wyszliśmy. Michael nie przejął się tym specjalnie.

— Wezmę kredyt — skwitował i poszedł zdać Brendzie relację z przebiegu spotkania.

Bill wpadł w panikę.

— Jasna cholera, Marian! Jestem uziemiony! Jeśli nie zdobędę tych pieniędzy, będę się musiał wyprowadzić do jakiejś nory! Przecież ja przy swoich długach nigdzie nie dostanę kredytu!

— Bill, spokojnie. Przestań krzyczeć! Daj mi pomyśleć.

Spojrzał na mnie i usiadł. Zamknął się w jednej chwili. A przecież i mnie nie było do śmiechu. Do tej pory układ był idealny. Nasze sąsiedztwo pracowało na nas. Mogliśmy się spotykać do woli, rozmawiać do woli, przekazywać sobie, co trzeba. Kurwa mać! Nie wiem, jak na to zareaguje Centrala. 77 tysięcy dolarów to kupa pieniędzy. A przecież nie wystarczy wykup mojego mieszkania. Trzeba będzie wspomóc Billa. Jesteśmy transakcją wiązaną.

— Bill, daj mi kilka dni. Nie rób żadnych chaotycznych ruchów. Zorientuję się, co mogę dla ciebie zrobić.

— Marian... naprawdę? Pomógłbyś mi?

— Dzisiaj nie mogę ci nic obiecać, bo ja nie dysponuję takimi pieniędzmi. Ale dowiem się, czy przedstawiciele naszego przemysłu nie mogliby... powiedzmy, skredytować dla ciebie zakupu tego mieszkania.

— Pogadaj z nimi, proszę. Wiesz już, ile mogę dla was zrobić, oni też już wiedzą...

— Kilka dni? OK?

— Jasne. Dziękuję ci.

— Ci... daj mi najpierw pogadać. To nie ja decyduję o takich pieniądzach. I pomyśl, co mógłbyś im za to zaproponować.

W poniedziałek poleciałem do Chicago. W pokoju rezydenta napisałem

notatkę, szczegółowo opisując sytuację, warunki i terminy płatności zarówno swoje, jak i Billa.

Centrala zareagowała naprawdę szybko.

Zostałem błyskawicznie wezwany do Warszawy. 14 grudnia byłem już w samolocie. Decyzja była jednoznaczna: z racji korzyści płynących z tego kontaktu, trzeba doprowadzić do kupna obu mieszkań. I mojego, i Billa. Ale wbrew pozorom, w sprawie Billa udało się zadziałać szybciej — tu całość leżała bowiem po stronie Departamentu I. Po ostatnich „nierównościach" ze strony Centrali byłem naprawdę mile zaskoczony sprawnością.

Żeby załatwić sprawę wykupu mojego mieszkania, potrzebna była zgoda Metalexportu, mojej firmy macierzystej. Podobnie jak w innych nagłych sytuacjach, do dyrektora udał się wysoki rangą urzędnik Ministerstwa Przemysłu Maszynowego. I poprosił o przeprowadzenie tej transakcji. Musiałem więc napisać stosowne pismo do dyrektora Metalexportu, Aleksandra Junga, on musiał na innym piśmie zebrać stosowne podpisy, oświadczenia i następnie wyraził zgodę. Oczywiście mieszkanie nie będzie własnością Zacharskiego, tylko Metalexportu. A stronę finansową transakcji ma zabezpieczyć Polamco.

Czas naprawdę naglił, w Warszawie byłem ledwie kilka dni, wyleciałem z powrotem 21 grudnia, a na drugi dzień rano, czyli w wyznaczonym przez zarządcę osiedla końcu rezerwacji, wręczyłem Billowi 3 tysiące dolarów, które przywiozłem dla niego.

Zdążyłem. Ja na święta — on z rezerwacją na zakup mieszkania.

No i chwała Bogu. Tyle że nie było cudu — z powodu skomplikowanej formy zakupu w moim przypadku, nie zarezerwowałem swojego mieszkania.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pewien incydent podczas pobytu w Warszawie. Spotkanie w lokalu konspiracyjnym. Obecny jest mój oficer prowadzący i Sergiusz, naczelnik Wydziału VI. Ni stąd, ni zowąd Sergiusz wypala:

— Nasze służby rejestrują ostatnimi czasy wypadki zdrady interesów Polski przez naszych obywateli przebywających służbowo za granicą.

Przez chwilę nie rozumiem. Ale on wpatruje się we mnie i czeka.

— O co konkretnie panu chodzi? — pytam.

— Konkretnie to o nic. Tylko przestrzegam, że państwo polskie traktuje takie przypadki z najwyższa surowością!

— Nie ma pan do mnie zaufania? Wobec tego proszę o zwolnienie mnie ze służby!

— Nie, no żeby się tak od razu unosić...

— Nie życzę sobie takich insynuacji. Jak ma pan coś do mnie — to proszę natychmiast zaprezentować konkrety! I jednocześnie niech pan od razu szuka kogoś na moje miejsce, kto będzie wam równie skutecznie dostarczał materiały wywiadowcze!

— Ależ proszę się nie obrażać, ja tylko tak ogólnie wspominam, żeby pan pamiętał, jak należy się zachowywać, reprezentując interesy kraju...

Co za typ! Widzę kątem oka, jak oficer prowadzący się śmieje, gdy ten tutaj, towarzysz — prowokator niemal zaczyna zamiatać ogonem. Zagotowało się we mnie. Siedzi „wicie, rozumicie" na tyłku za biurkiem, w życiu nic dla służby nie zrobił i ośmiela się wychodzić mi z takimi podejrzeniami! Na szczęście zaraz wyszedł, a oficer skwitował to:

— Marian, zapomnij o tej rozmowie. To towarzysz, któremu się czasy całkiem pomyliły. Wszyscy tu znosimy go, bo musimy, trzyma się stołka z partyjnego rozdania i tyle. Ty i tak masz z nim kontakt sporadyczny. Wyobraź sobie, co mamy na co dzień. Ale powiem ci, nawet w kierownictwie Departamentu traktowany jest jak wrzód na dupie. Udawaj, że go słuchasz, i rób swoje. Rób swoje, bo takich wyników jak ty nie miał nikt do tej pory!

Wiem. Wiem o tym. I tym trudniej mi zaakceptować, że ktoś taki jak on pełni funkcję w wywiadzie. Że ktoś taki może oceniać moją pracę. Kurwa mać! Powiedzmy wprost: insynuować mi zdradę! Zawiało stęchlizną stalinowskich czystek.

Na szczęście decyzje tych, którzy byli nad towarzyszem Sergiuszem, wyraźnie wskazywały, że mają odmienne zdanie. W przeciwnym wypadku nie podjęliby decyzji o wykupie mieszkań. Nie gadali, tylko zrobili to, co było konieczną inwestycją w pracę z Billem. I zrobili to w iście sprinterskim tempie. To mnie upewnia w przeświadczeniu, że naczelnik Wydziału VI to po prostu „wypadek przy pracy". Każda organizacja, bez względu na kraj, ma swój procent facetów, którzy normalnie nigdy nie powinni być jej członkami.

Mogłem spokojnie zapewnić Billa, że otrzyma pomoc finansową w zakupie mieszkania. Teraz się aż tak nie śpieszyło. Dalszą część pieniędzy wystarczyło wpłacić do końca marca.

Sąsiedztwo zostało przetasowane. Do tej pory mieszkaliśmy, Bill i ja, na tym samym, trzecim piętrze. Heffronowie pod nami na drugim. Po zmianach tylko Bill zostanie u siebie. My i Heffronowie przeprowadzimy się do mieszkań w bloku obok, i oni tym razem zamieszkają nad nami.

— Zobacz, Marian, Bill tak panikował, już się wyprowadzał, już w łeb

sobie strzelał, a tu on jedyny wyrobił się ze wszystkim na czas — powiedział cierpko Michael, jak już roszady sąsiedzkie stały się faktem. Nie był zadowolony, bo za długo zwlekał z załatwieniem swojego kredytu i tak jak my nie zdążył z rezerwacją. A Brenda ciosała mu kołki na głowie.

— Wiesz, jak to jest — powiedziałem na odczepnego. Głupiej już nie mogłem. Gdyby Michael wiedział, jak to jest, mógłby dostać zawału.

Bill, gdy po rozmowie z Centralą przekazałem mu dobre wiadomości, był jak w letargu. Ciągle pytał mnie, czy to prawda, czy „ludzie z przemysłu" się wywiążą. Uspokoił się, gdy przekazałem mu obiecane 3 tysiące dolarów. Rita dostała kilka dni urlopu i przyjechała do domu. Zaprosili nas do siebie na kolację. Żona Billa, nieco bardziej rozszczebiotana niż zwykle, on dość chmurny. Gdy wyszliśmy, Basia, przedrzeźniając Ritę, zaczęła się do mnie przymilać:

— *Schatzie, Schatzie...*

Rozśmieszyła mnie. Ale moja żona zna się na ludziach. Zresztą, nie trzeba być psychologiem, by zorientować się, że Rita traktuje Billa instrumentalnie. Udało mu się załatwić mieszkanie — nagroda. Przypuszczam, że on tracił humor z powodu jej pracy. Była długo poza domem. Kto wie, co tam robiła. Bill, jak większość mężczyzn, myślał niekiedy o rzeczach, które zapewne wcale się nie wydarzyły, a gdyby nawet, to nie miał na to żadnego wpływu. Ale nie mówił nic na ten temat. Dla niego Rita była świętością. Szanowałem jego postawę.

Jeszcze w grudniu Bell zdopingowany sprawą mieszkania zaczął przynosić materiały.

Zaczął od naprawdę „wysokiego C" — był nim pełen techniczny opis radaru samolotu F-18, składający się z siedmiu tomów — łącznie tysiąc pięćset pięćdziesiąt pięć stron!

Gdy przekazywał mi to, poprosił, bym nie skopiował przypadkiem karty rejestracyjnej. Kartę (dołączoną do jednego z tomów) musiał wypełnić, biorąc te materiały z biblioteki specjalnej w swojej firmie. Jasne było, iż mogła ona natychmiast zdekonspirować Billa jako moje źródło.

Tych siedem tomów o radarze F-18 musiałem obrobić sam. W ciągu kilku godzin, od wieczoru, kiedy mi je dostarczył, do wczesnych godzin nocnych. Dłuższe zostawanie w biurze wzbudziłoby zastanowienie w firmie ochroniarskiej. A na 7 rano Bill potrzebował te tomiska, żeby odnieść je do pracy.

A to był dopiero początek dosłownie lawiny materiałów. I ich waga wcale nie słabła!

Z racji jego specjalizacji w systemach radarowych, HAC delegował go do spotkań z generalicją. Po takich naradach Bill przygotowywał dla generałów Armii Amerykańskiej konspekty wystąpień do Kongresu, mające uzasadnić zwiększenie wydatków na zbrojenia w ramach NATO. Jeden z nich, liczący 118 stron, przekazał mi. Przy okazji opowiadał o nastrojach panujących wśród wojskowych najwyższego szczebla. Słyszał, co generałowie mówią o możliwości konfrontacji zbrojnej między supermocarstwami. Nie lubił Niemców, nie lubił Rosjan, ale miał wiele sympatii do Polski. Wiedział, że nasz kraj przestanie istnieć, jeśli dojdzie do wydarzeń, o których mówią „jastrzębie" wśród generalicji. Pewnie i tym po części tłumaczył swoje postępowanie, uspokajał się wewnętrznie.

Przyniósł mi także konspekt napisany dla generałów na temat „cichego radaru", czyli technologii LPIR/CAWGS.

Do tego dane BSTAR (Battlefield Surveillance and Target Acquisition Radar) — systemu radarowego nieco zbliżonego do CAWGS i duży dokument firmy Westinghouse Electric Corporation, a dotyczący tzw. Electromagnetic Launching Projector. A tymczasem zasypywał mnie informacjami, których nie miał na piśmie, a były niezwykle istotne. Zapisywałem je w całości. Opowiadał między innymi o próbach systemu LPIR (cichego radaru) przeprowadzonych z samolotem F-111. Zdecydowano się na udział w eksperymencie tego akurat modelu samolotu, bo F-111 miał do tej pory najlepsze osiągnięcia w wykrywaniu radarów śledzących jego lot z ziemi. Próby wypadły doskonale — LPIR podjął samolot z dużej odległości, a piloci F-111 nie mogli w żaden sposób stwierdzić obecności pracującego na ziemi radaru. Gratulacje po tym teście napłynęły z DARPA[7] i Waszyngtonu. W wyniku udanych demonstracji rząd USA zlecił dokonanie zmian konstruk cyjnych we wszystkich samolotach bojowych, w tym F-14, F-16, F-18, F-111. Czas wdrażania wydłużono do 36 miesięcy i zaplanowano zmianę nazwy na Dual Purpose Weapon System, bo uważano, że poprzednia zdradza idee radaru. Przyniósł także informację o nowym programie zwiększającym skuteczność ognia artyleryjskiego. Wszystko to było niezwykłe. Tu nie było słabszych dokumentów, każdy był na wagę złota!

Część z tych materiałów sam skopiował, bo nie mógł mieć ich dłużej niż kilka godzin. Inną część, dotyczącą zastosowania dalmierza laserowego na czołgach przekazał mi w formie fiszki (kilkadziesiąt klatek mikrofilmu na jednej większej kliszy).

Pracowaliśmy obaj jak w gorączce. Przerabialiśmy setki stron. A wartość tych papierów była taka, że miałem ochotę krzyczeć z radości. W takich chwilach wychodzi kolejna cecha tej służby: sukces jest cichy. Wielki

sukces jest tak cichy, że nawet najbliżsi nie wiedzą, że coś się stało. W naszej pracy głośne są tylko wpadki!

Festiwal radarów zakończył się 22 lutego 1979 roku, wraz z przekazaniem przez Billa ostatnich usprawnień do radaru F-15.

Ponieważ materiały spływały stopniowo, trzeba było korzystać ze skrytek. A w pewnym momencie zamiast używać ich w sposób rotacyjny, musiałem zapełnić wszystkie. Nie chciałem również, by Bill trzymał cokolwiek w domu. Pilnowałem go. Nigdy, poza tamtym pierwszym razem, gdy przez parę dni musiał przechować „kopertę", nie pozwalałem mu, by naruszył tę świętą zasadę. Bill brał materiały z pracy, dawał mi na noc do skopiowania, rano odnosiłem oryginał, a kopię chowałem. Od początku o to samo prosiłem jego. Dom musi być czysty. Telefon musi być czysty. Żadnych głupich tekstów z tanich książek szpiegowskich. Nic. Jeśli notatki, to tylko takie, których na pewno nikt postronny nie zrozumie. Muszę przyznać, że Bill bez gadania trzymał się tych zasad.

Przy dużych ilościach dokumentów do błyskawicznego obrobienia zbyt długo trwało robienie zdjęć poklatkowych. Więc te 1555 stron musiałem kserować. Wywiozłem je do Chicago tak szybko, jak się dało. Oficer w Rezydenturze kręcił głową, gdy rzucił okiem na siedem tomów o radarze F-18. Lubiłem ten błysk w jego oku.

— Marian, jaka to by była strata dla kraju, gdybyś słuchał przełożonych!

— Słucham, jak mówią o pracy. A jak mówią: „nie brać" — to już nie jest o mojej pracy. Bo ja tu jestem, żeby brać! — śmieję się do niego.

— Bierzesz najlepsze! Jestem ciekaw, co powiedzą!

— Pewnie będziesz wiedział wcześniej ode mnie!

Samolot F-18 Hornet został zaprojektowany przez McDonnell-Douglas i stał się z czasem w Marynarce Wojennej USA następcą F-14 Tomcat. Hughes Aircraft Company dostała zlecenie na zaprojektowanie i wybudowanie nowoczesnego systemu radarowego oraz systemu naprowadzania dla broni będących na wyposażeniu tego samolotu.

System radarowy F-18, oznaczony jako APG-65, zapewnia w każdych warunkach atmosferycznych jednoznaczną widzialność wielu celów powietrznych znajdujących się pod dowolnym kątem w stosunku do samolotu — na każdej wysokości i podczas dowolnego manewru. Ten w pełni koherentny, wielomodułowy radar wykrywa i śledzi cele bez obsługi manualnej i w normalnym położeniu głowy pilota, zapewniając bardzo czysty odczyt pola. Właśnie jego całkowicie niezależny od pogody zasięg powietrze — ziemia pozwala prowadzić bezpieczną nawigację na określone punkty kontroli i cele z wielką precyzją na wszystkich

wysokościach penetracji.

Jednocześnie zastosowanie elementów techniki dopplerowskiej zapewnia mu wyjątkowe zalety taktyczno-techniczne: oprócz śledzenia podczas lotu pojedynczych celów, istnieje możliwość pełnej widzialności w dużym zasięgu grup wrogich samolotów, tworzących obiekt atakujący. Ponadto zastosowanie dodatkowego systemu ostrości strumienia dopplerowskiego zapewnia identyfikację bardzo małych celów naziemnych, a system specjalnego pomiaru kątowego, przy lotach na niskim pułapie, zapewnia identyfikację ostrych elementów terenu (np. wieże) oraz bezpieczne i płynne ich omijanie. Wszystkie nowe technologie zastosowane w systemie zarówno w zakresie hardware'u, jak i software'u, zostały niezwykle starannie wyselekcjonowane i sprawdzone w laboratoriach i w powietrzu. Dotyczy to bocznych planarnych anten, przegubów głównej anteny kierunkowej, odbiorników RF zbudowanych na FET-ach, generatorów Gunn-diodowych harmonicznie sprzężonych z kwarcami pracującymi jednocześnie na 16 kanałach częstotliwościowych, szybkich przetworników analogo-cyfrowych o dużej rozdzielczości, zintegrowanych pamięci dyskowych, mikroprocesorów w procesorze głównym zwiększających jego wydajność oraz w programowanych procesorach sygnałów.

Najnowsza technologia software'owa zapewnia możliwość natychmiastowego uchwycenia i utrzymania toru celu stałego. Pętle śledzenia celu są w softwarze ekstrapolowane, a system logiczny pozwala na ekstrapolację toru przy dowolnych zanikach celu, łącznie z obrotem o 180 czy 360 stopni, jak i przy manewrach typu „S" i do tego wszystkiego nie gubi toru, nawet przy dużych przyśpieszeniach.

Gdy Bill kończy przynoszenie mi materiałów i już nie musimy kończyć gry w przyśpieszonym tempie, bym mógł te stosy papierzysk obrobić, siadamy w przerwie tenisa i Bell robi mi ekspresowy kurs na temat F-18. Takie kompendium wiedzy, bo ma przecież świadomość, że kopiując, nie skupiałem się na czytaniu. Mamy taki swój stolik obok kortu, trochę cienia w zaciszu krzewów. Wyjmuję obowiązkową butelkę polskiej wódki i sok limonkowy (który ratuje głównie mnie, mój przyjaciel używa go tylko jako przyprawy). Bill mówi, ja słucham:

— Możliwości systemu używanego w F-18 można streścić tak: pełna wielofunkcyjność, która obejmuje wykrywanie celów na dużych zasięgach, śledzenie, wykonywanie manewrów bojowych, kartografowanie terenu i tworzenie czytelnych, utrwalonych w pamięci map terenu. Do tego automatyczne inicjowanie rodzajów pracy i selekcja parametrów. A

ponadto naprowadzanie na cele widoczne bez pomocy radaru, przy możliwości wybrania jednego z czterech programów manewru bojowego. Wtedy cel pozostaje śledzony przez radar, a gdy pilot traci kontakt wzrokowy z celem, może ponownie powrócić do radaru. A precyzja identyfikacji celu i ocena nalotu jest po prostu doskonała. Krótko mówiąc, dzięki temu radarowi samolot może być wykorzystany w pełnym zakresie jako: myśliwiec osłaniający myśliwiec bombardujący, patrol bojowy, pokładowy myśliwiec przechwytujący, wsparcie powietrzne oraz do misji specjalnych.

Nie mija wiele czasu od mojej wizyty w Rezydenturze, gdy okazuje się, że wykrakałem! Jeszcze w lutym dostaję wiadomość, że... mam kolejny zakaz brania materiałów. Tym razem nikt nie kwapił się, by choć podać powód. Pomyślałem, że może wystraszyli się ilości, że jak przeczytają i ochłoną, to zmienią zdanie.

Zresztą, od dnia, gdy zawiozłem do Chicago te 1555 stron o F-18, miałem kolejne materiały, w tym trzy tysiące stron zrobionych na filmie. Przygotowywałem je w ten sposób, bo pod koniec lutego miałem lecieć do Warszawy, wcześniej więc ustaliliśmy z oficerem Rezydentury, że pozostałe rzeczy zabiorę sam, kilka na fiszkach od Billa i resztę na filmach (trzy tysiące stron!). Ostrożnie wyjmowałem każdą kasetę, a po zrobieniu zdjęć wkładałem ją do pudełka tak, że wyglądała na oryginalnie zapakowaną. Bill wiedział, że po powrocie będę miał dla niego pieniądze. Czekał w napięciu na mój powrót. Słowem mu nie pisnąłem o „zakazie". Dopiero by się facetowi zapaliły czerwone lampki. Ponieważ wszystko było przygotowane do przewiezienia, nie miałem wyjścia — zabrałem. Materiały drukowane rozproszyłem pomiędzy papierami Polamco, kasety włożyłem po prostu do torby z kamerą. Opakowałem je szczelnie srebrną folią, która osłania je przed naświetleniem, gdy bagaż trafia pod rentgen na lotnisku. Turysta, kamera, filmy. I tyle. Nic więcej nie mogłem zrobić. Chociaż, gdy pomyślałem, że filmy z takimi dokumentami mogłyby przepaść, podnosiło mi się ciśnienie. Nawet bardziej niż na myśl, że ja mógłbym z nimi wpaść. Materiałów szkoda! Miałem, oczywiście, szczęście. Wszystko przebiegło bez przeszkód.

Właściwie to była podróż łączona: Los Angeles–Warszawa–Londyn–Warszawa–Los Angeles.

Od pewnego czasu moi przełożeni z Metalexportu namawiali mnie na przeprowadzkę do Anglii, gdzie w mieście Coventry działała filia Metalexportu pod nazwą Polmach. Coventry zostało całkowicie zniszczone przez naloty podczas II wojny światowej, więc pod tym względem może

się nam, Polakom, kojarzyć z własną historią. Obecnie są tam, dla przykładu, wielkie zakłady Rolls-Royce'a produkujące między innymi silniki lotnicze. Ale od początku byłem nieprzychylnie nastawiony do tego pomysłu. Ja się świetnie czuję w słonecznej Kalifornii. Do tego w czasie tej podróży przeziębiłem się w Londynie i po przylocie do Warszawy powiedziałem szefom zdecydowane: „Dziękuję, nie". Nie nalegali, moje wyniki w Los Angeles sprawiały im satysfakcję, mieli tylko nadzieję, że rozkręcę Coventry. Dostaję awans na wicedyrektora Polamco.

Podczas spotkania związanego z moją drugą pracą, w lokalu konspiracyjnym, towarzysz Sergiusz piał z zachwytu nad przekazanymi materiałami. I wtedy nie wytrzymałem. Trafił mnie szlag.

— Czy może mi pan wytłumaczyć, jaki wobec tego był powód zakazu brania materiałów od Williama Bella, skoro teraz, gdy łamiąc zakaz, je przywożę, pan jest jednak zadowolony?

— O, panie Zacharski, proszę się nie unosić! Musi pan zrozumieć, że gdy dostajemy depeszę z USA o tym, że pan ma dostęp do tajemnic Pentagonu takich to a takich, to my musimy się zastanowić. Pan nam nie dał wyboru, tylko pan nas postawił przed faktem dokonanym.

Kurwa mać! Nie wiem, czy były już przypadki, żeby oficer wywiadu dostał zawału nie przy pracy, ale przy rozmowie z przełożonym. Będę pierwszy. Czuję, jak zaciskają mi się szczęki, mam wrażenie, że niemal sam sobie miażdżę zęby trzonowe. Ale mówię wolno i wyraźnie:

— To co? Sugeruje pan, że następnym razem, kiedy Bell przyniesie mi pozostałe tajemnice Pentagonu oraz resztę tajemnic ze sztabu NATO, mam powiedzieć, że chwilowo nie biorę, bo muszę zadepeszować do Polski, czy moich przełożonych to interesuje?

Sergiusz wyraźnie się ucieszył:

— Ano wie pan, jakby się pan Bell zgodził poczekać, to tak by było najlepiej!

Kurwa! No nie, ja chyba śnię! Mój oficer prowadzący jednak mnie obudził, bo nie wyrobił i parsknął tłumionym śmiechem. I dzięki Bogu, przejął inicjatywę:

— Panie naczelniku, rozwiązanie, które pan proponuje, jest niemożliwe do zastosowania w pracy operacyjnej prowadzonej przez pana Zacharskiego na terenie jego stacjonowania.

— Szkoda... — zmartwił się Sergiusz. Ale po chwili spróbował — a nie można by zasugerować chociaż panu Bellowi, żeby zanim zdobędzie dokument, dał znać?

— Nie. Bo część z tych dokumentów Bell zdobywa w sposób przyjacielski, zupełnie nieformalny. Ale można, i sugerowałem to od

dawna, zadaniować Bella. Przecież po to dostarczam wam gazetki Hughesa, żebyście mogli wskazać, co konkretnie wywiad interesuje. Nie doczekałem się takich wskazań, więc pracujemy z Billem intuicyjnie. On daje dokumenty, do których ma bezpośredni dostęp, wszystkie, jakie może wynieść z firmy. I takie, które pozyskuje od kolegów po fachu w ramach pracy nad swoimi zadaniami. Mało?

— Nie! — w okrzyku Sergiusza jest wyraźny strach, że może być więcej.

— Mam też zdecydowaną prośbę, by technicy ocenili zdjęcia poklatkowe[8], które przywiozłem, i dali mi jasną informację, czy są przygotowane prawidłowo.

— A co? Coś nie tak?

— W grudniu przez Rezydenturę wysyłałem próbkę zdjęć z prośbą o ocenę i się jej nie doczekałem.

— A, w grudniu... No teraz jest dopiero luty, to może jeszcze nie zrobili analizy...

Muszę się trzymać, bo fala wściekłości zaczyna po raz kolejny narastać. Gdybym ja pracował w Los Angeles w tym tempie, to bym do tej pory nie sprzedał żadnej obrabiarki, a z Billem dalej rozmawiałbym wyłącznie o tenisie. Na szczęście oficer wchodzi między nas i Sergiusz szybko znika, tłumacząc się ważnym spotkaniem. Gdy zostajemy sami, uspokaja mnie.

— Sergiusz jest tylko naczelnikiem Wydziału VI. Szefowie Departamentu są twoją robotą zachwyceni. Bądź pewien. Przedstawię im wszystko, zanim on tam trafii namiesza. Przypuszczam, że jego nerwowość wynika z tego, że podlegli mu specjaliści mają poważny problem z pełnym zrozumieniem materiałów, które dostarczasz.

— Ale co masz na myśli? Tłumaczenie?

— Tłumaczenie ze zrozumieniem. To, co przywozisz, to technologie z najwyższej półki. Jestem pewien, że z takimi rzeczami nie mieli nigdy dotąd do czynienia.

— No to sam widzisz, że najlepsza okazja, żeby zaczęli.

— Tak. Rozkręcą się i będzie dobrze.

— Właściwie to myślałem, że byłoby nieźle przy tak intensywnej pracy z Bellem, żeby przyjechał do mnie ktoś od nich, ktoś, kto będzie specem od radarów. Byłby dla Billa partnerem w rozmowie, pomógłby mi tam, na miejscu. Poza tym, wiesz, jest jeszcze Y.

— Y to osobny temat, pogadamy za chwilę. Ale pomysł jest niezły. Zatrudniłbyś go jako technika czy inżyniera w Polamco i byłby na miejscu.

— Właśnie o to chodzi.

— Dobra, pomówię z szefami.

— Porusz z nimi jeszcze sprawę numer jeden: łączność. Jeśli jeden facet ma być odpowiedzialny za zdobywanie, obrabianie i dostarczanie materiałów, to prędzej czy później coś się zatnie. Nie zapominajcie, że ja mam z Polamco robotę od 6 rano do 6 wieczorem, a czasem i dłużej. FBI sprawdza moich pracowników, mówiłem wam. W firmie wszystko musi grać. A jestem tam sam. *Sam*. I tak już moi szefowie w Chicago dziwią się, że ciągle tam jeżdżę, jakbym nie mógł przez telefon z nimi pewnych spraw załatwiać. Doszła do mnie nawet plotka, że próbuję im klientów podbierać.

— Coś ty?

— No tak. To są tylko ludzie.

— Marian, pomyślimy. Obiecuję.

— I jeszcze sprawę wynagrodzenia dla Billa. Ta porcja grudzień — luty to złote materiały. Bill wie, ile są warte. Nie chcę, aby stracił zapał do pracy lub poczuł, że żerujemy na jego trudnej sytuacji finansowej.

— To jest jasne. Teraz daj mu pięć tysięcy, trzy zabierzesz ze sobą, przyniosłem je, dwa weźmiesz od rezydenta w Chicago. Ale powiedz, że to nie wszystko, że pamiętamy o racie za mieszkanie. Tam był termin kwietniowy, tak?

— Tak, połowa kwietnia.

— Dobra. Cieszę się, że udało ci się w Metalexporcie wyperswadować im tę Anglię. Twój wyjazd z Kalifornii byłby dla nas nieodżałowaną stratą. Nie patrz na Sergiusza. Nie dla niego pracujesz.

— Gdybym miał pracować dla takich jak on, nie byłoby mnie tutaj, wiesz o tym.

— Wiem. Dzięki.

Tylko dlaczego tacy jak Sergiusz muszą zaraz obsiadać ważne, decyzyjne stołki? Nie ma szczęścia ta nasza służba do niektórych szefów. Ale, jak wszędzie, działa to coś, co można nazwać magią procentów. Każda organizacja ma określoną liczbę ludzi, którzy na pewno nie powinni być w niej zatrudnieni. Nie uciekniemy od tego. Nawet w naszym kochanym wywiadzie cywilnym. Wracając, powtarzam sobie: „Kościół to nie bóg, partia to nie ojczyzna”. Kocham swoją pracę. Nie zamieniłbym jej na żadną inną. Ale coraz częściej dopada mnie zwątpienie, gdy porównuję to, co robię, z tym, co czasem mnie tu spotyka. A niech tam! Towarzysz Sergiusz nie jest wieczny.

Bill jest szczęśliwy, gdy dostaje swoje 5 tysięcy dolarów. Zapracował na nie. Wypłacam mu pieniądze na początku marca, zaraz po swoim powrocie.

Od razu zaczyna mi przynosić kolejne dokumenty. A myślałem, że trochę odpocznę! Basia patrzy na mnie krzywo. Ledwie przyleciałem, już

znikam wieczorami. A gdy wracam, jestem tak zmęczony, że drażnią mnie nawet głośniejsze zabawy Małgosi. Próbuje mnie wciągnąć w rozmowę, że gdybyśmy mieli drugi samochód, byłoby jej wygodniej, mogłaby gdzieś z dziewczynkami pojechać, a tak jest uwiązana w przestrzeni osiedla. Nie, nie stać nas jeszcze na drugi samochód. Obiecuję niedzielny wypad na plażę. Obiecałbym wszystko w zamian za chwilę spokoju.

Ale nie spokój jest mi pisany. Moja praca oficjalna, szefa oddziału Polamco w Los Angeles, starczyłaby na wypełnienie dnia. Od powrotu z Polski zauważam coraz częstszą obserwację. Przypuszczam, że to FBI. Któżby inny? Na szczęście koncentrują się na monitorowaniu mojego dnia w pracy. Zwłaszcza interesują ich moje wyjazdy do klientów. Potwierdza się, że mają nasz służbowy telefon na stałym podsłuchu, bo wiedzą, kiedy planuję dłuższe wyjazdy poza biuro. Cierpią więc na tym kontakty z Y. Kontakty z X nie. Bill Bell wciąż jest poza ich podejrzeniami, bo gdy „odwożą" mnie do domu, znikają. Najwyraźniej ogniskują swe zainteresowania na mojej oficjalnej pracy. Ale gdy idę na spotkanie z nim na kortach lub przy basenie, sprawdzam, czy nie mam obserwacji. Nie mam, więc pracuję dalej. Od marca 1979 roku do końca kwietnia mój przyjaciel wydobywa dla mnie coraz większe skarby. Kolejno:

Target Acquisition Designation System for Advanced Attack Helicopter YAH-64.

System elektroniczno-radarowy instalowany na helikopterach typu YAH-64, przeznaczony do zwalczania przede wszystkim czołgów i innych celów naziemnych — przy okazji dyskutujemy z Billem o fobii, jaką mają w dowództwie NATO na punkcie przewagi wojsk Układu Warszawskiego w zakresie broni pancernej.

Dalej, pozostając niemal w temacie: HIMAG — Phase II Advanced Development, który obejmuje techniczne rozwiązanie optyczno-elektronicznego systemu kierowania ogniem dla dział instalowanych na pojazdach naziemnych.

Potem Bill przynosi dokumentację Fire Control System for High Survivability Test Vehicle. Jest to system elektroniczny sterowania ogniem dla pojazdów bojowych na lata 1980-2000. Ma on być uzupełnieniem dla systemów sterowania ogniem na czołgach amerykańskich typu M-60, XM-1, które wejdą do uzbrojenia w podanym okresie. Cholera jasna! Patrzę na te papiery i myślę, że chyba śnię, mamy do czynienia z uzbrojeniem, które jeszcze nie weszło do armii, jest rok 1979!

Podobnie rzecz ma się z kolejnym cudem pod nazwą FLEXAR. To z kolei system elektroniczno-radarowy do wykrywania celów powietrznych i nawodnych, bo termin wprowadzenia go na okręty wojenne to też lata

1980-2000! Rok 2000! Materiałów jest mnóstwo, uwijamy się z Billem jak w ukropie, jesteśmy podekscytowani, od czasu do czasu udaje się nam zamienić parę słów. Niesamowite wrażenie, rozmawiamy o technologii XXI wieku! Żaden z tych materiałów nie zostanie odtajniony przed 2000 rokiem (nie licząc tego, że właśnie przekazuję je wywiadowi polskiemu)!

Kolejny system radarowy to Surface Effect Frigate Anti-Air Warfare/ Surface Strike Warefare przewidziany do instalowania na jednostkach pływających o wyporności trzech tysięcy ton, wchodzących na uzbrojenie po 1985 roku.

Potem Bill przynosi XM-21 Tank Fire Control Balistic Computer System, czyli system elektroniczny wspomagający skuteczność ognia dla czołgu M60A1E3 z działem 105 mm. Już nie mamy czasu omawiać tych technologii. Mówimy sobie: później, jak skończymy, jak będzie chwila wolnego.

I jedziemy dalej: System VSTAR (Variable Search and Track Air Defense Radar) to system elektroniczno-radarowy oparty w dziewięćdziesięciu procentach na dzisiejszym systemie AN/TPQ-37, przeznaczony do wykrywania obiektów latających, instalowany na pojazdach naziemnych.

Star Air to Ground Radar opis urządzenia do jednoczesnego przekazywania i odbierania sygnałów radarowych powietrze-ziemia (do roku 1990).

Gdy Bill przynosi Phoenix (AWG-9/AIM-54A) F-14 Armament System — system elektroniczno-radarowy do obserwowania 24 celów jednocześnie i niezależnego sterowania sześcioma rakietami Phoenix, instalowany na samolotach F-14 (będących na uzbrojeniu US Navy), przeznaczony do zniszczenia jednoczesnego kilku (konkretnie do 6) celów na wodzie i w powietrzu z odległości 100 mil, zatrzymujemy się na chwilę. Pasja Billa naukowca bierze górę nad naszym pośpiesznym działaniem. Wspomina, że podobne systemy sterowania jak rakietami Phoenix będą też stosowane w najnowszych samolotach F-15 i że, jak tylko ten materiał znajdzie się w jego zasięgu, przyniesie go.

— Marian, zwróć uwagę swoim szefom na rakiety Phoenix.

— Dlaczego?

— Ta zabawka to rewolucja w marynarce wojennej.

— Bill, mów jaśniej.

— Czego w armii amerykańskiej najbardziej obawia się Układ Warszawski?

— Lotniskowców. Z nich może wystartować samolot bojowy do

dowolnego miejsca na terenie Układu.

— Ciepło, ciepło...

— Bill, testujesz mnie?...

— No, kombinuj.

— Chodzi o te 100 mil odległości?

— Też, ale nie tylko.

— Mów, bo cię zmiażdżę w drugim secie (jesteśmy na korcie)!

— Dobra! Słuchaj, system pozyskiwania celów i naprowadzania rakiet Phoenix, zastosowany w samolotach F-14 Tomcat, ma aktywny radar, który podejmie 24 cele naraz do 100 mil i naprowadzi 6 rakiet na tyleż celów z niebywałą precyzją. Tu już nie ma miejsca na walki powietrzne! Rozumiesz? Pojedynek odbywa się z dużych odległości bez jakiegokolwiek styku wrogich samolotów. Tego wcześniej nie było! Dzisiaj ten system jest w marynarce wojennej na stacjonujących na lotniskowcach F-14, ale już wchodzi bardzo podobny system na supernowy samolot Sił Powietrznych typu F-15.

— Bill... daję ci dzisiaj fory!

— No nie, stary, grajmy fair!

— To stawiam ci potrójnego drinka!

— Jesteś pewien, że idziemy teraz do ciebie? Widziałem ostatnio, że Basia nie była zachwycona.

— Idziemy, obiecałem ci, wszystko jest w porządku.

— A, i jeszcze jedno. Phoenix przeznaczony jest głównie do zwalczania rosyjskich MIG-ów 23.

Rakiety Phoenix stosowano tylko na F-14 między innymi z powodu ich wielkości, a przede wszystkim wagi. Każda z rakiet miała około 13 stóp, czyli mniej więcej 4 metry długości i ważyła 500 kilogramów. Jej osiągi były jednak niezrównane. Po wystrzeleniu osiągała w ciągu bardzo krótkiego czasu prędkość do 5 machów, a więc 3000 mil plus, a także mogła się wznieść na wysokość około 24 kilometrów. W trakcie lotu do celu rakieta otrzymywała od AWG-9 w połowie dystansu ewentualne korekty trajektorii, a potem używała umieszczonego na jej pokładzie aktywnego radaru, dzięki czemu mogła dotrzeć do celu bez najmniejszych pomyłek. Rakiety te powstały przy współpracy dwóch firm, tj. Raytheon Corporation i Hughes Aircraft Company. Elektronika pochodziła oczywiście z HAC. Ze względu na wielkość i wagę często F-14 startował na patrol tylko z 2 lub 4 rakietami. Pozwalało to na utrzymanie bezpiecznej wagi przy lądowaniu na lotniskowcu.

Jednocześnie Ministerstwo Obrony USA przeprowadzało intensywną ewaluację technologii rakietowej używanej przez samoloty. Dokonywano

tego w latach 1974-1978 w bazie lotnictwa wojskowego Nellis AFB. Otrzymywałem z tych badań raporty od Billa. A oprócz nich decyzje Ministerstwa Obrony o rozpoczęciu prac na nowymi rakietami. Podzielili się zakresem prac z niektórymi krajami europejskimi w ramach struktur NATO. I tak głównie Niemcy i Wielka Brytania miały skonstruować rakietę o krótkim zasięgu, Amerykanie zaś zajęli sie tzw. AMRAAM (Advanced Medium-Range Air-to-Air Missile) AIM-120. Rakieta ta miała zastąpić Phoenix i stać się ważną częścią uzbrojenia F-18 Hornet, które zaczęły zastępować F-14 Tomcat, jako samoloty floty marynarki wojennej.

W drodze do mojego mieszkania przypomina mu się jeszcze, że wyprodukowany przez konkurencję radar dla F-16 stwarza problemy techniczne, więc HAC dostał kontrakt na adaptację radaru z F-18 do F-16 (wszystkie dane o radarze F-18 już w tym czasie są w naszym posiadaniu).

Parę dni później Bill przyniósł jeszcze raport (Anti-Armor Concept Study), a właściwie opracowanie analizujące problemy, z jakimi państwa zachodnie mogą się spotkać na polu walki w latach osiemdziesiątych, biorąc pod uwagę możliwości Układu Warszawskiego. To była prawdziwa perełka. Nad tym studium powinni bez zwłoki pochylić się nasi specjaliści od kontrwywiadu. Skądś NATO te informacje otrzymuje. Można było na podstawie tych materiałów znaleźć pewne zachodnie źródła tkwiące w strukturach Układu Warszawskiego.

Gdzie konkretnie są one umiejscowione, to trzeba dokładnie sprawdzić, bez drobiazgowego rozpracowania nie dojdą do tego. Jeśli przeciek jest po stronie ruskich czy nawet w NRD, to mam nadzieję, że będą to konsultować z wyczuciem, tak aby nie naprowadzić na źródło pochodzenia tej informacji. Zastanawiam się przez chwilę, ile nasi mogą skasować za jej ujawnienie. O ile w ogóle zdecydują się na jej przekazanie. Mam nadzieję, że to będą godziwe pieniądze, bo informacje o przeciekach i naprowadzeniach na ich źródła, należą do bezcennych. Według niepisanych praw wywiadu, każda ze stron płaci bez targowania się, gdy ma możliwość pozyskania wiedzy na temat zdrajców we własnych szeregach i, co za tym idzie, może zamknąć źródło przecieku.

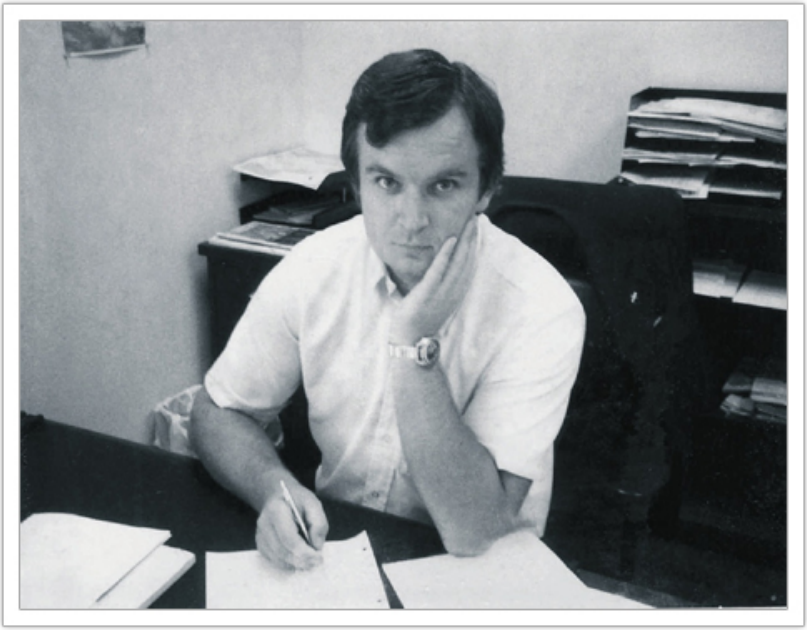

W biurze Polamco w Santa Fe Springs w Kalifornii, rok 1977.

Siedziba Polamco, załadunek polskich obrabiarek.

George Amberg, mój zastępca w Polamco w Los Angeles, i Carole Jagielski, szefowa sekretariatu Polamco w Chicago, koniec 1979 roku.

Wystawa obrabiarek w Convention Center w Los Angeles, od lewej: George Amberg, Carole Jagielski, ja, połowa 1980 roku.

Z Carole Jagielski na wystawie obrabiarek w Convention Center.

Prezentacja polskich obrabiarek, biuro Polamco w Los Angeles.

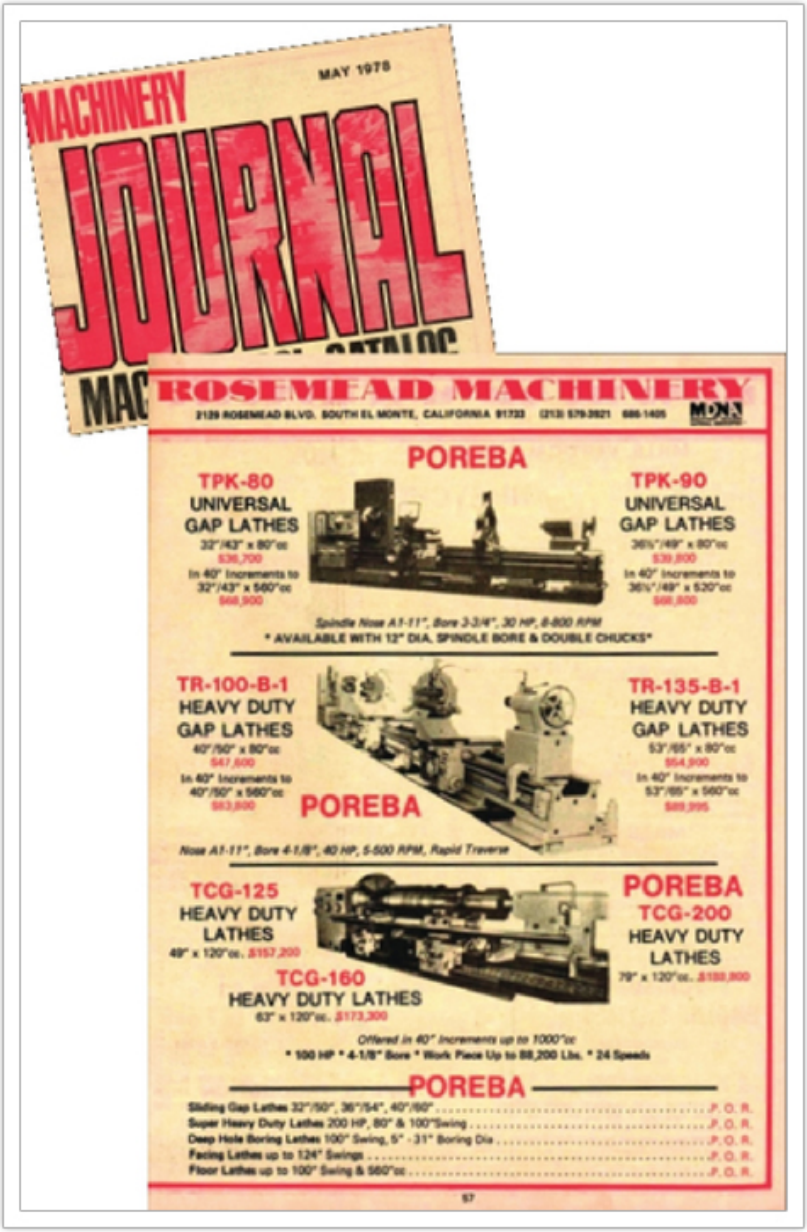

Magazyn „Machinery Journal”, specjalistyczny miesięcznik branżowy, w nim reklama naszych obrabiarek.

Nie mam jednak na to żadnego wpływu. Jestem tylko oficerem wywiadu. Moim zadaniem jest pozyskiwanie jak najcenniejszych materiałów. Co z nimi zrobią moi przełożeni, pozostaje wyłącznie ich sprawą, nie mam wpływu na ich decyzje. Ta zasada nie obowiązuje wyłącznie w polskim wywiadzie, tak skonstruowane są wszystkie służby świata: oficerowie liniowi zdobywają informacje, a ich szefowie i szefowie ich szefów, czyli politycy, decydują o sposobie ich wykorzystywania.

Wszystko to razem po skopiowaniu ważyło trzydzieści kilogramów. Zważyłem, gdy pakowałem do dwóch wielkich walizek, przed przewiezieniem do Chicago. Był 26 kwietnia 1979 roku. Dwa tygodnie wcześniej Centrala przekazała 15 tysięcy dolarów dla Billa. Pieniądze, przeznaczone na wpłatę pierwszej raty za jego mieszkanie, będące jednocześnie gratyfikacją za urobek z początku roku i inwestycją w to, co właśnie zważyłem. Zanim pieniądze trafiły do Billa, dałem mu 1500 dolarów, cisnęli go z IRS o spłatę zadłużenia. Nie chciałem, żeby musiał czekać na pieniądze w czasie, gdy tak intensywnie dla mnie pracował. Chwilę wcześniej, bo pod koniec marca, dotarła informacja, iż poprzednio dostarczone do kraju dokumenty zostały złożone na ręce wicepremiera Tadeusza Wrzaszczyka. Ten stwierdził, że przekazane dokumenty są niezwykle interesujące, ale ich bezpośrednie wykorzystanie będzie związane z ewentualnym podjęciem przez Polskę decyzji o produkcji radzieckiego samolotu szturmowego Su-25.

I w końcu pojawiło się sprecyzowane zamówienie — w ramach specjalizacji zbrojeniowej państw UW będziemy szczególnie zainteresowani systemami kierowania ogniem w nowoczesnych czołgach i helikopterach oraz systemami zwalczania niskolecących celów (w tym rakiet Cruise). A ponadto pytano o radar firmy Marconi. Gdy przekazałem to Billowi, zaśmiał się:

— Marian, ten radar to dzisiaj już raczej zabytek! Broń Boże, nie chcę zaniżać osiągnięć konkurencji, ale uważam, że nasze rozwiązania są już bardziej zaawansowane.

Ja nie czułem się na siłach, aby dokonywać oceny, kto ma rację. Instynktownie byłem po stronie argumentacji Billa. Wierzyłem mu, bo wiedziałem, że jest specjalistą światowej klasy.

Co jeszcze było istotnego w tej notatce, to zaznaczenie, że przekazana przeze mnie dokumentacja nie może trafić do odbiorców krajowych (czyli przemysłu zbrojeniowego) w formie oryginalnej, tylko musi zostać drobiazgowo przepracowana zarówno ze względu na bezpieczeństwo źródła, jak i ukrycie licznych danych wywiadowczych związanych i z NATO, i z UW.

To raczej oczywiste, nie spodziewałbym się, że mogliby tego nie zrobić. Przecież wszędzie pracują tylko ludzie. My, dostarczając informacje ze Stanów do Polski, dbamy na wszystkie sposoby o bezpieczeństwo źródła. Podwójny kod rezydencki w depeszach, odłączanie stron, które mogłyby na źródło naprowadzić, i przewożenie ich w zabezpieczonym bagażu. Przez moment zadrżałem na myśl, że mimo zachowania przeze mnie wszelkich środków ostrożności informacja naprowadzająca mogłaby wyjść w Polsce, a stamtąd przez jakiegoś zdrajcę dostać się do Stanów. Słabo mi się zrobiło, gdy o tym pomyślałem. Najbardziej dlatego, że nie mam wpływu na to, co się dzieje po drugiej stronie.

Bill cieszył się z gratyfikacji. To była dla niego góra pieniędzy. Co najważniejsze, nieobciążonych żadnym podatkiem. Czysta kasa. Nigdy nie pytałem go, ile zarabia w HAC. Z różnych sytuacji, półsłówek domyślałem się, że około 4 tysięcy dolarów. Ale te pieniądze były opodatkowane i obciążone jego długami, więc na czysto pozostawało mu niewiele. Gdy przekazywałem mu 15 tysięcy, powiedział:

— Wiesz, teraz to już jestem pewien, że to mieszkanie będzie moje, że będzie mnie na nie stać. Odkładałem pieniądze od ciebie, więc teraz starczy i na mieszkanie, i na samochód. Mój ma rozwalony zderzak, nadaje się na złom.

— Bill, jestem pewien, że jeśli dalej będziesz dla nas pracował, niedługo będzie cię stać na nowy samochód. Ja raczej martwię się tym, że musimy zacząć ukrywać twoje dochody.

Bill wyraźnie się zaniepokoił:

— Co masz na myśli?

— To, że teraz wychodzisz z długów, a za chwilę zaczniesz zarabiać na godne życie. Twoi znajomi, koledzy z pracy mogą się zainteresować nagłą poprawą sytuacji.

— Mogę powiedzieć, że Rita zaczęła lepiej zarabiać.

— To też chwal się dobrą pracą żony. Ale to za mało. Myślałeś, co wpisać w rubryce „źródło pochodzenia pieniędzy” we wniosku na ratalny zakup mieszkania?

— Tak. Napiszemy, że z konta mojej żony w Europie i oszczędności jej rodziców. Rita jest przecież Belgijką. Dobrze?

— Tak. Brzmi dobrze. Ale na przyszłość przyda się coś więcej. Zastanów się.

— Hmm... Pamiętasz, jak ci opowiadałem o książce szpiegowskiej, którą napisałem w Europie? Wtedy sprawa rozwiała się w powietrzu, choć znalazłem nawet kogoś, kto miał się zająć jej wydaniem. Mógłbym podjąć

teraz temat i po jakimś czasie opowiadać znajomym, że podpisałem na nią dobry kontrakt, a wydanie, no wiadomo, jak to jest: kiedyś tam będzie wydana.

— Niezłe. Podrzuć mi maszynopis, sprawdzę, czy nie ma w niej czegoś, co mogłoby — choćby śladowo — dotykać naszej sprawy.

— Marian, przecież my się wtedy nie znaliśmy...

— Wiem, wiem. Ale mimo to lubię być pewny.

— OK, ale obiecaj, że powiesz, co o niej sądzisz. Szczerze.

Roześmiałem się.

— Obiecuję, Bill.

Tamta rozmowa z nim podyktowana była moim konfliktem z Centralą związanym z pieniędzmi dla Billa. Z tymi 15 tysiącami dolarów. Zgoda na ich wypłatę była, jednak księgowi w Warszawie żądali, by Bill znalazł konkretne „umocowanie" tych pieniędzy w swoim budżecie. Proponowali, żeby... wziął w banku pożyczkę na taką kwotę. I za nic w świecie nie mogli zrozumieć, że w Stanach żaden dłużnik urzędu podatkowego nigdzie nie dostanie kredytu. A ktoś taki jak Bill, kto ogłosił bankructwo prywatne, jest całkowicie poza nawiasem bankowych ofert. Zdzichu, mój oficer prowadzący, pojedynkował się z nimi, aż opadł z sił. Skończyło się na tym, że musiałem im przedstawić regulaminy pożyczek z kilku banków amerykańskich, które kategorycznie zabraniają udzielania kredytów osobom posiadającym zadłużenie w IRS. Wtedy pomruczeli na „kapitalistyczne wymysły" i dali spokój. A wszystko to działo się w czasie, gdy dwoiłem się i troiłem, żeby nadążyć z kopiowaniem tysięcy stron bezcennych materiałów wywiadowczych, ukrywaniem ich, wożeniem części do Chicago... Nie zapominając o gorącej i naprawdę intensywnej pracy w Polamco, z rutynową obserwacją FBI w tle. Doszło nawet do sytuacji, że gdy zbierałem się z wizytą do kolejnego banku po wspomniany regulamin, George Amberg, mój zastępca, i przy okazji świetny facet, zaproponował, że mnie wyręczy w „tych bankowych sprawach", bo naprawdę byłem niezbędny w biurze. Musiałem się wykręcić od pomocy, bo co bym mu powiedział?

Ach, ich Wysokość Towarzysze Księgowi!

Na szczęście świadomość jakości pozyskanych od Billa materiałów dodawała mi skrzydeł.

Przede mną pozostawała sprawa zasadnicza. Trzydzieści kilogramów dokumentów spakowanych do dwóch walizek gotowych do przewiezienia do Chicago. Łatwo powiedzieć. Do tej pory woziłem setki stron, półtora tysiąca na raz — to było najwięcej. Ale tu były pełne dwie walizy firmy Samsonite. Złote walizy. I świadomość towarzyszącej mi od niemal dwóch

miesięcy asysty FBI. Jasne, bywały dni, kiedy dawali mi spokój. Żeby sobie go zapewnić, nie dzwoniłem ani z domu, ani z firmy do centrali Polamco, by powiadomić ich o swoim przyjeździe. Musiałem jednak dać znać oficerowi Rezydentury. To wyjątkowa dostawa.

Los Angeles, 26 kwietnia 1979 roku, czwartek, 7 rano

Na nic moje kalkulacje, brak telefonów do Chicago informujących o przylocie.

Już w drodze na lotnisko, widzę, że są ze mną. Na razie to tylko adrenalina. Gra w rosyjską ruletkę zaczyna się dopiero na lotnisku. Czym różni się taki ktoś jak ja od dyplomaty? Tym, że gdy zatrzyma go policja czy jakakolwiek inna służba, wyjmuje paszport dyplomatyczny i staje się nietykalny. Jego bagaż również. Gdyby złamano tę zasadę, choćby przez wysoce umowną pomyłkę, jedyną konsekwencją dla dyplomaty byłaby „png" (*persona non grata*), czyli wydalenie do kraju macierzystego, zwyczajowo w ciągu 48 godzin.

Ja nie podlegam *żadnej* ochronie. Wiem o tym i od początku pilnuję się na każdym kroku. Mnie obowiązuje tylko i wyłącznie prawo Stanów Zjednoczonych. Żadnych wyjątków. Nie przejeżdżam na czerwonym świetle, nie wsiadam za kierownicę po wypiciu alkoholu, nie przekraczam dozwolonej prędkości (z tym ostatnim mam prawdziwy problem). Nie dopuszczam do sytuacji, w której policja mogłaby mnie zatrzymać z jakiegokolwiek, choćby najbłahszego powodu.

Ale gdy wchodzę na lotnisko, sam się wystawiam. Kupuję bilet pierwszej klasy w American Airlines. Jako pasażer jedynki unikam nadania walizek na bagaż. Wolno mi je mieć przy sobie na pokładzie. Ale nim dotrę do samolotu DC-10, muszę przejść przez kontrolę bagażu. Idę w tym kierunku, a wraz ze mną agenci FBI.

Kurwa, nawet nie starają się ukryć! Ja za to staram się, jak mogę, o rozluźniony wyraz twarzy, swobodne oko człowieka beztroskiego. Paradoksalnie ciężar walizek mi w tym pomaga. Koncentruję się na tym, by nieść je tak, jakby zawierały pierze. Gdy tuż przed dojściem do punktu kontroli przebiega mi drogę wysoka brunetka w bardzo krótkiej spódniczce, zatrzymuję się i oglądam za nią. Nie w moim typie, ale dzięki niej mogę na kilkanaście sekund postawić walizy. Złapać niewidoczny oddech. Kątem oka widzę, że agenci też się oglądają. Ale to tylko chwila. Już zajmują pozycje wokół bramki do prześwietleń. Jeden z nich stoi wpatrzony w monitor. Ciekawe, myślę, ile czasu zajmie naukowcom wynalezienie urządzenia do czytania dokumentów znajdujących się w

bagażu. Po cholerę mi takie myśli przychodzą do głowy?! Jak dobrze, że przede mną stoi dziewczyna. Przypadkiem nadeptuję na ciągnący się za nią pasek od płaszcza i już jesteśmy znajomymi. Gadamy o drinkach; licytujemy się, które linie lotnicze podają najlepsze. Ona jest smakoszem, ja tylko znawcą. Jej walizka już minęła monitor, czas na moją. Uśmiecham się do pracownika lotniska i agenta stojącego tuż przy nim z miną nieco znużonego czekaniem pasażera.

— Zawartość pana walizek? — pyta pracownik obsługi.

— Dokumentacja techniczna obrabiarek firmy Poręba. Z Ostrzeszowa. To w Polsce — uzupełniam z dumą.

Jasne, że zakłady Poręba są koło Zawiercia. Ale ten koleś nie wie nawet, gdzie leży Polska, niech się cieszy, że nie zaproponowałem Szczebrzeszyna.

Pracownik powtarza za mną, jakby dyktował temu z FBI (pewnie tamten nagrywa), więc powtarzam z bezwzględną uprzejmością:

— Tak. Z *Ostrzeszowa*. Ostrzeszowa — facet poległ na tym słowie. Próbuje po raz trzeci.

— Oszesz... oszesz...

„Ożeż kurwa mać, mówi się u nas w Polsce, proszę szanownego pana agenta” — myślę, poprawiając uprzejmość mojego uśmiechu. Odwzajemnia go, bezradnie rozkładając ręce.

Walizki zjeżdżają z taśmy.

Idę na *gate*. I wiem, że chociaż nie miałem w nich nic metalowego, żadnej butelki, nic co mogłoby sprowokować żądanie otwarcia walizek, to jednak przede wszystkim wciąż miałem jedno: szczęście.

Widzę ich, obserwujących, jak wsiadam do samolotu.

Lot wydaje mi się nadzwyczaj krótki. Po prostu błyskawiczny. Wysiadam z samolotu i mam za swój Ostrzeszów! Lotnisko jest obsadzone agentami. Czekają na mnie przy wyjściu. Inny zestaw, ale nie do pomylenia z podróżnymi. Idą za mną, gdy zmierzam do punktu wynajmu samochodów. Oczywiście beztrosko i lekko, bo cóż to jest trzydzieści kilogramów papierów! Wynajmuję samochód. Gdy wkładam walizki do auta, czuję, że jestem spocony. Jadę do centrum Chicago, do Loopu. Właściwie to jedziemy, bo towarzyszą mi trzy samochody. Przynajmniej trzy identyfikuję jako swoją obserwację.

Podjeżdżam pod budynek i parkuję tak, aby z przeszklonego hallu, w którym umieszczony jest domofon, widać było mój samochód. Po chwili schodzi do mnie oficer Rezydentury. Uścisk dłoni. Mówię:

— Co robimy? Mam dwie pełne walizy i trzy samochody z agentami na karku.

— Dobra. To ty nieś, a ja będę się rozglądał.

Zaciskają mi się szczęki, ale nic nie mówię. Zostało dwadzieścia metrów. Wchodzimy bocznym wejściem. Drżę, czy dyżurny portier nie poprosi mnie o otwarcie walizek. W końcu może. Od tego tu jest. Kto wie, może facet wniesie bombę? Przygląda się nam, ale nic nie mówi. Przekraczamy próg. Jesteśmy eksterytorialni. Rzucam walizy na podłogę. Z impetem. A oficer do mnie współczująco:

— Ciężkie, co?

Nie mogę się odezwać, bo powiem coś, czego będę żałował. Na szczęście on łapie walizy i wynosi, żeby je opróżnić.

„To ty nieś, a ja będę obserwował". Kurwa! On na papierach dyplomatycznych, ja na wariackich! Przecież mogli chcieć nas zatrzymać w ostatniej chwili, na tych końcowych dwudziestu metrach! Dla niego znaczyłoby to tylko *persona non grata*, dla mnie ciężkie więzienie! Ale on wolał obserwować! Kolejna bańka mydlana prysła.

Idę do toalety. Nerwy mi puściły. Jak długo będziemy bazować tylko na moim szczęściu? To za mała gwarancja w tak trudnej pracy.

Gdy oficer wraca, zapewniając, że materiały są bezpieczne, wypijam z nim herbatę i wychodzę. Nie mam najmniejszej ochoty na rozmowę.

Jadę do firmy, która nic nie wie o mojej wizycie w Chicago. Zmyślam coś na poczekaniu. Jest mi wszystko jedno. Dyrektor zaprasza mnie na lunch, towarzyszą nam agenci, te same trzy samochody co poprzednio.

Pokazując palcem, pytam Stanisława Trzeciaka:

— Często za panem jeżdżą?

— A wie pan co, nie zwróciłem uwagi wcześniej. Muszę się przyjrzeć. Ja to akurat nie widziałem, ale kolega dyrektor, co był tu przede mną w Chicago, to mówił, że zawsze mają oko na Polaków. Trudno. Krzywdy przecież nie zrobią, prawda?

— Mam nadzieję. Nie wiem.

— Niech się pan nie martwi. To ich praca.

Po kolacji dyrektor sam odwozi mnie na lotnisko, żegnam się, nocny rejs do Los Angeles za chwilę. Nazywają tego typu nocny lot samolotem *red eye special*, bo gdy się wysiada o trzeciej w nocy, ma się nieźle zaczerwienione oczy ze zmęczenia.

Na lotnisku w Los Angeles nikt na mnie nie czeka. Żadnych agentów. Najwyraźniej nie płacą im za nadgodziny. Gdy docieram do domu, jestem szczęśliwy, zły, zmęczony. Mam dosyć. Zaglądam do pokoju dziewczynek. Chwilę wsłuchuję się w ich równe oddechy. Basia nie budzi się, gdy wchodzę do łóżka. Mruczy coś przez sen. Po co ja to wszystko robię? Nie chcę o tym myśleć. Nie dzisiaj. Chcę spać.

Kolejne dni przynoszą mnóstwo spraw związanych z Polamco. Nie mam więc czasu na rozpamiętywanie nocnego lotu.

Kłopoty z serwisantami. Mamy właśnie chłopaka z Zamechu, z Elbląga. Starając się o przyjazd czasowy do nas, do pracy, stwierdził, że dobrze prowadzi samochód (a było to jednym z warunków przyjęcia). Niestety, może i dobrze mu szło u siebie, w Elblągu, ale w Los Angeles pogubił się zupełnie. Jeździł niepewnie, a u nas serwisant jest wciąż w drodze. Spowodował wypadek, a poszkodowany jak się zorientował, że facet nie mówi po angielsku, od razu zawyżył swoje „straty fizyczne i moralne" i podniósł je dodatkowo, widząc, że samochód należy do firmy. Borykaliśmy się teraz z ubezpieczycielem. Jeden z moich stałych serwisantów, pan Janek Wojciechowski, też nie zna angielskiego. Ale jest tak dobrym fachowcem, że gdy podchodzi do maszyny, nie musi o nic pytać. Wie, co robić. Jego bez obaw mogę wysłać nawet do strategicznych klientów. Leci samolotem, odbierają go na lotnisku, nie ma problemu. A jak sprawa jest skomplikowana, to dzwonią z nim do nas i dogadujemy, co trzeba, przez telefon. Pan Janek jest przy tym tak zacnym i sympatycznym człowiekiem, że wszyscy go lubią i problem języka nie istnieje. Dlatego jest ciągle w drodze, wielu klientów chce pracować tylko z nim.

Zdarzają się i bardziej dramatyczne przygody z moimi serwisantami. Pewnego razu na prośbę jednego z nich, Ryszarda Nowaka, przywiozłem mu dla jego dzieci jakieś polskie podręczniki. Wróciłem do domu w piątek, a w sobotę w trakcie wizyty w firmie zostawiłem pakunek na biurku sekretarki i dałem mu znać, że może sobie te książki odebrać. Po kilku godzinach dzwoni do mnie. Ledwo poznaję go po głosie, bo niemal bełkocze ze zdenerwowania. Proszę, żeby się uspokoił i wyjaśnił mi wreszcie, co się stało. On na to, że wpadł do biura po książki. Ponieważ od otwarcia drzwi i zabrania pakunku do ponownego zamknięcia biura nie minęło piętnaście sekund, to ocenił, że nie musi telefonować do firmy ochroniarskiej z podaniem swojego kodu upoważniającego do wstępu. Wsiadł do samochodu, w którym czekała żona z dziećmi. Rusza. Nie przejechał trzystu, czterystu metrów, a tu nagle pojawiają się radiowozy z każdej ulicy jeden, a dodatkowo krąży nad nimi policyjny helikopter. Zanim pozwolono mu cokolwiek wytłumaczyć, już rodzina leżała na masce samochodu i przechodziła gruntowną rewizję. Po chwili sprawa się wyjaśniła, ale nim „Mr. Nowak" wrócił do równowagi, minęło wiele czasu. Amerykańska policja pokazała mu miejsce w szeregu, co jest o tyle istotne, że facet miał charakter mądrali, którego nic nie zaskoczy, bo wie wszystko najlepiej i oczywiście od dawna.

Żeby spokojnie pogadać, zabieram mojego zastępcę George'a, na lunch. Jedziemy do argentyńskiego sklepu, kupujemy kanapki z doskonałą wołowiną i jemy w parku na ławce. Niewyszukane, ale doskonałe. I tak nie mamy czasu, by wyskoczyć do restauracji. George wie, że od czasu do czasu nasze biuro jest obserwowane, to inteligentny facet. Rozmawiamy o tym swobodnie, nie przywiązując do tego specjalnej wagi. Czystość interesów Polamco jest bez zarzutu. Opowiada mi zabawną przygodę z jednym z naszych nowych klientów. Facet poprosił, żebyśmy pomalowali maszynę na intensywnie pomarańczowy kolor. I wytłumaczył mu tę nietypową prośbę bez śladu zażenowania:

— Wiesz, robotnicy w poniedziałek rano są porządnie skacowani, różnie to bywa. A tak, to idą do swojej maszyny „na kolor" i wszystko w porządku. Frezarki mamy zielone, to tokarki niech będą pomarańczowe!

Śmiejemy się. W Polsce nikt na to nie wpadł, a przecież słyniemy z porządnego picia.

Z Billem spotykam się wyłącznie towarzysko. Rozgląda się za kolejnymi materiałami, ale po poprzedniej porcji trochę potrwa, zanim trafi na coś równie interesującego. Gdy wpadam, by zabrać go na kort, w domu jest akurat Rita. To ostatnio rzadkość, głównie siedzi w bazie na Hawajach. Jest dla mnie niezwykle miła, wita się ze mną wylewnie, a gdy Bill wychodzi się przebrać, obdarza mnie zbyt długim spojrzeniem.

— Och, Marian, wypełniam czeki! Kończą się nasze kłopoty, zaczniemy z Billem żyć normalnie. Staram się o przeniesienie do San Francisco... — zniża głos i podchodzi odrobinę za blisko — będę częściej w domu...

— Dobrze, Bill się ucieszy — mówię głośno i odsuwam się, nie podejmując jej gry. Tylko tego mi jeszcze trzeba, by Bill zaczął myśleć, że...

— Rita, podaj Marianowi drinka! — woła z łazienki.

— Nie, dziękuję, wiesz, że nie piję przed grą! — odkrzykuję.

Rita robi minę obrażonej dziewczynki i odchodzi do swoich czeków. Myślę, że może mój przyjaciel nie myli się tak bardzo, podejrzliwie odnosząc się do wyjazdów żony. Chyba że ta gra, którą ona prowadzi wobec mnie, jest podyktowana opacznie zrozumianym poleceniem męża: „Bądź miła dla Mariana, dzięki niemu nasze kłopoty się skończą" i jest jednorazowa, wyłącznie wobec mnie. Mam nadzieję, choć patrząc na Ritę, raczej słabą. Nie podoba mi się, że ona wie, iż Bill dostaje ode mnie pieniądze. Wyraźnie prosiłem go, żeby tego nie robił. Gdy zwracam mu uwagę na korcie, wykręca się, mówiąc, iż Rita wie, że dostaje ode mnie sowite prowizje za kontakty na sprzedaż obrabiarek. W porządku, daję temu spokój. Niedowierzam Billowi, ale wiem jedno: Rita kocha pieniądze

i jeśli nawet wie więcej, niż Bill usiłuje mi przekazać, to zrobi wszystko, by źródło tych pieniędzy zachować w sekrecie. Zwłaszcza takie źródło, które ujawnione wyschłoby natychmiast.

Mamy w końcu trochę czasu, by obgadać ostatnią, naprawdę szybką akcję przekazywania materiałów. Bill opowiada, jak je zdobywał.

— My sobie pożyczamy dokumenty, od dawna. Tak było już, zanim się pojawiłeś w moim życiu. Jest nas w firmie garstka starych wiarusów. Pracujemy razem od tylu lat, tworzymy osobne grono, wiesz, taki nieformalny związek, klan wtajemniczonych. Trochę nas bawi wyścig szczurów między młodymi, trochę w tym sportu, gry z naszymi firmowymi służbistami z organów bezpieczeństwa HAC. Gadamy o swoich projektach — w kantynie zakładowej, w knajpie podczas lunchu, w biurze. Nas podnieca to, co robimy. Kochamy swoją pracę i wyzwania. Ale nie jesteśmy tylko pracownikami, nasze umysły nie należą wyłącznie do firmy albo do kraju. To by było niewolnictwo! Lubimy wyzwania naukowe i sami sobie je stawiamy. Taki ekstremalny sport intelektualny. A ja, wiesz o tym, mam świetną pamięć. Czasami jestem w stanie rozrysować system, o którym kumpel powiedział mi przy obiedzie.

— Serio?

— Serio, kiedyś to dla ciebie zrobię. Na razie nie było takiej potrzeby. Mamy swoje własne reguły gry, swój wewnętrzny kod. Mówię: Tom, daj mi do jutra twój projekt. I nie ma sprawy.

— A ochrona? Nie kontrolują was przy wyjściu?

— Sporadycznie. Młodych pracowników — zawsze. Ale po dziesięciu latach stajesz się częścią tej firmy jak jej budynek. Najczęściej tylko uśmiech i do widzenia.

— A gdyby jednak?

— To wiem o tym wcześniej. Jak trafi się służbista na dyżurze, to już jak schodzę na dół, widzę kolejkę przy bramce. Wtedy mówię, że zapomniałem kluczyków do samochodu, wracam do siebie i zostawiam wszystko na miejscu. Jeszcze się nie zdarzyło, by dwa dni z rzędu sprawdzali. Zresztą, powiem tak: jeśli z kumplami pożyczamy sobie materiały, to stosujemy zasadę: każdy wynosi z firmy swoje. A zamieniamy się w samochodzie. Bo jakby jednak jakaś kontrola, to z własnych dokumentów w teczce zawsze się wytłumaczysz. Z cudzych — gorzej.

— A te wielkie tomiska F-18?

— Jak pracuję nad jakimś tematem, mam dostęp do tajnej biblioteki firmy. Wtedy pracowałem nad cichym radarem — zresztą wciąż robię do niego udoskonalenia. Mogłem więc bez przeszkód wypożyczyć pozycje,

które wiązały się z moją pracą i trzymać je jakiś czas na stanie. Stąd ta karta rejestracyjna, wiesz, ta, której prosiłem cię, żebyś nie kopiował.

— Pamiętam, jasne. — Przecież nie powiem Billowi, że kartę skopiowałem. Była nam potrzebna, tak jak karty rejestracyjne innych dokumentów od niego. Dla wywiadu są one bezcenne. Dają możliwość odtworzenia systemu obiegu dokumentów, a w przyszłości mogą się przydać, na przykład w wydziale dla „nielegałów”[9]. Dla mnie, jak i dla każdego oficera wywiadu, bezpieczeństwo źródła — w tym wypadku Billa — jest najważniejsze. Więc te newralgiczne elementy były przekazywane do Centrali przy zachowaniu wszelkich możliwych środków bezpieczeństwa. W Chicago zabezpieczano je w szafie pancernej w pokoju szyfranta, a to najbardziej strzeżony punkt każdej placówki dyplomatycznej. Nieumiejętna próba jej otwarcia powodowała natychmiastowy wybuch o bardzo wysokiej temperaturze i spopielenie jej zawartości. A wywożone stamtąd były w podobnie zabezpieczonej teczce kuriera dyplomatycznego. Teczce, z którą nie rozstawał się aż do dostarczenia jej do punktu docelowego. Nawet do toalety z nią chodził.

— Czasami, jak jadę do któregoś z naszych zakładów poza główną siedzibą, to gdy wracam, proszą mnie o zabranie ze sobą ważnych dokumentów. Pakują je w specjalny sposób, takie „podwójne zawijanie”, a ja po prostu wrzucam do bagażnika i tego samego dnia, a jeśli jest już późno, to następnego, w firmie, już u siebie, oddaję. To przysługa, zawsze są mi „niezmiernie zobowiązani”.

— Hmm, a gdybyś tak...

— Tak, tak! Już o tym myślałem. Niech tylko nadarzy się okazja.

Po tamtej akcji na lotnisku miałem wrażenie, że FBI mi odpuściło. Coraz rzadziej ich widywaliśmy pod firmą, coraz rzadziej odwozili mnie do domu. W soboty jeżdżę do pracy głównie, by uporządkować papiery, spokojnie wyznaczyć sobie kierunki działania na kolejny tydzień. Zabieram ze sobą Małgosię, mała rysuje, bawi się w biuro. Nie przeszkadza mi. Po drodze mamy czas na pogadanie. Dzwoni telefon. Centrala z Chicago. Nietypowe, rzadko dzwonią w soboty. Ale sprawa jest pilna, w poniedziałek chce przyjechać do mnie dyrektor Stanisław Cichański z Metalexportu. Nie mogli mnie zastać w domu, Basia powiedziała, że będę tutaj. W porządku.

Odbieram go z lotniska, jest 7 maja 1979. I widzę ich już, gdy idę z Cichańskim do samochodu. A cały tydzień nie było żadnego z agentów. Tak więc jasne, podsłuch. Gość z Polski musiał być dla nich kimś szczególnie godnym uwagi.

Obserwacja towarzyszy mi cały dzień. Kończą, gdy odwożę go po

kolacji do hotelu w Santa Monica.

To nasuwa mi pewną myśl, którą już wcześniej omawiałem z Centralą Wywiadu. I od wtorku zabieram się do realizacji. Czas jest dobry, Bill chwilowo nie ma nic w zasięgu ręki, nie jestem więc obciążony obróbką materiałów. Dzwonię kolejno do wszystkich swoich klientów i zaczynam odnawiać kontakty. Ze szczególnym uwzględnieniem tych zlokalizowanych wokół przemysłu specjalnego. Umawiam się na spotkania. Jeżdżę. Znów wyrabiam po 200-300 mil dziennie. Nie zawsze są ze mną, ale raczej często. Po dwóch dniach mam pierwszy sygnał, że złapało.

Jeden z moich klientów, którego odwiedziłem w pierwszej kolejności, skarży mi się, że nachodzi go FBI i wypytuje o pracowników, o ich rodziny, pochodzenie.

— Marian, paranoja jakaś! Ja tu mam terminy, roboty masa, a muszę siedzieć z jakimś dupkiem, który mnie magluje o każdego pracownika osobno. Skąd pochodzi, a kim byli jego rodzice, a gdzie mieszka. A ilu zatrudniam obcokrajowców i takie głupoty. Mówię, że wcale, bo wszyscy to Amerykanie. A oni mi wyciągają, że jeden jest z pochodzenia Czechem, a inny Niemcem. I dalej, kiedy był na urlopach, jak długo! Zwariować można!

— Potraktuj to jak wyróżnienie! Widocznie twoja firma jest ważna, skoro interesują się nią agendy rządowe.

Wracając do domu, myślę, że szkoda mi znajomego, który traci czas na rozmowach z agentami specjalnymi, ale nic mu się nie stanie, jest czysty. Śmiać mi się chce także na myśl, że podsłuchują tę właśnie rozmowę, podczas której tak na nich narzeka. Wiem, że kontrwywiad musi sprawdzać każdą, choćby najmniejszą informację. A przy rozpiętości moich kontaktów daje to setki ludzi do przepytania. I godziny rozmów telefonicznych do odsłuchania. I informacje z tych rozmów do sprawdzenia. I wszystko na nic! Jak absorbujące i bezproduktywne zajęcie! Odczuwam satysfakcję, że przysparzam im roboty i angażuję dziesiątki agentów. Zadowolony z siebie kupuję kwiaty Basi i jadę rozpocząć weekend. Tylko żona i córki. Wyjedziemy gdzieś. Może do Billa Greya, do jego domku w *country club*? Małgosia tak lubi tam jeździć, a Bill, a właściwie Waldek Soszyński, traktuje moje córki jak własne wnuczki. Odpoczniemy.

Potrzebuję choćby jednego dnia spokoju. Od dłuższego czasu męczy mnie grypa, w ciepłym klimacie Kalifornii niełatwo się jej pozbyć. Nie mogłem sobie pozwolić na zwolnienie, więc starałem się nie zwracać na

nią uwagi.

Mam gorączkę, ale mam też delegację z Chicago, z którą jadę do National Shipbuilding Company w San Diego. Firma ta buduje na co dzień okręty wojenne i jest zainteresowana kupnem dużych obrabiarek. Wracałem sam samochodem i nie pamiętam jak przejechałem ostatnie czterdzieści mil. Jakbym zapadł w letarg. Dowlokłem się do domu, padłem na łóżko. Rano miałem lecieć KLM-em, via Amsterdam, do Polski, mój ojciec był ciężko chory i chciałem się koniecznie z nim zobaczyć. Jednak rano okazało się, że nie jestem w stanie się ruszyć. Nie mogłem nawet wstać z łóżka. Dopiero po dłuższym czasie Basi udało się mnie podnieść i zawieźć do naszego lekarza dr. Hymana Rossa. Natychmiast zarządził prześwietlenie płuc. Diagnoza: *walking pneumonia*, a więc rodzaj zapalenia płuc. Z lotu do Polski musiałem zrezygnować. Z pracy też. Siedziałem w domu chory i wściekły. Humor poprawiał mi jeden z moich klientów, który oprócz małej fabryki miał wielką plantację brzoskwiń i pomarańczy. Jak się dowiedział o mojej chorobie, codziennie wysyłał mi trzy kartony świeżo zerwanych owoców. Nadawał je autobusem linii Greyhound, a George Amberg odbierał przesyłkę i przywoził mi do domu. To był jedyny plus tej choroby. Na dobre do pracy mogłem wrócić dopiero po kilku tygodniach.

Jednak wcześniej próbowałem wychodzić na kilka godzin, gdy było coś naprawdę ważnego. 25 maja przyjechał mój szef z Polamco. Musiałem spotkać się z nim, podpisać umowy, które przywiózł. Załatwiliśmy pilne sprawy, odprowadziłem go na lotnisko. I tam zastała nas wiadomość o katastrofie DC-10. Samolot runął zaraz za pasem startowym lotniska w Chicago. Urwał mu się lewy silnik. Jak zrozumieliśmy z komunikatów radiowych, katastrofa miała miejsce nie więcej niż półtora mili od biur Polamco w Chicago. Zginęli wszyscy pasażerowie lotu 191. Należący do American Airlines DC-10 miał lecieć stamtąd właśnie do Los Angeles, a szef, z którym byłem już na lotnisku, kupił bilet na trasę odwrotną: Los Angeles — Chicago. I lecieć miał też samolotem American Airlines typu DC-10. Poszliśmy do baru, wypił kilka kolejek i powiedział: „Jestem gotowy do lotu”. Czekałem później na telefon od niego, oczywiście dotarł na miejsce szczęśliwie. Jadąc do domu, z żalem pomyślałem o tym, że Ed Rug z McDonnell-Douglas był już tak blisko sfinalizowania kontraktu na sprzedaż DC-10 do Polski. Ta katastrofa pewnie położy się cieniem na tak dobrze zapowiadającej się współpracy.

Na początku czerwca przez Rezydenturę przychodzi polecenie niebrania materiałów z powodu podpisywania układu SALT II. Jednocześnie pojawia się i druga depesza, mówiąca, że poprzednie materiały zostały ocenione

bardzo wysoko. I konsultacja terminu przyjazdu do Polski. Staje na drugiej połowie miesiąca.

W Warszawie spotykam się w lokalu konspiracyjnym z moim oficerem prowadzącym, Zdzichem i Sergiuszem, naczelnikiem Wydziału VI, którego sam widok sprawia, że mam swoisty szczękościsk. Postanawiam przejąć inicjatywę:

— Jak tam rakiety Phoenix?

— Nasi specjaliści pracują nad nimi... Tak, dość to wszystko ciekawe, co pan zdobywa, panie Zacharski. Takie, no, jakby... nowatorskie! Nowatorskie!

— Zabytkowego bym nie przywoził.

— A nie, nie. Zabytki, dzieła sztuki to u nas inny wydział prowadzi...

Wymieniamy ze Zdzichem spojrzenia. On zdecydowanie bardziej rozrywkowo podchodzi do naczelnika, ja po każdej jego wypowiedzi jestem na granicy zawału. Ale z biegiem czasu ustalił się między nami dwoma niepisany kod. Gdy mnie zaciskają się szczęki, Zdzichu przejmuje rozmowę.

— Materiały są doskonalej jakości. W to nikt nie wątpi. Właściwie to, co jest ich zaletą, stanowi w tej sprawie pewien problem. Specjaliści wojskowi mają kłopot z właściwą interpretacją dokumentów, nie pracowali nigdy na takim stopniu zaawansowania technologii. Ale to nie twoje zmartwienie. Rozpracują je prędzej czy później.

— A co powiecie o wnioskach wypływających z Anti-Armor Concept Study?

— Z czego, bo nie zrozumiałem? — dopytuje Sergiusz.

— Z analizy problemów NATO — Układ Warszawski.

— A, tak, tak. Bardzo ciekawy dokument.

— Zwłaszcza dla naszego kontrwywiadu — wtrącił Zdzichu, spoglądając wymownie na Sergiusza.

— No tak, panowie, ale bez pochopnych wniosków, ja proszę.

— Panie naczelniku, to nie jest pochopna opinia, z tego dokumentu wyraźnie wynika, że NATO ma źródła informacji postawione wysoko w strukturze Układu Warszawskiego, choć nikt nie mówi, że są to polskie źródła.

— Panowie, panowie! Pan, panie Zacharski, ma za zadanie zdobywać dokumenty dla wywiadu naukowo-technicznego. Pan, panie Zdzisławie, ma prowadzić wszystkie sprawy związane z misją pana Mariana. Ale interpretację zdobytych materiałów proszę pozostawić specjalistom.

Jasne. Wracamy do moich spraw. Dostaję potwierdzenie, że zdjęcia

poklatkowe są prawidłowej jakości. Mówię, że taki sam sprzęt przydałby się Billowi, żeby sam mógł wykonywać zdjęcia dokumentów. Przy tysiącach stron obrobienie ich w jedną noc (a najczęściej rano muszą z powrotem znaleźć się w HAC) przekracza moje możliwości. Musimy to robić obydwaj. Zwłaszcza że robienie zdjęć jest bardziej czasochłonne niż kopiowanie przy użyciu ksero.

Przekazuję im informację, którą podawałem już w raportach za pośrednictwem Rezydentury: nasilająca się obserwacja FBI. Mówię im dokładnie o moim locie do Chicago, z walizkami zawierającymi trzydzieści kilogramów gorącej dokumentacji i agentami na karku. Sergiusz potakuje głową.

— Bardzo nam zależy na pańskim bezpieczeństwie, panie Zacharski, więc rozważamy możliwość zmiany sposobu przekazywania pozyskanych dokumentów.

Czyżby coś drgnęło? Czyżby naprawdę Centrala wpadła na jakieś genialne rozwiązanie? Przez trzy sekundy jestem w niedowierzającym zachwycie. Ale Sergiusz kończy myśl:

— Otóż, po przeanalizowaniu wszelkich możliwości i rozwiązań, doszliśmy kolektywnie do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli materiały będzie dostarczał pan Bell osobiście!

— Do Chicago?!

— Nie, skądże znowu! Do Europy.

Nie odzywam się. Ta chwila trwa i trwa, bo nie jestem w stanie zebrać myśli. Najpierw przypuszczam, że Sergiusz żartuje, bo to, co powiedział, brzmi jak ponury dowcip. Jak jakiś głupi żart rodem z komedii klasy C. Ale patrzę na Zdzicha i po jego minie widzę, że to się dzieje naprawdę, że oni nie żartują.

— Panowie, chcecie, żeby Bill Bell, pracownik firmy z sektora przemysłu specjalnego Stanów Zjednoczonych, sam przywoził do Europy, w teczuszce, tajne projekty urządzeń militarnych?

— Nie, no nikt nie powiedział o teczuszce, to już sobie pan sam wymyślił!

— Tak, Marian, rozważamy taką koncepcję. Wiele za nią przemawia. Bill ma teściów w Europie — jest powód do odwiedzin, jego żona jest stewardesą, więc mogą, korzystając z tanich biletów lotniczych, chcieć sobie podróżować.

— Zdzichu, ale Bill jest jednocześnie naszym najlepszym, złotym źródłem. Takiego jeszcze wywiad cywilny nie miał. To rozwiązanie naraża go osobiście! Jeśli dojdzie do najmniejszej wpadki, tracimy go na zawsze i jeszcze możemy mieć do siebie słuszne pretensje, że to na własne życzenie.

Że nie zadbaliśmy o bezpieczeństwo źródła. Więcej, sami go naraziliśmy!

— A masz lepszy pomysł?

— Już dzisiaj usłyszałem, że od pomysłów są specjaliści, a ja jestem od zdobywania materiałów. Ale mówiłem kiedyś: dajcie kogoś od nas, przeszkolonego, a przy tym inżyniera, specjalistę od technologii, a ja go zatrudnię w Polamco i będzie na miejscu obrabiał te materiały.

— Próbowaliśmy. Mieliśmy jednego, wprowadziliśmy go wstępnie w sprawę. Dostał te materiały na dwa dni w lokalu konspiracyjnym, miał się z tym wszystkim zapoznać i...

— I co?

— I się nie zdecydował. Odmówił. Powiedział, że go to przerasta.

— Panie Zacharski, niech pan rozważy naszą propozycję. Nie trzeba podejmować decyzji od razu, można się zastanowić. I oczywiście tak porozmawiać z panem Bellem, żeby zechciał przystać na naszą ofertę.

Wracam do Kalifornii w mocno refleksyjnym nastroju. Klnę w duchu. Wszystko jest nie tak, jak trzeba. Mają mnie, dobrze osadzonego w Stanach, z kontaktami, jakich wcześniej nikt nie nawiązał. Mam dobre przykrycie w Polamco, umocowałem tę firmę na rynku amerykańskim naprawdę tak dobrze, jak tylko można. Dokucza mi obserwacja FBI, ale za jakiś czas federalni się znudzą, widząc bezproduktywność swoich wysiłków. Pozyskałem do współpracy Billa, który może dla nas pracować latami niczym kura znosząca złote jajka, oczywiście, dobrze zasilany naszymi dolarami. Ale wysyłanie Billa z dokumentami o takim statusie do Europy to gol samobójczy. To się musi źle skończyć. Bill jest od zdobywania dokumentów, to naukowiec. Ja jestem od pozyskiwania ich od Billa i dbania o jego bezpieczeństwo. A Centrala jest od zabezpieczenia łączności z krajem. Taki jest właściwy rozkład pracy. A oni chcą to wszystko postawić na głowie, bo tak jest dla nich bezpieczniej. Bo wtedy nikt z nich się nie naraża. Ale nie mogą przenosić całego ciężaru na Billa, to wbrew wszelkim zasadom! Prędzej czy później to się posypie.

Po tej rozmowie z ciężkim sercem wracam do pracy.

Ale niezależnie od najbardziej nawet wydumanych pomysłów w Centrali, tu życie biegnie swoim trybem, rytmem, który mu nadałem. I nie mogę go zatrzymać tylko dlatego, że oni nie mają pomysłu.

Krótko po moim powrocie, Bill przynosi kolejne porcje dokumentów. I co? Mam mu powiedzieć: „Wiesz co, przyjacielu, spakuj to wszystko ładnie do torby i leć z tym do Europy”?

A są wśród tych materiałów rzeczy naprawdę gorące, tak jak propozycja usprawnienia do pocisku TOW z dnia... 15 czerwca 1979 roku! Dokument, który nie ma jeszcze dwóch tygodni! Bill opowiada mi o tym z wypiekami,

bo dowództwo Armii Stanów Zjednoczonych od dawna poszukiwało sposobu na udoskonalenie pocisku. TOW wystrzeliwany był z bojowych wozów piechoty, konkretnie z podwójnej wyrzutni zamontowanej na wieżyczce wozu. Do pocisku dołączony był drut, który rozwijał się w miarę lotu pocisku i służył do przekazywania komend. Wojsko potrzebowało nowej wersji pocisku, pozbawionej tego kłopotliwego drutu. Naukowcy znaleźli rozwiązanie: maleńki radar zamontowany w jego czubku. I prototyp tego urządzenia właśnie przyniósł mi Bill[10]. Mówi mi także, że DARPA finansuje badania nad szybkoschnącymi farbami radioaktywnymi, które mają być używane w pociskach wystrzeliwanych w kierunku czołgów — do neutralizacji wszystkich zamontowanych na nich sensorów. Oprócz tego Bill przynosi istotne uzupełnienia do radarów rakiet Phoenix, analizę zagrożeń dotyczących CAWGS, komplet informacji o radarze Pathfinder. Bardzo wartościowe są także materiały z seminarium, które odbyło się w HAC, na temat zastosowania technologii fal milimetrowych. Bill uczestniczył w nim osobiście i miał dostęp do wszystkich przygotowanych na seminarium dokumentów. Ale równie ciekawe były materiały z narady, która odbyła się w West Point, gdzie przedstawiciele ARRADCOM spotkali się z przedstawicielami przemysłu. Od dawna interesuję się wszystkim, co Bill mówi o swojej pracy, zachęcam go do szukania ciekawych informacji także poza jego projektami. Teraz to procentuje. Kończę kopiowanie tej serii na trzech tysiącach stron, do tego kilka fiszek, gdzie na jednej kliszy jest kilkanaście zdjęć mikrofilmowych. Te ostatnie pochodzą wprost z zasobów Billa. Mówi, że w firmie nikt nie będzie ich szukał.

Dzwonię do Chicago, ale korzystam już wyłącznie z budki telefonicznej. Oficer Rezydentury, umówionym szyfrem, proponuje, że sam przyleci do Los Angeles po mój urobek.

Ale 4 lipca dostaję wiadomość, że Centrala nie wyraziła zgody na jego wyjazd. Z powodu obserwacji, którą jestem objęty ze strony FBI, uważają, że nasz kontakt zostanie zarejestrowany. Zdaniem Centrali bezpieczniej jest, bym sam przywiózł dokumenty do Rezydentury, korzystając z pretekstu służbowej podróży do Chicago. Jasne!

Nie komentuję tego, bańka mydlana może pęknąć tylko raz. W moim wypadku miało to miejsce pod koniec kwietnia.

Przechowuję gorące trzy tysiące stron w skrytkach na klatce. Czekam na właściwy moment. Na jakiś pretekst stworzony bezpośrednio przez centralę Polamco. Ale też spokojnie obserwuję, co się dzieje wokół mnie. Po aktywności z początku czerwca, FBI jakby odpuściło. Od czasu do czasu mam sygnały od swoich klientów, że ich teraz sprawdzają. Wygląda na to,

że moja taktyka przysporzenia im pracy, zadbania o pełne zaabsorbowanie ich zasobów kadrowych, przyniosła skutek. Sytuacja klaruje się sama, mam pewne dokumenty do podpisania w Chicago. Celowo nie umawiam się na żaden termin: „jak będę przy najbliższej okazji”.

Wybieram nocny lot z 16 na 17 lipca. Zawsze to zaskoczenie ewentualnego przeciwnika, bo zwykle latam wcześnie rano. Udaje się. Na lotnisko docieram sam. Podczas kontroli bagażu nie widzę nikogo od nich. Bez specjalnych przeszkód docieram do konsulatu. Oddaję materiały, pobieram pieniądze dla Billa (2 tysiące dolarów).

— Mam dla ciebie niespodziankę — mówi oficer Rezydentury — otrzymaliśmy depeszę, że zostałeś odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi. Wręczą ci go podczas najbliższego pobytu w kraju.

— Zaskoczyłeś mnie. Coś więcej wiesz na ten temat?

— Nie — przebiega wzrokiem treść rozszyfrowanej depeszy — 4 lipca ci przyznali. A, i dostaniesz 200 dolarów nagrody.

— 4 lipca... — powtarzam za nim.

— O cholera, Marian, rzeczywiście! Ale wiesz, pewnie nie wiedzieli jedni, co robią drudzy. Co ci mogę powiedzieć? Wiesz, że sam prosiłem ich o zgodę na wyjazd do ciebie.

Wierzę mu. Ale to takie symboliczne. W dniu święta narodowego Stanów Zjednoczonych zostaję odznaczony za wywiadowczą działalność na ich terenie, ale jednocześnie tego samego dnia wydają zakaz przyjazdu do mnie oficerowi, bo wolą, żebym sam dowiózł materiały. Wypijam kawę i jadę do Polamco. Wracam do domu bez przeszkód. Nikt mi nie towarzyszy. Przynajmniej mój wyczulony wzrok nie dostrzega niczego, co wzbudziłoby moją czujność.

Billa delegowano służbowo do pracy poza Los Angeles (konsultuje kolejne programy dla wojska), więc pieniądze daję mu dopiero po jego powrocie. Kwituje: 20 lipca 1979. Korzystam z tego, że FBI dało mi spokój (albo może próbują rozpracować wszystkie celowo wskazane przeze mnie kontakty) i skupiam się na pielęgnowaniu znajomości z Y. Wymaga to dalszych wyjazdów. W drodze mam czas, by myśleć o Billu i dalszym rozwoju naszej znajomości. Jestem przeciwny pomysłowi Centrali, by moje „złote źródło" samo woziło materiały. Ale jakie mam właściwie rozwiązanie? Jedyny człowiek, którego próbowali wciągnąć do sprawy, ten inżynier współpracujący z Wydziałem VI, sam zrezygnował. Miał przynajmniej cywilną odwagę, powiedzieć: „Nie, to mnie przerasta". A ci moi tam, w Warszawie, mówią: „tak", a potem gówno z tego wychodzi, bo chcieć, chcą, ale nie wiedzą jak. A jeśli odmówię? Jeśli powiem, że Bill nie zgadza się przyjeżdżać do Europy? Czy ochronię w ten sposób tego porządnego faceta przed zagrożeniami, które mogą go tam spotkać? Obawiam się raczej, że wówczas mogą próbować dotrzeć do niego poza moimi plecami. Wyślą oficera z Chicago, który powie mu, że Marian Zacharski już się nim nie zajmuje i że jeśli Bill chce dalej zarabiać, to musi to i tamto. A mnie oficjalnie odsuną od sprawy. Mają prawo tak zrobić, niezależnie od moich zasług, bo to w końcu służba. Nie wiadomo też, jak może zachować się Bill, jeśli potraktują go zbyt obcesowo. Do tej pory dbam o jego samopoczucie. Facet wie, że pracuje dla polskiego przemysłu, który interesuje się jego dokonaniami i szanuje go jako wybitnego specjalistę. Bill nie jest głupi, ale potrzebuje tego kamuflażu, by czuć się bezpiecznie. Nie wiem, czy gra w otwarte karty nie spowodowałaby u niego nerwowej i nieprzewidywalnej reakcji. W takiej sytuacji może się zdarzyć wszystko, a wycofanie się człowieka ze współpracy jest doprawdy najdelikatniejszym z możliwych rozwiązań. Trzeba też pamiętać, że Bil chce pracować. Bo chce *zarabiać*. I nie bez znaczenia jest rola Rity w tej układance. Ona jest skłonna wpływać na męża, by nie rezygnował z dobrze płatnej drugiej pracy. Niezależnie od tego, czy wie, czy nie wie, co w istocie Bill robi. I czy to w wypadku nacisku na Billa, czy próby jego wycofania się ze współpracy, Rita może stać się najsłabszym ogniwem. A przez to niebezpiecznym dla każdej ze stron. Na tyle, na ile poznałem tę kobietę, wiem, że dla własnego dobra jest w stanie zrobić wiele.

Moje gorzkie refleksje na temat żony przyjaciela nie są bezpodstawne. Zachowanie Rity od początku budziło moją czujność. Ostatnio, gdy Bill był poza Los Angeles, bo wyjechał do pracy jako konsultant, Rita podczas imprezy w klubie w Cross Creek Village wypiła o kilka drinków za dużo.

Byłem sam, Basia źle się czuła i została w domu, a ja dla odprężenia postanowiłem wpaść na chwilę do klubu, także i po to, by sąsiedzi nie myśleli, iż bywam tylko tam, gdzie Bill. Rozbawiona Rita próbowała owinąć się wokół mnie niczym wąż. Gdy chciałem ją łagodnie uspokoić, uczepiła się mego ramienia. Sytuacja była niezręczna, Rita wisiała na mnie, wzbudzając zainteresowanie coraz większej ilości sąsiadów. W końcu uratowała mnie Brenda, wzięła Ritę i odprowadziła do domu. Michael podał mi drinka.

— Nie znoszę pijanych kobiet! — powiedziałem do niego, gdy siadaliśmy przy stoliku.

— Wszystkich, czy tylko tej jednej?

— Ogólnie — wyciągnąłem się na krześle. — Głupia sprawa.

— Tak, Bill wyjechał, a żonka się bawi!

— Niech się bawi, ale nie moim kosztem.

— Nie lubisz Rity?

— Michael, lubię. Ale tak samo lubię tę naszą nową sąsiadkę z Maroka albo panią Smith spod trójki. Albo twoją żonę. Nie, przepraszam, Brendę lubię znacznie bardziej. To wspaniała kobieta.

— Wiesz, że wiele osób na osiedlu myśli, że ty i Rita...

— Daj spokój, stary! — w moim głosie zabrzmiała nuta obrzydzenia, choć nie chciałem, żeby tak wyszło.

— Więc nie?

— Nie! Nigdy w życiu!

— Uff, to mi ulżyło!

— Michael, więc ty też?

— Nie, no teraz już wiem, że nie, ale wiesz, to naprawdę tak wyglądało.

— Proszę, cię, stary! Nie jestem święty, uwielbiam piękne kobiety, ale nigdy nie tknąłem żony kumpla, a tym bardziej przyjaciela! A Rita — Ricie daleko do tego, co mi się w kobietach podoba.

— Dobra, Marian, wierzę ci. Już! — Stukamy się szklankami. Pijemy. Po chwili Michael mówi:

— Jakiś czas temu widziałem z okna, jak Bill podjechał po pracy na parking. Dłuższą chwilę nie wysiadał z auta. A potem ni stąd, ni zowąd trzy razy przywalił zderzakiem w ścianę garażu. Jakby chciał się wyładować, rozpieprzając samochód. Wyskoczyłem z domu, żeby do niego pobiec, bo pomyślałem, że nie jest dobrze, i wtedy na schodach zobaczyłem ciebie, jak wychodzisz od niego z mieszkania, Rita zamykała za tobą drzwi. Zatrzymałem się i wróciłem do domu. Wiesz, pomyślałem: ty i Rita, a Bill się pewnie dowiedział, stąd ta wściekłość w aucie.

— Och nie, Michael! To śmieszne! Byłem zanieść im belgijskie

czekoladki, wiesz jacy są oboje sfiksowani na tym punkcie: „My poznaliśmy się w Europie, moja żona jest Belgijką, to nasze najpiękniejsze wspomnienia”. A mi klient przyniósł w prezencie pudło pralinek, ja nie lubię słodyczy, Basia się znowu odchudza, pomyślałem, że zrobię im przyjemność. Rzeczywiście, Billa nie było wtedy w domu, więc dałem prezent i zniknąłem. I tyle.

Śmialiśmy się z tego potem i zmieniliśmy temat. O zderzaku Bill mi mówił, ale nie wiedziałem, że sam go załatwił. Sądzę, że powód mógł być właśnie taki, o jakim myślał Michael, tyle że nie ze mną w roli głównej. Bill w tamtym czasie wyjątkowo przeżywał ciągłe nieobecności Rity.

Dostaję z Centrali wiadomość, że mam powoli pracować nad ukierunkowaniem Billa w stronę jego samodzielnych przyjazdów do Europy. Więc decyzja zapadła i nie mam już na nią wpływu. W sierpniu Bill planuje urlop na Hawajach, oczywiście z rodziną. Kupuję mu kamerę Canon, taką samą jak moja. Daję mu ją przed wyjazdem w prezencie i do tego 2 tysiące dolarów, żeby wypoczynek przebiegał mu bezstresowo. Jest zachwycony i szczęśliwy.

Chcę, żeby przyzwyczaił się do kamery, oswoił ją. Wkrótce będzie musiał dużo z nią pracować i niekoniecznie będą to zdjęcia rodzinne.

Gdy go nie ma, pielęgnuję swój kontakt z Y.

Pewnego dnia dzwonią do mnie z konsulatu w Chicago i proszą, bym zajął się „małą polską delegacją”. Pytam o kogo chodzi. Adam Gierek, syn Edwarda Gierka z małżonką.

Mam ich odebrać na lotnisku i pojechać z nimi do znanej kliniki chorób oczu w Santa Monica. Trudno. Mam, jak zwykle, masę roboty w firmie, ale oczywiście nie wypada mi odmówić. W Los Angeles nie ma żadnej oficjalnej polskiej placówki, więc jak mają takie sytuacje, zwykle zwracają się do mnie. „Pokaż im miasto, zabierz na kolację, zrób tak, żeby byli zadowoleni”. Tym razem okazuje się, że będę tłumaczem. W klinice czeka już na nas profesor, szef placówki. Może to śmieszne, ale naprawdę muszę się zebrać w sobie, by to wytrzymać. Nie znoszę widoku krwi. Nie lubię lekarzy. Nienawidzę szpitali. Zwiedzamy klinikę, dyskutujemy o technikach operacji oczu, a na końcu lądujemy w pomieszczeniu, gdzie kilkunastu lekarzy eksperymentuje na królikach. Paskudztwo. Jestem szczęśliwy, gdy kończymy wizytę. Podczas lunchu pan Adam opowiada, że jest z wykształcenia metalurgiem i pasjonują go materiały kompozytowe. Pyta, czy nie mam kontaktów wśród firm zaangażowanych w badania czy nawet produkcję tego typu nowych materiałów. Mówię, że nie, przykro mi, chętnie bym mu pomógł, ale akurat nie w tej branży. Taka praca. To nic, że to syn szefa partii. Nie mogę mu powiedzieć o swoich kontaktach z

Northropem. Kto wie, czy teraz, jeśli Bill zacznie sam latać do Europy, Northrop nie będzie moim kontaktem numer jeden. Zwłaszcza że jest już gotowy do pracy.

Odwożę ich na lotnisko LAX, stamtąd lecą do San Francisco. Żegnamy się serdecznie, zapraszają mnie do Katowic.

Mój klient Tom Walker wybiera się do Europy. Pyta, czy nie pojechalibyśmy razem, chętnie odwiedziłby Polskę z takim przewodnikiem jak ja. Z Tomem układ jest czysty. Tylko biznes. Tylko obrabiarki. Tym razem nie mam specjalnie ważnych spraw w Centrali (przeniesienia kontaktów z Billem nie ruszam, czekam na ruch z ich strony), ale Metalexport chętnie by mnie widział, nazbierało się trochę problemów do wyjaśnienia. Lecę więc z Tomem i jego żoną we wrześniu. Pokazuję im Kraków i Warszawę. Oczywiście, skoro już jestem, spotkanie z oficerem prowadzącym się odbędzie. Wolałem tego uniknąć, bo miałem nadzieję nie poruszać sprawy Billa. Niespodzianka: w lokalu konspiracyjnym na Starym Mieście czeka na mnie nie tylko Zdzichu, ale i Jerzy Cześnik, zastępca dyrektora Departamentu I. Sergiusz niestety też. Ale najpierw uroczystość: wręczają mi Brązowy Krzyż Zasługi. Cześnik mówi, że hierarchię orderów zaczynam, jak należy, od samego dołu, ale jeśli moja działalność będzie nadal tak obfita, to wkrótce zabraknie dla mnie odznaczeń. Uściski dłoni. Lubię Cześnika, prosty facet, ale szczery. Zwykle rozpoczyna od dwóch zdań partyjnej nowomowy, by szybko wyskoczyć z niej jak ze zbyt ciasnych butów i mówić po ludzku. Są więc słowa uznania, podziękowania i nawet bukiet goździków. Ale szybko przechodzimy do sprawy. Cześnik potwierdza: decyzja kierownictwa wydziału jest taka, by Bill sam jeździł do Europy. Do mnie należy przygotowanie go, przeszkolenie i najważniejsze: wypracowanie jego zgody. Nie kryję swoich obaw. Ale to tylko formalność: decyzja zapadła. Ja mam ją wykonać.

We wtorek 25 września 1979 roku wieczorem ląduję w Los Angeles. Wcześnie rano jadę do pracy. Wieczorem Basia mówi, że Bill mnie szukał, był rano, zaraz po tym, jak wyszedłem. Mówił, że wyjeżdża służbowo i za dwa dni, jak wróci, skontaktuje się ze mną. Domyślam się, że to coś ważnego.

W piątek wieczorem Bill przychodzi do mnie do domu. Robię mu drinka, gadamy sobie, popijając i on bez słowa zostawia mi sporą teczkę. Stuka w nią palcem. Kiwam głową i umawiamy się na następny dzień na korcie. Myślę: „Wyrobił się Bill, może te jego wyjazdy to nie będzie aż tak zły pomysł?”.

W nocy filmuję zawartość i zostawiam w skrytce. W sobotę na korty odnoszę teczkę i daję mu 1000 dolarów. Mówię:

— Bill, chwilowo nie będę brał od ciebie żadnych materiałów. Chodzi o nasze bezpieczeństwo.

— Więc chcesz skończyć współpracę?

— Nie, stary! Musimy to trochę inaczej ułożyć. Daj mi kilka dni, a potem pogadamy.

Moje stanowcze zaprzeczenie uspokaja go i gra rozluźniony.

Wygrywa ze mną! Jestem tak śpiący, że nie widzę piłek.

W nocy, kiedy skończyłem filmowanie, przejrzałem spokojnie materiały. Zawartość teczki była genialna. Dostaję dokumenty, które najdalej z dotychczasowych wybiegają w przyszłość. Są przeznaczone do odtajnienia w 2007 roku!!! To opracowania Rand Corporation, firmy, która w dwóch trzecich pracuje wyłącznie dla Ministerstwa Obrony, a w szczególności dla organów zajmujących się bezpieczeństwem Stanów Zjednoczonych. Są materiały z konferencji w Departamencie Obrony USA na temat fal milimetrowych i ich zastosowania w technice militarnej i komunikacji satelitarnej, a ponadto świetne analizy rakiet balistycznych.

Oprócz informacji z Rand potężna publikacja na temat rakiet Roland. Do tego dodatkowe materiały o radarze dla samolotu F-15 (takich wcześniej nie mieliśmy) — w tym instrukcja szkoleniowa dla pilotów i załóg izraelskich. Pełen zatwierdzony opis anteny do LPIR. W sumie ponad tysiąc stron. To jest nieskończenie wiele więcej warte, niż ten tysiąc dolców, z którego Bill się tak ucieszył.

O ileż łatwiej jest wozić materiały przygotowane na filmie niż walizy nieporęcznych papierów. Chociaż odpowiedzialność jest dokładnie taka sama. Oficer w Chicago pyta, czy nie obawiam się, że Centrala będzie miała mi za złe przyjęcie tego, skoro zapadła decyzja o przeniesieniu kontaktów do Europy. Pyta, czy już rozmawiałem z Billem.

— Bill to nie jest facet, któremu można wydawać polecenia! On zrobi wszystko, pod warunkiem, że poprowadzi się sprawę spokojnie, delikatnie, tak aby wyglądała na naturalny bieg rzeczy. Nie mogę powiedzieć mu: od jutra sam się wszystkim zajmujesz. Potrzebujemy czasu. Ale zrobiłem już pierwsze kroki. A ty, jak się boisz przyjąć ode mnie urobek, to nie bierz.

— Marian, ja się nie boję. Pytałem o ciebie.

— Ja też nie.

Podaliśmy sobie ręce.

Po kilku dniach wyciągam Billa na pierwszą rozmowę. Proponuję, żebyśmy poszli pobiegać na plażę. Nie lubię biegania, to dla mnie taki bezproduktywny wysiłek. Ale nie chciałem gadać ani przy basenie, ani na kortach. Jest sobota i sporo ludzi korzysta z niewątpliwych walorów

naszego osiedla. Bill wprawdzie poprawił kondycję, odkąd pracuje dla mnie, bo w końcu większość naszych spotkań kończy lub zaczyna się grą w tenisa, ale nie aż tak, by długo biegać. Siadamy na plaży. Tu na pewno możemy spokojnie pogadać.

— Od pewnego czasu federalni mają na oku moją firmę. Nie, nie martw się, interesy prowadzimy w najlepszym porządku, ale właśnie nasz sukces na rynku amerykańskim jakoś ich w oczy kole. Sprawdzają wszystkich moich klientów, zawracają im głowę. Często pilnują moich pracowników, jeżdżą za serwisantami. Za moim zastępcą i za mną też. Rzadko zaglądają tu do nas na osiedle, ale ponieważ ich działalność ma wszystkie znamiona rutynowych kontroli, jasne jest dla mnie, że prędzej czy później tu trafią. Mogliby zobaczyć coś, czego nie powinni. Nie mogę cię narażać. Siebie zresztą też. Ani naszych rodzin.

— Cholera, Marian, to mamy problem! Nie wiedziałem.

— A u ciebie w pracy wszystko w porządku? Nikt o nic nie pyta?

— Skądże! Gdyby cokolwiek się wydarzyło, pierwszy byś się dowiedział! Spokój, cisza. Nawet żaden z moich starych kumpli nie zauważył, że czymś spoza własnego biurka interesuję się bardziej niż zwykle.

— To bardzo dobrze. I właśnie dlatego to najlepszy moment na pewne zmiany.

— Ale co masz na myśli? — Bill wyraźnie niepokoi się każdą wzmianką na ten temat. Lęka się o utratę źródła dochodów.

— Podczas pobytu w Polsce rozmawiałem z ludźmi z przemysłu. Pokazałem im materiały, które mi przynosisz, zaznaczyłem, jakie rozwiązania są twojego autorstwa.

— I co, i co?

— Są pod wielkim wrażeniem twojej wiedzy w zakresie radarów. Imponujesz im.

— Naprawdę? — mój przyjaciel zawsze reaguje na pochwały. Chyba jednak w HAC mu ich skąpią.

— Tak. Wyrazili chęć spotkania się z tobą, porozmawiania o twojej przyszłości.

— Ale w jakim sensie?

— Uważają, że mógłbyś pracować dla nich w sposób bardziej zorganizowany. Chcieliby cię prosić o konsultacje w różnych problemach, z jakimi spotykają się w swojej pracy. A ponieważ trudno jest to załatwiać za moim pośrednictwem, bo ja nie jestem ani inżynierem, ani naukowcem, chcieliby spotkać się z tobą osobiście, poza terenem Stanów Zjednoczonych?

— Czyli gdzie?

— Gdzieś w Europie.

— O, wiesz, jak ja kocham Europę!

— Wiem, Bill. Gdybyś pojechał na rozmowę z nimi, moglibyście też bezpośrednio ustalić kwestie związane z twoim wynagrodzeniem.

— Marian, ja jestem zadowolony z tego, co od ciebie dostaję. — Bill usztywnia się nagle. Spokojnie kontynuuję:

— Wiem, Bill, że jesteś zadowolony. Ale pieniądze ode mnie są nieregularne. Dostajesz, jak zdobędziesz materiały, czasami musisz czekać, aż ja otrzymam zgodę na wypłatę dla ciebie. To jednak dla ciebie dyskomfort. Chciałbym, żebyś za tę wspaniałą robotę miał możliwość życia na określonym poziomie. Takim, na jaki zasługujesz. Żebyś nie musiał liczyć się z każdym dolarem.

Bill pogodnieje. Przecież o to mu właśnie chodzi. Tego chce dla siebie. Nie zastanawia się długo. Mówi:

— Tak. Chętnie pojadę.

Wracamy spacerkiem, nie w głowie nam bieganie. Właśnie pierwszy raz, jasno i wyraźnie powiedziałem Bellowi, że to, co mi przynosi, przekazuję do Polski. Wcześniej on nie pytał, ja nie mówiłem. To, co było zawieszone między nami, teraz zostało nazwane po imieniu. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia, więc domyślał się wcześniej, że tak właśnie sprawy się mają. Jasno też sprecyzował swoje nastawienie do tej pracy: pieniądze. Idzie teraz obok mnie i zastanawia się na głos, w jakim banku będzie je trzymał, jak byłoby najwygodniej. Nie pyta, czy spotkanie z „ludźmi z przemysłu” jest legalne, czy nie. Rozkoszuje się nazwami banków. Dobrze. Zrobiłem, to czego chciała Centrala, a Bill wszedł w to bez oporów. W głowie zakłada konta, liczy odsetki. To znaczy, że jak przyjdzie do konkretów, myśl o wycofaniu się nie przyjdzie mu tak łatwo. O ile w ogóle.

Daję mu kilka dni na oswojenie się z nową sytuacją. I proponuję, abyśmy wybrali się wspólnie z dziećmi na wycieczkę rowerową. On bierze synka Rity, ja Małgosię. Szlak rowerowy wije się przez środek plaży. Dojechaliśmy do budki z napojami, kupiłem dzieciom colę, Billowi i sobie po piwie. Usiedliśmy i wróciliśmy do rozmowy. Od razu potwierdził swoją aprobatę. Pytał o szczegóły.

— Szczegóły poznasz na miejscu. Pojedziesz do Europy, spotkasz się z dwoma, może trzema facetami z przemysłu. Ustalicie zakres pracy, warunki finansowe i wszystkie inne konkrety. Najważniejsze, jak zareagują w HAC na twoje wyjazdy. Czy spodziewasz się jakichś problemów?

— Nie, skądże! Po pierwsze, mam urlop do wykorzystania, po drugie, mogę postarać się o powiązanie tego ze sprawami firmy. W HAC wiedzą,

że długo pracowałem w Szwajcarii, kiedyś nawet pytali, czy nie mógłbym skorzystać ze swoich starych kontaktów, bo szukają klientów na niektóre z naszych technologii. Ja nie widzę żadnych przeszkód.

— Dobrze. Druga sprawa to pilnowanie, by twoje nowe dochody nie rzucały się w oczy.

Gdy mówię o pieniądzach, Bill zawsze pogodnieje.

— Marian, możesz być spokojny! Ja przecież wiem, miałem już IRS na karku dobrych kilka lat. Teraz na przykład, jak robiliśmy remont w mieszkaniu, mówiliśmy wszystkim, że wiele prac sami wykonujemy, bo nie stać nas na fachowców.

— W porządku. Ja chcę tylko, żebyś o tym zawsze pamiętał. A Rita?

— Rita wie, że dostaję od ciebie pieniądze za jakieś papiery. Moja żona jest bardzo inteligentna i spostrzegawcza, wiesz, jak to kobieta. Ale ona jest zadowolona, bardzo zadowolona, że wyszliśmy z kłopotów finansowych, więc jej dyskrecji możesz być pewien.

Nie powiem Billowi, co naprawdę myślę o Ricie. Uczulam go raz jeszcze, by nie wtajemniczał żony we wszystko. Dla ich wspólnego bezpieczeństwa. Potem mówię mu, że w najbliższych dniach pokaże mu, jak używać kamery, którą ode mnie dostał do fotografowania dokumentów.

— Kiedy mam się spodziewać wyjazdu?

— Dam ci znać odpowiednio wcześniej. Zacznij przygotowywać grunt w pracy. Na początek weź po prostu normalny urlop, po pierwszym wyjeździe, jeśli się dogadacie, będzie okazja, by uzasadnić podróż kontaktami służbowymi. Ale weź pod uwagę, że to może być pod koniec roku.

Krótko po naszej rozmowie Rita wyjeżdża na kilka dni do San Francisco. Po przeniesieniu z Hawajów tam mieści się jej baza. Ku zadowoleniu Billa jest już częściej w domu niż przez ostatnie pół roku, ale wciąż jeszcze nie na stałe. Uznaję, że to dobra okazja do przeszkolenia Billa w zakresie fotografowania dokumentów. Spotykamy się na chwilę przy basenie, nasze dzieci się bawią, a Bill ni stąd, ni zowąd pyta:

— Marian, pamiętasz może taką aferę szpiegowską sprzed trzech lat, jak nasi przechwycili radziecki samolot MIG-25 w Japonii?

— W 1976? Pamiętam. Wtedy zbiegł do Ameryki pilot tego MIG-a, Bielenko, jeśli dobrze pamiętam.

— Tak, tak. Właśnie to.

— A dlaczego pytasz?

— Bo jeden z moich kumpli ma teraz na swoim stanie analizę pełnego raportu wykonanego w oparciu o współpracę z Bielenką i oczywiście

przygotowaną już przez naszych wojskowych analizę radaru pokładowego MIG-a. Dostał to do weryfikacji. Pytam, bo może by cię to interesowało?

— A jesteś w stanie przynieść ten dokument?

— Jutro nie, bo kumpla nie ma pracy, ale pojutrze raczej tak.

— No to jesteśmy umówieni. Twojej żony nie ma, wpadnę wieczorem, przy okazji pokażę ci, jak robić zdjęcia.

Jestem podekscytowany do granic możliwości. Od czasu ucieczki Bielenki nie udało się ustalić, jakie informacje przekazał stronie amerykańskiej. Wszystkie służby wywiadowcze krajów UW mają od trzech lat ten temat na dyżurnej „tapecie". Nie mogę pokazać Billowi swej radości, bo z racji swobodnego, zupełnie naturalnego rytmu jego pracy, jego koleżeńskiego wynoszenia dokumentów, nie chcę, by wyczuł, że kryje się za tym coś więcej. Po co ma się tym razem bardziej denerwować?

Do tej pory wiedziałem, że pilot Wiktor Bielenko wylądował w Japonii 6 września 1976 roku maszyną wyprodukowaną niecałe pół roku wcześniej. Przedtem stacjonował w 513. Regimencie Myśliwskim na Dalekim Wschodzie i piastował tam funkcję zastępcy szefa trzeciego squadronu. W 1967 roku MIG-25 ustanawia rekord szybkości wynoszący około 1850 mil na godzinę, uchodzi też za najlepszy samolot przechwytujący. Rosjanie mieli około czterystu takich samolotów, a mimo to, do czasu ucieczki Bielenki, NATO nie znało zbyt dobrze parametrów maszyny, nikt z Zachodu nawet nie widział jej z bliska. Po ucieczce Bielenki samolot był w rękach Amerykanów przez kilka tygodni, a dokładnie przez sześćdziesiąt siedem dni. Rozebrali go na części pierwsze i już nie trudzili się jego składaniem. Kiedy oddali go, po usilnych zabiegach strony rosyjskiej, był zapakowany w wiele drewnianych skrzyń. MIG-a oddali, ale Bielenko oczywiście został w Stanach pod specjalną ochroną rządu Stanów Zjednoczonych.

Z raportu, który przyniósł Bill, dowiedziałem się znacznie więcej.

Samolot miał na pokładzie przycisk oznaczony jako „niebezpieczeństwo". Pilot był zobowiązany do jego użycia przy katapultowaniu się lub konieczności lądowania na terytorium wroga. Po jego naciśnięciu włączał się mechanizm, który w ciągu kilku minut uruchamiał ładunki wybuchowe mające zniszczyć najbardziej krytyczne elementy samolotu. Jak wynika z umieszczonych w raporcie zeznań Bielenki, piloci boją się używać tego przycisku, bowiem nie ufają swoim przełożonym. Panuje wśród nich przypuszczenie, że przycisk nie działa z opóźnieniem, lecz błyskawicznie, powodując tym samym śmierć pilota.

Bielenko wywnioskował to z rozmów z przełożonymi, którzy równie mocno obawiali się możliwości wykorzystania przez wrogów wiedzy pilotów, co poznania przez nich strategicznych elementów maszyny. Jak się okazuje, w jego wypadku mieli całkowitą rację.

Bielenko bardzo sprytnie zaplanował swoją ucieczkę. Zszedł na minimalną wysokość, przy której rosyjska rakieta przeciwlotnicza typu SAM stawała się nieskuteczna. Potem na krótko włączył sygnał wskazujący, że jest w niebezpieczeństwie, by po chwili wyłączyć ten sygnał, a potem radar, i kolejne urządzenia, co przekonało kontrolę lotów, że uległ katastrofie. Leciał bardzo nisko, nie wyżej niż czterdzieści, czterdzieści pięć metrów.

To, co było jego głównym problemem, to znikające w przerażającym tempie paliwo, wiedział, że musi dolecieć i w miarę cało dowieźć skarb, jakim był MIG, bo tylko wówczas mógł liczyć na nagrodę. Ostatecznie udało mu się posadzić myśliwiec na cywilnym lotnisku Hakodate. Wyciągnął hamujący spadochron, ale i tak zatrzymał się poza pasem. Maszyna jednak była cała.

Pierwszym problemem Amerykanów było unieszkodliwienie ładunków wybuchowych strzegących urządzeń i będących takim wielkim straszakiem na Bielenkę i jego kolegów pilotów. Według ustaleń amerykańskich Rosjanie chronili w ten sposób radar, pilota automatycznego, komputer, zabezpieczenia elektroniczne, a także system uruchamiania broni pokładowej. Wszystkie czynności dokonywane w późniejszym czasie odbywały się w lotniczej bazie wojskowej Hyakuri. Kiedy przewozili tam MIG-a, był strzeżony przez formację myśliwców.

Studiom nad samolotem towarzyszyły zachwyty, ale i kpiny z zastosowanych rozwiązań. Wykryli na przykład, że Rosjanie nadal stosowali lampy zamiast tranzystorów, silniki zaś były, według ich ocen, zupełnie nieefektywne. Musiały pochłaniać ogromne ilości paliwa. Wielkim zaskoczeniem było i to, że często nie używano nitów, a po prostu spawano elementy ze sobą. W trakcie *briefingów* w Ameryce Bielenko powiedział im, że silniki były nieco zdradliwe i dlatego nie można było latać na pełnej szybkości, którą mógł teoretycznie samolot rozwinąć. Miały tendencje do przegrzewania się, a nawet spalania, oraz wykazywały inklinacje do przyśpieszania poza kontrolą. Projekt tych silników powstał w biurze Sergieja Tumańskiego, uznanego specjalisty od budowy silników odrzutowych.

Samolot, generalnie rzecz biorąc, sprawiał wrażenie, że zaprojektowano go z ogromnym naciskiem położonym na oszczędności. Był w zasadzie prostym urządzeniem, co miało podstawową zaletę — nie był

skomplikowany w obsłudze.

Poza badaniem technicznym konstrukcji samolotu Bielenko udzielił Amerykanom ogromnej ilości informacji na temat zasięgu, pułapów z dwoma rakietami (24 kilometry), pułapów z czterema rakietami (21 kilometrów). Ponieważ Bielenko twierdził, że maksymalna wysokość, na której rakiety mogą jeszcze zadziałać, wynosiła 27 kilometrów, Amerykanie doszli do wniosku, że ich nowy samolot szpiegowski, typu SR-71, jest bezpieczny w walce z MIG-25.

Radar MIG-a, który Amerykanie analizowali, wzbudził ich szacunek, bo był trudny do zakłócenia ze względu na siłę emisji. Jego minusem było to, że nie mógł pracować na celach znajdujących się poniżej pięciuset metrów ze względu na powstałe przez odbicia zakłócenia. Samolot był więc zupełnie nieskuteczny przy obiektach nadlatujących na wysokości poniżej pięciuset metrów.

— Która godzina?

— Pierwsza w nocy. Piętnaście po pierwszej.

Patrzymy na siebie z Billem, jakbyśmy się obudzili. Zaczytaliśmy się w raporcie Bielenki. Początkowo jeszcze gadaliśmy, Bill objaśniał mi rysunki i schematy MIG-a zamieszczone w dokumencie, potem każdy z nas czytał dalej, tylko się wymienialiśmy stronami. Jak było jakieś trudniejsze określenie, prosiłem Billa, żeby mi przetłumaczył, ale robił to, nie odrywając się od lektury. Wciągnęło nas tak, że zapomnieliśmy o bożym świecie.

— Bill, zbieram się już, jutro nauczę cię robić zdjęcia.

— A co z tym?

— Możesz to przetrzymać jeszcze jeden dzień?

— Mogę. Powiem koledze, że nie doczytałem do końca.

— Co zresztą jest zgodne z prawdą, zostało mi jeszcze dwadzieścia stron — patrzę z żalem na te ostatnie kartki.

— A mnie piętnaście — śmieje się Bill, rozcierając zmęczone powieki.

— Dawaj to, zabieram, zdążysz doczytać, oddam ci jutro wieczorem.

— Dobra.

Jak się okazało, pozostałe strony zawierały opis rozpoznania elektronicznego Układu Warszawskiego na granicach Niemcy — NRD — Czechosłowacja. Kopiuję to u siebie w biurze zaraz po pracy. Nie mam czasu na filmowanie dokumentu w nocy, tym bardziej że Basia źle sypia. Nie chcę, by mnie na tym przyłapała, gdy przypadkiem wstanie w nocy.

Wracając z biura, wrzucam i oryginał, i kopię raportu do skrytki, nie chcę, by Bill trzymał to choćby przez noc w domu. Potem szybkie szkolenie.

Ustawiam dwie biurkowe lampy wychylne (kupiłem je Billowi wcześniej), żarówki o mocy 250 watów (dwusetka też może być). Pokazuję, jak zamontować stelaż do kamery, jak ustawić oświetlenie dokumentu i, co najważniejsze, odległość kamery od papieru. Przy zdjęciach opisów w zasadzie sprawa jest prosta, bardziej trzeba uważać przy rysunkach technicznych, robimy wówczas zdjęcie na zakładkę. Jak rysunek ma trzy strony, zdjęcia powinny być cztery. Żadna filozofia. Po kilkunastu próbach Bill radzi sobie doskonale. Wracam do domu wcześniej, po wczorajszym Basia pogniewała się na mnie. Staram się ją ugłaskać. Rano wyjmuję oryginał ze skrytki i przed siódmą odnoszę Billowi materiały do domu.

Zastanawiam się, jak dostarczyć to do Chicago. I tak jeszcze w tym miesiącu będę leciał do Polski. Kontaktuję się z oficerem Rezydentury. Decyzja jest szybka: mam zabrać ze sobą do kraju.

Wiem, że tym razem sfinalizujemy sprawę Billa, jego wyjazdów do Europy. Nie przypuszczam, by coś w tej kwestii mogło ulec zmianie, przecież prochu nagle nie wymyślą.

Tydzień przed moim wyjazdem Bill wpada do mnie wieczorem. Na tenisa za późno, a widzę po jego minie, że jest podekscytowany. Ale i przygotowany.

— Basiu, wypożycz mi męża na godzinkę. Kończę ten cholerny remont, chciałbym przed przyjazdem Rity jeszcze przemalować kuchnię. Marian pomoże mi zdjąć szafki i oddam ci go w całości!

— O ile mu nic nie spadnie na głowę! Bill, Marian nie jest mistrzem w sprawach remontowych!

— O mnie Rita też tak mówiła, wjechała mi na ambicję i zobacz, jak się postarałem!

— To może ja powinnam zrobić to samo?

— Nie, Basiu, ty nie musisz, twój mąż jest arcyambitny!

— Taaak... ale raczej poza domem... — głos Basi powinien dać mi do myślenia. Od dłuższego czasu obiecuję sobie, że więcej czasu poświęcę jej i dziewczynkom, ale doba jest wciąż dla mnie za krótka. Czasem jest mi źle z myślą, że moja żona sądzi, że jak już wracam z firmy, to chętniej biegnę na tenisa z Billem niż z córkami na spacer, ale nic na to nie poradzę. Wolę, by miała do mnie żal, niż by nie spała po nocach ze zmartwienia, nie mogąc sobie poradzić z wiedzą o tym, czym naprawdę zajmuje się jej mąż. Służba w wywiadzie nie ma tylko chwalebnych stron. Całuję ją w nadąsany policzek i obiecuję, że nie dłużej niż godzinę.

Wchodzimy do niego i Bill podaje mi kopertę. Zaglądam do środka.

Mówię mu, żeby poczekał na mnie chwilę. Idę do schowka, wracam po Billa. Wychodzimy na krótki spacer, ale za mój blok, tak żeby Basia nie mogła zobaczyć nas z okien. Billowi błyszczą oczy.

— To dokumentacja LPIR. Pełna.

— Do tej pory mieliśmy tylko te konspekty dla generałów o LPIR i informacje o próbach radaru.

— Tak. Tamto do tego to jak szkic obrazu na kartce do malowidła na ścianie Kaplicy Sykstyńskiej. Tu masz wszystko. Cholera, wszystko. Cały „cichy radar" na talerzu. Od A do Z.

— Stary, po twoich oczach widziałem, że to duża sprawa!

— No, to idziemy do mnie!

— Nie, Bill, muszę iść do domu! Zwolniłeś mnie u Basi tylko na godzinę!

— A szafki?

— Myślałem, że blefujesz...

— Coś ty, Rita naprawdę przyjeżdża w sobotę!

— No dobra, ale szybko. Do kiedy mam te papiery? Muszę to przecież skopiować.

— Pojutrze rano.

— W porządku. Dzięki.

W związku z tym jadę do pracy nie o siódmej, a o piatej rano. Gdy przychodzi Eva, nasza sekretarka, oryginał i kopię mam już w teczce. Jest zaskoczona, że mnie widzi, ale mówię, że tym razem nie planuję pracy w sobotę, muszę się ze wszystkimi papierami wyrobić w ciągu tygodnia. I to akurat jest prawdą. Sobotę i niedzielę obiecałem Basi i córeczkom. W kolejny weekend wybieram się do Polski, muszę im teraz poświęcić trochę czasu. Tego dnia nigdzie nie jeżdżę, żadnych spotkań poza biurem. Nie chcę narażać tej teczki. Ale i tak spraw jest tyle, że siedzę do późna. Potem wracam prosto do domu. Droga jest wyjątkowo zapchana. Ale czysto, nie mam obserwacji. Korzystam z jedynej okazji na Santa Monica Freeway, by wyprzedzić sznur wyjątkowo sennych kierowców przed sobą i... psiakrew! Zatrzymuje mnie policja! Przekroczenie prędkości. Wyciągam prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Staram się mieć minę wyjątkowego nieszczęśnika, gdy jeden ogląda moje papiery, a drugi samochód, podświetlając jego wnętrze latarką. Brakuje mi tylko czapki niewidki, którą bym mógł nakryć teczkę...

Dostaję mandat, z którym mam się stawić w urzędzie. Przyjmuję go z pokorą i odjeżdżam z ulgą. Przez resztę drogi ciągnę się przepisowo w sznurze samochodów. Nim wejdę do domu, zawartość teczki zostawiam w skrytce.

Na drugi dzień stawiam się w Dept of Motor Vehicles w Long Beach z moim kwitkiem o popełnieniu przestępstwa przekroczenia prędkości. Ładna blondynka w okienku porównuje moje przestępstwo z tabelą i mówi:

— Opcja nr 1: płacisz 27 dolarów i 50 centów, opcja nr 2: stawiasz się przed sędzią.

— Płacę gotówką!

— OK.

I skończone. Sędzia mógłby mnie zwolnić z obowiązku opłaty lub skierować na trzydzieści dni do aresztu. Jadę do pracy szczęśliwy z obrotu sprawy. Mój pierwszy mandat w Stanach.

Na 20 października 1979 roku mam bilet Skandynawskich Linii Lotniczych SAS do Polski. Ostatnio wiozłem filmy, teraz znów muszę zabrać papiery.

Jakie wyjście? Żadne. Centrala nie kazała tego zostawiać w Chicago, tylko wieźć. Chyba chcą dać mi odczuć na własnej skórze, że osobiście skorzystam na ich rozwiązaniu, gdy Bill sam zacznie latać na spotkania. Nie wykluczam, że o to chodzi. Tylko jakie to krótkowzroczne! Jeśli coś mi się stanie w tej podróży, z tymi dokumentami, to nie będzie już ani Zacharskiego, ani Bella, bo obaj pójdziemy siedzieć. Jeśli zaś Bill wpadnie podczas któregoś z wyjazdów, wyjdzie dokładnie na to samo. I na nic się zda moja dotychczasowa praca. Dwa lata perfekcyjnej służby w Stanach pójdą w powietrze. Ale nie od dzisiaj wiem, że niektórym w Centrali nie chce się nadmiernie narażać.

Kiedy pomyślę o tym, jakie materiały będę wiózł do Polski, dostaję skrzydeł. Wywiadowca żyje dla takich rzeczy. Zresztą, w razie wpadki — co to za różnica, czy na trasie Los Angeles — Chicago, czy Los Angeles — Warszawa. Żadna. Kompletnie żadna. Pocieszony ponurą racjonalnością tej myśli zabieram się do pakowania. Wcześniej poprosiłem sekretarkę o kserokopie różnych papierów. Teraz z dwustustronicowej instrukcji technicznej obrabiarki wyjmuję środek i wkładam w to miejsce część Bielenki. Druga część ląduje w okładce od raportów sprzedaży (oczywiście ładnie przekładam to słupkami wyliczeń obrotów Polamco). Kartkuję. Wygląda nieźle. Schematy techniczne obrabiarek przeplatają się ze schematami radaru MIG-25 z Bielenki. To samo robię z LPIR. Matki — okładki są dwie: jedna to tzw. DTR-ka — dokumentacja techniczno-ruchowa, czyli po prostu instrukcja obsługi tokarki TUR, druga to opis techniczny wytaczarki z Dąbrowy Górniczej. Do tego wybieram jeszcze jedną instrukcję tej samej grubości co te cztery „wypełnione” i dwa grubsze skoroszyty, już w całości wypełnione danymi Polamco — te będą na

samym wierzchu walizki. Oprócz papierów wyłącznie ubrania. Nic metalowego, nic, co przy prześwietleniu bagażu skłania pracownika do prośby o jego otwarcie.

Całą sobotę bawię się z dziewczynkami. Daję Basi wolne od domu, dzieci. Odkrywam, że Małgosia nieźle rysuje, a Karolinka wpada w złość, gdy tylko przestaje być w centrum uwagi. Dlaczego one tyle krzyczą? Początkowo próbuję z nimi negocjować, ale okazuje się, że lepiej radzę sobie z szefami dużych firm niż z dwiema małymi dziewczynkami. Kapituluję i zabieram je na spacer. Po południu jestem okropnie zmęczony, coraz częściej patrzę na zegarek, czekając, kiedy wróci Basia. Lada moment muszę przecież jechać na lotnisko. Basia jest na czas, przygląda mi się uważnie, ale jestem twardy, nie daję po sobie poznać, że córeczki dały mi w kość. Przyjeżdża po mnie mój serwisant, pan Janek Wojciechowski, i odwozi mnie na lotnisko. W samochodzie gadamy o kraju.

— Pan się zorientuje, tam na miejscu, co się naprawdę dzieje. Boję się o rodzinę, my tu w Stanach tyle wiemy, co miejscowa prasa przekaże, ja nie czytam po angielsku, ale pani Eva mi zawsze trochę potłumaczy. Trudno się w tym wszystkim rozeznać, co się tam w Polsce dzieje.

Słucham pana Janka i sprawdzam, czy nikt nam nie towarzyszy. Wygląda na to, że nie. Na lotnisku też spokój. Kontrola bagażu podnosi napięcie. Proszą o otwarcie walizki. Służbowy paszport, instrukcje techniczne i kolorowe prospekty reklamowe obrabiarek w języku angielskim tworzą uspokajającą całość, bo kończy się na pobieżnym zerknięciu na zawartość bagażu. Te reklamówki dorzuciłem w ostatniej chwili i widzę, że to był dobry pomysł. Bez przeszkód docieram do Warszawy via Kopenhaga.

Zatrzymuję się u rodziców, w nocy wyjmuję papiery i robię z nimi porządek. Na spotkanie w lokalu konspiracyjnym niosę łącznie jakieś sześćset stron. Ale to esencja najwyższej jakości. Jestem zmęczony, mam *jet lag*, a mimo to, na spotkanie mknę jak na skrzydłach. Znam wagę tego, co przynoszę. Jest Zdzichu. I oczywiście naczelnik. Jego pochylona sylwetka i ruski akcent tym razem wyjątkowo mnie irytują. Po krótkich zdaniach powitania wyjmuję moją złotą kopertę i wręczam mu. Sergiusz bierze ją do ręki, zagląda do środka i rzuca na stół:

— Co to jest?! Mieliście niczego nie brać! Bell ma sam dowozić nam materiały! To niesubordynacja! To jest karygodne zachowanie!

— To jest pełna dokumentacja techniczna cichego radaru oraz informacje o tym, co przekazał Bielenko Amerykanom po swojej ucieczce do Japonii.

— Ale mieliście niczego nie brać! Ja wam nie kazałem!

Kurwa mać! Miarka się przebrała. Biorę kopertę ze stołu i wstaję.

— W takim razie zabieram te materiały i odwożę z powrotem do Stanów. Do widzenia panom.

— Niech pan natychmiast wraca i siada!

— Nie. Mam już tego dosyć. Nie mogę dalej pracować z kimś, kto się boi własnego cienia! Pracuję na najwyższych obrotach, zdobywam materiały wywiadowcze, jakich na oczy nie widzieliście, narażam swoje życie, bezpieczeństwo rodziny, źródło, które dla mnie pracuje, a jedyne, co umie zrobić mój przełożony, to wydawać zakazy! Pieprzę to, panie naczelniku. I to, co pan dalej zrobi, też.

W miarę jak mówię, Sergiusz czerwienieje. Ale mam to gdzieś. Doprowadził mnie do kresu. Niech mnie wyrzucą, ale powiem mu, co myślę. Oniemiał. Patrzy na mnie. Na Zdzicha. Nie widzi na jego twarzy wsparcia. Zdzichu milczy, ale to milczenie jest moim wsparciem. Do Sergiusza to dociera. Wstaje gwałtownie i po prostu wybiega z lokalu. Ja stoję tak, jak stałem. Oficer siedzi, teraz nas zatkało. Po kilkunastu sekundach naczelnik wraca. Zapomniał płaszcza. Nie patrzy na nikogo. Trzaska drzwiami. Opadam na krzesło.

— Aleś mu dowalił, stary!

— Taak. Pewnie teraz on mnie wywali...

— Nie sądzę — mówi Zdzichu z pewnością w głosie — od dłuższego czasu kierownictwo Departamentu widziało, że on sobie nie radzi z tą sprawą. Boją się go ruszyć, bo ma, jak podejrzewają, za mocne plecy u towarzyszy radzieckich. Ale Cześnik nie pozwoli zrobić ci krzywdy. A to on jest przełożonym Sergiusza.

— Ja ci zawsze mówiłem, że on jest ruski. Ten jego cholerny akcent.

— Nie, nie jest ruski. Ale zdaje się, że spędził tam wiele lat. Marian, bądź spokojny. Twoje osiągnięcia są cichą legendą wydziału. Prędzej poleci Sergiusz niż ty. Zgodnie z procedurą muszę napisać raport o zaistniałej sytuacji. Jeszcze dzisiaj znajdzie się on na biurku szefa Departamentu. A teraz szkoda czasu naszego wywiadowcy, bierzemy się do pracy. Marian? Możemy?

— Tak, jestem gotowy.

Wyjmuje materiały, przegląda.

— Jaka jest autentyczność tego dokumentu? — Zdzichu pyta o LPIR.

— Kopia z oryginału. Sam ją robiłem, oryginał miałem w ręku. Tutaj — pokazuję miejsce — masz symbole i znamiona dokumentu.

— Jak doszło do tego, że HAC zajął się tym radarem?

— Bill Bell mówił, że co jakiś czas są organizowane spotkania

przedstawicieli wszystkich rodzajów wojsk z naukowcami reprezentującymi liczące się w USA firmy, o różnym zresztą profilu produkcji. Na tych spotkaniach wojsko przedstawia problemy naukowo-techniczne, których rozwiązania oczekuje. Mówią, czego potrzebują siły zbrojne. Następuje dyskusja i firmy zaczynają pracować nad tymi zagadnieniami. Po pewnym czasie zgłaszają swoje oferty, przedstawiając w nich, jak zamierzają dany problem rozwiązać. A armia wybiera najlepsze. W ten sposób Hughes podjął najpierw badania, a następnie dostał zlecenie, na realizacje programu LPIR. Ich propozycja była jedyną na tak wysokim poziomie zaawansowania rozwiązań technicznych. Bell mówił też, że czasami zdarza się, iż zlecający życzy sobie, by firma, która dostaje zlecenie, zastosowała w nim jakieś rozwiązanie cząstkowe, przedstawione przez jedną z konkurencyjnych jednostek — o ile jest ono na lepszym poziomie. Hughes opracowuje też długofalowe prognozy badawcze różnych zagadnień naukowych, które potem wdraża. Przywiozłem kiedyś jeden biuletyn zawierający takie prognozy. Jeśli będzie zainteresowanie, mogę postarać się o kolejne.

— Bill nadal nie ma problemu z wynoszeniem takich dokumentów?

— Zachowujemy wszelką ostrożność. To, co może, przynosi. Są jednak dokumenty, których nie wolno mu nie tylko wynieść poza firmę, ale nawet zabrać do swojego biura. Może przeglądać je jedynie w specjalnie zabezpieczonym pokoju. To dokumenty najwyższego ryzyka.

— A kiedy ma do nich dostęp?

— Jeśli pracuje nad czymś, co łączy się z takim tajnym programem. Wtedy może zajrzeć do niego, przeczytać. Ale zawsze jest to w tym specjalnym pomieszczeniu i dodatkowo zostaje odnotowane, kiedy i jak długo miał do nich dostęp.

— Czyli te rzeczy są poza naszym zasięgiem?

— Nie do końca. Bill ma świetną pamięć. Potrafi z głowy odtworzyć nawet skomplikowany rysunek techniczny albo opis systemu, który przeczytał. Jest naukowcem i siedzi w tym od lat.

— Cholera, to może być niezwykle interesujące.

Zdzichu zapisuje sobie coś w notesie.

— Marian, zastanówmy się jeszcze nad przechowywaniem materiałów. Teraz korzystasz rotacyjnie ze skrytek w suficie na trzech klatkach schodowych. Powinieneś zmienić miejsce. Jak się będziesz zbyt często kręcił na tych klatkach, ktoś to w końcu przyuważy.

— Nie mam innej możliwości. Osiedle jest kameralne. Pokazywałem ci zdjęcia. Rejon basenu i kortów odpada. Albo w ramach bloku mieszkalnego, albo wcale.

— A gdzieś na uliczce w pobliżu? Jakaś alejka w parku?

— Nie ma bezludnych uliczek. Wszystko to własność prywatna. Posesje na osiedlu obok są nieogrodzone, ale tam się nie wchodzi, bo to teren prywatny. Jak wejdziesz komuś na trawnik albo do ogrodu, wzywa policję.

— I policja przyjeżdża?

— W pięć minut.

— Ale wariactwo! Ty dobrze popatrz, jak wrócisz. Może coś wymyślisz.

Po dwóch dniach spotykamy się raz jeszcze, by ustalić szczegóły związane z wyjazdem Billa do Europy. Oprócz nas dwóch jest jeszcze jeden oficer. Bell prosił, bym zasugerował „facetom z przemysłu" Szwajcarię. Jednak oni są zdecydowani na Austrię. Jest taka niepisana zasada, że austriackie służby nie wtrącają się w sprawy, które nie dotyczą ich kraju. Są już przydzieleni ludzie, którzy będą spotykać się z Billem. Dostają pseudonimy „Starszy" i „Młody", zgodnie z wiekiem. Miejscem spotkania ma być Innsbruck z racji turystycznego charakteru tego miasta. Tu łatwo można wtopić się w tłum. Jednocześnie jest tam dogodny dojazd z każdej strony. Przywiozłem aktualne zdjęcia Billa, robione tuż przed moim wyjazdem do Polski. Mimo to oficer chce, aby Bill był dodatkowo oznaczony. Proponuję torbę z logo Pan Am (ma taką, nawet gdyby ją zgubił, Rita przywiezie kolejną z pracy). Nie zgadzają się, ich zdaniem, zbyt duża szansa, że ktoś będzie miał taką samą. Chcą, żeby miał przy torbie dwie wywieszki bagażowe, po jednej na każdej stronie torby.

— Panowie, nie róbmy cyrków! Macie aktualne zdjęcie Billa, będzie bez nakrycia głowy. Spotkają się w knajpie, gdzie wcześniej będą mogli mu się przyjrzeć. Jasne, że przypadkiem może ktoś mieć firmówkę Pan Am. Ale żeby ktoś, kto wygląda jak Bill, miał ją w knajpie, w której się z nim umówicie, to już przesada. Pamiętajcie, że to jego pierwsze, samodzielne spotkanie. Raczej zadbajcie o to, by był rozluźniony, by czuł się bezpiecznie, a nie o to, żeby wciąż musiał się zastanawiać, czy dobrze robi.

— Dobra. Szczegóły spotkania ustalimy z oficerami, którzy pojadą. Musimy zrobić najpierw rozeznanie, opierając się na tamtejszej Rezydenturze. Jakie hasło proponujesz?

— Zdzichu, najprostsze. Nie komplikujmy Billowi życia. Niech go zapytają o mnie.

— Jak?

— Na przykład: „Czy jest pan przyjacielem Mariana". Wystarczy.

— A odzew?

— „Lubimy grać w tenisa".

— Dobra, zapisuję.

— Kiedy?

— Proponujemy 30 listopada. Uzgodnij z nim, czy mu pasuje i daj znać przez Chicago, a my przekażemy przez Rezydenturę szczegóły spotkania.

— Tylko proszę, panowie, jak najprościej. Bez zbędnych ceregieli, żeby Bill się nie pogubił i żeby się nie spłoszył.

Wracam do Los Angeles pełen niepokoju. To tylko miesiąc, żeby przygotować Billa. Do tej pory zapewniałem mu komfort pracy. Dla jego spokoju nigdy nie rozmawialiśmy o tym, dla kogo naprawdę pracuję. Słowo „wywiad" nigdy między nami nie padło. On chciał tylko jednego: dobrze zarobić. I działało. Ale prawdą jest, że chroniłem go przed całą tą otoczką. Miał tylko jedno zadanie: bezpiecznie wynieść materiały z HAC i równie spokojnie je tam odnieść.

Przywożę mu 2 tysiące dolarów jako wynagrodzenie za Bielenkę i LPIR. Siadamy przy basenie i gadamy.

— Bill, za miesiąc spotkasz się z ludźmi z Ministerstwa Przemysłu Maszynowego. Zapraszają cię do Innsbrucku, do Austrii.

— Och, miałem nadzieję, że spotkamy się w Szwajcarii...

— Może następnym razem. Umówicie się zresztą sami. 30 listopada to ich propozycja. Pasuje ci?

— Tak, raczej tak. Jutro zabiorę się za załatwianie urlopu.

— Daj mi znać jak najszybciej. A co z materiałami? Masz z czym jechać na spotkanie?

— Tak, już trochę odłożyłem.

— Mam nadzieję, że nie w domu?

— Nie, nie. Trzymam w biurze. To papiery, które wolno mi wypożyczać w pracy.

Gdy Bill potwierdza, że dostał urlop, dzwonię do Chicago, do konsulatu i w towarzyskiej rozmowie przekazuję, że moja córka, Karolina, już wyzdrowiała i ma się lepiej. Po kilku dniach, gdy znów telefonuję w niezobowiązujących sprawach, mój znajomy z konsulatu mówi, że jego żona też już czuje się dobrze. Tym samym spotkanie Billa z oficerami polskiego wywiadu w Innsbrucku w dniu 30 listopada 1979 roku zostaje potwierdzone przez obie strony. W następnym tygodniu, gdy będę służbowo w Chicago, spotkam się z oficerem Rezydentury, który przekaże mi depeszę ze szczegółami, jakie powinien znać Bill Bell przed wyjazdem. Czasu zostało niewiele, więc wieczorami pomagam Billowi w szybkiej obróbce dokumentów. On robi zdjęcia u siebie w domu, korzystając z nieobecności Rity. Skonstruował sobie rodzaj niedużej deski kreślarskiej, na której rozkłada papiery. Nawet stelaż do kamery odrobinę przerobił, tak

aby nie musiał każdorazowo ustawiać go na właściwej wysokości. Fotografuje w trzeciej sypialni, która służy jemu i Ricie, ale oczywiście, gdy żony nie ma w domu. Potem składa to wszystko i chowa do szafy. Nim zdążyłem go spytać, jak przed Ritą wytłumaczy ten sprzęt, sam powiedział:

— Nie mam nawet porządnego biurka w domu, a czasami muszę pilnie popracować. Ta deska mi się przyda. A zmiany w stelażu nawet nie zauważy.

— Ja też bym nie zauważył, gdybyś mi nie pokazał — pochwaliłem Billa, chociaż nie było to prawdą. Ale jego żona z pewnością nie zwróci na to uwagi. Ostatnią rzeczą, na jakiej mi teraz zależy, jest stresowanie Billa przed jego pierwszym samodzielnym wyjazdem.

Zabieram od niego część papierów i sam robię zdjęcia w domu. Przed wyjazdem pomagam mu jeszcze zabezpieczyć kasety z filmami tak, aby wyglądały jak nowe, nieużywane. Powtarzamy szczegóły, które musi zapamiętać. Życzę mu szczęścia. W drogę, przyjacielu!

Na pierwsze spotkanie z Williamem Holdenem Bellem, 26 listopada 1979 roku, wyruszyło z Polski troje oficerów wywiadu: dwóch mężczyzn i kobieta.

W pociągu relacji Warszawa — Wiedeń zajęli dwa osobne przedziały. W jednym rozgościł się mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, dość wysoki, o ciemnych, przerzedzonych włosach. Na potrzeby tej akcji został nazwany

„Starszym". Drugi przedział zajął mężczyzna dwudziestopięcioletni, szczupły szatyn, o okrągłej, bardzo bladej twarzy. Towarzyszyła mu kobieta, młoda brunetka, niezbyt szczupła. Tych dwoje nazwano po prosty „Młodym" i „Żoną". W stosunkowo pustym o tej porze roku wagonie jechało zaledwie kilku Polaków i niewiele więcej Austriaków. „Młody" i „Starszy" spotykają się przypadkiem na korytarzu wagonu. Rozmawiają dłuższą chwilę jak turyści udający się przypadkiem w to samo miejsce. Potem kurtuazyjnie żegnają się i udają do swoich przedziałów na spoczynek.

Krótko przed północą przekraczają granicę polsko-czechosłowacką. Kontrola celno-paszportowa przebiegła rutynowo. „Starszy" został zobligowany przez celnika do przeliczenia szylingów austriackich, które wywoził, posiadając oczywiście stosowne upoważnienie Narodowego Banku Polskiego. Kiedy około godziny 6 rano przekroczyli granicę czesko-austriacką, do wagonu weszli funkcjonariusze austriackiej straży granicznej. Prowadzili zarówno kontrolę dokumentów, jak i kontrolę celną. Byli w asyście żołnierzy trzymających broń w pogotowiu. Kontrolujący funkcjonariusz austriacki pytał „Młodego" o wiezione przez niego i jego małżonkę bagaże, a w szczególności o alkohol i papierosy. Skontrolował zawartość torebki „Żony", następnie podstemplował ich paszporty i opuścił przedział. Oficerowie bacznie patrzyli, czy nie sporządza jakichś notatek lub nie sprawdza jakiejkolwiek listy. Nic takiego nie

miało miejsca. Byli więc poza jakimkolwiek podejrzeniem lokalnych służb.

O godzinie 7.30 dotarli do pierwszego etapu swojej podróży. Pociąg zatrzymał się na stacji Südbahnhof w Wiedniu. Wszyscy troje skierowali się do przechowalni bagażu, gdzie zdeponowali swoje pakunki. Stamtąd udali się pieszo w kierunku centrum miasta. Przez cały czas idąc ulicami: Wiednergertel, Favoritenstrasse, Gubhausstrasse, dyskretne sprawdzali, czy nie mają za sobą obserwacji. Niczego podejrzanego nie zauważyli.

Po drodze zatrzymali się na śniadanie w niewielkiej kawiarence. Lokal był wyludniony i przez dwadzieścia minut od ich wejścia nie pojawił się w nim żaden nowy klient. Po śniadaniu kontynuowali wędrówkę ulicami Wiednia. Ich tymczasowym celem była Mariahilferstrasse. Doszli tam w strugach deszczu, poprzez: Schleimuhlgasse, Linke Wienzeile, Girardigasse oraz Konigsklostergasse, przy małym ruchu zarówno pieszym, jak i samochodowym. Nadal stwierdzali, że są czyści i nie ciągną za sobą obserwacji. Wstąpili do domu towarowego Herzmannsky i po kilku drobnych zakupach wyszli głównymi drzwiami. Zgodnie z wcześniejszym planem dostrzegli oficera lokalnej Rezydentury. Po wymianie uzgodnionych znaków o braku obserwacji, podeszli do siebie i przywitali się. Teraz już we czwórkę udali się spacerem do kawiarni w jednej z bocznych uliczek odchodzących od Mariahilferstrasse. Rozmawiając o sprawach towarzyskich, co jakiś czas wtrącali po kilka zdań na temat dalszego planu działania.

Po wyjściu z kawiarni podzielili się na dwie grupy. Oficer Rezydentury wraz ze „Starszym” wracają na dworzec po bagaże i udają się z nimi do prywatnego mieszkania. „Młody” wraz z „Żoną” odwiedzają w tym czasie sklepy, robiąc drobne zakupy. Dokładnie o godzinie 14 „Młody” dzwoni z budki telefonicznej do pewnej znajomej pary. Telefon odebrała gosposia, informując, że „państwo są w firmie”. „Młody” dzwoni więc do firmy. Po kilku grzecznościach ustala, że spotka się w mieście z panią, za godzinę, jako że pan jest zajęty wizytami klientów. I rzeczywiście, około godziny 15 pojawia się znajoma, wsiadają do jej samochodu i jadą do kawiarni znanego hotelu.

Po drodze „Młody” wyjaśnia, że jest z krótką wizytą turystyczną i chciałby wraz z małżonką jak najwięcej zobaczyć. Ponieważ nie planują pozostać dłużej niż pięć dni, byliby bardzo radzi, gdyby mogła im użyczyć samochodu. Pani reaguje serdecznie i oczywiście natychmiast organizuje dla nich samochód. Rozmawiają jeszcze chwilę o sprawach prywatnych. Spotkanie jest niezwykle przyjacielskie, „Młody” obiecuje oddać samochód w niedzielę. Żegnają się. Dzięki całkowitej, życzliwej nieświadomości pani, oficerowie zyskują auto na austriackich tablicach. To ważne, taki samochód nie będzie wzbudzał niczyich podejrzeń. A w każdym razie znacznie mniej zwróci na siebie uwagę niż auto zarejestrowane w Polsce. „Młody” z „Żoną” jadą w pobliże mieszkania, w którym czekają na nich oficer Rezydentury i „Starszy”. W pomieszczeniu zamkniętym poruszają wyłącznie tematy ogólne. Gdy trzeba powiedzieć coś istotnego, stosują staromodną, ale dość skuteczną

metodę z włączonym głośno radiem.

Około godziny 21 mężczyźni wychodzą na spacer lokalnymi uliczkami. Dokonują ostatnich uzgodnień co do dalszego planu.

Dobrze się składa, że również oficer Rezydentury ma dostęp do samochodu z „normalnymi" tablicami rejestracyjnymi. Samochód ambasady miałby specjalne tablice dyplomatyczne, a to już może przyciągać uwagę, a w każdym razie choćby zdecydowanie łatwiej zapadać w pamięć.

W trakcie spaceru nie tracą czujności i patrzą, czy nie pojawia się za nimi ewentualna obserwacja. Niczego nie stwierdzają. Są uspokojeni. Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, oficerowie przybyli z Warszawy udają się do samochodu i ruszają w kierunku Innsbrucku. Oficer Rezydentury opuścił mieszkanie pół godziny wcześniej i też jest już w trasie.

Po około dwóch godzinach jazdy autostradą A1 zatrzymują się w miejscowości Strerberg na mały posiłek. Dalej podążają do Linzu, potem do Salzburga. Następnie kierują się na południe. Nie mogą skorzystać ze skrótu przez Niemcy. Kolejny przystanek robią w miejscowości Schwarzach, a potem jadą do Zell am See i Lofer. Wjeżdżają na drogę nr 312, którą docierają do miejscowości Worgl. Krótko potem mogą już ponownie wrócić na autostradę wiodącą do Innsbrucku. Po około trzydziestu kilometrach zjeżdżają z niej i lokalną drogą dojeżdżają do Kolsass. Tam szukają kwatery. Ponieważ udają, że są na krótkim urlopie, w kręgu ich zainteresowań są kwatery prywatne. Znajdują piętrowy budynek z napisem „wolne pokoje". Oglądają je, sprawdzając, czy są schludne. Gospodyni mówi, iż nocleg kosztuje siedemdziesiąt szylingów austriackich od osoby, gdy dają jej pięćset szylingów zaliczki, jest tak zadowolona, że nie wspomina o rejestracji w książce adresowej. Więc po ich pobycie nie zostaną ślady.

Krótko odpoczywają po trudach podróży i wieczorem udają się na zwiedzanie Innsbrucku. Nie znają okolicy i zwiedzają stare, bardzo urokliwe miasto Hall in Tirol, sądząc, że to Innsbruck. Gdy zorientowali się, że to pomyłka, ruszają dalej, do swojego rzeczywistego celu. Samochód zaparkowali przed dworcem kolejowym. Weszli do środka, przejrzeli rozkład jazdy pociągów, a także zorientowali się w usytuowaniu punktu informacyjnego, będącego jednocześnie miejscem kontaktowym z oficerem Rezydentury. Kupują szczegółowy plan miasta i po krótkim spacerze wsiadają do samochodu, kierując się w okolice pałacu Hofburg. W drodze przemierzają bardzo powoli ulicę Universitätsstrasse, by dokładnie obejrzeć z zewnątrz restaurację hotelu Grauerbaer, uzgodnioną jako miejsce nawiązania kontaktu z Williamem Bellem. Objeżdżają dookoła park Hofgarten, aby mieć możliwość kilkakrotnego przejazdu koło hotelu i poczynienia szczegółowych obserwacji.

Wracają do Kolsass, po drodze kupując benzynę, jednocześnie mierzą czas przejazdu, a także odległość w kilometrach. Następnego dnia, zaraz po śniadaniu ruszają ponownie do Innsbrucku. Pogoda im dopisuje, świeci piękne słońce. Mają doskonałe uzasadnienie swej turystycznej wędrówki i skrupulatnego studiowania widoków. Awaria kolejki

górskiej uniemożliwia im wjazd na szczyt Hafelekar. Zawiedzeni spacerują po parku na zboczu, u podnóża pasma górskiego otaczającego Innsbruck od północy.

Kolejno wchodzą do restauracji Villa Blanka. Zapamiętują godziny otwarcia i decydują, że będzie to jedno z miejsc rozmów z Bellem. Dalej grają swoje role turystów, zwiedzając Altstadt, centrum, następnie Gaggen. Oglądają z wielkim zainteresowaniem zabytki, robią mnóstwo zdjęć. Wchodzą do kawiarni i restauracji hotelu Grauerbaer, aby dokładnie przyjrzeć się rozkładowi sąsiednich pomieszczeń, korytarza, hallu, recepcji. Ostrożności nigdy za wiele.

Po zjedzeniu obiadu w restauracji Churasco poszukują najbardziej dogodnego miejsca na bezpieczne i szybkie przejęcie materiałów od Bella. Około godziny 15 jadą do Hall in Tirol i tam dokonują ostatnich uzgodnień dotyczących operacji przejęcia materiałów.

O godzinie 17 wracają do Innsbrucku. „Starszy" idzie na spotkanie z oficerem Rezydentury, a „Młody" wraz z „Żoną" prowadzą kontrobserwację ich spotkania. Jest czysto. Po krótkiej rozmowie, teraz już we czwórkę, jadą do Hall in Tirol, gdzie „Starszy" informuje bardzo szczegółowo oficera Rezydentury o miejscu i sposobie przekazania materiałów od Bella. Następnie powtarza raz jeszcze cały plan przedsięwzięć na dzień następny. Szczególnie zwraca uwagę oficerowi Rezydentury, aby tak usadowił swoją rodzinę przy stoliku w restauracji hotelu Grauerbaer, aby ich córka nie widziała wchodzących oficerów Centrali. Dziewczynka ich zna i mogłaby rozpoznać. Rolą oficera Rezydentury w restauracji hotelowej jest wyłącznie prowadzenie kontrobserwacji.

Po zakończeniu spotkania w dwóch osobnych grupach wracają do miejsca zakwaterowania, do Kolsass. Tam, jeszcze tego samego wieczoru „Młody" i „Starszy" idą na spacer, w trakcie którego ponownie analizują nawiązanie łączności z Bellem oraz punkty do rozmowy z nim.

30 listopada 1979 nadchodzi dzień operacji. Zaraz po śniadaniu oficerowie wyjeżdżają do Innsbrucku. Punktualnie o 8.45 parkują samochód przy ulicy Universitätsstrasse. O godzinie 8.50 wchodzą do restauracji w hotelu Grauerbaer. Zauważają oficera Rezydentury wraz z rodziną siedzącego w kącie pod oknem. Dokładnie w tym momencie jego małżonka wraz z córką chciały wyjść z lokalu. Oficer Rezydentury powstrzymuje je na moment, aby nie zauważyły wchodzących.

Oni zajmują stolik, zamawiają kawę.

Do restauracji od strony hotelowej wchodzi William Bell. Oficerowie dochodzą do wniosku, że zatrzymał się w tym hotelu na nocleg. Nie mają najmniejszych problemów z rozpoznaniem. Dokumentacja zdjęciowa okazała się wystarczająca.

Bill Bell przez chwilę rozglądał się po sali i w końcu zajął miejsce bardzo blisko polskich oficerów. Oni zaś mieli świetny przegląd restauracji, dobry widok na Bella i wzrokowy kontakt z oficerem Rezydentury, który znakami umownymi przekazuje im, że nie ma żadnych oznak obecności obserwacji. W sali było nie więcej niż trzydzieści osób, ale nikt nie sprawiał na nich wrażenia podejrzanego.

Odczekują, aż Bill Bell zje śniadanie i wyjdzie na ulicę. Zauważają, że jest mocno stremowany.

Około 9.30 Bell rozejrzał się niepewnie po sali i poszedł przez korytarz w kierunku wyjścia na ulicę. „Starszy" wyszedł za nim. Upewnił się, że nikt inny, ani nie wychodzi, ani nie wchodzi do restauracji. Wówczas nawiązał kontakt z Bellem.

Po chwili wrócił do towarzyszy, mówiąc, że wszystko jest w porządku i mogą przystąpić do dalszych czynności zgodnie z ustalonym wcześniej planem. Krótko po tym, oficer Rezydentury zakłada płaszcz i wychodzi na ulicę.

Odczekawszy chwilę, również po założeniu płaszcza, wychodzi „Starszy". Na zewnątrz przekazuje oficerowi Rezydentury znakiem, który polega na zdjęciu płaszcza, że BPM (błyskawiczne przekazanie/przejęcie materiałów) odbędzie się za dwie godziny.

O 9.40 do „Starszego" dołącza Bell i idą powoli spacerem w kierunku Hofburga. „Młody" płaci rachunek, wychodzi z „Żoną" z restauracji, rozłączają się i „Młody" dołącza do Bella idącego ze „Starszym".

Tak dochodzi do historycznego, pierwszego spotkania Williama Bella w Europie z oficerami polskiego wywiadu.

Oficerowie wyczuli u Williama Bella widoczne, duże zdenerwowanie. Ponieważ jest to naturalne przy pierwszym kontakcie, pozwolili mu na pewne odstępstwa od ustalonego przebiegu zainicjowania kontaktu. Gdy „Starszy" rozpoczął z nim rozmowę i wplótł między konwencjonalną wymianę zdań o pogodzie hasło: „Czy jest pan przyjacielem Mariana?", Bell zamiast odpowiedzieć, jak należało: „Lubimy grać razem w tenisa", po prostu potwierdził, zdradzając uczucie ulgi i uradowania z powodu nawiązania kontaktu. W tej sytuacji doświadczony oficer po prostu kontynuował kontakt, nie wymagając już ustalonej odpowiedzi. Zwłaszcza że dzięki dokumentacji fotograficznej miał pewność, iż rozmawia z właściwą osobą.

Rozpoczęto od ustalenia spójnej wersji ich spotkania. „Starszy" zaproponował takie rozwiązanie, iż on, odbywając podróż turystyczną po Austrii, a znając Stany, rozpoznał w Bellu Amerykanina i nawiązał rozmowę towarzyską, a następnie po dołączeniu znajomego, którym był „Młody", wszyscy razem udali się na zwiedzanie Starego Miasta. Legendę uznano za potrzebną na wypadek zauważenia Bella przez kogoś, kto go zna, i ewentualną konieczność udzielenia odpowiedzi.

Bell poinformował oficerów, że przyleciał samolotem do Zurychu, a następnie wynajął samochód, którym przyjechał do Innsbrucku. Obiecał przyjaciołom w Zurychu, że będzie z powrotem 1 grudnia, aby wspólnie spotkać się na kolacji. Przyjaźni się z nimi od czasu jego pobytu w Europie. Bell informuje ich również, że w walizce ma kasety ze sfilmowanymi dokumentami. Uzgadniają, że Bell przebierze się i wyjdzie na spacer, ale nadal bez filmów.

Spacer trwał nieco ponad godzinę. Bell wychodząc z hotelu, był już rozluźniony i uśmiechnięty. Sam rozpoczął rozmowę, opowiadając o przyjaźni z Marianem Zacharskim i niezwykle miłych stosunkach

między ich rodzinami.

Oficerowie podziękowali mu za przyjazd. Dodali, że Marian Zacharski ma dobrą opinię jako pracownik handlu zagranicznego i że dobrze się stało, iż przyczynił się do ich obecnego spotkania oraz, jak mają nadzieję, do dalszych, owocnych kontaktów.

„Starszy", nie wymieniając ani imion, ani nazwisk, przedstawił siebie i „Młodego" jako reprezentantów kierownictwa branży elektronicznej Ministerstwa Przemysłu Maszynowego. Po chwili, już jako „przedstawiciel przemysłu", wygłosił kilka zdań o tym, że sytuacja gospodarcza, geograficzna i polityczna Polski wymaga stałej modernizacji przemysłu i jego wyrobów. Informacji o kierunkach rozwoju światowych koncernów na ogół nie można kupić na otwartym rynku albo też cena takich informacji jest niebotycznie wysoka. Stąd też wynika ich zainteresowanie nieoficjalnymi konsultacjami. Bell wyraził pełne zrozumienie tego faktu i dodał, że sam jest od wielu lat zaangażowany w problemy wymiany technicznej, w tym również dotyczące techniki stricte wojskowej. Przez pewien czas przebywał w Europie i zna dobrze te problemy.

Następnie oficerowie zaprezentowali zarys przemysłu elektronicznego w Polsce, w tym stan jego zaawansowania, nie kryjąc przed Bellem znanych sobie mankamentów tego ostatniego. O godzinie 10.30 „Młody" odłączył się od Bella i „Starszego", przystępując do przygotowania operacji mającej na celu przejęcie materiałów od Bella. Poszedł ulicami: Marktgraben, Museumstrasse, Stilgasse, cały czas sprawdzając, czy nie towarzyszy mu „ogon". Dotarł do samochodu, którym następnie odjechał do miejscowości Hall in Tirol. Zaparkował w pobliżu Starego Miasta. Symulując różne czynności przy samochodzie, oczekiwał na pojawienie się „Starszego".

Zauważa go o godzinie 11.35, jak zbliża się do niego z głębi parkingu. „Starszy" podszedł do samochodu i przekazał, w sposób absolutnie niewidoczny dla otoczenia, małe pudełko z filmami. Wymienili kilka uwag i ustalili, że spotkają się o godzinie 13.30 na zboczu, w pobliżu restauracji Villa Blanka. Po odejściu „Starszego", „Młody" przez dłuższą chwilę siedzi w samochodzie i obserwuje otoczenie wokół. Jest cicho i spokojnie. Żadnych, nawet najmniejszych oznak niepokoju. Zakleja pudełko taśmą i wkłada je do plastikowej torby. Następnie powoli opuszcza parking, podążając uliczką wiodącą pod górę. Zauważa, że jeden z samochodów ruszył za nim. Na wszelki wypadek zatrzymuje się koło szpitala okręgowego i zaczyna uważnie studiować tablicę informacyjną. Zauważony przez niego samochód wyprzedza go, jadąc pod górę, a następnie skręca w lewo. W środku samochodu „Młody" widzi starszego Tyrolczyka ubranego w tradycyjny strój, to jest zielone ubranie i charakterystyczny kapelusik. Na tylnym siedzeniu pojazd ten wypełniony jest stertą kartonowych pudełek. Gdy zniknął, „Młody" podjeżdża jeszcze około dwustu metrów pod górę, parkuje samochód za ciężarówką i idzie na skróty przez skwer, na miejsce spotkania z oficerem Rezydentury. Na uliczce, którą idzie, nie ma nikogo. Tylko w oddali zauważa dwie rozmawiające ze sobą starsze panie. Zwiniętą torebkę z filmami od Bella wkłada do czapki futrzanej i

to zawiniątko ściska pod pachą. Po chwili dostrzega samochód oficera, a w środku jego żonę i córkę. Sam oficer udaje, że szuka czegoś w bagażniku. „Młody" pochyla się nad otwartymi drzwiami i jednym ruchem wsuwa paczuszkę z filmami pod siedzenie. Chwilę ze sobą rozmawiają. Oficer mówi mu, że prowadząc kontrobserwację, nie zauważył jakichkolwiek oznak czyjegoś zainteresowania. Uznaje, że operacja przebiega czysto. Żegnają się i oficer rusza w drogę powrotną do Wiednia, a „Młody" dociera do samochodu, którym udaje się ponownie do Innsbrucku. Kontrolując się przez cały czas, nie stwierdza jakiejkolwiek obserwacji. O godzinie 13 spotyka się z „Żoną" w restauracji Churasco i umawia się z nią na powrót na kwaterę w Kolsass o godzinie 17.

Następnie „Młody" idzie w kierunku umówionego ze „Starszym" miejsca. Już z dala dostrzega go spacerującego z Williamem Bellem.

Wspólnie udają się do restauracji. Mimo pięknej pogody w parku jest wyjątkowo mało spacerowiczów. Pojedyncze staruszki z psami lub matki z dziećmi. Nic więcej.

Ukształtowanie parku na stromym zboczu z krzewami, krętymi alejkami, schodami, mostkami było bardzo pomocne w prowadzeniu kontrobserwacji.

W restauracji siedziało kilkanaście młodych osób, byli to sportowcy, a oprócz nich małżeństwa z dziećmi i kilka osób starszych.

Gdy zajęli stolik, „Starszy" poinformował Bella, że dotychczas przekazane przez niego materiały uzyskały bardzo wysoką ocenę Ministerstwa Przemysłu Maszynowego i tenże przemysł jest bardzo zainteresowany dalszą, długotrwałą współpracą z Bellem. Dalej powiedział, że w chwili obecnej polski przemysł rozwiązuje problemy wymagające szczególnie rozległej wiedzy o nowych rozwiązaniach w dziedzinie łączności, w tym wiedzy o środkach rozpoznania i nowych typach uzbrojenia rozmieszczanych w Europie Zachodniej oraz wiedzy o metodach ich zwalczania. Bell odparł, że jest w stanie w miarę swojej wiedzy i dostępu do materiałów dostarczać informacji, które pozwolą na opracowanie nowoczesnych radarów cywilnych i wojskowych oraz nowych rozwiązań w zbliżonych dziedzinach militarnych.

Bell podkreślił, że dąży do zabezpieczenia finansowego na starość i na ewentualny wypadek usunięcia go z firmy po odkryciu jego aktualnych kontaktów. „Starszy" ripostował, że współpraca zapowiada się korzystnie dla obydwóch partnerów, gdyż na cele obrony każde państwo musi przeznaczać niezbędne fundusze. A koszty konsultacji są znikome w porównaniu do całości niezbędnych wydatków.

W trakcie dalszej rozmowy poruszono z Bellem kwestię zachowania w tajemnicy wspólnych kontaktów. Oficerowie podkreślili, że materiały przekazywane przez Bella są w Polsce dostępne w całości tylko dla dwóch, trzech osób z kierownictwa przemysłu elektronicznego, natomiast spośród specjalistów z przemysłu jedna lub dwie osoby będą miały dostęp do całości materiałów, jednak tak spreparowanych, aby nie można było stwierdzić ich pochodzenia.

Bell w sposób bardzo wyraźny zaznaczył, że zależy mu na absolutnych, pełnych dyskrecji kontaktach, a najważniejsze dla jego

bezpieczeństwa jest zatarcie numerów seryjnych dokumentów. Bell oświadczył, że ma możność wynoszenia dokumentów z firmy bez zwracania na siebie uwagi. Postępują tak wszyscy pracownicy koncepcyjni, pracując nad materiałami również w domu. Prosił o pozostawienie mu możliwości samodzielnego decydowania w sprawie tempa pracy i kolejności realizowania tematów. Może bez podejrzeń mieć dostęp do takich materiałów, które wejdą w jego ręce w sposób, jak się wyraził, „naturalny". „Starszy" w pełni przystał na jego propozycję.

W dalszej części rozmowy, dotyczącej konspiracji wzajemnych kontaktów, poruszono problem ukrycia przez Bella jego dodatkowych dochodów. Bell zaprezentował koncepcję, że chciałby otrzymywać stałą, niewysoką pensję miesięczną, a resztę funduszy pragnąłby ulokować w handlu antykami. Powiedział, że ma udziały w sklepie tej branży prowadzonym w Stanach przez jego kolegę. Może dzięki temu, poprzez dofinansowanie sklepu, łatwo ukryć dodatkowe pieniądze. Jednak zwrócił uwagę oficerów na niedogodność tego kamuflażu, poprzez opodatkowanie zysków ze sklepu; zaznaczył tym samym, że uwiarygodniając dochody, straci ich część.

Odpowiadając Bellowi, „Starszy" zaprezentował dwie koncepcje płatności, jednocześnie podkreślając, że pierwsza z nich jest dogodniejsza dla strony polskiej. Wyjaśnił, że ma na myśli zakup dla Bella kosztowności w Europie Zachodniej. Druga propozycja dotyczyła zakupu posiadłości w którymś z krajów europejskich i była na ten moment raczej warunkowa, wymagała bowiem dokładniejszego sprawdzenia możliwości jej przeprowadzenia.

Bell zaakceptował pierwszą propozycję, dodając, że ma konto w Szwajcarii, które pozwala mu na ukrycie stanu majątkowego przed amerykańskim urzędem podatkowym. Stwierdził też, że chociaż jego żona wie o tym koncie, to nie zna wielkości jego salda, oraz że może powiedzieć swojej żonie, że ma zdeponowane w banku szwajcarskim kosztowności. Jednocześnie wyraził duże zainteresowanie nabyciem dla niego nieruchomości w Szwajcarii, zaznaczając, że można tego dokonać na nazwisko panieńskie jego żony.

Oficerowie poinformowali Bella, że Marian Zacharski nie będzie informowany o szczegółach ich współpracy, gdyż jego uczestnictwo w sprawie jest przypadkowe. Strona polska nie chce, aby Zacharski zajmował się czym innym niż prowadzeniem spraw handlowych na terytorium Stanów. Jednocześnie powiedzieli mu, że dla bezpieczeństwa zarówno własnego, jak i Mariana Zacharskiego, nie powinien pokazywać już materiałów Zacharskiemu. Rola Mariana Zacharskiego zostanie ograniczona do utrzymywania prywatnych kontaktów z Bellem oraz do przekazywania informacji ustnych lub pieniędzy. Bell bardzo ucieszył się z tej koncepcji i podkreślił, że chciałby, aby Zacharski pozostał w Stanach jak najdłużej, ponieważ łączą ich bliskie stosunki koleżeńskie.

Oficerowie kontynuując, sugerowali Bellowi, że Marian Zacharski, jako obywatel Polski, jest zapewne pod obserwacją Amerykańskich Służb Specjalnych i z tego też powodu kontakty z nim oraz z jego

rodziną powinien utrzymywać wyłącznie na szczeblu prywatnym. Zabroniono mu dyskutować na tematy współpracy z polską służbą w pomieszczeniach zamkniętych. Wszystkie sprawy informacyjne powinien uzgadniać z Zacharskim na terenie otwartym, podczas spaceru. Zasugerowano także, by nie grał więcej w tenisa na osiedlowym korcie z Zacharskim.

William Bell wyraził chęć spotykania się w Europie, Azji czy też w Ameryce Południowej. Oficerowie przyjęli to stwierdzenie z nieukrywaną radością. Są gotowi do spotkań z nim gdziekolwiek poza Stanami w miarę, jak będzie miał gotowe do przekazania materiały oraz gdyby chciał osobiście przedyskutować niektóre tematy. Terminy spotkań muszą być w pierwszej kolejności dopasowane do jego możliwości wyjazdu. Raz na kwartał to optymalne rozwiązanie.

„Starszy" poruszył ważną kwestię. Otóż, byłoby niesłychanie wygodnie, gdyby żona Bella, jako stewardesa i z pochodzenia Belgijka, a więc mieszkanka Europy, mogła sama przywozić materiały. Jednak William Bell kategorycznie odrzucił tę propozycję. Powiedział, iż żona nie wie o jego drugim zajęciu i on w żadnym wypadku nie zgadza się na narażanie jej osoby.

Oficerowie wyczuli, iż za tą zdecydowaną odmową kryje się chęć chronienia żony, ale także i fakt, iż wie ona o sprawie o wiele więcej, niż Bell mówi.

Kolejną kwestią było zasugerowanie Bellowi, iż od tej chwili sam musi robić zdjęcia dokumentacji, bez pomocy Zacharskiego, ale jednocześnie odnotowano, by poprosić wywiadowcę o przeszkolenie Bella w zakresie obchodzenia się z filmami.

Następnie oficerowie przeszli do omawiania technicznych zagadnień będących przedmiotem zainteresowania strony polskiej. Bell od razu na wstępie poinformował ich, że przywiezione przez niego materiały zawierają między innymi opis systemu obserwacji, tzw. FLIR (Forward Looking Infrared Radar).

Ze swojej strony oficerowie zasygnalizowali mu tematy, którymi interesuje się przemysł. Potrzebują, na przykład, danych na temat stacji radarowej Martello firmy Marconi. Chcieli otrzymać szczegółowy opis eksploatacji stacji wraz ze schematem oraz rozwiązaniami konstrukcyjnymi najważniejszych elementów stacji, w tym i anteny. Stacja ta była uważana za perspektywiczną konstrukcję trójwymiarowego radaru. Dodali, że ewentualne dostarczanie przez Bella dokumentacji państw obcych kamufluje związki z nim. Bell odrzekł, iż nie sądzi, aby miał problem z uzyskaniem tej dokumentacji, a jest nieomal pewien, że antena była zaprojektowana przez jego firmę.

Kolejnym interesującym tematem jest stacja radarowa AN/ TPS-4BEF I 63 firmy Westinghouse oraz radar dla artylerii przeciwlotniczej bazujący na radarze samolotu F-16. Poinformowano Bella, że w Polsce pracuje się nad projektem nowego działa zespolonego sterowanego radarem. Niezbędne są do tego wszelkie dane na temat części radarowej. Bell oświadczył, że zna ten temat, gdyż jedna z firm zwróciła się do HAC z bardzo podobnym pytaniem. Według Bella radar F-16 po modyfikacji na radar przeciwlotniczy stał

się zupełnie inną konstrukcją. Zmiany były bardzo daleko idące. Bell jasno oświadczył, że ma możliwość dostarczenia opisów technicznych wraz ze schematami oraz podstawowych rozwiązań konstrukcyjnych.

Oficerowie zapytali go także o system sterowania ogniem czołgu XM-21. W trakcie wymiany zdań wyszło na jaw, że Bell jest doskonale zorientowany w temacie. Sam wyszedł z inicjatywą, że dostarczy rozwiązanie sterowania pociskami rakietowymi w czasie ich lotu, gdyż jest współautorem rozwiązania umożliwiającego jedną zmianę kierunku lotu pocisku po jego wystrzeleniu.

Wyrażono także zainteresowanie odległościomierzami radarowymi AN/MPQ 34 i 35 jako jednostkami samodzielnymi lub wchodzącymi w system radarowy oraz systemami rozpoznania i naprowadzania na cel TADS/PNVS.

W związku z groźbą zainstalowania w Europie systemów rakietowych Pershing i Cruise oficerowie wskazali na zainteresowanie uzyskaniem informacji technicznych o tych systemach oraz sugestii co do sposobu ich zwalczania. Bell był przekonany, że może od razu przekazać podstawowe dokumenty dotyczące obydwu systemów. W tej części rozmowy omówiono też możliwość zdobycia przez niego informacji na temat systemu GEADGE (Air Defense System for Germany), który został ostatnio dostarczony do Niemiec. Bell potwierdził, że w pełni zrealizuje to zamówienie. Ma dostęp do dużej części, a resztę może uzyskać od kolegi, który z ramienia firmy jest w Niemczech i zajmuje się tym tematem na co dzień.

Poruszono też kwestię systemu radarowego wczesnego wykrywania dla wybrzeża morskiego Polski. Bell powiedział, że może dostarczyć opracowania, które będą stanowiły podstawę do zaprojektowania nowoczesnego systemu. Zadał przy tym kilka pytań dotyczących geograficznego ukształtowania terytorium Polski, w szczególności wybrzeża morskiego

Wyrażono także zainteresowanie strony polskiej techniką Beam Aiming Tracking System. Bell powiedział, że ma całkowity dostęp do tej technologii.

Bell potwierdził, że radar typu FLEXAR (którego dokumentację już wcześniej przekazał za pośrednictwem Mariana Zacharskiego), pierwotnie przewidziany dla małych jednostek morskich, jest produkowany, ale po zmianach będzie prawdopodobnie wprowadzony także na dużych jednostkach, łącznie z lotniskowcami. Bell przekaże wszystkie szczegóły tego projektu wraz z ewentualnymi zmianami.

W dalszych etapach dyskusji technicznych dotyczących rozwiązań przyszłościowych Bell był zdania, że należy opierać się w konstrukcji anten na elementach półprzewodnikowych. Bell dostarczy wszystkie niezbędne materiały do rozwinięcia tych technologii. Natomiast w rozwiązaniach systemów wykrywania, śledzenia i naprowadzania na cel przyszłościowe są technologie mikrofalowe. Uzgodnili z Bellem, że będzie systematycznie dostarczał materiałów na temat perspektywicznych rozwiązań i technologii, a także systemów zatwierdzonych do wprowadzenia na uzbrojenie armii amerykańskiej. Bell zauważył, że niezwykle interesujące mogą być rozwiązania

nieprzyjęte do realizacji ze względu na działania konkurencji i dlatego będzie się starał zwracać na nie uwagę, i dostarczać regularnie wszelkie dostępne dla niego materiały.

Ponownie uzgodniono, że to Bell zadecyduje, które z dokumentów przekaże w pierwszej kolejności. Wynikać to będzie z naturalności dostępu do dokumentacji. Strona polska (co ponownie podkreślono) chce pracować z nim latami, więc jest zainteresowana tym, by nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów.

Kończąc, oficerowie poprosili Bella, aby na następny dzień sprecyzował swoje potrzeby finansowe, że oczekują jego propozycji w tym zakresie.

Podczas popołudniowego posiłku w restauracji rozmawiano już tylko na takie tematy, jak turystyka, zwłaszcza żeglarstwo — co, jak powiedział Bell, jest jego pasją życiową.

Po obiedzie oficerowie przeszli wraz z Bellem do innej części parku (na stok góry) w celu kontynuowania rozmów. Zgodnie z przyjętymi w Warszawie założeniami, należało istotne kwestie powtarzać dwu- lub nawet trzykrotnie, by upewnić się, że Bell je zapamiętał.

Omówili zatem większość tematów ponownie.

Następnie przystąpiono do wstępnego przedyskutowania zagadnień finansowych. Bell jeszcze raz podkreślił, że zależy mu na zabezpieczeniu żony i siebie na starość. Dodał, iż w przyszłości chętnie przeniósłby się do Szwajcarii. Oświadczył także, że chciałby nabyć kadłub jachtu pełnomorskiego, który sam by wykończył zgodnie ze swoimi upodobaniami. Oficerowie poinformowali go, że mają dla niego 5 tysięcy dolarów tytułem wynagrodzenia za dostarczone już materiały oraz 5 tysięcy dolarów jako zaliczkę na poczet przyszłych dostaw. Bell podziękował, ale wyraził też zaskoczenie, gdyż po rozmowie z Zacharskim spodziewał się 20 tysięcy dolarów. „Starszy” potwierdził, iż wiedzą o tym, jednak ze względów bezpieczeństwa nie mogli jednorazowo wziąć ze sobą takiej kwoty pieniędzy. Bell pozostawił tę wypowiedź bez komentarza.

Ze względu na zapadający zmierzch i niską temperaturę zakończono spotkanie, umawiając się na kolację.

Poinformowano także Bella, że jutro spotkają się o godzinie 10, koło muzeum Kaiserjaeger, w pobliżu skoczni narciarskiej.

W kolacji uczestniczyła również „Żona” i rozmawiano wyłącznie na tematy neutralne. Po kolacji „Młody” przekazał Bellowi materiały reklamowe dotyczące produkcji radarów w Polsce, aby mógł zorientować się w ogólnym poziomie technicznym. Dodał, że Bell przed opuszczeniem Innsbrucku musi je zniszczyć.

Zgodnie z ustaleniami następne spotkanie odbyło się nazajutrz i trwało od godziny 10 do 12.30. Zaczęło się od momentu niepewności, ponieważ Bellowi pomyliło się miejsce i czekał kilkadziesiąt metrów wyżej, u podnóża skoczni narciarskiej. Po odnalezieniu się pojechali samochodem w pobliże muzeum, które mieści się w lesie, na zboczu Bergisel. Powyżej widoczna jest bryła wielkiej skoczni narciarskiej. Teren był kompletnie opustoszały. Rozmawiając na tematy operacyjne, przy okazji byli turystami zwiedzającymi obiekty olimpijskie.

Dalej poszli w górę w kierunku Unter Plumes Berg, przeszli przez ulicę i ruszyli ścieżką w las. Spacerując, oficerowie omawiali z Bellem po raz kolejny te same tematy, które były poruszane poprzedniego dnia.

Ponadto uzgodnili, że następne spotkanie odbędzie się w Mexico City, na przełomie marca i kwietnia, po skompletowaniu pierwszej partii materiałów. Z góry umówili się, że odbędzie się w Muzeum Archeologicznym dokładnie w godzinie jego otwarcia.

Bell zapewnił ich, że najpóźniej do sierpnia zgromadzi całość poszukiwanego przez stronę polską materiału. Jednocześnie przedstawił swoje warunki finansowe. Wyglądały one następująco: 3 tysiące dolarów gotówką jako wynagrodzenie miesięczne oraz 60 tysięcy dolarów w kosztownościach, ewentualnie antykach lub działce budowlanej w Szwajcarii, która może być zakupiona na nazwisko panieńskie jego małżonki Rity. Interesuje go również otrzymanie w tej kwocie kadłuba jachtu morskiego o długości 20-25 metrów, który mógłby sobie sam wykończyć. Stwierdził, iż wynagrodzenie miesięczne będzie mu łatwo ukryć, gdyż w lutym otrzymuje nagrodę roczną z Hughes w wysokości 20 lub 30 tysięcy dolarów, więc zamierza kupić drugie mieszkanie, które będzie mu przynosić stały miesięczny dochód z wynajmu.

Za dostawy dokumentów po lipcu 1980 roku chciałby być wynagradzany w ten sam sposób, przy czym nie wiąże w sposób ścisły wynagrodzenia z realizowanymi tematami, gdyż chce wykonywać postawione mu zadania w miarę dostępu do dokumentów i zapewnić sobie za swój wysiłek stały dopływ gotówki.

Ze względu na wagę kontaktu z Bellem, jego dotychczasowe ogromne zaangażowanie i wydajność jako źródła dokumentacji oraz stosunkowo ograniczone żądania finansowe, oficerowie potwierdzili gotowość comiesięcznych wypłat w kwocie 3 tysięcy dolarów. Jednocześnie zapewnili, że zakup kosztowności będzie realizowany systematycznie do września lub października 1980 roku. Wypłaty zostaną podzielone na trzy lub cztery transze, z których pierwszą otrzyma przy następnym spotkaniu w Meksyku.

Zaraz po tym uzgodnieniu wypłacili mu 10 tysięcy dolarów. Dodatkowo przekazali mu 800 dolarów na pokrycie kosztów podróży do Europy jego żony i 1200 dolarów na jego koszty przelotu i pobytu na Starym Kontynencie. Bell podpisał pokwitowanie.

Następnie „Młody” przekazał Bellowi skrytkę na film (był to wieszak na krawaty z tajnym schowkiem i specjalnym mechanizmem czasowym służącym do jego otwarcia) i przeprowadził krótki instruktaż użytkowania.

Potem udzielił Bellowi szczegółowych rad dotyczących bezpieczeństwa. W tym: nie kupować w Austrii niczego, co zabierze ze sobą do Kalifornii, nie pozostawiać map Austrii w wynajętym samochodzie, zniszczyć mapę (turystyczną) Innsbrucku, na której oficerowie zaznaczyli lokalizacje spotkań. Zniszczyć rachunek hotelowy po jego opłaceniu.

Kończąc to długie, dwudniowe spotkanie oficerowie prosili Bella o zachowanie maksimum ostrożności, spokoju i rozwagi w zachowaniu i

działaniu. Potwierdzili, że planują z nim współpracować przez dłuższy czas, wykorzystując jego wiedzę, doświadczenie i chęć pracy dla polskiego przemysłu. Poprosili go też i o to, aby po powrocie z Europy nie kopiował żadnych materiałów, ograniczając się tylko do rozeznania możliwości dotarcia do nich. Przypuszczali, że Bell po powrocie z Europy może być przez pewien czas specjalnie obserwowany.

Na pożegnanie wręczyli Bellowi w prezencie dwie butelki alkoholu: koniak (Courvoisier) oraz whisky (Smuggler). Ze swojej strony Bell zapewnił, że będzie działał bardzo ostrożnie, aczkolwiek aktywnie.

Po uściśnięciu dłoni William Bell wsiadł do samochodu, który wynajął w Szwajcarii, i ruszył w drogę powrotną do Zurychu.

Polscy oficerowie wywiadu szybko dotarli do swoich kwater w Kolsass, spakowali się, rozliczyli z gospodynią i ruszyli do Wiednia. Po drodze nocowali w jeszcze jednym miasteczku. Tym razem właściciel zażądał, aby wpisali się do książki meldunkowej. Następnego dnia o godzinie 11 byli już w Wiedniu. Tam „Młody" najpierw telefonuje do znajomych, aby uzgodnić procedurę oddania samochodu. Znajomi zapraszają go wraz z „Żoną" do restauracji, umawiając się na godzinę 19.

Zatrzymali się w tym samym lokum, w którym mieszkali po przyjeździe z Polski. Spędzają jeszcze jeden dzień w Wiedniu. Tym razem są już odprężeni po udanym spotkaniu. Zwiedzają miasto, odwiedzają restauracje, by 3 listopada ruszyć o godzinie 22 pociągiem do Warszawy. Podróż wraz z kontrolami minęła bez zakłóceń. Następnego dnia około południa byli w Warszawie.

Zgodnie z procedurą, po spotkaniu z Williamem Bellem oficerowie przygotowują raport i wnioski.

Potwierdzają w nich, że charakterystyka Bella, którą otrzymali od Mariana Zacharskiego i która znajduje się w aktach sprawy, całkowicie się potwierdziła. Jest to otwarty, uczciwy, dobroduszny człowiek. Potwierdzają również, że jest niewątpliwie dobrym specjalistą w dziedzinie techniki radarowej i mikrofalowej. Jako źródło informacji jest bezcenny, gdyż nie ma oficjalnego kanału, którym można zakupić wiedzę, jaką on dysponuje.

Uzyskanie tej wiedzy drogą wywiadowczą jest osiągnięciem wyjątkowej wagi i zdarzającym się niezmiernie rzadko, a warunkiem, który umożliwił nawiązanie kontaktów wywiadowczych z Bellem, było prawidłowe pokierowanie sprawą od początku jej istnienia. Właściwie stosowano stopniowe wciąganie go do współpracy, wykorzystując jego potrzeby finansowe, zainteresowanie Polską i niechęć do Niemiec, jaką odczuwa Bell, uczestnik II wojny światowej.

Dalej podkreślają, że ze względu na swój unikalny charakter i możliwość dotarcia do tajnej dokumentacji sprawa ta powinna być prowadzona wyjątkowo pieczołowicie i z zachowaniem najdalej posuniętych środków ostrożności.

Sugerują przygotowanie dla Bella, jego żony oraz dziecka paszportów, które umożliwiłyby im wyjazd ze Stanów w razie ujawnienia kontaktów z naszą służbą. Należałoby również przewidzieć możliwość finansowania rodziny Bella, gdyby zaszły powyższe

okoliczności. W aktach sprawy znajduje się już fotografia Bella o wymiarach paszportowych, uzyskana od Bella przez Zacharskiego, w związku z koncepcją, by przygotować Bellowi polski paszport i z Wiednia zabrać go na kilka dni do Warszawy na spokojne rozmowy, w warunkach pełnego zabezpieczenia poufności. Koncepcja ta nie została zrealizowana z powodu braku pewności, czy nie ma na lotnisku Schwechat w Wiedniu kamer rejestrujących wszystkich wchodzących na pokład samolotu LOT, a także z obawy, by przez przypadek Bell nie spotkał na pokładzie samolotu kogoś, kto może go znać.

Zwracają też uwagę na konieczność otoczenia specjalną uwagą Mariana Zacharskiego, jako jedynego łącznika z Bellem, w taki sposób, by mógł on pozostać w Stanach, na tym samym terenie jeszcze przez wiele lat.

Raport kończy się zwróceniem uwagi Wydziałowi Technicznemu, gdyż Bell bardzo krytycznie ocenił przygotowaną skrytkę na filmy, wskazując, że w trakcie prześwietlenia na lotnisku od razu zostanie zauważona specjalna komora na film.

Bill wpada do mnie bez zapowiedzi, jest sobotnie wczesne popołudnie, Basia z dziewczynkami wyszła na plac zabaw.

— Marian! Jasna cholera! Muszę iść do lekarza!

— Co się stało? Coś nie w porządku?

— W jakim, kurwa, porządku!? Zrób mi drinka, szybko. Tylko mocnego. Ja ledwo żyję!

— Bill, co ci jest?

Bill przewraca oczami, jakby miał tik nerwowy. Patrzę na niego zaniepokojony. Pokazuje mi, że nie może mówić. Że mam wziąć butelkę i wychodzimy. Już na korytarzu pochyla się do mojego ucha i mówi szeptem:

— Pomieszczenie zamknięte. Nie wolno mi mówić. Ja dostałem *instrukcję*, co mogę, co nie mogę. W domu nie mogę rozmawiać.

Kiwam głową ze zrozumieniem, choć Bill z tą śmiertelną powagą jest przekomiczny. Mówię:

— Dobra, to idziemy na spacer.

— Jezu Chryste! Tylko nie to! Tylko nie na spacer!!! Ja się tak nachodziłem, że siły nie mam, ja nigdzie nie będę już chodził!

— Dobrze, to bierzemy butelkę i idziemy na basen.

Usiedliśmy przy naszym ulubionym stoliku, w zaciszu. Bill rzeczywiście źle wyglądał.

— Oni mnie chcieli zamęczyć, ci twoi ludzie z przemysłu! Ganiali mnie po górach, po jakichś, kurwa, parkach i cholernych, kurwa mać, zabytkach! Stary, ja przez całe życie się tyle nie nachodziłem co w ciągu tych dwóch dni w Innsbrucku! To jest katastrofa! Zobacz, jakie mam odciski!

— Poczekaj Bill, spokojnie. Masz szklankę, napij się i po kolei mi wszystko opowiedz.

Opadł w fotel i duszkiem wypił szklankę wódki z lodem. Otrząsnął się. I pokazał mi, że mam mu nalać drugą.

— Ej, przyjacielu, ty chyba tydzień nie piłeś!

— Jakbyś tam był! Jak do obiadu zamówiłem piwo, to się skrzywili.

— No dobrze, opowiadaj.

— Spotkaliśmy się w restauracji, jak było ustalone. Czekam i czekam... Nie, Marian, ty weź zobacz, czy tam, za krzakiem ktoś nie stoi, proszę cię, zobacz!...

— Bill, uspokój się.

— Jesteś pewien, że nikt? Dobra.

Dopiero, gdy alkohol go rozluźnił, zaczął mówić:

— Marian, no wszystko byłoby dobrze, gdy nie to, że oni myślą, że jestem idiotą! Powtarzali mi po kilka razy każdą, najdrobniejszą rzecz. Za każdym razem pytali: rozumiesz? Ja odpowiadałem: rozumiem. A po godzinie od nowa to samo! Przecież ja jestem chłopak, co potrafi radar zbudować, a oni ze mną jak z imbecylem... — Bill kręcił głową najwyraźniej rozżalony.

— I ja im mówiłem, panowie, ja mam dobrą pamięć, wiele rozwiązań, które widziałem tylko na papierze, w fazie projektowej, potrafię z najdrobniejszymi szczegółami odtworzyć, oni kiwają głową, że niby mnie podziwiają, chwalą, a potem od początku to samo. Jak jakiemuś debilowi! Cholera, Marian, głupio się czułem!

Przecież nie powiem Billowi, że takie są zasady pracy wywiadowczej, bo on nie pracuje dla wywiadu, tylko dla przemysłu. Nawet, jeśli po tym spotkaniu wie, że to tylko legenda, potrzebuje, by ona trwała. Mówię więc:

— Słuchaj, oni nie mówią na co dzień po angielsku, chcieli się upewnić, czy wszystko jest jasne, to dla nich wielka sprawa takie spotkanie z tobą.

— Mówią po angielsku naprawdę nieźle, z amerykańskim akcentem. Ten „Młody” mówi wolno, ale „Starszy”, chyba Paul ma na imię, ten mówi szybko, normalnie. Kobieta jeszcze z nimi była.

— Dziewczyna?

— Tak, mówię ci, jaki numer. Czekam na nich w tej knajpce, a przy stoliku niedaleko, patrzę, siedzi dwóch gości, plecami do mnie, i laska. Ona się na mnie patrzy, ale wiesz, tak mi się przygląda, jakby chciała, żebym jej podał numer pokoju. Fajna była, podobała mi się. Trochę pulchna, ale tak akurat, byłoby co potrzymać, ja to nawet lubię. Pomyślałem, to dam jej znak jakoś, żeby poczekała, i jak załatwię sprawę z tymi twoimi, to się z nią umówię na drinka, a później pójdziemy razem na górę. Ale potem, jak

już się spotkaliśmy, okazało się, że ona jest z nimi, że to żona tego młodszego gościa. Trochę szkoda, ale w końcu nie po to przyjechałem.

— Załatwiliście wszystko, jesteś zadowolony?

— No, tak i nie. Nie przywieźli mi całej kasy. Trochę mnie to wkurzyło, bo wiesz, ja wiozę filmy z tajnymi dokumentami z Ameryki do tego cholernego Innsbrucku, narażam się, a oni mi mówią, że mają dla mnie dziesięć tysięcy, bo więcej nie mogli przewieźć bez ryzyka. To ja pytam, o co chodzi? To ryzyko ma być tylko po mojej stronie? Nie podobało mi się to. Ale potem pomyślałem, dobra. Niech im będzie. Przy następnym spotkaniu się rozliczymy. Niech nie myślą, że jestem pazerny. Zresztą powiedzieli, że częściowo rozliczenia będą szły przez ciebie.

— Jeśli tak, to wszystkiego się dowiem, możesz być spokojny. Kiedy następne spotkanie?

— Mniej więcej w kwietniu, jak przygotuję to, na czym im zależy.

— A podali ci swoje potrzeby?

— Tak, ale wciąż interesuje ich ta antena firmy Marconi. Ja ci już mówiłem o niej, to przestarzałe rozwiązanie. Ale dobra, jak chcą, to się nie będę kłócił. Szkoda tylko, że żadnego inżyniera nie przysłali na spotkanie, tylko tych, z... — chwilę myśli, jakiego słowa użyć. Widzę, jak szuka i sam jestem ciekaw, co powie — ...z marketingu! Jakbyś mógł im podpowiedzieć, że z inżynierem bym się szybciej dogadał.

— Jasne, Bill, przekażę. — Nie powiem mu przecież, że proszę o to od początku i jedyny, który wchodził w grę, zrezygnował, bo nie rozumiał stopnia zaawansowania technologii.

— I wiesz co, oni się upierają na Meksyk, tam się ze mną umówili. Ja im sugerowałem, że mogę wszędzie, ale Meksyk to jest niedobre rozwiązanie, bo granica jest pilnie strzeżona. W obawie przed uchodźcami i handlarzami narkotyków kontrola celna jest naprawdę zaostrzona. Ani nie wywiozę dokumentów, ani nie przywiozę z powrotem gotówki.

— Dobra, Bill, dam im znać w tej sprawie — widzę już, że moje wykluczenie jest iluzoryczne. Nie będę się narażał, wożąc dokumenty, ale będę uzgadniał każdy szczegół.

— Tamten starszy, mówił, że zna Stany, że był w Waszyngtonie, w Kalifornii. Mówił nawet z amerykańskim akcentem. Ubrał się w marynarkę w paski i mówi do mnie: „Zobacz, wyglądam jak Amerykanin!”. Pochwaliłem go, jasne, ale w życiu u nas takich marynarek nie widziałem! Dobre! A dziewczyna w ogóle nie mówiła po angielsku. Rozmawialiśmy z ich pomocą, tłumaczyli. Ale jak ją zapytałem, ile waży (na moje oko tak z siedemdziesiąt kilogramów!), to odpowiedziała, że nie może powiedzieć.

— Bill, nie wiedziałem, że jesteś taki niedyskretny! Skąd ci przyszło do

głowy pytać kobietę o wagę?

— Z ciekawości! Podobała mi się, mówiłem ci. Przyciężka, ale do schrupania! W sukience, lubię takie kobiety! Ja w ogóle lubię kobiety!

Widzę, że Bill rozkwita. Do niedawna poza Ritą świata nie widział. Odkąd trochę odżył finansowo, zaczyna budzić się w nim koneser damskiej urody.

— Ten Paul był jakiś dziwny. Dużo gadał, kiepsko słuchał. Przemądrzały taki. A jak przyszło co do czego, to strachliwy. Gonił mnie kilometrami tylko po to, by mi dać pieniądze. A wcale ich przy sobie nie miał, tylko na ostatnią chwilę przyszedł ten „Młody" i przekazał mu paczuszkę. Tak samo z filmami. Jak mu je dałem, on raz-dwa i już oddał tamtemu. Normalnie bałem się, że jak zobaczy jeszcze jedną babcię z pieskiem na swojej drodze, to mnie piechotą pogna w wysokie góry, żeby tam dać, co trzeba. Jakbym mógł cię prosić, żebyś na nich wpłynął w sprawie tych spacerów. Ja nie mogę tyle chodzić! To jakieś chore! W Polsce zawsze się tak kręcicie?

— Dbają o twoje bezpieczeństwo, Bill.

— Wiem, ale bez przesady! Jak następnym razem ten Paul każe mi chodzić z miasta do miasta, żeby wszystko trzy razy powtórzyć bez świadków, to wybuchnę w sposób niekontrolowany... Kręgosłup mi siadł, nie żartuję. Ja od ponad roku pracuję dla was uczciwie, dostawali ode mnie kilogramy materiałów, chyba jasne jest, że wszystko rozumiem, że znam zasady?!

— Dobrze, nie denerwuj się, pogadam z nimi.

Billowi co chwilę przypominał się jakiś szczegół związany ze spotkaniem. Szczególnie uraziła go propozycja, by Rita przerzucała filmy do Europy. Nawet, jeśli żona Billa wie więcej, niż on nam mówi, to chce być wobec niej rycerski. Nie pozwoli jej w to mieszać. Rozumiem go w pełni i szanuję jego postawę. Śmiać mi się chce, gdy Bill narzeka na „spacery". Ale podświadomie wyczuwam, że „nowe rozwiązanie" będzie miało krótkie nogi. Bill nie zrezygnuje, bo zależy mu na pieniądzach. Będzie jeździł. A każdy jego wyjazd jest odnotowywany przez dział bezpieczeństwa HAC, bo musi wystąpić o zgodę do przełożonych. On się naszym nie przyzna, że tak jest, bo boi się, że straci źródło dochodu. Nie wiem, czy nie złożono na jego barkach zbyt dużego ciężaru. Czuję, że zamiast rozwiązać problem, tworzymy nowy. A przecież wystarczyłoby wprowadzić któregoś z „nielegałów" tylko do przewożenia materiałów ze Stanów do Europy. Ta sprawa trwa już długo, gdyby w Centrali pomyśleli o tym na początku, teraz nowy człowiek byłby gotów do pracy. No i pomysł, by zabronić nam grać w tenisa! Przecież to od razu rzuci się wszystkim w

oczy! Każdy z sąsiadów powie: „Od końca 1979 roku Marian i Bill nagle przestali grać”. Na tym polega cała ta sytuacja, że wszyscy wokół uważają, że my uwielbiamy wspólną grę! Czasami chodzę na kort sam, bez Billa. W chwilach silnego stresu muszę się wyładować. Odreagować napięcie. Odbijam piłkę od ściany tak długo, aż poczuję, że mam całkiem mokrą koszulkę. Dwukrotnie widział mnie Marc, sąsiad Billa. Powiedział: „Ćwiczysz odbicia, żeby pokonać Bella?” i śmiał się. Mają nas tu za zwariowanych na punkcie tenisa. I dobrze. Nikt nie szuka innych uzasadnień wspólnych spotkań.

Na początku grudnia wchodzę do księgarni „Mały Profesor” w Marina del Rey. Mam ochotę coś poczytać. Kupuję kilka książek, wychodzę, wsiadam do samochodu. Gdy ruszam, widzę, że z samochodu zaparkowanego nieopodal wychodzi kilku mężczyzn i szybko zmierzają do księgarni. Za mną jedzie znane mi już auto agentów federalnych. Odwożą mnie do domu. I nic. Tylko tyle. Jednak ich zachowanie podsuwa mi pewien pomysł. Skoro myślą, że ta księgarnia jest dla mnie ważna, utwierdzę ich w tym przekonaniu. Pewnie naczytali się książek szpiegowskich i wyobrażają sobie, że zostawiam między półkami albo w książkach jakieś wiadomości. Dobrze. Popracuję nad tym.

Na początku stycznia 1980 roku ni stąd, ni zowąd Basia mówi do mnie:

— Nie jesteśmy już jedynymi Polakami w Cross Creek Village.

Jestem przemęczony, wróciłem z pracy rozdrażniony i nie bardzo mam ochotę na rozmowę.

— Słuchasz mnie? Poznałam na naszym osiedlu Polkę!

— Tak, co tu robi?

— W grudniu wyszła za mąż za naszego sąsiada Joego Morrisa.

— Nie znam go.

— Mieszka dosłownie obok nas. Na trzecim piętrze. Zresztą też pracuje w Hughes.

Przyciągnęła moją uwagę.

— W Hughes? Bill nie wspominał nigdy o nim.

— Bo ten Joe pracuje w Optical...

— Optical System Division?

— Właśnie. Skąd wiesz?

— Sama mi powiedziałaś. I co z tym Joem?

— Nie wiem. Jego nie poznałam, tylko panią Grażynę, jego żonę. Pochodzi z Katowic i wyswatała ją kuzynka, która mieszka w Stanach od dawna. W kościele.

— W kościele mieszka?

— Nie, Marian, jak ty słuchasz! W kościele ją wyswatała. Przy Adams Street jest polski kościół, ta kuzynka tam chodzi i Joe też.

— A co Joe robi w polskim kościele?

— Jezu, Marian, bywasz wkurzający! Co się robi w kościele? Modli się. Joe się modli!

— Nie denerwuj się, sama powiedziałaś, że ich wyswatali w kościele, więc nie tylko się modli, jak widać. A Joe? Po polsku chodzi się modlić?

— Nie wiem, nie pytałam. Może po polsku, może po angielsku. Joe jest Polakiem z pochodzenia, może się modlić, jak mu wygodnie.

— No to nie mogłaś od tego zacząć? Że jest Polakiem?

Wstaję. Nieźle. Joe Moriss. Polak z pochodzenia pracujący w Hughes. Muszę go poznać. Przepraszam Basię i proszę, by zaprosiła ich kiedyś na polską kolację do nas. Moja żona pyta, z czego ma zrobić tę polską kolację w Los Angeles. Kolejna awantura wisi na włosku. Idę na kort.

Mam mnóstwo pracy w Polamco. Jeden klient przyciąga za sobą kolejnego. Sprzedaję maszyny w coraz ciekawszych miejscach i poznaję coraz bardziej interesujących ludzi. Teraz pracuję nad kontraktem z Las Vegas. Nie, nie hazard. Chociaż kto wie, co z tego wyniknie?

Firma nazywa się EG & G, pracuje w ramach programów atomowych poligonów Nevady. Mieści się w North Las Vegas, mniej więcej osiem mil od centrum miasta. Początkowo docierały do mnie różne informacje na temat profilu ich produkcji. Cokolwiek by to było, doszedłem do wniosku, że mogę im zaproponować polskie maszyny. Już na pierwszym spotkaniu dowiedziałem się, że w statucie firmy jest zapis, iż nie wolno im kupić niczego zza żelaznej kurtyny. Roześmiałem się i powiedziałem:

— Polamco jest firmą amerykańską!

Jeden z menedżerów EG & G puścił do mnie oko i odrzekł:

— To jest myśl!

Oczywiście, że takie rozwiązanie było dobre wyłącznie na start. Ale oni naprawdę zainteresowali się naszymi maszynami. Nawet w tak strategicznej działalności jak atomistyka liczą się z pieniędzmi. A nasze maszyny są dużo tańsze. Wystąpili więc na drogę oficjalną, by zdobyć zgodę na zakup. Atomistyka podlega w USA Ministerstwu Energii w Waszyngtonie. Czekamy na decyzję, będzie dosłownie na dniach.

Centrala poleciła mi już jakiś czas temu, bym nawiązywał jak najwięcej kontaktów w ramach przemysłu specjalnego Stanów Zjednoczonych. Robię to. Ale nie tylko dla „przykrycia". Naprawdę zaczynam sprzedawać tam coraz więcej maszyn.

Niektóre kontakty nawiązałem wyłącznie z myślą o Polamco, nie przypuszczając, że uda mi się w tych firmach zdziałać coś więcej. Przyjemnie się rozczarowałem, gdy zaczęło to przynosić efekty.

Inne zaś inicjowałem z myślą o wywiadzie, Polamco stosując jedynie jako przykrywkę. I często okazywało się, że człowiek i jego firma rzeczywiście chcą kupić maszyny.

Zatem działało to w dwie strony. A ja miałem ręce pełne roboty. Ręce to przesada. Głowę.

Do tego cały czas prowadziłem to tak, aby kontrwywiad amerykański — który przecież ciągnął się za mną od dawna, niektóre z moich kontaktów sprawdzał niezwykle skrupulatnie, a inne nie, nie zauważając ich wcale lub z góry traktując jako nieszkodliwe.

Troszczę się o „moich" agentów i wciąż naprowadzam ich na księgarnię „Mały Profesor" z taką systematycznością, że jak właśnie wczoraj zauważyłem, zamontowali coś, co może kryć kamerę. Może się mylę, ale chyba jednak nie. Dobrze, dobrze. Będę się teraz do tej ich kamery pochylał nad książkami i udawał, że robię w nich znaki. Niech sprawdzają, na której stronie, kartka po kartce, tego przecież im kamera nie pokaże.

Nie mogę też zaniedbywać Billa. Wbrew pomysłom Centrali nie jest dobrze, by sąsiedzi rzadziej widywali nas razem. Poza tym mój cenny

przyjaciel musi, jak dawniej, porozmawiać, wypić polską wódkę, omówić to czy tamto. Przygotowuje się do kolejnej podróży do Polski. Zbiera materiały.

Mam dobry kontakt z pewną niedużą firmą, która produkuje elementy korpusu reaktorów atomowych dla łodzi podwodnej typu Trident. Wielkie koncerny czasami zlecają firmom zewnętrznym produkcję poszczególnych komponentów. Chcę im sprzedać obrabiarki. Właściwie, to już złożyli zamówienie, czekamy tylko, aż przypłyną z Polski. Tyle razy sugerowałem Centrali, że gdyby dali mi „naszego" technika, którego zatrudniłbym jako serwisanta, to moglibyśmy zwielokrotnić nasze uzyski z pracy wywiadowczej. Wizytuję tę firmę. Obróbka istotnych elementów odbywa się na hali specjalnie zabudowanej wysokimi elementami z dykty, a więc za takim zwykłym przepierzeniem. Gotowy element korpusu przed transportem pokrywają czarną płachtą z plastiku. Niedługo będzie tu na stałe przyjeżdżał mój serwisant. Wielka szkoda, że nie *nasz* serwisant!

Robię notatki ze wszystkich istotnych spotkań, systematycznie przekazując je Centrali. EG & G interesuje Centralę wyjątkowo.

Gdy z EG & G dostaję informację, iż otrzymali zgodę Ministerstwa Energii na zakup obrabiarki, sprawy nabierają tempa. Przygotowujemy papiery dla naszych czterech pracowników, musimy złożyć je w ministerstwie, by dostali zgodę na dostęp do informacji tajnych. Trzech z nich to polscy serwisanci. Sen z powiek spędza mi też transport tej maszyny. To kolos. George Amberg chodzi po firmie, śmieje się i kręci głową. Wciąż nie wierzy, że dopiąłem swego z tą sprzedażą. Poza tym to razem z pozostałymi transakcjami będzie miesięczny rekordowy wynik finansowy. Milion dolarów. Znów przeboleć nie mogę, że żaden z serwisantów, którzy za chwilę wejdą do *takiej* firmy, nie pracuje dla wywiadu. Żal!

Mimo katastrofy DC-10 (nie doszło z tego powodu do zawarcia kontraktu z LOT-em) nadal podtrzymuję znajomość z McDonnell-Douglas. Ed Rug z działu „cywilnego" polecił mnie swym kolegom zajmującym się produkcją samolotów wojskowych.

Choć moje kontakty z McDonnell-Douglas są wyśmienite, nawiązuję też znajomość z człowiekiem dobrze uplasowanym w firmie konkurencyjnej — zakładach Northrop. Właściwie kontakt z nimi pielęgnuję od dawna, teraz jednak udało się przenieść go na ściślejszy grunt. Zwiedzam zakłady Northrop. Zaczynamy od hali, w której produkują części kadłuba 747.

Potem jedziemy samochodem do ich najnowszego nabytku, kupionej od firmy Rockwell wielkiej hali zbudowanej z drewna (konstrukcja z czasów II wojny — brak materiałów budowlanych). Produkują tam F-18, a właściwie jego część ogonową. Słucham z zaciekawieniem o konfliktach, jakie mają z McDonnell-Douglas, którzy produkują z kolei front samolotu. Słucham uważnie, gdy opowiadają o szerokim użyciu materiałów kompozytowych, co pozwala na zdecydowane ulepszenie tak zwanego „Radar Cross-Section". Jak wyjaśnia mi przy okazji Bill, dzięki temu samolot jest zdecydowanie mniej widoczny na radarze.

Zainteresowałem naszymi obrabiarkami także ludzi z Lockheed Missiles & Space Division w Sunnyvale, w rejonie San Francisco. Jak mnie informują, firma znana jest głównie z produkcji rakiet do przenoszenia głowic jądrowych Trident, montowanych na okrętach podwodnych.

Ogrom pracy, jaki wykonuję, odbija się na moich stosunkach w domu. Przyjeżdżam późno i jestem wykończony. Czasami tak bardzo, że zbyt nerwowo reaguję na hałaśliwe zabawy moich córek. W niedzielę rano wpada do mnie Bill. Widzę, jak Basia odwraca się, by nie pokazać mu, że nie jest zachwycona jego wizytą. Obiecałem jej i dziewczynkom, że pojedziemy na wycieczkę. Próbuję powiedzieć Billowi, że nie mam czasu, że nie mogę wyskoczyć z nim na tenisa. Ale on mówi, że nie chce grać, daje znaki, że musi mi coś powiedzieć. Widzę, że jest naprawdę zaaferowany. Jestem tak zmęczony, że z trudem znajduję uzasadnienie do wyjścia z nim. W końcu mówię Basi:

— Za pół godziny wracam, spakuj wszystko. — Bo nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

Wychodzimy.

— Marian, wróciłem wczoraj z pilnego spotkania z generalicją.

— Co się stało? — teraz to już nawet ja jestem zaniepokojony jego podekscytowaniem.

— Mówi się o nieuchronnej konfrontacji militarnej na linii USA — ZSRR. Jeszcze w tym roku.

— O cholera! W związku z Afganistanem?

— Tak.

— Kto?

— Generał J.F.H., gość na emeryturze, ale jest doradcą rządu do spraw polityki budżetowej Ministerstwa Obrony. Na spotkaniu byli szefowie DARPA i kół wojskowych. Ja byłem zaproszony tylko do wygłoszenia krótkiego wystąpienia, parę minut, ale będąc na sali, zorientowałem się szybko w całości. Nie podali na razie prawdopodobnego miejsca konfliktu.

— Co jeszcze?

— Biorą do analizy wszystkie programy militarne o znaczeniu taktycznym i strategicznym, także te, które były przygotowane jeszcze kiedyś, i zostały odłożone. Sprawdzają pod kątem jak najszybszej realizacji. Poszukują i od ręki angażują dodatkowych specjalistów z różnych dziedzin, bo ci, którzy tak jak my pracują nad programami, są przeciążeni robotą.

— Cholernie im się śpieszy.

— Właśnie. Przedstawiono analizy, z których wynika, że USA mają niewystarczające możliwości transportowe do przerzutu dużej liczby ludzi i sprzętu wojskowego na dalekie odległości. Pentagon przystąpił do programu budowy tanich barek, łącznie z wykorzystaniem do tego celu starych okrętów. Wszystkie te jednostki po szybkim przystosowaniu będą skierowane w region konfliktu.

— Bill, jesteś nieoceniony, naprawdę. Podziwiam cię.

— Marian, gadaliśmy już o tym. Musisz takie rzeczy wiedzieć, bo twój kraj powinien być przygotowany na wszystko.

— Bill, dziękuję.

Wracam do domu. Jest niedziela, w konsulacie tylko dyżurny. Jeśli zadzwonię, a FBI ma mój domowy telefon na podsłuchu, to narobię tym weekendowym telefonem więcej szkody niż pożytku, niezależnie od tego, jak sformułuję informację. Muszę czekać do jutra. Inaczej mogę więcej popsuć, niż przekazać. Ale niełatwo mi się skupić na niedzielnym spacerze z rodziną.

Znajduję sposób, by przekazać rezydentowi wiadomość.

Przy okazji dokładam szereg informacji, które uzyskałem dzięki moim nowym kontaktom.

A te rozwijają się imponująco. Z pośpiechu, z nadmiaru pracy, zapominam, by „pojechać z agentami” do „Małego Profesora”. Potem śmieję się w duchu, że tym przypadkowym odstępstwem od rutyny narobiłem jeszcze większego zamieszania. Teraz muszą się zastanowić, czy nie zmieniłem tajemnego sposobu przekazywania informacji.

Agenci zmieniają co jakiś czas samochody. Jestem wzrokowcem i zapamiętuję ich twarze. Powoli modyfikują styl jazdy. Uciekłem im kilka razy i teraz skracają dystans. Starają się też zamieniać w ramach jednej grupy danego dnia pozycjami przed lub za moim samochodem. Raz jedzie za mną niebieski, raz szary samochód. OK, uczymy się od siebie. Oni ode mnie niestety też. Południowa Kalifornia nie ma oficjalnych przedstawicielstw krajów zza żelaznej kurtyny, więc i umiejętności ich

agentów nie muszą być najwyższych lotów. Wyraźnie widać brak praktyki. Na razie nie mam wielkich problemów, by im się urwać. Ogromne natężenie ruchu w Los Angeles jest moim sprzymierzeńcem.

Dobrze rozwija się też współpraca z United Airlines. Finalizuję sprzedaż kolejnych obrabiarek do ich centrum naprawczego w San Francisco. Zaproponowali świetne rozwiązanie dla moich serwisantów. Nasz pracownik ma się zgłaszać na lotnisku w Los Angeles do części United. Tam dostanie darmowy bilet lotniczy, a w San Francisco odbiorą go z samolotu bezpośrednio na pas i zabiorą do hangaru. Z powrotem odstawią montera w ten sam sposób. Proste i oszczędne dla mojej firmy.

Pielęgnuję kontakt z Rockwell International w El Segundo. Ci akurat przygotowują się do produkcji bombowca strategicznego B-1. Podchodzę do sprawy perspektywicznie, nie śpieszę się. Na razie pracuję na dobrą opinię w tej niezwykłej firmie. Chcę, by się do mnie przyzwyczaili, by zaczęli traktować mnie jak swojego dostawcę. Mam wystarczająco dużo „gorącej" pracy w innych miejscach.

Coraz bardziej zakłócają mi i tak bardzo intensywny rytm pracy najróżniejsze polskie delegacje, które muszę przyjmować. Nadal jestem traktowany jak jedyna polska placówka w tej części Stanów.

Trzeba szybko organizować transport wielkiej wytaczarki z zakładów w Dąbrowie Górniczej do EG & G w Las Vegas. Transakcja weszła w fazę realizacji. Delikatnie, lecz konsekwentnie pracuję nad menedżerem tej firmy. Sugeruję mu, iż mógłby pojechać ze mną do Polski, by obejrzeć bezpośrednio u producenta inne maszyny, które mogą zainteresować jego firmę. Z racji na jej naprawdę szczególny charakter, facet musi wystąpić o zgodę na taki wyjazd do ministerstwa, ale jest zainteresowany i robi w tym kierunku starania. To odpowiedni człowiek. Ma dostęp do tajemnic o gryfie tajności „Q", co jest równoznaczne z dostępem do najbardziej utajnionych programów dotyczących strategicznych broni nuklearnych.

Z pewnym upodobaniem bawię się w kotka i myszkę z obserwującymi mnie agentami. Prowadzę ich na tropy. Dziesiątki ślepych tropów. Niebezpieczna gra. Ale decydując się na pracę w wywiadzie cywilnym, nie myślałem o spokojnym życiu.

Od dłuższego czasu poruszam się głównie w kręgu zagadnień militarnych. A jestem zagorzałym pacyfistą. Nie używam broni. Nie mam jej nawet. Nie lubię wojskowych. Nie lubię armii. Nie mógłbym nosić munduru i salutować. Mam o nich wszystkich raczej kiepską opinię. Ale

tak się potoczyły moje sprawy, że pracując dla wywiadu naukowo-technicznego, pracuję na rzecz rozwoju obronności mojego kraju. Nie myślę o tym na co dzień. Nie roztrząsam tego. Mam możliwość zdobycia najpilniej strzeżonych tajemnic militarnych przeciwnika. To służba krajowi. A moje życie to gra.

Mam duszę gracza, wciągam się i nie umiem zrezygnować. To uzależnia. Zrobiłem tyle, że może mógłbym czasami odpuścić. Ale nie umiem. W sporcie też walczy się do upadłego.

Żyję szybko. Mimo euforycznego pędu staram się zachowywać czujność. Sam sobie patrzę na ręce. Sam siebie pilnuję. Zresztą, kto miałby to zrobić?

Wiem już, że Sergiusz przestał być naczelnikiem Wydziału. Zastąpił go Franciszek, jego wcześniejszy zastępca. Myślę sobie, że przecież gorzej niż z Sergiuszem być nie może, i to mnie trochę pociesza. Gdy nawiązuję nowe kontakty, a wraz z nimi zdobywam nowe informacje, czasami staje mi przed oczami twarz byłego naczelnika, gdy mówił do mnie, że dla zdrajców jest jedna kara. Kurwa, wciąż nie mogę mu tego zapomnieć! Tylko jego sromotna ucieczka z październikowego spotkania w Warszawie jest dla mnie jakąś formą satysfakcji.

Dość systematycznie zajmuję się „podejmowaniem gości". Nasi oficjele korzystają z tego, że w tak atrakcyjnym regionie jak Kalifornia jest polska firma i chcąc zwiedzić okolicę i samo Los Angeles, „biorą mnie sobie za przewodnika". Nie mogę odmówić, chociaż zdarza się, że z trudem znajduję czas dla gości. Jednym z nich jest wiceminister przemysłu maszynowego Janusz Szotek. Szotek cieszył się wówczas złą sławą „maczety ministra", bo zwalniał ze stanowisk bez zająknięcia. Gdy go odebrałem z lotniska, był napuszony, pewny siebie i cały w pretensjach. Raczej mnie to bawiło, niż paraliżowało, a jego reputacja mnie nie przerażała. Umieściłem go w hotelu Marriott przy Century Boulevard, w bezpośrednim sąsiedztwie lotniska międzynarodowego. Zaprosiłem go do siebie do domu na obiad. Gdy przyszedł, zaproponowałem drinka. W czasie gdy go robiłem, on zaczął studiować książki, które miałem na półkach. Wchodzę ze szklanką, a on siedzi na kanapie całkowicie zatopiony w lekturze. Spoglądam na okładkę: to książka profesora Zawodnego o Katyniu, jedna z pierwszych książek, które kupiłem w Los Angeles. Jest starannie wydana, pełna fotografii. Ale w Polsce niedostępna. Szotek tak się zaczytał, że nie mogłem go oderwać od lektury, nie reagował na zaproszenia do stołu. Potem, do końca wizyty, nie wspomniał ani słowem o książce. Jakby jej nie było. Po kolacji pokazałem mu korty

tenisowe. Koniecznie chciał zagrać, a ponieważ następnego dnia miał wylot, więc umówiliśmy się bardzo wcześnie, o 6 rano.

Odebrałem go z hotelu i po krótkiej jeździe zaczęliśmy nasz mecz.

Postanowiłem nie dostosowywać poziomu gry do wizytatora. Wygrałem z nim gładko. A on nie umiał przegrywać, więc zaczął narzekać na jakość podłoża kortu.

— Jak pan będzie w Warszawie, proszę się odezwać! Zagramy rewanż na Merze, to pan zobaczy, jak potrafię grać!

Odwiozłem go do hotelu, a potem na lotnisko, bo śpieszył się na swoje połączenie do Europy. Jak mi kilkakrotnie zaznaczył, wraca na pokładzie concorde'a. Nie skomentowałem, choć pomyślałem gorzko, że towarzysze nie muszą liczyć się z kasą. Nie obowiązywały ich limity, diety i szara codzienność pracownika delegowanego na wyjazd służbowy.

Innym moim gościem był syn ówczesnego związkowego i partyjnego dygnitarza, pana Władysława Kruczka. Wywołał niezwykłe poruszenie wśród „mojej drużyny FBI". Gdziekolwiek się z nim ruszyłem, agenci byli tuż przy nas. Gdy wychodziliśmy z restauracji, próbowali wykonać nam serię zdjęć z pewnej odległości. Widząc to, specjalnie tak obracałem swojego gościa, by nie mogli go uwiecznić. Bawiło mnie to, a agentów upewniało, że słusznie nas obserwują. Młody Kruczek nawet nie zauważył zainteresowania służb federalnych, które wywołał.

Pracuję dalej. Podczas kolejnej wizyty w zakładach Northrop moi gościnni gospodarze pokazują mi stojące obok siebie dwa samoloty: F-5 Tiger i F-18 Hornet. Mogę podziwiać postęp technologii na własne oczy. Oglądam halę z development fixtures, gdzie składają F-5 i F-5 treningowy (ten drugi jest dwuosobowy). Northrop jest liderem w technologii materiałów kompozytowych. Pokazują mi także metodę warstwowego klejenia blach aluminiowych i poszczególne etapy budowy kadłuba. Pracują nad bombowcem B-2. Jego pierwszy koncept, czyli pomysł tak zwanego latającego skrzydła powstał pod koniec lat czterdziestych. Teraz nowe technologie i komputeryzacja wykorzystana do sterowania samolotem pozwalają na powrót do tamtej koncepcji i jej realizację. Mam dla nich drobny prezent w postaci polskiej wódki. Wręczam ją już na parkingu, z samochodu do samochodu. W rewanżu dostaję dwa piękne zdjęcia F-18 i F-5.

Jakiś czas później widzę się z Kaziem Tarczyńskim. Opowiadam mu o tej wizycie, a on na to, że niewielu jest Amerykanów, którym by pokazano to, co właśnie widziałem. Zdjęcia chowam, zabiorę je ze sobą do Polski.

Zresztą najwyższy czas na przygotowanie wyjazdu Billa.

12 kwietnia 1980 roku przywożę do Chicago listę tematów opracowanych już przez Billa, czyli takich, które sfilmował w całości. Łącznie to dwadzieścia dwa dokumenty. Bill sugeruje, by na spotkaniu był obecny jakiś wysokiej klasy specjalista ze strony polskiej, by mógł z nim omówić projekt systemu obrony przeciwlotniczej naszego Wybrzeża. Ma już sto stron projektu, ale chce koniecznie omówić szczegóły dotyczące mikroobwodów. Bill zaznacza, że może stronie polskiej pewne przekazać, ale należy je traktować wyłącznie jako wzorcowe. Ponieważ Bill jest zajęty po 12 maja, termin spotkania zostaje ustalony na 6 maja, a miejscem ma być ponownie Innsbruck. Bill zaplanował wylot na 3 maja, oczywiście na pokładzie samolotu linii Pan Am z racji tańszych biletów. Ma lecieć do Londynu, stamtąd do Kopenhagi, Zurychu i dalej, wynajętym samochodem do Innsbrucku.

Polski wywiad wysyła na spotkanie dwóch sprawdzonych już oficerów — „Starszego” i „Młodego”. Tym razem „Żona” nie będzie im towarzyszyć. „Młody” wyrusza 5 maja 1980 roku pociągiem pośpiesznym „Chopin”. W trakcie nocnej kontroli paszportowo-celnej po wyjściu wopisty celnik zainteresował się nim bardziej szczegółowo. Ponieważ „Młody” utrzymuje, iż jest studentem turystą, jedzie z paszportem prywatnym. Celnik pyta go o wywożoną walutę. „Młody” pokazuje mu pozwolenie na wywóz 10 tysięcy szylingów austriackich i 8 tysięcy dolarów. Jednak na skutek niedopatrzenia zezwolenie było wystawione dla osoby podróżującej służbowo, podczas gdy oficer wylegitymował się wcześniej paszportem prywatnym. „Młody” wie, że to niefortunne połączenie. Celnik niedowierza i prosi o pokazanie pieniędzy. Przelicza. Woła przełożonego. Pytają „Młodego”, po co mu tyle pieniędzy. Oficer przytomnie tłumaczy, iż jest delegowany przez Ministerstwo Przemysłu Maszynowego i jedzie do firmy austriackiej, a pieniądze służą celom służbowym. Wtedy starszy celnik orientuje się w sprawie, przeprasza i wycofuje kontrolę. Niestety, jest to dekonspiracja „Młodego” wobec służb celnych.

Pociąg dojeżdża do Wiednia zgodnie z rozkładem. „Młody”, po wyjściu z pociągu zachowuje się zgodnie z procedurą. Robi trasę sprawdzeniową, by upewnić się, że nie jest obserwowany. Następnie tramwajem dojeżdża do dworca kolejowego Westbahnhof, gdzie po przestudiowaniu rozkładu jazdy pociągów kupuje bilet na pociąg do Linzu, który odjeżdżał o godzinie 13.45. Następnie pilnie sprawdzając się, udaje się na spotkanie z oficerem Rezydentury w umówionym punkcie przy Mariahilferstrasse.

Po przywitaniu się przechodzą do zaparkowanego w bocznej uliczce samochodu. Zostawiają samochód na Favoritenstrasse i przechodzą odcinek pieszo. Po drodze „Młody” powtarza oficerowi Rezydentury szczegóły operacji. Żegnają się i „Młody” tramwajem jedzie z powrotem na Westbahnhof, gdzie wsiada do podstawionego już

pociągu. Po dwóch godzinach podróży znajduje się w Linzu. Zostawia bagaż w przechowalni i po sprawdzeniu rozkładu jazdy pociągów w kierunku Innsbrucku udaje się na spacer. Ma ze sobą tylko aparat fotograficzny. Korzystając z okazji, rozgląda się za miejscami na następne spotkanie z Bellem, które Centrala planuje właśnie w Linzu. Chodzi ulicami, fotografuje zabytki, zachodzi do kawiarenek. Standardowa procedura. W trakcie marszu opracowuje dwa miejsca na dokonanie BPM wraz z trasami dojścia do tych miejsc. Je kolację w restauracji na Klosterstrasse. Pobyt w lokalu wykorzystuje na dokładne sprawdzenie rozkładu pomieszczeń. Na dworzec dociera około godziny 23, kupuje bilet, odbiera bagaż i czytając w poczekalni gazetę, czeka na pociąg, który planowo odjedzie do Innsbrucku kwadrans po północy. Na miejsce przybywa 7 maja o godzinie 7.

Najpierw kieruje się w znajome już okolice hotelu Grauerbaer, a następnie do stacji kolejki wyciągu na Hungerburg. Zapamiętuje rozkład jazdy i idzie spacerem do pałacu Hofburg. Idąc dalej, przez Rynek Starego Miasta, dociera do miejsca BPM. Jest duży ruch. Wchodzi do środka wejściem od ulicy Maria Theresien Strasse, kieruje się do ubikacji, przechodzi przez pomieszczenie baru samoobsługowego do połączonego z nim korytarzem sklepu spożywczego. Tym samym sprawdza cały teren i jest gotowy do przeprowadzenia BPM podczas spotkania z Bellem.

Następnie udaje się do stacji końcowej kolejki górskiej, jadącej do miejscowości Igls. Był to pojedynczy wagon tramwajowy starego typu, kursujący wahadłowo na trasie Innsbruck–Igls–Innsbruck. Po około dwudziestu minutach jazdy leśną trasą pod górę, dojechał do przystanku końcowego w Igls. Jest to typowo wczasowa miejscowość górska, z dużą ilością hoteli ków i pensjonatów, leżąca mniej więcej w połowie góry Patscherka Hel. Obchodzi miejscowość i typuje kilka pensjonatów niższej kategorii pokrywających się z jego legendą podróżującego studenta. Następnie odwiedza tereny olimpijskie, tor saneczkowy i trasę zjazdową.

Wraca do Innsbrucku, je obiad i odebrawszy plecak z bagażowni, ponownie wjeżdża na górę do Igls. Po dojeździe zauważa spory ruch spowodowany powrotem z pracy w Innsbrucku mieszkańców tego miasteczka. Znajduje nocleg w typowym *Gasthausie*. Był to trzypiętrowy budynek z pomieszczeniami gospodarczymi i stajnią na zapleczu. Gospodyni zaprowadziła go do jednoosobowego pokoju w cenie 100 szylingów. W ogóle się nie meldował, nie zostawiał więc śladów swojego pobytu. Po trudach podróży udał się na spoczynek.

Rankiem już o godzinie 7.30 jest w Innsbrucku. Przygotowuje swój powrót ze spotkania z Bellem, kupuje więc bilet na nocny pociąg do Wiednia i zostawia bagaż w przechowalni. Dochodząc do hotelu Grauerbaer, zauważa po jednej stronie ulicy „Starszego”, a po drugiej oficera Rezydentury z małżonką. Wszyscy wzajemnie się dostrzegają i ponieważ nikt nie sygnalizuje symptomów obserwacji, „Młody” wchodzi do restauracji hotelowej. Wieszając ubranie, zauważa kątem oka siedzącego przy śniadaniu Bella. Bell rozpoznając go, uśmiecha się lekko. „Młody” siada przy innym stoliku i zamawia śniadanie. Sala

wypełniona jest w połowie. Sporo Hiszpanów, kilka starszych małżeństw.

Bell wstaje, w jego zachowaniu widać wahanie, czy ma podejść do „Młodego". Decyduje się jednak wyjść na korytarz. Tam dochodzi do niego „Młody" i prosi Bella, aby o 9.25 był na dole w hotelu z materiałami. W trakcie tej krótkiej rozmowy w hallu nie byli dla nikogo widoczni. Bell na moment wychodzi z hotelu i po kilkuminutowym spacerze wraca z powrotem i idzie do pokoju po materiały. Po chwili pojawia się w okolicach recepcji i siada w fotelu. Czeka. Gdy „Młody" dochodzi do niego, widzi, że Bell coś rysuje i zapisuje w notatniku. Proponuje mu wyjście na spacer. Rusza z Bellem wcześniej przygotowaną trasą. „Młody" sprawdza się, ale niczego niepokojącego nie zauważa.

Pyta Bella, jak dotarł do Innsbrucku i jak „legendował" w Stanach swój wyjazd do Europy. Bell informuje go, że w pracy wziął tygodniowy urlop przeznaczony na wizytę u rodziny zamieszkałej w Seattle. Rodzinie powiedział to samo, bo, jak mówi, faktycznie tam pojechał, a następnie SAS-em przyleciał do Kopenhagi. A stamtąd do Zurychu i dalej już samochodem. Poinformował „Młodego", że ma ze sobą filmy z wieloma dokumentami. Prosił o ostrożność przy ich wyjmowaniu i wywoływaniu, aby nie zniszczyć wielu cennych informacji na nich zawartych. Do filmu dołączył także jeden z 250 elementów aktywnych anteny radarowej.

Szli dalej, kiedy weszli na plac przed kościołem świętego Jakuba, przeciął im drogę mężczyzna w średnim wieku, łysiejący od przodu, z resztką włosów zaczesaną do tyłu, ubrany w beżowy garnitur i czarną koszulę; w ręku trzymał kluczyki samochodowe. Patrzył w kierunku, z którego przyszli.

Doszli do miejsca BPM. Około 10 metrów przed nimi, „Młody" ponownie dostrzegł tego samego mężczyznę, którego widzieli chwilę przedtem na placu. Gdy zbliżyli się do niego, zawrócił i poszedł pod arkadami. Już więcej go nie widzieli.

Po chwili „Młody" wyjmuje mapę i mówi Bellowi, że za moment, gdy weźmie od niego materiały, rozejdą się i ponowne spotkanie odbędzie się o godzinie 11 przy stacji kolejki na Hungerburg. Pokazuje Bellowi na mapie miejsce. Dochodzą do ulicy Burggraben, przechodzą na drugą stroną ulicy i pięć metrów przed restauracją „Młody" uprzedza Bella, że za moment tam wejdą, po czym Bell przekaże mu torebkę z filmami i „Młody" podąży w głąb lokalu, a Bell ma udać się do stacji kolejki.

Po wejściu do środka „Młody" pyta Bella o papiery, które ten trzyma w ręku. Bell odpowiada, że jest to specyfikacja materiałów. Oficer mówi Bellowi, by nie nosił papierów w ten sposób, tylko włożył je do jakiejś torby. Bierze od niego tylko torbę z filmami. Rozchodzą się.

„Młody" kieruje się do korytarza wiodącego do toalet. W środku restauracji panuje rozgardiasz, jest pełno ludzi. Restauracja jest samoobsługowa, ludzie przechodzący z tacami i posiłkami potęgują zamieszanie. „Młodego" w drodze do toalety wyprzedza starszy pan w zielonym płaszczu, który natychmiast udaje się do pisuaru. W głębi jest

jeszcze jeden człowiek. Oficer, zwany „Starszym”, stoi na środku toalety, naprzeciwko wejścia. Kiedy wchodzi tam „Młody”, oficerowie stają naprzeciwko siebie i przez moment obserwując dwóch pozostałych mężczyzn, dokonują przekazania materiałów. „Starszy” przykrywa paczuszkę z filmami płaszczem i wychodzi na zewnątrz. Cały ten manewr trwał sekundy i był bezszelestny, co zresztą było bez znaczenia, gdyż poprzez wywietrznik dochodził duży hałas z ulicy.

„Starszy” miał problem z przekazaniem materiałów oficerowi Rezydentury, bo ten zamiast na korytarzu restauracji, czekał na ulicy. „Starszy” przywołał go w końcu do środka i przekazał mu filmy. Oficer Rezydentury wraz z rodziną i materiałami znika w tłumie turystów, zmierzając do samochodu.

„Starszy” uważa akcję przekazania materiałów za zakończoną i udaje się na punkt spotkania z Bellem. Dociera tam trasą okrężną przez rynek. Kupuje bilet, wsiada do kolejki, dociera nią na górę, gdzie będzie oczekiwać na przyjazd Bella i „Młodego”. O godzinie 11.15 są już we trójkę.

„Młody” poszedł po Bella po BPM. Dostrzega go spacerującego blisko stacji kolejki. Jednocześnie zauważa dość dziwnego starszego pana w słonecznych okularach, który zbliża się do stacji z przeciwnego kierunku. Jest ubrany w niebieskoszary, powycierany płaszcz i czapeczkę z charakterystycznym daszkiem. „Młody” wchodzi na stację, kupuje bilety i razem z Bellem przechodzą do drugiego pomieszczenia, z którego rusza kolejka. Wsiadają do wagonika na jego najniższym poziomie. „Młody” daje Bellowi torbę na jego papiery, ale okazuje się, że Bell w międzyczasie zdążył kupić aktówkę. Niecałą minutę przed odjazdem, „Młody” dostrzega ponownie dziwnego, starszego pana, który wsiada do wagonu, lecz na wyższym poziomie. Jadąc, podziwiają z Bellem wspaniałe widoki, piękną panoramę gór. Nie rozmawiają na tematy związane ze współpracą.

Gdy dojeżdżają do stacji, „Młody” dostrzega „Starszego” i informuje Bella, że to z nim będzie kontynuował rozmowy. Każe mu ruszać w jego kierunku. Bell jest zdezorientowany.

„Młody” przejmuje rolę oficera pełniącego kontrobserwację. Zauważa, że za Billem znów kroczy zarejestrowany kilkakrotnie dziwny osobnik. Starszy pan maszeruje krokiem niezdecydowanym i rozgląda się intensywnie na boki.

W tym samym czasie „Starszy” i Bell prowadzą już rozmowę. Pogoda dopisuje, świeci słońce, mogą swobodnie rozmawiać na świeżym powietrzu podczas spaceru.

Na wstępie „Starszy” poinformował Bella, że po powrocie do Los Angeles otrzyma od Mariana Zacharskiego złote monety jako część wynagrodzenia (poza wypłatami miesięcznymi). Podał mu, ile i jakich złotych monet może się spodziewać. Bell, wyraźnie zadowolony, zanotował sobie wszystkie dane o złotych monetach. Uzgodnili, że w razie pytań Bell będzie mówił, iż zakupił te monety w trakcie kilkuletniego pobytu służbowego w Europie w latach siedemdziesiątych, a dotychczas trzymał je w sejfie bankowym w Szwajcarii. Dalej, porządkując sprawy finansowe, poinformował go, że

wręczy mu 7 tysięcy dolarów tytułem miesięcznych wypłat oraz dodatkowo na pokrycie kosztów jego podróży. Bell potwierdził, że otrzymał już miesięczne wynagrodzenie do końca maja oraz 2 tysiące dolarów za czerwiec. Było to zgodne z danymi, które przekazał Centrali Marian Zacharski. „Starszy" był zadowolony, że wszystko się zgadza, ponieważ Centrala nie miała innego sposobu na poświadczenie prawdomówności Zacharskiego, a księgowość Centrali domagała się potwierdzenia, mimo otrzymywanych od wywiadowcy pokwitowań Bella.

W dalszym ciągu rozmowy przeszli do spraw dotyczących dostaw dokumentów. Bell poinformował, że tym razem przywiózł filmy z zarejestrowanymi na nich 24 dokumentami. Próbował pokazać specyfikację dokumentów „Starszemu", ale ten w miejscu publicznym nie chciał jej wziąć. Wobec tego, Bell powiedział, że sfilmował: Slidelobe Canceller, DIVAD, TADS, FLEXAR, ROLAND. Poinformował również, że przez kolegę, który jest szefem przedstawicielstwa HAC w RFN, zdobędzie całość materiałów dotyczących obrony powietrznej Niemiec.

Bell powiedział oficerowi, że przywiózł na spotkanie zarys projektu radarowej obrony polskiego Wybrzeża, około sześćdziesięciu stron, i chce omówić to, co przygotował, aby mógł pracować nad projektem dalej. Poprosił, aby usiedli na chwilę, to wyjmie z torby dokumenty i przejrzą je wspólnie. „Starszy" zabronił mu wyjmowania papierów, powiedział, że on się w radarach nie specjalizuje, więc nie mogą o tym rozmawiać. Bell nie skomentował tego, poza wyrażeniem zdziwienia. Następnie zmienił temat rozmowy, przedstawiając „Starszemu" swoją technologię pracy przy filmowaniu dokumentów. Przez cały czas grupuje je i trzyma u siebie w pracy, a na kilkanaście dni przed spotkaniem zaczyna je wynosić i filmować. W ten sposób unika konieczności przechowywania przez długi czas naświetlonych już filmów w swoim domu. Wyjątkiem jest sytuacja, gdy wchodzi nieformalnie w posiadanie dokumentu, wówczas natychmiast go filmuje, by niezwłocznie zwrócić go pier wotnemu właścicielowi. W wypadku tego spotkania, które zaplanowane było na kwiecień, a zostało opóźnione o miesiąc, miał pewien problem z przechowywaniem filmów.

Rozmawiają na temat kolejnego spotkania. „Starszy" ponownie proponuje Meksyk. Bell tłumaczy, że jeżeli się zgodzi, to nie może tam przekazywać materiałów ani odbierać pieniędzy, gdyż granica jest wyjątkowo dobrze chroniona. Proponuje spotkania na Dalekim Wschodzie jako bardziej przyjazne z punktu widzenia jego bezpieczeństwa. Dla przykładu wymienia: Singapur, Hongkong, Tokio. Zaznacza, że wśród państw europejskich należy wykluczyć Szwajcarię, bo ma tam dużą ilość znajomych jeszcze z czasów swojej pracy. Uważa, iż w Szwajcarii istnieje duże prawdopodobieństwo spotkania kogoś, kto go dobrze zna. Po naradzie uzgadniają datę i miejsce następnego spotkania. Będzie to 7 października 1980 roku, data zapasowa to dzień później. Godzina 10-10.15 Hauptplatz w Linzu, w podcieniach w pobliżu Wasserapotheke. Bell planuje przyjechać do Wiednia z żoną, spędzić z nią tam jeden dzień na zwiedzaniu miasta, a następnie

odłączyć się od niej i przyjechać na spotkanie z oficerami.

„Starszy” pyta Bella o relacje z Zacharskim. Bell mówi, że obecnie są to luźne kontakty, wyłącznie towarzyskie, zapewnia, że nie spotykają się w pomieszczeniach zamkniętych.

Po rozstaniu każdy udaje się w innym kierunku.

Oficerowie osobno wracają do Warszawy.

Bill kontaktuje się ze mną dopiero 12 maja. Mówi, że właśnie wrócił, umawiamy się przy basenie. Tym razem jest odprężony i zrelaksowany. Pytam więc, czy to oznacza, że nie było spacerów?

— Były, były. I spacery, i jazdy kolejką górską, tylko zwiedzania mało. I dobrze, ile razy można oglądać te same kościoły! Mogę wystąpić o licencję przewodnika turystycznego po Innsbrucku i okolicy!

Śmieję się razem z nim, widzę, że jest w doskonałym humorze.

— No, mam już nawet pomysł na kolejne spotkanie, tę, jak oni to mówią... legendę! Mam legendę, że wezmę sobie wózek inwalidzki. Ja na wózek, „Młody” będzie mnie pchał, a Paul niech gada. Wtedy sobie możemy dyskutować na świeżym powietrzu, ile się im spodoba! Chociaż nie, wolę, żeby Paul pchał, a „Młody” niech gada, bo jest bardziej konkretny.

— Bill, przekażę twoje sugestie!

— Nie, no Marian, nie wygłupiaj się!

— Dobra, żartuję!

— „Młody” jest zorganizowany. Jak mi zwrócił uwagę, żebym nie przynosił filmów w papierowej torbie, to zaraz na kolejnym spotkaniu podarował mi specjalną torbę, przywiozłem ją ze sobą. Zresztą, przywiozłem dwie, bo jak mi tak powiedział, poleciałem do sklepu i kupiłem sobie, biało-niebieską. Potem on przyniósł mi tę czarną. Głupio mi było, mam teraz dwie torby.

— Dlaczego dopiero teraz wróciłeś?

— A, to moja tajemnica! Znalazłem sposób na odreagowanie tych kilometrów pieszych wędrówek i całego zawracania głowy z tą konspiracją!

Mówiąc to, puszcza do mnie oko i po jego minie zaczynam się domyślać, o co mu chodzi.

— Paryż, przyjacielu! Paryż! Miasto moich snów! Nocne kluby, piękne kobiety, życie pełną piersią!

— Poszalałeś?

— I to jak! Mam taki swój ulubiony lokal, jakie tam są dziewczyny! Marian, musimy kiedyś pojechać tam razem. Wyrwiemy się na weekend...

— Dobra, Bill, spokojnie. Cieszę się, że wszystko masz uzgodnione. Ja

będę miał dla ciebie złote monety, dostaniesz je w czerwcu, po moim przylocie z Polski.

— Jasne! Ale Marian, pomyśl o Paryżu!..

Na początku czerwca korzystam z okazji, że mam świetny kontakt z generalnym menedżerem zakładów General Electric Aircraft Engine Group w Albuquerque w stanie Nowy Meksyk. Firma mnie interesuje, bo budują tam silniki odrzutowe do samolotów cywilnych i wojskowych. Spotykam się z inżynierem z Działu Systemów i Urządzeń (Systems and Equipment). Oprowadza mnie po zakładach. Mam powód do zadowolenia, bo otrzymuję jedną łopatkę z silnika. To bardzo ważny element, dzięki niemu można sprawdzić, z jakich stopów produkują oraz jakie są systemy nawierceń mających na celu chłodzenie. Materiał na łopatki nazywają Rene 43. Oglądam cały proces produkcji, a szczególnie interesuje mnie pieczołowita kontrola jakości. Oprowadzający mówi mi, że do niedawna, aby uzyskać jedną idealną łopatkę musieli produkować trzy, teraz poprawili jakość produkcji i już co druga spełnia ich oczekiwania. Prawnie zakład należy do Air Force, ale jest pod zarządem General Electric.

Będąc w Albuquerque, odwiedzam też firmę Cemco Construction w związku z zakupem naszych wiertarek (model RD-7).

Jestem ciągle w drodze. FBI towarzyszy mi, gdzie tylko może. Jeśli wylatuję, odprowadzają mnie na lotnisko, sprawdzają, dokąd lecę. Nie utrudniam im pracy, wręcz przeciwnie. Spotkania, o których chcę, by wiedzieli, umawiam telefonicznie i wszystko jest jasne, z wyprzedzeniem. Wiedzą, jakimi liniami latam, jak układam trasy. Czy mogli nie wiedzieć, że tego dnia na skutek zmiany rozkładu lotów, by dotrzeć do celu o zaplanowanej porze, będę musiał skorzystać z PSA? To nie jest moja pierwsza podróż Pacific Southwest Airlines. Jestem w stanie permanentnego zmęczenia, ale jestem tylko facetem. Widok stewardes bardziej rozpiętych niż zapiętych, bardziej rozebranych niż ubranych działa na mnie więcej niż odprężająco. Wokół panuje atmosfera erotycznego napięcia. Towarzysze podróży prezentują różny stopień śmiałości wobec pięknej obsługi. Wpada mi w oko wysoka blondynka. Ale ona najwyraźniej koncentruje się na obsłudze arabskiego biznesmena. Właściwie jest mi wszystko jedno, jestem zmęczony. Leniwie obserwuję kursujące między pasażerami dziewczyny. Nie dostrzegam chwili, w której jedna z nich pochyla się nade mną z drinkiem. Czuje jednak ciepło uda, którym dotyka mego ramienia. Podnoszę wzrok, a ona zdaje się zawstydzona. Niepotrzebnie. Kobieta, która ma taki dekolt, nigdy nie musi się niczego wstydzić! Jest brunetką, ciemne loki zakrywają jej pół twarzy. Pyta, czy się napiję. Nie odpowiadam, a ona stoi z tacą i wbrew swojej roli na pokładzie,

najwyraźniej się rumieni.

— Napiję się, ale z panią.

— Nie mogę pić w pracy...

— A o której pani będzie po pracy?

— Wieczorem, mam jeszcze rejs powrotny.

— Dobrze, będę wracał tym rejsem. Więc napijemy się w Los Angeles.

Nie odpowiada, tylko uśmiecha się z tym rozbrajającym zawstydzeniem. I odchodzi z tacą. Widzę krągłość pośladków spod najkrótszej z możliwych spódniczek. I biodra rozkołysane ruchem samolotu.

Załatwiam swoje sprawy, zapominam o brunetce z PSA. Może zresztą nie zapominam, bo wchodząc na pokład wieczorem, rozglądam się mimowolnie. Przychodzi, gdy tylko samolot rusza. Pyta, czy się napiję. Odpowiadam tak samo jak rano. Ona też. Uśmiechem. Po skończonym locie czekam na nią przy wyjściu służbowym. Na obcisły strój stewardesy ma narzucony płaszczyk. Nic nie mówimy. Idziemy do mojego samochodu, jakbyśmy robili to po każdym rejsie. Gdy zamykam drzwi, całuję ją w szyję. Nic więcej. Jest późno, w restauracji gości raczej niewielu. Ale do kolacji przy świecach niepotrzebne nam towarzystwo. Zamawiamy zgodnie, nie śpiesząc się, ale też nie przebierając w menu. Nie ono jest tu najważniejsze, choć stanowi element gry. Ona lubi sałatkę z awokado. I lody pomarańczowe. Zastanawiam się, czy potem, gdy skończymy kolację, wyczuję ich smak na jej podniebieniu. O imię pytam, gdy odchodzi kelner.

— Anna.

Dobrze. Anna brzmi podobnie w każdym języku. A mój się rozwiązuje, jakby to imię było kluczem do naszego spotkania. Mówię jej, że jest piękna, komplementuję po kolei każdą część Anny, którą już widziałem. Ona nuci piosenkę, którą śpiewa mężczyzna przy pianinie. Pytam kelnera:

— Kim jest wasz muzyk?

— To Anthony, grywa u nas wieczorami. W weekendy gra tu z całym zespołem, w tygodniu jest sam.

— Podoba się Annie — tak właśnie mówię, jakbym tym prostym zdaniem honorował Anthony’ego nagrodą krytyków muzycznych.

— Proszę, może pan kupić jego płytę.

Robię to. Przynoszę dziewczynie płytę. Patrzę, jak je lody pomarańczowe i myślę, że to znak, iż powinienem powiedzieć, co dalej. A może po prostu wyjdziemy bez słowa, bez zapowiedzi, tak zwyczajnie jak weszliśmy, tak jakbyśmy robili to od zawsze?

Zostało kilka łyżeczek na dnie pucharka, gdy odsunęła go od siebie łagodnie.

— Podpisz mi się na tej płycie. To będzie pamiątka, że byliśmy tu

razem.

Zaskoczyła mnie. Wyjmuję długopis, piszę: „Annie...

Nie zdążyłem dokończyć. Dziewczyna złapała mnie za rękę i rozpłakała się.

— Nie rób tego, Marian...

Patrzę na nią zdziwiony.

— Oni mi kazali, ale ja... ja nie wiedziałam... ty mi się naprawdę podobasz... ja tak nie mogę!..

— Jacy oni? Anno, co się z tobą dzieje, uspokój się...

— Nie mogę się uspokoić, dopóki nie powiesz, że mi wybaczysz... Ja nic im nie powiem... Nie chcę tak!

— Komu? Jak?

— FBI...

Puszczam jej rękę, prostuję się. Nie sądziłem, że się do tego posuną. Zapłakana Anna (czy to jej imię?) wyjaśnia, że FBI nakłoniło ją do uwiedzenia mnie. Miała po kolacji zaprosić mnie do swojego mieszkania. Nie słucham dalej. Nie chcę słuchać płaczu, tłumaczenia, że ona nie wiedziała, że „to się tak skończy", próśb, żebym się na nią nie gniewał. Żebym mimo to został z nią, bo ona się zakochała już w czasie porannego rejsu. Jest mi wszystko jedno. Wołam kelnera, płacę. Zostawiam dziewczynie pieniądze na taksówkę. Podnosi na mnie zapłakane oczy. Wciąż jest ładna. Ale już nie chcę szukać smaku lodów na jej podniebieniu. Zabieram ze sobą płytę. W samochodzie wciąż czuję zapach jej perfum. Odsuwam szyby, wietrzę. Ruszam. Pęd powietrza chłodzi mi głowę. Dobrze mnie znają panowie agenci. Ale zaangażowali do swej gry zbyt porządną dziewczynę. Gdyby wzięli profesjonalistkę, może nie zorientowałbym się aż do dnia, gdy przynieśliby mi kompromitujące zdjęcia. Mam nauczkę. I wciąż mam szczęście.

Ale ono niemal opuszcza mnie kolejnego dnia, gdy Basia znajduje w samochodzie apaszkę Anny. Firmową apaszkę stewardes PSA. Tłumaczę, że podwoziłem dziewczynę naszego serwisanta. Amerykańskiego serwisanta, dodaję, nim żona zada mi kolejne pytanie. Rozmowa ucina się.

10 czerwca 1980 roku lecę do Polski. Tym razem nie wiozę tajnych dokumentów. Ale bagaż mam olbrzymi. Kasza, ryż, makarony, konserwy, kawa. Co się da, co ma długi termin trwałości. Jeszcze podczas odprawy bagażowej widzę, że ci, co lecą do Warszawy, wiozą podobne ilości jedzenia. Chcę zasilić rodziców. Na co im moje pieniądze, jak niewiele za nie mogą kupić?

Już w następnym dniu po przylocie mam spotkanie. W lokalu konspiracyjnym czekają na mnie Zdzichu i Franciszek, nowy szef. Zdzichu

szepnął mi, że nazywają go „Świętym Franciszkiem z Asyżu”, ale nie chodzi o usposobienie, tylko o wygląd. Przyglądam się: dość trafne przezwisko.

Omawiamy majowe spotkanie Billa w Innsbrucku. Franciszek żąda, by na kolejne Bill przyjechał do Europy z żoną, koniecznie wykorzystując do tego jakąś okazję — rocznicę, urodziny teściów, cokolwiek, byle z sensem. Tłumaczę im, że urwanie się na dwa dni od wścibskiej Rity nastręczy Billowi niemniejszych problemów niż załatwienie wyjazdu w HAC. Franciszek jest uparty, mówi, że Bill wydaje się „niesterowalny” dla Centrali. Nie wytrzymuję:

— Proszę sprawdzić w aktach. Wszystko, co pisałem wam o Bellu, sprowadza się do tego: to indywidualista. Nie pozwoli sobą nadmiernie sterować. Musi mieć poczucie pewnej swobody i komfortu. Nie nadaje się do pracy w nadmiernym obciążeniu.

— No tak, w istocie. Ale mamy *wspólny* problem, czyż nie?

— Ale nie ja go, zdaje się, stworzyłem.

— Pośrednio pan. To pan przyprowadził nam Billa!..

— Żart! Pan naczelnik żartuje! — wyjaśnia błyskawicznie Zdzichu. Chwała mu za to, bo po Sergiuszu nie znam się na żartach przełożonych.

Przechodzimy do spraw operacyjnych. Mówią, że dostanę w konsulacie złote monety dla Billa. Mam je odebrać w dwóch transzach, bo nie chcą, abym latał między Chicago a Los Angeles z taką ilością złota. Do tego dostanę jeszcze 1000 dolarów dla Billa. W paczce z monetami brakuje jednej sztuki, mam przekazać Billowi, że dostanie ją później. Mają też listę tematów, którymi Bell ma się dla nas zająć. Omawiamy je szczegółowo.

— Pan nie notuje? — pyta Franciszek.

Zdzichu się śmieje:

— Pan naczelnik jeszcze nie wie, że ty notujesz w głowie!

— Doprawdy? To imponujące.

— Nie, to po prostu wygodne. Obawiam się, że mógłbym nie rozczytać własnych notatek, łatwiej mi zapamiętać całą informację.

— Dobrze, dobrze. Proszę spotkać się z Bellem poza stałymi miejscami i tam mu to przekazać.

— Analizowałem rozkład twojego osiedla, najlepsza byłaby pralnia — Zdzichu wtrącił się szybko.

— Dlaczego akurat tam?

— Bo na kortach ktoś was zauważy, przy basenie tak samo, mieszkanie nie wchodzi w grę. Ta pralnia powinna być w porządku.

— Ale panowie, na kortach nikogo nie zdziwi nasz widok, przy basenie też. A jak zobaczą nas razem w pralni, to dopiero będzie temat do plotek!

Odkąd mieszkam w Cross Creek Village, jeszcze tam nie byłem i nie sądzę, żeby Bill robił tam kiedykolwiek pranie!

— I właśnie dlatego to dobre miejsce — Franciszek autorytatywnie zakończył rozmowę.

— A pieniądze przekaż mu u siebie w domu.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale się wycofuję. Nie przegadam ich. Mają swoje „operacyjne wizje", niech tak będzie. Gdybym w tej sprawie od początku postępował zgodnie z instrukcjami, niewiele bym uzyskał. W czasie podróży przemyślałem także sprawę Anny. O tej prowokacji FBI też im nie powiem. Po co? Sam sobie poradziłem, do niczego nie doszło. Nie mam ochoty dawać im argumentu do ręki.

— Od tej pory pana kontaktem operacyjnym będzie wyłącznie rezydent. To czwarty rok pobytu w Stanach, mamy powody, by przypuszczać, że obserwacja, która się za panem ciągnie, przypuści prędzej czy później frontalny atak. Będą chcieli pana odwrócić i jako pretekstu mogą użyć wszystkiego. Szantaż rodziną, sytuacją wewnętrzną w Polsce, każdy pretekst jest dobry. Nie ma sensu narażać pana i ludzi w Chicago. Więc w sytuacji awaryjnej telefon do rezydenta z pytaniem o sprawy paszportowe lub wizowe dla klientów Polamco. Ilość paszportów lub wiz, o które będzie pan pytał, będzie oznaczała, w ciągu ilu dni od telefonu zjawi się pan w Chicago. On wtedy będzie czekał na miejscu. Sytuacja awaryjna to bezpośrednie zagrożenie dla Billa Bella lub pana, konieczność przełożenia spotkania z Bellem w Europie z powodów losowych lub — proszę zapamiętać — wejście przez pana w posiadanie informacji o stosunkach USA — Iran — ZSRR.

Więc jednak zaczęli się liczyć z informacjami przynoszonymi przez Billa ze spotkań z generalicją. Po tamtej o Afganistanie wzmogli czujność. Dobrze. Pytam, co w wypadku nagłego zagrożenia w godzinach wieczornych, gdy rezydenta nie ma w pracy. Chwila konsternacji.

— To proszę dzwonić do konsulatu, telefon odbierze pracownik dyżurujący i on znajdzie sposób na skontaktowanie się z rezydentem.

— Marian, musisz być gotowy na wszystko. Niepokoi nas ciągła asysta FBI, jaką za sobą ciągniesz. Pamiętaj, gdyby coś się wydarzyło, gdyby cię zatrzymali, żądasz kontaktu z placówką dyplomatyczną, niczego nie podpisujesz, nie zeznajesz, milczysz. Ale też nie jesz i nie pijesz nic, co pochodzi od nich. Nawet wody mineralnej, którą podadzą w zamkniętej butelce. Nie zostawiasz swoich odcisków. Nie narażasz się, że w jedzeniu będzie środek wymuszający mówienie.

— Zdzichu, dzięki. Wiem o tym, rozmawialiśmy już kiedyś na ten temat. Jeśli nie zatrzymają mnie z dokumentami w ręku, nie mają na mnie nic.

Kompletnie *nic*. Jednocześnie nie bardzo mają pretekst, żeby mnie zatrzymać. Wiesz, że zachowuję się poprawnie, nie przekraczam prędkości, nie kradnę w supermarkecie, przez telefon mówię swobodnie.

W myśli koryguję swoją nieskazitelność: jeden mandat i Anna.

— Dlatego za tobą łażą. Czekają, aż popełnisz błąd. A wtedy przedstawią ci propozycję nie do odrzucenia.

— Wiem, czuję to.

Wracając ze spotkania, zastanawiam się, gdzie jeszcze mogą widzieć moje słabe punkty. W co mogą uderzyć? Myślę o moim coraz słabszym ojcu. Jak bym się zachował, gdyby mi powiedzieli, że mogą go wyleczyć, dać mu zdrowie? Nie chcę o tym myśleć. Ale najwyraźniej mój oficer prowadzący rozumował podobnie, bo nazajutrz, podczas kolejnego spotkania w lokalu konspiracyjnym pyta mnie o stan zdrowia taty.

— Marian, powiedz rodzicom, że skontaktuje się z nimi lekarz. Powiedz, że poznałeś go w samolocie, podczas podróży do Stanów. Masz jego wizytówkę, żeby nie byli zaskoczeni. To świetny specjalista. Zajmie się twoim ojcem. Może załatwić mu operację w Szwecji.

Ściskam rękę Zdzichowi.

— Dzięki, stary.

— Daj spokój, Marian. To nasz obowiązek.

15 czerwca odlatuję z Warszawy do Los Angeles. Następnego dnia, w poniedziałek, mam umówione rozmowy w Seattle, a 19 czerwca w Chicago odbiorę złote monety dla Billa. Sześć dni później w konsulacie ma odbyć się pożegnanie jednego z pracowników, na które jestem zaproszony. Oczywiście nie tylko w celach towarzyskich. Przy okazji odbiorę drugą część złota dla Billa.

Po 26 czerwca mogę umówić się z nim na przekazanie monet. Wszystko przebiega spokojnie, bez przeszkód. Wprawdzie Centrala kazała mi się rozliczyć z Billem u mnie w domu, ale musiałem zrobić inaczej. Rity nie było, więc u Billa mieszkanie było puste. A u mnie są Basia i dziewczynki. Bill nie może tak sobie po prostu przyjść do mnie i zamknąć się ze mną w sypialni. Basia od razu zasypałaby mnie pytaniami.

Nazajutrz po przylocie z Chicago biorę złote monety i przed 7 rano idę do mieszkania Billa. Wie, że przyjdę, bo dałem znać, że przywiozłem mu z podróży polską, czystą wódkę. Pukam do drzwi. Otwiera mi. Wchodzę do mieszkania i bez słowa idę do ostatniej sypialni. Wysypuję złote monety na niepościelone, jeszcze ciepłe łóżko.

— Ostrożnie, bo się porysują! — Billowi wyrywa się zduszony szept na widok monet lecących na kołdrę.

Nie odpowiadam, uśmiecham się do niego. Idę do łazienki, odkręcam

kran i wkładam torebkę, w której były monety, pod strumień wody. Szczególny rodzaj papieru, z jakiego jest wykonana, rozpuszcza się w mgnieniu oka. Po chwili całość spływa rurami w siną dal. Wycieram ręce. Ściskam dłoń Billa, który patrzy na mnie z mieszaniną zaciekawienia i zaskoczenia. Wychodzę.

Musiałem postąpić wbrew instrukcji. Pomijając obecność Basi w mieszkaniu, musiałbym wyjąć to złoto ze specjalnej torebki, żeby Bill je przepakował. Zostawiłbym na monetach odciski palców. Nie chcę pajacować w rękawiczkach. Nie jestem jubilerem. Niepotrzebne zamieszanie. A tak cała operacja nie trwała więcej niż dwie minuty.

Na rozmowę o zamówieniach Centrali też nie udaję się zgodnie z zaleceniem. Pralnia osiedlowa dobrze wygląda tylko z punktu widzenia Warszawy.

W czasie luźnej rozmowy, gdy opowiada, jak po nacisku ze strony prezydenta Cartera przyśpieszyły prace nad programami zbrojeniowymi i jak firmy biją się o dobrych pracowników, pytam Billa, czy nie zastanawiał się nad zmianą pracy. Sugeruję mu, że mógłby wykorzystać boom na rynku i podnieść swoją własną wartość rynkową. Na obydwu frontach, bo mówię mu także, że gdyby pracował na przykład w DARPA, miałby jeszcze cenniejsze informacje dla „polskiego przemysłu”.

— Wiesz, a mój serdeczny przyjaciel jest zastępcą dyrektora DARPA! — Bill wygląda na ucieszonego możliwością, której nie brał pod uwagę.

Wiem, wiem. Dlatego pytam.

— Serio, Bill?!

— Tak! Nie wspominałem ci o tym?

— Nie przypominam sobie...

— DARPA... to marzenie, nie wiem, czy sięgam tak daleko! DARPA wdraża najśmielsze projekty w dziedzinie obrony! A wiesz, że mówił mi niedawno ten mój przyjaciel, iż pracują nad koncepcją samolotu bojowego o odwrotnym ukształtowaniu skrzydeł?

— Tak, czytałem w „Los Angeles Times”...

— Serio? Kiedy?

— Bill, żartuję!

— No tak, ale mnie zaskoczyłeś! Więc badania w tunelu aerodynamicznym potwierdziły, że samolot ze skrzydłami zagiętymi do przodu ma o wiele lepsze parametry. Kłopot stanowiła sterowność, ręka ludzka nie była w stanie go utrzymać. Ale komputer, komputer już tak.

— Fenomenalne! Przystąpiono do produkcji?

— Tego nie wiem. Ale zapytam przy okazji.

— Pomyśl o pracy w DARPA. Jesteś do tego stworzony.

Bill nie wierzy w siebie. Potrzebuje zapewnień. Ale po dwóch tygodniach mówi mi, że poleciał do Waszyngtonu. Niestety, nie zastał kolegi i wrócił z niczym. Nie zastał, bo się nie umówił. Cały Bill! Ale widzę, że rośnie w nim ziarenko zasiane moją ręką. Podlewa je sam, myśląc o pieniądzach, które mogliby mu zapłacić Polacy za to, co stamtąd by przyniósł. Dopóki Bill miał kłopoty, myślał tylko o tym, jak spłacić swoje długi. Gdy się ich pozbył, chciał kupić mieszkanie, lepszy samochód, markowe ubrania. Pożądał dobrych restauracji i życia na poziomie. Czuł, że pieniędzy zawsze może być więcej. A z ich zagospodarowaniem nie miał najmniejszego problemu.

Mam kolejnych gości z Polski. Delegacja pod wodzą ministra finansów Mariana Krzaka przyleciała negocjować warunki kredytu na rozwój przemysłu miedziowego. Zanim udali się do centrali Bank of America w San Francisco, odwiedzili Los Angeles. Ministrowi towarzyszył pan Wołoszyn, niemal legendarny polski bankier. Piastował funkcję wiceprezesa Banku Handlowego i był człowiekiem niezwykle szanowanym na Zachodzie. Wiedziałem z opowieści, że pan Wołoszyn był członkiem Armii Krajowej i, pracując w Banku Emisyjnym, wielce się przysłużył AK podczas akcji „Góral", mającej na celu zdobycie pieniędzy poprzez napad na konwój. Spędziliśmy wspólnie dwa dni. Zabrałem ich do Disneylandu (tam też sprzedawałem maszyny). Minister Krzak chciał koniecznie wykąpać się w oceanie. Mówił, że niedawno wrócił z Japonii, więc jeśli teraz uda mu się popływać, spełni swoje marzenie o tym, by zanurzyć się po obu stronach Pacyfiku. Pogoda nie była nadzwyczajna, ale minister wykąpał się. Świetny człowiek, pozbawiony jakiejkolwiek pompy partyjnego urzędasa.

Nie zaniedbuję moich kontaktów w Rockwell International. Traktuję je perspektywicznie. Staram się, by przedstawiciele tej firmy zaczęli mnie traktować jak swego lokalnego dostawcę, jak kogoś „ze swojego kręgu". Telefonuję, oni zamawiają obrabiarki czy nawet drobne maszyny. Przyzwyczajam ich do naszego sprzętu i siebie.

Sprzedaję coraz więcej maszyn w Dakocie, to też ciekawe miejsce: albo pszenica rośnie, albo wiercą w poszukiwaniu ropy. Polubili polskie maszyny.

W sierpniu i wrześniu 1980 roku wciąż wyczekujemy na informacje z Polski. Amerykańska prasa podaje, że strajkuje niemal cały kraj. Gazety spekulują na temat tego, czy Rosjanie wkroczą do Polski, czy nie. Z perspektywy tysięcy kilometrów wszystko wygląda zatrważająco. Z rozmowy telefonicznej wiem, że ojciec czuje się gorzej, pewnie stres

spowodowany sytuacją w kraju wpływa na jego zdrowie.

We wrześniu przygotowuję raport dla Centrali związany z planowanym na październik wyjazdem Billa do Europy. Wiem, że zebrał dużo materiałów, ale na razie sfilmował tylko pewien dokument dotyczący zwalczania jądrowych i termojądrowych pocisków balistycznych, miał go na dziesięć dni, musiał się śpieszyć.

Był jednym z niewielu naukowców zaproszonych przez Narodową Radę Bezpieczeństwa USA na tajne spotkanie w Canoga Park w Kalifornii. Dotyczyło ono koncepcji uruchomienia programów mających na celu obronę przed atakami rakiet balistycznych. A więc jest to początek tego, co nazywamy potocznie „gwiezdnymi wojnami" lub tarczą antyrakietową! Wybrańcom rozdano na dziesięć dni potężną dokumentację. Mieli się zapoznać z jej zawartością, a po wskazanym czasie zwrócić w celu komisyjnego zniszczenia. Waszyngton nie chciał dopuścić do sytuacji, aby chociaż jeden egzemplarz gdziekolwiek *przypadkowo* się zawieruszył.

A ja po prostu kochałem takie przypadki!

Bill najpierw enigmatycznie zapytał mnie, czy może być interesujące dla ludzi z przemysłu poznanie tego typu dokumentacji. Na pytanie odpowiedziałem pytaniem:

— Masz na myśli dodatkową, specjalną wypłatę?

— Nie, Marian. Jeśli będą zainteresowani, zrobię to w ramach moich miesięcznych wynagrodzeń. Pytam, bo oni tego nie zamawiali, pytam, czy was to interesuje.

— Bill, wszystko, co dotyczy technologii nas interesuje! — odpowiadam spokojnie, nawet lekko, a w myślach mam burzę, sztorm, korki wystrzelające z szampanów! Jeśli to, o czym mówi Bill, jest tym, co przeczuwam, że może mieć na myśli, to...

To jest to, co przeczuwałem. Wchodzimy więc na inny pułap wiedzy o technologii i zamiarach adwersarza! Mamy szansę uniknąć zerwania się tej delikatnej nitki równowagi między systemami. Każda przewaga rodzi ochotę, by ją wykorzystać, a to oznacza tylko jedno: szantaż i podążający za tym konflikt militarny. Wiedza, którą proponuje Bill, wyrównuje szale wagi. Jest szansa, że system światowego pokoju oparty na Mutual Assured Destruction (obustronnie zagwarantowane zniszczenie) nie ulegnie nagłej erozji.

Muszę też wysłać szybkie pytanie, bo Bill pilnie potrzebuje pieniędzy. Kupił cadillaca eldorado (na szczęście używanego) za czternaście tysięcy, na raty. Potrzebuje 5 tysięcy dolarów na spłatę auta, więc pytał mnie, czy mógłby je dostać od razu, zamiast trzech, które mu się należą jako wypłata miesięczna i wyrównać to w czasie spotkania. Centrala wyraża zgodę i

wypłacam je Billowi. Pyta mnie o sytuację w Polsce, bo prasa amerykańska podaje najróżniejsze informacje. Mówi, że podziwia taką spontaniczną reakcję, jaką prezentuje polskie społeczeństwo, ale pyta też z obawą, czy Rosjanie nie będą interweniować. Uspokajam go (a może raczej siebie samego), że na pewno nie. W gruncie rzeczy boję się o rodziców, o to, że nagle możemy stracić kontakt. Nie mam zbyt wielu informacji, mimo swojej pozycji. W każdym razie ustalenia związane z wyjazdem Billa do Linzu zostają potwierdzone. Szczegóły związane z miejscem BPM odbieram z Chicago bezpośrednio od rezydenta. To bezpieczny kanał informacyjny. Dwukrotnie szyfrowane depesze. Przekazuję Billowi wszystko, co musi wiedzieć, i trzymam za niego kciuki.

Na trzecie spotkanie z Williamem Holdenem Bellem Centrala Wywiadu postanawia wysłać tylko jednego oficera, „Młodego".

Analiza raportów z poprzednich spotkań doprowadziła Centralę do wniosku, iż „Starszy" nie gwarantuje tej akcji wystarczającego bezpieczeństwa. Zbyt dużo mówi i za mało słucha.

Zabezpieczać „Młodego" będzie trzech oficerów Rezydentury, a komunikację podczas spotkania ma ułatwić, wprowadzone po raz pierwszy na potrzeby tej akcji, urządzenie elektroniczne, brzęczący nadajnik.

„Młody" dociera do Linzu 6 października 1980 roku. Jak zawsze poszukuje dla siebie miejsca zakwaterowania na uboczu. Jest entuzjastą gór, jedzie tramwajem na stację kolejki górskiej Postlingbergbahn, mieszczącą się na drugim brzegu Dunaju. Po dwudziestominutowym przejeździe jest na górze, w niewielkim miasteczku o tej samej nazwie. Może podziwiać imponującą panoramę Linzu. Wstępuje do Gasthofu, gdzie po posiłku pyta o wolne pokoje. Nie ma ich, ale właściciele kierują go do sąsiedniego hoteliku o nazwie Postlingberg. Tam dostaje pokój. „Młody" nienagannie włada językiem niemieckim, a austriaccy górale mówią rozmaitymi dialektami. Pracownik wydający mu klucze nie zrozumiał nazwiska, więc na świstku papieru zanotował: „Herr Graftzk", co polskiego oficera rozbawiło, ale naturalnie nie prostował dobrodusznego gospodarza. Tym samym po raz kolejny udało mu się uniknąć rejestracji swego pobytu w Austrii.

Nazajutrz pojawia się w rejonie spotkania około godziny 9. Robi rutynową trasę sprawdzającą, dzięki której dochodzi do wniosku, że nie ma za sobą żadnej obserwacji. Wie, iż w pobliżu jest trzech oficerów Rezydentury, których zadaniem jest ubezpieczanie spotkania. Zgodnie z ustaleniami włącza dyskretnie swój nadajnik — brzęczyk. Chce poprzez sygnał nadajnika porozumieć się z oficerami i potwierdzić brak obserwacji. Czuje drganie nadajnika oraz ciągły sygnał — brzęczenie. Sprawdza, czy urządzenie działa prawidłowo. Na miejsce spotkania dociera z jednominutowym opóźnieniem, gdyż Hauptplatz jest o tej porze bardzo ruchliwym miejscem. Docierając w rejon Wasserapotheke, nawiązuje kontakt wzrokowy z oficerami prowadzącymi kontrobserwację. Umówionymi znakami przekazują mu informację, że

jest czysto.

„Młody” widzi Williama Bella. Zgodnie z ustaleniami, gdy nawiązują kontakt wzrokowy, Bell odwraca się plecami. „Młody” rusza na miejsce BPM-u, Bell idzie za nim w odległości 10–15 metrów.

Zarówno „Młody”, jak i kontrobserwacja nie zauważają oznak jakiegokolwiek zagrożenia. Pojawia się jednak problem techniczny. Urządzenie, które wszyscy czterej mają przy sobie, cały czas emituje drgania, a miały być one wyłącznie sygnałem zagrożenia i uruchamiać się, gdy jeden z biorących udział w akcji naciśnie przycisk alarmowy, informując pozostałych o zauważonym niebezpieczeństwie. „Młody” decyduje o wyłączeniu awaryjnego nadajnika. Wzrokowo potwierdza z drugim oficerem Rezydentury, że sytuacja jest normalna i można kontynuować operację przejęcia materiałów. „Młody” dociera do restauracji Wienerwald, zatrzymuje się przed nią, czytając wywieszone na zewnątrz menu. Gdy dochodzi do niego Bell, bez słowa wchodzą razem do restauracji. W środku, między drzwiami wejściowymi a wahadłowymi, „Młody” prosi Bella o filmy. Bell mocuje się z zamkiem torby, otwiera niewłaściwą przegródkę. „Młody” uspokaja Bella i pomaga mu otworzyć torbę. Przejmuje filmy i wkłada je do swojej torby. Dopiero wówczas wchodzą przez drzwi wahadłowe do wnętrza restauracji, prosto do sali jadalnej, zajmują stolik w boksie. „Młody” zauważa pierwszego oficera Rezydentury, który na ich widok wstaje i idzie do toalety. Przeprasza więc na chwilę Bella i udaje się w to samo miejsce co pierwszy oficer. Tam bez słowa, w pustej toalecie, przekazuje mu paczkę z filmami, odbierając jednocześnie zawiniątko z pieniędzmi dla Bella. Po wymianie pierwszy oficer Rezydentury opuszcza restaurację, „Młody” pozostaje przez krótką chwilę w toalecie, a następnie wraca do stolika. Zamawiają kawę i drinka. Rozpoczyna rozmowę z Bellem. Wymieniają się komplementami, następnie Bell przeprasza „Młodego”, że w pierwszej fazie operacji, w okolicach apteki, był zdenerwowany, nie widząc go, i zrobił dodatkową rundę wokół apteki, żeby nie zwracać na siebie uwagi, stojąc bezczynnie. „Młody” chwali profesjonalne zachowanie Billa Bella.

Naukowiec mówi, że w pracy uzasadnił swój wyjazd krótkim urlopem u teściów w Belgii, co zostało dobrze przyjęte, zwłaszcza że przezornie nie brał urlopu latem. Opowiada, że jechał fragmentem autostrady biegnącym przez RFN, ale kontrola graniczna ograniczała się do pokazania okładki paszportu. W hotelu jest zameldowany pod nazwiskiem „Will” bo, tak jak w przypadku „Młodego”, recepcjonista źle zrozumiał, gdy się przedstawiał. „Młody” zwraca mu uwagę, iż sytuacja mogła rozwinąć się nieprawidłowo, gdyby recepcjonista poprosił go jednak o paszport i dostrzegł różnicę. Bell tłumaczy, że wówczas zwróciłby mu uwagę, że źle zapisał jego nazwisko. Przyznaje „Młodemu” rację, gdy ten dodatkowo wskazuje mu, że skoro zaparkował przed hotelem wynajęte BMW, to wystarczyło, by recepcjonista spisał numery rejestracyjne, a już doszłoby do dwuznacznej sytuacji.

„Młody” nie podejmuje istotnych tematów, bo zauważa, że restauracja jest pusta, nie ma w niej żadnych gości oprócz nich.

Dodatkowo, może z tego samego powodu, nie gra muzyka i panuje wyjątkowa cisza. Nie chce, by kelner słyszał ich rozmowę, z przyczyn niezależnych od oficera muszą więc wyjść.

Kierują się ulicą Promenade w stronę Zamku, a dalej, małymi uliczkami docierają do parku Galgenberg. Ubezpieczał ich podążający za nimi drugi oficer Rezydentury.

Rozmowę „Młody" rozpoczął od spraw finansowych, by upewnić Bella, że jego „pracodawca" jest solidny. Ustalają, że do sierpnia Bell otrzymał 27 tysięcy dolarów i dodatkowo 5 tysięcy w sierpniu od Mariana Zacharskiego. Powinien więc dostać jeszcze siedem tysięcy, które przekaże mu „Młody" podczas tego spotkania. Wypłaty roczne w złotych monetach będą zakończone po jego powrocie do USA. Do złotych monet otrzymanych w czerwcu, których równowartość wynosiła 25 tysięcy dolarów, otrzyma od Mariana Zacharskiego brakującą do zamknięcia rocznego salda sumę 35 tysięcy dolarów. Również w złotych monetach. „Młody" precyzyjnie określa, iż będzie to czterdzieści dziewięć złotych krugerrandów i trzydzieści jeden złotych dwudziestodolarówek z lat 1974-1975. Na zakończenie, „Młody" pyta Bella, czy ma jakieś uwagi dotyczące rozliczeń. Ponieważ Bell ich nie zgłasza, uznają rok 1980 za rozliczony. Naukowiec przedstawia koszty swojej obecnej podróży w wysokości 5 tysięcy dolarów. Oficer mówi, iż wobec tego wypłaci mu 3 tysiące, a 2 tysiące otrzyma po powrocie, od Mariana Zacharskiego.

„Młody" podjął temat zmiany sposobu rozliczania, to znaczy odejścia od przekazywania pieniędzy dla Bella przez Zacharskiego. Ponieważ wywiadowca wcześniej przekazał Centrali informacje, że William Bell robi zakupy w supermarkecie LUCKY'S, mieszczącym się na rogu Manchester i Lincoln Boulevard, jak również dostarczył dokumentację fotograficzną tego miejsca, „Młody" zaproponował Bellowi ten sklep jako miejsce kontaktu. Powiedział przy tym, iż jeśli ustalą dokładnie dzień i godzinę, wówczas może do Bella robiącego zakupy podejść ktoś, kto wręczy mu papierową torbę z pieniędzmi. Bell jednak zwrócił uwagę, iż sklep ten jest dobrze zabezpieczony przez nieumundurowanych pracowników ochrony oraz kamery monitorujące jego wnętrze. Wobec tego dyskutowali, czy miejscem przekazywania pieniędzy nie mógłby stać się pusty rejon na południe od osiedla, na którym mieszka Bell, w rejonie pasów startowych Międzynarodowego Lotniska Los Angeles. Przekazanie pieniędzy miałoby wówczas polegać na tym, że w określonym wcześniej terminie Bell przyjechałby na wskazany teren i zostawiając niezamknięty samochód, oddaliłby się od niego na krótki czas. Po powrocie znalazłby pieniądze w aucie.

Pozostawiono ten temat do późniejszych ustaleń.

„Młody" miał w tej rozmowie kolejny ważny i jednocześnie bardzo delikatny problem do omówienia. Centrala bowiem od samego początku zwracała baczną uwagę na sposób, w jaki Bell wydaje pieniądze. Sprawą niezwykle ważną było, by jego otoczenie nie zauważyło zbyt szybkiej poprawy standardu życia Bella i jego rodziny. Wobec tego „Młody" zapytał o to, jak Bell wydaje i przechowuje pieniądze. Amerykanin odrzekł, iż poczynił pewne inwestycje na giełdzie, a złote

monety trzyma w banku w Stanach, Szwajcarii oraz w Belgii, w sejfie banku swoich teściów, jako depozyt zabezpieczający przyszłość jego żony. „Młody", zgodnie z wytycznymi Centrali, zasugerował Bellowi, że część złota mogłaby być przechowywana w Polsce. Bell jednak zareagował na tę sugestię śmiechem, odpowiadając, iż sam potrafi się zatroszczyć o swoje pieniądze. Postawiło to oficera w sytuacji defensywnej, w której musiał uspokoić Bella, iż propozycja ta była podyktowana wyłącznie myśleniem o jego bezpieczeństwie i że Bell ma być spokojny, jest wyłącznym właścicielem zarobionych przez siebie pieniędzy i ostatecznie to on decyduje, co z nimi zrobić.

Podczas omawiania finansowych aspektów sprawy przeszli przez park i dotarli do ławki. Gdy tylko usiedli na niej, w ich polu widzenia pojawił się pierwszy oficer Rezydentury. Na widok siedzących „Młodego" i Bella odwrócił się gwałtownie i odszedł w pośpiechu. Bell zwrócił uwagę, że widział go w restauracji. „Młody" uspokoił Bella, mówiąc, iż jest to człowiek, który go ubezpiecza z racji dużej sumy pieniędzy, jaką ma przy sobie.

Kolejnym, planowym etapem rozmowy, było zwrócenie uwagi Bellowi, by stosunki z Marianem Zacharskim pozostawił wyłącznie na płaszczyźnie towarzyskiej, ponieważ ten jest wciąż obserwowany przez FBI. „Młody" zapytał też Bella, czy w ostatnim okresie nic nie zmieniło się w jego miejscu pracy, czy na przykład nie pojawili się wokół niego nowi pracownicy. Bell zdecydowanie stwierdził, że wszystko jest po staremu i nie widzi żadnej różnicy w traktowaniu go przez przełożonych i kolegów. Zapytał też Bella, czy widzi możliwość zmiany miejsca pracy na firmę, która byłaby jeszcze bardziej interesująca niż HAC z punktu widzenia jego współpracy z Polską. Uściślając, oficer zapytał o pracę w DARPA. Bell odrzekł, że zorientuje się w tej kwestii. „Młody" zaznaczył, iż w czasie kolejnego spotkania być może będzie towarzyszył mu profesor Politechniki Warszawskiej, który specjalizuje się w zakresie tożsamym z Bella profesją. Naukowiec wyraził zainteresowanie, oficer nie podał szczegółów, tj. ani nazwiska, ani bliższych danych uczonego.

Po tych wyjaśnieniach przeszli do kwestii przywiezionych przez Bella na filmach dokumentów. Bell poinformował, że znajdują się wśród nich duże ilości materiałów dotyczących systemu Target Acquisition and Weapon Delivery System, który stanowi rozwinięcie TADS. Od niedawna William Bell jest szefem tego programu. Prace nad nim, według jego przewidywań, potrwają około roku do półtora. System opiera się na następujących założeniach: samolot wyposażony w specjalny radar z dużej odległości wykrywa zgrupowania pancerne nieprzyjaciela. Ustalenia przekazuje do samolotów bombowców, które z różnych stron, ale w dużym promieniu otaczają zgrupowanie pancerne, a następnie wyrzucają dziesiątki specjalnych pojemników z rakietami powietrze-ziemia. Pojemniki opadają na spadochronach i w tym czasie wystrzeliwane są z nich rakiety kierowane na poszczególne pojazdy pancerne. Atak jest więc tak zmasowany, że obrona przed nim staje się praktycznie niemożliwa. Bell powiedział także, że złożono mu propozycję objęcia szefostwa programu elektronicznego sterowania

rakiety Cruise, ale odmówił, gdyż zajęcie to sprawiłoby, że nie miałby czasu na nic innego. Propozycja ta, jak i mnogość zajęć Bella, była wynikiem tego, iż firma Hughes Aircraft Company przeżywa intensywny rozwój. Nie nadążają z realizacją różnych projektów. W ostatnim czasie zweryfikowano wiele spośród dotychczas realizowanych zadań i niektóre z nich wstrzymano na rzecz koncentracji sił i środków na innych projektach, bardziej opłacalnych. Boom w przemyśle specjalnym sprawia, że panuje duża fluktuacja kadry pracowniczej przy jednoczesnym problemie z naborem nowych, wystarczająco wykwalifikowanych pracowników. Nagminny staje się proceder podkupywania pracowników przez konkurencyjne firmy, co odbywa się poprzez wręczenie pracownikowi jednorazowego bonusu finansowego w wysokości kilkudziesięciu tysięcy dolarów za zgodę na przejście do nowej firmy. A tajemnice technologiczne oraz wiedza o funkcjonowaniu firmy podążają za pracownikiem.

Bell pyta „Młodego" o sprawy polskie, zaznaczając, że interesują go prywatnie i stara się czytać, co tylko może, by pogłębić swoją wiedzę. Zaznacza też, że w jego firmie dyskutuje się o tym, bowiem wielu pracowników HAC ma polskie korzenie. Rozmawia się też o możliwościach rozwoju sytuacji w bloku wschodnim. Bell podkreślił, że zarówno on, jak i jego przyjaciele respektują zmiany, jakie dokonały się w ruchu związkowym, oraz że panuje wśród nich obawa, czy ZSRR nie zastosuje tradycyjnej metody wkroczenia do kraju i „zaprowadzenia porządku".

Oficer pyta Bella, jak ocenia wypełnienie zadań na rok 1980 postawionych mu podczas pierwszego spotkania. Bell odrzekł, że zrealizował wszystkie punkty, a dodatkowo, w ramach płatności za 1980 rok dostarczy jeszcze dokumentację SPS-52.

„Młody" prosi Bella o materiały na temat GEADGE, czyli Air Defense System for Germany. Szereg informacji Bell już dostarczył poprzez Zacharskiego, ale potrzebne są jeszcze pewne uzupełnienia. Szczególnie chodzi o poprawki w radarach przekazanych Niemcom przez Amerykanów. Bell zaś prosi, by zamówienia na określone materiały rozbudować w części opisowej, to znaczy, by podawać krótki opis, oprócz samego kodu literowo-cyfrowego. Wynika to z faktu, że wypytywanie przez niego w firmie o to, czy ktoś zna taki a taki system (poprzez podanie kodu), może spowodować niepotrzebne zainteresowanie. Natomiast jeśli będzie mógł posłużyć się opisem, to może zdobywać także dokumentację urządzeń, które spełniają analogiczne funkcje.

„Młody" zapytał Bella o projekt, który ten miał przygotować z myślą o ochronie radarowej polskiego Wybrzeża. Bell odrzekł, iż wstępną wersję miał ze sobą na poprzednim spotkaniu w Innsbrucku, ale ponieważ „Starszy" nie chciał się z nią zapoznać, uznał, iż strona polska straciła zainteresowanie zleceniem. „Młody" zaprzeczył, stwierdzając, iż postawa „Starszego" wynikała wyłącznie z troski o bezpieczeństwo Bella. Potwierdził, iż jest zainteresowany projektem, ale prosi o przekazanie go na filmie wraz ze sfilmowaniem pytań do projektu, o których wspominał Bell.

„Młody” prosi Bella, by w razie konieczności odwołania bądź przełożenia planowanego spotkania umieścił w „Los Angeles Times” ogłoszenie o sprzedaży swojego samochodu.

Oficer wywiadu daje Bellowi numer specjalnego telefonu w Polsce i wyjaśnia, że to działająca całą dobę linia awaryjna, z której Bell może i powinien skorzystać w razie niebezpieczeństwa, oczywiście używając ze swej strony publicznego telefonu (automat). „Młody” sugeruje także Bellowi, iż gdyby była możliwość spotkania, które wynikałoby ze służbowego pobytu w Europie, to strona polska dostosuje się i jest gotowa na każde miejsce i czas. W sprawie zaś kolejnego planowego spotkania ustalają, iż odbędzie się 22 kwietnia 1981 roku.

Oficer wywiadu zauważa, że naukowiec jest zmęczony, rozkojarzony i zdenerwowany. Ma to miejsce od chwili, gdy zapytał o pierwszego oficera Rezydentury, gdy ten znalazł się w zasięgu ich wzroku podczas prowadzenia rozmowy. „Młody” ma przeczucie, iż Bell zarejestrował także obecność trzech pozostałych oficerów w czasie ich spotkania i ten fakt go niepokoi, mimo prób wyjaśnienia mu, że ich obecność ma służyć bezpieczeństwu. Jego przypuszczenia potwierdzają się, gdy zaczyna rozmowę o miejscu kolejnego spotkania. Bell stanowczo odmawia kolejnego przyjazdu do Austrii. Tłumaczy to faktem niedogodnego dojazdu samochodem, ale jest w tej kwestii tak zdeterminowany, że po naleganiu „Młodego”, mówi, że nawet za cenę zakończenia kontaktu nie przyjedzie więcej do Austrii. Wobec tego, choć Centrala planowała zorganizować kolejne spotkanie w Baden, „Młody” nawet tego nie proponuje, lecz od razu sugeruje Genewę. Mimo iż wcześniej Bell zdecydowanie odmawiał spotkań w Szwajcarii, nieoczekiwanie dla oficera godzi się na nie. Wobec tego ustalają, iż miejscem nawiązania kontaktu będzie Muzeum Ariana. Na koniec oficer prosi Bella, aby po wszystkim został jeszcze w Linzu i zwiedził okoliczne zabytki, tak aby legenda jego pobytu uwiarygodniła się. Poleca mu trasę ulicą Donaustrasse oraz wizytę w katedrze Mariendom. Proponuje mu także zakup przewodnika po nocnych lokalach Wiednia i zabranie go ze sobą do domu, żeby, w razie jeśli ktoś go tu widział, mógł również wytłumaczyć swój pobyt w Austrii. Po ponad dwóch godzinach spotkanie zostaje zakończone.

Gdy spotykam się z Billem po jego przylocie z Europy, jest jednym wielkim kłębkiem nerwów. Leję mu drinka za drinkiem, a on opowiada:

— Pech dopadł mnie jeszcze w Stanach. Wiesz, miałem lecieć z Ritą, ale zmieniłem plany. Pomyślałem, polecę do Rzymu, a stamtąd powolutku pojadę autem do tej cholernej Austrii. Poleciałem do Nowego Jorku, stamtąd miałem lot do Rzymu. Mam bilet pracowniczy, od Rity, idę sobie spokojnie na samolot, a tu się, kurwa, okazuje, że nie ma miejsc, że mnie nie zabiorą. To jest ułomne w tych biletach, na ostatnią chwilę się dowiadujesz, co i jak.

— Pokarało cię, łobuzie, za to, że bez żony ci się zachciało lecieć!

— Przestań, nie denerwuj mnie chociaż ty!

— Stary, żartuję, wiesz przecież!

— Ja się już po tej podróży nie znam na żartach! Żeby mnie znów nie wystawili, bo wiesz, czas do spotkania ucieka, kupiłem za *gotówkę* bilet na lot Swissair do Zurychu. Dobra, doleciałem 4 października rano. Wynająłem auto i pojechałem do Salzburga. Dwa dni w Parkhotel Mirabell...

— Wino, kobiety i śpiew?

— A po co śpiew?

— Do kompletu, to takie polskie powiedzenie.

— Niezłe. Tak, tak, dobre knajpy, piękne kobiety, zabawa! Sam rozumiesz, musiałem odpocząć.

— Po czym? Na razie nie jest tak źle.

— Ty się lepiej spytaj „przed czym”! Jakbym coś czuł, że mi ten relaks będzie potrzebny! No dobra, 7 października rano pojechałem do Linzu. Byłem przed czasem, kawa, śniadanko, w końcu pojawił się „Młody”, dzięki Bogu sam, bez tego Paula.

— Nie lubisz go?

— Nie lubię. I dobrze, że już go nie przysyłają. Miałem wrażenie, że wszystkiego się boi. Wtedy, w Innsbrucku, jak mu chciałem dać ten zamówiony projekt ochrony Wybrzeża, to jak zaczął machać rękami, że nie, że nie weźmie, że to, że tamto! Jakby go te moje papiery parzyły! No to się wkurzyłem i zostawiłem w domu, nie brałem do Linzu. A teraz ten „Młody” mówi, że jednak chcą, tylko, żeby im sfotografować! Marian, niechże się oni raz zdecydują, proszę!

Przecież nie powiem Billowi, że borykam się z tymi samymi problemami, że jego potyczki z Paulem są drobnostką przy moich starciach z Sergiuszem.

— Ale to jeszcze nic, wyobraź sobie, że przesłuchał mnie na okoliczność tego, co i jak robię z pieniędzmi, a potem zaproponował, że złoto mogą mi przechować w Polsce. Rozumiesz? Rozumiesz, Marian?! Nie, polej mi proszę, bo zaczynam się denerwować, jak o tym pomyślę!

Szybko uzupełniam mu szklankę i nim zacznie opowiadać, mam przeczucie, że za wcześnie odtrąbiłem tryumf po usunięciu Sergiusza ze stanowiska. Towarzysz ten był geniuszem, ale zdaje się, że następcę ma godnego siebie!

— To ja, rozumiesz, zdobywam im technologie warte miliardy dolarów, wiozę to sam, jak kurwa, listonosz do tej cholernej Austrii, a oni mi proponują, że moje ciężko zarobione pieniądze potrzymają u siebie?! Gówno! Co to, ja dziecko jestem, żeby mnie nabierać na takie bzdury?! Przecież ja bym w życiu tych pieniędzy nie zobaczył! Jeszcze czego!

— Już, uspokój się. Na czym stanęło?

— Na niczym. Nie zgodziłem się i ustąpił.

— No widzisz, liczą się z twoim zdaniem.

— Ale czy muszą mnie tak denerwować?! I jeszcze te dziwne typy, co się wciąż koło nas kręciły!

— Jak to?

— No tak, siedzimy na ławce, gadamy, a taki jeden wpada na nas. I wiesz, zwrot na pięcie i w nogi. Zmyka. A za chwilę drugi. Trzech gości naliczyłem. Co najmniej, bo potem to się tak zestresowałem, że nawet staruszek z laską wydawał mi się co najmniej podejrzany! Marian, ty mnie znasz, wiesz, że jestem spokojny człowiek, ale tego było za dużo! Ja się naczytałem, jak KGB wykańcza ludzi!

— Przestań! Pracujesz dla polskiego przemysłu, a nie dla jakiegoś KGB! Nawet tak nie myśl, Bill!

— No, mówił ten „Młody", że to ochrona, bo ma pieniądze, ale weź tak na zimno: to ja, za przeproszeniem, zapierdalam sam z filmami, z papierami i gotówką, ze złotem nawet, na linii Stany — Europa, a oni kawałeczek mają do podjechania i tak się ze sobą pieszczą?! Ja tego nie rozumiem! A, właśnie, à propos złota: ty im powiedz, że ja nie chcę więcej tych niemieckich marek, bo jak próbuję to sprzedać, to wzbudzam sensację. Dwudziestodolarówki czy krugerrandy mogą być, tamte niech sobie...

— OK, przekażę. Nie martw się już tym.

— W każdym razie, Marian, na koniec miałem tak serdecznie dość tej cholernej Austrii, że nawet jakby to miały być moje ostatnie zarobione u nich dolary, powiedziałem: nie i już. Zaparłem się. Nie pojadę tam za nic. Obrzydzili mi to miejsce na wieki wieków.

— Na pewno znajdą inne miejsce spotkania. Posłuchają cię.

— Tak, ale źle się złożyło. „Młody", jak zobaczył, że nic ze mną nie wskóra, zaproponował Genewę i ja się z tych nerwów zgodziłem. Cholera, klnę teraz, bo ja nie chcę w Szwajcarii, mam tam zbyt dużo znajomych. Ale się zgodziłem. A może oni celowo mnie tak wyprowadzili z równowagi, żebym się na wszystko zgadzał?

— Stop, Bill! Przesadzasz. Jesteś dla nich kimś wyjątkowym. To zbieg okoliczności. Uspokój się, to jeszcze dużo czasu, może coś się zmieni.

Dobrze wiem, że skoro decyzja zapadła, nic się nie zmieni. Ale muszę go za wszelką cenę uspokoić, bo popada w paranoję. Lada moment zacznie wszędzie wokół siebie widzieć agentów. To się zdarza, ale zwykle oznacza początek końca. Od paranoi do kardynalnego błędu tylko jeden krok.

— I to ciągłe pouczanie mnie: „kup przewodnik, pozwiedzaj"! Jak skończyliśmy, w dupie miałem Donaustrasse, a tym bardziej Mariendom!

Jeszcze czego! Pieprzone zwiedzanie! Cholerna Austria! Samochód oddałem na lotnisku w Wiedniu i poleciałem do Zurychu, byle jak najdalej stamtąd! No i się zaczęło! Jak doleciałem, wziąłem taksówkę i jadę prosto do mojego hotelu, do Goldenes Schwertz. Tam jest podjazd z jednokierunkowej ulicy, żeby taksówkarz nie jeździł dookoła całej dzielnicy, wyskoczyłem przecznicę wcześniej, pada deszcz, co mówię: leje! Idę z bagażami do hotelu, a w recepcji okazuje się, że nie ma ani jednego, rozumiesz, ani jednego pokoju! Nic! Mówią, że naprzeciwko jest hotel, nawet dzwonią tam, żeby się upewnić, że jest miejsce. Dobra, biorę walizkę, idę tam. Melduję się, płacę z góry, wchodzę do pokoju i serce mi staje! Speluna! Marian, jak Boga kocham, po prostu speluna! Nawet walizki nie stawiam na podłodze. Biorę taksówkę i jadę do najlepszego hotelu w mieście. W dupie mam koszty. Marzę tylko o dobrym, wygodnym łóżku! Nic więcej!

— Bill, ale historia!

— Czekaj, to nie koniec. Na drugi dzień lecę do Paryża. Paryż nigdy mnie nie zawiódł. Mam tam swoje kluby, mam swoje dziewczyny. Dwa dni raju! Spłukuję emocje w barach, dziewczyny wymasowują ze mnie stresy. Jest cudownie. Ale czas wracać. Byłem umówiony z rodzicami Rity w Londynie. Lecę trochę wcześniej, zatrzymuję się w Picadilly Circus. Francuzeczki znam, mam ochotę poznać Angielki! To jest prawdziwa turystyka, a nie zapieprzanie po starych kościołach! Jeden dzień, ale za to jaki! Pięknie, choć krótko! Spotykam się z teściami na lotnisku w Londynie, oni przylecieli z Brukseli, specjalnie, żeby się ze mną zabrać do Los Angeles. I zaczynają się kłopoty! Tak sobie to zaplanowaliśmy z Ritą, a zapomnieliśmy, że oni nie mówią po angielsku. Rozumiesz? Ja do nich mówię, oni kiwają głowami i odpowiadają mi po niemiecku. Ja nie rozumiem. To oni po flamandzku. Katastrofa. To oni po francusku. Po francusku to ja się umiem dogadać z moim dziewczynami z Paryża, ale to najmniej pasuje do spotkania z mamusią i tatusiem żony, cholera! Nic, idziemy do terminalu, a tam okazuje się, że w samolocie Pan Am, którym chcemy lecieć, nie ma miejsc dla pasażerów z biletami pracowniczymi. Drugi raz w ciągu jednej podróży! Próbuję się wykłócić, ale oni nic, że przeciążony samolot i muszą ograniczyć liczbę pasażerów. Że mam sobie wykupić bilet, to mnie zabiorą. Próbuję się porozumieć z teściami, oni mnie nie rozumieją, czas ucieka, jasna cholera! Nie mam wyjścia, kupuję trzy bilety w klasie biznes, kosztuje mnie to 3300 dolarów. Taka była w Paryżu śliczna blondyneczka. Kurwa, Marian, wiesz, ile bym ja od niej za te 3 tysiące zmarnowanych dolarów dostał?! Ale mniejsza z tym. Bilety kupione, wchodzimy na pokład, mamusia i tatuś z Belgii przy mnie,

uśmiechnięci, bo nic nie rozumieją, zięć, kurwa, płaci! I dopiero tam trafia mnie szlag! Tylko połowa miejsc zajęta! Wściekłem się! Tak mnie załatwili z tymi biletami pracowniczymi! Niech to!

Bill jeszcze chwilę się wścieka, przypominając sobie szczegóły tej pechowej podróży. Kończy opowieść nadzieją, że w pracy wypocznie po tym nieszczęsnym urlopie. Analizuję to, co mi powiedział, i widzę, że zamiana Sergiusza na Franciszka nie była „cudem nad Wisłą". Wciąż brak należytego zabezpieczenia tej sprawy w kraju. My tu sobie nieźle z Billem radzimy z przekazywaniem pieniędzy, obrabianiem dokumentów. Po co kombinacje ze sklepem spożywczym? Niepotrzebnie grzebią przy czymś, co jest zabezpieczone. Nawet FBI pod moim oknem jest do ominięcia, jeśli tylko zabezpieczą łączność między mną a Centralą.

Nie podoba mi się jeden gość wśród agentów FBI. Jeździ za nami tak blisko, że jeśli coś się stanie na drodze przede mną i będę musiał przyhamować, to wjedzie mi w samochód. Jest niesympatyczny. Gdy jadę z córeczkami, dziewczynki wesoło machają do „panów" w samochodzie za nami, a panowie agenci na ogół machają do nich. Tylko ten jeden nie zmienia wyrazu twarzy. Doberman. Dzieci nie lubi?

Oswajamy FBI. Ponieważ towarzyszą nam stale, nawet moje córki zwróciły na nich uwagę. Małgosia zapytała któregoś dnia:

— Nie ma dzisiaj pana Owieczki?

Parsknęliśmy śmiechem, Basia i ja. Dobrze wiedzieliśmy, o którego pana jej chodzi. Wśród agentów dwóch wyróżniało się wyraźnie — jeden kręconymi włosami (to jego córka trafnie nazwała „Owieczką"), a drugi azjatycką urodą, nazwaliśmy go więc po prostu „Chińczykiem". Zresztą, ci dwaj starali się być sympatyczni. Oczywiście zmieniali samochody, ale ponieważ jeździli za mną stale, bez trudu rozpoznawałem ich twarze. Pogodziłem się z ich obecnością, bo nie miałem takiej mocy sprawczej, by się od niej uwolnić. W głębi ducha liczyłem, że któregoś dnia się znudzą i zajmą czymś innym. Ale to jeszcze nie był ten dzień.

Wybieramy się całą rodziną do Billa Greya. To jest ciekawy człowiek! Naprawdę nazywa się Walerian „Waldek" Soszyński. W 1939 roku, w chwili wybuchu wojny, służył w lotnictwie i stacjonował na lotnisku pod Poznaniem. Przedostał się do Anglii i tam rozpoczął karierę w RAF-ie, latając na bombowcach z polską załogą. Odbył ponad trzydzieści lotów bojowych nad Niemcami. Raz został nawet strącony nad kanałem La Manche; jako pierwszy dotarł do gumowej łodzi i wyciągnął na nią całą ocalałą załogę. Po wielu godzinach zostali zauważeni przez patrol RAF-u,

który ich poszukiwał, ale zanim wyciągnął ich z wody ścigacz Królewskiej Marynarki Wojennej, upłynęło 48 godzin. Waldek, twardy facet, podnosił na duchu towarzyszy, którzy chcieli się poddać żywiołowi fal i przenikliwie zimnej wody. To był pierwszy przypadek uratowania całej polskiej załogi strąconej w drodze powrotnej z Niemiec. W uznaniu zasług dostał Krzyż Virtuti Militari. Po wojnie został w Anglii, ale gdy jego małżeństwo z Angielką rozpadło się, wyjechał do Stanów. W czasie wojny w Wietnamie pracował w Given International w Los Angeles, firmie sprzedającej obrabiarki, miał wtedy masę roboty, bo był serwisantem. Potem postanowił założyć własny biznes i udało mu się. Był niezwykle życzliwym, serdecznym facetem. Pił whisky, jak tylko piloci i marynarze potrafią. Na jego barku stała galonówka Johnnie Walkera, którą regularnie uzupełniał. Kochał Polskę, podróżował do kraju wielokrotnie. Na pokładzie samolotów LOT-u spotykał często swych dawnych kolegów, zapraszany natychmiast przez stewardesę do kabiny pilotów, tam spędzał resztę podróży. Mimo regulaminowej niechęci między „bombowcami" a „myśliwcami" przyjaźnił się z wieloma pilotami myśliwców. Także z legendą — samym generałem Stanisławem Skalskim. Lubili go wszyscy. Za wyjątkiem drugiej żony. W Stanach ponownie się ożenił. Tym razem z Polką, która zawdzięczała Rosjanom wojenną gehennę — przejście przez Syberię. Po wojnie znalazła się w Los Angeles. Poznali się z Waldkiem w polskim kościele. Ale małżeństwo nie było udane, nie wnikałem nigdy specjalnie, z jakiego powodu. Obecnie przeszli na etap walk podjazdowych, jak mówi Waldek, z powodu podziału majątku.

26 października zaplanowaliśmy wyjazd do Victorville, gdzie Waldek miał domek w ramach *country club*, a stamtąd zamierzaliśmy udać się do Crystal Lake. Tego dnia i „Owieczka", i „Chińczyk" byli na służbie. Droga do Crystal Lake była wąska. Z jednej strony ograniczała ją przepaść, z drugiej zbocze góry. Samochody agentów jechały za nami, poruszaliśmy się dość wolno. Zatrzymałem się przy zakręcie, a „Owieczka" mnie wyprzedził. Zniknęliśmy sobie z oczu, zbocze zasłaniało widoczność. Zawróciłem i pojechałem w kierunku, z którego przyjechaliśmy. Po chwili naprzeciw siebie zobaczyłem drugi z samochodów FBI, z „Chińczykiem" za kierownicą. Zmieszczenie się dwóch aut obok siebie było problemem, „Chińczyk" mocno zjechał na pobocze, a i tak w czasie mijania dzieliły nas ledwie centymetry. Zatrzymałem się, odsunąłem szybę i powiedziałem:

— To rzeczywiście jest problem — ale uśmiechnąłem się do niego, bo w sumie miło, że się posunął.

Dotarliśmy do miejsca zaplanowanego na piknik. Byliśmy przy

samochodzie, gdy agenci dojechali do nas. Pokazałem Basi szlak, którym moglibyśmy przejść się w góry z dziewczynkami. One ruszyły, a ja poszedłem do toalety. Gdy wyszedłem, skierowałem się do „Chińczyka".

— Apetyt ci dopisuje? — spytałem.

Odpowiedział twierdząco, pokazując trzymany w ręce kubek kawy i wielkie ciastko. Uśmiechnąłem się:

— Niezła pogoda na niedzielną wycieczkę.

Odezwał się w końcu:

— Tak, ale nie zabrałem ze sobą odpowiednich butów — podniósł stopę. — Mam tylko buty do biegania.

— Nie przejmuj się, ja też! Ale następnym razem uprzedzę cię o naszych planach wyjazdowo-spacerowych! — przebiegłem kawałek i zacząłem kopać kamyki.

Stał przy samochodzie, jakby wahał się, co zrobić. Nie oglądając się za siebie, ruszyłem za znikającą na szlaku Basią i dziewczynkami. Byłem ciekaw, czy pójdą za nami, czy rozdzielą się na dwie grupy. Karolinka nie miała w sobie dość wytrwałości, by wywodzić agentów federalnych w pole. Szybko znudziło jej się chodzenie, wróciliśmy do samochodu. Czekali na nas. Pewnie uznali, że wędrówka za „rodziną na szlaku" nie jest celowa. Ale to nie był koniec niedzielnej wycieczki.

W planach mieliśmy jeszcze pokazanie Karolince śniegu. Moja młodsza córka, urodzona w Kalifornii, nigdy go nie widziała. Podjechaliśmy jeszcze kawałek, w góry. „Owieczka" i „Chińczyk" za nami. Droga w górę była wąską dwupasmówką, więc jechaliśmy powoli. Dziewczynki poszalały, pobawiły się w śniegu i zrobiło się późno, postanowiliśmy wracać. Zjeżdżaliśmy w dół, do doliny, tą samą drogą. I nagle, naprzeciw nas wyjeżdżają samochody FBI! Patrzę w lusterko: „Owieczka" i „Chińczyk" za nami. Jasne! Jest popołudnie, agentów obowiązuje czas pracy, więc ci tutaj to popołudniowa zmiana! Śmieję się na głos, bo sytuacja jest przezabawna! Już nas mijają, możemy sobie pomachać! Ale rozśmiesza to tylko mnie, nie ich. Bo na wąskiej i stromej drodze nie mogą zawrócić! Dopiero na niewielkim zjeździe udało im się zmienić kierunek jazdy i do Los Angeles wracamy zgodnie, gęsiego: na czele peletonu ja z rodziną, za nami poranna zmiana agentów, za nimi popołudniowa.

Po jakimś czasie od naszej wyprawy spotkałem się z Waldkiem. Wyskoczyliśmy wspólnie do baru. Był zdenerwowany. Rozglądał się.

— Nie dałem się Szkopom, nie dam się babie!

— Co się stało?

— Wyobraź sobie, jeżdżą za mną jakieś typki. Jak jestem w pracy, stoją

przy Santa Fe Avenue, jak się ruszam, oni za mną! Jestem pewien, że ona ich wynajęła, żeby mnie zastraszyć!

— Twoja żona?

— Moja za chwilę była żona! Cholera, nie mam szczęścia do kobiet!

— Nie masz szczęścia do żon! Kobiety za tobą przepadają!

Waldek rozgląda się nerwowo, pokazuje mi, żebym się pochylił. Pod stołem ma pistolet. Chowa go do kieszeni spodni.

— Kupiłem sobie. Te oprychy łatwo mnie nie wezmą!

Uspokajam go, jak potrafię. Żeby się nie dał sprowokować, bo o to chodzi przecież jego byłej żonie. W istocie wiem, że to nie ona nasłała „oprychów". To ja ich na niego sprowadziłem. Sprawdzam, kto jedzie za nami, gdy wychodzimy z baru. To FBI. Psiakrew! Waldek sobie na takie kłopoty nie zasłużył, a oni najwyraźniej uplasowali go na szczycie listy moich ważnych kontaktów. Biję się z myślami. Ale koniec końców wiem, że mówiąc mu, co się naprawdę dzieje, sprowadziłbym na niego prawdziwe nieszczęście. Postanawiam pokazywać się z nim, spotykać w sposób jak najbardziej oficjalny. Może to uwolni go od podejrzeń agentów.

Krótko po tym, ten gość, agent, którego nie lubię, ten, który jeździ za mną wyłącznie „po japońsku" — przyklejając się wręcz do mojego zderzaka, o mało nie powoduje wypadku pod moim biurem. Nie wiadomo, co w niego wstąpiło. Ruszył nagle z piskiem opon i niemal potrącił George'a Amberga, mojego zastępcę. Eva zapamiętała numery rejestracyjne samochodu i zadzwoniliśmy na policję w Los Angeles, próbując ustalić, kim jest ten wariat. Podano nam nazwisko „Ron Goff" jako osobę, na którą zarejestrowany jest ten pojazd. Nie wierzę, że jest prawdziwe. O co mu chodzi? Chce mnie sprowokować? Pozostali agenci nie zachowują się w ten sposób. Nawet jeśli jeżdżą za mną metodą „pudełkową", jeden, dwa samochody przede mną, a reszta samochodów za mną, to zachowują się w miarę porządnie. A w każdym razie normalnie. O ile za normę można uznać bycie obserwowanym od rana do wieczora. Nie lubię gościa i budzi mój niepokój, zwłaszcza gdy mam dziewczynki w samochodzie.

Kolejną osobą, która w tym czasie ma kłopoty spowodowane znajomością ze mną, choć wcale nie kojarzy tych dwóch faktów, jest Joe Morris. Ma polskie korzenie. Rodzina mieszka w Detroit. Jego żonę, Grażynę, Basia poznała w styczniu na naszym osiedlu. Potem zaprosiliśmy ich do siebie i tak się zaczęła nasza znajomość. Ponieważ od początku podjąłem decyzję, iż nie interesuję się Joem w znaczeniu specjalnym, więc swobodnie kontynuowaliśmy sąsiedzką zażyłość. Ostatnimi czasy wpadał do nas coraz częściej i już zwykle sam. Jego małżeństwo nie było udane. On, żeniąc się z Grażyną, marzył o cieple domowego ogniska, ona o jego pieniądzach. Niestety, a może na szczęście dla Joe, dość szybko prawdziwe motywacje wyszły na jaw. Teraz przychodził do mnie na drinka, wyżalić się, pogadać, ale przede wszystkim, by pobyć w normalnym, ciepłym domu. Opowiadał, jak wspaniale zapowiadała się jego znajomość z Grażyną. Jak korespondowali ze sobą, jak pojechał do Katowic, żeby ją poznać. Przy tej okazji mówił, że przed wyjazdem poinstruowano go w zakresie stosowania środków bezpieczeństwa, z głównym naciskiem na spekulacje walutowe. Po powrocie był na rozmowie z młodym pracownikiem działu bezpieczeństwa HAC, który szczegółowo przepytywał go, gdzie bywał, co robił, co widział. Joe odpowiedział mu wówczas: „patrzyłem tylko w oczy mojej dziewczyny, nic poza nią mnie nie interesowało”. Potem zaprosił ją do Stanów i pobrali się. Starał się, jak mógł, by była szczęśliwa, ale ich oczekiwania rozminęły się. Teraz czuł się wykorzystany finansowo i samotny bardziej niż przed ślubem. Przychodził do nas, robiłem mu drinka, wygadywał się. Czasami, żeby zmienić temat i pogadać o pracy, przynosił mi jakieś pisemka z dziedziny aeronautyki, ale ja nie podejmowałem tego wątku. Nie chciałem na tym etapie otwierać sobie nowego okienka w HAC. Moim głównym zadaniem była ochrona źródła, jakim był Bill Bell. Niedawno Joe wspomniał, że miał dziwną rozmowę w pracy. Wypytywali go o Polskę, jego pochodzenie, żonę. Zupełnie nie rozumiał po co. Potem to się powtórzyło, pytali o jego wizytę w Polsce, gdy był odwiedzić Grażynę, jeszcze nim ona przyjechała do Stanów. Czuł się zdezorientowany. Przypuszczam, że źródło jego kłopotów jest gdzie indziej. Jestem pod stałą obserwacją, także w domu. Widzą, że ostatnimi czasy Joe stale do mnie zachodzi. Mam niemal pewność, że dostał się pod lupę FBI na tej samej zasadzie co Waldek. Jeśli chodzi o Joe, jestem niemal pewien, że mógłbym nakłonić go do pracy dla Polski. On kocha Polskę i Polaków. Jak zatrudnia u siebie nowego pracownika, to gdy ma wybór: Polak z pochodzenia lub nie, zawsze wybiera Polaka. Ale jednocześnie nie mogę tego zrobić. Muszę trzymać się sztywno reguł

bezpieczeństwa pracy wywiadowczej z agentem. W tej chwili najważniejsze jest chronienie Billa, zasłanianie innych, jak *YiX*.

A Billa muszę uwrażliwić, skoro FBI zadziałało poprzez struktury HAC.

16 listopada 1980 roku jeżdżą za mną „Owieczka" i „Chińczyk". Zatrzymuję się przy Centinela Avenue, oni też, chociaż kawałek dalej; Basia idzie do sklepu. Odsuwam szybę i wołam „Chińczyka", by podjechał i zaparkował koło mnie. Gdy staje, pytam:

— Jak się masz?

— W porządku. A ty?

— Wszystko dobrze.

— Twoja żona pięknie dzisiaj wygląda. Ma doskonałą fryzurę.

— Tak! Pracowała całą noc nad tym efektem! Chciała was oszołomić!

— Udało jej się. Macie śliczne dzieci.

— To dziewczynki, a Polki słyną z urody! Dzisiaj będziecie mieli lekki dzień

— Tak? A to dlaczego?

— Bo o 15.30 wylatuję z Los Angeles. Z lotniska LAX. Mówię ci to, żebyśmy się nie szukali.

— Dzięki za uprzejmość.

Dalej Basia chce jechać do Fox Hill Shopping Center. Na parkingu, gdy idziemy z dziewczynkami w stronę sklepów, wołam „Chińczyka".

— Słuchaj, idziemy do JC Penney's.

— Długo tam będziecie?

— Jakieś pół godziny.

— Świetnie. Ja też powinienem zrobić tam zakupy.

— To dołącz do nas, zapraszam.

„Chińczyk" jest odrobinę skonsternowany moją familiarnością. Ale idzie z nami. „Owieczka" dołącza do niego. Zresztą, gdybym go nie zaprosił, też by poszli. Po drodze pyta mnie:

— Długo będziesz poza Los Angeles?

— Jeszcze nie wiem, mam napięty kalendarz spotkań.

Czekamy na otwarcie domu towarowego. „Owieczka" pyta:

— Ile lat ma twoja starsza córka?

— Niedługo będzie miała urodziny. 23 listopada organizujemy małe przyjęcie w Burger King, mówię, bo pewnie i tak przyjedziecie.

— Pewnie tak. Ale dobrze, że mówisz, nie przyjedziemy z pustymi rękami. Kupimy jej prezent.

— Jaki?

— Nie wiem, nie zarabiamy nadzwyczajnie.

— Dobra. Poza Los Angeles będę dwa dni.

Otworzyli sklep. Bierzemy z Basią po jednej dziewczynce i każde z nas udaje się w inną część sklepu. „Owieczka”, ku uciesze Karoliny idzie z nami. Mała wpatruje się w niego i próbuje swoje jasne włosy zawinąć na palec.

— Chcę mieć loki jak „Owieczka” — mruczy do siebie pod nosem. Agent nie zna polskiego, to pewne.

Korzystam z okazji, że Basia nas nie słyszy, i mówię do niego:

— Słuchaj, odnoszę wrażenie, że jesteś liderem tej ekipy. Mam do ciebie prośbę: jeździ z wami taki gość w biało-niebieskim samochodzie. Policja powiedziała, że nazywa się Ron Goff. Miałem z nim nieprzyjemne zajście, omal nie przejechał pod naszym biurem mojego pracownika, Amerykanina. Mam wrażenie, że to narwaniec. Proszę cię, zareaguj jakoś, bo ten gość mnie niepokoi. Jestem tutaj w Los Angeles, żeby sprzedawać polskie maszyny. Wiem, że możecie mi zabrać paszport, odwieźć na lotnisko i po prostu wykopać z waszego kraju. Wiem też, że macie swoją robotę do wykonania. Ale zrozumcie, że jeśli jadę ze swoją żoną i córeczkami, nie czuję się bezpiecznie, kiedy ten typ podąża za nami w odległości kilku centymetrów od mojego zderzaka. Wiem, że widzicie, kiedy gram swoją grę, jak w ubiegły piątek wieczorem, ale robię to także po to, aby wam urozmaicić monotonię pracy, żebyście mieli, co wpisywać do swoich raportów. Słuchaj, obiecuję, że jeśli zdejmiecie tego faceta z mojego zderzaka, nie będę próbował was gubić.

— Dobra. Sam mam trzy dziewczynki. Rozumiem, co masz na myśli. Porozmawiamy z nim.

— Dzięki. Wy to co innego, jak jeździcie za mną, czuję się bezpiecznie, jak z ubezpieczeniem AAA[11].

Mnie samego rozśmieszyło to porównanie. Poszedłem do Basi, na stoisko z artykułami dla dzieci. Gdy wyszliśmy ze sklepu, wróciłem do nich.

— Słuchajcie, moja żona postanowiła wydać więcej pieniędzy, niż planowałem. Nie obrazicie się za jeszcze jedną sklepową wycieczkę?

— Nie ma sprawy, nam się nie śpieszy.

— Ale mi się śpieszy. Zapomnieliście, że mam samolot?

Wchodzimy do kolejnego sklepu. Basia robi zakupy. Trochę się denerwuję, bo czas ucieka. Po jakichś czterdziestu pięciu minutach mogę podejść do agentów i oznajmić:

— Dobra, skończyliśmy. Wracamy do domu.

Rzecz jasna, jadą za nami. Zastanawiam się, czy nie poprosić ich, by pomogli nam wnosić torby z zakupami. Naprawdę mam już mało czasu. Śmieję się w duchu z pomysłu, ale oczywiście nie mówię im tego. O 15.20

przyjeżdża po mnie pan Janek Wojciechowski, serwisant. Odstawia mnie na lotnisko. Agenci wchodzą za mną. Gdy przechodzę przez bramkę elektroniczną, „Chińczyk” jest tak blisko, że po prostu uśmiecham się do niego. Pyta mnie:

— Masz czas?

— Za chwilę, jak wejdę na *gate*, będę miał mnóstwo czasu.

Są więc ze mną. Początkowo siadają obok i nic nie mówią. Trwa idiotyczne milczenie. Przerywam je:

— Jak dzisiaj? Straciliście mnie?

— Tylko na chwilkę, nie ma problemu. Jakim lotem lecisz?

— United, 476.

— O której odlatuje?

— 16.30.

— Dokąd się wybierasz?

— Do Portland.

— Lubisz podróżować?

— Tak, lubię. Latam po całym świecie.

Włączył się „Owieczka”:

— A co na to twoja żona? — chyba jest przywiązany do rodziny. W centrum handlowym powiedział, że ma trzy córki.

— Woli, gdy jestem w domu, ale ja podróżuję od tylu lat, że się przyzwyczaiła. Spędzamy razem weekendy, ale to sami wiecie.

Kurwa, co za rozmowa! Jakbyśmy byli sąsiadami. Absurd zupełny. Siedzę na lotnisku i rozmawiam z agentami FBI o życiu. Jesteśmy dla siebie uprzejmi, mili. A gdyby tylko mieli pretekst, wsadziliby mnie do samolotu z wilczym biletem.

— Mam coś dla was — wyjmuję z torby dwa automatyczne, japońskie ołówki. — Robicie co dzień tyle notatek, przydadzą się. To prezenty dla klientów mojej firmy. A wy nie potrzebujecie obrabiarek?

— Nie. Ale dzięki za ołówki.

— Słuchaj, nie pochodzisz z Australii? Masz nietypowy, obcy akcent — mówię do „Owieczki”.

— Nie, skądże. Jestem Teksańczykiem!

— Naprawdę? Dużo jeżdżę do Teksasu, ale oni mówią inaczej, nie brzmisz jak Teksańczyk!

— Bo wyjechałem stamtąd naprawdę dawno.

— Rozumiem. Ja mam zwykle kłopot ze zrozumieniem ludzi z Alabamy — ciągnę tę wycieczkę po stanach w kierunkach, które wcześniej, przez kilka miesięcy poddawałem im jako warte sprawdzenia. Roześmiali się obaj:

— Nikt nie rozumie mieszkańców Alabamy!

OK. Teraz możemy zaliczyć jeszcze rozmowę o pogodzie. Ale nie, „Owieczka” schodzi na samochody, pyta ile kosztuje w Polsce benzyna. Mówię, że 3 i pół dolara za galon. „Chińczyk”, że to drogo, że pewnie ludzie nie mogą przez to tak wiele podróżować.

— Nie jest tak źle! W Polsce jeździmy głównie fiatem, a on potraf przejechać 40 mil na jednym galonie. A niedługo we Francji zacznie się produkcja nowego auta, z przeznaczeniem na nasz rynek. Zaprojektowane jest jako bardzo oszczędny samochód, powinno wyciągać około sześćdziesięciu mil z galona!

Ale zabrnąłem! Przesadziłem, nawet „maluch” tak mało nie pali. Skąd mi przyszło do głowy „francuskie auto”? „Chińczyk” pyta:

— A twój chrysler? Jesteś zadowolony?

— Nie, to kiepski samochód. Kupiłem go, bo był tani.

— A jak ci służy klimat południowej Kalifornii?

Dobra, jest o pogodzie, to szansa, że rozmowa dobiega końca. Odpowiadam, że kiepsko, miałem przecież zapalenie płuc. Ale najwyraźniej się mylę. „Chińczyk” kontynuuje:

— A pomijając pogodę, jak ci się u nas podoba?

— Lubię Kalifornię, ale nic nie zastąpi domu. Brakuje mi Polski. Tam jestem najszczęśliwszy na świecie. Moje córki tęsknią za dziadkami.

— Często się widujecie?

— Za rzadko. Ale byliśmy ostatnio w Polsce. Przeoczyliście to?

— Nie, nie.

— A dobrze wam się mieszka w Playa del Rey?

— Jasne. Urodziłem się nad morzem, odpowiada mi bliskość oceanu. Ale czytałem ostatnio, że przestępczość w Playa del Rey wzrosła. Słyszeliście o tym?

— Tak. Chodzi głównie o włamania do mieszkań. Twoja żona zabezpiecza mieszkanie?

— Ciągle jej powtarzam, żeby zamykała drzwi na zamek, ale stale jestem w drodze. Boję się o nią i córeczki.

— Jeśli my będziemy w okolicy, a ona potrzebowałaby pomocy, powiedz, że ma nam dać znać, pomożemy jej — to oczywiście „Owieczka”. Najśmieszniejsze jest to, że mu wierzę.

— Macie ochotę na kawę? — pytam. Przytakują. Idziemy do baru. Kupuję im kawę, a sobie herbatę. Płacę, mówiąc, że chcę im ją postawić. Nie oponują. Pytają, dlaczego wziąłem herbatę.

— Nie lubię kawy w Stanach. A poza tym dbam o zdrowie, staram się nie pić kawy, alkoholu.

— Widzieliśmy cię w górach z piwem.

— Przestań, wasze piwo jest tak słabe, że nie można nazwać go alkoholem. Nie lubię piwa, rzadko je pijam. Tak więc udało wam się zobaczyć coś wyjątkowego!

Siadamy, pijemy. Wciąż mam dużo czasu. Nadal rozmawiamy jak znajomi. W pewnej chwili oni mówią więcej niż ja. Chwalą się, że biegają dla zdrowia, opowiadają, ile razy w tygodniu, jak długo i jaki to ma wpływ na ich kondycję. Ja mówię, że nie lubię biegać, wolę grać w tenisa, to mnie odpręża. W myśli dodaję: „po pracy". „Owieczka" płynnie przechodzi na temat szkół (ojciec trzech córek). Mówię im wprost, że patrząc na to, czego uczy się moja starsza córka, widzę, że w Polsce jest wyższy poziom nauczania. Zmieniają temat.

— Czy strajki w Polsce mają wpływ na wielkość waszych obrotów?

— Nie, na razie mamy dużo maszyn na składzie w Stanach. Ale jeśli sytuacja się zaostrzy i potrwają dłużej, to możemy mieć kłopoty.

Dobra. Jest 16.15. Przepraszam moich rozmówców, muszę wejść na pokład. Rozumieją, jasne. Dziękują za rozmowę i... machają mi ręką na pożegnanie. Chciałbym mieć takie zdjęcie. Pokazałabym Zdzichowi.

W niedzielę 23 listopada wyprawiamy Małgosi przyjęcie urodzinowe w Burger King. Moje córeczki są popularne wśród dzieci na osiedlu, uzbierała się spora grupka gości. Najpierw wszyscy przyszli do nas do domu, stąd mamy ruszyć kawalkadą do restauracji. Idę przeparkować samochód, zmuszam tym samym agentów do zajęcia miejsc w autach. Psiakrew! Jest ich trochę. Nie chcę, żeby popsuli małej urodziny. Nie chcę, żeby nasi goście czuli się nieswojo. Może z nimi pogadam? Ale co to zmieni? „Chińczyk" sam do mnie podchodzi. Podaje mi niedużą, plastikową torebkę:

— Co to jest?

— To prezenty dla twoich córek.

— Nie mogę tego przyjąć.

— Nie przesadzaj, to drobiazg.

Kątem oka widzę, że nasi goście wylegli przed budynek i wsiadają do samochodów. Nie chcąc przeciągać tej niezręcznej sytuacji, biorę od niego torebkę i wrzucam do kufra.

— Proszę was o umiar. To święto mojej córeczki.

— Postaramy się nie być natrętni — odpowiada i odchodzi do samochodu. Ruszam, goście za mną. Rzeczywiście, nie narzucali się za bardzo. Pytanie jednej ze znajomych Basia zbyła szybko:

— To nowe zasady bezpieczeństwa w firmie Mariana.

Tamta pokiwała głową ze zrozumieniem i nikt więcej nie poruszał tematu panów w samochodach.

W naszym biurze pracownicy przyzwyczaili się do ciągłej obecności agentów. Któregoś dnia, chcąc spokojnie pogadać z Ambergiem, wychodzimy z biura do przyległego parku. Wcześniej przejechaliśmy się do sklepu, mamy lunch i jemy go, siedząc na ławce. Agenci nam towarzyszą. Gdy zjedliśmy, namawiam George'a na mały spacer. Wstajemy z ławki. Po chwili drogę przecina nam agent. Mówię do niego:

— Słuchaj, przejdziemy się kawałek. Chcę iść tędy — pokazuję ręką kierunek — pasuje ci?

Gość jest zaskoczony, kiwa głową. George się głośno śmieje. Jego zdaniem obecność agentów to konsekwencja kontraktu z EG & G w Las Vegas. Wszyscy w firmie wspominamy ceregiele z Ministerstwem Energii. Nasi serwisanci pracowali tam bez przerwy przez dwa tygodnie. Aby moi pracownicy nie mogli zobaczyć, jaki jest profil produkcji w tej firmie, w dzień wywożono na pustynię poszczególne elementy tych bardzo tajnych konstrukcji. W tym czasie, zwykle bardzo wcześnie rano, dowożono moich serwisantów i składali maszynę do wieczora. Po ich wyjściu ciężarówki ze sprzętem wracały z przymusowego parkingu na pustyni i normalna praca zakładu toczyła się nocą. Tak to się odbywało aż do zakończenia montażu. Polscy serwisanci nie mogli widzieć jakichkolwiek sekretów firmy EG & G. Cały czas byli pod specjalną ochroną, nawet do toalety nie chodzili sami. Ale, na nasze szczęście, ich personelu na pustynię nie wywozili... A więc można było porozmawiać. Jak fachowiec z fachowcem. Nic tak nie łączy inżynierów, jak wspólne problemy przy rozwiązywaniu trudnych zagadnień technicznych. Szybko zapominają o otaczającym ich świecie. Znikają podziały na tych z Zachodu, i na tych zza żelaznej kurtyny.

Przyznaję George'owi rację. To dobre wytłumaczenie, że obserwację mamy z powodu tego kontraktu. A w duchu żałuję, że to, co najważniejsze w kontakcie z EG & G, właśnie mi się nie udało. Menedżer, z którym miałem doskonały kontakt, i którego namówiłem na wyjazd do Polski, nie otrzymał zgody na tę podróż. Też musiał o nią wystąpić do Ministerstwa Energii. Oficjalnie miał być to odbiór maszyny u producenta i zapoznanie się z pełną ofertą zakładu. Była to oczywiście zasłona, bo tego typu maszynę mieliśmy na składzie w Stanach. Niestety, ktoś w jego ministerstwie zorientował się, że sprawy zaszły za daleko. Nie skutkowało to wprawdzie niczym innym jak tylko brakiem pozwolenia na wyjazd menedżera do kraju za żelazną kurtyną. I tyle. Ja jednak żałowałem bardzo, bo facet miał dostęp do nieocenionej wiedzy, wartej dla niego samego

miliony. Od nas mógł dostać tyle, ile by tylko sobie zażyczył. Nie musiał obawiać się targowania. A gdybym miał go w Polsce, nie pozwoliłbym, żeby wyjechał niezadowolony.

Któregoś dnia urywam się wcześniej z pracy, bo Basia musi iść do lekarza i mam zostać z dziewczynkami. Około godziny 13 jestem w domu. Gdy wchodzę do mieszkania, ze zdumieniem zauważam, że drzwi mieszkania naprzeciwko są szeroko otwarte, a wewnątrz siedzi na kanapie jakiś gość i macha do mnie przyjaźnie. Kiwam mu głową i wchodzę do domu. Pytam Basię, co to za jeden.

— To nasz nowy sąsiad, ma chyba na imię Ted. Wprowadził się tu z dwoma synami. Cały dzień siedzi w domu i robi makatki.

— Co robi?

— Makatki. Z wełny.

— Psychiczny?

— No coś ty! Ja też robię makatki i twierdzisz, że ci się bardzo podobają! — Basia momentalnie jest urażona — a może tylko tak mówisz, co?

— Nie, kochanie, naprawdę są śliczne. Ale nie znam żadnego faceta, który robiłby makatki!

— To poznam cię z Tedem, chcesz?

— A wy się znacie?

— Trochę, jak to po sąsiedzku. Ostatnio pytał mnie o grubości włóczki, bo wychodzi mu za dużo supełków.

— O coś jeszcze cię pytał?

— A co, jesteś zazdrosny?

Nie, nie zazdrosny. Jestem przewrażliwiony. Nie wierzę w sąsiada, który przypadkiem ma takie same zainteresowania jak moja żona. A na dodatek spędza dzień przy otwartych drzwiach. Jeśli notuje, kto nas odwiedza, to ma pecha. W godzinach, w których wychodzę do pracy i wracam, ma już zamknięte, bo jest albo zbyt wcześnie, albo za późno. Makatki!

Jasne, bywają dziwacy. Jak ten, którego spotkałem kiedyś na pokładzie samolotu lecącego z Chicago do Cleveland. Siedziałem koło gościa, który krótko po starcie otwiera teczkę, wyjmuje zwój włóczki, druty i zaczyna dziergać sweter. Patrzę z niedowierzaniem i w końcu pytam: „To twoje hobby?”. A on mi na to: „Wiesz, mam tak cholernie stresującą robotę, a to mnie odpręża”. Resztę podróży spędzam na podpytywaniu go o rodzaj pracy, która wywołuje u niego taki stres. Odpowiedzi są dla mnie bardzo interesujące, nawet obiecujące. Krótko mówiąc: nie rezygnuję z

„łowienia”.

Jeśli chodzi o sąsiada „bez drzwi”, mam zdecydowanie inne podejrzenia co do prawdziwego źródła jego „dziwactwa”.

Ostatnio zauważam, że nie jeżdżą za mną w poniedziałki i wtorki. System zmianowy? Nie kryją się, kłaniamy się sobie. Jeśli tylko za kierownicą nie ma narwańca, jest w porządku. Miałem okazję sprawdzić ich podsłuch. To znaczy mój podsłuch, a ich reakcję. Zadzwoniłem do domu z firmy niedaleko. Powiedziałem Basi, że pilnie muszę wrócić do swojego biura. Po kilku minutach uliczka przed firmą, z której dzwoniłem, zaroiła się od samochodów FBI. Nie znali tego miejsca, zagonili się, a uliczka była bez wyjazdu. Pięć samochodów zakotłowało się na podwórzu. Potem, już w ich asyście, pojechałem dalej. Sytuacja podsunęła mi pomysł, który od jakiegoś czasu chodził mi po głowie. Skręciłem z głównej trasy i skierowałem się do dzielnicy Watts. Jedno z aut FBI wyprzedziło mnie i jechało przodem. O to chodziło. Chciałem po prostu zobaczyć tę dzielnicę. Sam nie zapuściłbym się tu nigdy. Cieszyła się zasłużoną, czarną, bardzo złą sławą. Była centrum wybuchów społecznych. Teraz przez szyby samochodu widziałem domy z powyrywanymi oknami i drzwiami, śmieci walające się po ulicach, Murzynów, z których z żadnym nie chciałbym stanąć twarzą w twarz. Horror. Tylko dzięki asyście FBI mogłem bezpiecznie przejechać przez Watts. Wierzyłem, że jestem dla nich zbyt cenny, by pozwolili mi tu zginąć w razie nagłych kłopotów. Ale nie mam ochoty powtórnie tego oglądać. Raz wystarczy.

Jeśli była potrzeba zgubienia obstawy, miałem już na to swój sposób. Na *freewayu* było ciężko. Od czasu gdy parokrotnie stracili mnie z oczu, stosowali jazdę pudełkową. Stosowałem też metodę uciekania im przez zjazd ze skrzyżowania. Na rogu zwykle były banki albo stacje benzynowe, jeśli więc podjeżdżałem do skrzyżowania i miałem czerwone światło, zjeżdżałem szybko na stację i wyjeżdżałem z niej drogą, która miała zielone. Agenci nie wjeżdżali za mną, tylko brutalnie ładowali się na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Kierowcy ustępowali im z drogi, myśląc pewnie, że mają do czynienia z piratami drogowymi. Nieraz po takim manewrze zatrzymywała ich policja i mogłem śmiać się na głos, widząc w lusterku, jak tracą czas, musząc się legitymować. Tracili i czas, i mnie z oczu. Ale uczą się. Już dwukrotnie wjechali za mną na stację.

Zauważyłem jednak, że popadają w rutynę, gdy muszą długo czekać na mnie przed domem. Zwłaszcza gdy nie miałem samochodu na ulicy. Gdy im się czas dłużył, wychodzili z aut, gadali sobie, popijali kawę z

kartonowych kubków. Postanowiłem to wykorzystać. Wjechałem autem do garażu, a właściwie do hali parkingowej pod domem. Po jakimś czasie, gdy przez okno zobaczyłem, że właśnie tak sobie stoją i rozmawiają, zabijając czas, zszedłem na parking. Mogłem to zrobić niezauważony, zakamarki i przejścia wewnątrz osiedla miałem opanowane na użytek kontaktu z Billem. Otworzyłem drzwi od garażu i dosłownie wskoczyłem do samochodu, ruszając z kopyta. Kierowałem się od razu w stronę Pacyfiku, w rejon, gdzie wynajmowaliśmy mieszkania dla naszych serwisantów. Tam jest tyle małych uliczek, że powinienem łatwo „zgubić ogon". W lusterku widziałem, jak w panice wskakują do samochodów, jak rzucają na ulicę kubki z kawą. Wjechałem w uliczkę nachyloną w stronę oceanu i przyszedł mi do głowy inny pomysł. Z powodu nachylenia uliczki, na moment stracili mnie z oczu. Skręciłem i wjechałem pod jedną z wiat garażowych. Błyskawicznie wyłączyłem silnik i wyjąłem kluczyki ze stacyjki. Cholera wie, czy nie zamontowali mi w wozie czujnika, który reaguje na przekręcenie klucza. Odczekałem piętnaście minut. Cisza. Jeszcze pięć, dla pewności. Wyjechałem z kryjówki. Pojechałem na tyły pasów startowych Międzynarodowego Lotniska Los Angeles. Kierowałem się do Sepulvedy. Byłem sam. Zupełnie sam! Muszę zachować tę trasę na takie specjalne okazje i nigdy nie jechać nią z obstawą.

W grudniu spotykam się z Billem. Jest zaaferowany. Mówi, że przez dwa tygodnie pracował nad specjalnym, supertajnym programem dla Ministerstwa Obrony. Już jestem zainteresowany.

— Stary, nareszcie zaczynają cię doceniać! Konsultant przy czymś takim to nie jest zwykły inżynier.

— Wiesz co, często ostatnimi czasy zwołują różne spotkania na najwyższym szczeblu, mówiłem ci zresztą. Po decyzjach Cartera nastąpiło wielkie przyśpieszenie. Ale teraz to sytuacja, w której stanęli w miejscu i nie mogą ruszyć. No wiesz, walą głowami o ścianę. To koszmar dla naukowca. Wchodzisz w ślepy zaułek. Wszystko się zgadza, wyliczenia, tok rozumowania, a efekt nie taki, jak powinien być. Wtedy zwołuje się takie narady. Tym razem chodziło o program firmy Lockheed.

— To sprawa ma jakiś kryptonim?

Bill rozgląda się dookoła. Kiwam mu głową, że może mówić spokojnie, czuwam nad wszystkim.

— „Girlfriend".

— Ładnie.

Uśmiecha się do mnie.

— Przepraszam, Marian, ale te dwa tygodnie mnie zmęczyły. Rozmowy

na temat programu odbywały się w specjalnym pomieszczeniu, zabezpieczonym przed podsłuchem, albo w czasie jazdy samochodem, oczywiście sprawdzonym. To „czarny program”[12].

— Rozumiem. Jestem z ciebie dumny.

Co mam powiedzieć za chwilę, gdy Bill dopowiedział dalej? Że jestem z niego arcydumny?

— Wiesz, tym razem nie dawali nam jakichkolwiek papierów do domu. Wszystko na miejscu. Więc jak wracałem z pracy, siadałem sobie w spokoju przy stole, tym wiesz, co sobie zrobiłem do filmowania, i dzień po dniu notowałem wszystko, o czym rozmawialiśmy. Rozrysowywałem schematy, odtwarzałem szkice. Dzieliłem na rozdziały i podrozdziały...

— Bill, jesteś geniuszem! Jesteś Einsteinem!

— E, tam. Mam po prostu głowę na karku.

Patrzę na niego z autentycznym podziwem.

— Tylko jest jeden problem, Marian. Ja na spotkanie z ludźmi z przemysłu wybieram się dopiero w kwietniu. Nie chcę tego trzymać przez cztery miesiące w domu.

— W porządku. Daj mi to, ja im przekażę.

— Dobra, no to chodźmy do mnie.

W nocy, gdy Basia i córki śpią, biorę notatki Billa i czytam:

Założenia: zaprojektowanie i zbudowanie szybkiej jednostki pływającej do patrolowania wód północnego Atlantyku, które leżą pod potencjalnym korytarzem powietrznym penetrowanym przez bombowce strategiczne i rakiety balistyczne wroga Ameryki.

Cele: rozpoznać zagrożenie stwarzane przez bombowce i zaatakować je z dalekiego dystansu, używając rakiet wystrzeliwanych z tychże jednostek pływających (rakiety statek — powietrze).

Ta jednostka musi być zdolna do:

— działania autonomicznego lub w połączeniu z innymi sensorami, wliczając w to stacje kosmiczne (o kurwa, znowu „gwiezdne wojny”!),

— wykrycia bombowców z odległości przekraczających 200 mil morskich,

— zaatakowania celów z odległości przekraczających 100 mil morskich,

— pozostania na swoich pozycjach przez dni... (tu Bill zostawił miejsce i notatkę, że to nie zostało jeszcze jednoznacznie ustalone),

— bardzo szybkiej ucieczki celem obrony,

— bycia niewidzialną dla radarów naziemnych i umieszczonych na obiektach latających,

— bycia niewykrywalną przez sonary łodzi podwodnych,

— musi mieć radar operujący w technologii małego

prawdopodobieństwa przechwytu, w tym odporny na wykrycie przez odbiorniki pasywnego przechwytu (próbuję sobie szybko przypomnieć „Radar Handbook” Billa; co to były odbiorniki pasywnego przechwytu?).

Poniżej Bell narysował dokładny widok ogólny tej planowanej jednostki pływającej, która miała być pierwszym okrętem „niewidzialnym”, działającym w oparciu o technologię Stealth. Rysunki pokazywały widok od przodu, precyzując kształt nawodny, a także wygląd w zanurzeniu z pontonami mającymi jednocześnie zbiorniki balastowe. Dalej znajduję informację, że jednostka ma być wyposażona w ciche śruby, a także w tzw. lift/stab skrzydła. Nieznany był Billowi sposób, w jaki moment obrotowy był transmitowany od turbo do śrub.

Następnie Bell opisuje radar, który będzie zamontowany na tej jednostce.

Widzę, że opierać się będzie na technologii LPIR. W tym punkcie Bill zrobił bardzo precyzyjny rysunek pokazujący zasadę zamontowania i pracy radaru.

Kończę czytać i choć nie mam już siły na nic, wychodzę po cichu z domu i odnoszę materiał do skrytki w klatce obok. Nieważne, że jest druga w nocy. Zwłaszcza teraz, gdy mam agentów od rana do wieczora pod bokiem, dom musi być czysty jak łza.

Nie pozostaje mi nic innego, jak telefon do konsulatu. Rozmawiam z rezydentem i mówię, że potrzebuję dwie wizy od ręki dla klientów Polamco, którzy chcą polecieć do Polski.

— Oczywiście, ale musi je pan odebrać osobiście.

— O, rozumiem, ale to dla mnie kłopot. Mam tyle pracy i nie planuję lotu do Chicago.

— Przykro mi, panie Zacharski, zasady obowiązują wszystkich.

Po dwóch dniach, zgodnie z przyjętym kodem, jestem w konsulacie. Agenci odwożą mnie na lotnisko i zostają. W Chicago nie mam za sobą obserwacji. W ten sposób 18 grudnia 1980 roku sześć stron programu „Girlfriend” zostaje przekazanych rezydentowi. Sygnalizuję mu, co to za dokument i jakiej jest wagi. Wyższej już nie ma. Jest przejęty.

Jestem coraz bardziej zmęczony. Mimo iż Bill przeszedł na system samodzielnych kontaktów z Centralą, moje obciążenie nie zmniejsza się. Wciąż utrzymujemy kontakt, staram się, by był coraz rzadszy, by się niemal niezauważalnie rozluźniał. Ale mam coraz więcej pracy w Polamco, bo wciąż jej przybywa. Do tego pielęgnuję pewne kontakty poza Billem z coraz większą systematycznością, co przy nieustannej obserwacji ze strony FBI nie jest łatwe. W styczniu będę w Polsce, musimy to przedyskutować.

Nie chcę popełnić błędu, który powstanie ze zwykłego przemęczenia, z chwili dekoncentracji. Potrzebuję urlopu jak najszybciej.

Muszę pojechać do siedziby firmy Rockwell w El Segundo. Bardzo zależy mi, by akurat teraz zniknąć agentom z oczu. Śpieszy mi się, dwie próby zgubienia ich przez stację benzynową na skrzyżowaniu nie powiodły się. Jadę najszybszym, lewym pasem, oni za mną. Jestem kilkanaście metrów przed zjazdem z *freewaya*. Podejmuję decyzję: błyskawicznie zjeżdżam w prawo, wciskając się gwałtownie między pojazdy na dwóch pasach. Mam szczęście, wślizguję się tak szybko, że ci, którym zajeżdżam drogę, nawet nie zdążyli zareagować, cały manewr trwa sekundy i bezpiecznie ląduję na zjeździe. Oni nie. W lusterku widzę, jak próbując skręcić za mną, wjeżdżają w obce samochody i siebie nawzajem. Jasna cholera! Regularna kraksa! Nie chciałem zrobić im krzywdy, chciałem tylko uciec! Nie mam pojęcia, czy w zderzeniu ucierpiał ktoś postronny, ktoś poza agentami FBI. Za mną czysto, spokojnie jadę załatwić swoje sprawy, ale nie czuję się dobrze z tym, co się stało. W głowie wciąż słyszę pisk hamulców i okropny dźwięk uderzających o siebie blach samochodów. Jest początek pory deszczowej, to najgorszy okres dla kierowców w Los Angeles. Przez cały czas suszy na jezdni gromadzą się miliony maleńkich cząsteczek oleju wypływających z tysięcy samochodów. Pierwszy deszcz, taki jak dzisiaj, tworzy na drodze efekt *oil film*, niebezpieczną ślizgawkę. Jak się okazało, w połączeniu z dużą szybkością samochodów i nagłym, brawurowym manewrem, cholernie groźną. Kurwa mać! Mam nadzieję, że się nie pozabijali, że nie zrobili krzywdy nikomu na drodze.

Jadę, robię swoje. Nie ma we mnie poczucia triumfu, że ich załatwiłem. Dotychczas nasze kontakty układały się pokojowo. Może poza narwańcem, który uprawiał japońską jazdę i omal nie przejechał George'a. Odnosiłem wrażenie, że chcą mi powiedzieć: jesteśmy, czuwamy, możesz się do nas zgłosić, czekamy na ruch z twej strony. Jasne, każdy kontrwywiad podejmie próbę „przekręcenia" obcego wywiadowcy na swoim terenie. To normalne, to wręcz reguła gry. Oni nie robili tego nachalnie, choć Anna wskazuje, iż byli zdolni posunąć się daleko. Domyślam się, że za każdym razem, kiedy się im urwałem, dostawali od swoich szefów po łbie. Czy teraz nie będą próbowali się mścić? Czy nie dojdą do wniosku, że dość mają pokojowej obserwacji i nie spróbują posunąć się za daleko? A moja rodzina? Czy będzie bezpieczna?

Gdy wracam do domu wieczorem, nikogo nie ma. Pusto. Liżą rany.

Rankiem, wychodząc do pracy, widzę dwa nowiutkie samochody. W jednym i drugim mały szpital polowy. „Chińczyk " ma zabandażowaną rękę, „Owieczka" głowę. Ten trzeci, w okularach, który jest równie często

jak oni, ma odrapaną twarz. Kiwam im głową na powitanie, podchodzę.

— Czy wszystko w porządku? — pytam.

— Przez ciebie wymienili nam samochody — odpowiada „Chińczyk”, jakby się uśmiechając — ale nikomu nic się nie stało.

— Cieszę się. Miłego dnia.

Odchodzę do samochodu, nie wdaję się w pogawędki. Nazajutrz, nim pojadę do pracy, odwożę Basię z Karolinką do lekarza. Mała na widok podrapanej twarzy i obandażowanej głowy „Owieczki” krzyczy wesoło:

— Pan Owieczka zmienił się w pana Baranka!

Mimowolnie parskamy śmiechem. Basia pyta:

— Co im się stało? Wypadek mieli?

Zaraz po Nowym Roku jadę do Polski. Właściwie do Warszawy, Londynu i z powrotem do Warszawy. Sytuacja w Polamco jest napięta, dyrektor Trzeciak z Chicago odchodzi ze swojego stanowiska i nie bardzo wiadomo, co dalej. On sam jeszcze nie wie, czy rzeczywiście odejść, wrócić do Warszawy i tam objąć stanowisko dyrektora Metalexportu, czy szukać innej posady. Dobrze się nam razem pracowało w Stanach, namawia mnie na objęcie spółki Metalexportu w Anglii. Ta propozycja zresztą przewija się od jakiegoś czasu. Z drugiej strony żal mu zabierać mnie z Los Angeles, bo wie, ile pracy włożyłem w rozwój tej firmy. Zgadzam się więc na wylot do Londynu, by tam na miejscu zobaczyć, co i jak. Jednak tak samo jak poprzednio, Anglia nie robi na mnie wrażenia. Poza tym, gdybym rzeczywiście miał się przenieść, powstałby potężny problem, jeśli chodzi o moją pracę wywiadowczą. Podjęcie jakichkolwiek decyzji utrudnia napięta sytuacja w Polsce. Jestem w Londynie, gdy 15 stycznia 1981 roku delegacja „Solidarności” z Wałęsą na czele spotyka się z Janem Pawłem II w Rzymie. W Anglii komentują to we wszystkich stacjach radiowych i telewizyjnych. Dzwonię do Basi, do Los Angeles. Pytam, czy oglądała telewizję, czy wie, co się dzieje w Polsce. Nie, mówi, że nie miała czasu. Dopiero gdy wracam do Warszawy, spotykam się z oficerem prowadzącym i naczelnikiem. Pytam ich o sytuację w kraju. Miny mają niewyraźne. Zdzichu mówi:

— Marian, sprawa jest trudna, ale przedmiotem naszej, w tym i twojej, pracy jest prowadzenie akcji wywiadowczych poza granicami kraju. Nie zajmujemy się sytuacją wewnętrzną. Od tego są struktury odpowiedzialne za wewnętrzne bezpieczeństwo państwa. Ale prawda jest taka, że jeśli zdarzy się w Polsce coś niedobrego, to możemy mieć potężne problemy. Mamy za granicą mnóstwo ludzi umieszczonych w różnych miejscach, w różnych strukturach. Jeśli tutaj coś pieprznie, to nasi ludzie, w tym i ty,

mogą znaleźć się w kłopotach. I o tym musimy porozmawiać.

— Wiecie już, że Metalexport ponownie naciera na mnie, żebym objął firmę w Anglii?

— Tak, ale nam zależy, żebyś jej nie objął. Jesteś niezbędny w Stanach. Kontakty, które przekazałeś, są niesłychanie cenne.

— Metalexportem proszę się tak nie martwić — odezwał się naczelnik — bierzemy na siebie załatwienie z nimi pańskiego pozostania w Ameryce. Trochę to potrwa, bo nie chcemy działać otwarcie, sprawa jest delikatna, ale proszę traktować ją jako załatwioną. Ma pan pracować w Stanach tak, jakby planował pan tam pobyt na wiele lat. Chociaż niewykluczone, że w sytuacji, jaka się obecnie wokół pana wytworzyła, dobrze byłoby zmienić miejsce zamieszkania.

— Wyjechać z Los Angeles?

— Tak, wyjechać w inne miejsce.

— Też o tym myślałem. Mogę kontakty w Stanach wykorzystywać w każdym rejonie.

— Otóż to. Cieszę się, że się dobrze rozumiemy. Proszę się wsłuchiwać w to, co się dzieje w pańskiej firmie, może okazja do przeniesienia trafi się sama. Ale o zmianie kraju działania proszę nie myśleć. Niezależnie od wszystkiego pana praca jest dla Polski bezcenna.

Po spotkaniu rozmawiam chwilę ze Zdzichem, przekazuję mu raporty z ostatnich wydarzeń, mówię o swoich niepokojach związanych ze stanem chronicznego przemęczenia. Oddaję mu też te dwie maskotki w plastikowej torebce, prezent agentów FBI dla moich córek. Woziłem je od dnia urodzin Małgosi w bagażniku. Przebadają je technicy, Zdzichu obiecuje, że da mi znać w tej sprawie przez Rezydenturę.

Rozmawiamy też o moim ojcu. Operacja w Szwecji jest możliwa, Departament I jest w stanie ją zorganizować, ale lekarz prowadzący ojca obawia się, że on może nie tyle nie przeżyć zabiegu, ile nawet samej podróży. Cholernie mnie to dołuje. Nienawidzę bezsilności. Jestem rozdarty między moją rodziną w Los Angeles a mamą i chorym ojcem w Warszawie. Między pracą, którą wykonuję dla Polamco, a pracą, którą wykonuję dla Departamentu I. Między Polską a Polską.

Kiedy jestem w Stanach, niepokoi mnie każda wiadomość z kraju. Mimo tego, iż pracuję (nieformalnie) dla ważnej instytucji państwowej, moja wiedza o tym, co się naprawdę dzieje, nie jest większa niż zwykłego Polaka. Może gdybym był na miejscu? Ale pracuję dla wywiadu, więc moim miejscem działania są *obce* państwa! Tyle razy sobie powtarzam, że służę Polsce, a partia to nie ojczyzna. Ale teraz, gdy widzę, jak ruch związkowy przeciwstawia się partii, całym sercem jestem z nim. Nie chcę,

by rządzili nami „towarzysze Sergiusze”. Gdybym utożsamiał się z władzą, mógłbym teraz mieć kłopot z opowiadaniem się po jakiejś stronie. To, że go nie mam, nie znaczy jednak, że nie dręczą mnie wątpliwości.

Następnego dnia znów się spotykamy. Naczelnik przekazuje mi informację, że mam wystąpić w Polamco o urlop i wyjechać z rodziną na wakacje. A Departament I w uznaniu mojej ciężkiej i efektywnej pracy sfinansuje mi przynajmniej część tego wyjazdu. Termin mam wybrać sam, ale tak, by nie kolidował z przygotowaniem Bella do wyjazdu do Europy. Rozmawiamy o sprawach operacyjnych, nazbierało się tego mnóstwo. Na koniec rozmowy Franciszek po dwukrotnym odchrząknięciu mówi:

— A teraz proszę błyskawicznie pozałatwiać swoje sprawy i bez zwłoki wracać do Stanów.

— Mam wylot za cztery dni.

— Nie. Proszę go przyśpieszyć. Musi pan natychmiast opuścić Polskę.

Patrzę na niego i nic nie rozumiem. Zdzichu dopowiada:

— Marian, sytuacja jest bardzo trudna. Obawiamy się o twoje bezpieczeństwo. W kraju w każdej chwili może coś się wydarzyć. Leć do Stanów. Natychmiast.

— Widzicie jakieś realne zagrożenie?

— Gdyby go nie było, nie byłoby tej rozmowy.

— Rozumiem.

Gówno rozumiem. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to, że obawiają się rozwiązania siłowego. Jasna cholera!

Zostawiam rodziców zaopatrzonych na jakiś czas. Przywiozłem im dwie walizy żywności. W sklepach przecież puste półki. Chociaż, jak znam swoją mamę, to natychmiast po moim wyjeździe rozdzieli to między bliższą i dalszą rodzinę. Nigdy jeszcze nie wyjeżdżałem z tak ciężkim sercem.

21 stycznia 1981 roku jestem z powrotem w Los Angeles. Na lotnisku wsłuchuję się w kanały informacyjne. Ale nic nie mówią o Polsce. Więc może obawy moich przełożonych były na wyrost? Przywożę Basi perfumy ze sklepu wolnocłowego i mnóstwo drobiazgów z Polski. Mówi, że gdy byłem w Londynie, dzwonił Waldek Soszyński i sugerował, że z powodu sytuacji w Polsce powinniśmy rozważyć pozostanie w Stanach. Uspokajam żonę, za miesiąc, może dwa, wszystko się wyjaśni.

Na drugi dzień jestem już w pracy. Dzwoni mój bardzo ważny klient. Chce kupić dużą ilość maszyn, ale obawia się, że w związku ze strajkami w Polsce może mieć później kłopot z częściami zamiennymi. Próbuję go przekonać, że nie dzieje się nic takiego, co mogłoby wzbudzać jego niepokój. On na to krótko:

— Marian, a jeśli ruscy wejdą do Polski?

Chryste, ależ oni są tu bezpośredni! Nazywają po imieniu to, czego my nie chcemy określić nawet w przybliżeniu. Ripostuję, że nie wejdą.

— Jeśli nawet w kraju będzie jakieś zamieszanie, to możesz być spokojny, że nie potrwa dłużej niż tydzień. Mam części na składzie w Stanach, a produkcja w Polsce nie stanie, bo musimy rozwijać handel międzynarodowy, nie możemy sobie pozwolić na przerwanie produkcji.

— Dobra, skoro tak mówisz, to jestem spokojny. Przyjadę jutro i zrobię zamówienie.

Jestem z Basią i dziewczynkami na zakupach. Jeździ za nami „Owieczka". Wracamy do samochodu, cofam się jeszcze, bo Małgosia chce lody. Kupuję jednego więcej i podchodzę do „Owieczki" w samochodzie. Nie spodziewał się. Ma otwarte okno i słyszę, jak przez radio ostrzega go inny agent, że... zbliżam się do niego! Daję mu loda, bierze, jest zaskoczony, dziękuje. Małgosia tłumaczy siostrze, że tata kupił „Owieczce" loda, bo należy się dzielić.

Dostaję zgodę w Polamco na urlop od 1 lutego. Dwa tygodnie! Niemal nie wierzę! To za tydzień! George bierze się za zorganizowanie mi jakiegoś wyjazdu. Znalazł Hawaje i jestem zachwycony. Wszystko, byleby wyjechać! Basia wprawdzie marzyła o urlopie bez dzieci, ale nie mamy tu nikogo, z kim mogłyby zostać na tak długo. Dostaję jednak wiadomość z Rockwell International w El Segundo, że jestem zaproszony na rozmowę z jednym z menedżerów, Johnem D. Cohnem. 4 lutego. Cholera. Tak długo pracowałem nad tym kontaktem, tak spokojnie i pieczołowicie pielęgnowałem swój wizerunek „lokalnego dostawcy". Nawet nie mówię Basi, tylko rozmawiam z George'em. On mnie rozumie. Proszę go, by wycofał nasze wczasy od 1 lutego i zrobił rezerwację od 5. Żonie powiem, że po prostu wcześniej nie było miejsc. Na spotkanie do Rockwell jadę z agentami. Do czasu. „Zawożę" ich rano do biura, po godzinie wracamy do domu. Parkuję w garażu. Idę do domu i czekam, aż oni wysiądą z samochodów. Po półgodzinie wyglądają na odpowiednio zrelaksowanych. Wtedy otwieram drzwi, wskakuję do auta i jadę. Gubię ich nieco później niż za pierwszym razem, ale po dwudziestu minutach spokojnego stania pod wiatą mogę wyjechać i przez tyły lotniska udać się tam, gdzie na mnie czekają. To oficjalne spotkanie, zaproszenie przyszło do firmy. Ale przyszło listownie, a nie telefonicznie, więc mogę liczyć na to, że urwanie się obserwacji będzie skuteczne do końca. I było. B-1, bombowiec strategiczny, nad którym pracuje Rockwell, jest tego wart. W domu jestem

wieczorem, pomagam Basi skończyć pakowanie i wcześnie rano pan Janek Wojciechowski odwozi nas na lotnisko. Bez obstawy.

Zaczynamy od Honolulu na wyspie Oahu, potem lecimy na Maui, a na końcu do Hilo na największej wyspie tego archipelagu, Hawaii. Na plaży Małgosia wciąż wynajduje jakichś amerykańskich Polaków, przyprowadza do nas i w ten sposób poznajemy mnóstwo ludzi o polskich korzeniach, ze wszystkich stanów USA. W Honolulu chcemy zwiedzić muzeum pancernika „Arizona", który od czasów II wojny i japońskiego ataku lotniczego leży zatopiony w porcie Pearl Harbor. Nie chcą zabrać Karolinki, bo jest za mała. Negocjuję, robią wyjątek dla mojej córki. Na wyspie Hawaii wynajmuję samochód i jeździmy oglądać wulkany. Odpoczywam, ale nie umiem się wyłączyć. Dzwonię do firmy. Dopada mnie natłok myśli, na które nie mam czasu, gdy pracuję w swoim normalnym, oszalałym tempie.

Gdy wracamy, zastaję w biurze list, na który czekałem:

„Drogi Panie Zacharski,

Podążając za naszą rozmową odbytą w środę 4 lutego, będziemy radzi, jeśli spotka się pan z naszą North American Aircraft Division w celu przeprowadzenia dwugodzinnej prezentacji obrabiarek. W szczególności jesteśmy zainteresowani małymi sprzętami, takimi jak wiertarki, tokarki, frezarki i szlifierki, zamierzamy bowiem odnowić sprzęt do ponownego startu programu budowy bombowca dalekiego zasięgu, przewidzianego na koniec tego roku [...]".

John D. Cohn

Termin prezentacji ustalają na piątek 20 lutego. Miejsce: Biuro Korporacji przy East Imperial Highway nr 2230, w El Segundo w Kalifornii. Spotkanie odbędzie się w pokoju nr 971.

Więc udało się. Szukają sprzętu, a nasz jest konkurencyjny cenowo. Nawet w bogatej Ameryce liczą się oszczędności.

Trzy dni przed spotkaniem w Rockwell czeka na mnie Bill. Ma wiele nowych dokumentów, w tym jeden gigantyczny, opisujący system obrony powietrznej USA, łącznie z Patriot i całą obsadą personalną. Lecę do Chicago bez zwłoki, przy okazji odbieram złoto dla Billa. Przekazuje mu je w ten sam sposób, co poprzednio. Na drugi dzień mam tę ważną wizytę w El Segundo.

Spotkanie rozkłada się na dwa dni zamiast planowanych dwóch godzin. Podczas niego czuję, że są pod wrażeniem Polamco. Kontrakt miał

obejmować dostawę sprzętu do produkcji bombowca B-1. Omawiamy wszystko, od dostaw części zamiennych po organizację serwisu.

Mam świadomość, że dłużej nie ukryję tego kontaktu przed FBI. Ale też wszystko prowadzone jest oficjalnie i agenci będą musieli patrzeć mi nie tylko na ręce, by mieć jakikolwiek punkt zaczepienia. Gdy po jakimś czasie od spotkania dzwonią do mnie z Rockwell z informacją, że zamówienie u nas mają już zatwierdzone i czekają już tylko na przyznanie początkowego budżetu na wznowienie produkcji B-1 (który wynosi 100 milionów dolarów na tak zwane wstępne wydatki), wiem, że także FBI zna treść tej rozmowy.

To tylko kwestia dni, gdy „walec kontrwywiadu" zacznie mielić informacje z Rockwell, już czekam na wiadomość, że sprawdzają ich pracowników, ich rodziny, znajomych sąsiadów. Ale jestem spokojny, teraz mogą już sobie pracować do woli.

Mniej więcej wtedy „Chińczyk" zaczepia mnie, gdy ma dyżur, a ja siedzę w aucie pod sklepem i czekam, aż Basia zrobi zakupy. Nie jest zły za tamtą kraksę. Przeciwnie, pokazuje mi zdjęcia swoich córek. Pytam go, co się stało z narwańcem za kierownicą. Mówi, że nie będzie już za nami jeździł. Dziękuję mu. Pytam jeszcze o jednego gościa, którego od jakiegoś czasu nie widzę. Ten z kolei miał taki zwyczaj, że kiedy przejeżdżałem koło niego, to kładł się w samochodzie, żebym go nie widział. Nie bardzo mu to wychodziło. Łatwo dostrzegałem jego próby utajnienia swojej obecności.

— Został wyłączony z naszej grupy.

— To dobrze.

— Doceniam twoją cierpliwość. Ja na twoim miejscu nie zniósłbym tego ciśnienia — mówi nagle „Chińczyk". Postanawiam zapytać wprost:

— Dlaczego za mną jeździcie?

— Nie mogę ci powiedzieć.

Nie sądziłem zresztą, by to zrobił. Potem zaczynamy zwykłą pogawędkę. O samochodach, o polityce. Pyta mnie o sytuację w Polsce. Odpowiadam, że nie jest tak źle, jak piszą w prasie. Podpuszcza mnie dalej, wspomina o pustych półkach, brakach w zaopatrzeniu. Wstępuje we mnie duch przekory. Nie chcę, by udowadniał mi, że w Polsce jest źle i wszystko jest do niczego. Nie dam mu satysfakcji. Pyta, co mnie gnębi. Odpowiadam, że oni. Że im nie ufam i boję się, że skrzywdzą moją rodzinę.

— Twoja żona i córeczki są bezpieczne, nic im nie grozi.

— A mnie?

— Nie chcemy ci dokuczyć.

— A nadal podsłuchujecie mój telefon?

— Przepraszam?

— Czy podsłuchujecie jeszcze moje rozmowy?

— Nie wiem, o czym mówisz.

Zmieniamy temat. Rozmowy zasadnicze nam nie idą. Tematy obojętne poruszamy jak prawdziwi znajomi. Mówię mu, że sprzedałem maszyny do Disneylandu.

— Przejeżdżałem kiedyś obok waszego magazynu, widziałem przez otwarte drzwi, że ten sprzęt jest naprawdę pokaźnych rozmiarów.

— Tak. Jak będziesz znów w pobliżu, to wpadnij, oprowadzę cię. Nie musisz zaglądać od tyłu. Dam ci prospekty Polamco, poczytasz sobie. Tyle czasu ze mną spędzacie, że przyda wam się wiedza na ten temat. Możecie też sprzedawać dla mnie. To dochodowe zajęcie.

— Nie znam się na maszynach.

— Wystarczy, jeśli znasz się na handlu.

— To nie dla mnie. Nie nadaję się.

— To jest zgodne z prawem, gdy za mną jeździcie?

— Nie łamiemy prawa.

— Chcesz kalendarz reklamowy Polamco?

— Jasne.

Daję mu też termometr. I kalendarz „Playboya”.

— Ten twój kumpel z kręconymi włosami robił zdjęcia mnie i mojej rodzinie. Załatwisz mi odbitki?

— Nie wiem, czy robił wam zdjęcia.

Widzę Basię, jak wychodzi ze sklepu. Pytam „Chińczyka”:

— Widziałeś dodatek do mojego samochodu?

— To? — pokazuje na boczne wgniecenie, które zrobiła moja żona.

— Nie, to — prowadzę go do przodu i pokazuję ramkę na rejestracji z napisem: „Szczęściem jest bycie Polakiem”.

Basia wsiada. Odjeżdżamy. Spokojny rytm tej rozmowy potwierdza, że czekają i nie wiedzą nic. Nic, za co mogliby mnie przyskrzynić.

Po urlopie mam trochę więcej energii. W marcu wyciągam Billa na korty. W przerwie pyta mnie, czy ludzie z przemysłu nie byliby zainteresowani otrzymaniem jednego, niewielkiego elementu radaru. Precyzuje, że chodzi mu o megatron, czyli serce radaru i ma na myśli megatron do F-14, F-15 i F-18. Jego wagę ocenia na 14-18 funtów. Oczywiście jestem zainteresowany. Chętnie przyjmę od niego ten niezwykle cenny drobiazg. Pojawia się kwestia logistyki. Pytam Billa, jak

zamierza uzyskać to cudo.

— Marian, w firmie panuje niezły burdel, nawet nie zauważą, co się stało. W marcu zaginęło urządzenie radarowe, które było przygotowane do demonstracji Japończykom. Rozumiesz? W Hughes Aircraft Company od wielu miesięcy nie mówi się o niczym innym, tylko o „najważniejszym kliencie z Japonii". Na wewnętrznym, firmowym poligonie ustawiają radar do prezentacji. Przywożą Japońców na miejsce, pompa, ukłony, uściski rąk, ceregiele — a stacja, kurwa, zniknęła! Wyparowała! Wstyd! Robią dochodzenie, po paru dniach stacja radarowa się znajduje, a sprawa rozłazi się po kościach. Cyrk!

— Żartujesz?

— Czarny humor, co? Ale to nie wszystko, powiem ci lepszą rzecz: z pomieszczeń „Black Programs" zniknęło dziesięć nowych, elektronicznych maszyn do pisania IBM.

— Z najbardziej strzeżonych pomieszczeń w HAC?

— Tak. Z miejsca, gdzie przechowuje się najtajniejsze dokumenty. I o ile tamten radar się znalazł, o tyle maszyny nie!

No dobra, w tej sytuacji omawiam z Billem szczegóły. Ponieważ, tak jak i inni pracownicy, często musi udawać się do odległych o dziesięć kilometrów od siedziby firmy laboratoriów, w celu przeprowadzenia pomiarów i testów urządzeń, zabiera tam ze sobą podzespoły i inne części radaru. Jak mówi Bill, są wprawdzie zobowiązani do rejestrowania tego, co wynoszą, ale po pierwsze, najczęściej im się nie chce wypełniać papierów, a po drugie, różnie interpretują przepisy, które stanowią, że rejestracja obejmuje wywożenie poza firmę. Oni (Bill i jego koledzy) najczęściej wychodzą z założenia, że laboratoria są też firmą. Jeśli więc uda mu się wywieźć urządzenie bez rejestracji, to jest już dla nas osiągalne. Bill wie, w których elementach urządzenia są montowane specjalne czujniki kontrolujące urządzenie przed dostaniem się w niepowołane ręce.

Wszystko mamy ustalone. Pozostaje czekać, aż Bill będzie miał okazję do wdrożenia planu. W tej pracy jestem cierpliwy. Czas gra na moją korzyść.

Odbieram wiadomość z Centrali przekazaną w szyfrowanym telegramie do Rezydentury, że moje przeniesienie z Los Angeles w inny region Stanów jest na dobrej drodze oraz, że zabawki, które dostałem od FBI dla moich córek, zostały sprawdzone przez techników i nic w nich nie znaleziono.

A jednak kilka tygodni później zauważam, że wokół osiedla jest obserwacja, która nie podąża za mną. Zrobiłem rundkę do sklepu i z

powrotem, a agenci zostali na swoich pozycjach. Domyślam się, że mogą pilnować Billa. Idę do niego do domu. Mam na osiedlu swój system przejść, mogę się poruszać, będąc praktycznie niewidzialny dla agentów ustawionych na ulicy. Wyciągam Billa z mieszkania i przeprowadzam tą swoją trasą. Pokazuję mu gości w samochodach. Zresztą, szczerze mówiąc, to jakaś nieznana mi ekipa. „Swoich" znam dobrze. Ci tutaj są dla mnie nowi. Mówię Billowi, żeby wobec tego zachował spokój i rozsądek. Żeby sprawdzał, czy rano będą jechać za nim do pracy i po pracy. Ma być czujny i ostrożny, bo zbliża się termin jego wyjazdu do Europy.

Wieczorem Bill zachodzi do mnie i minę ma nietęgą. Pytam, co się stało. Wychodzimy na spacer (obserwacji nie ma).

— Ach, źle, że ciebie nie posłuchałem!

— No to mów, co zrobiłeś.

— Nie dawało mi spokoju, że oni tam tak stoją. Kto wie, może to wcale nie agenci, tylko jacyś zboczeńcy? Christian poszedł na dwór się bawić, popatrzyłem przez okno, a oni wciąż tam stoją i się gapią na wszystko. No i poszedłem i...

— No mówże, chłopie!

— I zrobiłem im zdjęcia.

— Kurwa.

— No kurwa, kurwa. Zrobiłem, stało się...

— Coś jeszcze?

— Tak, bo oni mieli takie bezczelne miny, więc jak poszedłem do nich, jak im wygarnąłem, żeby się zabierali stąd, bo tu jest osiedle prywatne, bawią się nasze dzieci i że jak sobie nie pojadą, to zadzwonię na policję!

— Bill, nerwy ci puściły. A prosiłem cię, żebyś był uważny, ale nie nerwowy!

— No wiem, prosiłeś. A oni do mnie, że mogę sobie dzwonić gdzie chcę. To mnie tak wkurwili, że podszedłem i trochę się tam zacząłem z nimi słownie przepychać...

— Chryste...

— I aparat chyba mi ukradli.

— ...Panie!

— No, bo położyłem na murku, jak szedłem do nich. A potem wracam i aparatu nie ma. Ale to tylko aparat fotograficzny, nie kamera. Miałem w nim zdjęcia rodzinne, nic takiego.

Billowi puszczają nerwy. Zanim wyjedzie do Europy, musi się uspokoić. Koniecznie. Na szczęście na początku kwietnia zaplanowali wyjazd do Brazylii. Pojechał z Ritą i Christianem, jej synem. Po powrocie głównie opowiadał mi o urodzie Brazylijek. To najważniejsze widoki, jakie

zapamiętał. 12 kwietnia byli w Los Angeles.

15 kwietnia 1981 roku rejsowym samolotem linii Pan Am, lotem nr 66, William Holden Bell udaje się z Los Angeles do Nowego Jorku. Tam przesiada się na rejs nr 114 do Paryża. 16 kwietnia w godzinach porannych ląduje w Paryżu. Wynajmuje pokój w hotelu Hilton, w samym centrum miasta. Przez trzy kolejne dni prowadzi intensywne życie, korzystając z najlepszych restauracji i klubów nocnych Paryża. 19 kwietnia rano odlatuje do Zurychu. W Europcar wynajmuje samochód. Jego oczekiwaniom odpowiada teraz tylko i wyłącznie najnowszy model mercedesa. Jedzie nim do Genewy i tam zatrzymuje się również w hotelu Hilton. Wieczór spędza w hotelowym barze, gdzie spotyka rodaka, Amerykanina pochodzącego, podobnie jak on, z Seattle. Mężczyźni długo ze sobą rozmawiają.

Bill Bell nie wie, że od wylotu z Los Angeles towarzyszy mu agentka FBI. Na miejscu, w Genewie, do kobiety dołącza cały zespół obserwacyjny. Ich zadaniem jest sprawdzić cel wyjazdów Billa Bella do Europy. Zlokalizować rzeczywiste miejsce jego podróży oraz zdefiniować osoby, z którymi tam się spotyka. Na tym etapie Bill Bell nie jest jeszcze osobą podejrzaną. Jest obserwowany jak kilku innych pracowników Hughes Aircraft Company podejrzewanych o kontakt z polskim wywiadem cywilnym. Agenci federalni muszą sprawdzić informacje, które uzyskały amerykańskie służby wywiadowcze dzięki pozyskaniu przez nie do współpracy źródła po stronie polskiej.

W Genewie agentom FBI nie towarzyszą oficerowie szwajcarskich służb specjalnych. Są jednak zapewne poinformowani o ich obecności. Chociaż Amerykanie najchętniej przeprowadziliby tę operację po swojemu, jednak nawet z pozycji mocarstwa nie mogą sobie pozwolić na taki akt wobec Szwajcarii. W niepisanych zasadach wszystkich służb świata odebrany zostałby on jako wysoce nieprzyjazny wobec państwa gospodarza terenu operacji.

Bill Bell, obiekt obserwacji agentów FBI, zachowuje się w sposób zdradzający zdenerwowanie. Spaceruje po mieście bez wyraźnego celu. 21 kwietnia o godzinie 10 rano udaje się w okolice Muzeum Ariana. Tam przystaje i po chwili zaczyna spacerować, obserwując wejście do muzeum. Najwyraźniej na kogoś czeka. Towarzyszy mu agent, mężczyzna w garniturze, z teczką w ręku. W teczce ma ukryty aparat fotograficzny. Bell zauważa mężczyznę i oddala się od muzeum. Po krótkim spacerze ulicami Genewy oddaje samochód do wypożyczalni i wraca do hotelu. Wychodzi z niego dopiero następnego dnia rano. O 7 jedzie taksówką do firmy wynajmującej samochody. O 8.10 wyjeżdża z niej za kierownicą tego samego mercedesa, którym przyjechał do Genewy. Należy domniemywać, że o dodatkowe wyposażenie auta zadbali wcześniej miejscowi agenci. Jedzie w miejsce, które odwiedził poprzedniego dnia: Muzeum Ariana. Nie zatrzymuje się wprawdzie, ale objeżdża rejon muzeum powoli. Agenci FBI mogą być pewni, że Bell pojawi się jeszcze w tym miejscu podczas swojego pobytu w Genewie. Dalej udaje się do oddalonego o dwadzieścia minut jazdy samochodem miasteczka Nyon. Tam wypija kawę i wraca do Genewy. Przez dłuższy

czas jeździ po mieście i niestety wymyka się obserwacji. Udaje się go namierzyć, gdy wchodzi do budynku ONZ i gdy z niego wychodzi, ale później ginie i agenci podejmują go dopiero po godzinie 14, gdy wraca do hotelu.

20 kwietnia 1981 roku o godzinie 16.15 oficer polskiego wywiadu, „Młody", odlatuje z Warszawy do Wiednia. Na spotkanie podąża okrężną trasą, zgodnie z wytycznymi operacyjnymi akcji. W Wiedniu udaje się autobusem do terminalu w hotelu Hilton. Zamyka swój bagaż w schowku indywidualnym i wyrusza na poszukiwanie hotelu. Wynajmuje pokój przy Landstrasse, niedaleko terminalu. Recepcjonista wymaga od niego dokumentów. Po piętnastu minutach oddaje „Młodemu" paszport i oficer wychodzi na krótki spacer. Wraca i pozostaje w hotelu aż do rana. Nazajutrz autobusem jedzie na lotnisko Schwechat w Wiedniu i austriacką linią lotniczą dociera do Genewy. Szwajcarski oficer straży granicznej sprawdza jego dane z wizy i bez problemu zwraca oficerowi paszport. „Młody" jedzie do miasta autobusem. Wysiada przy Dworcu Głównym, zostawia bagaż w przechowalni i dzwoni do hotelu, dokonując rezerwacji. Ponieważ wybrał hotel poza centrum, umiejscowiony w dzielnicy willowej w kierunku francuskiej miejscowości Thonon, zaznacza przez telefon, iż dotrze do niego wieczorem. Legendą dla pobytu oficera w Genewie są rozmowy handlowe. Po załatwieniu spraw związanych z noclegiem oficer zaczął zwiedzać miasto. Poszedł do centrum, stamtąd bulwarem Quai W. Wilson w kierunku parku Mon Repos i ogrodu botanicznego. Tam zlokalizował optymalne miejsca na rozmowę z Bellem. Dalej przeszedł podziemnym tunelem pod ulicą Rue de Lausanne i wyszedł po drugiej stronie ogrodu botanicznego. Przemieszczając się wzdłuż ogrodu, dochodzi do Chemin de l'Impératrice i idąc nieco w górę, dociera do osiedla Penthes. Widzi w oddali wśród drzew flagę amerykańską powiewającą nad budynkiem ambasady amerykańskiej i zawraca do ogrodu botanicznego. Dociera do Rue de la Servette, skąd autobusem udaje się do centrum handlowego Marche de la Croix, w bezpośrednim sąsiedztwie Starego Miasta. Po tak przeprowadzonej trasie sprawdzającej jest pewien, że nie ma za sobą żadnej obserwacji. Nie wzbudza niczyjego zainteresowania. Po kolacji odbiera bagaż z przechowalni dworcowej i kieruje się w stronę hotelu. Dociera do niego, korzystając najpierw z trolejbusu, a następnie autobusu linii nr 9. Hotel położony jest nad samym Jeziorem Genewskim, niespełna dwieście metrów od głównej ulicy Rue de Thonon w spokojnej i cichej okolicy. Gdy w recepcji wpisuje imię i nazwisko oraz obywatelstwo w rubrykę formularza meldunkowego, pyta obsługę, czy resztę też ma wypełnić. Recepcjonistka, widząc polskie obywatelstwo, prosi o wypełnienie całego formularza, dodając, iż takie obowiązują przepisy. O godzinie 21.50 oficer jest w pokoju i nie opuszcza go do rana. Zwraca jednak uwagę, iż hotel jest ledwie w połowie zapełniony gośćmi. 22 kwietnia o godzinie 7.30 „Młody" wychodzi z hotelu. Przed wyjściem zabezpiecza pozostawiony w pokoju bagaż w ten sposób, by mógł po powrocie sprawdzić, czy nikt go nie przeszukiwał.

Udaje się na Dworzec Główny. Całość logistyki na terenie Genewy,

w tym wybór miejsca spotkania i sposoby przeprowadzenia BPM-u, opracowali tutejsi oficerowie Rezydentury. Teraz „Młody” jedzie na ich spotkanie. Wysiada jeden przystanek przed dworcem i klucząc uliczkami, sprawdza, czy nie jest śledzony. Po drodze zatrzymuje się na śniadanie. Kupuje tygodnik „Der Spiegel” i składa go tak, aby widoczne były tylko litery „Der Sp...” w tytule. Nie zauważa jakiejkolwiek obserwacji. Punkt dziewiąta wchodzi do budynku dworca. Powoli przechodzi obok kwiaciarni i zgodnie z planem widzi tam dwóch oficerów Rezydentury. „Młody” ma ułatwione zadanie, zna oficerów zabezpieczających z ich pracy w Centrali. Dla uniknięcia jakichkolwiek przypadków i wątpliwości ma ze sobą odpowiednio złożony „Der Spiegel” i aktówkę. Chwilę porusza się po terenie dworca i ponownie przechodzi obok oficerów Rezydentury. Jest pewien, że go rozpoznali. Korytarzami dworcowymi idzie do biura Swissair, ale o tej porze jest jeszcze zamknięte. Wychodzi na zewnątrz i idzie na Square du Mont Blanc, gdzie siada na ławce i czyta „Der Spiegel”. Po jakichś dziesięciu minutach wyrzuca tygodnik do kosza i rusza w stronę placu de Cornavin i dworca. Idąc, widzi, że nadjeżdża jego autobus. Podbiega, błyskawicznie kupuje bilet i wskakuje do autobusu. Za sobą słyszy trzask drzwi, więc ma pewność, że nikt za nim nie wsiadł. Na dodatek w tym samym czasie podjechały na przystanek dwa inne autobusy, więc jeśli miał obserwację, zgubił ją z łatwością w zamieszaniu, jakie zapanowało przez te kilka minut. Dokładnie o 9.47 dociera w rejon Place des Nations. Po drodze wsiada do autobusu kilku uczniów i starsza pani. Nie ma powodów, by traktować ich szczególnie. „Młody” wysiada przy skrzyżowaniu Appia i Ave de la Paix. Wchodzi do parku Ariana i idzie alejką wśród gęstych, karłowatych drzewek. Park jest opustoszały. Jeszcze z okna autobusu zauważa jednego z oficerów Rezydentury przeznaczonego do prowadzenia kontrobserwacji, gdy ten parkuje swój samochód przy Ave de la Paix, mając stamtąd doskonały ogląd zarówno na plac przed Muzeum Ariana, jak i na park. „Młody” siada na ławeczce osłoniętej przez zieleń. W tym miejscu jest niewidoczny dla kogokolwiek, a jednocześnie ma świetny wgląd na sytuację na placu przed muzeum. O godzinie 9.57 widzi Williama Bella idącego alejką wprost do Muzeum Ariana. Zauważa torbę, którą ma przewieszoną przez ramię. „Młody” wstaje i podąża za nim. Na plac przed muzeum wchodzi w chwili, gdy Bell próbuje otworzyć drzwi muzeum. Bell zauważa „Młodego” i daje mu to odczuć nieznacznym uśmiechem. „Młody” przechodzi kilka metrów od niego i mówi Bellowi, by podążył za nim, zachowując pewną odległość. Jednocześnie „Młody” wykonuje ruch ręką, który przez ewentualnego, niepożądanego obserwatora mógł być odczytany jako pytanie turysty, skierowane do stojącego przy drzwiach (Bella): „Czy muzeum jest jeszcze zamknięte?”. „Młody” nie zauważa nikogo w parku, idzie więc w dół, wzdłuż rzeźb i klombów kwiatowych. Bell podąża za nim w idealnej odległości czterdziestu — pięćdziesięciu metrów. Po mniej więcej trzech minutach oficer wywiadu dociera do zbiegu Ave de la Paix i Place des Nationes i zauważa jedynie ciemny samochód podjeżdżający do krawężnika. W środku są mężczyzna i kobieta.

Wydaje się, iż będą się żegnać, gdy „Młody” przechodzi bezpośrednio obok nich widzi, że studiują mapę i jakiś prospekt.

Mija ich i wchodzi w obręb Pałacu Narodów, a więc na teren należący do ONZ-etu. Trasa, którą się porusza, była wcześniej przygotowana przez oficerów Rezydentury, „Młody” nie robi od niej żadnych odchyleń. Idzie podcieniem, przecina ulicę i dalej porusza się wzdłuż budynku Pałacu Narodów. Na dziedzińcu widzi pierwszego oficera Rezydentury, który wysiada ze swojego samochodu i powoli zmierza do wejścia numer 4. Ruch jest niewielki, nikt nie zwraca na nich uwagi. Przed wejściem numer 6 „Młody” zwalnia i Bell dołącza do niego. Do budynku wchodzą razem. „Młody” widzi od razu drugiego oficera Rezydentury siedzącego w fotelu i bacznie obserwującego otoczenie. „Młody” wraz z Bellem idzie w kierunku bocznego korytarza i windy. To właśnie winda jest miejscem BPM-u. Wsiadają do niej we dwójkę i „Młody” przeładowuje kasety z filmami od Bella. Muszą przerwać na moment tę czynność, gdy winda zatrzymuje się na jednym z pięter i wsiada do niej kobieta wyglądająca na urzędniczkę ONZ-etu. Kobieta wysiada i wówczas kończą wymianę. „Młody” prosi Bella, by zjechał na dół i poczekał na niego w hallu, i obiecuje, że dołączy do niego za kilka minut. Gdy drzwi windy zamykają się, „Młody” zbiega schodami w dół. Między drugim a trzecim piętrem spotyka drugiego oficera Rezydentury. Ten wyjmuje ze swej torby aktówkę, identyczną jak ta, którą ma przy sobie „Młody”. „Młody” umieszcza więc swoją, wypełnioną przejętymi w windzie filmami, w torbie drugiego oficera, a sam zabiera od niego pustą. Pyta, czy wszystko przebiega zgodnie z planem. Ten odpowiada, że tak, chociaż mówi, że ma wątpliwości dotyczące samochodu, który zatrzymał się przed Pałacem Narodów, tego, który wcześniej przyciągnął uwagę „Młodego”. „Młody” prosi drugiego oficera, by punktualnie o godzinie 16 był przy kwiaciarni na Dworcu Głównym, co będzie potwierdzeniem, iż akcja zakończyła się bez zakłóceń. Po BPM-ie „Młody” schodzi do hallu, widzi Bella kupującego gazetę w kiosku i kierującego się do stoiska z pamiątkami ONZ-etu. Robi to samo, co Bell, licząc, iż naukowiec zauważy jego obecność i podąży za nim do wyjścia. Niestety, przy drzwiach stoi strażnik uważnie obserwujący ruch w hallu, więc „Młody” nie może zanadto oglądać się na Bella. Wychodzi i kieruje się w stronę bramy wyjazdowej. Tam ogląda się i nie widzi Bella za sobą. Błyskawicznie analizuje sytuację i znając już usposobienie Bella, dochodzi do wniosku, że musiał zainteresować się wydawnictwami ONZ-etu i dlatego nie zauważył, że powinien już wyjść. Wraca więc, wchodząc tym razem wejściem nr 4 i hallem przemierza odległość do wejścia nr 6. Widzi Bella spacerującego po hollu. Poprzez kontakt wzrokowy upewnia się, iż naukowiec wie, co dalej robić. Wychodzą. Bell od tej chwili zachowuje się wręcz profesjonalnie. Podążając ulicami: Ave Giuseppe Motta, Louis Dunant i Rue de Vermont kierują się do restauracji Les Grillades. Momentami idą po przeciwnych stronach ulicy. Pierwszy oficer cały czas prowadzi kontrobserwację z wnętrza samochodu, „Młody” także się sprawdza. Przed restauracją „Młody” zwalnia, by Bell mógł do niego dołączyć. Wchodzą razem, zajmują

stolik przy oknie. W sali nie ma zbyt wielu gości, ale jest gwarno, a muzyka w tle ułatwia prowadzenie poufnej rozmowy. Przy jednym ze stolików oficer Rezydentury z małżonką prowadzi kontrobserwację.

Zamawiają kawę. Początkowo rozmawiają wyłącznie na tematy ogólne, wymieniają grzeczności. Po chwili zaczynają mówić zgodnie z planem przygotowanym przez Centralę. Bell relacjonuje „Młodemu", jak dotarł do Genewy. Gdy relacjonuje, że zamieszkał w hotelu Hilton, oficer zwraca mu uwagę, iż nie powinien zachowywać się tak wystawnie. Bell tłumaczył, że to był pierwszy hotel, jaki napotkał, ale „Młody" wie, iż po drodze do niego można znaleźć szereg znacznie skromniejszych hoteli. Wyjaśnia Bellowi, że Hilton, jako hotel amerykański, może być pełen jego rodaków, więc stwarza niebezpieczną okazję do spotkania kogoś znajomego. Bill Bell przyznaje mu rację. Mówi, iż tym razem materiały na spotkanie przywiozła jego małżonka Rita. Uzasadnia to faktem, iż Rita wie o jego nieoficjalnych konsultacjach, ale nie zdaje sobie sprawy, dla kogo i na czym dokładnie polega jego praca. „Młody" nie wnika w ten temat, bowiem Centrala sama proponowała Bellowi właśnie takie wykorzystanie jego małżonki. Niepokój naszego oficera wywiadu wzbudza informacja, iż Bell był na miejscu dwa dni wcześniej, a dzień przed spotkaniem poszedł pod Muzeum Ariana i, jak mu się wydaje, był obserwowany. „Młody" nie kryje rozczarowania postawą Bella, który nie wziął sobie do serca pouczeń, jakie otrzymywał wcześniej od oficerów. Bell wyraża przypuszczenie, że może osobą obserwującą był ktoś z, jak się wyraża, „obstawy tego spotkania", ale „Młody" tłumaczy mu, iż nigdy nie stosuje się wyprzedzającej obserwacji, bo jej skutkiem może być wyłącznie ściągnięcie na siebie niepotrzebnej uwagi i przedwczesne „przedstawienie" miejsca operacji. Po około czterdziestu minutach kończą rozmowę i wychodzą na zewnątrz. Oficer Rezydentury nie sygnalizuje zagrożeń.

Idąc ulicami Rue de Vernon, Ave de France i Chemin de E. Rigot docierają do ogrodu botanicznego, tam „Młody" prowadzi Bella do ławeczki dobrze osłoniętej krzewami. Siadają. Zgodnie ze zwyczajem zaczynają od spraw finansowych. Potwierdzają obowiązujące zasady wynagradzania Bella: 3 tysiące dolarów wypłaty comiesięcznej oraz roczna wypłata w wysokości 60 tysięcy dolarów realizowana w złotych monetach. „Młody" informuje Bella, iż dzisiaj otrzyma 3 tysiące dolarów oraz 10 złotych dwudziestodolarówek plus zwrot kosztów podróży. Pyta Bella, ile wyniosły. Ten odpowiada, że między 5 a 6 tysięcy dolarów. Oficer prosi o sprecyzowanie, więc Bell podaje kwotę 5 tysięcy. Oficer mówi, że ma przy sobie trzy tysiące i tyle mu przekaże, a brakujące dwa tysiące otrzyma po powrocie od Mariana Zacharskiego. Bell potwierdza, iż dostał on niego złote monety, choć zwraca uwagę oficera, że część złotych dolarów i marek była porysowana. Prosi, by na przyszłość lepiej się z nimi obchodzić przy pakowaniu, bo miał problem w banku z ich spieniężeniem. Przy okazji zauważa, iż wartość złota spada i nie daje mu obecnie gwarancji utrzymania jego wynagrodzenia na poziomie umówionych sześćdziesięciu tysięcy rocznie. „Młody" uznaje uwagę Billa za racjonalną, niepodyktowaną chęcią zwiększenia

dochodów, lecz głównie informacyjną.

Przeszli następnie do tematu dokumentów przywiezionych na filmach. Bell streścił zawartość kaset jako SPS-52 3D Radar, TARAN — Tactical Attack Radar and Navigation System, Patriot Defense Missile System i wiele innych ważnych, specjalistycznych dokumentów. Dalej rozpoczęli ustalenia dotyczące miejsca kolejnego spotkania, które miało odbyć się w Meksyku 25 listopada 1981 roku. Bell ze swojej strony zaproponował Azję, pozostawiając kraj do wyboru, lub w Europie: Grecję, Szwecję, Belgię albo Francję. Powtórzył swoje zastrzeżenia dotyczące wyboru miejsca spotkania w Meksyku, argumentując, iż Ameryka ma, jak to określił, ufortyfikowane granice z Meksykiem przygotowane do zatrzymywania nielegalnej imigracji i handlarzy narkotyków. „Młody", odpowiadając na Billa wątpliwości zaproponował, aby wynagrodzenie pobrał przed lub po spotkaniu za pośrednictwem Zacharskiego, a w Meksyku otrzymałby tylko drobną kwotę, taką, jaką może wydać na miejscu. Bill Bell zaznaczył, iż przemyśli, czy może ryzykować zabieranie filmów z dokumentami przez granicę amerykańsko-meksykańską. „Młody" przygotował Bella na wypadek, gdyby to nie on miał się z nim spotkać w Meksyku. Instrukcja była następująca: Bell ma pójść do Muzeum Antropologicznego Azteków z torbą na ramieniu. Na torbie ma mieć dwie wywieszki bagażowe. Przed budynkiem ma czekać, aż ktoś do niego podejdzie i powie: „Czy wie pan, gdzie znajduje się kamienny kalendarz Majów?", na co Bell ma odpowiedzieć: „Nie wiem, ale jestem zainteresowany wystawą Azteków". Jego nowy kontakt będzie miał w ręku łańcuch do kluczy z medalionem z literą „P". „Młody" wyjął taki medalion i pokazał Bellowi, jednocześnie wskazując, iż łatwo skojarzy literę „P" z Polską. Gdyby zaś Bill miał z jakichkolwiek przyczyn nie przybyć na to spotkanie, to informację o tym ma przekazać poprzez ogłoszenie prasowe o sprzedaży samochodu, w sposób uzgodniony na poprzednich spotkaniach. Bell zdecydowanie oświadczył, że termin przyjmuje, nic nie będzie zmieniał i nie ma zamiaru dawać ogłoszeń.

Bell przerwał rozmowę, wskazując „Młodemu" pewną osobę spacerującą w sporej odległości od nich. Powiedział, iż to ten sam człowiek, którego spotkał dzień wcześniej przed Muzeum Ariana. „Młody" zarejestrował obecność, ale uspokoił Bella. „Młody" chciał jeszcze omówić z Bellem propozycję wymagającą sporej delikatności, mianowicie włączenia przez Bella do współpracy z polskim przemysłem jeszcze jednej osoby spośród jego znajomych, pracowników HAC. Bell powiedział, iż uważa to za ryzyko dla siebie i w chwili obecnej nie widzi takiej możliwości. Może natomiast sporządzić listę ewentualnych kandydatów, a ich pozyskanie do współpracy pozostawić stronie polskiej. Przybliżył także „Młodemu" system pracy z dokumentami należącymi do grupy „czarnych programów", czyli tak utajnionych, iż nie wolno ich wynosić poza specjalnie zabezpieczone pomieszczenia. W tym wypadku obiecał robić precyzyjne notatki i schematy przeznaczone dla polskiego przemysłu.

Ponownie wrócono do kwestii finansowych, tym razem jednak w

zakresie ukrywania przez Bella dodatkowych dochodów. Poinformował polskiego oficera, że w tym celu zarejestrował firmę pod nazwą Betatron Ltd., zajmującą się doradztwem w zakresie obrotu papierami wartościowymi, złotem i zabezpieczania majątku. W ramach jej działalności planuje rozpoczęcie produkcji urządzeń elektronicznych służących jako alarmy. Za kilka tysięcy dolarów kupił też akcje firmy Cooperfield Corporation, zajmującej się poszukiwaniem surowców energetycznych w Kanadzie. Z inwestycji tej jest zadowolony, bo akcje firmy idą w górę. 3 tysiące dolarów zainwestował w akcje firmy leasingującej samochody. Nadto otrzymał 120 tysięcy dolarów jako odszkodowanie od jednej z meksykańskich linii lotniczych z tytułu procesu, jaki wytoczył tym liniom za odmowę przewiezienia jego poparzonego syna, w wyniku czego ten zmarł z odniesionych ran. Połowę tej kwoty przekazał matce chłopca, swojej pierwszej żonie, czterdzieści tysięcy pochłonęły koszty sądowe i adwokackie, i pozostało mu 20 tysięcy dolarów. Jednak nie poinformował nikogo ze znajomych o podziale tej kwoty, więc jego otoczenie uważa, iż pieniądze w całości trafiły na jego konto.

„Młody" odradzał Bellowi wpłaty pieniędzy na konto w Szwajcarii. Ale Bell ripostował, że ma świadomość możliwości kontroli ze strony amerykańskich służb skarbowych, bo w ten sposób wpadł w kłopoty wcześniej. Teraz więc on i żona mają założone konta na nazwisko swoich teściów i tam lokują pieniądze, które następnie przekazują na swoje konto w USA, co wygląda tak, jakby byli finansowo wspierani przez teściów. Ostatecznie „Młody" poprosił Bella o to, by zarówno on, jak i jego żona zachowali umiar w demonstrowaniu swojego statusu finansowego, tak w pracy, jak i między znajomymi oraz by kontrolowali swoje wydatki. Zapytany o relacje z Marianem Zacharskim, Bell odrzekł, iż utrzymują kontakty na stopie towarzyskiej, jak przystało na zaprzyjaźnionych sąsiadów. Bell dodał, iż Zacharski jest lubiany wśród osiedlowej społeczności i — jak określił — jest świetnym „amabasadorem Polski". Po zakończeniu rozmowy udali się w stronę Rue de Lausanne i w pustym tunelu pod ulicą „Młody" przekazał Bellowi pieniądze. Następnie pożegnali się i każdy z nich ruszył w swoim kierunku. „Młody" jeszcze godzinę spędził w ogrodzie botanicznym, zachowując się jak zwykły, podziwiający rośliny turysta. Następnie udał się na Dworzec Główny, gdzie punktualnie o godzinie 16 zobaczył oficera Rezydentury stojącego przy kwiaciarni. Jego obecność była potwierdzeniem spokojnego i prawidłowego przebiegu akcji.

W czasie gdy oficer polskiego wywiadu zakończył swoją misję, agenci federalni nadal pracowali. Przez cały dzień mieli pod obserwacją Williama Holdena Bella. Z samochodu zaparkowanego przed Pałacem Narodów mieli dobry widok na Bella wchodzącego do budynku ONZ. Wszedł do środka w towarzystwie młodego mężczyzny, ale to towarzystwo wyglądało na zupełnie przypadkowe. Podjęli decyzję o nieprowadzeniu operacji wewnątrz obiektu, bowiem miejsce to było wyjątkowo niewygodne z punktu widzenia akcji wywiadowczych. Jeżeli Bell jest w kontakcie z którąś ze wschodnich służb, to mogą one

dokonać prowokacji, mającej na celu wyłącznie wciągnięcie ich w aferę międzynarodową. Poza tym, do tej pory Bell sprawiał wrażenie człowieka odbywającego turystyczną wycieczkę. Po jakimś czasie zauważono go wychodzącego z obiektu ONZ i przez moment pojawił się ten sam młody mężczyzna, co przy wejściu. Jednak, niestety, zgubiono Bella w ulicznym tłumie. Podjęto obserwację dopiero około 14, gdy wrócił do hotelu. Krótko po tym udał się samochodem na lotnisko, oddał auto do wypożyczalni i skierował się do *gate'u*, by wsiąść do samolotu lecącego do Paryża. Tam zatrzymał się w hotelu Celtik przy Rue Odessa 15. Wieczór spędził w nocnych klubach. Z nikim osobno się nie spotykał. Nazajutrz taksówką podążył do biura najmu samochodów i wynajętym autem pojechał do Brugges w Belgii. Tam spotkał się z teściami, żoną oraz synem. Wieczór wszyscy spędzili w restauracji. Rano wraz z rodziną wrócił do Paryża; nie zamieszkał tym razem w hotelu Celtik, lecz wybrał hotel Continental, co zważywszy na tryb spędzania czasu, jaki preferował w Celtik, nie zaskoczyło obserwujących go agentów. Następnego dnia jego żona i syn odlecieli samolotem linii Pan Am do Miami na Florydzie, a Bell pozostał w Paryżu. Nie spotykał się z nikim szczególnym, po prostu odwiedzał restauracje i, jak poprzednio, nocne kluby. O 8.30 następnego dnia był już na lotnisku, skąd odleciał do Nowego Jorku. Nie kontynuował podróży, lecz zatrzymał się w hotelu Ramada Inn w okolicy lotniska i spędził tam noc. Z nikim się nie spotkał. 27 kwietnia 1981 roku wrócił do Los Angeles. Agenci powrócili do obserwacji Billa Bella w normalnym trybie, jak to już czynili od wielu tygodni.

Bill wpada do mnie po powrocie z Europy. Wygląda na zrelaksowanego, ale nie ma ochoty na grę. Sugeruje, że napiłby się ze mną czegoś mocniejszego, ale poza domem. Siadamy przy basenie, o tej porze kręci się tu niewielu ludzi. Próbuję rozszyfrować jego minę. Dopiero przy drugim drinku zaczyna mówić:

— Coraz więcej rzeczy mi się nie podoba. Owszem, spacerki się skończyły, ciągłe wałkowanie tego samego od nowa po trzy razy też, ale ten ich upór, żeby spotkać się w Meksyku jest nie do opanowania. Po cholerę mamy się spotykać, jak ja im tam ani filmów nie przywiozę, ani nie wezmę pieniędzy? Żeby pogadać? I jeszcze jakie ceregiele, Marian, daj spokój!

— Co masz na myśli?

— Bo ma przyjechać ktoś nowy, więc zaczęło się cudowanie: hasło, odzew, jakieś wywieszki mam mieć na sobie, a tamten znowu ma paradować z kiczowatym breloczkiem do kluczy jak pedał! Marian, ja jestem za stary na takie ceregiele! I do tego ciągle chcą, żebym sprzedawał swój samochód! Pierdolę to, nie będę dawał żadnych ogłoszeń po gazetach. Kurwa, ile razy mam tego cadillaca wystawiać! Ja im mówię, a oni, żebym podał w ogłoszeniu samochód Rity, już ja widzę Ritę, jak mi urządza

piekło o coś takiego! Czy oni na głowę, powiedz mi, się leczą, czy się nudzą, bo ja nie rozumiem?!

— Bill, starają się jakoś zadbać o kontakt z tobą, jeśli niedługo wyjadę z Los Angeles, a takie są, jak wiesz, plany, to będzie naprawdę utrudnione.

— Ale weź, to nie można jakoś normalnie, tylko takie pierdolenie? I jeszcze to: ja po to pracuję, żeby zarabiać i wydawać. A oni mnie ciągle strofują, wypominają mi każdego wydanego dolara! A ja kocham życie! Jak mnie tak umęczą tym swoim postnym kazaniem, to przestanę dla nich pracować i tyle!

— Bill, jesteś szalony człowiek! Nie denerwuj się tak. Widzisz się z nimi dwa razy do roku, zarabiasz dzięki temu świetnie, masz możliwość odwiedzenia Paryża i swoich ulubionych dziewczyn, mało ci? Jak wyjeżdżasz, zachowuj się jak należy. To tylko parę dni w roku, nikt ci potem nie broni uciech, tylko w granicach rozsądku. Znasz zasady: nie płacić kartą...

— No właśnie, w tamtą stronę musiałem zapłacić kartą za wynajem samochodu...

— Niedobrze. Coś jeszcze?

— Dni mi się pomyliły i byłem w Genewie za wcześnie. Mam wrażenie, że ktoś za mną chodził. Pokazałem go „Młodemu”, ale on powiedział, że to niegroźna sprawa.

— To możesz być spokojny. Ale w Meksyku uważaj, dobrze?

— Po cholerę Meksyk, już mówiłem, że nic tam nie zawiozę!

— Dobra, przekażę im. Może zmienią plany.

— I co, przez ogłoszenie o moim samochodzie będą mi wiadomość przekazywać, gdzie i jak?

— Posłuchaj, może być tak, że dostaniesz pocztówkę podpisaną przez znajomego z Europy, że wpadnie do ciebie na przykład 28 czerwca. To oznacza, że spotkanie ma odbyć się 18 czerwca. Odejmujemy dziesięć. Godziną wyjściową spotkania jest 10. Jeśli pojawiasz się na miejscu spotkania i nikogo nie ma, to wracasz w to miejsce o 14. Jeśli znów druga strona się nie stawia, to o 16. Rezerwowo traktujesz następny dzień, godziny jak poprzednio.

— A miejsce?

— W tekście padnie słowo, które precyzuje jedno z dwóch, trzech miejsc, które będą uzgodnione osobno.

— No dobra, jakoś się połapię.

— Bill, nikt nie zostawi cię samego. Zadbają o ciebie. Tylko, na miłość boską, ty zadbaj o siebie! Do tej pory zachowywałeś się wzorcowo. Trzymaj się zasad i wszystko będzie dobrze.

— A oni w ogóle doceniają to, co ja przynoszę? Przecież na tych kilku filmach było z pół metra dokumentów, patrząc na grubość. Trzy miesiące to fotografowałem.

— Jasne że tak. Inaczej by ci nie płacili. Możesz być spokojny.

Ja wcale nie jestem spokojny. Obawiam się, że chociaż mój wyjazd jest już blisko, nie ma jeszcze pomysłu na zabezpieczenie Billa po tym, jak się wyprowadzę. Owszem, mogę od czasu do czasu przylecieć z Chicago do Los Angeles w pilnej sprawie, ale jest niedobrze, gdy Bill popełnia takie błędy, jak podczas tej podróży. Wolałbym, żeby Centrala zabezpieczyła organizację odbioru dokumentów od Billa tu, na miejscu, niż próbowała go teraz szkolić. Muszę przygotować im raport z sytuacji, chcę, aby byli świadomi niepokojów, jakie w nim rosną. Spotkanie w Meksyku, podobnie jak Bill, uważam za nie najlepszy pomysł. Jeszcze nie ucichły echa aresztowania w Mexico City Andrew Lee Daultona[13].

Na początku maja przyjeżdża do mnie dyrektor Zbigniew Pawlik z Metalexportu razem z asystentem. Przywozi oficjalną decyzję firmy: zostaję szefem Polamco w miejsce Trzeciaka i przenoszę się do centrali w Chicago. Od początku czerwca. Więc stało się. Dziwnie się czuję. Z jednej strony ulga, bo sytuacja w Los Angeles robi się okropna. Obserwacja bez przerwy. Z drugiej strony żałuję Kalifornii. Świetnie się tu czuję, nad oceanem. Zbudowałem tu kawał życia. Ale to też nobilitacja. Będę najmłodszym dyrektorem w dziejach firmy. Pawlik raz po raz powtarza: „Bo sobie na to zasłużyłeś!”. Zabieram Pawlika i jego asystenta na wycieczkę do Kanionu Kolorado. Z Phoenix do Flagstaff lecimy maleńkim samolotem, wcześnie rano, bo nad pustynią są takie wiry gorącego powietrza, że nie lata się za dnia. Lotnisko we Flagstaff przyjmuje tylko małe samoloty i stąd pewne utrudnienia. Zwiedzamy bajkowe miejsca. Robię mnóstwo zdjęć. Gadamy, co dalej z firmą. Mówię mu, jakie mam pomysły.

Odnoszę wrażenie, że obserwacja zmalała. Nie, to złe określenie. Raczej, chwilowo stała się bierna. Sąsiad od makatek wciąż siedzi przy otwartych drzwiach, ale jeśli chodzi o mnie, to na nic, wychodzę rano, wracam późno. Może sprawdzać jedynie, kto przychodzi do Basi i co robi moja żona. A o to jestem spokojny. Agenci w samochodach warują na uliczce przed osiedlem. Ale zdarza się, że w ogóle nie jadą za mną. Ponownie zwracam na nich uwagę Billowi. Proszę go, by sprawdził, czy nie eskortują go do pracy i z powrotem. Może w końcu się znudzili? Może miesiące

telefonicznych podsłuchów i bezproduktywnego jeżdżenia za mną sprawiły, że odpuścili? A może przygotowują się do „przyjęcia mnie” w Chicago? O tym, że się przeprowadzam, wiedzą na pewno, w firmie mówimy o tym otwarcie. Nie uspokaja mnie ich wycofanie. Niestety.

Od początku czerwca właściwie więcej jestem w Chicago niż w Los Angeles. Przejmuję dom po Trzeciaku, wynająłem ekipę remontową. Siedzę w firmie i porządkuję papiery. Układam plan pracy. Muszę ogarnąć działania we wszystkich naszych oddziałach w Stanach. To sprawia, że przestawiam myślenie. Już nie rozważam, co by było, gdybym został w Los Angeles, bo już *jestem* w Chicago. Praca mnie przenosi. Wracam do domu na weekendy. Witają mnie „Owieczka” i „Chińczyk” przed domem. Potem dopiero Basia i córeczki. Planujemy wielką przeprowadzkę na początku lipca. Basia zabiera się za pakowanie, ja za każdym razem zabieram ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Myślę, że chociaż tyle dobrego, iż konsulat będę miał na miejscu. Skończą się nieustające rejsy do Chicago. Pod koniec czerwca mam wrażenie, że trochę opanowałem Centralę, muszę jeszcze uporządkować swoje papiery w Los Angeles. Dzwonię w czwartek 25 czerwca do Basi i mówię, że przylecę na pewno w piątek. Nie wiem jeszcze, którym lotem, zrobiłem dwie rezerwacje na wszelki wypadek. Basia mówi, że dziewczynki tęsknią, a Małgosia buntuje się na wyjazd. Uspokajam ją machinalnie, myślami jestem gdzie indziej.

Zbigniew Pawlik, dyrektor naczelny Metalexportu (z lewej), na lotnisku we Flagstaff tuż po przylocie, maj 1981 roku.

Zbigniew Pawlik wraz z asystentem w trakcie naszej wycieczki nad Wielki Kanion Kolorado, maj 1981 roku.

Ta fotografia oraz zdjęcie poniżej zostały zabrane podczas rewizji w moim domu 28 czerwca 1981 roku, w czasie aresztowania. Zdjęcia były na filmie w aparacie fotograficznym, zostały wywołane przez FBI.

Statuetka królowej zabrana z mojego domu w czasie aresztowania 28 czerwca 1981 roku. Zdjęcia wykonane i wywołane w laboratoriach FBI pokazują, iż wewnątrz znajduje się specjalna skrytka (z której nigdy nie korzystałem) mogąca pomieścić aparat Minox (najczęściej używany przez wywiadowców) i kilka filmów. Po rozłożeniu widać wydrążenie w środku statuetki i gąbki, mające chronić znajdujące się wewnątrz przedmioty przed przemieszczaniem się i ewentualnym hałasowaniem.

W końcu dobijam do Los Angeles, lecąc Braniffem przez Dallas w Teksasie.

W piątek zaraz po przyjeździe do domu dzwonię do George'a i umawiam się z nim na sobotę. George dzwoni do mnie w sobotę rano i przeprasza, ale nie może wyrwać się z domu.

— Rodzinne piekiełko, bunt na pokładzie — próbuje żartować.

Wobec tego jadę do firmy sam. Omawiamy, co trzeba przez telefon, spotkamy się w przyszły weekend. Mówi mi, że w piątek mieli przez cały dzień „niezłą grupę". Ma na myśli FBI. Śmieje się, że sporo kosztujemy podatników.

— Tak — odpowiadam — i po co to wszystko?

Wracam do domu. Wpada Bill, koniecznie chce pogadać. Mówię, mu, że naprawdę nie mam czasu.

Umawiam się telefonicznie z panem Jankiem, serwisantem, że odwiezie mnie w niedzielę na lotnisko. Mam syndrom „spraw niezałatwionych", wciąż myślę, co jeszcze powinienem...

28 czerwca 1981 roku, niedziela

Wcześnie rano jadę na lotnisko kupić sobie bilet. I tak nie mogę spać. Kurwa, ilu agentów! Miałem wrażenie, że ostatnio mi odpuścili, a teraz widzę ich tylu, ilu na raz jeszcze nigdy nie było. Obstawiają całe lotnisko? To wygląda jak obława, więc uspokajam się, że jest ich zbyt wielu dla mnie samego. Muszą tu być dla kogoś innego. Nie, mylę się. Ogniskują zainteresowanie wokół mojej osoby. Nie kryją się, idą krok w krok ze mną. Są poważni, cholernie poważni. Przyzwyczaili mnie do swojej obecności, ale jeszcze nigdy nie zachowywali się tak pewnie, jeszcze nigdy nie było czegoś takiego... Jeden staje przy mnie, gdy kupuję bilet. Zupełnie się nie krępuje. Czuję, że mimo klimatyzacji, koszulę mam mokrą. Czy ten, tu obok, czuje zapach mojego potu? Wracam do domu, oni za mną. Parkują wzdłuż uliczki. Nie widzę wszystkich samochodów. Dobrze, wiedzą, że wylatuję do Chicago. Nie wiedzą, kiedy się przeprowadzam. Chcą być przy tym obecni. Tyle razy im uciekłem, że nie mogą sobie pozwolić na pomyłkę. Może liczą na to, że w czasie przeprowadzki stanie się coś, co naprowadzi ich na mnie, na moją prawdziwą pracę. Że w końcu zobaczą COŚ. To ich ostatnie dni. Za chwilę będą musieli oddać mnie kolegom z innego stanu. Mają nadzieję, że wyłożę się tuż przed metą i nie odbiorą im sprawy. W porządku, nawet ich rozumiem.

Wchodzę do domu. Napięcie opada.

Basia dopiero się budzi, ma śmiesznie rozczochrane włosy, dziewczynki skaczą po swoich łóżkach. Umawiamy się, że zabiorę je na spacer, a ona przygotuje lunch. Jest ranek, a mi się wydaje, że panuje potworny upał. Koło godziny 9.30 pukanie do drzwi. To Bill.

— Marian, musimy pogadać.

— Bill, dzisiaj wyjeżdżam, nie mam czasu, naprawdę nie mogę.

— Proszę cię, wyjdź ze mną na chwilę...

Ostatnio tak mnie prosił, gdy miał informacje o zagrożeniu konfliktem zbrojnym Wschód — Zachód. Cholera, a jeśli to coś, co dotyczy bezpośrednio Polski?

— Bill, zjem śniadanie i wpadnę do ciebie.

— Czekam.

Wypijam tylko kawę i zaglądam do sypialni.

— Basiu, wyskoczę z Billem na parę minut!

Idę po niego. W mieszkaniu Christian głośno ogląda kreskówki. Wychodzimy. Bill kieruje się w stronę basenu, ale odciągam go w innym kierunku. Mam w pamięci kilkanaście samochodów na ulicy. Idziemy

między blokami, w odludną część osiedla. Jest mi gorąco, Bill ma na sobie lekką kurtkę. Teraz, gdy ma pieniądze, kupuje sobie i Ricie mnóstwo markowych ciuchów. Pyta mnie:

— Nadal na tobie siedzą?

Kiwam głową.

— A w Chicago? Jeżdżą za tobą?

Kiwam głową. Mówię cicho, bardziej do siebie niż do niego, mając w pamięci dzisiejszy poranek:

— Dzień i noc. Dzień i noc...

— Tu możemy bezpiecznie pogadać?

Kiwam głową. Bill przechodzi do rzeczy:

— Jest kilka spraw, trzy, może cztery, które muszę z tobą przegadać.

Przerywam mu, słysząc odgłos kroków. Pokazuję mu ręką, żeby nie mówił. Ktoś zamyka i otwiera drzwi. Dobrze.

— Jest pewien temat, o którym jestem ostatnio informowany, wciągają mnie do pracy nad kolejnym, „czarnym programem". Planują połączyć Pacemover i Assault Breaker w jeden program i wiesz, chyba zostanę szefem tego projektu.

Muszę się skupić, nie bardzo wiem, co Bill do mnie mówi. Kiwam głową i zastanawiam się, czy już o tym gadaliśmy. Wydaje mi się, że tak. Bill niezrażony ciągnie dalej.

— I do tego ten, który już ci pokazałem, wiesz, WASP. Kiedy zakończy się konkurencja...

— Aha...

— ...dołączą do nich i powstanie jeden wielki megaprogram.

— Więc które są łączone? Assault Breaker...

— Pacemover i Assault Breaker, jasne? I problem polega na tym, że zebrałem razem kilkanaście dokumentów, niektóre z nich są tajne, do sfilmowania na to listopadowe spotkanie...

Przerywam mu, bo znowu ktoś idzie. Bill kaszle. Kiwam głową, żeby mówił dalej.

— I ja je sfilmuję zaraz, no może w przyszłym tygodniu, dobra? Mogę ukryć film, to nie jest problem, a dokumenty będę musiał zaraz oddać, jak wejdę do pomieszczeń zamkniętych, więc tak chyba będzie lepiej.

— Pewnie.

— To jedna sprawa, druga, to chcę mieć pewność, że jak pojadę do Meksyku, to nie wręczą mi żadnego złota lub żadnych...

— Złota nie. — Już o tym gadaliśmy, niechże on się streszcza.

— ...i żadnych pieniędzy, tylko małe kwoty, mniej niż dwa tysiące. I trzecia rzecz, to myślę, że będzie dla nas trudne takie nieutrzymywanie

kontaktu.

— Jasne.

— Wiesz, chciałbym mieć kogoś, z kim mogę się normalnie spotkać, pogadać. I żeby przemyśleli sposób na przekazywanie mi złota.

— Dobra, powiem im, żeby coś wymyślili na tę okoliczność.

Bill rozgląda się na boki.

— Widziałeś ich kiedyś tutaj? Poza samochodami?

— Nie, zostają w samochodach. — Przynajmniej na razie, bo po dzisiejszym poranku wszystko jest możliwe.

— Czy ty pamiętasz, czy ja już dałem kopie... Co to było? Cholera! Nawet nazwa mi wyleciała z głowy... F-15! Czy ja dałem im już F-15?

— Wydaje mi się, że tak. Częściowo...

— Częściowo? — Bill pociera dłonią czoło, najwyraźniej ma kłopot przy tej ilości materiałów ze spamiętaniem, zwłaszcza tych, które daje we fragmentach.

— Aha. Masz dosyć filmów?

— Tak, mam mnóstwo filmów.

— OK.

— Te nowe, które mi dałeś, plus tamte poprzednie.

— OK.

— Czy wszystko wychodzi dobrze?

— Tak, pewnie. Nie ma żadnego problemu. No dobra, Bill. Myślę, że wystarczy, będę w następny weekend, to...

— To jeszcze będziesz wracał?

— Tak, przyjadę za tydzień, to już będzie ostatni raz. Będę miał dla ciebie odpowiedzi na wszystkie pytania, informację, jak to się będzie dalej tutaj toczyło. A potem to już oni wypracują metodę kontaktowania się z tobą, bądź spokojny.

— Dobra. Szczególnie dlatego, że będę pracował w strefie czarnej, będę musiał być o wiele bardziej ostrożny.

— Jasne, tak. — Myślę, że do Billa dopiero teraz dociera, że ja naprawdę wyjeżdżam. Obawia się, czy jego źródełko finansowe nie wyschnie. Ale może być spokojny, dla Centrali wszystko jest nadal aktualne...

— I powinien być jakiś rodzaj naturalnego kontaktu.

— Bez problemu. — Choć tak naprawdę nie wiem, jak oni sobie poradzą. Zresztą, sami chcieli, żebym się przeniósł do Chicago, więc liczą się z tym, że mają Billa na głowie...

— Wracając do Meksyku, to pojadę i zabiorę ze sobą filmy. Ale niczego nie chcę ze sobą przywozić.

— Dobrze, w porządku. — Żal mi go, jest nerwowy, stresuje go ta sytuacja. Rozumiem go, ale...

— OK, to wszystko.

— Pogadamy później. — Myślami jestem już gdzie indziej. Przede mną też cholerne wyzwania...

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Po południu. — A na razie muszę iść z dziewczynkami na obiecany spacer. Od tygodni w ogóle mnie nie widują...

— To Barbara jeszcze tydzień zostaje?

— Tak. — Chociaż nie jest szczęśliwa z tego powodu, jak i z tego, że te ułamki czasu, jakie mam dla niej i dzieci, spędzam z Billem, ale przecież nie powiem mu tego wprost, on też jest przejęty moim wyjazdem, samodzielnością, jaka na niego w związku z tym spadnie...

— Chcemy zorganizować dla was przyjęcie pożegnalne, Brenda się tym zajmie, barbecue, coś w tym rodzaju, tu, na powietrzu, jak zawsze, jak kiedyś...

— Pewnie, w porządku. — Och, Bill, gdybyś wiedział, jak nam było tu dobrze, jak było ważne w moim życiu, to wszystko, co się tu zdarzyło, ale nie mogę ci tego powiedzieć, już postanowione, wyjeżdżam, i nic nie będzie jak kiedyś...

Ściskam mu rękę. Odchodzę.

Bell nie rusza się z miejsca. Gdy zostaje sam, mówi do siebie głośno i wyraźnie:

— OK. Jest teraz 9.30. Kontakt został nawiązany i wracam do mojego mieszkania. Mam nadzieję, że ta przeklęta maszyna dobrze działa.

W drugiej połowie czerwca 1981 roku agenci biura FBI w Los Angeles znaleźli się w kłopocie. Od blisko dwóch lat prowadzili sprawę rozpoznania działalności Mariana Zacharskiego i mimo ogromnego nakładu pracy i środków stali w martwym punkcie. Nie mieli nic. Odkąd w 1979 roku CIA przekazała im informację pochodzącą od polskiego źródła wywiadowczego, że Marian Zacharski, pracownik polsko-amerykańskiej spółki Polamco, jest zamieszany w działalność szpiegowską na terenie Stanów Zjednoczonych, gorliwie zabrali się do pracy. Źródło CIA precyzowało, iż do Polski docierają materiały firmy Hughes Aircraft Company. To było dużo, bardzo dużo. Ale sprawa, choć dzięki przeciekowi miała znamiona prostej do wykrycia, okazała się znacznie trudniejsza, niż przypuszczano. Mimo założenia podsłuchów telefonicznych, mimo ustanowienia ciągłej obserwacji Zacharskiego, agenci nie mieli najdrobniejszego choćby dowodu, że był on powiązany ze sprawą wypływu dokumentów z HAC. Sprawdzano wszystkie jego kontakty zawodowe. Ustalono, iż kontaktuje się z dużą liczbą firm i pracowników sektora specjalnego, ma więc naturalną

możliwość dojścia do dokumentów mogących zainteresować jego mocodawców. Oczywiście zakładając, że zwerbuje do pracy wywiadowczej kogoś spośród pracowników tych firm. Przy okazji sprawdzania zawodowych kontaktów Zacharskiego, agenci FBI z niejakim zdumieniem zauważyli, że wiele spośród zakładów realizujących specjalne projekty rządowe w sposób dość nonszalancki podchodzi do zasad bezpieczeństwa. Niewielu spośród pytanych zdawało sobie sprawę, iż kontakty z producentem zza żelaznej kurtyny mogą być niebezpieczne. Najczęstszą reakcją było stwierdzenie: „To jest biznes!" oraz wyrażanie się o Zacharskim w kategoriach: „świetny gość", „równy facet", „świetnie się z nim robi interesy". Z miesiąca na miesiąc sytuacja biura FBI w Los Angeles stawała się nie do pozazdroszczenia. Agent specjalny James B. Reid, który kierował tą sprawą, czuł się jak policjant na tropie seryjnego zabójcy: widzę go, mam na oku, wiem, że po raz kolejny zabije, ale nic nie mogę mu udowodnić. Wprawdzie w wypadku Zacharskiego w grę wchodził jedynie transfer technologii, ale ten transfer mógł kosztować USA miliardy dolarów. Nikt bowiem nie wiedział, co konkretnie Zacharski wywozi do Polski. Latał tam systematycznie, co dwa, trzy miesiące i każde odprowadzenie go na lotnisko było dla agentów ciosem w bliżej niezlokalizowane podbrzusze. Nie mogli go tak po prostu zatrzymać. Przebywał w Stanach na paszporcie służbowym, musiał być jakiś pretekst, bo go choćby przeszukać. Reid wiedział, że jeśli ta sprawa zakończy się fiaskiem, przełożeni powiedzą mu, ile dokładnie akcja kosztowała amerykańskiego podatnika. Godziny podsłuchów telefonicznych, miesiące agentów na posterunkach obserwacyjnych.

Zacharski bawił się z nimi w kotka i myszkę. Uciekał obserwacji spod własnego domu, gubił ich na *freewayach*. Nawet jego styl jazdy samochodem wykazywał znamiona pracy we wschodnich służbach. Gdy dowiedzieli się, że sprzedał gigantyczną maszynę firmie obsługującej atomowy poligon Nevady, było to dla nich niczym policzek. Jakby śmiał im się prosto w nos. Z pilnującymi go agentami rozmawiał jak z kumplami. James B. Reid, analizując ostatnio zapisy kilku rozmów z Zacharskim (agenci je nagrywali), doszedł do wniosku, że Zacharski potrafi tak pokierować rozmową, że więcej on się z niej dowiaduje o agentach niż oni o nim. A przecież nie skierował do sprawy nowicjuszy!

Sprawa drgnęła, gdy źródło CIA przekazało, iż w transfer dokumentów zaangażowany jest jakiś sąsiad Zacharskiego. Systematycznie sprawdzono wszystkich. Okazało się, że wśród bliskich znajomych Zacharskiego jest dwóch pracujących w HAC — Joseph Morris i William H. Bell. Aby nie powodować niepotrzebnego na tym etapie odkrycia sprawy, FBI postanowiło założyć jednemu i drugiemu podsłuch telefoniczny, ale zadziałać przede wszystkim poprzez wewnętrzne organy bezpieczeństwa HAC. Po żmudnych procedurach (w tym wielu szczegółowych rozmowach z Morrisem) pracownicy firmy ustalili, że Josepha Morrisa można wyłączyć z kręgu podejrzanych.

Zajęto się systematycznym sprawdzaniem Bella. I od samego

początku natrafiono na mnóstwo interesujących szczegółów. Począwszy od tego, że Bell był przyjacielem Zacharskiego (to wyszło dość szybko z podsłuchu założonego na telefonie Polaka) i regularnie się z nim spotykał. Dalej, w ciągu ostatnich miesięcy, wyraźnie podniósł swój status materialny. Następnie w ciągu dwunastu miesięcy trzykrotnie wyjechał do Europy. I na końcu, jest pracownikiem z dostępem do najtajniejszych programów.

Gdy Bell zgłosił w kwietniu 1981 roku kolejny wyjazd do Europy, wysłano za nim agentów. Wprawdzie podczas tej podróży nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, to jednak po dokładnej analizie zwrócono uwagę, na jego kilkudniowy pobyt w Genewie z tego powodu, iż pobyt ten... niczemu nie służył.

Jako cel wyjazdu podał wizytę u teściów w Belgii, a spędził z nimi ledwie jeden dzień, przez pozostałą część pobytu przemieszczał się z miejsca na miejsce. Nic w tym czasie nie zwiedzał i nie oglądał.

W Genewie agenci stracili Bella, gdy wszedł do budynku ONZ. Dzień wcześniej był przy Muzeum Ariana i wyraźnie na kogoś czekał. Przy jego wejściu i wyjściu z obiektu zauważono obecność tego samego młodego mężczyzny, ale mogło to być całkowicie przypadkowe. Natomiast zaraz po tym fakcie Bell najzwyczajniej w świecie zniknął agentom z oczu. Jakby rozpłynął się w powietrzu. W tej sytuacji tamto zniknięcie Bella, tych kilka godzin, gdy nie wiedzieli, co się z nim dzieje, choć dzień wcześniej czekał na kogoś, z kim nie zdołał się spotkać, mogło być kluczem do zagadki.

Po powrocie do Kalifornii obserwowano go dzień i noc. I, w przeciwieństwie do Zacharskiego, który zdawał się zupełnie towarzystwem agentów nie przejmować, szybko zauważono, iż Bell reaguje na ich obecność nerwowo. Zbyt nerwowo jak na człowieka, który nie ma nic do ukrycia. Powoli, ale sprawa posuwała się do przodu.

I wtedy nagle agenci otrzymali wiadomość, iż Zacharski wyjeżdża z Los Angeles na stałe. Został szefem Polamco na całe Stany Zjednoczone i wraz z rodziną przeprowadza się do Chicago. W tempie niemal natychmiastowym. To oznaczało, że jeśli do dnia wyjazdu nie zdobędą przeciwko niemu dowodów, które pozwolą na zatrzymanie, będą musieli oddać sprawę kolegom z Chicago. Kolegom! Nie po to James B. Reid pracuje nad tą sprawą od czternastu miesięcy, żeby miał teraz oddać „gotowca” kolegom! Naprawdę niewiele mu już brakuje. Miesiące żmudnej, operacyjnej pracy teraz właśnie zaczęłyby przynosić efekty! Oddanie czegoś takiego „kolegom” to nie tylko podanie im kąska na półmisku, to również przyznanie się do porażki! A na to ani James B. Reid, ani podległy mu zespół nie zasłużyli. Wiedząc, iż pozostał im tylko tydzień, podjęli decyzję: muszą przycisnąć Williama Bella. Zagrają va banque.

23 czerwca 1981 roku James B. Reid, a wraz z nim agenci: George Bacon i James R. Pace udali się do biura dyrektora ds. bezpieczeństwa Hughes Aircraft Company, pana Williama A. Sullivana przy bulwarze West Century pod nr 5300 w Los Angeles. Podczas krótkiej rozmowy z dyrektorem wyjawili mu swoje przypuszczenia, prosząc jednocześnie, by dla dobra sprawy zachował całkowitą dyskrecję. Sullivan na

życzenie agentów telefonicznie zaprosił Bella do swojego gabinetu. Gdy Bell przybył, Sullivan zostawił go sam na sam z trójką agentów FBI. James B. Reid powiedział Bellowi, że choć mają do niego bardzo ważną sprawę, nie chcieliby zaburzyć mu rytmu dnia i planowanych spotkań. Bell odpowiedział, że nie ma ich dzisiaj wcale, więc spokojnie może poświęcić im czas. Reid ostrożnie prowadził rozmowę. Miał świadomość, że stąpają po niezwykle kruchym lodzie, że do stracenia mają wszystko: miesiące wyczerpującej pracy, śledztwo, które jego przełożeni traktują priorytetowo, dobre imię wydziału. Jeśli za mocno przyciśnie, a okaże się, że myli się co do Bella, że podążył fałszywym tropem, to wszystko straci, a na końcu, jego głowę na srebrnej tacy jego własny szef poda dziennikarzom, którzy marzą o takich skandalach na pierwszą stronę weekendowego wydania gazety.

— Panie Bell, musimy poinformować pana, że prowadzimy śledztwo przeciwko Marianowi Zacharskiemu, który według nas jest pracownikiem służb wywiadowczych wrogiego państwa. I aktywnie pracuje na rzecz zbierania tajnych informacji dotyczących Stanów Zjednoczonych, robiąc to, oprócz wypełniania funkcji szefa spółki Polamco.

— Jestem zaskoczony. Marian Zacharski jest moim przyjacielem, znamy się świetnie, często spotykamy się sami i z rodzinami... Nidy jednak nie prosił mnie o jakiekolwiek tajne informacje, mimo iż wie, że pracuję dla HAC.

— Proszę opowiedzieć nam o swojej znajomości z Zacharskim.

Bell jest zdenerwowany, ale nie ponad miarę przypadającą na taką sytuację. Opowiada historię ich znajomości, wspólne spotkania, gry w tenisa. Nic poza sąsiedzką przyjaźnią. Po chwili wahania mówi, że jakieś dziewięć miesięcy temu Zacharski powiedział mu, że towarzyszy mu obserwacja, ale wytłumaczył ten fakt tym, iż samo jego pochodzenie w sposób naturalny wzbudza zainteresowanie służb amerykańskich. Dobrze. James B. Reid nie ciągnie Bella za język, na to zawsze jest czas. Czeka, widząc, iż on sam źle reaguje na ciszę zapadającą w chwili, gdy przestaje mówić.

— Kiedyś... jakiś czas temu, poprosił mnie o nasze firmowe gazetki... To publikacje ogólnodostępne, nie widziałem nic złego w tym, by mu je dać. Mówił, że chce podszlifować swój angielski...

Dobrze. Cisza wyraźnie męczy Bella.

— Potem, nie pamiętam kiedy, pytał mnie o... o samoloty F-15. A może o F-18? Nie pamiętam dokładnie.

— A jak, pana zdaniem, powinien zachować się pracownik sektora specjalnego w takiej sytuacji?

— Ja wiem, naturalnie, że powinienem zgłosić przełożonym, gdy Marian, przepraszam, gdy pan Zacharski powiedział mi o prowadzonej za nim obserwacji... ale zrozumcie, to by mogło zniszczyć naszą przyjaźń. Byłem pewny tego człowieka, nie chciałem narażać ani jego, ani siebie na niepotrzebne nieprzyjemności.

— Rozumiem. A proszę powiedzieć, czy widzi pan, jako przyjaciel Zacharskiego, możliwość skłonienia go do pozostania w Stanach Zjednoczonych i wystąpienia o azyl?

Bell jest wyraźnie zaskoczony pytaniem. Ale i uspokojony, bo nie mówią o nim. Odpowiada jednak bez ociągania się:

— Nie sądzę. Zacharski jest żarliwym patriotą. Nigdy nie wyrzekłby się swojego kraju. Chociaż myślę, że z biegiem lat coraz trudniej będzie mu wrócić do Polski. Może mógłby i zostać w Stanach, ale wyłącznie z własnej woli, z wyboru. Azyl? Nie, to nie wchodzi w grę.

Nadeszła pora lunchu i agenci proponują Bellowi wspólny posiłek w restauracji hotelu Holiday Inn. Bell zgadza się chętnie. Nie wie, że w hotelu czeka na niego coś więcej niż lunch. Pokój nr 635 jest wynajęty i przygotowany do rozmowy, podobnie jak pokoje sąsiednie. W restauracji rozmawiają o sprawach mniej istotnych. Bell pije drinka. Alkohol go uspokaja. Potem zapraszają go do pokoju hotelowego i pytają o jego wyjazdy do Europy. Kiedy, gdzie, na jak długo. Opowiada im burzliwą historię poznania drugiej żony w Brukseli, wymienia kolejne posady. Wszystko się zgadza z informacjami, którymi dysponują agenci. Niczego nie pomija. Mówi o urlopach w Europie — w listopadzie 1979, maju i październiku 1980, kwietniu 1981. Rozwodzi się na temat dobrodziejstw płynących z posiadania biletów pracowniczych na linie Pan Am, swoich przyjaciół w Szwajcarii, miejsc, które zwiedził.

James B. Reid uznał, iż to dobry moment. Wyjął polskojęzyczną gazetę wychodzącą w USA, „Nowy Dziennik" i pokazał Bellowi niewielką notatkę. Bell pokręcił głowa, że nie zna polskiego, więc Reid podał mu kartkę z tłumaczeniem tekstu. Brzmiał on dokładnie tak: „polski pracownik zatrudniony w polskiej misji przy ONZ w Nowym Jorku poprosił o azyl". I data: 14 maja 1981 roku. Nie czekając na reakcję Bella, Reid dopowiedział cicho:

— Ten człowiek miał dostęp do źródeł osobowych, które przekazywały tajne materiały amerykańskie agentom polskiej służby wywiadowczej.

Po czym szybko dodał, już zwykłym tonem:

— I my wszystko wiemy.

Bell skamieniał.

— Czy moje nazwisko też tam było?

Nie odpowiadali. A on źle znosił ciszę.

— Proszę o kontakt z adwokatem.

— Może pan zadzwonić, tu jest telefon.

Bell wstał i ruszył szybkim krokiem do telefonu. Ale gdy stanął przy nim, nagle opuścił rękę i nieoczekiwanie dla wszystkich powiedział:

— To ja wam wszystko powiem.

I opadł na fotel, jakby uszło z niego powietrze.

— Tak, popełniłem zbrodnię. Szpiegostwo za pieniądze. Pracowałem dla Zacharskiego.

Zaczął mówić. Wyrzucał z siebie informacje jedną po drugiej. Agenci oniemieli, bo nie przypuszczali, iż po prowokacji z notką prasową on pęknie jak bańka mydlana. Jeszcze trzy minuty temu James B. Reid musiał ściszyć głos, mówiąc o źródłach osobowych, do których miał dostęp pracownik. Jeśli to przesłuchanie okazałoby się klęską, to na nagraniu rozmowy ten szeptany fragment jego wypowiedzi byłby

nieczytelny. Nikt nie mógłby mu zarzucić, że posunął się do kłamstwa, by sprowokować zeznania Bella. W rzeczywistości bowiem tamten szyfrant, niejaki Mazurkiewicz, nic nie wiedział.

Ale to było trzy minuty temu. Całą wieczność. Teraz William Bell był ich. Mówił, jakby zrzucał z barków ciężar i chciał się go pozbyć jak najszybciej. Jakby był w transie. James B. Reid także był w transie. Ile razy czytał o tym w powieściach szpiegowskich? O tym słowotoku, w jaki popadają rozbrojeni zdrajcy. Teraz udało mu się doprowadzić do tego stanu Billa Bella w jego własnej sprawie. Sprawie, której już nikt mu nie odbierze! Po mniej więcej półtoragodzinnym monologu Bell przerwał nagle i zapytał:

— Przepraszam, na jak długo planujemy to spotkanie? Mamy dzisiaj z żoną gości na kolacji.

— O której?

— Około 19.

— Później zadzwoni pan do żony.

O 16.42 podają mu telefon i każą zadzwonić do Rity. Mówi, że jest na konferencji i nie może wyjść z pracy przed 19.

William Bell zeznaje dalej. Kolejne półtorej godziny. Gdy zbliżają się do końca, agenci zaczynają wymieniać między sobą niespokojne spojrzenia. Trzy godziny temu największym sukcesem było to, że pękł i zaczął mówić. Teraz muszą zdobyć jego podpis pod zeznaniem. Jeśli tego nie zrobi, jeśli nagle, w ostatniej chwili, powie, że wszystko zmyślił, wrócą do punktu wyjścia i triumf, który już w myślach uczcił każdy z nich, wyparuje jak deszcz na rozgrzanym kamieniu. Skończył mówić. Potrzebują mniej więcej godziny, by przepisać jego oświadczenie na maszynie. To krytyczna godzina. Bell jednak zaskakuje ich dalej.

— Mam w domu parę rzeczy od Zacharskiego, tych, o których już powiedziałem: kamerę, skrytkę na filmy. Chcę je wam natychmiast przekazać.

— Co pan proponuje?

— Pojedźmy do mnie do domu, zabiorę to.

— A pana żona?

— Powiem jej, że zapomniałem materiałów na konferencję, to mi się zdarzało, nie zdziwi się.

Jadą. Towarzyszy mu James R. Pace i Eugen McCarthy, który do tej pory czekał w samochodzie. W aucie jest też Richard Welby, asystent dyrektora do spraw bezpieczeństwa HAC. Bell prosi, by udali się najpierw do jego biura. Tam, ze środkowej szuflady swojego biurka, wyjął czerwoną, pokrytą plastikiem książeczkę do notatek. Gdy dojechali do mieszkania Bella, agenci nie weszli z nim do środka, aby nie wzbudzić niepokoju u jego żony. Był w środku nie dłużej niż dziesięć minut. Zaraz po wyjściu przekazał agentom cztery rolki niewywołanego filmu Kodachrome zapakowane w żółtą kopertę. Poinformował, że dostał je od Zacharskiego. Podobnie jak kamerę dźwiękową firmy Canon model nr 514XL-s, futerał na kamerę i wieszak do krawatów w kolorze zielonym. We wnętrzu torby na kamerę znajdują lampkę do kamery, mikrofon i słuchawkę. Bill skwapliwie

tłumaczy agentom FBI, jak używał poszczególnych elementów, jak wykonywał zdjęcia poklatkowe.

W zeznaniu Bella wszystko jest frapujące.

Miesiące ciężkiej pracy agentów, setki pytań, które sobie samym stawiali, teraz układają się w jedną, dość spójną całość. Jeszcze nie dopytują Bella, na to przyjdzie czas, gdy przeanalizują wersję, którą sam chce im podać.

Choć James B. Reid widzi już słabe strony. Mają kamerę i te specjalne filmy, mają wieszak na krawaty, mają opowieść Williama Bella. Ale nie mają Zacharskiego. Znów pojawia się to nieprzyjemne uczucie, że coś mu się wymyka. Gdy Bell zaczął mówić, Reid czuł smak sukcesu, euforycznego zwycięstwa. Teraz, na podstawie jego zeznań, widzi, jak rozległa, jak ogromna jest ta sprawa. Bell mówi, iż nie wie skąd, ale Zacharski znał symbole i numery dokumentów, o których pozyskanie prosił. A to sugeruje, że Bell nie był jego jedynym człowiekiem w HAC. Że mogli być i inni. Wszystko to powoduje, iż do oficjalnego postawienia zarzutów muszą dbać o Bella bardziej, niż przypuszczał. Muszą tak przygotować jego i dział bezpieczeństwa HAC, by nikt nie dowiedział się o sprawie. Nie ma więc mowy o aresztowaniu Bella. Jego otoczenie w pracy musi myśleć, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Oświadczenie zostaje przepisane na maszynie. Agent specjalny George S. Bacon podaje je Bellowi.

— Proszę przeczytać i podpisać.

Czy William Bell wie, że trzech agentów federalnych wstrzymuje oddech? Czy wie, że gdyby powiedział teraz „nie”, to musieliby go wypuścić? Czy wie, że przez tę jedną chwilę to on jest panem sytuacji?

William Bell nie czyta kilkustronicowego dokumentu. Przebiega po nim wzrokiem. Zatrzymuje się na końcowej formułce:

„Przeczytałem powyższe oświadczenie i przyznaję, że jest ono prawdziwe”.

Szuka czegoś w kieszeni. Reid, Bacon i Pace jednocześnie podają mu długopisy. Bell podnosi na nich wzrok. Wydaje się zaskoczony. Bierze długopis od Bacona. Podpisuje się.

James Reid mu gratuluje. Choć w ostatniej chwili wstrzymuje się przed podaniem mu ręki. Bell nie zwrócił na to uwagi. Jest pogrążony w myślach.

— Zrobił pan wielki krok na drodze do odkupienia swojej winy. Jeśli dalej będzie pan współpracował z nami, a nie przeciwko nam, wygra pan. Musi nam pan pomóc w postawieniu zarzutów Zacharskiemu. To pana wielka szansa, żeby wyjść z tej sprawy z twarzą.

— Co dalej?

— Odwieziemy pana do domu. Proszę zachować absolutną, bezwzględną dyskrecję. Nawet wobec żony. W pracy nikt się nie dowie, o tym co się wydarzyło, poza pracownikami działu bezpieczeństwa oczywiście. Oficjalnie ma pan od jutra urlop. Ale zaczyna pan pracę z nami. Dzisiaj podpisał pan oświadczenie. Teraz musimy poznać wszystkie szczegóły.

Nazajutrz, zgodnie z umową, Bell melduje się na parkingu FBI. Tam

czeka na niego James R. Pace. Razem jadą do hotelu Holiday Inn, ale tym razem usytuowanego blisko Sunset Boulevard przy San Diego Freeway. Po krótkich rozmowach udają się wspólnie do Bank of America, oddziału w Marina del Rey. To właśnie w tym banku Bell ma skrytkę depozytową. Wchodzą do sejfu i przy nich urzędnik banku otwiera i przekazuje im zawartość skrzynki nr 1746F. Bell otwiera wieko metalowego pudła i wyjmuje zrolowaną kopertę koloru jasnożółtego. W jej wnętrzu znajdują się dwadzieścia dwie sztuki złotych monet dwudziestodolarowych, zawinięte w papierowe chusteczki.

— To, żeby się nie porysowały, bo wtedy obniża się ich cena. Są wśród nich perełki kolekcjonerskie: Liberty Heads z 1897 i 1899 roku. I tak zwane Standing Liberty z 1908, 1913 i 1924 roku — poinformował Bell z namaszczeniem, oddając kopertę agentowi.

— To dostał pan od Zacharskiego? Razem z tą kopertą?

— Tak. Tak.

Pace ma nadzieję, że może znajdą na nich odciski palców Polaka. To by było coś.

Potem pojechali do Hughes Aircraft, kierując się od razu do biura pana Welby z działu bezpieczeństwa. Bell nie miał już karty wstępu do firmy. Wspólnie idą do biura Bella, skąd zabrał czerwono-czarny notatnik i jedną luźną karteczkę. Bell pokazał, iż ma na niej zapiski z kwietniowego spotkania w Genewie, dotyczące zamawianych przez stronę polską materiałów. Na jej odwrocie notatka precyzująca sposób spotkania w Mexico City.

Potem pojechali do mieszkania Bella, skąd zabrali jego paszport oraz trójnóg do kamery, którą Bell przekazał poprzedniego dnia. Agentowi Pace'owi skończyła się kalka i nie mógł przygotować dokumentu pokwitowania odbioru paszportu nr K3075079, trójnoga, a także notatnika i karteczki. Bell powiedział, że mogą to załatwić później, że nie widzi powodu, dla którego miałby nie dać tych przedmiotów bez pokwitowania.

Ponownie zmieniają hotel. Tym razem jest to Holiday Inn przy 170th North Church Lane. Proszą Bella o wyjaśnienie zapisków w jego notesach. Zaczynają od czarno-czerwonego. Na stronie pierwszej Bell ma zanotowane nazwisko i telefony Ake Sandberga. Wyjaśnia, że jest to kierownik biura Hughes International w Szwecji. Drugi zapisek brzmi zagadkowo „P au C" oraz adres w Paryżu, niżej cztery imiona. Tłumaczy, że to adres ulubionego klubu nocnego i imiona jego dziewczyn, pierwszą jest Doriane. Kolejne zapisy mają już bezpośredni związek ze sprawą. Obliczenia wstępne, jak określił Bell, do radaru, który miał zaprojektować dla Polski. Mówi, że projektu nie dokończył, bo Polacy przestali się nim interesować. Na stronie 16 notatka dotycząca radaru FLEXAR. Na stronie 142 lista zamówień strony polskiej ze spotkania drugiego i trzeciego. Bell wyjaśnia, że przenosił do notatnika zapiski z rozmów z Polakami. Strona 144 — informacja o dacie i miejscu czwartego spotkania (22 kwietnia 1981 roku, godziny 10 i 14, Muzeum Ariana, Genewa). Dalej zapis dotyczy samochodu Chevrolet Camaro, który miał być treścią ogłoszenia w gazecie w razie

odwoływania spotkania. Tłumaczy, że miał dać ogłoszenie w gazecie „Los Angeles Times” w dniach od pierwszego do piątego miesiąca, w którym miało się odbyć spotkanie. Ukazanie się ogłoszenia było równoznaczne z anulowaniem spotkania.

Na stronie 146 trzy pokwitowania przekazów pieniężnych dokonanych przez Bella za pośrednictwem Bank of America na rzecz Lee Speara. Wyjaśnia, że to człowiek, z którym pisał swoją książkę o szpiegostwie na Bliskim Wschodzie.

W dalszej części miał dane dotyczące *limousine service*, mówi, że był zainteresowany tym biznesem.

Następnie sporo informacji o kursach złota oraz akcjach kompanii działających w sektorze wydobycia i obrotu złotem. Potwierdzenia zakupu akcji giełdowych.

Uwagę agenta zwraca strona 151. Bell tłumaczy, że przeliczał często ceny złota na giełdach, by sprawdzić, czy w świetle jego zmiennej wartości, nie wychodzi w rozliczeniach ze stroną polską poniżej ryczałtu ustalonego na sześćdziesiąt tysięcy rocznie. Notuje tam też, ile złota już otrzymał i kiedy oraz ile jeszcze dostanie.

Agent Pace stara się być chłodnym, opanowanym profesjonalistą. Wie, że William Bell jest niezbędny do ujęcia Zacharskiego. Ale odczuwa nieprzyjemny ucisk w żołądku na widok precyzji wyliczeń zdrajcy, który niepokoił się, czy sytuacja na światowych giełdach nie pozbawi go części dochodu ze sprzedaży swojego kraju wrogiemu państwu.

Po tym dowodzie na motywację Bella do pracy z Zacharskim agenci przyciskają go nieco. Bell przyznaje, iż wiedział, że pieniądze dostaje w zamian za dokumenty. I natychmiast dodaje:

— Potrzebowałem tych pieniędzy. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

Zęby zaciska Pace.

Reid przesłuchuje szczegółowo Bella w sprawie transakcji z brokerem giełdowym, firmą T.E. Slanker z Portland w stanie Oregon. Bell informuje, że pierwszej transakcji dokonał 22 grudnia 1980 roku poprzez jej przedstawicielstwo w Portland. Sprzedał wtedy dziesięć krugerrandów po 615 dolarów za sztukę i za całą sumę kupił akcje giełdowe. Ostatnią transakcję, na kwotę 2800 dolarów, przeprowadził dzień przed rozmową z FBI, 22 czerwca 1981 roku.

Praca nad Bellem trwa. Badanie przekazanych przez niego dowodów również. Czas biegnie nieubłaganie. Za trzy dni Zacharski przyleci do Los Angeles i to może być jego ostatni pobyt w Los Angeles przed przeprowadzką do Chicago. James B. Reid analizuje sytuację. Dysponuje zeznaniem Williama Bella oskarżającym Zacharskiego. To wystarczy, by skazać Bella, ale to za mało, by posadzić Zacharskiego. Potrzebuje dowodów. Może na kopercie, w której, jak mówi Bell, Zacharski dawał mu złoto, będą odciski palców? Może na samych monetach? Ale to wciąż za mało. Zacharski może wybrnąć z tego gładko, nie ma dowodu, że tym złotem płacił za szpiegowskie informacje. Polak nie jest notowany w Stanach, jego odciski palców mogą wziąć do porównania dopiero, gdy go zatrzymają. Sen z powiek

spędza Reidowi też niemożność jakiegokolwiek wiarygodnego potwierdzenia, jakie dokumenty Bell przekazał naprawdę Zacharskiemu. Te, które wymienia, są warte miliardy dolarów. Ale czy wymienia wszystkie? Mógł mieć dostęp do wielu innych.

Nie mają żadnego zdjęcia, nagrania, które pokazywałoby moment przekazywania informacji przez Bella Zacharskiemu. Nie mają... ale przecież mogą mieć! James B. Reid łapie się tej myśli natychmiast. Bo to może być jedyna deska ratunku. Muszą doprowadzić do rozmowy Bella z Zacharskim, rozmowy, którą sfilmują, nagrają, sfotografują i uzyskają ten jeden, niepodważalny dowód! James B. Reid jedzie do hotelu Holiday Inn i bierze się za Bella. Do tej pory obchodzą się z nim łagodnie jak z dzieckiem. Czas, by go przycisnąć.

— Panie Bell, przejrzałem wszystkie pana zeznania i doszedłem do smutnego wniosku.

Bell jest zmęczony, wielogodzinne przesłuchania wyczerpują go. Uniesieniem brwi pyta agenta, o co chodzi.

— Otóż wszystko, co dzięki panu zgromadziliśmy w tej sprawie, jednoznacznie oskarża wyłącznie pana...

— Ale przecież powiedziałem panom wszystko, tak jak było... o Marianie Zacharskim też...

— Tak, ale to jest tylko pana słowo przeciwko jego słowu. My wierzymy panu. Ale czy sąd i przysięgli dadzą panu wiarę? Czy postawią na kogoś, kto, nazwijmy rzecz po imieniu, zdradził swój kraj za pieniądze? Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której dochodzi do procesu i to pan zostaje uznany za winnego i skazany na dożywocie, a pan Zacharski wychodzi na wolność, bo nie ma przeciwko niemu żadnych, powtarzam: żadnych dowodów. Bo słowo, panie Bell, w zaistniałej sytuacji to za mało.

Bell zwiesza głowę. Pyta cicho:

— To co mam jeszcze zrobić?

— Spotkać się z Zacharskim i odbyć z nim przyjacielską pogawędkę, w której on powie wszystko o swojej prawdziwej działalności.

— A wy to nagracie?

— Tak. A my to nagramy.

Bell nie odpowiada. Martwo patrzy przed siebie.

— Proszę powiedzieć, czy możemy taką rozmowę zainscenizować w pana mieszkaniu?

— Nie. Zacharski w pomieszczeniu zamkniętym nic nie powie.

— Nawet jeśli będziecie sami?

— Nawet jeśli będziemy sami.

James B. Reid od początku nie miał najmniejszych wątpliwości, że Marian Zacharski *jest* agentem wschodnich służb. Teraz miał pewność. Nie ma co naciskać Bella, jeśli stworzą niewłaściwe warunki, prowokacja nie powiedzie się i ostatnia szansa ucieknie im sprzed nosa.
— Wobec tego, jak i gdzie powinna odbyć się taka rozmowa, by była zgodna z waszymi dotychczasowymi zwyczajami?

— Na korcie, przy basenie, między blokami...

— Czy pan może narzucić Zacharskiemu miejsce?

Bell zastanawia się chwilę, jakby szukał w pamięci.

— Chyba nie. Do tej pory to on ostatecznie decydował, dokąd idziemy.

— Czy sprawdzał każde miejsce, nim zaczęliście rozmowę?

— Tak. Raczej tak.

Reid wie, że w takich okolicznościach sfilmowanie rozmowy odpada. Zdjęcie być może też. Pozostaje okablowanie Bella i nagranie przez niego całej rozmowy. Najgorsza z możliwości, agenci nie będą mieli wpływu na nic, co się w jej trakcie stanie. Jeśli Bell postanowi ostrzec Zacharskiego, nie zapobiegną temu. Nadal wszystko w rękach Bella. Mają trzy dni, by popracować nad Bellem tak, aby nie miał wątpliwości, że ta rozmowa to jego ostatnia szansa. Musi czuć, że walczy o życie.

Pisemne oświadczenie złożonego pod przysięgą przez SA FBI pana George'a S. Bacona.

Ja, George Bacon, po zaprzysiężeniu oświadczam, co następuje:

1. Jestem agentem specjalnym Federalnego Biura Śledczego, obecnie przydzielonym do grupy kontrwywiadowczej w oddziale w Los Angeles. Jestem agentem specjalnym od 1963 roku i byłem przydzielony do dochodzeń wywiadowczych od 1965 roku.

2. To pisemne oświadczenie jest złożone w celu poparcia powództwa przeciwko Williamowi Holdenowi Bellowi i Marianowi W. Zacharskiemu. Za pogwałcenie tytułu 18 Kodeksu Stanów Zjednoczonych paragraf 794 (a) (c), a mianowicie: konspiracja do zbierania i/lub dostarczania informacji obronnych w celu pomocy obcemu rządowi.

3. Na początku 1979 roku otrzymałem informacje, że tajne dokumenty, będące w posiadaniu Hughes Aircraft Company (HAC) z El Segundo w Kalifornii, zostały przekazane agentom obcego rządu, a mianowicie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Późniejsze dochodzenie ustaliło, że William Holden Bell, pracownik HAC, powinien być brany pod uwagę jako podejrzany w sprawie przekazania tych dokumentów agentom polskiego rządu.

4. W dniu 23 czerwca 1981 roku została przeprowadzona rozmowa z Williamem Holdenem Bellem i dostarczył on podpisane oświadczenie, w którym przyznaje się do współudziału w kradzieży tajnych dokumentów z HAC i dostawy tych dokumentów Marianowi Zacharskiemu, urzędnikowi Polish American Machinery Corporation i innym agentom rządu polskiego. Powiedział on, że obecnie jest zatrudniony jako kierownik projektu w HAC, Grupa Systemów Radarowych, budynek R1, El Segundo, Kalifornia, i ma zgodę na dostęp do materiałów sygnowanych jako tajne. Poinformował, że w końcu 1977 lub na początku 1978 roku spotkał Mariana Zacharskiego, który mieszkał w tym samym kompleksie apartamentów, gdzie zamieszkiwał on (Bell). Powiedział, że on i Zacharski zaprzyjaźnili się. Powiedział, że on w tym czasie miał pewne trudności finansowe i Zacharski powiedział mu, że być może będzie mógł

mu pomóc w wydostaniu się z tych kłopotów. Zacharski powiedział mu, że chciałby otrzymywać różne dokumenty, które są w posiadaniu HAC i byłby skłonny płacić za wszystko, co będzie przedstawiało wartość. Bell powiedział mi, że początkowo uzyskiwał tylko materiały nieutajnione, ale zdał sobie sprawę, że kiedy wziął od Zacharskiego zapłatę, znalazł się w kompromitującej sytuacji i będzie się od niego wymagać uzyskiwania dokumentów o wyższym stopniu utajnienia. Bell powiedział, że pierwsza płatność, jaką otrzymał od Zacharskiego w końcu 1978 roku lub na początku 1979 roku, wynosiła 5 tysięcy dolarów i kilka tygodni później otrzymał drugą płatność wynoszącą około 7 tysięcy dolarów. Bell powiedział, że te dwie płatności: 5i 7 tysięcy dolarów przekazano mu w rejonie kompleksu mieszkalnego. Bell oświadczył, że kontynuował dostawę utajnionych informacji Zacharskiemu i w pewnym momencie Zacharski dał mu kamerę filmową do robienia zdjęć poklatkowych, trójnóg i „specjalny" film. Bell przekazał te rzeczy FBI. Bell powiedział, że ta kamera, trójnóg i film były mu dostarczone przez Zacharskiego w ramach kompleksu mieszkalnego. Bell powiedział, że w lub około września 1979 roku Zacharski poinstruował go, że byłoby konieczne, aby Bell rozpoczął okresowe podróże do Europy, aby dostarczać za granicą filmy agentom polskiego rządu. Bell powiedział, że to zakończyło całość wymiany dokumentów pomiędzy nim a Zacharskim. Bell powiedział, że w lub około listopada 1979 roku odbył swą pierwszą podróż do Austrii, gdzie spotkał się z agentami polskiego rządu (w dalszej części nazywanych „polskimi agentami"). Bell powiedział, że Zacharski poinstruował go, aby pojechał do Austrii i wyjaśnił, jak agenci będą się z nim kontaktować podczas pobytu w Austrii. Bell powiedział, że Zacharski powiadomił go, że spotka się z nim ktoś, kto zapyta go: „Czy ty jesteś przyjacielem Mariana?". W dniu 27 czerwca 1981 roku agent specjalny James R. Pace, który jest przydzielony do grupy wywiadowczej i prowadził rozmowy z Williamem Holdenem Bellem w dniach 23, 24, 25, 26 i 27 czerwca 1981 roku, powiedział mi, że krótko przed podróżą Bella do Austrii, Zacharski poprosił, aby Bell dał mu (Zacharskiemu) swoje fotografie (Bella). Bell to zrobił. Bell powiedział, że spotkał trzy osoby, które użyły powyższego sformułowania, i on dostarczył im film z dokumentami, które sfotografował i zabrał w podróż. Bell powiedział, że w trakcie tego pierwszego spotkania, dostarczył ogółem cztery rolki filmu polskim agentom. Bell powiedział, że to w trakcie tego pierwszego spotkania z polskimi agentami został przedyskutowany sposób i forma wynagrodzenia, które będzie otrzymywał. Powiedział, że on i polscy agenci uzgodnili, iż będzie opłacany kwotą 3 tysięcy dolarów miesięcznie w walucie amerykańskiej,a także kwotą równą 60 tysiącom dolarów rocznie, bez uzgodnienia formy wypłaty tej sumy. Bell powiedział, że uzgodnili, iż otrzyma również około 3 do 5 tysięcy dolarów na wydatki, które poniósł podczas swoich podróży na spotkania z polskimi agentami.

Bell powiedział, że spotkanie zakończyło się, kiedy został poinstruowany przez polskich agentów, że kolejne spotkanie w Europie odbędzie się w maju 1980 roku i kiedy otrzymał ogólny opis informacji z HAC, które miał przywieźć ze sobą na następne spotkanie.

5. Bell powiedział, że w maju 1980 roku odbył podróż do Austrii i spotkał dwóch agentów, których poznał w listopadzie 1979 roku. Dostarczył im film zawierający część dokumentów HAC zakwalifikowanych jako tajne. W konsekwencji tego,w rozmowie w dniu 26 czerwca 1981 roku, pokazałem Bellowi dokument HAC zatytułowany: „Radar o niskim prawdopodobieństwie przechwytu. Faza I. Raport ostateczny", który zakwalifikowany jest jako tajny. Bell zidentyfikował pięć stron tego dokumentu jako te, które sfotografował, i przekazał polskim agentom.

6. Bell powiedział, że podczas drugiej podróży, polscy agenci powiedzieli mu, że sumę 60 tysięcy otrzyma w formie złotych monet. W dniu 27 czerwca 1981 roku agent specjalny Eugene B. McCarthy, przydzielony do grupy wywiadowczej, który rozmawiał z Bellem 24, 25, 26 i 27 czerwca 1981 roku, powiedział mi, że Bell zeznał, iż został poinstruowany przez polskich agentów zagranicą, że ma zaprzestać odbierania płatności w jakiejkolwiek formie od Mariana Zacharskiego. Wczesnym latem 1980 roku Zacharski powiedział Bellowi, że będzie kontynuował miesięczne wypłaty dla niego. Od czasu tej rozmowy z Zacharskim, Bell powiedział, że otrzymywał miesięczne wypłaty od Zacharskiego w wysokości około 3 tysięcy dolarów miesięcznie, w walucie amerykańskiej, do maja 1981 roku. Dodatkowo do płatności miesięcznych w gotówce, otrzymał również nieregularnie płatności od Zacharskiego w złotych monetach. Bell powiedział, że Zacharski zawsze wypłacał mu należność na terenie kompleksu mieszkalnego.

7. Bell powiedział, że pojechał do Austrii w październiku 1980 roku zgodnie z ustaleniami poczynionymi w trakcie spotkania w maju 1980 roku. Opowiedział, że spotkał jednego z polskich agentów, z którymi spotykał się poprzednio. Dostarczył mu film i otrzymał około 7 tysięcy dolarów w banknotach studolarowych. Bell powiedział, że sfotografował dwa dokumenty HAC, oba były tajne. W dniu 26 czerwca pokazałem Bellowi dwa dokumenty HAC opatrzone klauzulą „tajne", jeden zatytułowany: „Covert All Weather Gun System (CAWGS). Program zademonstrowania technologii", i drugi zatytułowany: „Covert All Weather Gun System (CAWGS). Tom II — Propozycja techniczna" Bell zidentyfikował je jako dokumenty, które sfotografował w całości i dostarczył polskiemu agentowi w trakcie tego spotkania. Bell powiedział, że on i polski agent dyskutowali również o tym, kiedy odbędzie się następne spotkanie, jak się spotkają, oraz jakimi dokumentami interesuje się polski agent. Bell powiedział, że następne spotkanie zostało zaplanowane na kwiecień 1981 roku w Szwajcarii.

8. Bell powiedział mi, że w kwietniu 1981 roku pojechał do Szwajcarii zgodnie z instrukcją i ponownie spotkał polskiego agenta. Powiedział, że dał temu agentowi pewien film dokumentu HAC z klauzulą „tajne" i otrzymał około 5 i pół tysiąca dolarów od tego człowieka. W dniu 26 czerwca 1981 roku pokazałem Bellowi dokument HAC sklasyfikowany jako tajny. Ten dokument był zatytułowany „Dual Purpose Weapon System. Study. Effort". Bell powiedział mi, że sfotografował ten dokument w całości i dostarczył polskiemu agentowi w Szwajcarii.

9. W dniu 27 czerwca 1981 roku przeprowadziłem rozmowę z James K. Eastonem, który oświadczył mi, że jest asystentem kierownika wydziału w Wydziale Programów Zaawansowanych w Grupie Systemów Radarowych HAC w El Segundo w Kalifornii. Powiedział, że jest bezpośrednim przełożonym Bella i że Bell ma dostęp do informacji z gryfem „tajne". Pokazałem mu cztery dokumenty HAC określone jako tajne, które opisane są powyżej. Powiedział mi, że każdy dokument był prawidłowo oznaczony gryfem tajności i pozostaje utajniony. Powiedział mi, że informacje zawarte w tych dokumentach dotyczą obrony narodowej Stanów Zjednoczonych. Stwierdził również, że ujawnienie bez upoważnienia informacji zawartych w tych dokumentach agentom obcego państwa mogłoby mieć poważne konsekwencje dla narodowego bezpieczeństwa i byłoby korzyścią dla obcego kraju.

10. W dniu 28 czerwca 1981 roku zostałem poinformowany przez agenta specjalnego Jamesa B. Reida, że 28 czerwca 1981 roku miały miejsce następujące fakty:

a) około 8.30 rano Bell został okablowany przez agenta specjalnego systemem do nagrywania głosu marki Narga SNST,

b) około 9 rano Zacharski był widziany, gdy wchodził do swojego apartamentu,

c) około 9.30 rano Zacharski zapukał do drzwi Bella i wyszli porozmawiać.

11. W dniu 29 czerwca 1981 roku około godziny 10.30 rano słuchałem nagrania rozmowy, która miała miejsce pomiędzy Bellem a Zacharskim. Ta rozmowa odbyła się około 9.30 rano w dniu 28 czerwca 1981 roku. Natychmiast rozpoznałem głos Bella na taśmie. W pewnym momencie, co zostało nagrane na taśmie, Bell zwrócił się do Zacharskiego po imieniu: Marian. W trakcie rozmowy słyszałem, co następuje:

a) Bell zapytał Zacharskiego, czy jest bezpiecznie, „żeby rozmawiać tutaj" i Zacharski powiedział, że jest,

b) Bell powiedział Zacharskiemu, że on (Bell) pracuje nad nowym programem i zbiera szereg tajnych dokumentów, aby je sfilmować,

c) Bell powiedział Zacharskiemu, że w trakcie następnej podróży nie chce być

opłacony w złocie i Zacharski powiedział:

„Nie ma problemu",

d) Bell zapytał Zacharskiego, czy on
(Bell) dostarczył już tajne dokumenty dotyczące określonego projektu i Zacharski powiedział: „Częściowo”,
e) Zacharski zapytał Bella, czy ma wystarczającą ilość filmu, na co Bell odparł,
że ma.

Podpisano George S. Bacon
Agent specjalny FBI
Pod przysięgą przed sędzią pokoju
Jamesem J. Penne’em w dniu 29 czerwca
1981 roku. Sprawa w Sądzie Centralnego
Dystryktu Kalifornia.
Sprawa przed sędzią pokoju.
Nr sprawy 81-671 M.

Z oświadczeniem George’a S. Bacona zapoznałem się dzisiaj, 29 czerwca 1981 roku, na kilka godzin przed wejściem na salę sądową. Wydobył je, zgodnie z prawem, mój adwokat Charles Grotts. Było ono jedyną rzeczą, którą w tamtym momencie wiedzieliśmy o mojej sprawie. Po 24 godzinach od aresztowania pod zarzutem szpiegostwa, dowiedziałem się, co na mnie mają. Całą poprzednią noc w celi zastanawiałem się, co się naprawdę stało. Gdzie pękła tak misternie utkana materia. Teraz wiedziałem: pękł Bell.

I była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem. Ostatnia. Zwykle źródłem wpadki w takiej pracy jak moja jest zdrajca we własnych szeregach lub błąd w prowadzeniu sprawy, niewystarczające jej przykrycie, złe zabezpieczenie. Niesłychanie rzadko źródło samo przyznaje się do winy. To pokazuje bowiem jego prawdziwą rolę, rolę zdrajcy. Dlaczego Bell pękł? Z oświadczenia Bacona nie wynika, by coś na niego mieli. Śledzili go, obserwowali, tak jak i mnie przez ostatnie miesiące, ale bezskutecznie. Więc dlaczego? Kto podcina gałąź, na której siedzi? Czuję mdły smak, gdy pomyślę, że w niedzielę Bill nagrał naszą rozmowę. Dlatego miał na sobie kurtkę. Żeby ukryć kable. Co będzie dalej? Gdybym był dyplomatą, wydalili by mnie w ciągu 48 godzin. Nie jestem. Niepisane zasady mówią, że w takiej sytuacji nie powinni mnie sądzić, tylko negocjować z rządem Polski „inne rozwiązania”. Myślę, że tym tropem pójdzie sprawa. Za chwilę mam stawić się przed sędzią pokoju Jamesem J. Penne’em. Zobaczymy.

Na salę rozpraw prowadzą mnie SA Knight i SA Linn, zwany przeze mnie „Chińczykiem”. Na korytarzu nieopisany tłum. Głównie

dziennikarze. Prowadzący mnie agenci krzyczą, żeby zrobić miejsce oskarżonemu. Ale i tak ledwie się przeciskamy. Wewnątrz panuje ścisk. Lądujemy w ostatnim rzędzie. Na szczęście mój adwokat jest na swoim miejscu, po prawej ręce sędziego. Więc nie ja będę bohaterem tego zdarzenia, lecz tłum. Daje mi to do myślenia.

W słowie wstępnym prokurator federalny, piastujący jednocześnie funkcję asystenta szefa Wydziału Kryminalnego, poprosił o przyjęcie oświadczenia agenta specjalnego FBI George'a Bacona (to ten dokument, który przeczytałem wcześniej), i wyznaczenie terminu na przedstawienie mi aktu oskarżenia. Jednocześnie zaapelował do sędziego, by nie wyznaczano za mnie kaucji i pozostawiono tym samym w areszcie, pozbawiając możliwości odpowiadania z wolnej stopy. Dla Bella zażądał kaucji w wysokości 100 tysięcy dolarów, z koniecznością wpłaty dziesięciu procent i poręczeniem pozostałej kwoty. Sędzia zasądził 50 tysięcy dolarów kaucji dla Bella. Mój adwokat powiedział, iż nie widzi możliwości nieorzeczenia kaucji dla mnie. Zaznaczył, że kaucja może być wysoka, ale powinna zostać orzeczona. Na to zerwał się prokurator, Robert Brewer.

— Wysoki Sądzie! Ten człowiek — w tym miejscu wskazał na mnie palcem, oskarżycielsko, zgodnie z zasadami sztuki — ten człowiek jest zbyt niebezpieczny, by pozwolić mu odpowiadać z wolnej stopy! Rozmawiałem z wieloma agentami FBI, którzy obserwowali go przez kilkanaście miesięcy. Każdy z nich potwierdzał, iż Marian Zacharski wielokrotnie gubił śledzących go agentów. Potrafił uciec, kiedy chciał i jak chciał! Granica z Meksykiem jest blisko! Wypuśćmy go, a jestem pewien, że już go nie zobaczymy! Ani na tej sali, ani na żadnej innej sali sądowej! Trwa przeszukanie jego mieszkania. Do tej pory nie znaleziono paszportu Zacharskiego! Ba, nie wiadomo, ile naprawdę paszportów ma ten człowiek!

Co on pierdoli?! Mój paszport leżał na samym wierzchu, na półce w szafce, do której dopadli, zanim jeszcze wyprowadzili mnie z mieszkania! Ale mnie nikt nie pyta. Brewer peroruje:

— Marian Zacharski jest oskarżony o najcięższe przestępstwo przeciwko Stanom Zjednoczonym. Jeśli po wydaniu zgody na to, by odpowiadał z wolnej stopy, przekroczy próg polskiej ambasady lub innej placówki dyplomatycznej, nie zobaczymy go nigdy więcej.

Po tej płomiennej przemowie sędzia Penne podjął decyzję o niewyznaczaniu kaucji. Pozostanę w areszcie do procesu.

Wszystko razem nie trwało długo, posiedzenie zaczęło się o godzinie 14, a o 14.50 byłem już na dole budynku Sądu Federalnego, czekając na

transport. Dopiero po godzinie 17 dołączono mnie do wspólnego łańcucha, z sześcioma innymi więźniami. Otwarte kajdany przełożyli przez ogniwo łańcucha i dopiero potem zapięli mi je na rękach. Wsadzili nas do vana i pojechaliśmy do więzienia federalnego Terminal Island, mieszczącego się na cyplu Long Beach przy wejściu do portu. Nazajutrz dowiedziałem się od swojego adwokata, że Bell podpisał porozumienie z prokuratorem.

> To, co poniżej, potwierdza wstępne ustalenia pomiędzy Robertem Brewerem, asystentem prokuratora Stanów Zjednoczonych, Terry Amdurem, adwokatem pana Williama Holdena Bella, i panem Williamem Holdenem Bellem w sprawie „Stany Zjednoczone przeciwko Marianowi W. Zacharskiemu i Williamowi H. Bellowi". Współpraca w tej sprawie obejmuje następujące zagadnienia (z zastrzeżeniem, iż może być rozciągnięta na inne kwestie):
>
> 1. Zgodne z prawdą zeznania dotyczące stosunków Bella z Zacharskim od 1977 roku do chwili obecnej, złożone przed Federalną Wielką Ławą Przysięgłych;
>
> 2. Zgodne z prawdą zeznania Bella w trakcie każdego procesu;
>
> 3. Współpracę z Departamentem Obrony dotyczącą oceny strat dla bezpieczeństwa narodowego, wynikających z ujawnienia przez pana Bella tajnych dokumentów agentom polskiego rządu.
>
> Jeżeli pan Bell zgadza się na wyżej wymienione warunki współpracy, strona rządowa zgadza się na następujące kroki:
>
> 1. Oskarżyć Williama Holdena Bella tylko z tytułu 18 Kodeksu Stanów Zjednoczonych, paragraf 793 (d) i, po przyznaniu się do winy z tego paragrafu, odrzucić wszystkie inne oskarżenia wynikające ze znajomości z Marianem Zacharskim i sprzedaży różnych dokumentów Polsce;
>
> 2. Poinformować sędziego Dystryktu Federalnego w trakcie ogłaszania wyroku o całości współpracy Bella.
>
> To porozumienie i wszystkie kolejne są uzależnione od prawdziwej i uczciwej współpracy oraz zeznań Williama Holdena Bella przed Federalną Wielką Ławą Przysięgłych, jak i w trakcie procesu, bez względu na to, kto i jakie zadaje pytania. Jeśli William H. Bell nie dostarczy prawdziwych informacji lub nie będzie zeznawał prawdziwie, rząd jest wolny od zachowania powyższych porozumień i tym samym oskarży Bella o złamanie tytułu 18 Kodeksu Stanów Zjednoczonych paragraf 794 (a) i (c) i wszystkie oświadczenia złożone pod przysięgą przez Williama H. Bella będą wykorzystane przeciwko niemu.
>
> Podpisano: Robert S. Brewer — prokurator.
>
> Zaakceptowano:
>
> William H. Bell
>
> Terry Amdur — adwokat Williama Bella

— Charles, o co chodzi z tym paragrafem? — pytam swojego obrońcy,

gdy tylko zapoznałem się z treścią ugody.

— Maksimum dziesięć lat i niezbyt wysoka grzywna. Przyznaje się do winy. Jeśli będzie współpracował, oskarżą go z jednego paragrafu. W innym wypadku zasądzaliby mu osobno karę za każde przestępstwo, czyli za każdy dokument, do którego przekazania się przyzna.

— A dowody przeciwko mnie?

— Na razie nic nie wiemy. Z oświadczenia Bacona wynika, iż „mieli informacje", czyli pewnie z CIA. Ale jakie informacje — nie wiadomo. To wyjdzie w czasie procesu. Dzisiaj odwiedzi cię żona.

— Dzięki.

Przez cały czas rozmowy towarzyszy nam strażnik. Nie ma mowy o najmniejszej choćby prywatności. Wszelkie apele kwitowane są wzruszeniem ramion. Podobnie jest, gdy przychodzi Basia. Jest blada, przemęczona. Stara się trzymać, ale widać, że naprawdę jest jej ciężko.

— Jakiś czas po tym, jak cię zabrali, przyszedł do nas Michael Heffron. Usłyszał hałasy na klatce schodowej. FBI nie chciało go wpuścić, ale urządził im awanturę i się zgodzili. Walczył jak lew. Powiedział im, że to nie są warunki, w których mogą przebywać dzieci, zabrał dziewczynki do siebie, na górę, a potem ja do nich dołączyłam. Nie mogłam wyjść z domu. Telewizja się o wszystkim dowiedziała i, jak pojechałeś, obstawili ulicę. Nawet na dachu sąsiedniego domu siedzieli. Koszmar. Marian, nie wierzę, że to się stało, to jak jakiś straszny film...

— Czy ludzie z konsulatu ci pomagają?

— Tak. Załatwiają formalności.

— Basiu, musisz wyjechać do Polski. Ty i dziewczynki.

— Wiem... — Basia płacze cicho.

— Tak będzie dla was lepiej. W Polsce zaopiekują się wami...

— Kto?

— Moi przełożeni... z pracy...

— Tu się nami opiekują Heffronowie... i Waldek Soszyński dzwonił. Jutro do mnie przyjedzie. Zabezpieczyli twój samochód...

— Wiem.

— Michael i Brenda powiedzieli, że nieważne, co mówią media... że oni są naszymi przyjaciółmi... Waldek tak samo.

— O której zakończyli rewizję w niedzielę?

— Nie pamiętam... oglądałam wiadomości u Heffronów... a to już było po, chyba koło dziewiętnastej...

— Więc prokurator kłamał.

— Co?

— Nieważne. Mój paszport zabrali?

— Tak.

— I co jeszcze?

— Kamerę, zdjęcia, różne rzeczy. Kazali mi podpisać takie potwierdzenie, że te rzeczy biorą w depozyt, ale powiedziałam, że niewystarczająco znam angielski, i nie podpisałam.

Patrzę na Basię z uznaniem.

Pytam o dziewczynki. Są wystraszone, ale nie wiedzą, co się stało, więc Basia mówi im, że tata pojechał do pracy. Na długo...

— Marian, w wiadomościach w niedzielę pokazali twoje zdjęcie. My nie mieliśmy takiego zdjęcia nigdy...

The KGB

the Soviet delegation to more than 1,000.

The KGB runs a parallel espionage operation using "illegals." Such agents assume a false identity, complete with a false personal history, or "legend," so they can penetrate deeply into a foreign setting. They often remain inactive for years before receiving an assignment from Moscow. Illegal Agent Rudolph Herrmann slipped into the U.S. by way of Canada in 1969 and, while posing as a freelance photographer, arranged information drops for other spies. FBI agents caught up with Herrmann because of a blunder by his KGB contact and turned him into a double agent. Herrmann "officially defected" in 1980, after receiving orders from Moscow to groom his son for the spy trade.

According to the FBI, the Soviet Union gleans about three-quarters of its intelligence from documents, publications and other sources freely available to the public. Soviet diplomats are a familiar sight on Capitol Hill in Washington, where they sit as observers at open sessions of sensitive congressional committees. Staff members in the office of former Congressman David Emery were taken aback during last year's debate over the MX ballistic missile when one brazen Soviet agent walked in looking for documents on the weapon.

Hardly any of the data obtained by such open means are of themselves damaging to national security. Still, intelligence officials fear that by arranging bits and pieces of data into a mosaic, the Soviets come up with some highly sensitive conclusions. Critics of the Freedom of Information Act claim that its provisions are so broad that even Andropov could request the same kinds of declassified information as any American. Says Edward J. O'Malley, assistant FBI director in charge of the bureau's intelligence division: "This is a problem inherent in an open society and it is not our place to draw the line."

Under Andropov's direction, the KGB has made a concerted effort to catch up with Western intelligence services in the technology of espionage. The Soviets are still lagging behind the U.S. in developing spy satellites. Only two weeks ago, a runaway Cosmos 1402 Soviet spy-in-the-sky plummeted to earth, the second such event in five years. But Moscow has made significant advances in electronic eavesdropping. Operatives from the KGB routinely monitor Western communications from embassy outposts bristling with antennas or from offshore spy trawlers. Ironically, the Soviets have benefited from the telecommunications revolution in the West. The use of satellites and microwaves to transmit telephone conversations has made it easier for KGB eavesdroppers to intercept highly confidential Government and business information.

If the KGB lags behind in technical spycraft, it is second to none in human intelligence "assets." KGB Defector Aleksei Myagkov says that between 1969 and 1974, 1,500 West Germans were recruited by the Soviets as spies. No one knows how many Americans have been enlisted, but FBI officials are sure of one thing: KGB activity in the U.S. is on the rise. Says the FBI's O'Malley: "It is evident in the ever increasing resources deployed against us, in the unrelenting effort by the KGB to recruit agents from Government, business and science, and the growing voraciousness of the Soviet appetite for science and technology."

In the 1930s and '40s, when sympathy for the Soviet experiment was high, the Soviet secret service could count on attracting ideologically committed foreign recruits. One such believer was British Intelligence Official H.A.R. ("Kim") Philby, who passed on secrets to the Soviets while serving as Britain's senior intelligence officer and, for a time, as liaison with the CIA. He defected to the Soviet Union in 1963. Now 71, Philby may have retired. U.S. intelligence experts have noticed a decline in the quality of KGB forgeries in English, a former specialty of Philby's.

The enticements for such traitorous acts today are various. In a permissive age, sexual entrapment is not as effective as it used to be, but it can still play a role in KGB blackmail schemes. In the late 1970s, a randy West German with political ambitions who had made several sexual conquests at the Leipzig Trade Fair soon learned that he was the unwitting star of a movie directed by the KGB's sister operation in East Germany, the MfS. If he did not show equal enthusiasm about climbing into bed with the secret police, agents threatened, they would turn over to the West German press photos of him wearing only his socks. West German counterintelligence foiled the plot by extracting a promise from the newspapers not to publish the photos. The KGB tried to snare U.S. Assistant Military Attaché James Holbrook in a similar "honey trap" of seductive female agents during a visit to the Ukrainian city of Rovno in 1981. He reported the misadventure to U.S. officials and was sent home.

The KGB seems to have more success abroad when it simply pays for espionage, often at a surprisingly low rate. U.S. counterintelligence experts are concerned because a growing number of Americans with little or no political convictions have taken the initiative to provide the Soviets with information purely for monetary gain. Says the FBI's O'Malley: "The KGB manual says that Americans can be bought, and unfortunately it is often true, especially in difficult economic times." A roundup of recent rogues:

▸ In 1974 a young college dropout named Christopher Boyce, then 21, got a job as a communications clerk with TRW, a California defense contractor that was working on surveillance satellites for the CIA. He was disillusioned with the Viet Nam War and Watergate. At a party in 1975, he and a childhood friend, Andrew Daulton Lee, then 22, devised a scheme to sell information to the Soviets. Lee made the first contact at the Soviet embassy in Mexico City, and over the next year and a half collected more than $60,000 for his troubles. Boyce made less: approximately $15,000. They were caught when Lee tried to contact his Soviet caseworker by throwing a message through the gate of the embassy and attracted the attention of Mexico City police. Boyce gave the Soviets valuable information, particularly about the "Pyramider,"

Hollow chess piece for hiding microfilm

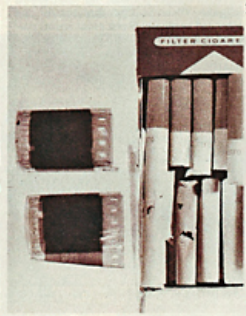

Overhead view of the chess piece; cigarettes cut to hold film negatives

"Stirlitz": Moscow's 007

Artykuł z amerykańskiego tygodnika „Time” z 14 lipca 1983 roku poświęcony działalności szpiegowskiej w USA. Autorzy, pisząc o mojej statuetce, zwracają uwagę na unikalny mechanizm zamykania — hydrauliczną zapadkę.

Marian and His Curious Friend

Neighbors, yes. And spies?

To a casual observer, William Holden Bell appeared to be the very model of a hard-working, leisure-loving Los Angeles suburbanite. A U.C.L.A.-trained radar engineer, Bell, 61, had put in 29 years with Hughes Aircraft Co., a major defense contractor once owned by the late Howard Hughes. Together with his pretty second wife Rita, a Belgian-born Pan American airlines cabin attendant, and her nine-year-old son from an earlier marriage, Bell lived in a fairly ordinary-looking condominium complex in Playa del Rey. It had the usual Southern California accouterments—tennis courts, pools, saunas and Jacuzzis. One of his neighbors there was Polish-born Marian Zacharski, 29, an affable, fast-climbing executive of the Chicago-based Polish-American Machinery Corp. Since both men enjoyed tennis and watching their children play in the pool, there seemed to be nothing extraordinary about the friendship between them. Nothing, that is, until both were arrested last week by the FBI.

What a casual observer would not have noticed about Bell and Zacharski —and their neighbors certainly missed —was a tale out of John le Carré: international espionage, replete with secret passwords, a document-copying camera, clandestine meetings with foreign agents, and payoffs made in gold. Zacharski, the FBI alleged last week after six years of not-so-casually observing him, was an undercover operative for the Polish intelligence service. According to a court affidavit filed by the bureau, he had paid Bell about $110,000 over the past three years to photograph highly classified documents detailing Hughes Aircraft radar and weapons systems. The film was passed to Polish agents and ultimately, it is believed, to the Soviet Union.

The FBI got wind of Bell's intrigues about a year ago and obtained his confession and cooperation in the investigation shortly before his arrest. Bell's motive, said Agent John Hoos, was "definitely monetary." Despite a $50,000 salary, Bell said he had been having "financial problems" when he first met his neighbor about three years ago. Zacharski offered to help him out. Equipped by his new friend with a movie camera capable of taking single-frame exposures, the Hughes engineer began photographing unclassified company documents in exchange for cash and gold coins.

Gradually, Bell later confessed, his position became more compromised, and he was required to record more highly classified plans of advanced radar and weapons systems. Bell's involvement grew deeper still in late 1979, when Zacharski told him he would have to start delivering the film directly to Polish agents overseas. During the next year and a half, Bell made three trips to Austria and Switzerland, where Polish agents would identify themselves to him with the code phrase, "Aren't you a friend of Marian?"

Hughes Aircraft suspects: Bell and Zacharski

Secret passwords and payoffs in gold

The case of Marian and his friend is just the latest example of what the FBI calls "technology transfer"—the continuing effort by foreign countries, particularly the Soviet Union, to grab American technical know-how in whatever way they can. The methods, says FBI Spokesman Roger Young, "range from the legal and overt to the covert and illegal. Sometimes they are crude to the point of a car pulling up to a technological trade show and just loading up with free literature." Because of loosely enforced Commerce and State Department regulations, says Young, "only rarely can we catch anyone as calculating as Bell." According to Kenneth Kaiser, an agency counterintelligence supervisor in Chicago, Poland is particularly active in the pirating of corporate data. Says Kaiser: "While the Soviet KGB gets all the press, Polish intelligence is perhaps superior. They, however, could care less about military intelligence; they want economic and scientific secrets. Their objective is to short-circuit development costs and undersell us." And, as the Zacharski case suggests, they are good at finding friends in the right places. ■

Scared to Death

Naked violence in New York

Just before dawn, a pack of Times Squar ruffians comes running wildly after a terr fied, nearly naked young man. The mob close behind, screeching, cursing, lobbin bottles and beer cans at the victim . . .

In New York City it is not unusual, a any time and in most places, to com upon a movie crew filming an incredibl scene. But this demented episode was di turbingly real. At 5 a.m. on June 27 Ge rard Coury, 26, straight-arrow son of middle-class family, was chased by a gan of some 40 youths into a subway statio as onlookers jeered him. He leapt past po lice, who tried to subdue him, and ont the tracks, where he died—perhaps fro touching an electrified rail, or maybe fro sheer fright.

None of the pursuers was charge with a crime. Shrugs a New York polic spokesman: "We have a dead body on th subway tracks. Murder doesn't come int it." Yet just why the youths assaulted th young stranger remains a mystery—o why they laughed as he died. Says a p liceman who had tried to rescue Cour "They all thought it was a big joke."

Coury grew up in Torrington, Conn a well-scrubbed factory town set in th Berkshire Hills. In high school he was football player, student council membe class officer, honor roll regular. H dropped in and out of Fairfield (Conn University for a couple of years and the held odd jobs close to home. "He was try ing to get his act together," says his broth er Nimar. Recently a family friend Washington, D.C., offered him a waiter job. One morning he boarded a bus fo New York City on his way to Washing ton. Says Nimar: "Before he left he said 'How great it is to be a human being.'"

Two days later police at Grand Cen tral Terminal found Coury wanderin through the rush-hour crowds, withou shoes or shirt. He had been mugged, h told them. He used their phone to ca home. "Gerry's voice was a bit agitated, recalls Nimar. "He said, 'Mom, they too everything: my shoes, my shirt, my jack et, wallet, everything. Mom, get me ou of here.'" The Courys said they woul try to contact friends in suburban Ne Jersey to help him. Coury waited near th police post until midnight. A few hour later he was Times Square, run ning from the heck ling mob. Anothe brother, Charle says Gerry wa "accosted, beate stripped and aban doned in New Yor City. I certainl would have freake out after that."

Gerry Coury

Pierwsze artykuły w amerykańskich tygodnikach, które ukazały się zaraz po moim aresztowaniu. Są w nich, oprócz mojego, zdjęcia Billa Bella.

„Time" z 13 lipca 1981 roku.

AP AP New York Times

Secret sharers: Bell (left), Zacharski and Wesolowska, Hughes radar headquarters

Bart Bartholomew—Black Star

Poland's Man in Playa Del Ray

William Holden Bell, a middle-aged engineer for the Hughes Aircraft Co., had a money problem. He had just emerged from a messy divorce and married a Pan Am stewardess 25 years his junior. He wasn't a flashy type, but he did buy an expensive new car, began to travel more and he especially wanted $12,000 for a down payment on a condominium situated on an ocean bluff in Playa Del Ray, Calif. That was a few years ago—and Bell chose to avoid a bank in relieving his financial pressures. Instead, the congenial 29-year veteran of one of the nation's largest defense contractors wagered his career and reputation by agreeing to sell secrets to a spy for the Polish Government.

Bell lost his bet: last week FBI agents arrested him and Marian W. Zacharski, 29, a Polish national recently named president of the Polish American Machinery Corp., an Illinois-based firm 90 per cent owned by the Polish Government. As the two men were arraigned on espionage charges in a Los Angeles courtroom, U.S. officials were beginning to realize that Bell's betrayal had caused some serious damage. Although Bell did not have access to "top secret" company documents, he admitted he delivered "secret" information that included photographed documents of some of Hughes's newest weapons and radar systems to Polish agents. Officials assumed the information already had been passed to the Soviet Union, causing what one official called a "very serious" breach in national security.

The episode is the latest in what U.S. officials call a concerted, Soviet-inspired effort to pirate U.S. military and technological secrets from American industry.* NEWSWEEK has learned, for example, that the Soviets have targeted the super-secret stealth-bomber program as their next major espionage objective, prompting efforts to tighten U.S. security procedures for all defense installations involved in the project. But in this new era of industrial spies, many of them motivated by money rather than an ideological commitment to communism, few high-tech companies are safe. With more communist diplomats, students and trade groups in the United States than ever before, the FBI alerted defense contractors to be on the lookout for anyone who seems interested in more than a plant tour. "In the last decade," says Edward O'Malley, the FBI's assistant director for intelligence, "the threat has increased substantially."

William Bell serves as a reminder of how serious that threat has become. Bell joined Hughes in 1952, passed the extensive background checks that gave him access to classified material and became project manager for Hughes's radar-systems group in 1976. In late 1977 or early 1978, according to affidavits filed in court last week, Bell met Zacharski at the condominium complex where both men lived quiet lives with their families. They became friends, tennis partners and confidants; when Bell mentioned his money problems, Zacharski offered help—in exchange for the right Hughes documents. Nearly a year after their first meeting, Bell delivered some unclassified documents for $5,000. A few weeks later a $7,000 payment was made—and Bell realized that he had compromised himself and would have to deliver "secret" documents to satisfy his new benefactor.

The operation quickly became the stuff of a B-movie thriller. Zacharski furnished Bell with sophisticated spy gear, including special film and a motion-picture camera capable of taking single-frame exposures. In November 1979 Bell made the first of four furtive flights to Europe where he hand-delivered rolls of film to Polish agents who identified themselves with the code phrase, "Aren't you a friend of Marian's?" It was agreed that Bell would be paid $3,000 a month in U.S. currency and a lump sum of $60,000 a year, plus travel expenses. In exchange, Bell was told what documents the Polish agents wanted—and Bell furnished them in two trips to Austria in 1980 and one to Switzerland last April. For his trouble, Bell says he received a total of $110,000, mostly in $100 bills and gold coins.

FBI officials suspected Zacharski of being a Polish spy almost from the moment he arrived in the United States in 1977. They also knew in early 1979 that classified radar documents at Hughes were being transmitted to Polish agents. But Bell escaped notice by making most of his drops in Europe. Finally, a "sensitive source" tipped the FBI to the scheme, and agents confronted Bell on June 23. He immediately confessed and agreed to cooperate.

'No Problem': To snare Zacharski, FBI agents wired Bell with a recording device, and last week the two men held their final meeting, talking about new secret documents to be filmed and Bell's request that he be paid in cash rather than gold. "No problem," Zacharski replied. Hours later both men were arrested—just two weeks before Zacharski was to move to Illinois to head his company's U.S. operation.

After an arraignment last week on charges that the two men conspired to gather and deliver information to aid foreign governments, Bell was released on $50,000 bond. Zacharski was held without bail: officials feared that he might flee to the nearest Polish Consulate, ruining their hopes of convicting him of espionage and then arranging a prisoner swap for Alicja Wesolowska, a former United Nations employee convicted in Poland in 1980 of spying for the West. Both men could be sentenced to life in prison if convicted, but with Wesolowska as the new wild card William Bell may be the only one to ever serve time.

MICHAEL REESE with JANET HUCK in Los Angeles and ELAINE SHANNON in Washington

*In a somewhat similar case four years ago, Christopher Boyce, a young clerk for TRW, Inc., in Redondo Beach, Calif., was convicted of using his security clearance to obtain secret documents on a proposed satellite system that would have enabled U.S. agents to communicate with each other. Boyce allegedly released the documents to a Soviet agent and was sentenced to prison in Lompoc, Calif. He escaped last year and is still at large.

„Newsweek” z 13 lipca 1981 roku.

INTERNATIONAL

tunity to Poland's Roman Catholic Church. In the past the church had tried to mediate between the government and the workers. Those efforts were alive despite what diplomats called "clear signs of pressure" to tone down pro-Solidarity comments by pastors during church services—the only time Poles may congregate legally. Some priests were sent to detention camps, according to church sources in the West; others were beaten in Wroclaw and Gdansk.

Still, Jaruzelski went out of his way to respect the religious faith of most Poles. As Christmas approached, the government lifted the nighttime curfew for Christmas Eve so that Catholics could attend midnight Mass. It also permitted the services to be broadcast nationwide. The most positive sign was that the government allowed Bishop Bronislaw Dabrowski, who is considered second only to Glemp in the Polish hierarchy, to leave Poland to deliver a firsthand report to Pope John Paul II—the church's most enthusiastic advocate of an active mediating role in the crisis. And the government allowed the Pope to send his top East European expert, Archbishop Luigi Poggi, to Poland on a fact-finding mission.

Dialogue: John Paul kept a line open to Washington as well. The Pope's Secretary of State, Agostino Casaroli, flew to Washington and met privately with Ronald Reagan last week, then rushed back to the Vatican, where he was closeted in top-secret talks with the Pope, Dabrowski and other church officials. As Dabrowski returned to Poland after just 48 hours in Italy, he would say only: "The church's task is to try to get a dialogue going again between the two sides in Poland. Like a mother, the church must save all its children."

During the first week of Polish military rule, Reagan had played only a peripheral role in organizing a U.S. response. But last week the President attended virtually every White House meeting of substance on the Polish crisis. "His ire is rising," said one White House insider. "He's been more emotionally involved"—as were two of his top aides, Michael K. Deaver and James A. Baker III, who began sporting yellow and black Solidarity buttons. Reagan seemed genuinely moved when he received defecting Ambassador Spasowski and his wife, Wanda. During their fifteen-minute private talk, as he asked that Americans light candles for his countrymen, Spasowski lost his composure and his wife buried her face in her hands. Reagan's own eyes filled with tears as he comforted Mrs. Spasowski. Spasowski urged that Reagan meet Jaruzelski's firmness with firmness, and he suggested another tactic that Reagan ultimately adopted: insisting that private agencies monitor the distribution of food to Poland.

The Reagan Administration decided to exert gradual but steadily increasing U.S.

'I Cannot Be Silent'

"Ladies and gentlemen, I am the ambassador of Poland to Washington." As he faced the cameras in Washington early last week, the tall, sad-faced man looked the epitome of an old-world envoy. But instead of a diplomatic démarche, Romuald Spasowski uttered a cry from the heart. "I cannot be silent," he said. "I shall not have any association . . . with the authorities responsible for this brutality and inhumanity." With that, Spasowski announced his resignation as one of Poland's premier diplomats and his defection to the United States. "I have decided this," he said, "at the moment I have learned that Lech Walesa, the most beloved leader of Solidarity, is arrested and kept by force."

Spasowski's act provoked a caustic reaction from Warsaw. The military regime accused its former envoy of "increasingly frequent incompetence," attributable to "psychological depression connected with personal experiences." The Polish Government also charged that Spasowski had slandered Poland "for the pieces of silver of a Judas" and said that it would start criminal proceedings against him in absentia. "This act of betrayal will be assessed as it deserves, by the competent organs of justice," declared Warsaw Radio.

Protective Custody: Only a day before his defection was announced, Spasowski formally requested asylum in a call to John Scanlon, Deputy Assistant Secretary of State for European affairs. He was soon placed in protective custody along with his wife, Wanda, his daughter, Maria, and his son-in-law, Andrzej Grochulski.

Spasowski's disillusionment with Polish communism had been building for years. The son of a leading leftist intellectual who committed suicide after torture by the Nazis, he joined the Polish Communist underground during World War II, fled to the Soviet Union and fought his way home alongside Russian troops beating back the Germans. As a member of the postwar Polish diplomatic corps, he served as ambassador to Argentina, Washington and India and in top Warsaw Foreign Office jobs before his second posting to Washington in 1978. As he rose in influence, doubts began to plague Spasowski. The appointment of a Polish Pope affected him profoundly, partly because his wife is an ardent Catholic. The rise of Solidarity also fired his sense of Polish nationalism. Describing himself to a Carter Administration official as a "former Marxist," he began to bank on the hope that Polish communism could reform itself. That hope was shattered when Gen. Wojciech Jaruzelski called out the military.

UPI

The Spasowskis with Reagan at the White House: Solidarity

Other Poles abroad share Spasowski's disenchantment. In Tokyo, Polish Ambassador Zdzislaw Rurarz, his wife, Janina, and daughter Ewa walked into the U.S. Embassy and asked for American asylum, which was promptly granted. A group of Polish sailors—plus the wife and child of one of them—fled the Polish freighter Phenion and asked for asylum in Japan. Other sailors jumped ship at ports in Alaska, Canada, Norway and Italy. In Austria, where 25,000 Poles have arrived on temporary visas, hundreds filed for papers to stay. After his own defection, Spasowski and his family were spirited away to government-supplied housing "in the broad area" of Washington, a U.S. official said. The Polish Embassy in Washington refused requests for information on its former chief—and in fact seemed to treat him almost as a non-person. "His behavior is now well known to everyone," said one functionary. "This chapter is closed."

FAY WILLEY with DIANE WEATHERS in Washington and bureau reports

Ambasador Polski w Waszyngtonie prosi o azyl (pani Spasowska i Ronald Reagan) — „Newsweek" z 4 stycznia 1982 roku.

— Jakie zdjęcie?

— Takie jeszcze sprzed naszego ślubu. Widziałam je tylko raz, u twojej mamy...

To zastanawiające. Nie wiem, o które zdjęcie może chodzić, ale Basia ma pamięć do takich spraw.

— Za jakieś dwa tygodnie mają być gotowe dla nas papiery na wyjazd. Ale nie wiem, czy powinnyśmy jechać...

— Musicie. Proszę cię o to. Będę tu wariował z nerwów, że jesteście same, bez opieki. Chcę, żebyś pojechała.

— A ty?

— A ja? A ja się będę bronił.

Potem Basia była u mnie jeszcze dwa razy. Mówiła, że w zastępstwie szefem Polamco został Myśliwiec. Znam faceta i nie mam żadnego powodu, by go lubić. Wydał wszystkim pracownikom Polamco zakaz udzielania pomocy mojej rodzinie. Nóż mi się otworzył w kieszeni. Co za skurwysyn! Drugi, który równie gorliwie zadziałał, to Słowiński, dyrektor techniczny. Ten z kolei natychmiast po moim aresztowaniu udzielił amerykańskiej prasie wywiadu, w którym sam mnie oskarżył i osądził. Powiedział, że Zacharski nie jest już pracownikiem Polamco. Jeden i drugi to partyjne gnojki! Zawsze się puszyli, posady w Stanach były tym, czego najbardziej w życiu nie chcieliby stracić! Więc teraz będą skakać jak pieski na dwóch łapkach przed Amerykanami, byleby tylko im się przypodobać! Polacy. George Amberg, mój amerykański zastępca w Los Angeles, jak mówi Basia, zachowuje się zupełnie inaczej. Co dzień do niej dzwoni i pyta, w czym pomóc. A do Słowińskiego ponoć zadzwonił po tym artykule i powiedział mu, co o nim myśli. Basia widziała się z Ritą. Podczas aresztowania nie było jej w Los Angeles, dowiedziała się z telewizji. Spotkały się przypadkiem. Rita powiedziała jej, że Bill będzie współpracował z federalnymi, ale jeśli go wsadzą, to ona nie zamierza sobie ani marnować życia, ani nawet odwiedzać go w więzieniu. Nie spodziewałem się po niej niczego więcej. Ciekawe, czy Bill już o tym wie.

12 lipca odwiedza mnie konsul Zbyszek Kudaś. Studiowaliśmy prawo na jednym roku. Przyleciał do Los Angeles, żeby spotkać się ze mną, odbyć konferencję z moim obrońcą i uczestniczyć w posiedzeniu sądu. To ostatnie dotyczy wyznaczenia sędziego, ustalenia terminów sądowych i rozpatrzenia wniosku obrony o zwolnienie mnie za kaucją. Kudaś na koniec pobytu ma pomóc Basi w wylocie do Nowego Jorku, skąd będzie miała samolot do Polski.

Kudaś mówi mi, że sytuacja jest poważna, nie wszystko zależy od nas.

— Panie konsulu, Zbyszku, minęły dwa tygodnie od mojego aresztowania! Nie rozumiesz, że oczekiwałem, iż ktoś z konsulatu pojawi się wcześniej?

— Rozumiem, ale proszę cię o cierpliwość, sprawa jest skomplikowana, a mimo to działamy. Kilkudniowy brak wiadomości z kraju jeszcze nie oznacza, że się nic w tej sprawie nie robi!

— Właśnie dlatego, że sprawa jest skomplikowana, trzeba działać błyskawicznie. Nie rozumiesz, że jak media rozpętają wojnę, to już nic się nie da zrobić? Siedzę tu i nie mam od was żadnych wiadomości. Jak mam się czuć?

— Jakie masz warunki?

— Już lepsze. Przenieśli mnie do innej celi. Tamta była wilgotna i kompletnie odizolowana od reszty budynku. Teraz mam celę najbliżej biurka wartownika, mówią, że dla mojego bezpieczeństwa. Właściwie trzymają mnie samego, od czasu do czasu dokwaterowują kogoś, ale na chwilę. Co trzy dni spacer, godzina. Mogłoby być więcej. Mogę dostawać coś do czytania.

— A inni więźniowie?

— Od czasu do czasu mam jakieś zatargi. Staram się nie reagować, nie wdaję się w dyskusje. Wiesz przecież, że mam zaostrzony dozór. Trzymają mnie ze skazanymi, nie z zatrzymanymi. Jako zatrzymany mógłbym oglądać telewizję, wychodzić na korytarz. A tak jestem kompletnie odizolowany. Nie mam pojęcia, co się dzieje na zewnątrz. To też nie poprawia mi nastroju.

— Gdyby sytuacja w więzieniu się zaostrzyła, natychmiast daj znać. Zresztą pomówię z adwokatem, żeby spróbował coś zrobić. Będziemy w stałym kontakcie telefonicznym, żebyś miał na bieżąco informacje, co się dzieje w twojej sprawie.

— Co z moją rodziną?

— Opiekujemy się nimi. W kraju się nimi zajmą, o Basię możesz być naprawdę spokojny.

— Wiesz, że jak wróci, nie będzie miała gdzie mieszkać? Nie mieliśmy swojego mieszkania.

— Wiem, wiem. Ale mówiłem ci, nie martw się. W kraju już o tym wiedzą, Basia dostanie jakieś mieszkanie.

Potem wylatuje, a wraz z nim moja żona i córeczki.

Ostatni raz rozmawiam z Basią już przez telefon. Dzwoni do mnie z lotniska w Nowym Jorku. Mówi, że Kudaś przywiózł ją i dziewczynki na lotnisko w Los Angeles i zostawił. Doleciała do Nowego Jorku. Spotkała się z dwoma przedstawicielami polskiego konsulatu. Pożegnali się z nią przed *gatem*. Okazało się, że samolot jest odwołany. Musiała do nich dzwonić, żeby po nie wrócili. Jasna cholera! Jest sama z dwójką małych dzieci! Za kilka godzin odleci razem z Małgosią i Karolinką do Polski.

Konsulat polski w Chicago wynajął dla mnie nowego obrońcę. Wybór padł na adwokata Edwarda Staduma z kancelarii Shiver and Stadum. To z

nimi spotykał się Kudaś podczas swojego pobytu. Charles Grotts był w porządku, ale zdecydowanie za młody, zbyt mało doświadczony na taką sprawę. Stadum ma opinię sprawnego i niezwykle inteligentnego prawnika. Szybko wprowadza mnie w zawiłe procedury amerykańskiego sądownictwa. Tłumaczy, że kilka dni temu prokurator stanął przed Wielką Radą Przysięgłych, która ma za zadanie zatwierdzić sformułowany przez prokuraturę akt oskarżenia. Prokurator przedstawił im tok postępowania, dowody, specjalnego agenta FBI Bacona i... Billa Bella, który od momentu podpisania ugody stał się głównym świadkiem oskarżenia. Wielka Rada wysłuchała ich, a teraz zdecyduje, czy na podstawie tego, co jej przedstawiono, można postawić oskarżenie i zatwierdzi jego kształt. Tymczasem zostaje wybrany przez władze Sądu Okręgowego sędzia mający rozpatrywać moją sprawę. Czekamy. Ale Stadum już zaczyna pracę.

Pierwszą rzeczą, jaką udaje mu się załatwić, jest... ścianka z dykty. Wysłał pismo do sędziego, w którym zaprotestował przeciwko brakowi elementarnej prywatności w kontaktach ze swoim klientem, czyli ze mną. Zareagowali dość szybko. Ścianka w pokoju wizyt stanęła. Jest w niej okienko. Muszą mieć mnie na oku. Przyznano mi też prawo do godziny spaceru dziennie.

Przychodzi decyzja, że Wielka Rada zdecydowała o postawieniu aktu oskarżenia.

Jako sędziego powołano Davida V. Kenyona. Edward Stadum mówił, że to nie jest dla nas dobra wiadomość, bo sędzia afiszuje się wręcz swoim patriotyzmem, a do tego mówi się, iż jest przyjacielem prezydenta Ronalda Reagana. Zdecydowanie konserwatywny. To już wystarczy. Ale z kolei, jak mówił mój adwokat, inne opinie przedstawiają go jako człowieka wrażliwego. A wśród adwokatów ma przydomek „niedecyzyjnego”, zmiennego. Jak powiedział Stadum, sędzia Kenyon mógłby tę samą sprawę rozsądzić na dwa odmienne sposoby, zależnie od tego, jaki ma dzień.

Już 13 lipca mam się przed nim stawić, wiozą mnie rano do budynku Sądu Federalnego i czekam tam do popołudnia. O 14.30 sędzia wzywa mnie. Jowialny, postawny mężczyzna, łysiejący, na nosie ma okulary w drucianych, cieniutkich oprawkach.

Pyta mnie, czy przyznaję się do popełnienia przestępstwa, jakim jest konspiracja (zmowa) w celu zbierania i/lub dostarczania informacji związanych z obronnością Stanów Zjednoczonych, w celu pomocy obcemu rządowi, tytuł 18, paragraf 794 (d). Patrząc na mnie zza okularów, wydaje się wręcz dobroduszny. Ponieważ nic nie mówię, dodaje, „po ludzku”: „Czy przyznaje się pan do szpiegostwa na rzecz polskiego wywiadu?”.

Odpowiadam, że się nie przyznaję. Formalność. Koniec spotkania.

Ponieważ się nie przyznaję, teraz mają prawo wytoczyć mi proces. A obrońca może znów składać prośbę o zwolnienie za kaucją.

Pytam Staduma, jak jest w wypadku Billa.

— Bell się przyznał, to wiesz. Ale formalnie, aby się przyznać do winy, też musiał mieć postawiony akt oskarżenia. Teraz, kiedy w świetle prawa oświadczył, że jest winny, proces przeciwko niemu się nie odbędzie, bo nie ma po co. On będzie czekał tylko na orzeczenie kary. Dlatego w tej ugodzie z prokuraturą zawarli dopisek, że oskarżyciel poinformuje sąd o całości współpracy Bella, żeby sąd mógł wziąć to pod uwagę przy orzekaniu wyroku.

— Na co może liczyć Bell?

— Liczyć może na wszystko! — Stadum roześmiał się. — Nie wiesz ani ty, ani ja, co mu prokurator obiecał na ucho. Brewerowi zależy, żeby Bell dał z siebie wszystko, żeby oskarżył cię i dowiódł twojej winy. Mógł mu więc powiedzieć, że jak się ładnie spisze w sądzie, to może nawet sędzia go uniewinni. Powiedzieć mu tak mógł.

— A realnie?

Stadum zadumał się.

— Realnie?... To zależy, czy Bell oprócz pokazania, że jesteś winny, nie zechce przekonać przysięgłych, że na przykład pracował dla ciebie pod przymusem.

— Niemożliwe!...

— Pytasz, to ci odpowiadam. To pasowałoby prokuratorowi, zrobić z ciebie szpiega i groźnego przestępcę, który siłą zmuszał Bella do współpracy.

— Ale to niemożliwe, musiałby to jeszcze jakoś udowodnić!

— No więc właśnie. Słuchaj, Bell dostanie maksymalnie dziesięć lat i grzywnę. Tyle może dostać z tego paragrafu. Jak będzie przekonujący, biedny, pokrzywdzony, może dostanie pięć.

— A ja?

— Zadajesz mi trudne pytania.

— Wolę się przygotować. Do niedawna wciąż miałem nadzieję, że procesu uda się uniknąć.

— Marian, te dowody, o których wiemy, są słabe. Każdy z nich można obalić, a przynajmniej podważyć, z wiarygodnością Bella włącznie.

— Dobrze, a jeśli to ci się nie uda?

— Sędzia ma dużą możliwość manewru. Z punktu „c” może dać ci karę śmierci, dożywocie lub więzienie w dowolnej ilości lat. Kara śmierci odpada, bo stosuje się ją tylko, jeśli chodzi o państwa będące w stanie

wojny z USA, dożywocie raczej też, bo musieliby mieć naprawdę niezbite dowody winy. Jeśli nie uda nam się podważyć dowodów, to wyrok będzie wysoki.

— Ile?

— Marian, nie wiem, wszystko w rękach sędziego. Może dziesięć, może dwadzieścia lat. Jako obcokrajowiec jesteś w trudniejszej sytuacji, zwykle kary dla obywateli amerykańskich są niższe.

Zaczęliśmy ustalać podstawową strategię obrony. Stadum nie dawał za wygraną; zaczął od wystąpienia do Sądu Apelacyjnego, a także do Sądu Najwyższego o ustanowienie kaucji. Poparł to pisemnymi oświadczeniami moich amerykańskich znajomych. Z ich uzyskaniem nie miał najmniejszych problemów.

Thomas A. Walker oświadczył, że jego firma jest ważnym dystrybutorem obrabiarek Polamco na terenie Południowej Kalifornii. Zna mnie jako szefa tego biura od około czterech lat. Współpracował ze mną blisko i spotykaliśmy się często, zwykle co tydzień. Był ze mną trzy razy w podróży biznesowej do Polski i raz w Chicago, raz w Filadelfii oraz w innych miastach USA. „W moich kontaktach z Marianem Zacharskim (pisze w oświadczeniu dalej Tom) nigdy nie zauważyłem nic ponadto, iż jest odpowiedzialnym i odnoszącym duże sukcesy biznesmenem. Zna swoją pracę i odniósł bardzo duży sukces biznesowy w Południowej Kalifornii. Pracuję w tej branży wiele lat i znam wiele osób. Według mojej opinii, Marian Zacharski jest osobą godną zaufania. W interesach mogłem mu zawsze zaufać, honorował swoje ustne uzgodnienia i czułem, że mogę polegać na jego słowie”.

Drugie oświadczenie przygotował Stadumowi Robert A. Worrell, duży dealer maszyn z rejonu San Francisco. Napisał w nim między innymi:

„Osobiście znajduję Mariana Zacharskiego jako bardzo lubianego, inteligentnego, ciepłego człowieka. Obcowanie z nim było prawdziwą przyjemnością. Zrobił na mnie wrażenie osoby o wyjątkowym charakterze moralnym. Osobiście uważam go za człowieka, którego uczciwość jest zdecydowanie wyższa niż większości ludzi w biznesie. Zawsze mogłem polegać na jego słowie. W trakcie mojej kariery miałem do czynienia z wieloma szanowanymi biznesmenami o wielkiej uczciwości, w tym z szefami dużych korporacji, i Marian Zacharski jest jednym z najlepszych tego typu ludzi, jakich spotkałem.

Michael Heffron napisał, że zna mnie od ponad czterech lat. Miał okazję obserwować mnie często. Aż do dnia aresztowania i oskarżenia nigdy nie

miał powodu wierzyć, że byłem kimś innym niż człowiekiem, jakim mu się wydawałem, to jest prawym i odpowiedzialnym biznesmenem. Uważa, iż byłem niezwykle oddany swojej firmie,

Bardzo dużo pracowałem i byłem efektywny w tym, co robiłem. Dalej mówi, że jeżeli będę wypuszczony za kaucją i wrócę do mieszkania w Playa del Rey, to będę powitany przez swoich sąsiadów. Dodatkowo (pisze Michael), od czasu mojego aresztowania, otrzymał wiele wiadomości od klientów Polamco i innych moich znajomych, którzy byli serdeczni i wyrażali gotowość niesienia pomocy, jeśli zaistnieje taka potrzeba.

3 sierpnia 1981 roku o godzinie 15.30 Stadum stanął przed sędzią Kenyonem z wnioskiem o wypuszczenie mnie za kaucją. Argumentuje, iż Konstytucja Stanów Zjednoczonych nawet w wypadku takiego oskarżenia, jakie zostało postawione, daje mi prawo do kaucji i odpowiadania z wolnej stopy. Wskazuje propozycje gwarancji:

1. Gwarancja konsula generalnego PRL, że zabezpieczy obecność Zacharskiego podczas trwania procesu na wszystkich posiedzeniach sądu;
2. Zdeponowanie w sądzie paszportu Zacharskiego (na razie i tak ma go FBI);
3. Ograniczenie swobody poruszania się Zacharskiego do terenu osiedla Cross Creek Village;
4. Wyznaczenie przez sąd agencji, w której Zacharski będzie się meldował w określonych terminach i telefonował kilka razy dziennie;
5. Objęcie Zacharskiego dwudziestoczterogodzinną obserwacją FBI lub US Marshals;
6. W ostateczności uznanie konieczności stawiania się na noc do więzienia przez Zacharskiego, a spędzanie dnia w miejscu wyznaczonym, ale poza aresztem.

Końcową gwarancją jest złożenie kaucji, o co wnosi mój adwokat, zaznaczając, iż mowa o kaucji porównywalnej z innymi sprawami o szpiegostwo. Na końcu dodaje, iż rząd polski godzi się na wydanie gwarancji za Zacharskiego, oraz że przedstawia sądowi trzy oświadczenia złożone przez osoby znające Zacharskiego.

Czekamy, co dalej.

Tymczasem rozpoczęcie procesu wyznaczono na 13 października 1981 roku, na godzinę 9.30.

Stadum był świetny w wysuwaniu wniosków formalnych. Przyjął strategię, by maksymalnie utrudnić prokuratorowi życie.

To, co w założeniu miało być strategią, szybko okazało się niezbędne do

prowadzenia sprawy, do skutecznej obrony moich interesów.

Krótko przed rozpoczęciem procesu mój adwokat dowiaduje się bowiem, że bez jego udziału odbyły się trzy sesje *in camera* (w pokoju sędziego). Uczestniczył w nich oskarżyciel i sędzia. Gdy Stadum żąda informacji na ten temat, okazuje się, że chodzi o dopuszczenie do procesu materiałów dowodowych bez ujawniania źródła, z którego skorzystano dla zbudowania podstawy prawnej, na jakiej zostały dopuszczone.

Pod znakiem zapytania staje więc natychmiast legalność działania FBI, w tym podsłuchów, które założyli na moim domowym telefonie, idąc dalej, można, jak twierdzi mój obrońca, starać się podważyć wszystko, co się do tej pory wydarzyło.

Edward Stadum składa więc natychmiastowy protest. Wykazuje elementarny brak prawnie gwarantowanej równości stron w obliczu sędziego. Żąda unieważnienia procesu.

Ponieważ nie ma odpowiedzi na jego protest, a termin rozprawy się zbliża, Stadum składa 11 października pilną petycję do sądu, mającą na celu opóźnienie procesu.

Wyjaśnia w niej zwięźle, że nie miał możliwości prawidłowego przygotowania się do obrony swego klienta, ponieważ jest mu odmawiany dostęp do informacji, na temat tego, co było treścią spotkań oskarżyciela i sędziego (*in camera*). Ponieważ sprawy poruszane w czasie tych spotkań stanowić mogą istotne składniki obrony wobec oskarżeń, odmawianie nam dostępu do informacji wpływa na nieprzygotowanie należytej obrony. Jednocześnie Stadum wskazuje, iż jego petycja w sprawie kaucji znajduje się obecnie w Sądzie Najwyższym USA, więc także z tego powodu należy opóźnić rozpoczęcie procesu. Pisze także, iż warunkowanie rozpoczęcia procesu planami urlopowymi prokuratora oraz trudnościom w dotarciu do sądu świadków w innym terminie nie może przeważać gwarantowanego konstytucją prawa do sprawiedliwego procesu. A sprawiedliwym nie może być proces, do którego obrona nie będzie przygotowana.

Czekamy na odpowiedź. Temperatura rośnie.

— Marian, mówi się, że sprawy szpiegowskie można porównać tylko do procesów czarownic! — mówi do mnie z krzywym uśmiechem Ed Stadum. — Zaczynają z nami ostro i nie fair.

— Ja się zastanawiam, dlaczego w ogóle doszło do procesu. Przecież zwykle, z racji charakteru sprawy i niechęci strony rządowej do ujawniania tajemnic w trakcie rozprawy, celowo unika się procesu.

— Polityka, niestety! Reagan chce wystąpić do Kongresu o zwiększenie wydatków na zbrojenia. Niewykluczone, że to jest powód, dla którego

twojej sprawie nadano od początku taki rozgłos. Chodzą słuchy, że w Departamencie Sprawiedliwości od jakiegoś czasu szukają nowych rozwiązań. Odkąd nastał tam John Martin, strona rządowa chce znaleźć sposób, jak sądzić o szpiegostwo i jednocześnie na sali rozpraw nie ujawniać tajemnic państwowych. Poczekajmy, jak odpowiedzą na odwołanie.

Odpowiedzią jest list prokuratora generalnego Williama Frencha Smitha do sędziego Kenyona. Prosi w nim o nieujawnianie treści materiałów dowodowych, które zostały mu przedstawione, ze względu na bezpieczeństwo narodowe Stanów Zjednoczonych. I jednocześnie prosi o włączenie do procesu materiałów przedstawionych przez stronę rządową. Jedyne, co możemy się z tego dowiedzieć, to fakt, iż zawierają one dane osobowe źródła, które ujawniło moją przynależność do struktur polskiego wywiadu i wskazało elementy, które pozwoliły na podejrzenia w stosunku do Bella. Jak widać, strona rządowa znalazła furtkę: dopuścić dowód, ale nie pokazać podstawy jego legalnego uzyskania obronie. Jego pełną treść zna oskarżyciel i sędzia.

Skoro tak, to oznacza, że mieli poważny przeciek, który doprowadził ich do wejścia na trop tej sprawy. Na tyle poważny, że, zgodnie z zasadami sztuki, będą osłaniać źródło tego przecieku. Cholera jasna! Kto to jest i ile wie o sprawie? Ale niezależnie od tego, że korzystali z informacji pochodzących od zdrajcy po stronie polskiej (bo czym innym jest w tym wypadku źródło?), nie znaleźli podstaw, by sądzić mnie z „a” („a” to „dostarczenie obcemu rządowi”). Czyli nie mają dowodów, że dostarczyłem coś stronie polskiej. Wiedzą tylko, że jestem w to zamieszany, stąd „d” — konspiracja w celu dostarczenia. Analizuję wszystko, ale to równanie ze zbyt dużą ilością niewiadomych, zwłaszcza że, jak pisze prokurator generalny, obrona niczego się na ten temat nie dowie.

Mimo ewidentnej nierówności stron, sędzia Kenyon zgadza się ze stroną rządową i dopuszcza materiały do procesu.

Chwilę wcześniej rozgrywka przenosi się na łamy gazet.

Prokurator Brewer w „Daily Breeze”: „Pomimo zgody Bella na współpracę proces Zacharskiego będzie trudny. Mam świadomość, że będzie ciężko. Mamy do czynienia ze zbrodnią szpiegostwa. Jej istotą jest tajność. W takich sprawach trudno o dowody”.

Obrońca Stadum w „Daily Breeze”: „Przygotowuję wniosek do Sądu Apelacyjnego IX Dystryktu, ma on na celu zatrzymanie biegu procesu

mojego klienta. Sędzia i prokurator planują zatajenie informacji, które są niezbędne do jego obrony. Jednak ta sprawa nosi znamiona stronniczości, o czym świadczy fakt, iż obrońcy nie poinformowano o zamkniętych posiedzeniach, jakie odbyły się z udziałem prokuratora Roberta Brewera i sędziego Kenyona w procesie przygotowawczym. Więcej, sędzia Kenyon nieprawidłowo odrzucił wniosek mojego klienta o odroczenie procesu w celu przygotowania się do niego".

Prokurator Brewer: „Obrona próbuje blokować proces!".

Obrońca Stadum: „W toku procedury naruszane są podstawowe prawa oskarżonego!".

Po liście prokuratora generalnego Williama Frencha Smitha do sędziego, Kenyon oczywiście odrzuca wnioski Staduma zarówno ten o unieważnienie procesu, jak i o przesunięcie jego rozpoczęcia. Apelacja w sprawie kaucji w Sądzie Najwyższym także zostaje oddalona. 13 października jest już faktem.

Proces rozpoczyna się od wybierania przysięgłych. Wcześniej uzgodniliśmy z adwokatem, że będę mu dawał czytelne odpowiedzi, czy widzę jakiegoś kandydata w składzie, czy nie. Zastrzegłem, że zdecydowanie nie chcę, by zasiadł tam jakikolwiek były lub obecny marines. Mogłem być pewny, że ktoś taki osądzi mnie przed procesem. Zresztą, w więzieniu mam kilku strażników, którzy przeszli przez służbę w marines. Wszyscy robili, co mogli, by utrudnić mi życie. A mogli wiele, w końcu to oni byli panami więzienia Terminal Island! W czasie wyboru przysięgłych obie strony mogły zadawać pytania kandydatom, obie też mogły kwalifikować ich lub odrzucać. Oczywiście nie w nieskończoność, obowiązywał pewien limit. Ale pod pozorem zapewnienia bezstronności mój prokurator pozwalał sobie na wiele. Najbardziej żałowałem pewnego młodego mężczyzny, wydawał się inteligentny, odpowiadał na pytania obu stron bez zarzutu. Aż do chwili, gdy mój adwokat zadał mu standardowe pytanie: „Czy może być pan w tej sprawie bezstronny dla oskarżonego?". Odpowiedział, że nie może, bo niedawno sam był w podobnej sytuacji. Miał wypadek samochodowy, został oskarżony i postawiony przed sędzią, gdzie nasłuchał się tylu nieprawdziwych wypowiedzi, że goryczy, którą w związku z tym doznał, nie zapomni do końca życia. Wiedząc więc, jak to jest być oskarżonym, nie mógłby nigdy głosować za skazaniem. Oczywiście na żądanie prokuratora odpadł.

Wybory przysięgłych ciągnęły się bardzo długo. W pewnym momencie

miałem wrażenie, iż ci, którzy zorientowali się, że proces zapowiada się na długi i skomplikowany, celowo odpowiadali na pytania stron tak, aby nie zostać wybranymi. Na koniec wybrano jeszcze rezerwowych przysięgłych, licząc się z tym, że przy długim i wyczerpującym procesie któremuś z podstawowej dwunastki jakieś nagłe przeszkody mogą uniemożliwić dalszy w nim udział, co może go skutecznie zdezorganizować.

20 października 1981 roku sześć kobiet i sześciu mężczyzn zaprzysiężono przed obliczem sędziego Kenyona. Mimo moich sprzeciwów, kilku spośród nich służyło kiedyś w marines. Poza tym, jak w życiu, spory przekrój zawodowy: nauczycielka, pracownik socjalny, sprzedawca, panie domu, emeryci, pracownicy budowlani, operator maszyn.

Sędzia zapytał, czy mają odczytać pełen akt oskarżenia. Znałem jego treść. Więc odpowiedziałem krótko, że nie. Następnie zapytali, czy rozumiem treść oskarżenia. Odpowiedziałem, że tak. A zaraz potem, urzędniczka sądowa czyta:

— Czy przyznaje się pan do winy z paragrafu 794?

— Nie, nie przyznaję się do winy.

— Czy przyznaje się pan do winy z paragrafu 793?

Ed Stadum jest szybki, zrywa się i mówi:

— Pan Zacharski jest oskarżony wyłącznie z paragrafu 794! Z obu paragrafów jest oskarżony pan William Bell!

Urzędniczka, młoda dziewczyna wystylizowana na Barbie, tyle że w urzędowym wdzianku, wzrusza ramionami i bąka pod nosem:

— A, tak. Przepraszam.

Za stołem prokuratorskim obok Roberta Brewera siedział niejaki John Dion, facet z Departamentu Sprawiedliwości[14]. Nie wiedziałem, jaka jest jego rola. Dlatego przyglądałem mu się wyjątkowo uważnie. Sam prokurator Brewer od początku budził we mnie najgorsze skojarzenia. Szczególnie irytowało to jego prostackie pokazywanie mnie palcem. U nas nawet dzieciom w szkołach tłumaczy się, że to brak wychowania. Brewer uwielbiał ten gest. Wiedzieliśmy o nim, że walczył w Wietnamie, był nawet ranny. Miał teraz szansę, by wyładować wszystkie swoje frustracje na człowieku zza żelaznej kurtyny. Trudno zresztą, by oskarżony lubił oskarżyciela. Oskarżyciel jednak jest w sądzie służbowo i powinien wykazać się profesjonalizmem. Brewer profesjonalnie mnie nienawidził. To było więcej niż czytelne.

Po zaprzysiężeniu strony przedstawiły swoje argumentacje.

Robert Brewer zagrzmiał, iż udowodni, że jestem winny szpiegostwa, że przedstawi takie materiały dowodowe, które nie pozostawią cienia wątpliwości.

Mój adwokat, Edward Stadum, powiedział, iż żadnych dowodów w tej sprawie nie ma, bo być nie może. Jest tylko zeznanie Williama Holdena Bella. I zapytał przysięgłych o wiarygodność zeznań człowieka, który w życiu zdradził wszystkich: swoją ojczyznę, firmę, w której pracował, pierwszą żonę i nawet drugą żonę. A teraz także przyjaciela, którego oskarża o szpiegostwo.

Taka była nasza linia obrony.

Byłem pewien, że nie mają, bo nie mogą mieć, żadnych dowodów przeciwko mnie. Ani nagrań rozmów telefonicznych z podsłuchu w domu czy w firmie (o ile takowe istniały), ani odcisków palców, ani dokumentów, ani sprzętu, którego używałem. Byłem spokojny, że w domu nic nie znaleźli, bo nie mogli nic znaleźć. A rozmowa, którą nagrał ze mną Bell w dniu aresztowania, była tak enigmatyczna, że można było ją obalić jako dowód.

W tym czasie nadchodzi wspomniany list prokuratora generalnego i mimo naszej „niezgody" proces rusza. Na pierwszym posiedzeniu już wiemy, dlaczego Brewerowi tak się śpieszyło. Otóż od trzech dni oczekuje na możliwość pokazania się przed sądem jego pierwszy świadek, zastępca dyrektora Defense Intelligence Agency (DIA)[15] generał Larkin. Generał przybył na salę rozpraw w odświętnym mundurze. Wszedł w czapce. Dopiero, gdy zajął swoje miejsce, zdjął ją, kładąc na pulpicie gwiazdkami w stronę publiczności. Przedstawił się, mówiąc, iż jest wysokim rangą pracownikiem wywiadu wojskowego. Ukończył szkołę wywiadu w Monterey, a w trakcie pracy zawodowej był między innymi attaché wojskowym ambasady USA w Moskwie. W tym momencie Brewer poprosił o przerwę, wniesiono wielką mapę Europy z zaznaczonymi oddzielnie państwami Europy Wschodniej. Generał Larkin pokazał przysięgłym, gdzie znajduje się Polska na mapie. A dalsza część jego wywodu koncentrowała się na tym, że ponieważ Polska leży obok ZSRR (co każdorazowo pokazywał zebranym) i jest z nim w jednym pakcie wojskowym, wszystko, co zdobędzie polski wywiad, natychmiast jest przekazywane Rosjanom.

Za każdym razem po takim jego stwierdzeniu, zrywał się mój adwokat i protestował, że to nie ma nic wspólnego z winą lub brakiem winy

Zacharskiego.

Na to zrywał się prokurator i krzyczał, że właśnie ma, bo to właśnie mówi generał.

Sędzia dopuszcza zeznania generała Larkina do zestawu dowodów.

Mój adwokat próbował zadawać Larkinowi pytania związane ze sprawą. Szybko jednak obaj zorientowaliśmy się, że on nie ma o niej pojęcia. Jego rola była zupełnie inna.

Do mnie dotarła gorzka prawda: proces sądowy w USA to rodzaj *show*, przedstawienia teatralnego[16]. Role przydzielone. Każdy ma odegrać swoją. Tyle że ja nie mam żadnego wpływu na scenariusz. Napisano go za moim plecami. Mam tylko jedno zadanie: dać się skazać jako wróg Stanów Zjednoczonych Ameryki. I wtedy, gdy ta świadomość dociera do mnie, rodzi się duch buntu. Mówię: nie. Nie będę pokornie grał roli, którą dla mnie napisaliście.

Odmówię składania zeznań.

Żałuję, że nie zażądałem tłumacza. Musieliby tłumaczyć na żywo posiedzenia sądu i każdy przedstawiany dokument. To znacznie opóźniałoby bieg procesu.

Na to już za późno. Ale przynajmniej moja odmowa popsuje im szyki. Niczego się ode mnie nie dowiedzą.

Kolejni świadkowie oskarżenia po generale Larkinie to agenci FBI. Ich zeznania były raczej monotonne, opowiadali o tym, jak prowadzili za mną obserwację. Na zakończenie mój adwokat pytał każdego o to samo:

— Czy widział pan, jak pan Marian Zacharski robi coś niezgodnego z prawem na terenie Stanów Zjednoczonych?

Kolejno odpowiadali:

— Nie.

Dopiero gdy przesłuchiwany był Eugene McCarthy, ten, który najpierw jeździł za mną zderzak w zderzak, potem omal nie potrącił Amberga, a na końcu miał szansę wyładować się na mnie po moim zatrzymaniu, odpowiedź na pytanie zadane przez obrońcę uległa zmianie.

— Tak, widziałem.

— Co takiego zrobił pan Zacharski, co było niezgodne z prawem?

— Przejechał dwa razy na czerwonym świetle.

Salwa śmiechu na sali.

To był pierwszy wybuch śmiechu, ale nie ostatni. Kolejny zapewnił ekspert, Cornelius G. Sullivan. Przedstawił się jako emerytowany agent FBI z dwudziestoośmioletnim stażem pracy. W trakcie sprawowania

funkcji odpowiedzialny był za większość działań kontrwywiadowczych w USA, w tym również za pracę w sekcji polskiej FBI w Waszyngtonie, której był szefem. Powiedział, że „prowadził tysiące spraw kontrwywiadowczych przeciwko Polakom”. Spojrzeliśmy na siebie ze Stadumem. Kilka tysięcy spraw to za dużo, nawet gdyby przyjąć, że prowadzono je przeciwko wszystkim państwom bloku wschodniego, przez wszystkie lata od zakończenia wojny, po dziś. Na dodatek Cornelius G. Sullivan łudząco przypominał... Edgara Hoovera![17] Był tak podobny do swego wielkiego szefa, że zastanawiałem się, czy nie poddał się operacjom plastycznym. Ale prokurator nie ustępował. Uciszył wesołe pomruki na sali i poprosił eksperta, by przybliżył zgromadzonym arkana działalności wywiadowczej. Sullivan mówił spokojnie, z należytą powagą, aż doszedł do „sztuki nawiązywania kontaktu poprzez wymianę hasła i odzewu”. Został poproszony o podanie przykładu. Skinął głową z namaszczeniem i powiedział:

— Hasło: „Lód jest zimny w Islandii”.

Sala wybuchła śmiechem. Sullivan zdawał się tego nie słyszeć.

— Odzew: „Robi się z niego dobrą mrożoną herbatę”.

Sala grzmi salwami śmiechu. Śmieję się nawet ja, zapominając na tę krótką chwilę, że to mój proces[18].

Kolejne posiedzenia ciągną się dość monotonnie. Odczuwam mściwą satysfakcję, gdy agent FBI George S. Bacon (ten sam, który sporządził oświadczenie pod przysięgą z zeznania Bella) dwoi się i troi, by wybrnąć ze swoich poprzednich zeznań.

Widzieliśmy już z moim obrońcą kopię zeznań, jakie złożył przed Wielką Ławą Przysięgłych jeszcze przed rozpoczęciem właściwego procesu. Zwróciłem od razu Stadumowi uwagę, iż Bacon powiedział tam, że w moim domu znaleźli „specjalne filmy” i że to nieprawda.

Agent Bacon sam zorientował się tymczasem, że palnął głupstwo. I że to głupstwo może być podciągnięte pod składanie fałszywych zeznań. Teraz więc sam zaczyna od tego, że chciałby sprostować, skorygować zeznanie. Że błąd był wynikiem przemęczenia, omyłki, a nie chęci zaszkodzenia Zacharskiemu. Jest zestresowany, poci się. Mówi, że w domu Zacharskiego nie znaleziono „specjalnych filmów” firmy Kodak. I zeznaje, że tylko z domu Bella zabrano takie filmy. Jednocześnie zaznacza, iż z mojego mieszkania zabrano różne inne nietypowe przedmioty. Wśród nich wymienia: pięć słoiczków z kolorowymi płynami, zapałki bez pudełka, statuetkę drewnianą. Zaznacza, że nie ma jeszcze wyników ekspertyz tych przedmiotów, więc nie będzie się na ich temat wypowiadał.

Dalej Bacon potwierdza zeznania Bella, iż spotkanie w Genewie z

oficerem polskiego wywiadu miało miejsce w dniu 22 kwietnia 1981 roku. Jednak jest w jego wypowiedzi coś niejasnego, pokrętnego. Szepczę Stadumowi na ucho kilka pytań.

Mój obrońca prosi o głos:

— Czy agenci pana służby widzieli Williama Bella odbywającego spotkanie z oficerem polskiego wywiadu, nazwanym przez Bella „Młodym” w dniu 22 kwietnia 1981 roku w Genewie?

— Nie.

— Czy widzieli Williama Bella wchodzącego z tym oficerem do budynku ONZ?

— Nie.

— Czy może pan potwierdzić, że William Bell rozmawiał z tym oficerem w Genewie?

— Nie.

— Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Nadal nie padło nic, co mogłoby w sposób istotny ważyć w tej sprawie. Jednak zeznanie George’a S. Bacona w sprawie Bella w Genewie pozostawiło pewien niesmak. Prokurator nie daje za wygraną. Postanawia dopytać agenta FBI Jamesa B. Reida. Znamy się już. Spotkałem go w dniu aresztowania, w siedzibie FBI. To on powiedział wówczas, że jestem „jego sprawą” od czternastu miesięcy. Reid pojawia się w towarzystwie żony. Starannie ubrana, w wielkim, jednak niestosownym na tę okazję, kapeluszu. Wpatruje się w udzielającego odpowiedzi męża. Patrzę na ten kapelusz, jestem zaskoczony. Adwokat nachyla się do mnie i mówi:

— Na zewnątrz czekają tłumy dziennikarzy. Dzięki kapeluszowi będzie widoczna na każdym zdjęciu, które pójdzie do prasy.

Reid oświadcza, iż Bell 22 kwietnia w Genewie wymknął się obserwacji około godziny 8.30 i ponownie był zauważony około 14.

Mój adwokat zapytał, czy Reid był w Genewie. Reid odpowiedział, że nie. Stadum złożył sprzeciw, mówiąc, iż wobec tego Reid bazuje na pogłoskach, wieściach ze słyszenia. Sąd przyjął sprzeciw. O dziwo.

Potem jest jeszcze ekspert FBI z Waszyngtonu do spraw fotografii. Ma ze sobą kamerę marki Canon model 514 XL-S. Tłumaczył zasady robienia zdjęć poklatkowych przy użyciu tej kamery. Wpadł we własne sidła. Nie umiał uruchomić funkcji potrzebnej do robienia zdjęć. Próbował kilkakrotnie i nie wychodziło mu. Trema? Wstał i podszedł do mnie.

— Może pan pokaże, jak się zmienia tryb kamery? — zapytał, podsuwając mi ją pod nos.

Spojrzałem na niego.

Odszedł natychmiast.

Do tej pory powtórzył jedynie fabryczną instrukcję obsługi kamery. Ale miał jednak coś ciekawego do powiedzenia. I zgodnego z prawdą. Tyle że to akurat nie działało na moją korzyść. Mianowicie, że specjalne filmy, które przekazał im Bell (tylko z oryginalną, fabryczną rozbiegówką), znane są kontrwywiadowi z jednej sprawy. Sprawy Guillaume'a, oficera Wywiadu NRD, umieszczonego w bezpośredniej bliskości kanclerza RFN Willy'ego Brandta[19].

Występują najrozmaitsi specjaliści, eksperci z baz wojskowych z Redstone w Alabamie i z D. Paterson w Ohio.

Występuje „Owieczka", czyli agent specjalny FBI Don E. Ligon. Niestety, jego zeznanie całkowicie mnie rozczarowuje. „Owieczka" w pełni wpasowuje się w przyjęty tu schemat.

Stadum:

— Skąd pan wie, że oskarżony jest agentem wywiadu wschodnioeuropejskiego?

„Owieczka":

— Ze stylu jazdy. Pracowałem około 225 dni w grupie operacyjnej, której zadaniem była stała obserwacja Zacharskiego. Zauważyłem, iż stosuje on pewne zachowania na drodze, które są właściwe wyłącznie oficerom wywiadów wschodnioeuropejskich.

— Co konkretnie ma pan na myśli?

— Nagłą zmianę pasa ruchu. Bez ostrzeżenia.

Pomruk śmiechu na sali. Myślę, że to jego zemsta za kraksę na *freewayu*.

— Coś jeszcze?

— Tak. Wiele rzeczy. Na przykład, chcąc sprawdzić obserwację, oskarżony podjeżdżał do skrzyżowania, gdy zapalało się żółte światło, ruszał gwałtownie i sprawdzał w lusterku, które samochody wjeżdżają za nim na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Ponadto, wyjeżdżając z garażu, oskarżony robił szybką rundę samochodem wokół osiedla, żeby sprawdzić, czy ma za sobą obserwację. A w nocy gwałtownie skręcał, parkował przy chodniku i błyskawicznie gasił światła i wyłączał silnik.

Stadum:

— Ma pan świadomość, że pańskie zeznania tak się mają do oskarżenia o szpiegostwo, jak przedstawienie trencza jako dowodu na to, iż ktoś jest szpiegiem?

Salwa śmiechu na sali.

Sędzia prosi przysięgłych o opuszczenie sali rozpraw. Musi bez ich obecności ustalić, czy może dopuścić zeznania „Owieczki" do sprawy.

Dopuszcza. Uzasadnia to tym, iż agent FBI ma prawo porównywać swoje wcześniejsze doświadczenia z prowadzenia obserwacji za oficerami wywiadu wschodnioeuropejskich służb do obecnych doświadczeń.

„Owieczka" mówi więc jeszcze o tym, iż gdy wychodziłem ze sklepu, każdorazowo robiłem błyskawiczny ogląd otoczenia w celu sprawdzenia, czy mam obserwację, czy nie. Wyraża też zdziwienie, iż mimo ciągłego przekraczania dopuszczalnej prędkości nigdy nie byłem zatrzymany przez policję, a oni (FBI) stale musieli się legitymować.

Myli się, nie wie, że zapłaciłem mandat. Niech mu będzie.

Zauważam dwie rzeczy: jedna, to ten gość, który siedzi przy prokuratorze — John Dion. Ilekroć wynika jakiś problem dla prokuratury i sędzia musi podjąć decyzję (na przykład, czy dopuszcza coś do sprawy, czy nie), ten facet wstaje i wychodzi. Wraca po dziesięciu lub piętnastu minutach. A po chwili sędzia otrzymuje informację, że jest proszony do pokoju za salą rozpraw, bo ma pilny telefon. Po każdym z takich powrotów sędzia jednoznacznie akceptował stanowisko prokuratury.

Druga rzecz to rosnąca irytacja prokuratora Brewera[20]. Po każdym wystąpieniu agentów FBI, Brewera, choć byli to jego świadkowie, najwyraźniej ogarniała wewnętrzna pasja. Starał się to ukryć, ale miałem go na widoku. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest rozczarowany ludźmi z FBI. W przerwie, przed kolejną częścią zeznań Ligona, prokurator po kolei informował go, jakie zada mu pytania, a „Owieczka"... zapisywał sobie odpowiedzi na dłoni! Jak na klasówce. Łączyło się to wszystko w jedną całość, zgodną z moim przeczuciem: FBI nie było przygotowane do tego procesu. Tak się śpieszyli, że popełnili mnóstwo błędów, a teraz one wychodzą. Gadam o tym z adwokatem. Znajdujemy kolejne, szkolne błędy:

W dokumencie z dnia 4 lipca, dotyczącym przesłuchania Bella w dniu 23 czerwca, piszą o kamerze marki Canon, a w dokumencie z dnia 27 sierpnia, dotyczącym przesłuchań z okresu między 26 czerwca a 26 sierpnia, tę samą kamerę już określają jako marki Sony.

Miejsce spotkania nazywają raz Linz, raz Lenz. Przy okazji wychodzi na jaw, że Bill nazywa mnie w tamtych zeznaniach „Mario". Uczciwie przyznają, iż pokwitowanie za, między innymi, kamerę wydali Bellowi dzień później, bo w dniu jej odbioru... skończyła im się kalka. Całkowicie się chłopcy do akcji nie przygotowali. Stąd pewnie prokurator ma teraz takie problemy z ich zeznaniami. Podsuwam adwokatowi myśl, by domagał się tych zapowiedzianych ekspertyz przedmiotów zabranych ode mnie z domu.

Odczytanie ekspertyzy wywołuje kolejną wesołość na sali.

I tak zapałki, które zabrali, okazują się... zwykłymi zapałkami (Basia budowała z nich domki, bawiąc się z dziewczynkami), a niezidentyfikowane kolorowe płyny w słoiczkach (o których mieli nadzieję dowiedzieć się, że są co najmniej szpiegowskim atramentem sympatycznym) okazują się farbką do wielkanocnych jajek. Mój adwokat upewnia się głośno:

— Więc to są przedmioty, które wieziono w specjalnym kontenerze pod eskortą do laboratoriów FBI?

— Tak. Ale nie tylko.

— Co, oprócz farbki do jajek i zapałek, wieziono w kontenerze?

— Rzeźbę drewnianą, która zawierała w swym wnętrzu specjalną skrytkę.

— A czy rzeźbę poddano jakiejś ekspertyzie?

— Tak. Na obecność cząsteczek złota w powietrzu znajdującym się w jej wnętrzu.

— Co wykazała ekspertyza?

— Że ich tam nie znaleziono w ilości przekraczającej normę w normalnym powietrzu.

— Dziękuję, nie mam pytań.

Nie dziwię się, że tak się zachwycali statuetką królowej. Podobał im się zapewne oryginalny mechanizm zamykania. Amerykanie w kwestii skrytek są szablonowi. W terenie otwartym stosują nieomal wyłącznie albo kamień, albo psie gówno.

Szablonowo toczy się też proces, tworząc niejako ciągi wydarzeń.

Mówią, iż Bill był w Europie na spotkaniu z oficerami polskiego wywiadu, że przyleciał samolotem.

Dowód: bilety lotnicze.

Świadek: Richard Minton, dystrykt menedżer linii Swissair od pięciu lat, od osiemnastu pracownik tychże linii.

Postępowanie: Richard Minton przed sądem potwierdza autentyczność biletów lotniczych okazanych przez Bella, a związanych z jego przelotami w Europie.

Farsa.

Ale ta farsa, ta koszmarna, nudna farsa, wywołuje u przysięgłych wrażenie autentyzmu. Uwiarygodnia te ciągi zdarzeń, o których mówi prokurator.

Chociaż jedyne, co naprawdę mają, to William Bell i nagranie rozmowy.

Ponieważ Bell przyznał się do winy, jego proces się nie toczy, on czeka

tylko na orzeczenie wyroku. W moim procesie zeznaje jako świadek. To paradoksalne, ale jego rolą w moim procesie, jest... udowodnienie własnej winy. Musi przekonać przysięgłych, że sam był szpiegiem, by dowieść, że ja uczestniczyłem w „zmowie szpiegowskiej".

Zaczynają się przesłuchania Billa. Widzę go pierwszy raz od dawna. Wygląda żałośnie. Zgolił wąsy. Jest załamany, przygnębiony. Ale zna swoją rolę dobrze. I szybko okazuje się, że mój obrońca miał rację, gdy jeszcze przed rozpoczęciem procesu powiedział, że Bill może chcieć grać poszkodowanego. Opowiada, jak się poznaliśmy, wspólne kolacje, tenis, spotkania rodzinne. Mówi, że bardzo mnie lubił, bo przypominałem mu jego najstarszego syna. Zaznacza, że gdy pracował w Europie, był bardzo ostrożny w kontaktach z ludźmi, został wtedy poinformowany na okoliczność działalności wywiadowczej, ale nigdy (podkreśla to po wielokroć) nie przypuszczał, iż taka historia może mu się przydarzyć w domu. Według jego relacji osaczyłem go swoją przyjaźnią, wplątałem w intrygę, z której później już nie mógł wydostać się o własnych siłach. Kilkakrotnie plącze się w swych zeznaniach.

Prokurator prosi o przerwę, bo — jak twierdzi — William Bell jest w złym stanie zdrowia, przy dużym stresie może omdleć.

Sędzia zarządza przerwę.

Jednak omdlewający Bell nie wychodzi na świeże powietrze, ale odbywa naradę za stołem prokuratora. Patrzę na niego bez agresji. Odczuwam rodzaj politowania. Rozumiem go, walczy o życie. A żeby je uratować, postanowił pogrążyć mnie. Zresztą nie sądzę, by dano mu inny wybór. Nie zazdroszczę mu teraz, pewnie prokurator straszy go, że musi się zmobilizować, bardziej postarać, bo wypada niezbyt przekonująco. A może naprawdę się źle czuje?

Mnie jest łatwiej. Nie zgubię się w kłamstwach wymyślanych na ostatnią chwilę. Chociaż Stadum pytał mnie kilka razy, czy jestem pewien, że dobrze robię, unosząc się godnością. Nie wiem, czy dobrze robię. Ale nie umiem wyobrazić sobie, że zalewam się łzami przed ławą przysięgłych. Nie jestem dzieckiem! Jestem mężczyzną. Jeżeli godność jest ostatnią rzeczą, jaka mi pozostała, to trzymam się jej. Ed Stadum jest prawnikiem z krwi i kości, jest lisem. Nigdy nie rozmawiamy bezpośrednio o tym, o co jestem oskarżony. On mnie nawet nie pyta. Ale jednocześnie mówimy ze sobą wprost o tym, co dotyczy sprawy. Po tamtej rozmowie, gdy powiedziałem mu, dlaczego postanowiłem odmówić zeznań, uścisnął mi rękę. Szacunek, jaki zobaczyłem w jego spojrzeniu, umocnił mnie bardziej niż zapewnienia Kudasia, że mi pomogą.

Gdy Bell opowiada o spotkaniach w Europie, mówi, że Paul (tak zawsze

nazywał „Starszego”) w pewnej chwili wyjął zdjęcie jego rodziny (Rity i Christiana) i zaczął mu grozić. Według Bella, Paul powiedział, iż jeśli on zachowa się nieodpowiedzialnie, to narazi życie swoich bliskich.

To czysty absurd! Oficer wywiadu grożący Bellowi, który przynosi materiały z własnej woli?! Wiem, że to nieprawda. Ale na publiczności sądowej robi to zamierzone wrażenie. Bell zaczyna wyglądać na zmuszanego do współpracy.

Ed Stadum musi odwrócić to rodzące się dla Bella współczucie. Albo przynajmniej przywrócić sprawie należyte proporcje.

Zaczyna od ukazania luk w zeznaniu złożonym przez Bella. Pod wpływem jego ostrych pytań Bell gubi się, rozprasza, myli. Szuka ratunku u prokuratora, ten prosi o przerwę z powodu złego samopoczucia świadka i w przerwie, tak jak przedtem, poucza go, jak ma zeznawać.

Ed Stadum kontynuuje:

— Czy wiadome jest panu, iż pan Zacharski miał założony podsłuch na telefonach domowym i firmowym?

— Tak.

— Skąd pan o tym wie?

— Od FBI.

— Czy pan także miał założony podsłuch na telefonie domowym?

— Tak.

— Jak długo?

— Według FBI założono mi go cztery miesiące przed moim pierwszym spotkaniem w Europie z oficerami polskiego wywiadu. Dokładnie powiedziano, że od lipca 1979 roku.

— A czy FBI poinformowało pana, jaki był efekt podsłuchiwania rozmów Zacharskiego?

— Nie.

— Wysoki Sądzie, panie i panowie przysięgli, FBI nie poinformowało o tym pana Bella, bo nie miało czym się pochwalić. Efekt podsłuchiwania prywatnych i służbowych rozmów Zacharskiego, co miało miejsce od 1979 roku, był bowiem mizerny. Nie znalazło się w tych rozmowach nic, co mogłoby świadczyć o winie oskarżonego! Może więc pan Bell, jak sam przyznał, pozyskiwał tajne dokumenty związane z obronnością Stanów Zjednoczonych, ale nie mamy dowodu, iż robił to wspólnie z oskarżonym.

Prokurator Brewer chciał zaprotestować, ale zamiast tego poprosił o przerwę. Po jej zakończeniu mój obrońca dalej pytał Billa:

— Czy zgłosił pan dochód pochodzący z działalności przestępczej, z pozyskiwania materiałów tajnych, do opodatkowania?

— Nie.

— Czy prawdą jest, że prokuratura umożliwiła zatrzymanie postępowania wytoczonego panu przez IRS?

— Prokurator rozmawiał w mojej sprawie z prawnikiem IRS, aby dowiedzieć się, czy istnieje taka możliwość, ale IRS nie zajął jednoznacznego stanowiska...

— Czy jeszcze jakieś inne korzyści obiecała panu prokuratura w zamian za oskarżanie Zacharskiego?

— Nie rozumiem...

— Co z pana prawami emerytalnymi?

— A, tak... prokurator uzgodnił z moimi przełożonymi w HAC, iż nie będę pozbawiony praw emerytalnych, a jedynie zwolniony z pracy.

— W jakim wypadku ta ugoda będzie zastosowana?

— Jeśli będę współpracował z FBI w trakcie procesu...

— Panie Bell, jak daleko mógłby się pan posunąć, by uratować siebie kosztem pogrążania niedawnego przyjaciela?

Bell nie odpowiedział. Stadum nie dawał za wygraną.

— Czy wciągnąłby pan przyjaciela w pułapkę, by uzyskać jego przyznanie się do winy?

— Nie chciałem wciągać Zacharskiego w pułapkę, chciałem pomóc FBI w śledztwie!

— Dla korzyści?

— Dla zmniejszenia wyroku. W moim wieku dziesięć lat to jak dożywocie. Tak, chciałem pomóc FBI, by obniżyć wyrok...

— Więc najpierw dla korzyści finansowych współpracował pan z Zacharskim? A potem, dla korzyści współpracował pan z FBI przeciw Zacharskiemu?

Bill jest przyparty do muru. Nie udało mu się wejść w rolę bohaterskiego pomocnika FBI. Próbuje wejść w rolę ofiary.

— To Zacharski wykorzystał mnie. Szukał kogoś, kto ma jakiś słaby punkt, i znalazł. Ja byłem tym kimś. Dramatycznie potrzebowałem pieniędzy, a on moją sytuację wykorzystał.

Odpytywanie Bella trwa łącznie cztery dni. W ostatnim, gdy Bell opowiada o spotkaniu z oficerami polskiego wywiadu w Innsbrucku, Stadum nagle zadaje mu pytanie:

— W jakim języku rozmawiał pan z tymi ludźmi, których nazywa pan oficerami polskiego rządu?

— Po angielsku.

— A zna pan język polski?

— Nie znam.

— To, skoro rozmawiał pan z nimi po angielsku, a języka polskiego pan

nie zna, skąd ma pan pewność, że to w ogóle byli Polacy?

Bill Bell jest skonsternowany. Prokurator mówi, że oskarżenie postara się znaleźć na to dowód. Ale ziarno niepewności zostaje zasiane.

Gdy zaczynam się zastanawiać, dlaczego wciąż jeszcze nie przedstawiają nagrania rozmowy Bella ze mną, w końcu podają informację, że nagranie zostanie zaprezentowane.

Jak się okazuje, Bill próbował dokonać go już dzień wcześniej, w sobotę. W tym zamieszaniu zapomniałem już, że tak było. Przyszedł do mnie w sobotę, ale w otwartych drzwiach powiedziałem mu, że nie mam czasu Ponieważ naciskał, powiedziałem mu, że pogadamy jutro. A on już wtedy był okablowany! Dowiaduję się o tym na sali sądowej, gdy prokurator wyjaśnia, kto i kiedy okablował Billa. Więc „ubierali" go dwukrotnie! Pokazują w sądzie magnetofon szpulowy firmy Nagra, ulubiony sprzęt wszystkich służb świata[21]. Wcześniej przypominałem sobie, co mówiłem podczas tej rozmowy, teraz mam potwierdzenie, że niewiele, czasem tak cicho, że ledwie słychać. Ed Stadum, któremu pozwolono wysłuchać nagrania przed rozprawą, mówi mi na ucho, że zaczyna się ono od godziny dźwięku z kreskówek. Oczywiście w sądzie tego nie prezentują. Teraz przypominam sobie, że gdy poszedłem po Billa, Christian oglądał w domu kreskówki. Więc Bill, a pewnie razem z nim agenci, którzy go przygotowali, siedział tak, czekając na mnie i nagrywając bajki. Nie jest mi do śmiechu. To nagranie uświadamia mi po raz kolejny, że w tej sprawie pękło coś, co nie musiało. Stadum podważa jakość nagrania, moje wypowiedzi; stawia na ich enigmatyczność, wieloznaczność, na to, że nic konkretnego nie mówię, a już na pewno nic takiego, co by jednoznacznie czyniło ze mnie szpiega. Wszystko to prawda, świetnie prowadzi obronę, wykazuje błędy i braki oskarżenia. A mimo to czuję, że nie jest dobrze. Patrzę na twarze przysięgłych zafascynowane Nagrą, opisem tego, jak Bill był okablowany, jak wychodził na spotkanie... Jakby bezradność Billa, jego plątanie się w zeznaniach, przyznanie się, że działał dla korzyści, w połączeniu z płomiennością oskarżeń Brewera były dla nich bardziej przekonujące niż profesjonalizm mojego obrońcy. Zresztą, po kilku dniach od jego trafnego pytania, czy Bill zna język polski, właśnie dociekliwość Staduma nieoczekiwanie odwraca się przeciwko nam.

Brewer przedstawia w sądzie zdjęcie oraz dane oficera, którego Bell nazywał Paulem albo „Starszym"! Jak się później dowiedzieliśmy, po tamtym przesłuchaniu FBI przypomniało sobie, co Bell mówił — iż Paul chwalił mu się, że niedawno wrócił z USA. Wzięli zdjęcia wszystkich polskich pracowników ambasady, konsulatu, Biura Radcy Handlowego z

ostatnich dziesięciu czy piętnastu lat. Posadzili Bella i kazali mu szukać na zdjęciach „Starszego”. I go znaleźli! Nazywał się Anatoliusz I.

Urodzony w 1931 roku, od 8 sierpnia 1974 roku zatrudniony w Biurze Radcy Handlowego w Nowym Jorku, przebywał w USA na statusie dyplomatycznym[22]. Jego karierę przedstawili następująco: najpierw praca w Polskiej Izbie Handlu Zagranicznego, potem był zastępcą dyrektora spółki Italmex w Mediolanie, a następnie pracował w Pezetelu. Brewer nie pozwala sobie już na najmniejsze uchybienie formalne. Przedstawia w sądzie potwierdzony notarialnie dokument Departamentu Stanu, w którym znajduje się wszystko, co wiadomo o zatrudnieniu Anatoliusza I. w USA. Najważniejsza jest data zakończenia pracy: 3 listopada 1979 roku! Niestety, wszystko pasuje. 30 listopada „Starszy” spotkał się z Billem w Innsbrucku! Brewer dodaje, iż wyjazd Anatoliusza I. z USA, był związany z jego działalnością szpiegowską. Że wprawdzie nic mu nie udowodniono, ale poproszono władze polskie o zabranie „tego dyplomaty” do Polski, bo, według ustaleń amerykańskich, zajmuje się działalnością niezgodną ze swoim statusem.

Klnę w duchu. Nawet Bill po powrocie z Innsbrucku wściekał się na tego gościa! To były Billa słowa: „On nie umie słuchać, tylko gada bez przerwy!”. No i kurwa mać, wygadał! Teoretycznie nadal nie byliśmy na straconej pozycji, bo nie można udowodnić związku między nim a mną, a jedynie między Bellem a nim. Mimo to był to wielki sukces prokuratora.

Strona rządowa kończy przedstawianie swojego procesu dowodowego. Czas na obronę.

Stadum, zgodnie z moim postanowieniem, ogłasza tzw. *resting of the case*, czyli naszą decyzję, że my też kończymy przysługującą nam procedurę obrony.

— Marian Zacharski nie będzie zeznawał.

Brewer jest zaskoczony. Przed nim leży kilkadziesiąt stron pytań do mnie. Przypuszczalnie przygotowywał ten „pytajnik” wspólnie z FBI, im przecież też odmówiłem składania wyjaśnień po zatrzymaniu. Jest tak zaskoczony, że nie umie tego ukryć. Gdyby tylko mógł, pewnie by zaprotestował. Ale nie ma takiej możliwości. Tego prawa, prawa do niezłożenia zeznań, mi nie odbiorą.

Ja jestem już zmęczony. Czekam na mowy końcowe.

Robert Brewer ma ze sobą rekwizyty. Wolno mu. Ma znów moją statuetkę królowej. Myślałem, że po ośmieszeniu się jej nieudanymi badaniami na obecność cząsteczek złota nie będzie wracał do tego tematu. Mówi, iż dyrektorem polsko-amerykańskiej spółki Polamco byłem tylko nominalnie, w istocie będąc wysoko wyszkolonym agentem wywiadu.

Mówi, iż pasuję do klasycznego wizerunku oficera specjalizującego się w rekrutacji agentów. Zdobyłem zaufanie Williama Bella, jego przyjaźń, a następnie wciągnąłem go do współpracy, dając mu pieniądze i biorąc od niego pokwitowania. Jestem więc przebiegły, arogancki i egoistyczny, robiąc karierę na naiwności Bella. Brewer pokazuje wszystkie swoje rekwizyty, jak je określa: parafernalia wywiadowcze: kamerę, dokumenty, złote monety, pokwitowania z hoteli, anulowane bilety lotnicze i statuetkę. Jeszcze raz demonstruje schowek w jej wnętrzu. I mówi, iż to, że nic w niej nie znaleziono, może właśnie świadczyć o tym, iż była używana!

I ta karkołomna manipulacja robi wrażenie na przysięgłych. Po ich twarzach, które mają wyrażać profesjonalną obojętność, widać, że podoba im się mowa prokuratora. Na koniec dodaje, iż zeznania 47 świadków oskarżenia dobitnie świadczą o mojej winie. A potwierdza ją dowód koronny, nagranie prowokacji Bella.

W odpowiedzi na to mój obrońca Edward Stadum mówi, że każdy z dowodów pokazanych przez oskarżenie jest bardzo ciekawy i może rozbudzać wyobraźnię. Ich wadą jest to, że żaden z nich nie wykazuje winy oskarżonego. Więc przysięgli, aby mnie skazać, muszą uwierzyć Williamowi Bellowi. Uwierzyć, bo jego opowieści również nie są poparte żadnym dowodem, łączącym jego, czyli szpiega, który przyznał się do winy, ze mną, czyli polskim biznesmenem. Na końcu raz jeszcze wypunktował wszystkie słabe i nielogiczne części oskarżenia.

Na dzisiaj koniec.

Jeszcze tylko uzgodnienia między prokuratorem, obrońcą i sędzią w sprawie instrukcji, jaką ten ostatni przekaże przysięgłym.

Na koniec jednak prokuratura występuje z wnioskiem o odizolowanie ławy przysięgłych na czas ich narady. To nie jest nam na rękę. Stadum mówi, iż odizolowani przysięgli będą chcieli jak najszybciej ustalić werdykt, po to, by mogli wrócić do swoich domów. Jednak prokuratura upiera się, że mają mieszkać w hotelu, pod strażą, bez dostępu do mediów, prasy, telewizji, bez kontaktu ze światem; mają ich dowozić do gmachu sądu na czas narad. Brewer powołuje się na swoją rozmowę z Johnem Martinem, szefem Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Departamencie Sprawiedliwości (jest on również przełożonym tego milczącego, wychodzącego Johna Diona), z której wynika, iż trzy ważne sprawy szpiegowskie w ciągu ostatnich czterech lat tak właśnie były rozpatrywane. Oczywiście przeważa koncepcja prokuratury: przysięgli będą odizolowani.

Krótko po tym, jak sędzia ogłasza tę wiadomość, wybucha dość kłopotliwa dla sędziego sytuacja. Dzwoni do niego przysięgły numer 10,

pan Del Prather i prosi o natychmiastową rozmowę. Sędzia wzywa więc mojego obrońcę i oskarżyciela i wraz z nimi słucha przysięgłego. Del Prather mówi:

— Po tym, jak ogłosił pan przerwę w obradach do czwartku i decyzję o tym, że będziemy odizolowani, poszliśmy na górę do pokoju przysięgłych. Staliśmy w grupkach, rozmawiając o czwartku. Wówczas jedna z przysięgłych, pani Sloman, zaczęła się denerwować i coraz głośniej mówić, że nikt jej nie zmusi do zamknięcia na czas narady, bo jej kot przeszedł właśnie operację i ona nie zostawi go samego w domu. Początkowo nie wziąłem tego serio, ale ona po chwili zaczęła płakać i powiedziała, że nie da się odizolować i już. Mówię do niej: „Nora, uspokój się, uporządkuj priorytety! Na wokandzie mamy życie człowieka, a dla ciebie ważniejsze jest życie kota?". A ona odpowiada: „No cóż, dadzą mu po łapach i tak czy inaczej deportują". To było niestosowne, kazałem jej się zgłosić do sędziego, ale ona tego nie zrobiła. Ja rozumiem wielką miłość do kota, ale wyprowadziła z równowagi tym swoim zachowaniem nie tylko mnie, ale i kilku innych przysięgłych. Zwłaszcza że jej szlochy i oświadczenie o winie oskarżonego słyszało troje przysięgłych, a troje kolejnych raczej tak, ale pewien nie jestem. My potrzebujemy teraz spokoju, jasnego osądu, a nie histerii na temat kota i wyroków o winie przed naradą!

Opowiadał mi Ed Stadum, iż sędzia zbladł po oświadczeniu Dela Prathera. To, co się wydarzyło, powinno skutkować natychmiastowym *mistrial*, czyli ogłoszeniem o unieważnieniu procesu. On, oczywiście, o to wnosi. Sędzia postanawia podjąć inne kroki: wzywa do siebie przysięgłą numer 5, Norę Sloman. Każe udzielić sobie wyjaśnień.

— Wysoki Sądzie, nie mamy z mężem dzieci, mamy za to kotkę. Może i za bardzo ją kochamy, ale czy to grzech? Mamy ją już od czternastu lat! I kotka nasza miała okropne problemy z wątrobą, pojechaliśmy z nią do weterynarza. Zdecydował, że musi przejść operację. Po prostu musi. Zgodziliśmy się, dla jej dobra. Została tydzień w lecznicy dla zwierząt. Cały czas o niej myślałam, martwiłam się. I zadzwoniłam do męża w południe po tym, jak Wysoki Sąd ogłosił zamknięcie, przepraszam, izolację przysięgłych. A mój mąż, mówi do mnie: „Ona leży, po prostu leży". I ja pomyślałam: „O Boże, tylko nie to!".

— Czternaście lat? To naprawdę nieźle, jak na kota! — zainteresował się sędzia Kenyon.

— A wie, Wysoki Sąd, że weterynarz powiedział to samo? — ucieszyła się Sloman. — No i wtedy, w ten wtorek, jak Sąd ogłosił zamknięcie, ja dzwoniłam do weterynarza, a on mi mówi, Nora, daj kocicy tydzień. Jest stara, o kocicy tak powiedział, jest stara, ale reaguje. No i my z mężem

karmimy ją, trochę na siłę, ale karmimy, musi jeść, żeby mieć siły, no i ona, proszę Wysokiego Sądu, wyraźnie się poprawia! Także ja już mogę normalnie brać udział w zamknięciu, w odosobnieniu, przepraszam. Było źle we wtorek, ale Wysoki Sądzie, już będzie dobrze, z bożą pomocą.

Sędzia Kenyon nawiązał do jej słów o „daniu po łapach" i deportacji. Sloman najpierw się odżegnywała od takiej wypowiedzi, aby w końcu przyznać, że w istocie tak jej się wyrwało. I od razu oświadczyła, że może ustąpić i żeby na jej miejsce weszła pani Williams, rezerwowa przysięgła. Ostatecznie sędzia Kenyon nie poparł wniosku mojego adwokata o *mistrial*, a jedynie wykluczył panią Sloman z dalszych obrad i obiecał, iż wygłosi instrukcję do przysięgłych w formie ostrzeżenia. Podczas kolejnej narady w biurze sędziego, gdy Ed składał następne wnioski, przyszła wiadomość od przysięgłej numer 9, pani Kowalski, że ma pilną wiadomość. Zgłosiła, iż słyszała, że niektórzy przysięgi już podjęli decyzje o mojej winie. Stadum błyskawicznie nawiązał do poprzedniej sytuacji, zauważając, iż pani Kowalski nawet nie była wymieniana z nazwiska wśród tych, których zgłosił pan Del Prather jako słyszących wypowiedzi Sloman. Sędzia Kenyon jednak nie zważając na nic, podjął decyzję: proces nie będzie unieważniony, a on wygłosi przysięgłym instrukcję związaną z ich zachowaniem.

Przysięgli zaczęli obrady w piątek 13 listopada 1981 roku. Owszem, jestem przesądny.

Przywieziono mnie do gmachu sądu, tak jak każdego dnia procesu. Czekałem na dole, w swojej klatce. Ed wpadł do mnie na chwilę, ale nie rozmawialiśmy długo, bo nie bardzo wiedzieliśmy o czym. Obaj czuliśmy, że sprawy wymknęły się spod kontroli, o ile kiedykolwiek od dnia 28 czerwca mogłem mówić o tym, że nad czymś mam jakąkolwiek kontrolę. Wszystko układało się źle. Spędzałem długie godziny w oczekiwaniu na werdykt. Miałem czas, by w myślach odtwarzać poszczególne etapy procesu. Szczególny niesmak czułem po końcowej mowie prokuratora. Dla niego bycie zdrajcą, jak Bill, jest w porządku, zasługuje na litość, a bycie oficerem wywiadu jest poniżające. Ciekawe, co by powiedzieli jego rodacy współpracujący z CIA na takie wywody. Jak łatwo Billowi udało się wejść w rolę pokrzywdzonego. Jak łatwo mu było mówić nieprawdę. Nie mogłem się uwolnić od tych myśli. Po południu przyszli po mnie i pomyślałem, że to już. Ale okazało się, że zabierają mnie z powrotem do więzienia, bo przysięgli nie zdołali podjąć decyzji. Chyba wolałbym, żeby już było po wszystkim. To cholerne czekanie… W sobotę ponownie przywieźli mnie do sądu. Znów czekam. Około godziny 11 prowadzą mnie na górę, bo przysięgli dali znać, że chcą się spotkać z sędzią. Prokurator

uśmiechnięty. Nareszcie. Ale przysięgli proszą o dodatkowy sprzęt do odsłuchania nagrania z prowokacji Billa. Niektórzy mają wątpliwości, czy tam jest nagrany mój głos, chcą dokładnie odsłuchać taśmę. Prokurator od razu przestał się uśmiechać. Wyraźnie się zdenerwował. We mnie wstąpiła nadzieja. Sprzęt dostarczyli technicy FBI. Ale do końca dnia przysięgli nie osiągnęli jednomyślności. Zarządzono przerwę do poniedziałku. Nie wiedziałem, czy to dla mnie dobrze, czy źle. Z jednej strony, od razu mogli orzec na moją niekorzyść, a tego nie zrobili. Z drugiej strony, to przeciąganie ich zmęczy, będą chcieli podjąć decyzję i mieć święty spokój.

W poniedziałek sprawy potoczyły się szybko. Jednogłośnie wydali werdykt: jestem winny. Prokurator promieniał. Odbierał gratulacje, uściski. Kłaniał się. Pieprzony Hollywood!

Ja? Starałem, się aby moja twarz, nie wyrażała nic. Zacisnąłem zęby i powiedziałem sobie: nie daj im satysfakcji.

Sędzia ogłosił, iż wyrok wyda 14 grudnia 1981 roku.

Edward Stadum, mój obrońca, uścisnął mnie i nie mówiąc nic, sięgnął do swojej torby. Wyjął z niej książkę Jamesa B. Donovana „Strangers on a Bridge. The Case of Colonel Abel”[23] i pokazał mi swoją dedykację: *Marian, I look forward to the day when we too meet on a bridge. Until then, remember The Ice is Cold in Iceland — Ed (a friend of Marian's)*[24].

Przeczytałem dedykację i... ciężko mi było zachować kamienną twarz. Rzucili się do nas dziennikarze, prosząc, bym im pokazał, co dostałem. Nie zrobiłem tego. I tak by nie zrozumieli.

Miesiąc czekania na wyrok.

Ruszyła machina mająca na celu ustalenie miejsca odbycia kary. Odwiedził mnie facet, który zadawał mi dziesiątki pytań: wykształcenie, wiek, niekaralność, miejsce zamieszkania, stan cywilny etc. Na podstawie moich odpowiedzi miał punktowo ocenić, do jakiej kategorii więzienia zostanę zakwalifikowany. Dostałem „4”. Najcięższe więzienie w Marion w stanie Illinois miało „6”.

Kilka telefonów z konsulatu: jak się czuję, jak mnie traktują, czy wszystko w porządku.

Żadnych wiadomości z Polski.

Dostaję do czytania „Daily Breeze”, nie zawsze świeże numery, ale jakie to teraz ma znacznie?

Echa mojego procesu nie milkną.

Dziennikarzy zainteresował jeden człowiek pojawiający się na sali rozpraw. Piszą, że zajmował miejsce z tyłu sali, opierał brodę na ławie przed sobą i słuchał w skupieniu. Był rudowłosy, krępy, według nich mówił z ciężkim, polskim akcentem. W czasie przerw w obradach dzwonił z

automatu i rozmawiał z kimś po polsku lub po rosyjsku (nie zdołano ustalić jednoznacznie). Dziennikarze przypomnieli sobie, iż pamiętają go sprzed czterech lat, z procesu Boyce'a[25], że wtedy w identyczny sposób towarzyszył rozprawom sądowym. Zaczynają za nim chodzić, okazuje się, iż facet na każdą z rozpraw przybywa inną drogą, ciągle zmienia trasy przejazdu przez miasto. Odzywa się FBI, że obserwowali go już cztery lata temu. Robi się gorąco, wśród dziennikarzy zaczyna się swoisty wyścig, kto pierwszy go rozpracuje. Jedni twierdzą, że to agent polskich służb, inni, że miłośnik rozpraw sądowych. FBI twierdzi, iż są dowody wskazujące, że to zagraniczny dziennikarz. On sam mówi, że jest obywatelem amerykańskim, że przyjechał do Stanów pięć lat temu. Odmawia podania nazwiska i profesji. Gdy próbują go nagabywać, czy pracuje dla polskiego rządu, odchodzi bez słowa. Raz jeden wypowiada się: „Ach, nie ma dowodów, dowodów przeciwko Zacharskiemu. Wszystkie te dowody to tylko gadanie. Nic poza tym. Zacharski nie będzie skazany"[26].

Na dzień przed ogłoszeniem wyroku, w niedzielę 13 grudnia 1981 roku, dowiaduję się, że w Polsce wprowadzono stan wojenny. Strażnicy przychodzą mi pokazać najświeższe wydania gazet.

Już nie mam złudzeń, wątpliwości ani nadziei. Mam pewność: sędzia da mi najwyższy z możliwych wyrok. W poniedziałek 14 grudnia prowadzą mnie na salę rozpraw. A tam nieprzebrane tłumy. Zgiełk. Eskortują mnie do pierwszej ławki. Wchodzi sędzia Kenyon. Jest chyba świeżo po wizycie u fryzjera. Tłum milknie. I wszystko staje się jasne: sędzia przystępuje do odebrania przysięgi wierności od nowych obywateli USA! A więc mój proces, który zaczął się jak farsa, tak też się zakończy. Sędzia Kenyon robi sobie pamiątkowe fotografie z „nowymi Amerykanami" (ciekawe, czy są wśród nich Polacy?) i ich rodzinami. Trwa to długo. Ja siedzę i czekam. Kończą zdjęcia i sędzia Kenyon wygłasza do nich mowę powitalną. Po jej zakończeniu zaznacza, iż chce, by wszyscy pozostali na sali, bo za chwilę odbędzie się coś ważnego. Coś, co — podkreśla sędzia — im nigdy nie powinno się przytrafić. I płynnie przechodzimy do ogłoszenia werdyktu. Najpierw Bell. Dopiero teraz zauważam Billa na sali. Ten tłum wcześniej przysłonił mi widok. Patrzę z daleka na swojego, do niedawna, przyjaciela. Bill wygląda źle. Mimo iż trzymali go do zakończenia procesu w hotelach, a nie w więzieniu. Ed mówił, iż Bill ponoć bał się o swoje życie. Wmawiał FBI, że teraz czyhają na niego polscy agenci (a tak się śmiał z „legendowania"). W jego imieniu mówi adwokat, pan Kriste. Tłumaczy sędziemu i zgromadzonym, iż jego klient jest oddanym swej rodzinie mężem i ojcem (czy na sali jest Rita? Nie widzę jej), że odkąd podjął się współpracy, zaczął proces rehabilitacji. Kriste pyta: „Gdzie są szpiedzy

sowieccy w naszych więzieniach?”. I sam sobie odpowiada: „Nie ma ani jednego!”. Wszyscy zostali wymienieni przez rząd. A teraz będzie jeden wyrok i jeden człowiek, który to odczuje. I to będzie jego klient. Kończąc, prosi o wyrok w zawieszeniu.

Na mównicę wchodzi Bill. Kaja się.

Sędzia cierpliwie wysłuchuje lamentu. Ale gdy zaczyna mówić, gdy przechodzi do ogłoszenia wyroku, dobroduszny Kenyon pokazuje, iż nie może mu wybaczyć.

Skazuje go na osiem lat pozbawienia wolności. Bell płacze.

Sędzia tłumaczy, iż wziął pod uwagę wszystkie okoliczności łagodzące, czytał pisma, które wskazywały, iż Bell był dobrym człowiekiem, rozumie, że jego świadomość zwyciężyła. Ale nie może mu darować winy w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, bo to by pokazało innym, iż można swój kraj zdradzić i bezkarnie sprzedać (nowi Amerykanie truchleją).

Bill rozkleił się zupełnie. Nie zważa na tłumy, na dziennikarzy, na nic. Płacze. Patrzę na niego i jest mi go po ludzku, zwyczajnie, żal. Już nie wróci wieczorem do domu w Cross Creek Village. Zostanie w więzieniu.

Moja kolej.

Prokurator Rober Brewer czekał na tę chwilę. To jego dzień. Mówi, iż jestem trzydziestoletnim masterszpiegiem, który wykorzystywałby Williama Bella tak długo, jak by się tylko dało. A gdyby nie stanął na mojej drodze Bell, znalazłbym innych (nie martw się, Brewer, znalazłem!). Brewer peroruje, wyciągając znów palec w moją stronę: informacje, które otrzymał od Bella, dały Paktowi Warszawskiemu czystą przewagę, zagrażając życiu tysięcy amerykańskich żołnierzy i pilotów.

Obrońca, Edward Stadum. Mówi krótko:

— Marian Zacharski nie jest ani zdrajcą, ani szpiegiem. Jest patriotą, lojalnym do końca wobec swego państwa.

Przychodzi czas na mnie. Staję na mównicy i czekam. Sędzia Kenyon pyta, czy chcę wygłosić ostatnie słowo.

Odpowiadam:

— Nie.

Nie spuszczam głowy. Patrzę sędziemu w oczy. Nie rozpaczam. Mam im do powiedzenia tak dużo, że mogę powiedzieć tylko: „nie”! Moje „nie” jest niezgodą na proces, niezgodą na wyrok. Jest buntem i ostatnią deską ratunku. Cokolwiek dalej usłyszę, mówię temu: „nie”.

Sędzia Kenyon ma coś do powiedzenia.

— Gdybym spotkał Mariana Zacharskiego w normalnym życiu, na ulicy, to bym go niewątpliwie polubił. Tak, byłbym pod jego wrażeniem.

Podziwiam prawnicze wykształcenie, znajomość języków, sukcesy zawodowe. Ludzie emigrują do Ameryki w poszukiwaniu lepszego życia (tu zwraca się do tłumu nowych obywateli). Ale nie wszyscy (nowi znów truchleją). Są tacy, którzy przybywają do naszego kraju w innych zamiarach i nie są to dobre zamiary! Zgadzam się z oskarżycielem: musimy powiedzieć panu, panie Zacharski, i tym, którzy podążą tą samą drogą, że nie będziemy tego tolerować! Byłeś zdolny zniszczyć drugiego człowieka, by dopiąć swego celu. I pewnie sądziłeś, że jesteś tak inteligentny, że nikt cię nie złapie! I być może ta wiara stała się źródłem twojego upadku. Gdy dzisiaj w Polsce ludzie walczą z siłami czarnej mocy, ty chciałeś zniszczyć ten wolnościowy eksperyment, jakim jest Ameryka! Takim ludziom jak Zacharski trzeba powiedzieć: nie! Skazuję cię na więzienie do końca życia!

Nie czekając, aż wybrzmią jego słowa, zgarnął ze stołu akta i wybiegł z sali.

Stoję i myślę.

O zdrajcy, który stał się źródłem dla Amerykanów. O skurwysynie, którego nie znam, który wystawił mnie, sprzedał. Trzydzieści srebrników? Ile byłem dla niego wart? Ile za mnie wziął?

Myślę o Anatoliuszu I., gadającym, co mu ślina na język przyniosła. Tak ważne dla niego było pochwalić się pobytem w Ameryce, że jak dziecko pokazał, gdzie mają go szukać. I znaleźli. Tych dwóch „pomogło” mi znaleźć się w takiej sytuacji.

Myślę o czołgach, które wczoraj Jaruzelski wysłał na polskie ulice. W kraju dramat, tragedia. I ta tragedia dotyka mnie po wielokroć. Nie wiem, co z moją ojczyzną. Nie wiem, co z moją rodziną. Ale wiem, że bez stanu wojennego ogłoszonego wczoraj mój wyrok mógł wyglądać inaczej.

A sędzia Kenyon? Jego ucieczka z sali sądowej? Nie chciał spojrzeć mi w oczy? Źle się czuł ze swoim wyrokiem?

Tak, jestem winny. W obliczu prawa Stanów Zjednoczonych jestem winny.

Ale nawet winę trzeba *uczciwie* udowodnić.

Ten proces był wielkim widowiskiem, farsą, polityczną rozgrywką zakończoną niespodziewaną puentą stanu wojennego. Dla mnie był wszystkim, tylko nie procesem w obliczu prawa. I tego nie mogę znieść.

Ja nie zdradziłem USA, bo nie jestem obywatelem „eksperymentu wolnościowego”. Jestem obywatelem Polski i dla niej pracowałem. Tak jak dziesiątki amerykańskich szpiegów pracują na naszym terenie, w każdym państwie świata. Wstrętem przejmuje mnie ciągłe grzmienie prokuratora o „potępieniu szpiegostwa”. Co za dwulicowość. CIA pewnie go na wykłady

nie zaprosi.

Dziennikarze dopadają Edwarda Staduma. Ed pyta ich retorycznie:

— Czy widzieliście nagłówki w „Los Angeles Times”? Nie jesteście w stanie mnie przekonać, że wprowadzenie stanu wojennego w Polsce nie miało wpływu na Kenyona.

Biegną do Roberta Brewera:

— Wyrok jest adekwatny do zbrodni! To była okazja do przekazania innym Zacharskim, że szpiegostwo nie będzie tolerowane przez sądy![27]

Najmniej ich interesuje adwokat Bella, ale w końcu pytają i jego o mój wyrok:

— Przypuszczam, iż mimo najwyższego wymiaru kary pan Zacharski nie zostanie w więzieniu amerykańskim dłużej niż pół roku! Znając realia, zostanie wymieniony na któregoś z wywiadowców amerykańskich!

Więc jednak ktoś w końcu przyznał, że „eksperyment wolnościowy” też ma swoich wywiadowców! Żałosne.

On i tak mówi to wyłącznie po to, by pokazać krzywdę swojego klienta. Zacharskiego wymienią, a Bill Bell będzie gnił w więzieniu. Taki jest kontekst tej wypowiedzi. Ale to czysta demagogia. Wprowadzenie stanu wojennego sprawiło, że mogę zapomnieć o szybkiej wymianie i powrocie do domu.

Dom. Basia, córki. Co teraz z nimi będzie? Jak długo Basia będzie mówiła dziewczynkom, że jestem w pracy. Chociaż, paradoksalnie, to prawda. Więzienie to efekt mojej pracy.

Ściskam dłoń mojego adwokata, dziękując mu za wszystko, co zrobił. On patrząc mi w oczy, mówi:

— Marian, czekam na dzień, gdy będziesz szedł po moście.

Chcę wierzyć, że to nastąpi. Chcę wierzyć, że jest przede mną most, chociaż w uszach wciąż brzmi to słowo: „dożywocie”.

Zabierają mnie na dół, do klatki, w której przez cały czas procesu oczekiwałem na rozpoczęcie posiedzeń sądu. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę, przez ułamek sekundy myślę, że to pomyłka! Ale to jest prawda: wprowadzają mnie do jednej celi z Billem.

Bell, widząc, co się dzieje, ucieka w głąb klatki. Podchodzę do niego spokojnie i wyciągam rękę.

— Bill, nie mam do ciebie pretensji. Zrobiłeś to, żeby uniknąć odpowiedzialności. Rozumiem cię.

Widząc, iż nie zamierzam go zabić, Bell wychodzi z kąta. Mówi bardzo cicho:

— Marian, oni nic ani na ciebie, ani na mnie nie mieli. Gdybym ja to wtedy wiedział! Gdybym ja wiedział... Ale, jak się zorientowałem, że oni

blefowali, żeby mnie złamać, to już było za późno! Za późno!

— Zapewniałem cię zawsze o dużej szczelności tej sprawy. Oni o tobie nie mogli wiedzieć.

— Teraz to widzę, ale wtedy... Byłem tak zdenerwowany, tak obciążony tą długą rozmową z nimi, że nie wytrzymałem. Na początku starałem się, naprawdę się starałem, ale potem, jak to tyle trwało, to ja już w końcu nie mogłem. Nie dałem rady... Przebacz mi, Marian, ja nie chciałem...

Nie wiem, co powiedzieć. Bill boi się tego, że nic nie mówię. Znów zaczyna się cofać.

— Marian, wybacz mi... — rozgląda się za strażnikiem. — Dlaczego oni zamknęli nas razem?

Co oni z niego zrobili? Bill, który boi się, że mogę mu coś zrobić, że mogę się zemścić, jest nie do zniesienia. Jego strach mnie obraża. Jestem Polakiem, nie kowbojem.

Zaczynamy rozmawiać, Bill wychodzi z kąta. Mówi wszystko po kolei, jak go złamali.

Mam gościa, przerywam rozmowę z Bellem. Przyszedł konsul generalny z konsulatu w Chicago, pan Juliusz Biały. Był jedynym polskim dyplomatą obecnym podczas ogłaszania wyroku. Ciężko o rozmowę, gdy dzieli nas metalowa siatka. Przegryzam kanapkę, właśnie przynieśli nam jedzenie. Tępienie głodu pomaga mi tłumić swoją psychikę. Patrzymy na siebie. Długo nic nie mówimy. Znamy się prywatnie, teraz przez tę siatkę… To upiorne, wciąż nierealistyczne. Mówię mu:

— Amerykański sędzia zadbał o moją przyszłość. Proszę przekazać polskim władzom, żeby teraz zaopiekowały się moją rodziną. To moja jedyna, wielka prośba.

Potakuje. Nie mówię nic więcej, chcę uniknąć patosu. Ale w obliczu spraw ostatecznych nawet moje myśli robią się pompatyczne. A dożywocie to już jest ostateczność.

Żegnam się z konsulem.

Wracam do Billa. Opowiada, jak pękł w hotelu, po lunchu z FBI.

— Marian, byłem jak w transie. Sam nie wiem, jak to się wszystko stało. Mówiłem i nie mogłem przestać. Widziałem, jak oczy robią im się coraz bardziej okrągłe. Widziałem to, a mimo tego wciąż i wciąż mówiłem dalej. Potem, jak miałem podpisać swoje oświadczenie, to oni jakby się wystraszyli, że ja nie podpiszę. Ja to widziałem, ten ich lęk. A mimo to nawet nie pomyślałem, żeby nie podpisać, żeby wszystko odwołać. Działałem jak robot.

— Nie dosypali ci czegoś do napoju w czasie lunchu? Co piłeś?

— Drinka.

— No właśnie. Przecież ty po alkoholu się rozluźniasz, nie pomyślałeś, żeby nie pić?

— Byłem tak zdenerwowany… Pomyślałem, że jak się napiję, to się lepiej skoncentruję... a może i coś mi dosypali... bo czułem się, tak jak ci mówię, jak w transie...

— Bill...

— Marian... żałuję, że tak się stało. Gdybym wiedział, że FBI i Brewer mnie oszukają...

— Co masz na myśli?

— Oni mi naprawdę obiecali niski wyrok, symboliczny wyrok za... No wiesz, za... współpracę... Brewer mówił, że jak dobrze pójdzie, to dostanę 10 tysięcy dolarów grzywny, bez więzienia. Jak zakończyłem zeznania, pozwolili mi wyjechać na tydzień, na urlop do Acapulco. Żebym odpoczął po ciężkiej pracy. No to jak ja miałem im nie wierzyć, że się wszystko uda? Że nie dostanę kary?

Bill naiwny jak dziecko. Dał się omamić i teraz szczerze żałuje swojej naiwności. Nie mam powodów, by mu nie wierzyć, zabrnęliśmy tak daleko, że już nie musi kłamać. Tak myślałem, że Brewer jest zdolny do wszystkiego, byleby osiągnąć sukces. Myślę, że naprawdę mógł obiecać Billowi wolność. Ciekawe, jakie swoje marzenia spełni prokurator dzięki Billowi Bellowi i wygranej sprawie? Grał o sukces, o sławę, popularność. Co za to dostanie?[28] Na koniec Bill mówi do mnie:

— Marian, przepraszam cię jeszcze raz. Tylko na tobie się nie zawiodłem.

Przypinają nas do jednego łańcucha. Skuci ze sobą jedziemy do więzienia w Terminal Island. W samochodzie nadal rozmawiamy. Dowiaduję się wielu rzeczy o postępowaniu FBI. To nie zmieni już biegu procesu, ale sprawia, iż moje zdanie o federalnych i prokuraturze jest jeszcze gorsze. Dopóki Bill był im potrzebny, dbali o niego. Jak skończyła się jego rola, potraktowali go jak wyciśniętą cytrynę. Mimo tego, a może właśnie dlatego, że zgodził się w pełni współpracować, bez żadnych warunków wstępnych. W czasie procesu, gdy podczas zeznań robił z siebie ofiarę, moją ofiarę, byłem zły i zniesmaczony. Ale teraz odczuwam wyłącznie współczucie, żal. Nie potrafię żywić do niego urazy. Wprowadzają nas do więzienia. Do tej pory byłem aresztantem, teraz jestem więźniem. Stajemy się tzw. CMC[29], od tej pory nie wolno nam już nigdy więcej się spotkać. Patrząc na niego po raz ostatni, pomyślałem, iż William Holden Bell był mimo wszystko doskonałym agentem polskiego wywiadu[30].

Pierwsza noc po wyroku. Nie byłem gotów na to przeżycie. Do tej pory trzymałem się. W sądzie, przy Billu. W nocy dopadły mnie wszystkie koszmary. Bez ustanku powtarzałem to słowo: dożywocie. Odmieniałem je przez przypadki. Nie mogłem przestać myśleć. Dożywocie oznacza nieskończoność. Oznacza czas, za którym nie ma nic. Do końca żywota. Zawsze. Bez kresu.

Nie. Oznacza tylko: do końca życia. Nie muszę czekać. Nie muszę zdawać się na biologię, na rytm tykającego we mnie zegara. Trzydzieste urodziny spędziłem w więzieniu w oczekiwaniu na proces. W nadziei na jego pozytywne rozstrzygnięcie. Teraz, gdy żadna z moich nadziei się nie spełniła, nie muszę sam siebie skazywać na życie, na klatkę. Myśl o śmierci, o tym, że mogę sam ją znaleźć, stała się dla mnie pocieszeniem. Oznaczała bowiem, że coś mogę zrobić. I przez krótką chwilę znalazłem w tej myśli ukojenie. Następna jednak była refleksja o rodzinie. O tym, iż dla nich moja śmierć, taka śmierć, o jakiej myślałem, byłaby skazą do końca życia. Nie miałem odwagi, by ich tym obarczyć.

Pomyślałem, że mam dużo czasu, że decyzję zawsze zdążę podjąć.

Jedną z pierwszych wiadomości ze świata, jaką dostaję, jest ta, iż ambasador Polski w USA, Romuald Spasowski, poprosił o azyl. Jakiś tydzień po ogłoszeniu stanu wojennego. Powiedział do kamer telewizyjnych: „Panie i panowie, jestem ambasadorem w Waszyngtonie. Nie chcę mieć jakiegokolwiek związku z władzami odpowiedzialnymi za brutalność i brak człowieczeństwa”. Ilu Polaków pójdzie za nim i wyrzeknie się swojego kraju? Ilu zrobi to nie z powodu przekonań politycznych, a tylko po to, by poprawić sobie standard życia? Poznałem w czasie swojej pracy wielu takich, którzy dostali paszport tylko dzięki „przyjaźni z władzą”, ale natychmiast po znalezieniu się w USA zaczynali pluć na Polskę. Wcale nie na tę władzę, a właśnie na kraj. Takie wiadomości nie poprawiają mojego nastroju. Spasowski jeszcze w lipcu spotykał się w mojej sprawie z panem Scanlanem z Departamentu Stanu. Nic wówczas nie załatwił, Amerykanie zbyli go informacją, iż o niczym nie wiedzą. Dzisiaj, z perspektywy jego przejścia na drugą stronę, inaczej oceniam jego wysiłki. Może po prostu już wtedy nie miał ochoty niczego załatwić w tej sprawie.

Powstaje od razu kwestia apelacji. Rozmowy na ten temat ciągną się długo.

Edward Stadum, mój obrońca, mówi, żeby składać.

Strona rządowa sugeruje, iż lepiej załatwić to na drodze dyplomacji.

Adwokat, że niezłożenie apelacji zamyka mi raz na zawsze drogę prawną. Ostatecznie.

Strona rządowa, że po wprowadzeniu stanu wojennego apelacja skończyć się może jeszcze większą manifestacją polityczną niż dotychczasowy proces i wówczas jakiekolwiek kroki dyplomatyczne zostaną zamrożone na wiele lat.

Adwokat: jeśli strony polskiej nie stać na koszty sądowe i procesowe, to mogą mi przydzielić obrońcę z urzędu.

Pytam Eda o inne możliwości.

— Po dziesięciu latach możesz wystąpić z wnioskiem o zwolnienie, ale rada, która będzie go rozpatrywać, może się nie zgodzić. Występujesz z kolejnym po upływie dwóch lat. I tak dalej, co dwa lata. Jest jeszcze prawo łaski, której udziela prezydent, ale w twoim wypadku na prezydenta bym nie liczył. Marian, składaj apelację.

— A jeśli Sąd Apelacyjny uzna, z jakiegokolwiek powodu, że nie dotrzymano procedury w sądzie pierwszej instancji?

— Przestań, dlaczego miałby to robić?

— Ed, a dlaczego przegraliśmy proces?

— Przepraszam, masz całkowitą rację. Tak. Stan wojenny wpłynął tylko na wysokość wyroku, a nie na sam przebieg procesu, teraz dałbyś im pretekst do pełnej, politycznej pokazówki.

— Tego się obawiam, tego obawiają się ludzie reprezentujący mój rząd, że pod byle pretekstem anulują wyrok i przekażą sprawę do ponownego rozpoznania. I znów się zacznie. Tyle że teraz mocniej uderzą w bębny propagandowe. Mówią, że kanałami dyplomatycznymi więcej wskórają. A wojna na sali rozpraw byłaby trudna do opanowania.

— Jesteś zdecydowany?

— Ed, jestem zdecydowany. Nie składam apelacji.

— Rozumiem. Czas mamy do końca lipca. Więc i tak odwiedzę cię, żebyś podpisał papiery. Jeśli zmienisz zdanie, podejmę się tego.

Boję się, bo to gra va banque. Jeśli polski rząd mnie nie wyciągnie, na własną prośbę zamknę sobie tą decyzją drogę. Nie mówię tego Edowi, ale nie bez znaczenia są też koszty procesu. Mam jednak wewnętrzne przekonanie, że drogą procesową niczego bym nie wskórał. Proces zakończony wyrokiem z dnia 14 grudnia ostatecznie pozbawił mnie złudzeń co do mojego miejsca w amerykańskim systemie sprawiedliwości.

Po jakimś miesiącu dowiaduję się, że przenoszą mnie do więzienia federalnego w Memphis w stanie Tennessee. Terminal Island, w którym jestem, ma stopień zabezpieczenia „3”, a według tabeli punktowej i

wywiadu środowiskowego, powinienem karę odbyć w „4”. Pierwszym przystankiem w drodze do Memphis było więzienie w Lompoc w stanie Kalifornia. Mieści się ono obok strategicznej bazy sił powietrznych Vandenberg Air Force Base, niedaleko od Santa Barbara. Pojechałem wraz z innymi więźniami autobusem. Stary, zdezelowany autobus przystosowany do transportu więźniów. W jego wnętrzu mieściło się kilkanaście siedzeń w klatce; z przodu kabina kierowcy i pierwszego strażnika, oddzielone od klatki dla więźniów, z tyłu specjalna klatka dla drugiego strażnika. Nie miała drzwi, strażnik wchodził tam przez okno po drabinie. Jeden i drugi wyposażeni byli w długą broń. Zaraz po wejściu poinformowali nas, że mają przyzwolenie na użycie broni w razie naszej niesubordynacji. Na miejscu ma się zgadzać tylko ilość. Byłem skuty w potworny sposób. Do tej pory wydawało mi się, że kajdany na rękach i nogach to aż nadto. Teraz kajdany na rękach miałem przeplecione przez łańcuch zamocowany w miejsce paska. Na górę kajdanek założyli mi tak zwane czarne pudełko, które powodowało całkowite unieruchomienie rąk. Nie było mowy o poruszeniu ręką choćby o kilka milimetrów, bo ból stawał się nie do zniesienia. Nogi, oczywiście, skute łańcuchem. W autobusie bardzo gorąco, duszno. Nogi puchły od temperatury i braku najmniejszego ruchu. Gdy dojechaliśmy na miejsce, buty miałem pełne krwi. Łańcuch poprzecinał opuchnięte nogi. Otoczyli autobus strażnikami z długą bronią i wprowadzili pojazd między dwie bramy. Wysiadłem, ale nie byłem w stanie zrobić kroku. Widząc krew lejącą się z moich butów, nie mieli wyjścia. Rozpięli mi łańcuchy.

W Lompoc zostałem około tygodnia, w całkowitej izolacji. Wyrok dożywocia stawiał mnie w szeregu najcięższych kryminalistów. A poza tym w Lompoc przebywał tranzytem Bill Bell w drodze do więzienia w Missouri. Nie wolno nam się było kontaktować. Przez cały ten czas cierpiałem z powodu ran od łańcuchów. Chciałem, by się wygoiły, bo wiedziałem, że przede mną dalsza droga. Moim sąsiadem przez ścianę był Murzyn, który bez przerwy próbował się z kimś skomunikować, by dowiedzieć się, czy przeżył facet, z którym pobił się kilka dni wcześniej. Stoczyli więzienną walkę na śmierć i życie. Walkę wygrał, a teraz martwi się, czy jego przeciwnik żyje, chce ustalić, czy kolejny proces będzie miał za morderstwo, czy tylko za jego usiłowanie. Mówi o sobie, o przestępstwach, które ma na koncie, o tym, że chyba nigdy nie wyjdzie na wolność. Pierwszy raz trafił do więzienia z niedużym wyrokiem, ale wpadł w zaklęty krąg: bronił swojego honoru w więzieniu i popełnił kolejne przestępstwo. Nie wychodząc na wolność, w zamkniętych murach placówki popełniał jedno wykroczenie za drugim. Spytał, dokąd mnie

wiozą. Powiedział, że Memphis jest w porządku, tam też siedział.

2 lutego 1982 roku, po około tygodniu pobytu w Lompoc, kazali mi się zbierać. Nadszedł czas na kontynuację podróży. Skuli mi ręce i nogi jak poprzednio, choć darowali czarną skrzynkę, na szczęście. Samochodem wiozą nas przez strategiczną bazę Vandenberg. Na płycie lotniska oczekuje na nas samolot więzienny. Rzut oka wystarcza, by mieć pewność, że to raczej zabytek. Convair turbośmigłowy CV-580, linii Sierra Pacific. Pakują nas do samolotu, około dwudziestu więźniów, w tym kobiety. Zdejmują nam tylko łańcuchy z nóg. Ale próba odpalenia silników nie udała się, więc zabierają nas z powrotem do Lompoc. Znów jedziemy przez bazę Vandenberg. Niewiele osób ma do niej dostęp, jak widać, nas nie traktują już jak ludzi, którzy kiedykolwiek, cokolwiek z tego, co widzieli, opowiedzą. Nazajutrz procedura się powtarza, tyle że tym razem udaje się uruchomić silniki. Siedzący przede mną więzień ma jakieś problemy z głową, może zresztą wywołane lękiem przed lotem tą rozklekotaną maszyną. Podchodzi do niego ochroniarz, gość, który wygląda na największego z możliwych graczy futbolu amerykańskiego. Łapie go nelsonem za szyję i wbija mu igłę w ramię. Wprost przez koszulę. Więzień uspokaja się w ciągu minuty i osuwa na siedzenie. Na brutalnym ochroniarzu nie robi to żadnego wrażenia. Najwyraźniej robi takie zastrzyki często.

Obok mnie siedzi więzień o imieniu Gus, ma wyrok za przemyt narkotyków. Z wykształcenia jest prawnikiem, z zamiłowania pilotem. Ma za sobą służbę w Laosie, Wietnamie i Kambodży. Ma licencję na pilotowanie najróżniejszych typów samolotów, a także helikopterów. Gus jest spokojny, zrelaksowany. Mówi, że na swoje problemy z prawem ma jedną, skuteczną metodę: telefon. Dzwoni do Fortu McClean w Wirginii i z jedną z przybudówek CIA ustala, ile trudnych lotów ma odbyć na ich zlecenie, a oni w zamian gwarantują mu „porządek w kartotece”. Mówi, iż jego przyjaciel odbywał loty na niskich wysokościach, wchodząc w przestrzeń powietrzną Polski. Dostarczał kserokopiarki dla „Solidarności”. Gus natomiast wykonywał loty dla ukraińskiej organizacji „Trójząb” (Trident). Latał także do Afganistanu. Po chwili do naszej rozmowy włącza się dwóch innych gości, także pilotów, którzy dokładnie tak samo jak Gus radzą sobie ze swoimi problemami. Jeden ma bardzo ciężki akcent, mówi, że urodził się w Gdańsku, a jego rodzice, jak powiada, pochodzą z Pomeranii, potem jednak mieszkali w Argentynie i stamtąd dopiero trafili do Stanów. Opowiada, jak pracował dla jednej z agencji wywiadowczych (nie mówi, dla której, prawdopodobnie chodzi mu o jedną z licznych przybudówek CIA). Opowiada o lotach, jakie wykonywał samolotem bez

okien, bez żadnych oznaczeń. Lądował na lądowisku, na którym prócz baraków nie było nic. Przerzucał ludzi na specjalne szkolenia do USA. Wszystko było tak zorganizowane, że jeśli kiedykolwiek któryś ze szkolonych wtedy ludzi znajdzie się w opresji, to nawet w obliczu ciężkich tortur nie zezna, że był szkolony w USA, bo najzwyczajniej w świecie tego nie wie. Na koniec dodaje, że z racji swego akcentu zawsze udawał obcokrajowca, najchętniej Brytyjczyka, i działał wyłącznie pod obcą banderą.

Mamy przerwę w locie. Albuquerque w stanie Nowy Meksyk. Ktoś nas opuszcza, dołączają dwóch innych. Kolejny postój w Oklahoma City. Dzięki Bogu, piloci tej archaicznej maszyny to zawodowcy, lądujemy bez problemów. Na zewnątrz dwadzieścia stopni poniżej zera. Wysiada nas około dziesięciu, wszyscy w podkoszulkach (w Kalifornii było gorąco). Dają nam zamarznięte stare kurtki wojskowe i prowadzą do zimnego autobusu. Trzęsiemy się z zimna przez całą drogę do więzienia federalnego El Reno, jakieś czterdzieści mil.

Więzienie jest stare, brudne i zarobaczone. Przyjmują nas na stan jak towar. Nie śpię, całą noc strząsam z siebie prusaki. Po dwóch dniach autobus wiozący więźniów do Memphis odjeżdża, ale beze mnie. Przypuszczam, że z listy przewozowej zdjął mnie w ostatniej chwili strażnik o południowo-amerykańskiej karnacji. Niski, wredny typ, o sadystycznych zapędach. Trzasnąłem go przypadkowo drzwiami i odgrażał, że się zemści. Dzwonię do konsulatu w Chicago. Oni telefonują do Marshal Service. Dowiadują się, że 10 lutego na pewno będę w Memphis.

Rzeczywiście, 10 lutego o 9.30 zabierają mnie. Lecę samolotem cywilnym linii Braniff International z Oklahoma, przez Dallas, do Memphis. Podróż, ku mojemu żalowi, trwa krótko, o 14.30 jestem na miejscu. Krótka chwila wolności. Pseudokawa na pokładzie i jedzenie, o którym kiedyś miałem tak kiepskie zdanie, teraz smakują jak w najlepszej restauracji.

Zostaję przyjęty na stan Federal Correctional Institution w Memphis w stanie Tennessee. To ma być moja przystań na lata. Na lata. Ale na ile? Wiem, że toczy się gra o moje uwolnienie i wymianę. Ale na jej bieg nie mam żadnego wpływu, a i wiedzę o tym, co naprawdę się dzieje, mam raczej fragmentaryczną. Zaraz po przybyciu do Memphis składam prośbę o prenumeratę „Los Angeles Times”, „New York Times” i „Washington Post”. Ale pierwsze dni mam spędzić w izolatce, więc prasę dostanę później.

Trzy dni trzymają mnie w odosobnieniu, bo sprawdzają, czy któryś z

więźniów nie będzie chciał mnie zaatakować. Potem trafiam do celi dwuosobowej, którą dzielę z typowym *hill-billy.* Prosty, niewyszukany gość, ale dość sympatyczny. Cieszę się, bo nie siedzę już za kratami, jak do tej pory. Nasza cela ma porządne, wzmocnione drzwi z okienkiem do podglądu. W środku: piętrowa prycza, szafka, umywalka i toaleta.

Jakieś dwa tygodnie po tym, jak trafiam do Memphis, doręczają mi papier wydany przez Biuro Więziennictwa przy Departamencie Sprawiedliwości. „Sentence Computation Record". Papier ma kolor żółtka jaja. Więc tak wygląda mój wyrok? Czytam go:

Sentence Computation Record

Punkt 1. Nr 73820-012 (tak najpierw numer! a potem dopiero nazwisko)

Punkt 2. Nazwisko: Zacharski Marian Włodzimierz

Punkt 3. — (miejsce na numer FBI, puste)

Punkt 4. Data urodzenia 08-15-51,

Punkt 5. Płeć (1 = męska, 2 = żeńska) wpisano 1

Punkt 6. Rasa (1 = biała) wpisano 1

Punkt 12. Numer wyroku 1

Punkt 13. Numer dokumentu CR81-679-KN (KN — pewnie Kenyon)

Punkt 15. Okręg sądowy: 09053 Centralna Kalifornia

Punkt 16. Sędzia David V. Kenyon

Punkt 19. Kod przestępstwa: code 363, opis: konspiracja do zbierania lub dostarczania informacji obronnych w celu pomocy obcemu rządowi, tytuł 18 paragraf 794 (c)

Punkt 20. Procedura wyroku: kod 10 4205 (A) dożywocie regularne

Punkt 21. Wyrok orzeczony (możliwości) 888-88-88 = dożywocie

999-99-99 = kara śmierci

wpisano: 88-88-88 (chyba przez pomyłkę ominęli jedną ósemkę) opis: dożywocie

Punkt 26. Zaliczone w poczet kary dni aresztu: 0168 (dni)

Punkt 33. Wyrok rozpoczął się od 12-14-81

Punkt 34. Pierwsza możliwość zwolnienia przez Parole Board: 06-28-91

Punkt 36. Dwie trzecie lub data trzydziestu lat: 06-28-11 (2011)

Punkt 38. Skazanie wygasa w całości: 88-88-88 (a więc nie wygasa)

Od pewnego czasu w informacjach, które telefonicznie otrzymuję z konsulatu, brak tych, na które czekam najbardziej, dotyczących postępu w sprawie mojej wymiany. Mówią wymijająco: sprawy są w toku, robimy rozeznanie. Więc ten wyrok jest jedyną namacalną rzeczą. I to dożywocie powtórzone w nim po wielekroć. Do Polski dzwonić nie mogę, telefony odcięto z powodu stanu wojennego. Proszę konsulat, żeby znaleźli jakiś

sposób, abym mógł choć raz na jakiś czas porozmawiać z żoną. Nie dostałem od niej jeszcze żadnego listu. Mówią, że korespondencja jest utrudniona z tego samego powodu. Ale od George'a Amberga dostałem. Wprawdzie otwarty, przeczytany i skontrolowany, ale dostałem. Mam dostęp do telewizji we wspólnej sali. W połowie marca oglądam powtórkę programu „60 minut" w telewizji CBS. Poświęcony jest sprawie mojej i Billa Bella. Prowadzący, Mike Wallace, mówi, że stałem się pierwszym obywatelem Europy Wschodniej przebywającym w charakterze służbowym na terytorium Stanów Zjednoczonych, którego postawiono przed sądem w USA z zarzutem prowadzenia działalności wywiadowczej. I, oczywiście, pierwszym skazanym. To, że w popularnym programie publicystycznym mówi się w ten sposób o sprawie, też nie napawa mnie optymizmem. Traktują to jak fakt nadzwyczaj dziwny, ale już dokonany. Zaskakujące i pochlebne dla mnie są komentarze widzów, którzy przypominają, jak honorowo i dumnie zachowałem się po ogłoszeniu wyroku. Jeden z widzów: „On (czyli Bell) powinien być umieszczony w więzieniu na sto lat, a polski szpieg powinien być uwolniony, bo Polak przynajmniej pracował na rzecz swojego kraju".

Tymczasem, w ślad za wyrokiem, otrzymuję pismo z Immigration Service, w którym informują mnie i więzienie w Memphis, że jak skończę odsiadkę, przechodzę pod ich jurysdykcję i to oni zajmą się moim wydaleniem ze Stanów. Jako datę przypuszczalnego zwolnienia podają 28 czerwca 2011 roku i zaznaczają, że sześćdziesiąt dni przed terminem skontaktują się ponownie.

W starych „Newsweekach", które pożyczam od więźniów, znajduję echa dyskusji, która toczyła się w prasie na początku mojego procesu. Dziennikarze sugerują tam, iż sąd nie wydał zgody na wypuszczenie mnie za kaucją, bo władze obawiały się, iż ucieknę i wówczas nie będą mogli zorganizować wymiany mnie na Wesołowską, byłą pracownicę ONZ-etu, zatrzymaną w Polsce pod zarzutem szpiegostwa na rzecz USA. Autor artykułu przypuszcza, że jeśli wymiana się powiedzie, to Bell będzie jedynym, który odsiedzi swój wyrok. Przypomina to pełne identycznego przekonania wypowiedzi obrońcy Bella po ogłoszeniu wyroku. „Newsweek" jest z 13 lipca 1981 roku. Minęło osiem miesięcy od czasu powstania tego artykułu, a w mojej sprawie nie zmieniło się nic. Nie mogę stracić nadziei, że moi przełożeni i polskie władze robią wszystko, żeby mnie stąd wyciągnąć.

Patrzę na ludzi wokół siebie. Wśród nich wielu jest takich, którzy nie rozstają się z więzieniem. Nawet jeśli w końcu wychodzą, to na krótko, jakby tylko szukali pretekstu do powrotu. Kolejne wykroczenie i wracają.

Witają się ze współwięźniami jak z rodziną, przychodzą za kraty jak do domu. Tu mają swoje łóżko, kumpli, miskę. Mówi się o nich, że się „zinstytucjonalizowali". Mam za sobą już ponad pół roku więzienia i wciąż nie rozumiem ich motywacji. Dla mnie świat jest „tam", a nie „tu".

Minęła już faza buntu, że jestem w więzieniu. Teraz staram się ułożyć sobie tu życie. Ale nie ma w tym ani cienia zgody na taką egzystencję. Jest tylko chłodna kalkulacja: dopóki tu jestem, muszę sobie poradzić. Nic więcej. Strażnicy nienawidzą mnie z powodu prasy i książek, które zamawiam. Muszą mi je przynosić. A ja czytam, co tylko wpadnie mi w ręce. Nie chcę stracić kontaktu z rzeczywistością. Dzień zaczynam o 6.30, o 7 śniadanie, potem praca, w południe lunch, czas wolny, kolacja. Wynajduję sposoby na podtrzymywanie w sobie chęci do życia. Na to, by uciec przed przytłaczającym widokiem pięciu ósemek w wyroku. Jednym z nich jest czytanie. Drugim biegi. Mamy niewielki stadion na terenie więzienia. Niedawno jeden z więźniów zaraził mnie ideą biegania, tłumaczył, iż zmęczenie fizyczne przynosi ulgę udręczonej psychice. Gdy biegam, przypominam sobie rozmowę z „Owieczką" i „Chińczykiem", dawno, dawno temu na lotnisku. Dawno? Nie, to było mniej więcej rok temu. A mnie się wydaje, że wieki. Wtedy, gdy opowiadali, jak dzięki bieganiu pozbywają się stresów, nie przypuszczałem, że pójdę w ich ślady. Telefony z konsulatu rzadkie, raz w tygodniu. Za każdym razem to samo: trwają rozmowy na płaszczyźnie dyplomatycznej. Ponownie sugerują, abym nie składał odwołania. Rozważam wszystko raz jeszcze i 27 lipca 1982 roku ostatecznie podpisuję Edwardowi Stadumowi dokument, w którym stwierdzam, iż w pełni poinformowany o skutkach niezłożenia apelacji, upoważniam go do podjęcia takich właśnie kroków.

Od dnia aresztowania Mariana Zacharskiego polskie władze starały się ustalić, co mogą zrobić w tej, bez wątpienia, trudnej sytuacji. Już na drugi dzień po aresztowaniu Zacharskiego, 29 czerwca 1981 roku konsul generalny w Chicago, pan Juliusz Biały, zwrócił się do FBI w Los Angeles o podanie powodu aresztowania i umożliwienie widzenia z obywatelem Polski. FBI odpowiedziało, iż sprawę przekazano do Departamentu Stanu; tam zaś zasłaniano się brakiem rozpoznania w sprawie.

Niepokojącym w całym zajściu był fakt, iż od samego początku media szeroko komentowały aresztowanie „polskiego szpiega" i „amerykańskiego zdrajcy", co naruszało wszystkie dotychczasowe niepisane umowy dyplomatyczne.

2 lipca przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pan Szewczyk, spotkał się z radcą ambasady amerykańskiej w Warszawie, panem Andrewsem. Pan Andrews tłumaczył, iż fakt, że do aresztowania Zacharskiego doszło w niedzielę, gdy Departament Stanu nie pracował, spowodował niemożność zablokowania tej informacji w mediach.

Strona polska przypomniała jednak, iż całkiem niedawno, bo 26 maja, podczas konferencji prasowej wiceministra spraw wewnętrznych, pana generała Władysława Pożogi, to strona amerykańska zadała pytanie o zachowanie przez Polskę warunków „cichej umowy". I odpowiedź twierdząca padła.

Pomimo tego, iż w prasie amerykańskiej pojawiły się spekulacje łączące nazwisko Zacharskiego z Alicją Wesołowską, byłą pracownicą ONZ-etu, pan Andrews nie wypowiedział się na ten temat ani twierdząco, ani przecząco.

Jednak w dość krótkim czasie pojawiło się, wciąż nieoficjalnie, nazwisko człowieka, którym Amerykanie byli zainteresowani.

Anatolij Szczarański.

Strona polska miała powód do niepokoju, bowiem dotychczasowym niepisanym zwyczajem było zamykanie wymiany w granicach państw zainteresowanych. Anatolij Szczarański nie był obywatelem polskim, co więcej, był osobą nieosiągalną. Jednak sprawa Zacharskiego od samego początku obfitowała w sygnały sugerujące, iż znacznie odbiega od przyjętych standardów.

Anatolij Szczarański w latach siedemdziesiątych był liderem ruchu na rzecz praw człowieka w ZSRR. W 1978 roku postawiono go przed sądem i skazano na trzynaście lat więzienia za działalność antyradziecką. Nieoficjalnie mówiło się, iż władze ZSRR są na jego punkcie wyjątkowo przeczulone. Żeby nie powiedzieć: zawzięte.

Pojawiło się także i drugie nazwisko, ale należało ono do człowieka, który dla władz polskich był jeszcze bardziej nieosiągalny niż Szczarański. Chodziło o Andrieja Sacharowa, fizyka, laureata Nagrody Nobla. Amerykanie po wstępnym sondażu zmienili jednak swoje oczekiwania na bardziej realne: nie chodziło im o wymianę Sacharowa na Zacharskiego, ale o przyrzeczenie ze strony rosyjskiej zmiany warunków traktowania fizyka i jego żony, Yeleny Bonner. W tym czasie przebywał on na zesłaniu w mieście Gorki. Amerykanie zdali sobie sprawę, iż wypuszczenie fizyka, który uczestniczył w tajnych, radzieckich programach atomowych, jest poza ich zasięgiem.

W dyplomacji trzeba czasu. Zwłaszcza gdy jedna ze stron ma coś, na czym zależy drugiej. W tej sprawie jednak wciąż pewne zbiegi okoliczności sprawiały, iż trzeba go było znacznie więcej.

W styczniu 1981 roku nastąpiła zmiana na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ronald Reagan po swym poprzedniku, Jimmym Carterze przejął rozkręcony program zbrojeniowy i nie tylko nie zamierzał go zmniejszać, lecz za punkt honoru poczytywał sobie znaczne zwiększenie wydatków na zbrojenia, by na zimnowojennej scenie doprowadzić do jednoznacznej przewagi USA. Ponadto, po wprowadzeniu stanu wojennego, Amerykanom nie były na rękę pertraktacje z Wojskową Radą Ocalenia Narodowego. To nie przystawało do wizerunku kreowanego w mediach. Prezydent Stanów Zjednoczonych wspierał wyłącznie polską opozycję w jej walce przeciwko rządowi. Kontrowersje, które rozpętały się wokół sankcji gospodarczych nałożonych przez Reagana na Polskę, nie zdołały przyćmić tego wizerunku. W tej sytuacji dyskusje na temat wymiany

polskiego wywiadowcy, który na polu obronności znacząco nadwerężył cierpliwość Ameryki, były co najmniej nie na miejscu. Właściwsze było raczej wykorzystanie tego faktu, by poprzeć zwiększanie budżetu na zbrojenia.

Jednak, jak to bywa w polityce, to, co jest przeszkodą dzisiaj, nie musi być nią jutro. Kanałami dyplomatycznymi strona amerykańska zasugerowała dwa wielkie nazwiska jako cenę za uwolnienie Zacharskiego. Szczarański i Sacharow byliby dla wizerunku Reagana znaczącym osiągnięciem. Kiedy jednak strona polska dała sygnał, iż te nazwiska są dla niej nieosiągalne, dalszych propozycji nie było. Postanowiono czekać, bo po cóż się śpieszyć, skoro jeszcze nie wiadomo, co przyniesie jutro?

W lipcu 1982 roku przebywał w Polsce sekretarz sekretarza generalnego ONZ, pan Oliwares. Celem jego wizyty było uzyskanie od władz polskich zgody na uwolnienie Alicji Wesołowskiej. W trakcie rozmów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych przekazano mu sugestię, iż strona polska jest zainteresowana wymianą Alicji Wesołowskiej na Mariana Zacharskiego. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. 13 sierpnia 1982 roku poinformowano pana Włodzimierza Natorfa, ambasadora stałego przedstawicielstwa Polski przy ONZ, że zgodnie z obietnicą pan Oliwares podjął próbę mediacji, lecz odpowiedź na nią była druzgocząca:

„Amerykanie nie są zainteresowani Wesołowską. Propozycję wymiany Wesołowskiej na Zacharskiego traktują jako śmieszny brak proporcji".

Sprawa Zacharskiego ponownie utknęła w martwym punkcie.

Przynajmniej na gruncie dyplomatycznym.

Od kilku miesięcy mam pojedynczą celę. Nie różni się niczym od poprzedniej, poza tym, że zamiast piętrowej pryczy ma jedno łóżko. Sporą część pensjonariuszy w Memphis stanowią ludzie z Ameryki Południowej. Odsiadują wyroki za handel narkotykami. Większość z nich jest w porządku, nie wchodzimy sobie w drogę.

Jeśli można mówić o kumplach w więzieniu, to mam dwóch: Arnie Green i Jimmie Russo.

Russo pochodzi z Florydy, był tak zwanym *kickerem*. Gdy przemycali marihuanę do USA, nad wyznaczonym obszarem miał otworzyć drzwi samolotu i wykopać bele z towarem. Najczęściej mu się udawało, ale w końcu wpadł. Arnie zaś był nałogowym hazardzistą i genialnym fałszerzem. Miał żydowskie korzenie. Podrabiał czeki wielkich korporacji, pobierał gotówkę i jechał do Las Vegas. Kochał hazard! Gdy go zamykali, odliczał dni do wyjścia na wolność i po skończonej odsiadce robił dokładnie to samo, co wcześniej. Lubiliśmy się. 4 listopada 1982 roku Russo przyszedł do mnie i pokazał, że chce pogadać na osobności.

— Marian, ktoś kazał ci przekazać, że możesz wyjść na wolność.

— Kto?

— Że możesz wyjść i dobrze się urządzić.

— Nie rozumiem.

— Wystarczy, że podpiszesz pewien papier. Dostaniesz, co chcesz, warunki finansowe nie grają roli. Tak powiedzieli.

— Kto powiedział?

— No, pomyśl... Powiedzieli też, że jeśli ty przyjmiesz propozycję, to mnie również wyczyszczą kartotekę w nagrodę za pośrednictwo. Będę wolnym człowiekiem, bez plamy na życiorysie!

— Ej, Russo! Przekaż FBI, że mam w dupie ich warunki, nawet najbardziej lukratywne. Przykro mi, że nie wyczyszczę ci kartoteki. Brzydzę się zdradą.

— Marian, chcesz tu gnić do śmierci? Jesteś jeszcze młody, urządzisz sobie życie, jak tylko będziesz chciał! Nie masz żadnej gwarancji, że ci twoi cię wyciągną.

— Nie zmienię zdania. — Popatrzyłem na niego. Był sympatyczny, naprawdę sympatyczny. — Przekaż im to.

— Jasne.

Nie umiał ukryć zawodu, że nie pomogę mu w jego sprawie. Ale nie też do mnie żalu. Podaliśmy sobie ręce.

Podczas rozmowy z konsulatem dałem znać, że FBI przypuściło pierwszy szturm. Podałem im listę książek, o które proszę. Powiedzieli, że w mojej sprawie podejmują kroki dyplomatyczne, mam być dobrej myśli. Umożliwili mojej żonie telefonowanie do mnie. Na razie raz w miesiącu, ale cieszy mnie i to. Proszę Basię, aby ona i mama pisały petycję o zajęcie się moją sprawą wprost do Jaruzelskiego. Chrzanię, czy telefon, z którego pozwalają Basi dzwonić, jest na podsłuchu, czy nie. Jestem zniecierpliwiony, nie podpisałem apelacji, tak jak chcieli, FBI mnie nachodzi z sugestiami, że moi mnie porzucili, dlaczego mam swojej rodziny nie prosić o pomoc?! W grudniu Basia mówi, że napisały z mamą list do ambasadora amerykańskiego w Polsce, pana Meehana. Czekają na odpowiedź. Moje drugie Boże Narodzenie w więzieniu. Pierwsze, tuż po wyroku, jeszcze w Terminal Island. Wtedy myślałem, że to przypadek, zbieg okoliczności. Teraz już wiem, że nie. Cisza w wigilijną noc i pierwszy dzień świąt. Mordercy, gwałciciele, przemytnicy, zwykłe zbiry, alfonsi, wykidajły, wszyscy jak jeden mąż nagle milkną. Nie słychać zwykłych nocnych krzyków, pohukiwań, trzasków. Nic. Tylko kroki strażników i „Merry Christmas” z ich trzeszczącego radia. Usypiam ze zdjęciem dziewczynek.

Pracuję w ekipie remontowej. 20 lutego 1983 roku strażnik przyszedł po

mnie do pracy i powiedział, że mam gości. Idę z nadzieją, że może coś drgnęło, może ktoś z Chicago. Ale nie. To dwóch agentów FBI. Przynoszą mi wszystkie książki, o których rozmawiałem przez telefon z ludźmi z konsulatu. Skurwysyny! Więc tak, chcecie mi pokazać, że to wy o mnie dbacie (z konsulatu jeszcze żadna z książek, o które prosiłem, nie przyszła), a oni mają mnie gdzieś. Tylko tak się składa, że wam nie wierzę. Pod waszymi propozycjami kryje się jedno: mam się zgodzić na współpracę, mam zdradzić swój kraj, a wy mnie wyciśniecie jak cytrynę i wyrzucicie, gdy podzielę się z wami swoją wiedzą. O nie!

— To co mamy zrobić z tymi książkami? — pyta ten wyższy.

— Oddajcie do więziennej biblioteki, to ktoś na pewno skorzysta.

— Ale zobacz, to świetne wydanie!

— Nie, nie wezmę ich nawet do ręki. Nic od was nie potrzebuję.

Kto im dał prawo traktowania mnie jak szmatę, którą można kupić? Jak to kto? A kto mnie sprzedał? Do dzisiaj nie znam odpowiedzi na to pytanie. Nawet nie wiem, czy moi ją znają. Ponoć w Departamencie I zarządzono śledztwo, by wykryć zdrajcę, ale wyników nikt mi nie przekazał. Zresztą nie bardzo jest jak. To, że nie wiem, nie znaczy, że o tym nie myślę. Myślę, codziennie.

Pod koniec lutego dzwoni Basia i mówi, że właśnie (po dwóch miesiącach!) ambasador Meehan dał odpowiedź na jej list. Podtrzymał w niej zasadność mojego wyroku (kurwa, sędzia się znalazł!) i poradził, iż mogę się przez amerykańskich prawników zwrócić do prezydenta Reagana z prośbą o złagodzenie wyroku. Ale nie omieszkał dodać, że niewielka ilość petycji rozpatrywana jest pozytywnie. Basia pyta, co ma robić. Mówię, że nic. Ambasador sam udzielił odpowiedzi w sprawie przyszłych kroków. Proszę ją, aby dalej pisały do Jaruzelskiego.

> 19 stycznia 1983 roku ambasador USA w Warszawie podczas audiencji pożegnalnej poprosił na rozmowę w cztery oczy Józefa Wiejacza, wiceministra spraw zagranicznych. Ambasador Meehan przekazał wiceministrowi, że strona amerykańska nie widzi możliwości łączenia sprawy Zacharskiego i Wesołowskiej ze względu na nieproporcjonalność zarzutów postawionych tym osobom. Jednocześnie, jak zaznaczył pan ambasador, Waszyngton jest skłonny pozytywnie załatwić sprawę Zacharskiego z pobudek humanitarnych, ale, co ponownie podkreślił, bez wiązania ze sprawą Wesołowskiej. Chociaż oczywiste jest, iż uwolnienie Wesołowskiej zostanie potraktowane jako znaczący gest dobrej woli ze strony Polski. Na zakończenie rozmowy Meehan dodał, iż strona amerykańska życzy sobie sprawę Zacharskiego załatwić poprzez mecenasa Vogela.

Gdy pada nazwisko mecenasa Wolfganga Vogela, wiadomo, że sprawa nabrała nie tylko tempa, ale i ważności. Mecenas bowiem jest w świecie wysokiej dyplomacji kimś doskonale znanym, będąc jednocześnie jedną z najbardziej tajemniczych postaci okresu zimnej wojny. W czasie gdy Wschód i Zachód podążały od jednego konfliktu do drugiego, profesor Wolfgang Vogel, nie bawiąc się w politykę, potrafił stać się mężem zaufania obydwu stron. Był obywatelem NRD. Oficjalnie prowadził kancelarię adwokacką, która działała zarówno w Berlinie Wschodnim, jak i Zachodnim. Niektórzy mówią, iż otworzył ją za namową Heinza Volperta reprezentującego służby specjalne NRD, ale nikt nie wie tego na pewno. Pracuje wraz ze swą drugą żoną, Helgą, która jest jego tłumaczką (mecenas nie mówi po angielsku) i asystentką. Ona sama, by być z nim, przeniosła się z Düsseldorfu na wschodnią stronę, zgadzając się nawet na represje w postaci całkowitego zakazu kontaktów przez pięć lat z pozostawioną tam rodziną. Oboje są wielce ujmującymi ludźmi. Olbrzymiej elegancji i kultury. Nikt nie wyraża się o mecenasie Vogelu inaczej niż z wielkim szacunkiem.

Nieoficjalnie mówi się, iż potrafi umiejętnie pociągnąć za sznurki zarówno w Waszyngtonie, Bonn, jak i w Berlinie. Jest zaufanym i kanclerzy RFN, i Ericha Honeckera w NRD. Od wielu lat stał się cenionym pośrednikiem, kimś, bez kogo pomocy trudno się obejść w sprawach wymagających największej dyskrecji. A takimi są wymiany ludzi między światem podzielonym żelazną kurtyną. To on doprowadził do wymiany superszpiegów: Abla i Powersa. On wyciągnął z więzienia Guillaume'a. Także on ma na swoim koncie tysiące ludzi, którym pomógł w ramach tak zwanego łączenia rodzin pomiędzy podzielonymi Niemcami, i nie mniej więźniów politycznych, których wydobył z więzień w NRD.

Gdy więc Amerykanie mówią, iż sprawę Zacharskiego życzą sobie przeprowadzić wyłącznie przez mecenasa Vogela, to wyraźny sygnał dla strony polskiej, że traktują ją priorytetowo. Dają też delikatnie do zrozumienia, iż dotychczasowy tryb jej załatwiania oceniają jako niewłaściwy.

Tymczasem doszło w Polsce do incydentu zatrzymania osoby spokrewnionej z byłym ambasadorem USA w Polsce, a podejrzewanej o zbrodnię szpiegostwa na rzecz Stanów Zjednoczonych. Władze polskie, bez konsultacji z mecenasem i stroną niemiecką, ponownie wykazały się aktem dobrej woli w stosunku do Amerykanów, wypuszczając osobę zatrzymaną na wolność. Jak można się było spodziewać, ów „czyn humanitarny" nie został nawet przez stronę amerykańską dostrzeżony w aspekcie negocjacji o wymianie Zacharskiego.

12 lipca 1983 roku dostaję wiadomość, że mam się pilnie stawić pod bramą prowadzącą do biura szefa więzienia. Rzucam pracę i niemal biegnę. Jest we mnie irracjonalna nadzieja, przeczucie, pewność, że oto dzisiaj zdarzy się cud, że przyjdzie wolność. Odkąd w rozmowie z konsulem padło

nazwisko profesora Vogela, codziennie czekam na wiadomości.

W sali konferencyjnej czeka na mnie przedstawiciel ambasady i to tylko potwierdza moje przeczucia. Ale w tej samej chwili zostaję sprowadzony na ziemię. Wiadomość brzmi: mój ojciec nie żyje. Wracam do siebie i po raz pierwszy od niepamiętnych lat płaczę jak dziecko. Puściły mi nerwy, nagromadzone emocje, wszystko. Uspokajam się tylko na chwilę, by złapać się jedynej szansy: piszę list do prezydenta Reagana z prośbą o umożliwienie mi udziału w ceremonii pogrzebowej ojca. Nie mam złudzeń, nie mam już nadziei, ale oddałbym wszystko za to, by mi pozwolili wyjechać na ten jeden jedyny dzień do Polski. Nie dostaję odpowiedzi od Reagana, nawet najmniejszej; najbardziej zbywającego papieru z kancelarii prezydenta. Popadam w apatię, depresję. Jest mi wszystko jedno. Gdy ojciec kilka lat temu zachorował, nie poleciałem, bo zachorowałem na zapalenie płuc. Teraz siedzę w więzieniu. Nigdy nie rozmawialiśmy z ojcem o tym, co robiłem dla kraju. Nie zdążyliśmy. Coś we mnie pękło. Z konsulatu dzwonią do mnie co kilka dni, jakby czując, że nie jest ze mną dobrze.

27 lipca mam kolejną wizytę. Idę na nią bez jakichkolwiek emocji, bo po ostatnim razie nie jestem w stanie niczym się ekscytować. Jest mi wszystko jedno. Pytam Winslowa, asystenta naczelnika więzienia, kto do mnie przyszedł. Mówi, że FBI z pytaniem, czy mogą mi w czymś pomóc, czy czegoś od nich nie potrzebuję. Mówię, że tylko jednego, żeby się ode mnie odwalili. I odchodzę od bramy. Nie widzę się z nimi nawet. Oni pewnie obserwują moją rozmowę z Winslowem z okien sali konferencyjnej. Myślę tylko, że nie mają za grosz poczucia przyzwoitości, by wykorzystywać śmierć mojego ojca do próby werbunku.

Żeby się otrząsnąć, żeby nie popaść w letarg, w depresję, więcej biegam.

W końcu listopada 1983 roku generał Wojciech Jaruzelski przyjął po wielomiesięcznych staraniach Czesławę Zacharską i Barbarę Zacharską, matkę i żonę Mariana Zacharskiego. Obie kobiety prosiły głowę państwa o jak najszybsze doprowadzenie do uwolnienia wywiadowcy z amerykańskiego więzienia. Zdecydowanie bardziej napastliwy ton wypowiedzi można było zauważyć u żony Zacharskiego, która wyraziła powątpiewanie w szybkość kroków podejmowanych w tej sprawie przez odpowiednie służby. Generał Jaruzelski wykazał się wyrozumiałością wobec kobiet oczekujących na powrót męża i syna. Na powtarzające się ze strony Barbary Zacharskiej sugestie o „małych dzieciach, które czekają na ojca”, generał podpowiedział, iż dzieciom można kupić czekoladę, to zrekompensuje im rozłąkę. Na koniec spotkania generał Jaruzelski obiecał ponownie i z uwagą przyjrzeć się tej sprawie.

Pomimo sugestii strony amerykańskiej, iż ewentualna wymiana Zacharskiego ma zostać przeprowadzona za pośrednictwem mecenasa Vogela, strona polska, niecierpliwiąc się brakiem postępów, podejmuje jeszcze jedną próbę rozmów na ten temat. 6 grudnia 1983 roku towarzysz Natorf przesyła informację z otoczenia sekretarza generalnego ONZ (jest to więc informacja nieoficjalna), że w wyniku spotkania Stefana Olszowskiego z sekretarzem generalnym, ONZ podjęła w rozmowach ze stroną amerykańską starania o wymianę pani Alicji Wesołowskiej na Mariana Zacharskiego. Po raz kolejny odpowiedź Amerykanów była odmowna. Departament Stanu wyraził jasne stanowisko, iż pani Alicja Wesołowska ich nie interesuje. Ale w rozmowach padło pewne nazwisko: Jerzy Pawłowski. To był pierwszy sygnał, iż szablista wszech czasów może być cenną kartą przetargową w grze o Zacharskiego.

Jerzy Pawłowski — urodzony 25 października 1932 roku w Warszawie, pierwszy polski indywidualny mistrz świata w szermierce, pięciokrotny medalista olimpijski. Zwerbowany przez wywiad amerykański w 1964 roku podczas swojego kolejnego pobytu na turnieju szermierczym w Nowym Jorku. Aresztowany w 1975 roku pod zarzutem szpiegostwa. Skazany rok później na 25 lat pozbawienia wolności. W czasie procesu udowodniono mu, iż przekazał Amerykanom: informacje dotyczące dyslokacji, struktury i obsady personalnej Inspektoratu Szkolenia MON, Wojskowej Akademii Politycznej oraz CWKS Legia Warszawa; informacje na temat struktury organizacyjnej, dyslokacji i dróg dojazdowych do Sztabu I Korpusu OPK w Warszawie. Ponadto dostarczył charakterystyki około 100 oficerów WP oraz 27 pracowników MSW (co poza protokołem należało uznać za w istocie najbardziej szkodliwe, bowiem dał tam wyraz słabości oraz inklinacji wielu osób, co Amerykanie mogli wykorzystać lub też wykorzystali w podejściach werbunkowych). Sprawa Pawłowskiego była jedyną, którą w całości prowadziły służby wojskowe, bez jakiegokolwiek wsparcia ze strony MSW. Daje się zauważyć lakoniczność opublikowanej informacji na temat działalności Pawłowskiego, lub też, inaczej ujmując, wyrok zbyt wysoki w stosunku do przestępstw, o które go oskarżono. Już na tym etapie nie sposób było nie zauważyć pewnej dyskrecji ze strony wojskowych.

20 lutego 1984 roku na podstawie Aktu Ułaskawienia Rady Państwa PRL z dnia 10 lutego zwolniono z więzienia Alicję Wesołowską. Bez prawa opuszczenia terytorium Polski. W informacji o tym wydarzeniu znalazła się i ta, że podjęcie takiej decyzji zostało podyktowane przewidywanymi korzyściami politycznymi oraz osobistą prośbą sekretarza generalnego ONZ J.P. de Cuéllara. Nieoficjalnie było wiadomo, iż zastrzeżenie dotyczące wyjazdu pani Wesołowskiej z Polski może zostać cofnięte po uwolnieniu Mariana Zacharskiego przez stronę amerykańską.

W notatce przygotowanej przez służby dyplomatyczne znalazła się sugestia, aby mecenas Vogel wykorzystał w rozmowach ze stroną amerykańską fakt uwolnienia Wesołowskiej jako akt humanitaryzmu

władz polskich wobec współpracownika jednej z amerykańskich służb specjalnych (CIA), który działał przeciw interesom obozu państw socjalistycznych i oczekiwanie władz polskich na podobny, humanitarny akt ze strony USA (jako że na powrót M. Zacharskiego z więzienia oczekują żona i dwoje małych dzieci).

Niestety, mecenas Vogel niewiele mógł z tego „humanitarnego aktu" wykorzystać w negocjacjach ze stroną amerykańską. Jak wiadomo, Stany Zjednoczone są państwem kapitalistycznym i, zgodnie z zasadami gospodarki rynkowej, nie uznały dobra już uzyskanego (Alicja Wesołowska) za podlegające wycenie (wymiana na Zacharskiego).

Amerykanie podjęli jednak rozmowy i postawili swoje warunki w dniu 8 marca 1984 roku.

Brzmiały one następująco: są zainteresowani wymianą pakietową z udziałem stron: ZSRR (Szczarański), NRD (naukowiec fizyk Zehe), Bułgaria (Kostadinow). Reasumując: Amerykanie zwolnią Zacharskiego, Kostadinowa i Zehe w zamian za Szczarańskiego i innych agentów amerykańskich przebywających w więzieniach za żelazną kurtyną. Przy czym warunkiem *sine qua non* jest zwolnienie Anatolija Szczarańskiego, zaś pozostała liczba osób z obu stron jest do uzgodnienia. Amerykanie sądzą, że sprawa Szczarańskiego, z powodu zmiany w radzieckim kierownictwie, jest możliwa do ponownego rozpatrzenia, o co wystąpił Ronald Reagan w osobistym liście do Konstantina Czernienki, sekretarza generalnego KPZR.

Dodatkowo Amerykanie poinformowali stronę bułgarską, że zwolnienie Kostadinowa na gruncie prawnym jest nierealne, ponieważ kolejna decyzja Sądu Apelacyjnego USA z dnia 6 kwietnia z całą pewnością uprawomocni wcześniejszy wyrok. Zastanowienie wprawdzie budził fakt, skąd ta pewność na miesiąc przed ogłoszeniem wyroku niezawisłego sądu, ale nikt o takie szczegóły w obliczu poważnych rokowań nie pytał.

Penjo Baiczew Kostadinow — aresztowany 23 września 1983 roku w trakcie spotkania w restauracji z właśnie dyplomowanym studentem. Miał wówczas 41 lat. Pracował od 1979 roku jako zastępca radcy handlowego w Bułgarskim Biurze Radcy Handlowego w Nowym Jorku i zajmował się wymianą między studentami bułgarskimi i amerykańskimi. Jednego z nich namawiał na dostarczenie tajemnic nuklearnych, do których sądził, iż ma dostęp.

Student skontaktował się z FBI. Zrobiono zasadzkę i aresztowano Kostadinowa w trakcie przekazywania dokumentu i wypłacania 300 dolarów. Przez pewien czas toczyła się walka między Bułgarią i USA o to, czy Kostadinow ma immunitet dyplomatyczny.

Amerykanie orzekli, że nie ma i został postawiony w stan oskarżenia w dniu 20 marca 1984 roku.

Alfred Zehe — aresztowany 1983 roku, ceniony fizyk, obywatel NRD, wykładał okazjonalnie w Meksyku.

Gdy ambasada NRD w Waszyngtonie kupiła paczkę z dokumentami od oficera amerykańskiego wywiadu wojskowego, profesor Zehe został poproszony przez rząd NRD o ocenę wartości tych dokumentów. W tym

celu dokumenty dostarczono do Meksyku. Zehe ocenił, że plany sonaru dla łodzi podwodnej z napędem atomowym są stare i bezużyteczne dla jakiejkolwiek organizacji wojskowej. W drodze powrotnej profesor, mimo zakazu służb NRD, udał się na konferencję naukową do Bostonu. Tam został aresztowany, bowiem, jak się okazało, akcja sprzedaży dokumentów była prowokacją. Akt ten zostaje wykorzystany propagandowo przez władze USA.

Ze strony polskiego MSW ponownie uczyniono wysiłek, aby spróbować przekonać Rosjan o konieczności wymiany Szczarańskiego na Zacharskiego. Wiceminister generał Władysław Pożoga udał się w tej sprawie do Moskwy, jednak decyzja była odmowna. Towarzysze radzieccy stwierdzali, że dla nich jest to kwestia pryncypialna i w żaden sposób nie mogą ustąpić.

W sprawie uzyskania zgody na transakcję z udziałem Szczarańskiego kilka lat wcześniej poleciał do Moskwy partner znacznie bliższy Rosjanom niż minister Pożoga, a mianowicie generał Markus Wolf, wiceminister bezpieczeństwa NRD. Negocjowano wówczas sprawę uwolnienia znanego oficera Wywiadu NRD, słynnego Günthera Guillaume'a, którego służba enerdowska z powodzeniem umieściła w bezpośredniej bliskości kanclerza RFN, Willy'ego Brandta. Wówczas Markus Wolf rozmawiał na temat Szczarańskiego z Jurijem Andropowem. Ten zrobił mu wykład, zaczynający się od słów, że Szczarański to nie tylko dysydent, ale również szpieg oraz Żyd. Twierdził, że to Żydzi, poprzez Amerykanów, domagają się jego uwolnienia. Uważał, że jak się zgodzą na Żyda, to następni przyjdą prosić o Niemców znad Wołgi, o krymskich Tatarów, o Kałmuków czy też może i o Czeczenów. Odpowiedź, jakiej udzielono w Moskwie generałowi Wolfowi, była brutalnie negatywna (jej wydźwięk zaś zwielokrotniony, bo sam generał także był z pochodzenia Żydem).

Zatem szefowie obu służb, polskiej i NRD-owskiej, wiedzieli, iż na pomoc Rosjan w tej kwestii liczyć nie mogą. Wiedzieli też, że głównym powodem, o którym jednak strona rosyjska nie mówiła, był ten prosty fakt, iż wśród wymienianych wywiadowców nie było żadnego Rosjanina. Pewnym rozczarowaniem politycznym dla strony polskiej było to, że przywódca ZSRR nie wziął pod uwagę, tej oczywistej wydawałoby się okoliczności, iż z uzyskanych przez Zacharskiego materiałów wywiadowczych korzystała także strona rosyjska. Może znaczenie miał tu fakt, iż Polacy przekazywali te materiały Rosjanom odpłatnie? Ale niezależnie od rzędu wielkości kwot, jakie wynikały z tych operacji, były one i tak transakcjami nie do przecenienia. Ileż to razy Rosjanie podkreślali, że to właśnie dzięki dokumentom przekazanym przez Zacharskiego mogą przeciwstawić się amerykańskiej próbie zachwiania równowagi w wyścigu zbrojeń? Najwyraźniej nie brali wtedy pod uwagę takiego rozwoju wypadków.

Ponieważ, po zdecydowanej odmowie strony rosyjskiej na włączenie Anatolija Szczarańskiego do „wymiany pakietowej", negocjacje ponownie stanęły w miejscu, mecenas Vogel ze swej strony starał się o znalezienie innych rozwiązań, a Departament I, niezależnie od tego

postanowił w sierpniu 1984 roku powrócić do tematu Zacharskiego w rozmowie z towarzyszami radzieckimi.

Tym razem jednak, zamiast naciskać na kwestie wrażliwe (Szczarański), postawiono na neutralne zasygnalizowanie potrzeby pomocy ze strony radzieckiej. Przedstawiono sytuację: pogarszający się stan psychiczny polskiego wywiadowcy, na granicy głębokiego kryzysu i depresji (o czym wiedziano nie tylko bezpośrednio z rozmów z nim, ale także z jego rozmów z żoną i matką oraz korespondencji, jaką prowadził z rodziną). W ślad za tym: zły stan zdrowia, bezsenność, brak apetytu, chudnięcie oraz ogólne wycieńczenie organizmu, co w połączeniu ze stałymi naciskami ze strony amerykańskich służb specjalnych może spowodować tragiczne rezultaty. Na zakończenie ponownie zwrócono się do towarzyszy radzieckich o rozeznanie, jak dalece mogą pomóc stronie polskiej w sprawie wymiany.

Towarzysze radzieccy nie udzielili żadnej odpowiedzi. Na szczęście w tym samym czasie mecenasowi Vogelowi udało się przekonać stronę amerykańską, że Szczarański na tym etapie jest dla niej nieosiągalny.

Czytam, co mi wpadnie w ręce. Książki w więziennej bibliotece są w okropnym stanie, większość w ogóle nie ma okładek. Biorę, co jest. Książkę o magii liczb początkowo mam zamiar odłożyć. Jestem przesądny w stopniu nieskomplikowanym: trzynastki przynoszą mi pecha. Zatrzymuję wzrok na numerologicznej symbolice. Osiem — Saturn — czekanie. Dziewięć — Pluton — śmierć. Przez chwilę robi mi się gorąco. Na papierze, który mi dostarczyli, liczbowe wyrażenie dożywocia to 888 88 88. A kary śmierci to 999 99 99. Czytam dalej: ósemka — wieczne czekanie, trwanie bez końca. Dziewiątka: śmierć, ostateczna przemiana.

Biegam. Na początku niechętnie dawali mi pozwolenie. Teraz każdą wolną chwilę spędzam na stadionie. Rano pracuję. Po obiedzie pracuję. Potem jest czas wolny. Na wolności bieganie wydawało mi się nieefektywnym wysiłkiem. Teraz jest jedyną formą oderwania się od rzeczywistości. Na stadionie mogę sam sobie coś wyznaczyć i do tego dążyć. Zaczynałem od trzech okrążeń stadionu. Dzisiaj robię szesnaście kilometrów dziennie.

Od jesieni 1984 roku sprawa wymiany nabiera tempa. Oprócz Pawłowskiego, padają nowe nazwiska:

Jacek Jurzak — urodzony 16 października 1946 roku, doktor nauk technicznych, adiunkt w filii Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej, tam też zamieszkały na stałe, żonaty, ojciec dwojga dzieci. Został nakłoniony do współpracy z CIA w 1980 roku przez Norberta Adamaschka.

CIA wyznaczała mu zadania, które realizował według tematów:

1. Działalność NSZZ „Solidarność”. W tym zakresie informował

wyczerpująco o:

— sile związku,

— jej przywódcach, w tym przy każdym nazwisku podawał charakterystykę danej osoby,

— organizacji, w tym o istniejących strukturach zapasowych,

— możliwości wywoływania akcji zbrojnych, sabotażu i akcji ulotkowych.

2. Obronność i bezpieczeństwo państwa, w tym:

— ruchy wojsk polskich i radzieckich stacjonujących na terytorium Polski,

— rola MSW oraz MO w stanie wojennym,

— rozpoznanie obiektów wojskowych w Międzybrodziu Bialskim, w pobliżu toru wyścigowego w Poznaniu, a także jednostek stacjonujących w Bielsku-Białej.

Dodatkowym zadaniem, które otrzymał, było rozpracowanie szczegółów dotyczących profilu produkcji w Zakładach Mechanicznych w Łabędach.

3. Gospodarka i nastroje społeczne.

Jacek Jurzak został skazany w dniu 30 maja 1984 roku przez Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego na karę 15 lat pozbawienia wolności. W wyniku rewizji wniesionej przez prokuratora Izba Wojskowa Sądu Najwyższego w dniu 30 lipca 1984 roku zmieniła wyrok, skazując Jurzaka na 25 lat pozbawienia wolności.

Norbet Adamaschek — urodzony w 1944 roku w Bielsku-Białej.

Do 1976 roku był obywatelem polskim narodowości niemieckiej. W 1976 roku wyjechał do RFN i przyjął obywatelstwo niemieckie. Miał znacznie skromniejsze wykształcenie niż Jurzak, bo ukończył tylko liceum ogólnokształcące. Po wyjeździe do RFN wszedł w kontakt z CIA, której pracownikom przekazał dane dotyczące obronności oraz gospodarki PRL. W 1978 roku podpisał zobowiązanie o współpracy z Centralną Agencją Wywiadowczą i przyjął pseudonim „Bert”. W 1979 roku odbył podroż do Sozopola, gdzie oprócz uzyskania informacji dotyczących portu wojennego w tym mieście, spotykał się z Jurzakiem i sprawdził go pod kątem podatności na werbunek oraz pracy na rzecz CIA. Ponieważ uzyskał od Jurzaka obiecujące odpowiedzi, prowadził dalsze wysiłki w tej sprawie. Spotkali się ponownie w grudniu 1979 roku w Czeskim Cieszynie, a następnie w kwietniu 1980 roku w Budapeszcie. Wówczas osiągnął sukces, nakłaniając Jurzaka do współpracy na rzecz służby obcego państwa. Dalej to już działalność rutynowa. W sierpniu 1980 roku zorganizował pobyt Jurzakowi w Salzburgu. Skontaktował go tam z kadrowym pracownikiem CIA, który uzgodnił szczegóły współpracy, a przede wszystkim oczekiwania agencji w stosunku do Jurzaka. Oficer CIA prowadził też pierwszą fazę szkolenia. Na dalszym etapie, już profesjonalnej współpracy, przekazał Jurzakowi pełne wyposażenie szpiegowskie do łączności dwustronnej. Potem rolą Adamschka było wypełnianie funkcji łącznika poprzez przekazywanie zadań oraz wynagrodzenia. W zamian odbierał informacje zgromadzone przez Jurzaka.

W dniu 30 maja 1984 roku Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego

skazał go na 12 lat pozbawienia wolności. W wyniku rewizji wniesionej przez prokuratora, Izba Wojskowa Sądu Najwyższego zmieniła wyrok na 15 lat więzienia.

Leszek Chróst — urodzony w 1932 roku, z wykształcenia prawnik. Były pracownik Metalexportu, przed aresztowaniem zatrudniony na stanowisku zastępcy dyrektora Departamentu Handlu Zagranicznego i Współpracy z Zagranicą w Ministerstwie Przemysłu Maszyn Ciężkich i Rolniczych.

Chróst został zwerbowany przez CIA w 1964 roku, podczas służbowego pobytu na placówce handlowej w Bangkoku. Działalność szpiegowską prowadził do dnia 22 czerwca 1979 roku, kiedy został aresztowany. Oskarżono go o systematyczne przekazywanie wywiadowi amerykańskiemu szeregu ważnych informacji, do których miał dostęp z tytułu zajmowanych stanowisk. Informacje te dotyczyły m.in. aktualnej sytuacji gospodarczej, finansów oraz wymiany handlowej z zagranicą, planów i zamierzeń kredytowych, polityki eksportowo-importowej oraz produkcji specjalnej dla potrzeb obronnych PRL. Przekazywał też informacje o sytuacji społeczno-politycznej w Polsce.

W dniu 30 czerwca 1980 roku został skazany na 25 lat więzienia, utratę praw publicznych na 10 lat oraz konfiskatę mienia w całości.

Prokurator złożył rewizję od tego wyroku, która została uznana przez Sąd Najwyższy w dniu 25 sierpnia 1980 roku. Chróstowi zasądzono karę śmierci, a dodatkowo utratę praw publicznych na zawsze oraz konfiskatę mienia w całości.

8 stycznia 1981 roku Rada Państwa skorzystała z prawa łaski wobec Chrósta i zamieniła mu wymierzoną karę śmierci na karę 25 lat więzienia.

Bogdan Zenon Walewski (Płotka) — urodzony w 1933 roku w Wilamowie w województwie sieradzkim. Od 1952 roku studiował w Moskiewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Od 1958 do 1960 roku pełnił funkcję tłumacza w delegacji polskiej w Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Wietnamie, natomiast od 1961 roku pracował w Ministerstwa Spraw Zagranicznych. We wrześniu 1962 roku wyjechał do Nowego Jorku, gdzie przez 10 miesięcy studiował na Uniwersytecie Columbia. Od jesieni 1964 roku pracował służbowo w USA w randze II sekretarza w Stałym Przedstawicielstwie PRL przy ONZ. 15 lipca 1966 roku przeszedł do pracy w sekcji rekrutacji Departamentu Kadr Sekretariatu ONZ. Do kraju wrócił dopiero latem 1972 roku.

Podjął pracę w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, najpierw jako kierownik wydziału, a następnie jako zastępca dyrektora ds. administracyjnych. W kwietniu 1977 roku został skierowany do pracy w ambasadzie polskiej w Moskwie. Pełnił tam funkcję kierownika Wydziału Administracyjnego. Po trzech latach wrócił do kraju, gdzie w MSZ został naczelnikiem Wydziału Immunitetów i Przywilejów w Protokole Dyplomatycznym.

Został zwerbowany w Wietnamie w 1960 roku. Przekazywał informacje dotyczące polityki zagranicznej PRL, w tym głównie

koncentrował się na wzajemnych stosunkach między Polską a ZSRR, stosunkach polsko-amerykańskich oraz na stanowisku Polski wobec różnych spraw międzynarodowych. Ponadto przekazywał dane o pracownikach polskiej służby zagranicznej, w szczególności o ich przydatności dla wywiadu USA, oraz informacje o sytuacji wewnętrznej kraju. Został skazany na 25 lat więzienia, 10 lat pozbawienia praw publicznych oraz konfiskatę mienia.

20 października 1984 roku najwyższe władze państwowe PRL podsumowują stan negocjacji:

„W związku z prośbą strony polskiej skierowaną do bratniej służby NRD o nawiązanie kontaktów z władzami USA w sprawie określenia warunków zwolnienia M. Zacharskiego, stwierdza się, co następuje:

1. Pośredniczący w pertraktacjach z ramienia towarzyszy NRD adwokat Vogel przedstawił następujące warunki strony amerykańskiej:

Zwolnienie M. Zacharskiego władze amerykańskie warunkują zwolnieniem i zezwoleniem na wyjazd z Polski pięciu agentów USA odbywających karę pozbawienia wolności w naszym kraju:

— Jerzego PAWŁOWSKIEGO,
— Leszka CHRÓSTA,
— Bogdana WALEWSKIEGO,
— Jacka JURZAKA,
— Norberta ADAMASCHKA.

2. Pertraktacyjne propozycje strony polskiej:

— Jacek Jurzak — zmniejszenie wyroku,
— Norbert Adamaschek — zwolnienie z więzienia i zezwolenie na wyjazd z Polski,
— Jerzy Pawłowski — zwolnienie z więzienia, BEZ PRAWA opuszczania Polski,
— Bogdan Walewski — zmniejszenie wyroku, a następnie ewentualne ułaskawienie,
— Leszek Chróst — zwolnienie z więzienia bez prawa opuszczania Polski.

3. Decyzja I sekretarza KC PZPR generała armii W. Jaruzelskiego w przedmiotowej sprawie:

— Jacek Jurzak: zmniejszyć karę o pięćdziesiąt procent,
— Norbert Adamaschek: zwolnić z więzienia i zezwolić na wyjazd z Polski,
— Jerzy Pawłowski: zwolnić z więzienia bez prawa opuszczania kraju,
— Bogdan Walewski: zwolnić z więzienia bez prawa opuszczania kraju,
— Leszek Chróst: zwolnić z więzienia i zezwolić na wyjazd z Polski.

Znając stanowisko władz państwowych, 22 października 1984 roku wiceminister spraw wewnętrznych i jednocześnie szef Służby Bezpieczeństwa, generał Władysław Pożoga udaje się na rozmowę z generałem Markusem Wolfem. Podczas spotkania dowiaduje się, iż decyzja Amerykanów dotycząca zwolnienia i zezwolenia na wyjazd z

Polski pięciu agentów ma charakter ostateczny i nie podlega negocjacjom. Co więcej, dostaje też informację, iż Amerykanie zażądali także wypuszczenia obywatela RFN skazanego w NRD na dożywotnie więzienie za szpiegostwo, ale władze NRD przyjmują to do wiadomości i akceptują. Markus Wolf powiedział także, iż za kadrowego oficera wywiadu bułgarskiego (Kostadinowa) Niemcy zgadzają się uwolnić trzech obywateli NRD, jednego obywatela Austrii i jednego obywatela RFN, wszystkich skazanych za szpiegostwo na rzecz USA. Generał Wolf zaznaczył, iż jest to naturalny gest NRD wobec Bułgarii, która pragnie odzyskać z więzienia swego oficera, a nie ma aktualnie nikogo na wymianę. Generał Wolf wspomniał także o wschodnioniemieckim profesorze Zehe, którego Amerykanie aresztowali, a Wywiad NRD doprowadził do wypuszczenia go z więzienia za kaucją miliona dolarów, co jednak nie kończy ich wysiłków o odzyskanie profesora, bowiem ma on ograniczoną swobodę poruszania się i nie może opuszczać terytorium USA. Generał Wolf powiedział, iż sprawa Zehe nie musi być wiązana ze sprawą Zacharskiego, ale w każdym z przypadków strona niemiecka nie będzie się liczyła z kosztami związanymi z wydobyciem swojego obywatela. Markus Wolf podkreślił, iż jeśli strona polska nie zgodzi się na propozycje Amerykanów, to, według rozeznania mecenasa Vogela, sprawa wymiany Zacharskiego może zostać odsunięta na dłuższy czas i nie wiadomo, kiedy władze USA zechcą ponownie podjąć rozmowy na ten temat.

Generał Władysław Pożoga znalazł się w trudnej sytuacji. Dysponował zgodą generała Jaruzelskiego na wyjazd tylko dwóch spośród pięciu agentów. Miał pełną świadomość, iż cały proces wymiany, skoncentrowany na osobie Zacharskiego (Wolf przecież właśnie mu powiedział, iż profesora Zehe NRD może wymieniać i negocjować oddzielnie), powinien znaleźć odbicie w „propozycji polskiej". A ta, którą przywiózł ze sobą, prezentowała się raczej mizernie. Zwłaszcza w porównaniu z niezwykle honorową postawą służb NRD, które nie tylko za swojego obywatela (profesora Zehe) zapłaciły milion dolarów, ale na dodatek wsparły Bułgarów całym wachlarzem złapanych przez siebie agentów. Generał Pożoga, jako szef służb, chciałby dysponować takimi możliwościami, jakie miał generał Wolf. Czekało go jednak jeszcze jedno niełatwe spotkanie z przełożonym Markusa Wolfa, generałem Mielke, ministrem bezpieczeństwa państwowego NRD. Ten zaś znał już stanowisko strony polskiej, a właściwie stanowisko generała Jaruzelskiego i przed rozmową skonsultował je z przywódcą NRD Erichem Honeckerem.

Mielke przekazał Pożodze, iż Honecker uważa, że należy przystać na wymianę wiązaną, proponowaną przez Amerykanów. Tego akurat Pożoga się spodziewał, bowiem nie było możliwe, by generał Wolf przekazał mu stanowisko inne, niż zajmie jego przełożony. Mielke wyraził się jasno, iż nie sądzi, by Amerykanie wycofali się z postawionych warunków, więc chociaż mecenas Vogel będzie próbował w negocjacjach zastosować pewne manewry, to jednak w obliczu przewidywanego sprzeciwu Amerykanów powinien móc ostatecznie

zgodzić się na wyjazd Pawłowskiego. Mielke podkreślił, iż Polakom powinno zależeć na jak najszybszym uwolnieniu Zacharskiego ze względów humanitarnych, a strona niemiecka może dać im wsparcie w postaci przeznaczenia większej liczby agentów z własnych więzień po to, by wymianę sfinalizować. Mielke powiedział wprost: „My nie będziemy się targować". Zaznaczył, iż wymiana Zacharskiego ma także aspekt polityczny i będzie pomocna NRD w załatwieniu „innych spraw", których jednak nie chciał bliżej sprecyzować. Jeśli zaś strona polska nie wyrazi zgody na warunki amerykańskie i wymiana Zacharskiego zostanie zatrzymana, to NRD zamierza nadal pomóc Bułgarii w sfinalizowaniu wymiany Kostadinowa, nawet jeśli będzie to wymagało oddania Amerykanom większej liczby agentów, niż miałaby to uczynić strona polska. Wówczas uwolnienie profesora Zehe i aresztowanej ostatnio w USA obywatelki NRD[31] Niemcy będą rozwiązywać we własnym zakresie, w żadnym razie nie rezygnując ze sfinalizowania tych spraw.

Na zakończenie generał Mielke, w imieniu Ericha Honeckera, wyraził przekonanie, iż Wojciech Jaruzelski wraz z ministrem spraw wewnętrznych Czesławem Kiszczakiem zrozumieją wagę tej sprawy i przychylą się do proponowanego kształtu transakcji.

Podkreślając pilność i wagę transakcji, po zakończonej rozmowie generał Mielke oddał do dyspozycji generała Pożogi samolot specjalny, aby gość z Polski mógł jak najszybciej wrócić do kraju i bez zwłoki zająć się kontynuacją procesu wymiany.

Generał miał teraz przed sobą zadanie przekonania przywódcy państwa polskiego. Odczuwał w tej sprawie wiele niedogodności, ale największej z nich i tak nie będzie mógł wprost przekazać Jaruzelskiemu: jak bowiem powiedzieć, bez urażenia generała broni, że propozycja polska przy niemieckiej wyglądała po prostu śmiesznie? Że postawa Niemców, ich honorowa determinacja w dążeniu do odzyskania swoich obywateli więzionych w Stanach jest imponująca? Zwłaszcza że Niemcy przenoszą tę solidarność i na Zacharskiego, i na Kostadinowa.

Pożoga na piśmie jasno przedstawił Jaruzelskiemu stan rozmów. Podkreślił, iż NRD ma olbrzymie doświadczenie w realizowaniu operacji wymiany kadrowych pracowników i agentów wywiadu, a w przeszłości dokonywała takich operacji także dla ZSRR. I w tej sytuacji, jeśli strona niemiecka mówi, iż stanowisko Amerykanów nie ulegnie zmianie, to wynika to z ich bezpośrednich doświadczeń. Podkreślił „nieliczenie się strony niemieckiej" z kosztami wymiany. Ale dodał też, że jeśli dojdzie do wymiany Kostadinowa, profesora Zehe i obywatelki NRD bez udziału Zacharskiego, to polski wywiadowca z całą pewnością zostanie o tym poinformowany, bowiem władze więzienne podsuwają mu przez cały czas materiały o wymianach agentów z krajami socjalistycznymi. W sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się Zacharski, może to spowodować trudne do przewidzenia skutki. W tym samym kontekście generał podkreślił, iż amerykańskie służby specjalne nie ustają w zabiegach o pozyskanie Mariana Zacharskiego. Dwukrotnie wprost proponowali mu werbunek, oferując (według ostatnich danych)

250 tysięcy dolarów, dom, dobrze płatną pracę i gwarancję sprowadzenia rodziny do USA. Zabiegi FBI wynikają z prostego faktu, iż do tej pory służbom amerykańskim nie udało się ustalić rodzaju i ilości dokumentów przekazanych przez Zacharskiego Układowi Warszawskiemu. Nie mogą więc w żaden sposób oszacować strat i wynikających z tego zagrożeń dla NATO. Na koniec generał Pożoga napisał wprost, iż niezałatwienie sprawy Zacharskiego odbije się niekorzystnie na innych pracownikach polskiego wywiadu, kierowanych z zadaniami za granicę.

Generał Pożoga martwił się jednak tym, iż przystanie na warunki amerykańskie wiąże się z wysoką ceną w postaci agentów przeznaczonych do zwolnienia. Myślał o przyszłości, o tym, że jeśli kiedyś, hipotetycznie, trzeba będzie kogoś jeszcze wymieniać, to strona polska może już nie mieć nic do zaproponowania. Tym niemniej generał Pożoga zasugerował, iż uwzględniając wszystkie uwarunkowania, należy wyrazić zgodę na „transakcję wiązaną" i niezwłocznie poinformować generała Markusa Wolfa o takim stanowisku, bowiem 24 października mecenas Wolfgang Vogel rozmawiać będzie ze stroną amerykańską.

Kończąc swą notatkę do szefa państwa, generał Pożoga przypomniał, iż, według oceny ekspertów radzieckich, materiały uzyskane przez Zacharskiego pozwalają utrzymać równowagę militarną między ZSRR a USA co najmniej przez pięć najbliższych lat.

Odpowiedź przyszła szybko, choć jak wiele ważnych decyzji generała Jaruzelskiego nie była sformułowana na piśmie, lecz ustnie. Przekazał ją Pożodze Czesław Kiszczak, informując, iż Jaruzelski zgadza się. Ale bez Pawłowskiego. Wobec szablisty wszech czasów szef państwa jest nieustępliwy: człowiek, który nosił mundur Wojska Polskiego, a do tego oficer (a przynależność do wojskowego klubu sportowego Legii sprawiała, iż Pawłowski był w szeregach WP), nie może opuścić kraju.

Mecenas Vogel, poinformowany przez stronę polską za pośrednictwem Markusa Wolfa, nie ma wobec takiego stanowiska łatwego zadania. W gronie pięciu agentów CIA, na których uwolnieniu z więzień w Polsce zależało Amerykanom, to właśnie Jerzy Pawłowski był postacią kluczową. Brak zgody przywódcy państwa polskiego na wyjazd Pawłowskiego stawiał negocjacje ponownie w punkcie krytycznym. Vogel działa jednak dalej, a polskie służby koncentrują się na pewnym znanym w procedurze wymian agentów sposobie, by sprawę rozwiązać i jednocześnie zadowolić przywódcę państwa, generała Jaruzelskiego. Proces jest kosztowny i pracochłonny, lecz nieugięta postawa głowy państwa zmusza do szukania rozwiązań.

Każdy agent przeznaczony do wymiany może bowiem, nawet w ostatniej chwili, odmówić przejścia na drugą stronę. Może przyjąć przywileje wynikające z faktu wymiany (na przykład ułaskawienie), ale z własnej woli nie zdecydować się na opuszczenie ojczyzny. Strona zabiegająca o wymianę (w tym wypadku amerykańska) nie może bowiem nikogo na siłę zmusić do przejścia.

Grupa powołana do realizacji tego zadania natychmiast przystąpiła

do pracy. Od 24 października 1984 roku trwają przygotowania willi w Otwocku (zajmowanej kiedyś przez Władysława Gomułkę) do przyjęcia szablisty. Przebywać tam będzie, rzecz jasna, pod strażą Biura Ochrony Rządu. Nie wolno mu będzie wprawdzie opuszczać terenu posiadłości ani korzystać z telefonu, ale za to jego żona będzie mogła do niego dołączyć. Dostanie zgodę na czytanie prasy (wyłącznie polskiej) i oglądanie telewizji. Należy otoczyć go opieką lekarską (opierając się na resortowym personelu medycznym). Oczywiście, nie wolno dopuścić do sytuacji, w której Jerzy Pawłowski poznałby dane personalne osób przebywających w obiekcie ani tym bardziej do przecieku informacji na zewnątrz, na temat tego, że przebywać tam będzie szablista.

Do zabezpieczenia obiektu i figuranta (tak w dokumentacji sprawy nazywany jest Pawłowski) przeznaczonych jest dwudziestu pracowników Biura Ochrony Rządu (wyłączonych na ten czas ze swojej normalnej pracy).

Już podczas pierwszej rozmowy w dniu 27 października Jerzy Pawłowski wstępnie wyraził swoją zgodę na udział w wymianie, bez opuszczania kraju, w zamian za odzyskanie wolności. Władze wywiadu, choć ryzykowały, iż Pawłowski po szybkiej deklaracji współpracy może ostatecznie zmienić zdanie, nie miały czasu do stracenia. Błyskawicznie przystąpiły do strony formalnej całego przedsięwzięcia, jakim było przeniesienie go do Otwocka.

29 października 1984 roku do naczelnika Aresztu Śledczego Warszawa Mokotów trafia „nakaz zwolnienia" Pawłowskiego Jerzego, syna Władysława i Eleonory. Nakaz wskazuje, iż na mocy zarządzenia naczelnego prokuratora wojskowego z dnia 29 października 1984 roku Jerzy Pawłowski powinien być niezwłocznie wypuszczony na wolność i skierowany do miejsca zamieszkania (jako miejsce zamieszkania wskazany zostaje obiekt BOR-u w Otwocku). Dalej zarządzenie mówi o przerwaniu wykonania kary pozbawienia wolności z racji wszczętego postępowania w sprawie ułaskawiania z uwagi na szczególne okoliczności sprawy (art. 501 i 574 KPK). Tym samym naczelny prokurator wojskowy zar ządza przerwę w wykonaniu kary pozbawienia wolności w stosunku do skazanego Jerzego Pawłowskiego — do czasu ukończenia postępowania o ułaskawienie.

Szermierz wszech czasów zostaje przeniesiony do Otwocka.

2 listopada 1984 roku jest już Uchwała Rady Państwa nr PU-1111-49-84 w tej sprawie, która mówi krótko:

Rada Państwa postanawia skorzystać z prawa łaski w stosunku do Pawłowskiego Jerzego przez darowanie reszty kary pozbawienia wolności.

Podpisał: Przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński.

Oprócz błyskawicznych spraw proceduralnych w sprawie Pawłowskiego duże znaczenie mają problemy natury emocjonalnej, których rozwiązanie nastręcza grupie operacyjnej MSW pewnych kłopotów. Jednak zgodnie z wydanym poleceniem, aby skutecznie doprowadzić do realizacji celu (zgody Pawłowskiego na wymianę bez opuszczania kraju), grupa zadanie musi wykonać.

Nawet jeśli dotyczy ono tak delikatnej sprawy, jak ślub państwa

Pawłowskich. Ślub kościelny. W obliczu ważnych przewartościowań, jakie zachodzą w ich życiu, Iwona i Jerzy Pawłowscy postanawiają, iż chcą wziąć ślub kościelny. Stwarza to grupie operacyjnej, zobligowanej do zachowania absolutnej tajemnicy na temat pobytu państwa Pawłowskich w Otwocku, spory problem. Przy konieczności zachowania konspiracji, w grę zaczyna wchodzić nieomal wyłącznie przebranie się jednego z oficerów wywiadu za księdza (wraz z nauczeniem odpowiedniej roli) i odprawienie ceremonii w zamian za prawdziwego duchownego. W ostatniej jednak chwili dogadano się z księdzem Januszem, który regularnie odwiedzał Pawłowskiego w zakładzie karnym. Ślub odbył się więc 7 listopada o godzinie 20, w kościele przy ulicy Domanieckiej, w warunkach konspiracji i pod ochroną pracowników BOR.

Bez wątpienia ważną rolę w procesie przekonania Jerzego Pawłowskiego do zgody na warunki strony rządowej odegrała jego żona, Iwona Pawłowska, która do sprawy podeszła z dużym rozsądkiem i spokojem.

W tym okresie członkowie grupy operacyjnej, a także kierownictwo wywiadu są spokojni, że Pawłowski w czasie wymiany zachowa się tak, jak tego oczekuje głowa państwa.

Podskakiwał mi jeden gość. Już parę razy odgrażał się, że mnie dopadnie. W końcu spotkaliśmy się twarzą w twarz. Zaczął grozić, że gdyby nie to, iż niedługo wychodzi, zabiłby mnie jeszcze dzisiaj. „Nienawidzę szpiegów” — syczał. Powiedziałem mu, że jest tutaj, bo tak samo jak ja złamał prawo federalne. Ale jak bardzo chce, to proszę, niech spróbuje mi coś zrobić. „Nie wyjdziesz stąd, wyniosą cię” — zagroziłem mu. Odszedł.

Następnego dnia więźniowie, którzy byli świadkami wczorajszej utarczki, zaprosili mnie na wspólne oglądanie meczu. Nie kręci mnie futbol amerykański, ale w porządku. Oni są rozemocjonowani, obstawiają. Szybko orientuję się, że to cały system hazardu. Obstawiamy różnice punktowe wyników. Nad całością czuwa jeden gość i on na koniec pilnuje wypłat. Rozliczamy się przez kupno papierosów i znaczków. Ja obstawiam Oakland Raiders.

Pod koniec listopada 1984 roku sprawa wymiany pakietowej postępuje w tempie ekspresowym, choć jednocześnie przyjmuje nieoczekiwany zwrot. Amerykanie proszą Polskę o przekazanie wykazu członków rodzin agentów przeznaczonych na wymianę. Strona polska jest zaskoczona, bo domyśla się, iż oznacza to, że Amerykanie zażądają także przejścia tych osób na drugą stronę. NRD traktuje ten warunek w sposób oczywisty, uważając, iż naturalnym jest wymienianie agentów wraz z ich rodzinami.

W dniu 29 listopada jeden z zastępców generała Wolfa, generał Heinz Geyer, poinformował zastępcę dyrektora Wywiadu PRL, pułkownika

Zbigniewa Twerda, że adwokat Vogel wrócił w dniu 25 listopada ze Stanów Zjednoczonych, gdzie przeprowadził w Departamencie Stanu kolejne rozmowy z Amerykanami. W przeciwieństwie do poprzednich ustaleń Amerykanie zdecydowanie i nieodwołalnie zażądali włączenia do pakietu polsko-bułgarskiego (Zacharski — Kostadinow) obywatela NRD, profesora Zehe. W początkowej fazie rozmów w zamian za profesora Zehe zażądali dwunastu agentów wywiadów państw NATO, odbywających kary pozbawienia wolności w NRD.

W wyniku negocjacji Vogela zgodzili się ostatecznie na wydanie profesora Zehe w zamian za ośmiu agentów, zastrzegając sobie w czterech przypadkach możliwość wystąpienia z konkretnymi nazwiskami, które przekazane zostaną dopiero po zaakceptowaniu przez stronę NRD-owską nowych warunków. Tak więc obecnie Amerykanie zażądali łącznie osiemnastu agentów w zamian za trzech oficerów z państw socjalistycznych. Należy podkreślić, że od włączenia profesora Zehe do pakietu Amerykanie uzależnili wyrażenie zgody na wymianę Zacharskiego i Kostadinowa.

Generał Heinz Geyer poinformował, że minister Erich Mielke wyraził zgodę na przyjęcie nowych warunków amerykańskich. Akceptacja Mielkego została już przekazana przez mecenasa Vogela stronie amerykańskiej. W związku z powyższym na początku przyszłego tygodnia mecenas Vogel ma ponownie spotkać się z Amerykanami, w miejscu jeszcze nieustalonym, ale na pewno odbędzie się to w Europie. Celem spotkania będzie przekazanie przez Amerykanów czterech nazwisk agentów odbywających kary pozbawienia wolności w NRD. Jak stwierdził generał Geyer, strona NRD-owska obawia się, że mogą to być tak zwane trudne nazwiska, z karami dożywotniego więzienia. Może to skomplikować sprawę, ale minister Mielke jest skłonny spełnić nawet takie żądanie pod warunkiem, że do wymiany dojdzie jeszcze w grudniu. NRD jest bowiem zainteresowana, aby Zehe powrócił do kraju przed rozpoczęciem przeciwko niemu procesu karnego. Podyktowane jest to chęcią uniknięcia zarówno strat politycznych, jak również wysokich kosztów sądowych, które mogą wynieść kilkaset tysięcy dolarów.

Amerykanie wyraźnie starają się wywrzeć presję na stronie NRD-owskiej, aby przyjęła postawione przez nich warunki wymiany. Nawet pracownicy Departamentu Stanu żalili się Vogelowi na naciski ze strony CIA oraz FBI, które są przeciwne zwolnieniu Zehe przed procesem, a żona profesora Zehe nie otrzymała wizy na wjazd do USA na spotkanie z mężem.

Generał Heinz Geyer podkreślił, że NRD jest w pełni zdecydowana doprowadzić sprawę wymiany do końca w możliwie jak najkrótszym terminie.

Według prywatnej opinii generała, przewidywany termin wymiany mógł mieć miejsce 20 grudnia 1984 roku.

Geyer ponownie prosił stronę polską, aby na obecnym etapie nie podejmowała żadnych rozmów z Amerykanami w sprawie Zacharskiego.

Dostał zapewnienie, że jedyna rozmowa z przedstawicielem

Departamentu Stanu, panem Palmerem, na temat Zacharskiego odbyła się z inicjatywy strony amerykańskiej i miała charakter nieoficjalny. Geyer przypomniał o konieczności dotrzymania ustaleń dotyczących wstrzymania propagandy przeciwko CIA w naszych środkach masowego przekazu do czasu sfinalizowania sprawy.

W związku z tym minister Władysław Pożoga rozmawiał już w dniu 21 listopada z rzecznikiem rządu, Jerzym Urbanem. Urban powiedział, iż nie widzi żadnego problemu w zablokowaniu poprzez cenzurę wszelkich informacji na temat CIA, w wyznaczonym okresie.

Jednak już 11 grudnia 1984 roku Amerykanie zmieniają bieg negocjacji. Tym razem ponownie wyłączają profesora Zehe z pakietu, zostawiając jego uwolnienie do osobnego rozpatrzenia (kierownictwo Wywiadu NRD przypuszcza, iż Amerykanie próbują wywrzeć nacisk na Zehe i skłonić go do zdrady ojczyzny).

Jednak w sprawie Kostadinowa i Zacharskiego panuje zgodność, ich wymiana na agentów CIA nastąpi w dniu 21 grudnia 1984 roku na terenie NRD. Rozmowy techniczne między stroną amerykańską, polską, bułgarską i niemiecką rozpoczną się 17 grudnia w godzinach porannych, na terenie NRD. Generał Geyer oświadczył, iż strona NRD-owska bierze na siebie ochronę i zapewnienie warunków pobytu agentów CIA przeznaczonych do wymiany z Amerykanami. Ich transport z Polski winien nastąpić 20 grudnia w godzinach porannych. Osoby, które wyrażą życzenie pozostania w Polsce pomimo możliwości wymiany, zobowiązane są do złożenia stosownego oświadczenia w kancelarii mecenasa Vogela w dniu 20 grudnia.

17 grudnia, zgodnie z ustaleniami, zastępca szefa Wywiadu MSW, pułkownik Konrad Biczyk udaje się do Berlina i podczas spotkania z generałem Heinzem Geyerem i pułkownikiem Kobbeltem dokonują końcowych ustaleń na temat wymiany. Ważnym punktem rozmów jest zrzeczenie się przez objętych wymianą możliwości przejścia. Aby nie było w tej sprawie niedomówień, musi być to dokonane na piśmie. Przypuszcza się, iż strona amerykańska będzie chciała uczestniczyć w podpisaniu takich oświadczeń w kancelarii mecenasa Vogela, aby dać sobie szansę na ostatni element nacisku. Warto zaznaczyć, iż procedura obejmowała także możliwość przedłużenia czasu na podjęcie decyzji, ostatecznie bowiem drogę wyjazdu zamykało podpisanie oświadczenia dwa tygodnie po wymianie. Stąd też, mimo zgody Pawłowskiego, strona polska wciąż obawiała się, czy szablista nie zmieni zdania w ostatniej chwili, to znaczy w czasie trwania wymiany, a potem, czy podtrzyma decyzję, przekazując podpisane oświadczenie dwa tygodnie po wymianie. Dla każdej ze stron najważniejsze było uzyskanie jak największej ilości agentów, bowiem to świadczyło o wymiarze propagandowym akcji.

Strona niemiecka chciała też wiedzieć, kiedy nastąpi akt ułaskawienia polskich więźniów, czy w Warszawie, przed ich przylotem na wymianę, czy dopiero w czasie wymiany. Ustalono, iż będzie to bezpośrednio przed wymianą, co wynikało z faktu, iż nie do końca ufano stronie amerykańskiej, ale także i z prozaicznej przyczyny, iż stronie NRD-owskiej łatwiej jest zapewnić należytą ochronę więźniom niż osobom

już wolnym.

Strona polska zgłosiła, iż chce, by w samej wymianie uczestniczył pisarz Jerzy Putrament, który w przyszłości będzie mógł opisać całe to przedsięwzięcie, a także aby zabezpieczyć pełną dokumentację filmową i fotograficzną wydarzenia. Na koniec rezydent polskiego wywiadu w Berlinie zaproponował, aby uhonorować ochronę i załogę samolotu, który przywiezie więźniów z Polski do NRD, wycieczką po Berlinie.

Problemem okazało się zabezpieczenie pobytu w Berlinie tych, którzy odmówią przejścia na stronę amerykańską. Dotyczyło to Jerzego Pawłowskiego, ale przede wszystkim Leszka Chrósta. W stosunku do Pawłowskiego pułkownik Biczyk użył określenia, iż faktycznie szablista jest już wolnym człowiekiem, ale przebywa w więzieniu po to, by pomóc władzom w sfinalizowaniu wymiany. NRD nie zgodziła się jednak z sugestią Biczyka, by Pawłowski i Chróst przebywali w Berlinie aż do powrotu całej grupy wymienionych do Warszawy. Argumentowali to faktem, iż sytuacja w Berlinie Wschodnim może być niesprzyjająca. Osoby, które chciałyby zbiec do Berlina Zachodniego, mogą zostać przez amerykańskich agentów ukryte „w podziemiu" i przerzucone na Zachód w dogodnym momencie. Biczyk zgodził się z rzeczową argumentacją i postanowiono, iż Pawłowski i Chróst wrócą do Polski zaraz po wymianie i to pod należytą eskortą.

Warto w tym miejscu zatrzymać się na chwilę przy postawie Leszka Chrósta. Jeszcze w październiku w obecności starszego inspektora Wydziału I Biura Śledczego MSW majora Kucharenki w Areszcie Śledczym w Warszawie, przeprowadzono rozmowę z Leszkiem Chróstem. W jej trakcie poinformowano go, że został zakwalifikowany do wymiany na obywatela PRL przebywającego w więzieniu w jednym z państw zachodnich. Celowo nie powiedziano mu, iż chodzi o Mariana Zacharskiego, gdyż Chróst znał go z pracy w Metalexporcie. Ku zdziwieniu obecnych Chróst wyraził szereg wątpliwości oraz zastrzeżeń. Przede wszystkim już na wstępie oświadczył, w sposób zdecydowany, że nie chce na stałe pozostać na Zachodzie, zwłaszcza wobec faktu, że wiązałoby się to z pozbawieniem go obywatelstwa polskiego, na co kategorycznie nie wyraża zgody. Powiedział także, iż w wypadku wyjazdu na Zachód obawia się o swoje bezpieczeństwo. Rozmawiający z nim poinformowali go, że w umowie o wymianie będzie punkt zezwalający na to, by po dokonaniu wymiany mógł na piśmie przedstawić swoje stanowisko dotyczące chęci powrotu do Polski. Wówczas po powrocie do ojczyzny zostanie decyzją Rady Państwa ułaskawiony.

W dalszej części rozmowy Chróst poprosił o możliwość widzenia się z synem; podnosił takie sprawy, jak znalezienie pracy czy brak mieszkania, bo na mocy orzeczenia sądu o przepadku mienia stracił wszystko, co posiadał. Zapewniono go, że tego typu problemy będą rozważane po jego ewentualnym powrocie do Polski.

Tym niemniej, niezależnie od ostatecznej decyzji Leszka Chrósta, sprawy ze strony polskiej są dopięte i przygotowane do przeprowadzenia wymiany. Generał Wojciech Jaruzelski może być usatysfakcjonowany i spokojny: Jerzy Pawłowski odmówi przejścia na

drugą stronę mostu.

17 grudnia 1984 roku mecenas Wolfgang Vogel udaje się na rozmowę z Amerykanami. Celem spotkania są ostatnie uzgodnienia techniczne dotyczące wymiany. Następuje jednak nieprzewidziany zwrot akcji. Amerykanie oświadczają Vogelowi, że wymiana Zacharskiego i Kostadinowa nie zostanie zrealizowana w przewidywanym terminie, to znaczy w grudniu 1984 roku. Nie podano przy tam żadnych powodów zmiany stanowiska strony amerykańskiej. Całość wysiłków mecenasa Vogela, lawina rozmów w listopadzie i grudniu z upełnomocnionym łącznikiem ambasady USA w Bonn panem Barkley'em, a także z Thomasem M.T. Nilesem (podsekretarzem stanu w Departamencie Stanu) oraz z John Kornblumem (dyrektorem Departamentu Europejskiego w Departamencie Stanu) legła w gruzach.

Vogel po powrocie na Wschód przekazuje tę wiadomość oczekującym na niego szefom służb NRD i Polski. Dyrektor Biczyk ze zdenerwowania chwyta za papierosy, których już od pewnego czasu nie pali. Gorączkowo zaczęto szukać przyczyn tej decyzji Amerykanów.

Uwagę zwrócił fakt, że Amerykanie nie wysunęli przy tej okazji żadnych dodatkowych żądań, życzeń, sugestii. Nie przedstawili również koncepcji w sprawie kontynuowania rokowań. Po prostu bez jakichkolwiek wyjaśnień zerwali rozmowy.

Oczywiście uruchomiono agenturę i po krótkim czasie nadeszły pierwsze raporty, które wskazywały na to, że wymiana nie doszła do skutku z powodu nacisków CIA oraz FBI, pomimo tego, że w Departamencie Stanu istniały całkowicie odmienne poglądy.

11 stycznia 1985 roku Winslow, asystent naczelnika więzienia w Memphis, prosi mnie do swojego biura na rozmowę. Pytam go, o co chodzi, a on bez słowa prowadzi mnie do sali konferencyjnej. Zwykle spotykam się tam z przedstawicielami konsulatu lub ambasady. Tym razem nie. W sali czeka dwóch agentów FBI. Jednego rozpoznaję od razu, to James B. Reid, ten, który w dniu mego aresztowania w Los Angeles stwierdził, iż prowadzi moją sprawę od czternastu miesięcy. Drugiego widzę pierwszy raz. Nie będę z nimi rozmawiał. Odwracam się i zamierzam wyjść. Jestem w więzieniu, ale nikt siłą nie może zmusić mnie do przyjmowania odwiedzin. Jednak jestem w błędzie. Winslow staje w drzwiach i blokuje mi wyjście. Nie mogę go odepchnąć. Nie mogę go nawet dotknąć. Jeśli zechce, zrobi z tego „atak cielesny na funkcjonariusza".

— Panie asystencie naczelnika, proszę o sprowadzenie mnie na dół i otwarcie kraty, żebym mógł wrócić do miejsca swojego zakwaterowania w budynku Beale.

— Panie Zacharski, po co ta demonstracja, proszę sobie usiąść

wygodnie.

— Nie będę siedział przy jednym stole z tymi ludźmi.

Agenci milczą, inicjatywa rozmowy spoczywa na Winslowie. Uzgodnili to wcześniej?

— Panie Zacharski, pan sobie zdaje sprawę ze swojej obecnej sytuacji?

— Tak.

— Chyba jednak nie, bo zachowuje się pan lekkomyślnie, odmawiając rozmowy. Czy pan ma świadomość tego, iż przy wyroku dożywocia najwcześniej po upływie dziesięciu lat może się pan ubiegać o ewentualne zwolnienie?

— To już tylko sześć lat i sto siedemdziesiąt dni.

— No właśnie! Kolejne sześć lat bez rodziny!

— Proszę o umożliwienie mi opuszczenia sali. Chcę zatelefonować do konsulatu polskiego i poinformować polskie służby dyplomatyczne o tym incydencie.

— Ale dlaczego pan się tak unosi?! Panowie przyszli tutaj z wizytą kurtuazyjną, chcą dowiedzieć się, czy pan czegoś nie potrzebuje. Pan nie ma zbyt wielu odwiedzin...

— Takich jak te nie życzę sobie więcej. Kategorycznie odmawiam rozmowy.

— Nie wiem, czy ma pan rację, odmawiając rozmowy, w końcu w więzieniu niewiele jest okazji do tego, by z kimś porozmawiać. Pana żona, na przykład. Dzwoni do pana bardzo rzadko, listy też niespecjalnie często przychodzą. Żona pana jeszcze pamięta?

— I pamięta, i czeka. Polki są wierne i lojalne. Ale co wy możecie o tym wiedzieć?

Reid najwyraźniej uznał, iż nadeszła jego kolej. Pyta:

— Nie chciałbyś zostać przeniesiony do innej instytucji?

— Chciałbym. Pod warunkiem, że to polska instytucja.

— Coś jeszcze?

— Tak. Chcę się dowiedzieć, kiedy FBI zwróci moje prywatne rzeczy, które agenci zabrali z mojego domu w czasie rewizji. Mam na myśli zdjęcia mojej rodziny, niewywołane zdjęcia z aparatu. Nie pojawiły się jako dowód w sprawie, więc chcę je dostać z powrotem. Tak samo jak dwie złote monety z wizerunkami polskich królów, które zostały zabrane, a nawet nie ma ich na wykazie. Chcę to wszystko odzyskać. Mam do tego prawo.

Zdjęcia w aparacie były z mojej ostatniej wycieczki, z maja 1981, gdy pojechałem z dyrektorem Metalexportu do Kolorado. Reid prawie warczy do Flake’a, żeby zapisał i sprawdził to wszystko.

— Masz jeszcze jakieś życzenia?

— Jedno: żeby FBI przestało się wtrącać w moje sprawy. Nie potrzebuję tego waszego cyrku, tego zgrywania się na dobroczynność. Parę tygodni temu, gdy polskie władze poprzez członka Kongresu i Departament Stanu chciały przesłać mi paczkę żywnościową na święta, to właśnie wy ją zablokowaliście. Więc po co to przedstawienie? Nie mam wam nic do powiedzenia.

— No cóż, widzę, że masz niezłe chody! Członek Kongresu...

Odwracam się w stronę drzwi. Winslow jest przy nich i przekręca klucz w zamku. Kurwa, zamknął mnie z nimi! Drzwi nie mogę wyważyć (regulamin więzienia), więc stoję oparty o nie plecami. Reid przedstawia mi swojego towarzysza jako Mr. Flake'a, szefa FBI w Memphis.

Przystępują do kolejnego ataku.

— Polski rząd cię porzucił. Wymiany nie będzie. Posiedzisz co najmniej te sześć i pół roku. Co najmniej, bo nie masz żadnych gwarancji, że po dziesięciu latach twoja prośba o zwolnienie będzie rozpatrzona pozytywnie.

W więzieniu jest takie powiedzenie, gdy ktoś kogoś czymś straszy: „Czego się boisz, że cię wsadzą do więzienia?".

— Trudno. Widać tak musi być.

— A twoja żona? Odwiedzi cię kiedyś?

— Nie. Nie chcę żeby przyjeżdżała do Stanów, bo znając was, coś mogłoby się jej przez przypadek przydarzyć. Wy nie dochowujecie żadnych honorowych gwarancji.

Widzę, że są wkurwieni. Szarżuję, ale chcę dać im jasno do zrozumienia, że nie będę z nimi pertraktował. Nie jestem naiwniakiem, który zgodzi na to, żeby go za parę dolarów wycisnąć jak cytrynę i jak niepotrzebny śmieć wyrzucić. Zapanowało milczenie, mój ostentacyjny upór daje mi przewagę. To oni chcą czegoś ode mnie, nie ja od nich. Gardła mi nie poderżną. Moja rodzina jest daleko, więc nic im nie zrobią, żeby wywrzeć na mnie nacisk. Nic mnie z nimi nie łączy, nic na mnie nie mają. Mogą mnie tylko straszyć moim dożywociem, moimi pięcioma ósemkami w wyroku. Zbyt często o tym myślę. Jestem przerażony za każdym razem, gdy dociera do mnie, że jeśli moja służba mnie nie wyciągnie, to zgniję w tym zasranym więzieniu. Ale to jeszcze nie powód, by zostać zdrajcą. To idiotyczne, ale beznadziejność mojej sytuacji dodaje mi sił.

Milczenie przeciąga się. W fotelach dwóch „Hooverów", w garniturach, pod krawatem. Pod drzwiami jeden chudy gość w kurtce z demobilu i więziennych glanach. W końcu Reid przerywa ciszę:

— Nie myśl o wymianie. Zapomnij o moście! Nie będziemy

pertraktować z mordercami księży![32]

— Różnica między Polską a Ameryką polega na tym, że jak u nas zamordowano księdza, to po kilku dniach sprawcy znaleźli się w więzieniu, a wam zastrzelili prezydenta i po dziś dzień nie wiecie, kto to zrobił!

Reid nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Zamknął się wściekły. Pojęcia nie mam, czy ci, którzy siedzą, rzeczywiście są mordercami Popiełuszki. Czytam gazety amerykańskie i znam wszystkie spekulacje na ten temat. Ale nie pozwolę im udowadniać, że Polska jest do niczego. Po dłuższej chwili Reid znowu zaczyna:

— Mamy kilku nowych uciekinierów z tej twojej Polski, różne rzeczy nam opowiadają o twojej działalności w USA.

— Pluję na uciekinierów. Nie obchodzi mnie, co mówią.

— A co cię obchodzi?

— Jedno: znaleźć się w samolocie lecącym na wschód.

Roześmiali się obaj. Ten Flake, powiedział rozbawiony:

— Zagalopowałeś się Zacharski!

Reid uderzył z innej strony:

— Uważasz, że generał Jaruzelski jest wielkim Polakiem?

— Tak. To wzorzec patrioty. Chciałbym go naśladować. — Mówiąc te słowa jednocześnie myślę, że w mojej sprawie okazywał się chwilami tchórzem w mundurze: nie zapomnę mu „czekolady na otarcie łez” dla moich córek, czy zwolnień z więzień innych osób z powodów humanitarnych, tak jak w wypadku Wesołowskiej, czy kogoś z rodziny byłego ambasadora USA w Polsce. Nie umiał powiązać ich losu z moim. Ale nie dowiedzą się tego ode mnie.

— A co sądzisz o papieżu Janie Pawle II?

— Jest wybitnym Polakiem i patriotą.

— To i Jaruzelski, i Wojtyła to według ciebie patrioci? Ciekawe masz poglądy.

— Jeśli ludzie przeciwnych opcji politycznych potrafią ze sobą rozmawiać o przyszłości narodu, to znaczy, że o tym narodzie myślą. To normalna definicja patriotyzmu.

Ciekawe, o kogo teraz zapytają. O Chopina? Skłodowską-Curie czy o Piłsudskiego? Mam dość tej idiotycznej wymiany zdań.

— Zgodnie z konwencją rozmowy ze mną wymagają obecności konsula PRL. Żądam tego natychmiast.

— Nie jesteś u siebie.

— Ale to nie znaczy, że namówicie mnie do zdrady. Czym mi chcecie zagrozić? Śmiercią? Ja mam jedną ojczyznę i dożywocie za służbę dla niej. Mam dzieci, którym nie zszargam nazwiska.

Reid wyciąga papier.

— Mamy dla ciebie dom w Kalifornii, pracę i wykropkowane miejsce, w które możesz wpisać dowolną sumę. Wcześniej proponowaliśmy ci tysiące, potem setki tysięcy. Teraz sam wpisz cenę, podpisz i wyjdziemy stąd razem.

— Przekażę treść tej rozmowy konsulowi PRL.

— Sprowadzimy całą twoją rodzinę, masz to zagwarantowane na piśmie. Zobacz, podpisał to prezydent Stanów Zjednoczonych.

— Przekażę treść tej rozmowy konsulowi.

— Nie bądź głupi.

— Przekażę treść tej rozmowy konsulowi.

— Rób, co chcesz! — warknął Reid i schował swój cyrograf. — To była nasza ostatnia rozmowa!

Musiało zabłysnąć mi oko, bo słowo „ostatnia” zrozumiałem dosłownie, że odpuścili i za chwilę moi mnie stąd wyciągną.

— Nie ciesz się. Żartowałem. Może jednak wrócę.

Teraz ja odpowiadam, tak jak on do tej pory.

— Rób, co chcesz.

Wychodzą. Czuję jednak, że „ostatnia rozmowa” to łut nadziei, czuję to wbrew jego zaprzeczeniom. Odwrócił się spod drzwi, i powiedział zupełnie zgaszonym, pozbawionym zaczepki głosem:

— Nie rozumiem, dlaczego jesteś takim patriotą.

Wiem, że to miało zabrzmieć „jesteś idiotą”, ale dla mnie to był komplement. Dowód, że poczuli się spuszczeni jak woda w toalecie. Czułem się świetnie. Gdy Winslow mnie wypuścił, biegłem do swojej celi. Wiedziałem, że widzą mnie z przeszklonych okien wokół sali konferencyjnej, wiedziałem, że zobaczą, jak chwytam za słuchawkę i wykręcam numer. I nie przeszkadzało mi, że tę rozmowę z ambasadą także podsłuchają. Nie usłyszą tam innej wersji niż ta, którą im podałem. Gdy dzwonię (mam do tego prawo, nikt mi go nie odebrał), podchodzi do mnie menedżer obiektu i pyta, czy nie mam problemów z połączeniem, bo jeśli tak, to on udzieli mi wszelkiej pomocy (pewnie Winslow go wysłał). Mówię, że niczego nie potrzebuję, oprócz świętego spokoju. Odchodzi.

Po rozmowie z ambasadą robi mi się nieprzyjemnie. Po prostu „przyjęli do wiadomości”. Wiem, że nasze rozmowy są podsłuchiwane, ale mimo wszystko mogli jakoś inaczej dać mi znać, że naprawdę rozumieją sytuację, w jakiej się znajduję. Przed FBI jestem twardy, mówię im o patriotyzmie, ale potrzebuję choć odrobiny potwierdzenia, że po drugiej stronie nie zapominają o mnie. O „wysiłkach dyplomatycznych” słyszę od trzech i pół roku. Stan wojenny ogłosili i odwołali, a ja tu gniję bez jakichkolwiek

nadziei. Podczas jednej z poprzednich rozmów telefonicznych powiedziałem Basi, w przypływie własnego zwątpienia, że nie będę stał jej na drodze, jeśli postanowi sobie ułożyć życie beze mnie. Pewnie dlatego pytali o żonę, czy mnie pamięta. Listy od niej zawsze są otwarte i ostemplowane. I bardzo rzadkie. Ale nie wiem, czy rzadko je pisze, czy rzadko dochodzą. Z rozmów wynika, że powinno być ich więcej.

Nie jestem jeszcze starym, doświadczonym pracownikiem wywiadu. Ale nie jestem gówniarzem, który uwierzy w dobre intencje FBI. Wiem dobrze, że agent odwrócony jest spalony na zawsze. Nawet, jeśli dostanie „złotą klatkę" jako wynagrodzenie za przejście na drugą stronę, to nigdy nie odzyska spokoju ducha. To normalna praktyka we wszystkich służbach świata: pozyskać, wycisnąć z gościa całą wiedzę, a gdy przestanie być potrzebny, wyrzucić. Dlatego na moją korzyść działa to, że rodzina jest w Polsce. Nie mogą mną manipulować. Mogą tylko grać na moim osamotnieniu, leku przed porzuceniem przez swoich, lęku przed dożywociem. Ale z tej sytuacji nie ma dobrego wyjścia, więc nie muszę wybierać hańby. Skurwiele! Specjalnie proponowali mi dom w Kalifornii, bo wiedzą, że uwielbiam to miejsce! I ta gradacja propozycji: setki tysięcy, milion i wykropkowane miejsce...

Oczywiście, wzięli pod uwagę, że koszt takiej operacji wyniósłby o wiele więcej, bo musieliby trzymać mnie i moją rodzinę pod ochroną do końca życia. Chyba że po odzyskaniu ode mnie całej mojej wiedzy, przez przypadek spuściliby nas z oka. I przez przypadek coś by się nam przytrafiło. I wtedy właściwie wszystko jedno z czyjej ręki. Zdrajca jest wyrzutkiem w każdym społeczeństwie. Niech idą do diabła!

22 stycznia 1985 roku członkowie grupy do spraw „wymiany pakietowej" mają następujące dane:

2 stycznia amerykański sąd odrzucił wniosek adwokata obywatelki NRD pani Michelson o zwolnienie za kaucją (67-letnia Alice Michelson była kurierką radzieckiego kontrwywiadu wojskowego, od 1 października przebywała w areszcie w USA).

11 stycznia agenci FBI wystąpili z kolejną próbą przewerbowania Zacharskiego. Warunki, jakie mu zaproponowano, przewyższyły wszystkie dotychczasowe oferty. Polski wywiadowca odrzucił propozycję.

21 stycznia poprzez ukierunkowany nacisk FBI złamało profesora Zehe, który złożył oświadczenie, iż nie wraca do NRD i prosi o azyl polityczny w USA.

Nie ma danych na temat podobnej próby wobec Kostadinowa.

Na początku stycznia Palmer, pracownik Departamentu Stanu w Waszyngtonie, oświadczył dyplomatom polskim i bułgarskim, że za zerwanie grudniowej wymiany odpowiada strona NRD-owska, która nie spełniła żądań strony amerykańskiej i „nie wykazuje zainteresowania

wymianą”.

Jednocześnie Amerykanie zabiegają u władz polskich o zaakceptowanie kandydatury Scanlana na stanowisko ambasadora USA i wyrażają niezadowolenie z powodu odrzucenia tej kandydatury przez władze polskie.

Amerykanie bez wątpienia chcieli zasiać niezgodę wśród służb wschodnich, jakby nie mając świadomości, iż współpraca w tej sprawie obejmuje pełen, precyzyjny obieg informacji między służbami Polski, Bułgarii i NRD. Równocześnie próbują wywrzeć nacisk na władze polskie w celu zaakceptowania Scanlana. W tej sytuacji należy się liczyć także i z tym, że spróbują i innych form nacisku na rządy pozostałych krajów. Kluczową rolę w tej sytuacji bez wątpienia odegrały próby przewerbowania agentów przeznaczonych do wymiany. Wszystko to razem sugerowało, iż strona amerykańska odbiera „oddanie” uzgodnionych już agentów jako porażkę. Gdyby nie decyzja niemieckiego fizyka profesora Zehe, można by przypuszczać, iż brak osiągnięć werbunkowych doprowadziłby do szybkiego powrotu do wymiany. Wobec takiego obrotu sprawy należy się jednak spodziewać, iż pojawią jeszcze nowe fakty.

W dniu 30 stycznia pracownik polskiej ambasady w Waszyngtonie w rozmowie z pracownikiem Departamentu Stanu poruszył temat nacisków FBI wobec Zacharskiego. W Departamencie Stanu odpowiedziano, iż nie mogą zabronić FBI rozmów z więźniem, a konwencja międzynarodowa nie przewiduje wcześniejszego powiadamiania konsula o chęci przeprowadzenia rozmowy, robi się to dopiero na życzenie obywatela PRL. Polski dyplomata zaprotestował przeciw takiej argumentacji, wskazując, iż w tym wypadku władze więzienia współpracowały z FBI, mimo protestów Zacharskiego i jego stanowczej odmowy spotkania się z FBI.

W czasie tego spotkania strona polska poprosiła o wyjaśnienia w sprawie informacji, jaka pojawiła się w ostatnich dniach na temat rzekomej niedopłaty podatku dochodowego przez Zacharskiego. Jak wynika z danych polskiej ambasady, Marian Zacharski, pracując legalnie w USA, korzystał w zakresie podatkowym z usług wyspecjalizowanego biura podatkowego H & R Block. Biuro to sporządzało jego rozliczenia i rozliczało należne podatki. Jak również wiadomo, Zacharski nie korzystał w tym okresie z jakichkolwiek ulg czy odliczeń. Pracownik Departamentu Stanu wyjaśnił, iż jednak został popełniony w tym zakresie błąd, niedopłata podatku wynosi 700 dolarów i musi zostać uregulowana. Polski dyplomata oświadczył, iż władze pokryją tę kwotę, ale jednocześnie żądają pisemnego uzasadnienia tej sytuacji.

Całość rozmowy przebiegała w chłodnej atmosferze, wskazując na usztywnienie stanowiska w sprawie Zacharskiego ze strony amerykańskiej.

16 lutego 1985 roku grupa operacyjna do spraw wymiany pakietowej miała kolejne informacje.

W dniu 15 lutego 1985 roku profesor Zehe przez amerykańskich adwokatów przekazał informację, iż odwołuje swoją poprzednią

decyzję o ubieganiu się o azyl polityczny w USA i pragnie wrócić do NRD. Jednocześnie na przesłuchaniu przed sędzią amerykańskim przyznał się do winy w myśl aktu oskarżenia. Orzeczenie wyroku w sprawie Zehe nastąpi w dniu 4 kwietnia 1981 roku.

Jednocześnie, po przeanalizowaniu posunięć strony amerykańskiej, nasuwa się wniosek, iż próby przewerbowania agentów oraz celową dezinformację ze strony przedstawicieli Departamentu Stanu należy odbierać jako uzgodnione posunięcia skierowane jednoznacznie przeciwko uzyskaniu zwolnienia aresztowanych.

W tym czasie w dniu 26 lutego 1985 roku powstała w MSW notatka, która jednoznacznie stwierdza, iż Jerzy Pawłowski zgadza się na włączenie go do pakietu związanego z wymianą kapitana Zacharskiego oraz że w dogodnym dla władz momencie i miejscu odmówi on przejścia na stronę amerykańską. Państwo Pawłowscy, zgodnie z otrzymaną instrukcją, informują swoje otoczenie, że przerwa w odbywaniu kary podyktowana jest złym stanem zdrowia obojga. Kierownictwo MSW nie ma powodów, by wątpić, iż w chwili wymiany zachowają się odmiennie w stosunku do tego, do czego się zobowiązali.

W tej sytuacji można było poinformować Amerykanów za pośrednictwem chargé d'affaires polskiej ambasady w Waszyngtonie o tym „humanitarnym kroku" władz polskich, jakim jest przerwa w odbywaniu kary więzienia przez Pawłowskiego, co, jak strona polska ma nadzieję, ułatwi pozytywne załatwienie sprawy Mariana Zacharskiego.

5 marca 1985 roku mecenas Wolfgang Vogel spotkał się z Barkley'em, przedstawicielem strony amerykańskiej. Jednak zamiast rokowań w tej sprawie, Barkley przekazał Vogelowi listę z 23 nazwiskami agentów CIA aresztowanych w NRD. Powiedział, iż zwolnienie wskazanych ludzi jest warunkiem bezwzględnym uwolnienia Zacharskiego, Kostadinowa, Zehe i Michelson. Mecenas przyjął listę, lecz odpowiedź władz NRD, jaka została udzielona w dniu 6 marca, była do przewidzenia. Strona niemiecka odczytuje propozycję jako szantaż i odrzuca postawione warunki, uznając je za niemożliwe do spełnienia. Jednocześnie nadal czeka na uczciwą ofertę wymiany.

22 maja 1985 roku około 10 rano w kantynie więziennej zadzwonił telefon. Pracuję tam wraz z Chubbim, wielkim Murzynem, który siedzi już osiemnasty rok za zastrzelenie dwóch konwojentów podczas napadu na samochód przewożący pieniądze. Odebrał Dixon, strażnik. Dixon jest w porządku, normalny gość. Od czasu do czasu udaje nam się go namówić, aby wyskoczył na zewnątrz i kupił nam hamburgery. Na wolności nie jadałem fast foodów, ale w porównaniu z więziennym żarciem wydawały się znakomite. Dixon też negocjował z dostawcą lodów przydział większych porcji dla nas, jego osobistych pomocników. Na wolności uwielbiałem lody. W kantynie, w której pracowałem jako sprzedawca, można było kupić głównie słodycze, pozostałe rzeczy nie bardzo nadawały się do jedzenia. Dixon przekazał mi, o dziwo, słuchawkę, ale nie odpowiedział na pytanie, kto dzwoni. Normalnie nie wolno nam używać telefonów służbowych. Usłyszałem głos Winslowa. Od czasu roli, jaką odegrał w styczniu podczas spotkania z FBI, mam alergię na asystenta naczelnika.

— Zacharski, jesteś schludnie ubrany?

— O co chodzi?

— Masz wizytę.

Kurwa! Znowu FBI?

— Masz wizytę adwokata z Europy. Nazywa się profesor Wolfgang Vogel.

— Jestem ubrany wzorowo. Jestem gotowy do wizyty.

Wiem, kim jest mecenas Vogel. Wiem od pracowników konsulatu, którzy odwiedzają mnie czasami, że zajmuje się sprawą mojej wymiany. Jeśli więc teraz odwiedzą mnie, to wyraźny znak, że w końcu coś drgnęło. Winslow przeszukał mnie rutynowo i zaprowadził nie na górę, do sali konferencyjnej, a do pokoju wizyt. Dzisiaj było tam cicho, to nie był dzień odwiedzin. W samym pokoju wizyt znajdowało się drugie, znacznie mniejsze pomieszczenie, które służyło do *legal visit*, czyli rozmów więźnia z adwokatem. Po wejściu do niego zobaczyłem starszego, niewysokiego pana w okularach i znacznie od niego młodszą kobietę. Winslow zostawił nas samych.

— Nazywam się Helga Vogel, a to mój mąż, mecenas Wolfgang Vogel. Będę tłumaczką naszej rozmowy, bowiem mąż mój nie mówi po angielsku.

Oboje byli eleganccy i ujmujący. Przez krótką chwilę poczułem zażenowanie z powodu swojego taniego, kiepskiego stroju więziennego, spodni i butów z demobilu. Ale natychmiast zapytali mnie, jak się czuję, jakie mam warunki pobytu. Była w nich jakaś, nieznana mi wcześniej,

uwaga w patrzeniu na drugiego człowieka. Choć widzieliśmy się pierwszy raz w życiu, od razu poczułem do nich zaufanie. Nie, to było coś więcej: poczułem bliskość. W ich pytaniu o moje samopoczucie nie było rutyny, tylko autentyczna troska. Powiedziałem im wszystko. Nawet to, czego nie mówiłem żonie, nie chcąc dać powodów do satysfakcji podsłuchującym nas agentom. O tym, że wegetuję, czekając na jakąkolwiek dobrą wiadomość, że czasem nie mam ochoty żyć, wstać z pryczy, jeść. Że brak nadziei dobija bardziej niż fizyczne cierpienia. Że żyję siłą rozpędu, choć często muszę sobie wmawiać, że tam, w Polsce, o mnie nie zapomnieli.

Wymienieni za mnie agenci skazani w Polsce za szpiegostwo.

Norbert Adamaschek

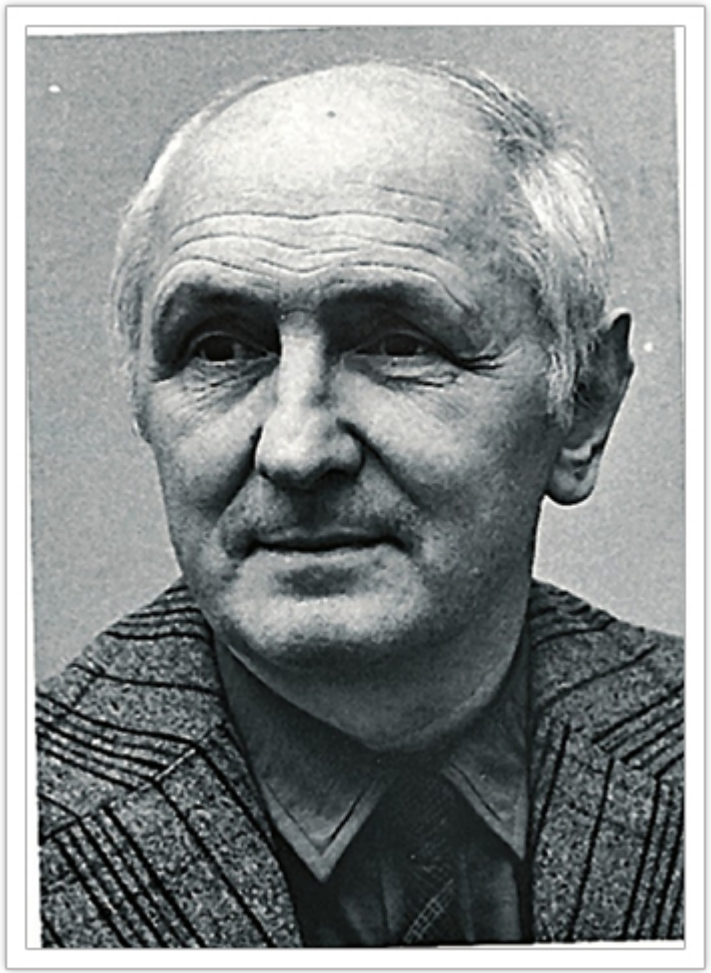

Jerzy Pawłowski

Bogdan Walewski

Leszek Chróst

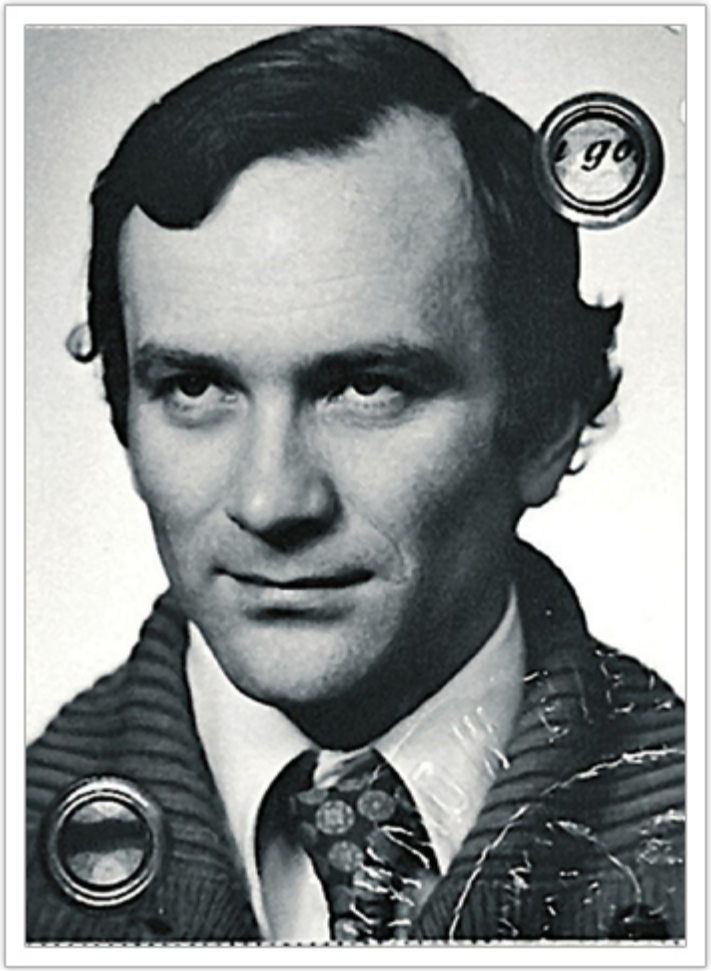

Jacek Jurzak

Bogdan Walewski w drodze z więzienia przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie na lotnisko Okęcie i dalej, do punktu wymiany w Berlinie.

2

Norbert Adamaschek w drodze z więzienia do Berlina.

Jerzy Pawłowski w drodze z obiektu specjalnego Biura Ochrony Rządu na punkt wymiany w Berlinie.

Leszek Chróst w drodze na wymianę.

Wyprowadzają mnie z części protokolarnej lotniska wojskowego Tempelhof w Berlinie, za chwilę wsiądę do vana, którym zawiozą nas do punktu wymiany na moście Glienicke. Zdjęcie wykonane przez Amerykanów, otrzymałem je w 1992 roku od Johna P., wspomnianego przy opisie wymiany.

Wjazd vana, którym mnie przewożą na most Glienicke, z tyłu autobus, który zabierze wszystkich przechodzących z Berlina Wschodniego.

Wymieniani ze Wschodu przechodzą do autobusu blokującego most.

Na pierwszym planie Richard Burt, asystent sekretarza stanu USA.

Wyjście z vana armii amerykańskiej. Odzyskanie wolności. Zdjęcie wykonane przez Amerykanów, otrzymałem je w 1992 roku od Johna P., wspomnianego przy opisie wymiany.

Przechodzę na wschodnią stronę mostu Glienicke.

Już jestem po wschodniej stronie, rozmawiam z Bułgarem Kostadinowem. Na zdjęciu jest również pani Michelson i profesor Zehe oraz jeden z koordynatorów wymiany, pracownik służb NRD.

Opuszczamy most, za chwilę odbędzie się powitanie przez delegacje poszczególnych krajów.

Dom i kancelaria w Berlinie mecenasa Wolfganga Vogela,
negocjatora wymiany.

Oboje byli pełni zrozumienia. Nie wypowiadali żadnych zwyczajowych, uspokajających formułek, których nie chciałem słuchać. Pan Vogel wyjął list od mojej żony i dał mi do przeczytania. Ale przez pomyłkę podał mi list żony jakiegoś Kostadinowa. Przeprosił i podał mi mój.

Był z października zeszłego roku. Basia pisała w nim o możliwości spotkania na święta Bożego Narodzenia. Spojrzałem na niego pytająco. Pani Helga potwierdziła, iż szansa uwolnienia mnie w grudniu była bardzo realna, ale upadła w ostatniej chwili. Natychmiast jednak mecenas powiedział, iż mają dla mnie dobrą wiadomość. Wracają z Departamentu Stanu w Waszyngtonie, gdzie wczoraj zakończyli pomyślnie rokowania w sprawie wymiany.

— Kiedy? — zapytałem, niemal wchodząc mu w zdanie.

— Już niedługo.

— Co to znaczy? Panie mecenasie, czy to znaczy, że będę wolny za miesiąc?

— Tak, na pewno.

— Ale kiedy dokładnie? Za trzy tygodnie? Za dwa?

— Za trzy tygodnie będzie pan spacerował po ulicach swojego miasta.

To brzmi niewiarygodnie! Czy to dzieje się naprawdę? Tyle razy wyobrażałem sobie ten moment, a teraz nie mogę uwierzyć! Dopytuję Vogela kiedy, kiedy dokładnie. Widząc moją desperację, odpowiada spokojnie:

— Nie mogę podać panu dokładnej daty, to musi być objęte tajemnicą, aż do samej wymiany na moście. Ale trzy tygodnie mieszczą się w tym terminie.

Na moście! Nareszcie widzę „mój most”!

— Głównym powodem naszej wizyty jest konieczność napisania przez pana oświadczenia dla Departamentu Stanu, iż z własnej woli zgadza się pan opuścić terytorium Stanów Zjednoczonych i zostać przewieziony do Berlina Zachodniego, a następnie do Berlina Wschodniego.

Pani Helga wyjaśnia, iż ten wymóg stosowany jest podczas wymian od czasu, gdy kilka lat temu, z jednego z radzieckich statków opuszczających Zatokę Meksykańską, wyskoczył rosyjski marynarz i po dopłynięciu do brzegu poprosił o azyl. Statek zawrócił do portu, Rosjanie zażądali wydania marynarza i Amerykanie to zrobili. Po czym zobaczyli, jak na pokładzie ponownie opuszczającego port okrętu załoga bezlitośnie biła uciekiniera. Wynikiem tego incydentu była regulacja prawna nakazująca niezwracanie nikogo zza żelaznej kurtyny bez jego zgody.

Poza tym w czasie rozmów zadano mecenasowi Vogelowi pytanie: „A skąd pan wie, że Zacharski naprawdę chce opuścić Stany Zjednoczone?”.

Oczywiście, natychmiast odpowiadam im, że chcę, że o niczym innym nie myślę. Mecenas wyrwał kartkę z papeterii Lufthansy, podał mi długopis i napisałem oświadczenie: „Chciałbym prosić, co czynię z mojej (po chwili namysłu wstawiam drukowanymi literami, żeby ten, kto będzie to czytał, nie miał najmniejszej wątpliwości) WOLNEJ WOLI, aby wysłano mnie do Berlina Zachodniego, gdzie dołączę do profesora Vogela i podążę z nim do Berlina Wschodniego, a potem do domu w Warszawie, w Polsce. Chcę podkreślić, że piszę to z absolutnie wolnej woli (tym razem „z wolnej woli” pokreśliłem). Podpis Marian W. Zacharski”. To moje oświadczenie staje się załącznikiem „E” umowy o wymianie zawartej przez profesora Vogela w imieniu rządu NRD z administracją amerykańską. Dla mnie jego treść była już planem podróży.

Gdy oddałem mu papier, powiedział, że naprawdę wyjątkowo długo pracował nad moją sprawą, bo Amerykanie stawiali co chwilę kolejne przeszkody. Zapytał o wiek moich córek i czy chciałbym, aby moja żona była obecna w Berlinie podczas wymiany. Powiedziałem, że jeśli to tylko możliwe, to tak. Spytał, czy nie potrzebuję pieniędzy, ale powiedziałem, że nie. Dostawałem regularnie od polskich władz drobną kwotę, która całkowicie wystarczała mi na te zakupy, jakie mogłem robić w więzieniu.

Zaczęli się żegnać. Mecenas wyjaśnił, iż koniecznie musi dzisiaj jeszcze wrócić do Waszyngtonu i oddać moje oświadczenie, aby jak najszybciej uruchomić procedurę zmierzającą do wymiany.

— Jeszcze piękna przyszłość przed panem! — powiedział na zakończenie i oboje uściskali mnie serdecznie. Nim wyszli, poprosiłem, żeby zabrali list od Basi z powrotem, strażnicy i tak mi go zabiorą i będą szukać w nim tajnych instrukcji. Po co.

> Mecenas Vogel podczas tego majowego pobytu w USA odwiedził cztery więzienia federalne. Odebrał cztery oświadczenia o dobrowolnej chęci opuszczenia Stanów Zjednoczonych, od każdego z przeznaczonych do wymiany więźniów: Zacharskiego, Kostadinowa, Zehe, Michelson. Gdy wrócił z nimi do Waszyngtonu, Richard Burt, asystent sekretarza stanu (ale już z nominacją na ambasadora USA w RFN), powiedział do niego:
>
> — Panie Vogel, musi pan kiedyś przyjechać do USA na urlop! Mamy tu wiele pięknych miejsc, nie tylko więzienia!

> W trakcie tego pobytu w Stanach Zjednoczonych adwokat Vogel przeprowadził wiele rozmów w Departamencie Stanu na temat szczegółów wymiany. Ze strony amerykańskiej uczestniczyli w nich:
>
> Richard Burt, piastujący stanowisko asystenta sekretarza stanu, John

Kornblum, dyrektor Departamentu Europejskiego (już nominowany na szefa Misji USA w Berlinie), Thomas M. T. Niles, zastępca asystenta sekretarza stanu, oraz Andre Surena, który pracował jako asystent radcy prawnego.

Gdy po spotkaniu z państwem Vogel wróciłem do kantyny, Dixon i Chubby krzyknęli jednocześnie:

— Wychodzisz?

Musiało to pewnie emanować z mojej twarzy.

— Pewnie tak, wychodzę, ale nie wiem kiedy!

— Mam już szukać kogoś na twoje miejsce? — dopytywał Dixon.

— Jak będę znał termin, dam ci znać.

Wobec Dixona chciałem być w porządku, on też był normalnym gościem, chociaż strażnikiem. Zaczął się dla mnie czas oczekiwania. Wielka, niewiarygodna radość, że wyjdę, że wszystko jest na dobrej drodze. I liczenie już nie dni, ale godzin. Do tej pory nie miałem pojęcia, że czas może aż tak wolno płynąć.

30 i 31 maja w Berlinie doszło do narady niemiecko-polskiej w sprawie warunków wymiany więźniów. Spotkała się ta sama grupa, która już w grudniu przygotowywała się do wymiany. Ze strony polskiej był więc dyrektor Biczyk (zwany przez podwładnych pieszczotliwie „Pejczykiem" z racji gorączkowego usposobienia i nieustannego zaganiania do pracy), rezydent z Berlina, i pani Maria Żołądkowska, tłumaczka.

Stronę NRD-owską reprezentowali pułkownicy Kobbelt i Kopprasch.

Pułkownik Kobbelt opowiedział o przebiegu wizyty mecenasa Vogela w USA, o oświadczeniach, jakie zebrał od więźniów i o rozmowach w Departamencie Stanu. Wspomniał, iż od pani Michelson zażądano także, by przyznała się do winy. Początkowo nie zgadzała się na to, ale strona NRD-owska poradziła jej, by poszła na ten kompromis, żeby nie narażać na szwank całej, z takim trudem wznowionej wymiany. Amerykanie ostro prowadzili negocjacje i nie było wiadomo, czy wystarczy im samo przyznanie się do winy, czy też będą chcieli zorganizować pani Michelson krótki, pokazowy proces.

Termin wymiany został ustalony na 11 czerwca 1985 roku na moście Jedności (Brücke der Einheit, znanym jako Glienicke Brücke). Tak jak wymiana Abel — Powers. Identyfikację osób ze strony polskiej Amerykanie chcą przeprowadzić o godzinie 12 po NRD-owskiej stronie mostu, a samą wymianę o godzinie 18. NRD będzie starała się przekonać Amerykanów, aby wymiany dokonać wcześniej, o godzinie 14, żeby nie przetrzymywać tak dużej liczby ludzi przez długi czas. Jeśli zaś strona amerykańska nie da się przekonać, wówczas nie będzie innego wyjścia. Wszyscy po identyfikacji wrócą do Poczdamu i tam będą czekać do godziny 18. W tym przypadku więźniów można będzie przetrzymać w budynku Sądu Okręgowego.

Zostało ostatecznie ustalone pomiędzy stroną amerykańską a

niemiecką, że każdy z biorących udział w wymianie może zmienić decyzję w ciągu czternastu dni od wymiany. Dotyczy to zarówno tych, którzy mimo takiej możliwości nie przejdą na Zachód, jak i tych, którzy przejdą, a potem będą jednak chcieli wrócić do swojego kraju.

Po raz drugi w historii tej wymiany przystąpiono do planowania szczegółów operacji.

Bezpośrednio na punkcie wymiany znajdować się będą ze strony polskiej: konsul Młodziejowski i tłumaczka, Maria Żołądkowska.

Ze strony niemieckiej: towarzysz Volpert z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, pułkownik Enke, będący zastępcą szefa Wydziału Śledczego, pułkownik Fritz Kobbelt i pułkownik Eberhard Kopprasch. Obecni będą również mecenas Wolfgang Vogel wraz z małżonką.

Pozostała część polskiej delegacji w składzie: Konrad Biczyk — zastępca szefa Wywiadu, Zbigniew Twerd — zastępca szefa Wywiadu, Eugeniusz B. — rezydent w Berlinie Wschodnim oraz Franciszek (...), naczelnik Wydziału VI, przebywać będzie w obiekcie oddalonym o mniej więcej osiemset metrów od mostu. Pułkownik Kobbelt uspokoił stronę polską, iż teren, o którym mowa, jest zakryty i można, nie obawiając się sfilmowania przez Amerykanów, podjechać tam samochodami osobowymi bez zachowywania szczególnych środków ostrożności.

Na punkt wymiany pojadą dwa autobusy z ludźmi. Pięciu Polaków będzie jechało w osobnym mikrobusie.

Bezpośrednio po wymianie czworo odzyskanych agentów zostanie przewiezionych do obiektu, gdzie będą czekały delegacje powitalne wszystkich państw. Obiekt znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie mostu Glienicke. Tam, przy poczęstunku, można będzie wymienić pierwsze wrażenia. Następnie każda z delegacji uda się do przeznaczonego dla siebie obiektu.

Dla Mariana Zacharskiego i jego żony przygotowana zostanie willa w Karow. Tam delegacja polska zje we własnym gronie powitalną kolację.

Kolejnego dnia w godzinach przedpołudniowych grupa polska uda się na zakupy, bowiem Marian Zacharski podczas pobytu w więzieniu znacznie schudł i ubrania, które przywiezie jego żona, nie będą się nadawały na oficjalną kolację, którą zaplanowano wieczorem. W uroczystości tej weźmie udział kierownictwo Wywiadu NRD.

Z kolei więźniowie polscy przeznaczeni na wymianę mają przylecieć na lotnisko Schönefeld w Berlinie najpóźniej o godzinie 9. Na lotnisku oczekiwać ich będzie pułkownik Kopprasch z dwiema osobami z ochrony. Pięciu więźniów zostanie przewiezionych volkswagenem transporterem wraz z ochroną, a ich bagaże pojadą w drugim samochodzie. Pani Maria Żołądkowska, tłumaczka, pojedzie na punkt wymiany razem z pułkownikiem Koppraschem.

Strona polska miała problem, bowiem akty ułaskawienia były datowane na 10 grudnia 1984 roku w związku z wymianą, która wówczas była planowana. Spodziewano się, iż Amerykanie mogą kwestionować fakt, iż osoby ułaskawione od grudnia są w chwili

wymiany więźniami. Ustalono, iż należy wówczas zaatakować stronę amerykańską, zgodnie z prawdą, że to z jej winy grudniowa wymiana nie doszła do skutku, a osoby te przebywały do czasu obecnej wymiany wyłącznie w „areszcie ochronnym".

Życzeniem strony polskiej było również, aby polski oficer śledczy, znany całej piątce, mógł również im towarzyszyć, oprócz wskazanej już tłumaczki.

Zaznaczono, iż tłumaczka musi jasno przekazać polskim więźniom po lądowaniu na lotnisku w Berlinie, że od tej pory mają wykonywać wszystkie polecenia służb NRD-owskich.

Do Berlina przyleci cała polska delegacja oprócz Konrada Biczyka, który dojedzie samochodem, bo prawda jest taka, że panicznie obawia się latania samolotami.

Postanowiono, że po przylocie polskiego samolotu na lotnisku odbędzie się krótka narada kierownictwa, aby wyjaśnić lub ustalić nowe elementy oraz uściślić te, które są już uznane i uzgodnione.

Barbara Zacharska zaraz po wylądowaniu zostanie przewieziona do willi w Karow.

Strona polska dodała, iż w składzie delegacji ma znaleźć się dziennikarz Henryk Chądzyński (pisał w 1977 roku pierwszy artykuł w „Życiu Warszawy" o oficjalnej działalności Zacharskiego w Los Angeles), co wzbudziło zaskoczenie po stronie niemieckiej. Pułkownik Kopprasch stwierdził, iż ze strony NRD nigdy, przy żadnej z dotychczasowych wymian (nawet w tak słynnej sprawie, jak Guillaume'a) nie było dziennikarzy. Zażądano od strony polskiej przyrzeczenia, że na terenie NRD nie dojdzie do kontaktu pomiędzy Zacharskim a dziennikarzami.

Strona niemiecka zapewniła, że podstawi specjalny autobus dla osób towarzyszących, a więc dla pilotów i ochrony, aby mogły zwiedzić Berlin.

Po zakończeniu wszystkich ustaleń rozmawiano o pozaformalnych działaniach, które przyczyniły się do finalizacji wymiany. Pułkownik Kobbelt przyznał, iż znaczącą rolę w tym procesie odegrał kanclerz Republiki Federalnej Niemiec, pan Helmuth Schmidt, który był zwolennikiem szybkiego przeprowadzania wymian ludzi w takich jak ta sytuacjach. Mecenas Vogel spotkał się z kanclerzem Schmidtem u siebie w domu, po uroczystości otwarcia Opery w Dreźnie. Ponieważ byli w dobrych stosunkach osobistych, udało mu się zainteresować tą sprawą kanclerza RFN. Schmidt z kolei miał bardzo przyjazne relacje z George'em Schultzem, sekretarzem Departamentu Stanu w Waszyngtonie. Po ich rozmowie w USA wymiana wyraźnie nabrała tempa i pojawiła się szansa na pomyślny finał.

Następnego dnia odbyła się druga część narady, w której ze strony NRD uczestniczył już tylko pułkownik Eberhard Kopprasch. Był on po konsultacjach ze swymi przełożonymi i mecenasem Vogelem, dzięki czemu znał też i ostateczne decyzje drugiej strony.

W sprawie dat na aktach ułaskawienia uznano, iż nie budzą one wątpliwości, a ich wręczenie nastąpić powinno tuż przed rozpoczęciem

przez Amerykanów identyfikacji osób zakwalifikowanych do wymiany. W jej trakcie każdy z więźniów musi mieć akt łaski w swoim posiadaniu. Mecenas Vogel upewni się, czy po stronie amerykańskiej zostały spełnione te same warunki.

Kopprasch dodał również, aby rozwiać wszelkie wątpliwości, że mecenas Vogel jest oficjalnym przedstawicielem rządu NRD, a jego partnerem w rozmowach jest sekretarz stanu. Tak więc to za wysoki szczebel rządowy, aby można było sobie pozwolić na robienie niespodzianek.

Godzina wymiany nadal podtrzymywana przez Amerykanów to 18. Wychodzą oni bowiem z założenia, że identyfikacja zajmie im około sześciu godzin.

Tym niemniej NRD chce dokonać wymiany natychmiast po identyfikacji.

Samolot powinien wylądować o godzinie 8 rano. Po wylądowaniu więźniowie pozostaną w samolocie. Na sygnał zaczną wychodzić pod ochroną i przechodzić do autobusu, który ma tylko jedne drzwi. Ochrona zajmie miejsca z przodu. Po zajęciu miejsc przez więźniów oraz ochronę następuje blokada drzwi i autobus rusza w drogę do Poczdamu, która może zająć od około czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu minut.

Na lotnisku Schönefeld autobus przeznaczony dla załogi samolotu oraz ochrony przybyłej z Polski będzie zaparkowany na uboczu, aby w żaden sposób nie umożliwić identyfikacji jego numerów rejestracyjnych przez więźniów. W Poczdamie oczekiwać będą na powrót mecenasa Vogela z identyfikacji Zacharskiego, która odbędzie się na lotnisku Tempelhof w Berlinie Zachodnim. Vogel będzie się komunikował wyłącznie z Volpertem i nie przyjedzie do obiektu, w którym przebywać będzie delegacja polska. Pojazdy będą pozostawać w strefie przygranicznej.

Na granicy planowane jest ustawienie dodatkowego pojazdu, w którym Vogel i jego amerykański partner (nazwisko do chwili obecnej nieustalone) dokonywać będą identyfikacji agentów. Odbywać ma się to pojedynczo. Podczas identyfikacji ma zostać postawione więźniom pytanie, gdzie chcą pozostać oraz jaki jest wybór miejsca pobytu ich rodziny.

Powiadomienie o ułaskawieniu następuje przez majora Wiktora Fonfarę z Departamentu Śledczego MSW oraz konsula. Obecna ma być tłumaczka, która objaśniać będzie rozmowę po przedstawieniu się konsula mecenasowi Vogelowi. Konsul powiadomi mecenasa o swoim pełnomocnictwie.

Major Fonfara i konsul pozostaną z więźniami oraz ochroną, a także z kierownikiem Wydziału Śledczego NRD aż do momentu wymiany.

Ten sam mały autobus, który przywiezie więźniów, Fonfarę, konsula Młodziejowskiego wraz z niemiecką ochroną odwiezie tych, którzy nie będą chcieli przejść na Zachód, z powrotem na lotnisko Schönefeld do samolotu. Od tego momentu opiekę nad grupą obejmie przedstawiciel Rezydentury.

Oddzielny samochód zostanie przekazany do dyspozycji Barbary

Zacharskiej oraz doktora Kociszewskiego. Mogą nim najpierw zwiedzać miasto, a następnie, od godziny 14 muszą być w willi w Karow, oczekując na powrót Zacharskiego.

Należy też mieć przygotowany nowy paszport, bo Marian Zacharski będzie bez jakichkolwiek dokumentów tożsamości.

Uzgodniono również zakres możliwie najpełniejszej dokumentacji wideo oraz fotograficznej. Polacy chcieli, aby filmowana była nie tylko wymiana, ale również, w miarę możliwości, przebieg rozmów identyfikacyjnych. Specjaliści Wywiadu NRD stwierdzili jednak, że przy procesie identyfikacji zwykle nie pada wiele pytań. Na ogół chodzi tylko o nazwisko, dokumenty oraz podstawowe pytanie: gdzie dana osoba pragnie pozostać.

Wymiana będzie filmowana w całości kamerą wideo, natomiast powitanie w obiekcie oddalonym o osiemset metrów od mostu będzie rejestrowane za pomocą aparatów fotograficznych. Ponieważ stronę polską również interesowało posiadanie dokumentacji z willi w Karow, pracownicy Wywiadu NRD obiecali oddelegować tam swojego pracownika na tak długo, jak będzie potrzebny.

Już w trakcie tego spotkania pułkownik Kopprasch mógł potwierdzić, że w przyjęciu organizowanym w Berlinie w dniu 12 czerwca przez kierownictwo polskiego wywiadu, weźmie udział całe kierownictwo Wywiadu NRD, z wyjątkiem generała Geyera, który w tym czasie będzie przebywał na oficjalnych rozmowach w Moskwie. Mecenas Vogel także nie będzie mógł być obecny, bo również w tym czasie będzie poza krajem. Ostatecznie ustalono, że zaproszenia otrzymają: generał Markus Wolf, generał Horst Jaenicke, generał Willi Damm oraz pułkownik Eberhard Kopprasch i pułkownik Fritz Kobbelt.

Na końcu Polacy otrzymali dokładne potwierdzenie, kto podlega wymianie, w szczególności chodziło o wyjaśnienie punktu umowy dotyczącego rodzin agentów.

Otóż punkt ósmy porozumienia o wymianie brzmiał:

„Małżonki, dzieci niepełnoletnie, dzieci pełnoletnie, które są razem z rodzicami, oraz inni krewni (współmałżonkowie dzieci) tych 25 osób objętych porozumieniem. Wolno im, jeśli zechcą, wyjechać do Berlina Zachodniego w terminie do 20 lipca 1985 roku”.

Na tym uzgodnienia zakończono.

Liczyłem dni i godziny. Każdy telefon, każde wezwanie do naczelnika więzienia, mogło być *tym* wezwaniem. Nie mogłem się na niczym skupić, nie mogłem spać ani jeść. Żyłem obok normalnego nurtu więziennego życia. Jego rutynowy bieg, do którego nigdy nie przywykłem, teraz stał mi się zupełnie obcy. Myślałem tylko o tym, że niedługo będę wolny, że będę chodził po ulicach Warszawy. 6 czerwca facet, który zastępował nieobecnego Winslowa, zawołał mnie do swojego gabinetu. Pomyślałem, że to już. Że to ten dzień. Ale nie. To stacja telewizyjna ABC chciała, bym udzielił jej wywiadu. Odmówiłem. Skoro wymiana jest utrzymywana w tajemnicy, to skąd wie o niej jakaś telewizja? Tylko od FBI. Więc cel jest

jasny. I równie jasno powiedziałem, że nie chcę. Jednocześnie poinformowałem o tym fakcie polską ambasadę w Waszyngtonie. Na drugi dzień przyszedł do kantyny niejaki Scibana, który tego dnia zastępował Winslowa. Było wcześnie, po 9 rano. Powiedział, że idziemy do zastępcy szefa więzienia, Patricka Caseya. Dixon, mój szef i strażnik jednocześnie, zapytał czujnie:

— Na jak długo?

— No, trochę to może potrwać — podrapał się w głowę Scibana.

Idziemy. Po drodze Scibana mówi:

— Popularny się zrobiłeś, telewizja do ciebie przyjeżdża.

Kiedy weszliśmy do biura Caseya, nie czekało na mnie FBI. To było pierwsze miłe rozczarowanie.

Ale były i kolejne: zastępca naczelnika przywitał mnie uściskiem dłoni i, zamiast wymienić mój numer, odezwał się do mnie po nazwisku.

— Proszę sobie usiąść, panie Zacharski — wskazał sofę naprzeciw swojego biurka — domyśla się pan, po co pana wezwałem?

— Przypuszczam, że ma pan dla mnie dobre wiadomości. Chętnie posłucham.

— To teleks, który otrzymałem dzisiaj z Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie. Prezydent Stanów Zjednoczonych udzielił panu aktu ułaskawienia i w związku z tym jutro o godzinie 13 zostanie pan zabrany z naszego zakładu i przetransportowany do Nowego Jorku. Teraz pójdzie pan ze Scibaną do R & D i wybierze pan sobie cywilne ubranie na drogę. Jakieś pytania?

— Mam trochę pieniędzy na koncie więziennym, czy mogę je ze sobą zabrać?

— Nie wiem. Zaraz poproszę szefową biura, ona się zna na takich sprawach. Coś jeszcze?

— Co z rzeczy osobistych wolno mi zabrać ze sobą, a co mam wysłać paczką do ambasady?

— To też powie szefowa biura. Ja się takimi drobiazgami nie zajmuję. W kwestiach regulaminowych: nie wolno panu od tej chwili używać telefonu. Proszę dać mi słowo, że pan tego nie zrobi, to nie będę musiał pana zamykać w dyscyplinarce.

— Mogę dać słowo. Tyle że do tej pory jestem w stałym kontakcie z ambasadą i konsulatem. Jeśli przez jakiś czas nie będę dzwonił, zaczną mnie szukać.

— Z tym sobie poradzę, proszę się nie martwić.

Casey i Scibana pokłócili się potem o to, kto ma zająć się moimi paczkami. Scibana kategorycznie odmówił przełożonemu, bo, jak

stwierdził, on tu nie jest od noszenia pudeł. Doszło do ostrej wymiany zdań i w pewnym momencie poprosili mnie, abym poczekał na korytarzu. Po dalszej gorącej wymianie opinii zastępca naczelnika ustąpił wobec urażonej ambicji podwładnego. Wezwali *counselora*. Z nim udałem się po kartony i dostałem trzydzieści minut na spakowanie swoich rzeczy. Potem wróciłem do biura i sam wypełniałem formularze wysyłkowe, opłaciłem przesyłkę i dopełniłem wszystkich biurokratycznych wymogów.

Poszliśmy do składu z ubraniami cywilnymi. Wybrałem dżinsy, koszulę w kratę i buty. Ale po chwili zawołali mnie ponownie. Waszyngton nie zgodził się na dżinsy. Mam wybrać garnitur. Był problem, bo w magazynie kiepsko było z garniturami. Dali mi brązową marynarkę, białą koszulę i jasne spodnie, niestety, o wiele za krótkie. Sto procent poliestru. Do tego buty za duże o dwa numery. Ale nic mnie nie ruszało. Perspektywa powrotu była tak fantastyczna, iż nie myślałem o tym, że w tych spodniach „rybaczkach" oraz wielkich butach będę wyglądał jak klaun. Po zakończeniu kazali mi wrócić do pracy na dwie godziny, a potem do celi, gdzie mam czekać do godziny 13 następnego dnia. I oczywiście z nikim pod żadnym pozorem nie rozmawiać.

W nocy nie mogłem spać. Byłem podekscytowany.

W sobotę 8 czerwca, około godziny 10 wezwano mnie do więziennego szpitala. W jednym z pokoi oczekiwał mnie *lieutenant*, facet odpowiedzialny za bezpieczeństwo w więzieniu. Powiedział, że to on będzie zwalniał mnie z więzienia i chciał się upewnić, czy będę punktualnie o 13 przed bramą przy biurze naczelnika.

Zapewniłem go, że będę. Śmiać mi się chciało. Przecież byłem w stanie takiej euforii, takiego uniesienia, że mógłbym tam stać już od teraz, od wczoraj, od kiedy tylko zechcą.

On, jakby nieświadomy biegu moich myśli, pyta mnie, czy się spodziewałem.

— Tak.

— A ja, widzisz, zupełnie nie! Wczoraj wieczorem zostałem zaprzysiężony, bo to twoje ułaskawienie to tajna misja! Jak mi to powiedzieli, to normalnie całą noc nie spałem! Cholera... — jest zatroskany, czuje ciężar odpowiedzialności. Ja też nie spałem, ze szczęścia.

O 13 stałem przed drzwiami Beale, budynku, w którym mieszkałem przez trzy i pół roku. Strażnik wiedział, co ma robić, bo bez słowa otworzył drzwi i mnie wypuścił. Ja również bez słowa wyszedłem. Po chwili byłem w wyznaczonym miejscu, pod bramą. W ręku miałem swoje rzeczy osobiste spakowane do dwóch poszewek po poduszkach. Zabrali mnie do R & D, gdzie przebrałem się w cywilne ciuchy. Zrobili listę rzeczy, które

miałem w poszewkach. Podpisałem oświadczenie, że jestem zdrowy i zdolny do podróży. I pokwitowanie odbioru pieniędzy. Gotówki mi nie wręczyli, ale oświadczyli, że przekażą ją Marshals, którzy będą mnie eskortować do Nowego Jorku. Przy procedurze zwalniania obecni byli: *lieutenant*, szefowa Records Offce oraz dyżurny oficer — tego dnia dyżur pełniła kobieta, lekarz psycholog.

O godzinie 13.30 przybyło dwóch Marshals, jeden z nich pochodził z biura w Los Angeles, a drugi z Miami na Florydzie. Wylegitymowali się szefowej Records Offce, podpisali „odbiór towaru" i przygotowali „towar", czyli mnie, do transportu: przez szlufki spodni przeciągnęli mi łańcuch, a przez jego ogniwa przełożyli kajdanki, skuwając mi ręce z przodu, co było o wiele wygodniejsze niż wykręcanie ich na plecy. Przed samym wyjściem z więzienia musiałem podejść jeszcze do okienka Control Room, gdzie mnie zidentyfikowano. W poczekalni oficerowie Marshals odebrali z depozytu swoje pistolety. Elektryczna blokada drzwi więzienia została otwarta i po trzech latach i czterech miesiącach wyszedłem poza więzienie w Memphis. Wprawdzie wciąż jeszcze zakuty, ale już w drodze do wolności.

Samochodem pojechaliśmy na lotnisko w Memphis. Nim wysiedliśmy, powiedzieli, że na czas pobytu na lotnisku i przelotu do Nowego Jorku zdejmą mi kajdanki. Proszą jednak, abym nie wykonywał gwałtownych ruchów, bo będą musieli zareagować radykalnie. Dałem im oficerskie słowo honoru. Gdy na lotnisku czekaliśmy na samolot, zaczęliśmy rozmawiać. Jeden z nich, ten, który pochodził z Los Angeles, powiedział, że doskonale mnie pamięta, bo był w składzie ekipy, która często transportowała mnie do gmachu sądu w czasie procesu. Nie wiedział, po co dzisiaj mnie wiozą. Dostał polecenie odebrania mnie z Memphis i dostarczenia na lotnisko w Nowym Jorku. Tam na niedzielę zaplanowano spotkanie, na którym dowiedzą się, jakie są dalsze plany i co będzie się ze mną działo. Przy wejściu na pokład samolotu pokazali załodze pozwolenie na posiadanie broni na pokładzie. Zajęliśmy ostatni rząd. Posadzili mnie przy oknie, by blokować mi ewentualną drogę do wyjścia. Wyjaśnili, że takie są przepisy transportu więźniów. Jedzenie w samolocie smakowało mi jak nigdy przedtem, delektowałem się każdym kęsem. Przypomniałem sobie, jak trzy lata i cztery miesiące temu leciałem z Oklahomy do Memphis. Już wtedy, po półrocznym pobycie na więziennym wikcie, zachwycałem się jedzeniem na pokładzie. Teraz ważę trzydzieści siedem kilogramów mniej. To chyba najlepiej oddaje jakość kuchni w Memphis. Na lotnisku w Nowym Jorku oczekiwał na nas mężczyzna w kraciastej

koszuli i dżinsach. Zaprowadził mnie do samochodu zaparkowanego przed budynkiem. Po wejściu do środka ponownie zakuli mnie w łańcuchy i kajdanki. Dojechaliśmy do jakiejś bocznej uliczki. Panowała w niej głucha cisza. Zatrzymali samochód i agent z Nowego Jorku wysiadł. Poprosił jednego z Marshals, aby wsiadł za kierownicę i, gdy otworzą się wrota, wjechał do garażu. Wewnątrz stały trzy czarne limuzyny marki Cadillac Fleetwood. Gdy tylko Marshal zatrzymał auto, potężne wrota zatrzasnęły się za nami i siedzieliśmy w ciemności i ciszy. Trwało to dłuższą chwilę, nim nowojorczyk wrócił i oznajmił, iż wszystko gotowe. Wysiedliśmy i poprowadzili mnie długimi korytarzami, na których nie spotkaliśmy żywej duszy. Nikogo. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, nie zadawałem pytań. Winda zawiozła nas na trzecie piętro. Po przejściu podwójnych drzwi znaleźliśmy się w R & D. Zatem jesteśmy w więzieniu. Przekazali mnie oficerowi dyżurnemu. Marshal podszedł do mnie i powiedział, że przechowa moje pieniądze, bez deponowania ich tutaj. Potwierdziłem, że się zgadzam, nie potrzebuję ich. Rozumiem, że to tylko przystanek w drodze. Gdy zostałem sam z oficerem dyżurnym, zaczęła się normalna, choć długotrwała procedura przyjęcia mnie na stan. Zabrano mi bagaż podręczny i spakowano w karton. Przyjmujący mnie oficer powiedział, iż jestem w Metropolitan Correctional Center, ale nie zabawię tu długo.

— Może jutro, a najdalej w poniedziałek ruszysz dalej! Jesteś *emergency transfer*[33]!

Nie odezwałem się, ale tak właśnie wyobrażałem sobie sens swego pobytu tutaj.

> W poniedziałek, 10 czerwca 1885 roku, pracownik ambasady polskiej, odpowiedzialny za utrzymywanie kontaktu z Marianem Zacharskim, zatelefonował jak zwykle do więzienia w Memphis. Tam uzyskał informację, iż Zacharski został zabrany z więzienia w dniu 8 czerwca o godzinie 13.30 na podstawie dokumentacji, która nadeszła z Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie. Jedyna informacja, jakiej udzielono pracownikowi polskiej ambasady, odnośnie miejsca, w którym obecnie znajduje się Zacharski, brzmiała, iż pierwszym etapem podróży miał być Nowy Jork.
>
> W ślad za tą wiadomością z ambasady wyszedł szyfrogram skierowany do Centrali Wywiadu w Warszawie, który w dość alarmującym tonie przekazywał uzyskane w więzieniu wiadomości wraz z tą, iż Zacharski przed opuszczeniem więzienia nie skontaktował się z ambasadą i nie poinformował o zmianie pobytu.

Przebrałem się w więzienny kombinezon. Dostałem proszek do mycia zębów i szmatę, która miała zastąpić ręcznik. Zamknęli mnie w celi odosobnienia dyscyplinarnego. Nie pozwolili mi na zabranie niczego z

moich rzeczy, ani kosmetyków, ani książek. Nic.

Widziałem już różne cele. Ta była w ścisłej czołówce najkoszmarniejszych. Wilgotna, ciemna i brudna. Do ściany przyspawana była prycza, na niej materac, bardzo cienki i okropnie brudny. Zgody na wzięcie prysznica nie otrzymałem.

Pancerne drzwi bez jakiegokolwiek okienka uniemożliwiały kontakt z resztą więzienia. Po euforii płynącej z przekroczenia bramy więzienia w Memphis i podróży nagle popadłem w apatię i zwątpienie. Po cholerę takie cyrki? Dlaczego znów zamykają mnie w takim miejscu? Źle to znoszę. Za dziewiętnaście dni miną pełne cztery lata od mojego aresztowania. Cztery lata życia w więzieniu. Nie przyzwyczaiłem się.

Po jakimś czasie usłyszałem hałasy na korytarzu. Ktoś przez drzwi pytał mnie, czy czegoś potrzebuję. Poprosiłem o coś do czytania, cokolwiek. Głos zza drzwi powiedział, że ma trochę gazet. Potwierdziłem. Wsuwał po dwie strony, szczelina pod drzwiami była wąska. Gazety okazały się stare. Większość z nich czytałem w Memphis. Trudno. Przeczytałem je w całości po kilka razy. Musiałem czymś zabić czas i nadmierną nerwowość. Nikt do mnie nie wchodził. Nie przynieśli jedzenia. Zgaszeniem światła w celi zakomunikowali, iż jest noc. Zapaleniem, że nastała niedziela. Czas między światłem a światłem dłużył się potwornie. Jego niemiłosiernie wolne przemijanie odczuwałem jak fizyczny ból. Rano przynieśli śniadanie. W Memphis żarcie było kiepskie. Ale to, mimo iż od posiłku w samolocie nic nie jadłem, odstręczało mnie. Nie byłem w stanie ruszyć śmierdzącej papki. Zjadłem pomarańczę. Piłem wodę z kranu. Czekałem. Czytałem po raz kolejny stare gazety. Rozpaczliwie starałem się unikać myśli, iż coś się zmieniło. Przepędzałem powstające w mojej głowie wizje, że wymiana nie doszła do skutku. Odtwarzałem każde słowo, które padło wcześniej na ten temat. Myślałem o teleksie, który przyszedł do Memphis i stał się podstawą do mojego wyjazdu stamtąd. Skoro przyszło pismo, decyzja o ułaskawieniu, to przecież jej nie cofną. Ale wyobraźnia podsuwała mi wszystkie możliwe rozwiązania, a wśród nich i to, że ja treści tego teleksu nie widziałem. Zastępca naczelnika pomachał nim z daleka. A jeśli to wszystko jedna wielka mistyfikacja, na końcu której czeka na mnie FBI? Agenci zamkną mnie w miejscu takim jak to, tylko gdzieś poza więzieniem, bez świadków? I albo podpiszę zgodę na współpracę, albo mnie zabiją, a potem upozorują zwykły wypadek w więzieniu? Porażenie prądem przy pracy, zachłyśnięcie się zupą w kantynie, atak serca? Cokolwiek, mają przecież możliwości. Albo na przykład wypadek samochodu, którym, zgodnie z umową, wieźli mnie na punkt wymiany? Właściwie poza wizytą mecenasa Vogela nie miałem żadnych namacalnych

dowodów, że ta wymiana jest przygotowywana. Dlaczego nie pozwolili mi przed opuszczeniem Memphis zadzwonić do ambasady? Przecież w kwestii zachowania wymiany w tajemnicy polska dyplomacja uczestniczy tak samo jak strona amerykańska?

Zgasło światło w celi i zrozumiałem, że jest noc z niedzieli na poniedziałek. Zasnąłem, budząc się co jakiś czas nerwowo i sprawdzając, czy coś się wokół mnie nie dzieje. Zamknięty w tym śmierdzącym i wilgotnym bunkrze spodziewałem się wszystkiego.

Krótko po tym jak zapaliło się światło, przyszli po mnie. Więc jest poniedziałek rano.

Zjechaliśmy do R & D. W pomieszczeniach panował zgiełk, kręciło się mnóstwo ludzi, chyba agentów. Większość miała słuchawki w uszach i bezustannie gadali.

Szefem R & D w tym więzieniu okazał się facet, który taką samą funkcję pełnił cztery lata temu w Terminal Island. Był więc pierwszym, który przyjmował mnie na stan Federalnego Biura Więziennictwa i teraz, jak się okazuje, jest tym, który mnie z tego stanu wykreśla. Uśmiecha się do mnie, zwraca po imieniu, jakby ten zaskakujący fakt spotkania tworzył między nami nić porozumienia. Jego pogoda ducha pozostaje w kontraście z nastrojem pozostałych obecnych. Uzbrojeni po zęby. Smutni. Zacięci. Wściekli. Do wyboru.

Przebieram się w mój poliestrowy garniturek i prowadzą mnie do celi, w której „mam czekać”.

Wewnątrz jest już dwóch mężczyzn i starsza kobieta. Wcześniej szef R & D szepnął mi, że za chwilę dołączę do trójki więźniów, którzy będą wymieniani razem ze mną. Tę samą informację wyłowiłem ze strzępów rozmów kręcących się wszędzie agentów.

Przywitałem się z nimi po wejściu, ale nikt nie odpowiedział na moje pozdrowienie. Nawet nie podnieśli głów. Siedzieli apatyczni, nie reagując na nic. Próbowałem zacząć rozmowę, zapytać ich, kim są, ale nie odzywali się, więc poniechałem starań. Nie dawało mi to jednak spokoju. Coś nas łączy, podlegamy tej samej, dla mnie wyczekiwanej od czterech lat wymianie. Może nie mówią po angielsku? Ale, jeśli są wymieniani, to znaczy, że są agentami, wywiadowcami złapanymi na terenie USA, więc muszą mówić po angielsku. Tok moich rozważań przerwało przybycie trzech ochroniarzy. Jednym z nich był ten przyzwoity Marshal, który eskortował mnie z Memphis do Nowego Jorku, drugim gość, który odebrał nas wówczas na lotnisku i przywiózł do więzienia. Trzeciego nie znałem. On właśnie, po wejściu do celi, zapytał bez żadnych wstępów:

— Który to Zacharski?

— Ja.

Stanął przede mną i dokładnie mi się przyjrzał. Dwaj pozostali, którzy widzieli mnie przecież wcześniej, dołączyli do niego. Przypomniało mi się, iż w czasie podróży samolotem Marshals mówili, iż nie wiedzą, jakie są dalsze plany związane z moją osobą, że zostaną o wszystkim poinformowani w Nowym Jorku. Więc pewnie dopiero niedawno się dowiedzieli, kim jestem, jakim groźnym przestępcą. Czy też, cytując prokuratora Brewera: zbrodniarzem. Ten, którego widziałem pierwszy raz, powiedział, nie spuszczając ze mnie wzroku:

— W czasie całej podróży nie wolno ci z nikim rozmawiać. Pod żadnym pozorem. Odzywać możesz się tylko do nas.

Smukły, wysoki facet o zaciętym wyrazie twarzy i ciemnych, przenikliwych oczach. Nazywał się Howard Safir. Muszę go zapamiętać. Jasno dał mi do zrozumienia, gdzie jest moje miejsce.

Żadnemu z pozostałych więźniów nie wydano takiego polecenia. Zaczęło mi się wydawać, że cały ten dziejący się wokół nas cyrk ma związek głównie ze mną.

Ten, którego spotkałem na lotnisku, powiedział do nas, że mamy ostatnią okazję, by skorzystać z toalety. Dodał, że następna taka możliwość będzie za kilkanaście godzin. Rozumiem, że taktyką na nasze ostatnie kilkanaście godzin pod ich władzą będzie upokarzanie więźniów supermocarstwa. Zapięli mi kajdany i wraz z pozostałą trójką więźniów zjechaliśmy na dół, do garażu.

Wsadzono mnie na tylne siedzenie czarnego cadillaca. Miejsce obok zajęła starsza pani, jak się zorientowałem, nazywała się Michelson. Do drugiego samochodu zapakowali pozostałą dwójkę więźniów. Obok kierowcy siedział Howard Safir. Po wyjeździe z garażu pojazdy uformowały kolumnę. Na czele samochód policyjny, za nim samochód ochrony, potem pierwszy cadillac „więźniarka", dalej samochód ochrony, „więźniarka" i limuzyna ochroniarzy. Oficerowie z Marshals Service, którzy zajmowali miejsca na tylnych siedzeniach swoich pojazdów, klęczeli na nich i wpatrywali się w podążającą za nimi więźniarkę. Ci z przodu obserwowali trasę i samochód przed sobą. Mknęliśmy przez Nowy Jork jak kawalkada prezydencka. Ulice były blokowane, by dać nam wolny przejazd, przejeżdżaliśmy na czerwonym świetle. Dla mieszkańców obserwujących kawalkadę był to pewnie kolejny przejazd samochodów dyplomatycznych do ONZ.

Po około półtorej godziny jazdy znaleźliśmy się w bazie amerykańskich sił powietrznych McGuire Air Force Base w stanie New Jersey. Minęliśmy

główną bramę wjazdową, kierując się do bocznej. Dziwne, bo wyglądało to tak, jakby rozmontowano część ogrodzenia, aby mogły przez nie przejechać samochody. Kolumna zatrzymała się przed małym budynkiem. Nie było widać żywej duszy. Wprowadzono nas do środka, wewnątrz również było całkowicie pusto. Pomieszczenie, do którego weszliśmy, miało okna zasłonięte wielokrotną warstwą firanek, która uniemożliwiała jakąkolwiek próbę dostrzeżenia, co jest na zewnątrz, i odbierała widoczność także w drugą stronę. Mimo to kazali nam usiąść plecami do okna. Czekamy. I nic. Irytujące jest to, iż nie udzielają nam jakiejkolwiek informacji. Przecież oczywiste jest, że całe to przedstawienie służy naszej wymianie. A jednocześnie traktują nas instrumentalnie. Jak towar, który trzeba dostarczyć na miejsce. Zresztą nie wiem, może pozostali więźniowie wiedzą więcej, może się tak nie czują. Ale ja tak. Po jakichś dwudziestu pięciu minutach ochrona dostaje wiadomość, że wszystko gotowe. Wyprowadzają nas z powrotem, ładują do samochodów i w takim samym porządku ruszamy przed siebie. Pędzimy po pasach dojazdowych lotniska. Zatrzymujemy się na końcu pasa startowego, gdzie stoi potężny samolot transportowy Lockheed C-5 Galaxy. Włączone silniki ryczą niemiłosiernie. Za kabiną pilota są otwarte drzwi i po bardzo krótkim trapie, właściwie drabince, wchodzimy na pokład.

Jest olbrzymi. W środku jakieś osiem rzędów foteli, po sześć w każdym rzędzie, rozdzielonych pośrodku przejściem. Zamontowane są zaraz za kabiną pilota, tyłem do kierunku lotu. Reszta samolotu wypełniona jest paletami z zaopatrzeniem wojskowym. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, że to sprzęt, który przy okazji ma dolecieć do jakiejś bazy amerykańskiej w RFN.

Wewnątrz jest już kilku cywilów. Moją uwagę przykuwa wysoki, masywny mężczyzna w wielkich okularach[34]. Wpatruje się we mnie. Ale nie z zaciętością Howarda Safira. Raczej z uwagą, czujnością, zainteresowaniem. Szuka kontaktu wzrokowego.

Przed startem rozdano nam zatyczki do uszu. Oficjalnie dlatego, że samoloty transportowe mają wewnątrz wysoki poziom hałasu.

My, więźniowie, siedzieliśmy w ostatnich dwóch rzędach, czyli najbliżej ładunku. Strażnik zajmował skrajny fotel, więzień siedział pod ścianą. Transportowiec nie miał okien.

Zajmowałem miejsce w ostatnim rzędzie po lewej stronie, patrząc w kierunku kabiny pilota.

W moim polu widzenia były paczki i palety ze wszelkimi możliwymi dobrami, niezbędnymi żołnierzom amerykańskim na służbie z dala od domu. Co mniej więcej dwie godziny zmieniał się strażnik. Oczywiście,

byliśmy skuci i łańcuchami, i kajdanami.

Przypuszczam, że posadzili nas tak, żebyśmy nie widzieli komfortu lotu naszych opiekunów. Ale tego mogę się jedynie domyślać. Sądząc po upływie czasu, lot odbywał się nocą. Przysypiałem. Chciałem spać, bo gdy czuwałem, nie mogłem uwolnić się od myśli, że coś może się jeszcze wydarzyć. Nie ufałem Amerykanom. Mijają cztery lata bez dwóch tygodni od mojego spotkania z ich wymiarem sprawiedliwości i dali mi dość dowodów na to, iż jedynym prawem, jakie uznają, jest prawo silniejszego. Nie miałem żadnych powodów, by wierzyć im, że nie zrobią czegoś przeciwko mnie choćby na samym końcu. Ich ciągłe próby zwerbowania mnie w więzieniu dały mi pewność, że niezwykle bolesna jest dla nich niewiedza o rzeczywistym rozmiarze klęski, jaką była dla nich moja owocna praca w USA. Bill Bell im wszystkiego nie powiedział, nie podał pełnego rozmiaru strat, które ponieśli. Ale muszą mieć przeczucie ich wielkości. Dlatego ich ostatnia propozycja była tak hojna. Wiedzieli, że nawet jeśli zainwestują kilka milionów dolarów w „moją pamięć", to im się to opłaci. Z tego powodu jestem pełen obaw. Niczego tak nie pragnę, jak być po drugiej stronie mostu. Ale wciąż jesteśmy w powietrzu i te ostatnie godziny pełne są niepokoju.

Gdy wybudzałem się z płytkiego snu, słuchałem rozmów strażników. Nie włożyłem zatyczek do uszu. Nic nadzwyczajnego. Zwykła rozmowa zwykłych ludzi w środku nocy. Była wśród nich kobieta, której zadaniem było pilnowanie pani Michelson. Z uporem wypytywała kolegów, jakim samolotem lecimy, jakie są jego parametry, możliwości, osiągi. W pewnej chwili przyznała rozbrajająco, że chce to wiedzieć, by po powrocie z „tajnej misji" móc zaimponować znajomym. No tak, wymiana szpiegów na moście w Berlinie Wschodnim to opowieść, którą każdy z nich będzie przekazywał dzieciom i wnukom.

Nim wylądowaliśmy, samolot po wytraceniu prędkości na pasie skręcił w lewo.

Gdy stanąłem w drzwiach samolotu, pomimo panujących ciemności, natychmiast rozpoznałem lotnisko. Frankfurt nad Menem. Byłem tu wielokrotnie jako klient linii lotniczych. Lecieliśmy około siedmiu godzin, ale tutaj jest czas wschodnioeuropejski, więc na zegarze 2.30 w nocy. Skoro skręciliśmy w lewo, to znak, że jesteśmy na lotnisku wojskowym, w bazie amerykańskiego lotnictwa. Po prawej stronie jest przecież port cywilny.

Na absolutnie zaciemnionej płycie lotniska stała kolumna samochodów osobowych z włączonymi światłami. W ich blasku, dość słabym zresztą, wysiedliśmy z samolotu i wsiedliśmy pod opieką strażników do

samochodów. Po kilkunastominutowej jeździe zatrzymaliśmy się i kazali nam wysiąść.

Weszliśmy do baraków. Patrząc na pomieszczenia, domyślam się, że to rekreacyjna część bazy US Air Force. Wprowadzają nas do sal służących do gry w *rocket ball*. Każdy więzień dostaje osobną salkę. Moja jest jasno oświetlona, wyposażona tylko w ławeczkę do dźwigania ciężarów, bez oparcia. Mam spuchnięte nogi i ręce po długiej podróży w łańcuchach i kajdanach, ale nie ma mowy o ich zdjęciu czy poluzowaniu. Znów czekam. Nie wiadomo jak długo. Nie wiadomo dokładnie na co. Zbuntowałem się. Żądam od strażnika zaprowadzenia mnie do toalety. Jest niechętny. Konsultuje się, czy może. W końcu ustępuje i prowadzi mnie. Po kilkunastu krokach rozumiem powód jego oporu. Droga do toalety wiedzie przez dużą salę, rodzaj świetlicy, w której ucztują nasi opiekunowie. Sterty kanapek, napoje, ręczniki zimne i gorące. Przechodząc, natykam się na tego olbrzyma w wielkich okularach, który pilnie zerkał na mnie w czasie lotu. Nasze oczy spotykają się w chwili, gdy odgryza spory kęs wielkiej kanapki nazywanej w Stanach *submarine*. Nie mógł jej teraz przełknąć. Ale był jedyną osobą, na której mój przemarsz przez świetlicę wywarł jakiekolwiek wrażenie. W toalecie musiałem sobie poradzić ze skutymi rękoma. Podczas powrotnego przemarszu przez świetlicę, zapytano mnie, czy chcę się czegoś napić. Poprosiłem o kawę. Domyślam się, że tylko inicjatywie tego wielkiego gościa zawdzięczam tę uprzejmość. Kawę przynoszą mi do celi. O jedzeniu nie ma mowy. W więzieniu w Nowym Jorku nie jadłem, bo nie byłem w stanie przełknąć śmierdzącego posiłku. Teraz, patrząc na tę obfitość najróżniejszych kanapek, żołądek zaczął upominać się o swoje prawa. Ostatni normalny posiłek zjadłem w samolocie z Memphis. W sobotę. Dzisiaj jest poniedziałek, a raczej wtorek rano. Ale nic to. Jestem we Frankfurcie. Jestem w Europie. To już ostatnia prosta w drodze do domu.

Po mniej więcej trzech godzinach wyprowadzają nas. Na dworze jest już jasno. Jedziemy tymi samymi samochodami. Wracamy na lotnisko. Tym razem czeka na nas mniejszy samolot. Też transportowiec, ale C-130 Hercules. Przystosowano go chyba do zrzutów skoczków spadochronowych, bo siedzimy na miejscach zrobionych z przeplatanych taśm brezentowych.

Dołącza do nas nowa grupa strażników czy też opiekunów. Wszyscy mają wpięte w klapy marynarki niebieskie znaczki z dużą białą literą „X”. Każdy spośród „nowych” przychodzi do mnie i sprawdza, jak wyglądam.

Do samolotu wchodzimy po tylnej klapie, służącej normalnie do załadunku sprzętu zmechanizowanego. Całością dyryguje oficer, który na

pierwsze imię ma John. Niski, tęgawy, łysiejący. W ręku trzyma olbrzymi kołonotatnik. Na oko jakieś pięćset stron. Na okładce duży napis: „tajne”. Zagląda do niego co chwilę. Według zapisów z niego rozsadza całą grupę w samolocie.

Mnie posadził tak, iż mogę przez jego ramię czytać „tajną” zawartość kołonotatnika. Czego tam nie ma! Są opisane wszystkie możliwe, rzeczywiste i wyimaginowane sytuacje, jakie mogą lub mogłyby się wydarzyć w trakcie wymiany. Pod każdą z nich instrukcja, jak należy się zachować. John robi notatki, sprawozdanie z każdej fazy przemieszczania się grupy. W trakcie lotu ochrona pod jego dyktando konsultuje każdy krok, który zrobimy po wyjściu z samolotu. Jak cudownie, że nie mam zatyczek w uszach! Dobrze się bawię, choć staram się nie pokazać po sobie, że cokolwiek do mnie dociera.

Zatem szyk, który był przygotowany dla nas do przejścia stu czy stu pięćdziesięciu metrów, na lotnisku Tempelhof, nazywał się „pudełkowym” (*box*). Składał się: z oficera prowadzącego, za którym podążał więzień, strażnika „zamykającego” z tyłu, i dwóch strażników po bokach więźnia, tworzących tak zwany brzuszek pudełka. Po bokach iść mieli dodatkowi ochroniarze.

Jest dobrze. Szykiem pudełkowym albo jakimkolwiek innym niech mnie doprowadzą na wschodnią część mostu. Tajny kołonotatnik z instrukcjami dawał poczucie spokoju, iż całe to przedstawienie naprawdę zmierza do wymiany.

W samolocie było cholernie zimno. Strażnicy, ochrona, obstawa, cała nasza amerykańska asysta przydzieliła sobie koce. Otulili się nimi i większość zasnęła.

Trzęsąc się z zimna w swoim poliestrowym garniturku, zastanawiałem się, czy instrukcja wymiany przewiduje taką sytuację jak zgodny sen obstawy? Zresztą o co się mieli martwić? Czworo skutych więźniów nie przejmie samolotu. Bez obaw.

Było tak zimno, że nie byłem w stanie zasnąć. Obserwowałem wysiłki jednego z członków załogi, chyba mechanika pokładowego, który usiłował zamontować rodzaj przepierzenia w rufowej części samolotu. Nie mógł sobie poradzić z przewieszeniem brezentowej plandeki. Próbował przyczepić ją sznurem do sufitu samolotu. W końcu mu się udało. Zadowolony z siebie wstawił za plandekę coś, co wyglądało jak nocnik. A w każdym razie nie wiem, czym innym mogłoby być. Gdy skończył, kazali mu ją zwijać. Bo właśnie podchodziliśmy do lądowania.

John ogłosił, że jest 6.30 rano 11 czerwca 1985 roku i przed nami podejście na pasy lotniska Tempelhof. Lotnisko jest w pełni

administrowane przez siły powietrzne Stanów Zjednoczonych. Przypomina mi się głupi żart, gdy kiedyś pytano, co znaczy skrót LOT: Landing on Tempelhof. Lotnisko słynęło z tego, iż było portem docelowym porywanych maszyn. Po spokojnym posadowieniu samolotu do akcji wkracza John z kołonotatnikiem. Zabrania załodze wykonywania jakichkolwiek czynności związanych z otwarciem włazu bez jego osobistej zgody. Następnie podchodzi do maleńkich okienek Herculesa i przez każde z nich sprawdza, czy na pewno jesteśmy tam, gdzie powinniśmy. Jest metodyczny. Musi upewnić się, czy jesteśmy w sektorze amerykańskim, bo kto wie, może jesteśmy już w Berlinie Wschodnim... Swoją drogą zastanawiam się, czy kołonotatnik przewiduje taką kuriozalną możliwość. W końcu najwyraźniej upewnił się, że wszystko jest w porządku. Zezwala na otwarcie klapy. Ale nikomu nie wolno opuścić samolotu. Sam wychodzi na płytę lotniska. Pewnie, jak miał to zapisane w instrukcji, sprawdza stan przygotowań na przyjęcie więźniów. Po kilku minutach wrócił. Oznajmił, iż zacznie się procedura doprowadzenia więźniów do Protocol Section (coś w rodzaju strefy VIP na Okęciu). Zbudowano dwa szyki „pudełkowe" i odprowadzono pierwszą dwójkę. Wrócili po mnie i panią Michelson. Teraz my. Wszystko się zgadza z instrukcją, są „brzuszki pudełka" wokół mnie. Od wyjścia na płytę lotniska jesteśmy filmowani. Kamerzystą amerykańskich sił powietrznych jest gruby Murzyn z kamerą wideo marki Sony. Towarzyszy mu fotograf, dla odmiany chudy i biały. Słyszę, jak strażnicy mówią między sobą, że to dokumentacja dla prezydenta Reagana. Myślę, że to wszystko, te przesadzone środki bezpieczeństwa bardziej służą strażnikom i tej właśnie prezydenckiej dokumentacji niż naszej ochronie. Kto by miał nas tutaj porywać? To absurdalne. W budynku, do którego nas wprowadzono, są przepierzenia przypominające te, które były kiedyś na Poczcie Głównej w Warszawie, takie niby budki telefoniczne. Każdy więzień dostaje osobną budkę. Przepierzenie skutecznie uniemożliwia kontakt z więźniem obok, my za to jesteśmy pod stałą obserwacją strażników. Moja kabina znajduje się naprzeciw biurka, przy którym urządzają swoje centrum dowodzenia. Mam świetny widok na wszystko, co robią, słyszę ich rozmowy.

Są nerwowi, podekscytowani i zaniepokojeni. W miarę jak ich obserwuję i słucham, moje rozbawienie kołonotatnikiem i szykami pudełkowymi zamienia się w przerażenie. Sprawdzają pistolety, a także *attaché cases*, które choć wyglądają jak teczki biznesmenów, zdaje się, że kryją uzi, słynne pistolety maszynowe, tyleż wspaniale, co śmiercionośne. Wygląda, jakby przygotowywali się na wymianę ognia, a nie więźniów! Mówią wyłącznie o tym, iż Wschodowi nie można ufać, że nie wiadomo,

co tam się może wydarzyć. Oglądają duże powiększenia zdjęć okolic mostu Glienicke i martwią się, że mają tylko trzy ujęcia ze wschodniej strony. Niepokoją ich krzaki po drugiej stronie. Chcą wiedzieć, co lub kto się w nich kryje. W pomieszczeniu telefon dzwoni bez przerwy. Oni szeptem między sobą mówią, że chcą, aby już było po wszystkim.

John od kołonotatnika, nazwany przeze mnie w myślach „Wszędobylskim", biega, wchodzi, wychodzi, wraca. Rozsadza go energia. Przy każdym podejściu do biurka „centrum dowodzenia" powtarza, że jest w stałym kontakcie ze Wschodem. Wchodzi, mówi:

— Będą jednym vanem!

Wychodzi. Wraca. Mówi:

— Nie, będą dwoma vanami!

Rozrysowuje miejsce akcji. Ktoś pyta:

— Jak długi jest ten most?

Ktoś odpowiada:

— Około stu pięćdziesięciu jardów!

„Wszędobylski John":

— Jak kule lecą, to długość mostu jest milowa!

We wszystkich możliwych odmianach powtarzają, iż „od czasu Nicholsona[35] nie wolno wierzyć Wschodowi" i zdają się sami siebie tą nieufnością podniecać. Atmosfera jest bliska paranoi.

Ze strony amerykańskiej w wymianie więźniów 11 czerwca 1985 roku na moście Glienicke w Berlinie udział biorą następujący oficjele:

— Richard BURT — wówczas asystent sekretarza stanu, ale już nominowany na stanowisko ambasadora USA w Bonn. Bardzo dba o swój wizerunek, a raczej o jego brak. Nie pozwala filmować swojej twarzy, instruuje, że jego nazwisko nie może trafić do środków masowego przekazu. Osiem miesięcy później, gdy na tym samym moście dojdzie do sfinalizowania wymiany Anatolija Szczarańskiego, przyjmie zupełnie inną postawę. Zaprosi dysydenta do ambasadorskiej limuzyny i dbać będzie o obecność fotoreporterów;

— Andre SURENA — asystent doradcy prawnego w Departamencie Stanu. Rozpoznawalny za sprawą charakterystycznej brody i nieodłącznej fajki;

— Thomas WESTON — amerykańska ambasada w Bonn;

— Edward MURPHY — doradca do spraw bezpieczeństwa publicznego, Misja USA w Berlinie; Pozbawiony zadęcia agentów specjalnych, zatroskany i zabiegany. W trakcie wymiany, gdy wydaje na moście polecenia, stale ktoś go poprawia. Nie obraża się;

— Thomas M.T. NILES — zastępca asystenta sekretarza stanu. Jeden z najbardziej zasłużonych ludzi w procesie finalizacji wymiany. Osobiście zaangażowany w jej powodzenie. Ściśle współpracował z mecenasem Vogelem;

— Mark LISSFELT — doradca polityczny Misji USA w Berlinie;

— Pułkownik SPIVEY — Amerykańskie Siły Powietrzne, dowódca Centralnego Lotniska Tempelhof;

— John KORNBLUM — dyrektor Biura Spraw Europy Centralnej w Departamencie Stanu, wkrótce potem szef Misji USA w Berlinie;

— John MARTIN — oddział kryminalny Departamentu Sprawiedliwości. Karierę zaczynał w FBI, w 1971 roku rozpoczął pracę w Departamencie Sprawiedliwości i w 1973 roku przejął elitarną sekcję bezpieczeństwa wewnętrznego. Już wówczas uważany za legendę Departamentu Sprawiedliwości. Do zakończenia swej kariery Martin pracując w cieniu, doprowadził do 76 oskarżeń za działalność wywiadowczą.

Około godziny 9.50 przyjechał do miejsca naszego przetrzymywania mecenas Vogel wraz z małżonką. Naprawdę ulżyło mi, gdy zobaczyłem, że ten szlachetny, zacny człowiek jest już tutaj.

Przywitali się z nami, a następnie po krótkich dyskusjach z Amerykanami rozpoczęły się pojedyncze rozmowy. Po Vogelu podszedł do mnie najpierw Burt, a za nim Martin.

Burt zapytał:

— A więc to ty jesteś ten Zacharski?

— Tak, to ja.

— Miło spotkać — uścisnął mi dłoń uwięzioną w kajdankach.

Za nim podszedł Martin, przedstawił się jako przedstawiciel prezydenta USA. Odwrócił się do mecenasa i powiedział, iż musi ze mną pomówić na osobności i dać mi do podpisania dokumenty. Przeszliśmy parę kroków do małego pomieszczenia za harmonijkowymi drzwiami. Przed nimi stanęło dwóch strażników. Podał mi niebieski papier do przeczytania. To był AKT ŁASKI. Jak się okazało, gdy go przeczytałem, był to warunkowy *akt łaski*. Jeśli więc kiedykolwiek moja noga postanie na terytorium Stanów Zjednoczonych, zostanę z powrotem wpakowany do więzienia. Było tam także uzupełnienie, właściwie warunek, że wszyscy, którzy mają wziąć udział w wymianie, pojawią się na miejscu i złożą oświadczenia. John Martin spytał, czy podpisuję. Zwróciłem się do mecenasa Vogela, jedynej tutaj osoby, do której miałem zaufanie. Bezgraniczne zaufanie. Potwierdził, iż powinienem podpisać. Miałem skute ręce, John Martin jakby dopiero teraz zwrócił na to uwagę. Zapytał więc, czy ma podpisać za mnie. Absurdalność tego widowiska dała znać o sobie nie po raz pierwszy. Zaprzeczyłem. I wykonując jakąś ekwilibrystyczną akrobację łańcuchem i kajdanami, sam podpisałem. Martin nie dał mi żadnej kopii. Nic, co by świadczyło, iż mam ten akt. Schował oryginał i tyle.

Nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem do Johna Martina:

— Niezależnie od warunków, jakie zapisaliście w tym akcie łaski, nie

zamierzam nigdy wracać do USA. To nie był dla mnie raj na ziemi, mogę być szczęśliwy w każdym innym miejscu.

Spojrzał na mnie zaskoczony. Amerykanie zawsze są zaskoczeni, gdy ktoś mówi, że USA nie są pępkiem świata.

Po wyjściu Martina przez chwilę rozmawiałem jeszcze w tym dziwnym pomieszczeniu z państwem Vogel. Powiedzieli, że jest już w Berlinie moja żona. Mecenas uspokoił mnie, że wszystkie formalności idą zgodnie z planem i że niedługo będę wolny. Przyjrzał mi się uważnie.

— Źle pan wygląda. Jest pan... zielony na twarzy... Czy coś się stało?

— Nie, panie mecenasie. Jestem wyczerpany. Od soboty nie jadłem, nie myłem się, niewiele spałem. Nie cackają się tutaj ze mną. Poza tym, ogarnia mnie przerażenie, że teraz, gdy jestem tak blisko, coś może się wydarzyć. Oni nie mówią o niczym innym, tylko o ewentualnej wymianie ognia na granicy. Boją się krzaków po drugiej stronie, złej widoczności, a najbardziej złych Europejczyków ze Wschodu. Jakby szykowali się na wojnę, a nie na wymianę ludzi.

— Proszę się nie przejmować. To tylko tak wygląda. Wszystko idzie zgodnie z planem. Chce pan jakieś lekarstwo?

— Nie, dziękuję. Przetrwam.

Odprowadzili mnie do mojego przepierzenia i zabrali na rozmowę Kostadinowa, potem Zehe, a na końcu panią Michelson.

Potem mecenas Vogel przy pomocy pani Helgi rozmawiał o czymś z Amerykanami i dotyczyło to chyba mojego samopoczucia, bo po chwili podszedł do mnie gość, typowy glina, i wręczając mi dwie tabletki na żołądek, mówi:

— Wielki mi agent wywiadu, co ma bóle brzucha!

— A tacy grubi gliniarze jak ty nie miewają niestrawności?

Nie wziąłem jego tabletek, odwrócił się speszony i poszedł.

Słyszę, jak mecenas Vogel rozmawia z Burtem, pyta, dlaczego jesteśmy wciąż skuci kajdanami. Mówi mu, że po tamtej stronie więźniowie są lepiej traktowani, nikt ich nie trzyma w łańcuchach. Dodaje, że ta czwórka (czyli my), naprawdę marzy o powrocie do domu, więc nie muszą się obawiać ani naszej ucieczki, ani tym bardziej próby porwania czy odbicia. Jesteśmy przecież w amerykańskiej bazie wojskowej. Burt spojrzał na adwokata z wyższością i odpowiedział wolno i wyraźnie:

— Panie Vogel, to nasza sprawa. Ameryka jest mocarstwem i robimy to, co chcemy.

Czas dłużył mi się niemiłosiernie, bo choć w centrum dowodzenia stale coś się działo, a „Wszędobylski John” biegał i „był w kontakcie ze Wschodem”, to jednak zmęczenie dawało mi się we znaki, kajdany wrzynały się w ręce i marzyłem, żeby to wszystko się już skończyło.

John rozdawał wszystkim uczestnikom akcji bilety lotnicze na powrót do USA. Każdy z nich dostał urlop, mieli wrócić do kraju w niedzielę. Wręczając im bilety, dodawał, iż to nagroda za „najniebezpieczniejszą operację w ich życiu”. Pokrzepiające. Jeśli dobrze usłyszałem, bilety były na linie Pan Am. Może będą wracali lotem obsługiwanym przez stewardesę Ritę Bell? O ile Rita jeszcze tam pracuje.

John zaordynował zamianę pomieszczenia za harmonijkowymi drzwiami na... kapliczkę. Powiedział, iż kto chce, może się tam w skupieniu pomodlić. Jakiś czas później zameldowali swą gotowość do akcji. Między sobą, szeptem, mówili, że chcą mieć to już za sobą i przeżyć. Oni naprawdę się bali, byli śmiertelnie poważni i przerażeni. Ja z kolei bałem się, że przy takim nastawieniu, przy nakręceniu się do nie wiadomo jak wysokiej temperatury, gotowi są strzelić bez wyraźnego powodu. Z nadmiernie nadwerężonych nerwów.

W końcu, po kolejnych instrukcjach z kołonotatnika, wyprowadzono nas z tej *Protocol Section* i umieszczono w samochodzie typu van. Kierowcą był młody, przestraszony, amerykański żołnierz. Kolumnę otwierał jeep armii amerykańskiej z ciężkim karabinem maszynowym, zamontowanym na stalowym stelażu przymocowanym do podłogi. Cała potężna kolumna ruszyła z lotniska, kierując się na ulice Berlina. Po pewnym czasie nastąpiło rozdzielenie, bo mecenas Vogel i grupa Amerykanów pojechała na identyfikację, a nas skierowano na parking przed polem golfowym armii amerykańskiej. Tak przynajmniej informował znak drogowy, który mijaliśmy. Kiedy dotarliśmy na parking, na miejscu stał już autokar oraz… karetka reanimacyjna. Widać spodziewali się wszystkiego i byli przygotowani na każdy możliwy rozwój wypadków.

> Po zakończeniu identyfikacji więźniów zgromadzonych po stronie zachodniej przyszedł czas na identyfikację dwudziestu pięciu agentów po stronie wschodniej. Na drugą stronę mostu udała się delegacja amerykańska, którą poprowadził będący i łącznikiem, i mężem zaufania obu stron, mecenas Wolfgang Vogel.
>
> Amerykanie rozmawiali kolejno z każdym z więźniów. Najważniejszy dla nich był Jerzy Pawłowski. Dołożyli wszelkich starań, aby przekonać go do przejścia na drugą stronę mostu. Obiecali mu odszkodowanie i dodatkową nagrodę pieniężną. Jednak Pawłowski zgodnie z obietnicą, jaką złożył władzom PRL, odmówił przejścia.
>
> Udało się natomiast przekonać Leszka Chrósta, który, choć podobnie jak Pawłowski, twierdził, iż nie przejdzie, to jednak pod presją

Amerykanów zdecydował się nie wracać do Polski. Wśród agentów przekazanych przez stronę niemiecką znalazł się również jeden, który nie chciał „amerykańskiej wolności”. Zatem spośród dwudziestu pięciu osób przeznaczonych do wymiany, dwoje postanowiło nie wyjeżdżać. Wybrali wolność i życie w dotychczasowym kraju. Amerykanie „dostaną” więc dwudziestu trzech ludzi.

Siedzieliśmy w zaparkowanych samochodach, czekając na sygnał radiowy o gotowości na punkcie wymiany. Radiostacja w samochodzie była włączona i na bieżąco śledziłem rozmowy naszych strażników z tymi, którzy jako forpoczta byli już na moście Glienicke. Trwało to około półtorej godziny. W pewnej chwili do tego młodego żołnierza, kierowcy vana, podszedł pułkownik, który jechał z nami na punkt wymiany. Klepnął go w ramię i powiedział:

— Bądź bardzo ostrożny, uważaj na siebie! Ale jeśli coś się stanie, będziemy pamiętać o tobie i ważnej roli, jaką odegrałeś w operacji. Zaopiekujemy się twoją rodziną!

Żołnierz po tej pokrzepiającej przemowie zrobił się blady jak ściana.

Około 12.45 przez radiostację padł sygnał do wyjazdu. Ruszyliśmy. Bacznie obserwowałem, co się dzieje. Udzielała mi się nerwowość Amerykanów, ale i niecierpliwie wyglądałem wolności. Kilkaset metrów przed mostem Glienicke stała rogatka, blokując przejazd wszystkim pojazdom, które nie posiadały autoryzacji. Policjanci z Berlina Zachodniego z karabinami maszynowymi. Dalej okazało się, że cały most jest otoczony policją z taką samą bronią. Pod mostem cumował okręt, raczej łódź patrolowa. Niebieskie burty i biały pokład. Na burcie wielka cyfra „30”. Na pokładzie uzbrojona załoga. Most był w remoncie. Pośrodku płot z blachy falistej oddzielał pracujących po obu stronach. Robotników już nie było, jak posłyszałem, kazali im przerwać pracę trzy godziny temu i opuścić rejon mostu. Pogoda była piękna. Słonecznie, ciepło.

Powitanie przez delegację Departamentu I MSW, na czele delegacji pułkownik Konrad Biczyk i pułkownik Zbigniew Twerd, zastępcy szefa Wywiadu.

Zaraz po powitaniu, stół z poczęstunkiem, pierwsze rozmowy. Jestem zmęczony i szczęśliwy.

Powitanie przez generała Horsta Jaenicke, zastępcę szefa Wywiadu NRD. Jesteśmy w willi w Karow, po raz pierwszy od 72 godzin jestem umyty i uczesany.

Moje pierwsze spotkanie z legendą wywiadów, szefem Wywiadu NRD, generałem Markusem Wolfem.

Po wymianie, z generałem Markusem Wolfem.

Lunch na moją cześć wydany przez generała Markusa Wolfa. Obecni są wszyscy szefowie wydziałów i zastępcy szefa Wywiadu: od prawej generał Horst Jaenicke, Markus Wolf, ja, tłumacz, generał Heinz Geyer.

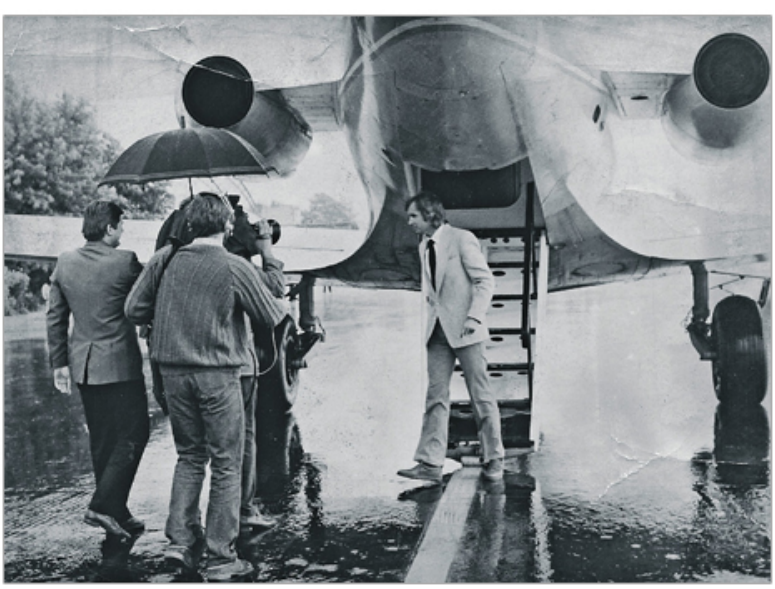

13 czerwca 1985 roku, godzina 13 — wychodzę z samolotu po wylądowaniu na lotnisku w Warszawie.

Składam raport szefowi Wywiadu, generałowi Zdzisławowi Sarewiczowi.

Pierwszy uścisk dłoni z generałem Sarewiczem.

Powitanie z mamą i córeczkami.

Przed wejściem do Muzeum w Peenemünde na wyspie Uznam (słynny w czasie II wojny światowej ośrodek badań nad bronią typu V-1, V-2 prowadzonych przez von Brauna).

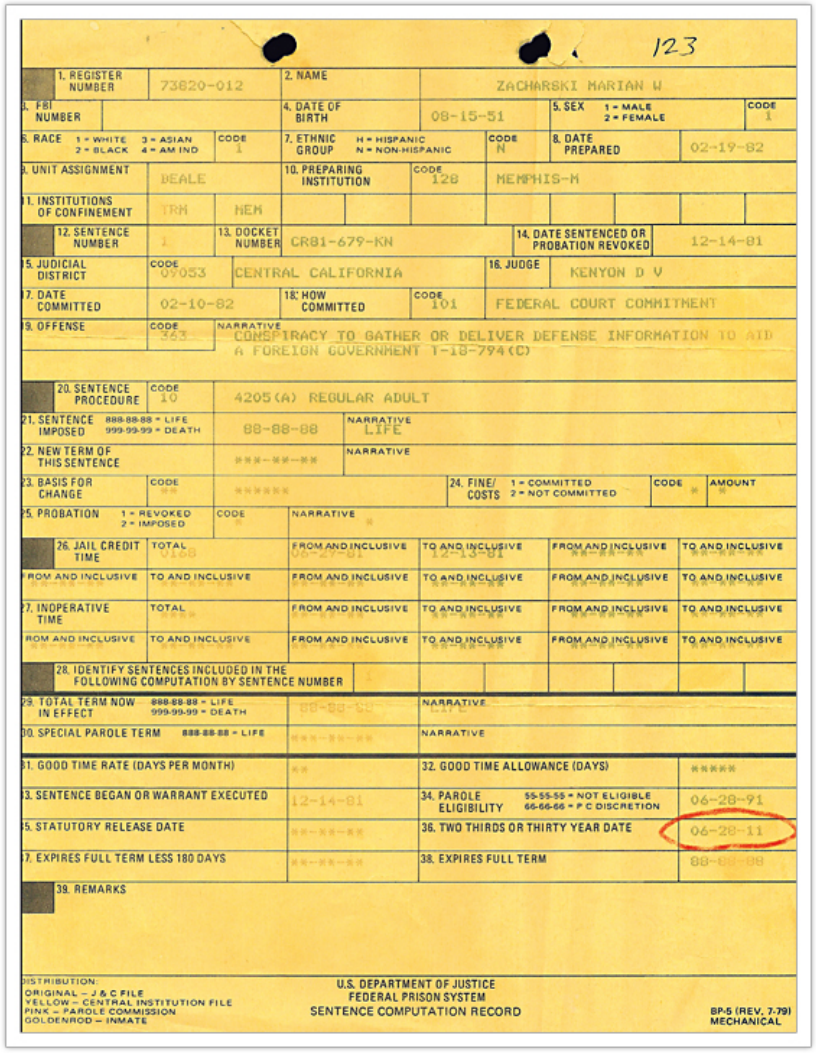

123

1. REGISTER NUMBER	73820-012	2. NAME	ZACHARSKI MARIAN W				
3. FBI NUMBER		4. DATE OF BIRTH	08-15-51	5. SEX 1 = MALE 2 = FEMALE	CODE 1		
6. RACE 1 = WHITE 2 = BLACK 3 = ASIAN 4 = AM IND	CODE 1	7. ETHNIC GROUP H = HISPANIC N = NON-HISPANIC	CODE N	8. DATE PREPARED	02-19-82		
9. UNIT ASSIGNMENT	BEALE	10. PREPARING INSTITUTION	CODE 128	MEMPHIS-M			
11. INSTITUTIONS OF CONFINEMENT	TRM	NEM					
12. SENTENCE NUMBER	1	13. DOCKET NUMBER	CR81-679-KN	14. DATE SENTENCED OR PROBATION REVOKED	12-14-81		
15. JUDICIAL DISTRICT	CODE 07053	CENTRAL CALIFORNIA		16. JUDGE	KENYON D V		
17. DATE COMMITTED	02-10-82	18. HOW COMMITTED	CODE 101	FEDERAL COURT COMMITMENT			
19. OFFENSE	CODE 383	NARRATIVE CONSPIRACY TO GATHER OR DELIVER DEFENSE INFORMATION TO AID A FOREIGN GOVERNMENT 1-18-794(C)					
20. SENTENCE PROCEDURE	CODE 10	4205(A) REGULAR ADULT					
21. SENTENCE IMPOSED 888-88-88 = LIFE 999-99-99 = DEATH	88-88-88	NARRATIVE LIFE					
22. NEW TERM OF THIS SENTENCE	***-**-**	NARRATIVE					
23. BASIS FOR CHANGE	CODE **	******	24. FINE/ COSTS 1 = COMMITTED 2 = NOT COMMITTED	CODE *	AMOUNT *		
25. PROBATION 1 = REVOKED 2 = IMPOSED	CODE *	NARRATIVE *					
26. JAIL CREDIT TIME	TOTAL 0168	FROM AND INCLUSIVE 02-10-82	TO AND INCLUSIVE 12-13-81	FROM AND INCLUSIVE **-**-**	TO AND INCLUSIVE **-**-**		
FROM AND INCLUSIVE **-**-**	TO AND INCLUSIVE **-**-**	FROM AND INCLUSIVE **-**-**	TO AND INCLUSIVE **-**-**	FROM AND INCLUSIVE **-**-**	TO AND INCLUSIVE **-**-**		
27. INOPERATIVE TIME	TOTAL ****	FROM AND INCLUSIVE **-**-**	TO AND INCLUSIVE **-**-**	FROM AND INCLUSIVE **-**-**	TO AND INCLUSIVE **-**-**		
FROM AND INCLUSIVE **-**-**	TO AND INCLUSIVE **-**-**	FROM AND INCLUSIVE **-**-**	TO AND INCLUSIVE **-**-**	FROM AND INCLUSIVE **-**-**	TO AND INCLUSIVE **-**-**		
28. IDENTIFY SENTENCES INCLUDED IN THE FOLLOWING COMPUTATION BY SENTENCE NUMBER							
29. TOTAL TERM NOW IN EFFECT 888-88-88 = LIFE 999-99-99 = DEATH	88-88-88	NARRATIVE LIFE					
30. SPECIAL PAROLE TERM 888-88-88 = LIFE	***-**-**	NARRATIVE					
31. GOOD TIME RATE (DAYS PER MONTH)	**	32. GOOD TIME ALLOWANCE (DAYS)	*****				
33. SENTENCE BEGAN OR WARRANT EXECUTED	12-14-81	34. PAROLE ELIGIBILITY 55-55-55 = NOT ELIGIBLE 66-66-66 = P C DISCRETION	06-28-91				
35. STATUTORY RELEASE DATE	**-**-**	36. TWO THIRDS OR THIRTY YEAR DATE	06-28-11				
37. EXPIRES FULL TERM LESS 180 DAYS	**-**-**	38. EXPIRES FULL TERM	88-88-88				
39. REMARKS							

DISTRIBUTION:
ORIGINAL – J & C FILE
YELLOW – CENTRAL INSTITUTION FILE
PINK – PAROLE COMMISSION
GOLDENROD – INMATE

U.S. DEPARTMENT OF JUSTICE
FEDERAL PRISON SYSTEM
SENTENCE COMPUTATION RECORD

BP-5 (REV. 7-79)
MECHANICAL

Dokument stanowiący dokładne dane dotyczące naliczenia mojego wyroku. Proszę zwrócić uwagę na rubrykę: termin przewidywanego zwolnienia — 28 czerwca 2011 roku.

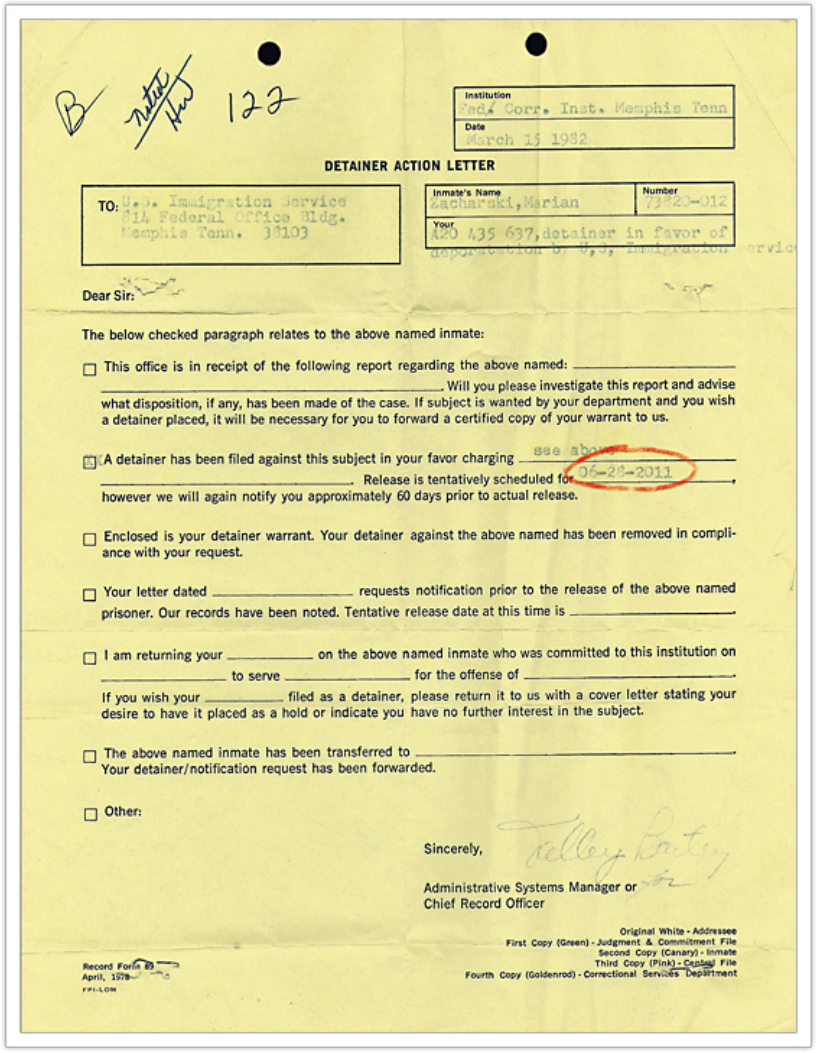

B 122

Institution
Fed. Corr. Inst. Memphis Tenn
Date
March 15 1982

DETAINER ACTION LETTER

TO:	Inmate's Name	Number
U.S. Immigration Service 814 Federal Office Bldg. Memphis Tenn. 38103	Zacharski, Marian	73820-012
	Your	
	A20 435 637, detainer in favor of deportation by U.S. Immigration Service	

Dear Sir:

The below checked paragraph relates to the above named inmate:

☐ This office is in receipt of the following report regarding the above named: _____. Will you please investigate this report and advise what disposition, if any, has been made of the case. If subject is wanted by your department and you wish a detainer placed, it will be necessary for you to forward a certified copy of your warrant to us.

☐ A detainer has been filed against this subject in your favor charging see above _____. Release is tentatively scheduled for 06-28-2011, however we will again notify you approximately 60 days prior to actual release.

☐ Enclosed is your detainer warrant. Your detainer against the above named has been removed in compliance with your request.

☐ Your letter dated _____ requests notification prior to the release of the above named prisoner. Our records have been noted. Tentative release date at this time is _____.

☐ I am returning your _____ on the above named inmate who was committed to this institution on _____ to serve _____ for the offense of _____. If you wish your _____ filed as a detainer, please return it to us with a cover letter stating your desire to have it placed as a hold or indicate you have no further interest in the subject.

☐ The above named inmate has been transferred to _____. Your detainer/notification request has been forwarded.

☐ Other:

Sincerely,

Administrative Systems Manager or
Chief Record Officer

Original White - Addressee
First Copy (Green) - Judgment & Commitment File
Second Copy (Canary) - Inmate
Third Copy (Pink) - Central File
Fourth Copy (Goldenrod) - Correctional Services Department

Record Form 89
April, 1978
FPI-LOM

Dokumentacja związana z tzw. detainerem (rozkaz pozostawienia w więzieniu) Urzędu Immigracyjnego. Po zwolnieniu, które przewiduje się na 28 czerwca 2011 roku mam być zatrzymany do dyspozycji tego urzędu, który wówczas podejmie decyzję co do mojej deportacji z USA. Warto zauważyć, że urzędnik pisze, iż na 60 dni przed tym terminem skontaktuje się ponownie. Czy na pewno on? Sądzę, że będzie już na zasłużonej emeryturze.

Moment wręczenia mi przez prezydenta Lecha Wałęsę nominacji na stopień generała brygady Urzędu Ochrony Państwa. Obok mnie stoi generał Bogdan Libera.

Wszyscy nominowani na stopień generała brygady oraz zaproszeni goście. Od lewej: minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski, za nim przysłonięty generał Wiktor Fonfara, generał Henryk Jasik, generał Bogdan Libera oraz ja. Odwrócony tyłem jest prezydent Lech Wałęsa.

Spotkanie z przyjaciółmi: od lewej generał Henryk Jasik, minister Andrzej Milczanowski, generał Bogdan Libera, ja.

Moje spotkanie po 26 latach z prokuratorem Robertem Brewerem.Miejsce: kładka dla pieszych tuż przed przejściem granicznym między Meksykiem, a USA w rejonie Tijuany.

Gdy podjechaliśmy na środek mostu, wciąż po zachodniej stronie, stały tam już trzy samochody osobowe. Charakterystyczny, złoty mercedes mecenasa Vogela i dwa inne. W jednym siedział Richard Burt, w ciemnych, wielkich okularach. Wokół biegali agenci, gestykulowali, pokrzykiwali.

Naszemu kierowcy kazali zawrócić vana tak, aby znajdował się przodem do Berlina Zachodniego. Polecenie wydał oczywiście „Wszędobylski John”. Pewnie to na wypadek nagłej ewakuacji. Byłem już bardzo podekscytowany. Ale gdy stanęliśmy na środku mostu, zapadła cisza.

W krótkim czasie nadjechał autokar marki Mercedes i zaparkował w poprzek mostu. Odwróciłem się i zobaczyłem, że od strony wschodniej idą ludzie, jeden za drugim. Więc to są agenci, których wymieniają za nas? Poznałem Leszka Chrósta! Szedł z torbą i kręcił głową tym samym ruchem, który pamiętam z czasów, gdy pracowaliśmy w Metalexporcie!

Nie miałem pojęcia, kto będzie podlegał wymianie. Wiedziałem, że Chróst był agentem CIA od czasu, gdy będąc w Polsce przejazdem, zobaczyłem w telewizji program na jego temat. Ale tego nigdy się nie spodziewałem! Leszek Chróst, facet, z którym siedziałem biurko w biurko w początkach mojej pracy w Metalexporcie! Wtedy nie podejrzewałem, że pracujemy w „podobnych sektorach”. A tym bardziej że każdy z nas ma szefa po innej stronie żelaznej kurtyny.

Liczę przechodzących. Dwadzieścia trzy osoby! Wszyscy już wsiedli do autokaru, a ten ruszył, opuścił most w kierunku Berlina Zachodniego. Przez szyby autokaru niedawni więźniowie, teraz już wolni ludzie, pokazywali całemu światu „V”.

Wszystko trwało chwilę.

Ale oni odjechali. A my stoimy. I nic się nie dzieje. Jestem skuty, tak jak byłem. Cholera jasna! Tamtych wypuścili, zabrali w bezpieczne miejsce, a my?...

Główny strażnik w naszym vanie trzykrotnie zapytał przez radio, czy może nas rozkuć. Dostał trzykrotne potwierdzenie. Zdjął nam kajdany, odpiął łańcuchy.

Teraz trzy razy pyta, czy może otworzyć drzwi vana. Gdy po raz trzeci słyszy, że tak, otwierają drzwi. Wyskakuję.

Wiem dokąd mam iść. Prosto przed siebie. Za przepierzenie remontowanego mostu. Na Wschód.

Ciepłe powietrze i wiatr. Czuję to wszystko naraz.

W jednej chwili przechodzi wszystko: zmęczenie, ból, głód, choroba.

Jestem po wschodniej stronie mostu.

Czuję się jak nowo narodzony.

Jestem w euforii, jakiej nie znałem.

A może raczej, jakiej nigdy nie doświadczyłem.

Widzę jakąś kobietę, ale to nie moja żona.

Ktoś mnie z tyłu woła: Zacharski!

Odwracam się. Richard Burt w ciemnych okularach biegnie z moim

kartonem. Zapomniałem swoich rzeczy. Za nim biegną agenci, krzyczą: „Na Boga, panowie, zastępca sekretarza stanu dźwiga karton!”.

Biorę od niego swoje rzeczy. Wydają się tutaj, teraz, takie nierzeczywiste. Pakowałem to wszystko jeszcze w Memphis. A przecież nie zwalniam kroku i widzę już koniec mostu. Kobieta wyciąga do mnie rękę, uśmiecha się, mówi, że jest tłumaczką. Mówi do mnie po polsku! Za nią mężczyzna, wita się ze mną, na imię ma chyba Eugeniusz, nie zapamiętałem, wsiedliśmy do samochodu.

Jedziemy ulicami Berlina Wschodniego, pytają mnie o coś, ja się wciąż uśmiecham. Tak, dobrze się czuję, wszystko w porządku.

Wysiadamy przed jakimś budynkiem. Czekają na mnie ludzie z kwiatami. Delegacja z Warszawy.

Pułkownik Konrad Biczyk i pułkownik Zbigniew Twerd, zastępcy dyrektora Departamentu I. I jedyna znana mi osoba — naczelnik Wydziału VI, Franciszek. Facet, z którym przyjechałem, jest rezydentem naszego wywiadu w Berlinie, a kobieta to Maria Żołądkowska, tłumaczka.

Ściskamy się serdecznie. Wciąż jestem jak zahipnotyzowany. Przedstawiają mnie delegacji rosyjskiej, która czeka na panią Michelson, kurierkę KGB. Jeden z Rosjan, wielki jak niedźwiedź, patrzy na mnie wychudzonego, i mówi:

— *Nu, mołodiec*, musisz się poprawić!

Wchodzimy do środka, czeka na nas poczęstunek. Dla każdej delegacji osobny stolik, na naszym miniaturka biało-czerwonej flagi.

Siedzę między Biczykiem a Twerdem. Widzę, że wyglądam przy nich jak kloszard. Ale jestem w nieustającym stanie nieważkości. Pytają mnie o dziesiątki spraw, jak mnie traktowali, jak się czuję, czy jestem zmęczony. Mój wygląd to odpowiedź na większość pytań. Ja mówię w kółko:

— Czuję się świetnie, jestem zdrowy i szczęśliwy.

I wciąż się uśmiecham. Błogostan.

Jem.

Nie mogę uwolnić się od myśli, że jeśli wstanę od stołu i wyjdę na ulicę, to tam nie będzie żadnego płotu, bramy, krat. Walczę z sobą, by tego nie zrobić. Nie, ja wiem, że to się dzieje naprawdę, ale po prostu chciałbym...

Ten zgiełk powitalny jest dla mnie, ale nie w pełni do mnie dociera. Choć teraz, mocno jak nigdy wcześniej, odczuwam dumę, że się nigdy nie złamałem. Że wracam z podniesioną głową, że za nic nie muszę się wstydzić. Że mnie nie kupili.

Cały czas robią nam zdjęcia. Nie goliłem się i nie myłem chyba od piątku.

Rozmowa schodzi na szczegóły związane z przebiegiem wymiany.

Pytam, dlaczego pozwolono wszystkim agentom przejść ze Wschodu na Zachód, dlaczego pozwolono, by ich autokar bezpiecznie odjechał, a my siedzieliśmy jeszcze skuci jak więźniowie. Franciszek odpowiada:

— Wszystko było uzgodnione wcześniej, przewidziane, zaplanowane i pod kontrolą.

— Ale pod jaką kontrolą, skoro oni odjechali, a nas trzymali w kajdanach? Nie rozumiem tego.

Naczelnik chrząka i tonem ucinającym wszelkie dyskusje zamyka temat:

— Było pod kontrolą.

Zbieramy się. Pojedziemy do willi, w której czeka na mnie żona. Basia. Oszołomiony wolnością, niemal zapomniałem, że czeka na mnie Basia. Jak deser, jak wisienka na torcie. Jedziemy.

> Pierwsza informacja przekazana przez zastępcę dyrektora Departamentu I do Warszawy:
>
> Wymiana miała miejsce o godzinie 13 na moście Glienicke w Poczdamie.
>
> O godzinie 13.05 kapitan Zacharski był wśród polskiej delegacji.
>
> W czasie całej wymiany poddany był szczególnemu nadzorowi z wyraźnym wskazaniem, iż jego osoba jest kluczową postacią wymiany.
>
> Uwolniony wywiadowca: jest w doskonałej kondycji psychicznej, jest bardzo zmęczony fizycznie, jest szczęśliwy i wdzięczny za uwolnienie, jest dumny z tego, co zrobił i szczęśliwy z uznania ze strony kraju.
>
> Nienawidzi Amerykanów, którzy traktowali go do ostatniego momentu wręcz brutalnie.
>
> Jest zorientowany w sytuacji w kraju i w sytuacji politycznej na świecie. Swoją przyszłość widzi w aktywnej pracy dla kraju oraz w dalszej działalności wywiadowczej, stosownej do jego sytuacji. Towarzysze z NRD wzorowo zabezpieczyli warunki wymiany. Umożliwili delegacji polskiej obserwację całej operacji, dokumentację filmową i fotograficzną. Stworzyli doskonałe warunki pobytu dla delegacji polskiej oraz Mariana Zacharskiego. Dwukrotnie odwiedził delegację polską zastępca szefa Wywiadu NRD, generał Horst Jaenicke. W zaplanowanej w dniu jutrzejszym kolacji udział weźmie wiceminister bezpieczeństwa publicznego NRD i szef Wywiadu generał Markus Wolf. Kierownictwo Wywiadu NRD wzorowo ocenia postawę Zacharskiego podczas wymiany, a jego dokonania w USA oraz nieugięta postawa w więzieniu cieszą się tutaj wielkim szacunkiem.

O godzinie 16 w wiadomościach telewizyjnych stacji zachodnioniemieckich ukazały się pierwsze relacje z wymiany. Dziennikarze dotarli do obozu przejściowego w Giessen, gdzie umieszczono siedemnastu odzyskanych ze Wschodu Niemców, w tym trzy

kobiety i czternastu mężczyzn. Podano, iż odsiadywali wyroki w Budziszynie, większość z nich skazana była na dożywotnie więzienie, niektórzy od sześciu lat pozostawali w zamknięciu. Informację, iż będą zwolnieni w ramach szerszej wymiany, otrzymali sześć dni przed faktem.

Jeden z więźniów udzielił krótkiego wywiadu. Mężczyzna o nazwisku Süss odsiadywał wyrok trzynastu lat pozbawienia wolności, w więzieniu spędził dwadzieścia miesięcy. Oświadczył, iż traktowano go w sposób niegodny człowieka. Był torturowany, podawano mu narkotyki, ma poważnie uszkodzoną wątrobę.

Prowadzący J. Engert skomentował to tak:

„Dzisiejsza wymiana nie była ani pierwszą, ani ostatnią. Od poprzednich odróżnia ją fakt, iż Amerykanie po raz pierwszy zajęli się tymi opuszczonymi ludźmi, którzy nie byli grubymi rybami w szpiegowskim stawie, nie byli też, co warte podkreślenia, obywatelami amerykańskimi. Radykalna zmiana dotychczasowej praktyki porzucania spalonych agentów jest najprawdopodobniej wynikiem osobistego życzenia prezydenta USA Ronalda Reagana, co w przyszłości może stwarzać stronie wschodniej okazję do korzystania z tego precedensu. Człowieczeństwo zwyciężyło nad chłodną kalkulacją. Ilość przeciwstawiono jakości. Dwudziestu pięciu zbieraczy informacji dla USA za czworo szpiegów wschodnich, w tym dwóch oficerów KGB”.

Departament Stanu USA wydał oświadczenie, w którym nazwał wymianę „znaczącym sukcesem amerykańskiej dyplomacji ”. Podkreśla się precedens wydania przez władze PRL obywateli polskich, co w przyszłości może pozytywnie wpłynąć na działaczy polskiej opozycji oraz ułatwi proces pozyskiwania polskich obywateli do współpracy z amerykańskimi organizacjami wywiadowczymi. Nie było zaskoczeniem dla Departamentu Stanu pozostanie Jerzego Pawłowskiego w Polsce. Szablista poinformował o tym zamiarze wcześniej władze amerykańskie. Powodem takiej decyzji Pawłowskiego są wyjątkowe udogodnienia, z jakich Pawłowski mógł skorzystać w więzieniu, co zawdzięcza osobistym kontaktom z wieloma osobistościami polskiego życia politycznego. Korzystnie przeprowadzona wymiana nie ma nic wspólnego ze stanem kontaktów na linii Waszyngton — Warszawa i nie świadczy jeszcze o poprawie tych stosunków.

W amerykańskiej prasie ukazał się komentarz człowieka, którego nazwisko niechlubnie łączy się z uwolnionym polskim wywiadowcą. Odbywający karę pozbawienia wolności za współudział w działalności konspiracyjnej, mającej na celu przekazywanie obcemu państwu informacji związanych z obronnością USA, William Holden Bell, poprzez swojego

adwokata pana Roberta L. Kirste, powiedział:

„Nie mam złych wspomnień związanych z Marianem Zacharskim, mimo wszystko wspominam go serdecznie. Był świetnie wytrenowanym specjalistą, wykonywał swoją pracę”.

Robert L. Kirste dodał, iż jego klient odbywa karę w więzieniu Terminal Island w stanie Kalifornia. Nie zaoferowano mu udziału w tej wymianie szpiegów. Zresztą pan Bell zeznawał przeciwko Zacharskiemu w procesie o szpiegostwo. Z całą pewnością nie chciałby zostać wymieniony i przejść na wschodnią stronę.

Po dojeździe do willi w Karow musieliśmy chwilę poczekać z wejściem. Kierownictwo Wywiadu zapowiedziało mi już w czasie poczęstunku, że bardzo im zależy na sfilmowaniu powitania z żoną. Gdy wszystko było gotowe, dali komuś znać i w drzwiach willi pojawiła się Basia.

Przez cztery lata nie widziałem żony. Wyobrażałem sobie setki razy ten moment, to pierwsze spotkanie. W chwilach zwątpienia i desperacji myślałem, że nigdy już się nie zobaczymy. Albo że będziemy starzy, siwowłosi, o lasce. Albo że się nie poznamy.

Basia jest speszona tłumem. Pochyla głowę. Nie wie, czy ma do mnie podejść. Czy się możemy pocałować, skoro robią zdjęcia. Ktoś obok zachęca ją, żeby podeszła.

Przytulamy się.

Basia płacze.

Coś do niej mówię. Nie wiem co.

Czuję, jak pachnie. Jest taka jasna. Jasnowłosa, jasno ubrana. Czysta.

Weszliśmy do środka. Basia patrzy na mnie i widzi mój poliestrowy garniturek, za krótkie spodnie, za duże buty. W jej oczach widzę, że mnie nie poznaje, choć bardzo by chciała. Proszę, aby dali mi chwilę, abym mógł się wykąpać. Kierowca podaje mój karton. Pomyłka, mam karton Kostadinowa. Już ktoś się tym zajął, mam tam przecież swoje rzeczy, jakieś kosmetyki. Basia szepcze, że tutaj wszystko jest, że mam się nie martwić. Odprowadza mnie do łazienki. Chwilę jesteśmy sami. Wstydzę się ją pocałować, taką jasną, piękną.

Strumień wody.

Ostatni prysznic na wolności i pierwszy po jej odzyskaniu dzielą cztery lata bez siedemnastu dni. To epoka w moim życiu. Nie chcę o niej myśleć. Nie chcę niczego wspominać. Chcę tylko rozkoszować się stanem nieważkości.

Nie mam się w co ubrać. Na jutro zaplanowano zakupy, wiedzieli, że schudłem. Wrócił mój karton i zakładam ortalionową kurtkę z więzienia.

Willę przygotowano doskonale. Jest tu wszystko, czego mógłbym potrzebować. Czeka na mnie polski lekarz, doktor Kociszewski.

Kierownictwo Wywiadu podaje plan na jutro: rano zakupy, wieczorem przyjęcie u ambasadora. Dzisiaj: kolacja w willi Karow w polskim gronie.

Na kolacji jest Twerd, Biczyk, Franciszek, doktor Kociszewski, Basia i ja. Na chwilę wpada zastępca szefa Wywiadu NRD, generał Jaenicke. Przynosi wielki bukiet kwiatów, wita mnie gorąco i żegna się do jutra. Kolacja też jest rejestrowana na taśmie wideo.

Dyrektor Biczyk wygłasza toast powitalny. Mówi do mnie „towarzyszu". Może nie wie, że nie należę do partii? Jest kwieciście i górnolotnie. Są słowa uznania i dowody uznania, jest „wielka, niewypowiedziana radość". Puszczam mimo uszu frazesy, uśmiecham się. Jakie to ma znaczenie, skoro naprawdę jestem szczęśliwy? Zabawnie jest, gdy Biczyk mówi, iż to pierwszy szczery toast w jego karierze. Chce mi się śmiać, ale nie wypada. Potem rozmawiamy, pytają mnie o więzienie, o podróż, próby werbunku. Na końcu przypominają o konieczności zachowania w tajemnicy zarówno wszystkich rozmów, jak i szczegółów uwolnienia. Potem Franciszek wręcza mi paszport. Brakuje tylko fanfar. Dopada mnie zmęczenie. Bardzo chciałbym zostać już sam z Basią. Ale kolacja ciągnie się jeszcze dłuższy czas.

Instrukcja
Tezy do rozmowy z M. Zacharskim na punkcie wymiany „B".
Powitanie: naczelnik Wydziału VI (przedstawienie M. Zacharskiego wszystkim obecnym).
Zagadnienia do poruszenia w rozmowie:
— postępowanie władz amerykańskich w stosunku do M. Zacharskiego po wizycie mecenasa Vogela,
— czy miały miejsce kolejne próby werbunku,
— przebieg podróży,
— obecna sytuacji Bella,
— powody wpadki (według odczuć M. Zacharskiego),
— konieczność zachowania tajemnicy,
— wręczenie paszportu.

W końcu zostajemy sami. Jestem już koszmarnie zmęczony, ale chcę się przywitać z Basią. A ona chce opowiadać mi, co moi przełożeni dla niej zrobili, a czego nie zrobili. Co moja mama powiedziała, a czego nie powiedziała. Słucham, nie rozumiem i nie wierzę. Po co teraz? To nasza pierwsza noc po czterech latach rozłąki.

W nocy źle śpię. Budzę się po wielokroć. Po euforii spowodowanej

wymianą noc przynosi wszystkie koszmary. We śnie nie wierzę, że już jestem wolny.

Budzę się niewyspany, nieprzytomny.

Przyjeżdża Franciszek i ktoś z Rezydentury w Berlinie. Jedziemy na zakupy. Jest z nami oficer służb niemieckich, dzięki temu możemy skorzystać ze specjalnych stoisk w dużym domu towarowym na Alexanderplatz w centrum Berlina. Jestem tak chudy, że trudno dobrać mi garnitur. Zajmuje nam to większość dnia. W końcu jestem gotowy na spotkanie u ambasadora. Mam dwa garnitury (jeden na powitanie na lotnisku w Warszawie), koszule, krawaty. I buty.

Chłonę wszystko.

Lista gości zaproszonych na przyjęcie
u ambasadora PRL w Berlinie, Macieja Wirowskiego.
Strona polska: pułkownik Konrad Biczyk,
pułkownik Zbigniew Twerd, naczelnik Wydziału VI, pułkownik Eugeniusz B., Marian Zacharski, Barbara Zacharska, Maria Żołądkowska (tłumaczka).
Strona NRD: generał pułkownik Markus Wolf
(wiceminister BP i szef Wywiadu NRD), generał Horst Jaenicke (zastępca szefa Wywiadu
NRD), generał Willi Damm (szef Departamentu
Współpracy z Zagranicą MBP), pułkownik Fritz
Kobbelt, pułkownik Eberhard Kopprasch.

Kolacja zaczęła się o 19 od koktajlu w hallu rezydencji. Byłem podekscytowany perspektywą spotkania z legendarnym Markusem Wolfem. Słyszałem o nim wiele; tutaj, w Berlinie mówiono o nim z największą estymą, ale jeszcze przed laty, nim wyjechałem do Stanów, Wolf już był sławny. Na Zachodzie wciąż mówi się o KGB, bo Amerykanie jako przeciwnika potrzebują tylko równego sobie, wielkiego. Ale wśród wschodnioeuropejskich służb wiadomo, iż najskuteczniejszym wywiadem państw socjalistycznych jest służba kierowana przez Markusa Wolfa. Zawsze podkreśla się i to, że szefowie wywiadu się zmieniają wraz z kierownictwem partii, a Wolf sprawuje swą funkcję nieprzerwanie. Byłem ciekaw, jak wygląda. Nigdy nie widziałem nawet jego zdjęcia. Okazał się wysokim, szczupłym mężczyzną. Siwiejącym. Wraz z pierwszym drinkiem wzniesiono toasty. Przyszła kolej na mnie i spytałem obecnych, w jakim języku mam wygłosić toast. Nasz rezydent odpowiedział, że mogę w każdym, bo generał Wolf mówi biegle we wszystkich możliwych, nawet w suahili. Zwracając się do generała, powiedziałem więc po angielsku:

— Jestem dumny, że dzisiaj spotykam się z żywą legendą wszystkich wywiadów świata. Jestem też dumny z tego, co dla swojego kraju zrobiłem w USA. Jeżeli kiedyś przyszłoby mi powtórzyć swoją misję, zrobiłbym to jeszcze raz. I pewnie lepiej, bo choć to bolesne, człowiek uczy się na błędach.

Posadzono mnie po prawej stronie Wolfa i to było dla mnie największe wyróżnienie. Mogliśmy swobodnie rozmawiać, także między oficjalnymi częściami. Po mojej prawej stronie siedział Willi Damm, naprzeciwko nas ambasador z moją żoną i Horstem Jaenicke. Franiowi przypadło miejsce na końcu i nie był zadowolony. W „prezydialnej" części stołu siedziała także tłumaczka. Ponieważ natychmiast po tym, jak usiedliśmy, zaczęły się toasty wygłaszane po kolei przez niemal każdego, więc pani Maria nie jadła, ani nie piła. Powitanie wygłosił ambasador, a po nim Biczyk. Cztery lata w więzieniu, przedtem pięć i pół roku w Stanach. Cholera! Odwykłem zupełnie od partyjnej nowomowy. Wcześniej też niewiele miałem okazji jej słuchać, ale przynajmniej byłem „osłuchany" z jej brzmieniem.

Szanowni Towarzysze!

Drodzy niemieccy przyjaciele!

Drogi kapitanie Marianie Zacharski!

W imieniu kierownictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL i Służby Wywiadu PRL oraz własnym pragnę wyrazić olbrzymią radość i głęboką satysfakcją z faktu uwolnienia z więzienia amerykańskiego oficera polskiego wywiadu, kapitana Mariana Zacharskiego.

Kapitan Marian Zacharski, wykonując swój patriotyczny obowiązek, prowadził w USA trudne i skomplikowane działania wywiadowcze.

Efektem jego trudu, inteligencji, zaangażowania i pomysłowości było zdobycie najbardziej chronionych informacji i materiałów militarnych, pozwalających na rozszyfrowanie i skuteczne przeciwdziałanie zbrodniczym planom amerykańskiego imperializmu konstruującego nowe rodzaje broni. W skomplikowanej grze wywiadowczej naszej służby kapitan Marian Zacharski był postacią pierwszoplanową. To on był narażony na największe niebezpieczeństwa, to on wykonywał trudne i odpowiedzialne zadania. Niestety, w tej trudnej, odpowiedzialnej i niebezpiecznej robocie wywiadowczej kapitan Marian Zacharski poniósł ofiarę najwyższą — własną wolność. Został aresztowany i wtrącony do więzienia.

Wywiad polski boleśnie odczuł fakt aresztowania kapitana Mariana Zacharskiego. Przypomnijmy, że nastąpiło to cztery lata temu, w czerwcu 1981 roku. Przypomnijmy też, że tuż przed werdyktem sądu w USA,

skazującego kapitana Mariana Zacharskiego na dożywotnie więzienie, w Polsce w obronie socjalizmu wprowadzony został stan wojenny. Stany Zjednoczone, a przede wszystkim administracja Ronalda Reagana zareagowała histerycznie na ten suwerenny akt władz polskich — zerwaniem praktycznie wszystkich kontaktów, wprowadzeniem restrykcji oraz obniżeniem prawie do zera stosunków dyplomatyczno-konsularnych.

Te wrogie wobec Polski gesty zaciążyły nad naszymi wysiłkami w uwolnieniu kapitana Mariana Zacharskiego i zorganizowania powrotu do ojczyzny. Wielotorowe i trudne działania doprowadziły w końcu do nawiązania rozmów z właściwymi władzami amerykańskimi w celu ustalenia warunków zwolnienia.

W tym momencie chciałbym serdecznie podziękować Służbie Wywiadu NRD, a osobiście generałowi Wolfowi, za zaangażowanie, włożony wysiłek i okazaną nam pomoc w zorganizowaniu uwolnienia i powrotu kapitana Mariana Zacharskiego do Polski.

Dziękuję także obecnemu tu pułkownikowi Twerdowi, który wraz z podległym kolektywem bardzo przyczynił się do stworzenia warunków umożliwiających realizację operacji wymiany kapitana Zacharskiego. Dziękuję bardzo serdecznie żonie kapitana Zacharskiego, pani Barbarze Zacharskiej, za godną postawę, pomoc w działaniach podejmowanych na rzecz uwolnienia męża. Dziękuję serdecznie wszystkim, którzy przyczynili się do tego, że kapitan Marian Zacharski jest razem z nami.

Odczuwając głęboką satysfakcję i zadowolenie z faktu uwolnienia kapitana Mariana Zacharskiego, pragnę wznieść toast za jego zdrowie i jego małżonki, generała Wolfa i niemieckich przyjaciół, którzy udzielili nam pomocy, oraz za zdrowie wszystkich, którzy wnieśli swój wkład w pomyślną realizację dzisiejszej operacji.

Dziękuję Towarzyszom!

Markus Wolf mówił od siebie, bez pomocy kartki. Wspomniał, że żadna rozmowa z przedstawicielami polskich służb nie odbywała się bez wspominania mojego imienia. Służby NRD były tylko ogólnie poinformowane o moich działaniach i sukcesach. Wiedzą natomiast wiele o moich ostatnich latach, dlatego może złożyć mi gratulacje i najwyższe uszanowanie za postawę, za honorowe przetrwanie więzienia. Oraz za sukcesy, które są marzeniem każdego wywiadowcy świata. „Został pan — nie z własnej winy — postawiony w roli wywiadowcy publicznie znanego. Nie mogę decydować o pana karierze — powiedział dalej — ale mogę życzyć pana przełożonym, dodając, iż jest to życzenie gorące i pilne, by z pana pracy wynieśli zyski. Mamy potwierdzone informacje, dzięki naszym

amerykańskim źródłom, które mówią, iż mimo wszelkich wysiłków ze strony FBI zachował się pan od aresztowania do uwolnienia nadzwyczaj godnie. To wielki honor dla służby i duma dla pańskich przełożonych. Mogę im tylko pogratulować. A mówię to jednocześnie ze smutkiem, bowiem nasz obywatel, o którego uwolnienie zabiegaliśmy, nie szczędząc kosztów i wysiłków, nie wykazał się podobną postawą. Ale zasadą mojej służby jest to, by nawet wobec takich okoliczności nie pozostawiać człowieka na obcym lądzie. Będzie pan zawsze mile widzianym gościem w NRD i proszę traktować to jak oficjalne zaproszenie, oczywiście wraz z rodziną. Nie ukrywam — powiedział jeszcze generał — że chciałbym także móc skorzystać z pana doświadczeń związanych z pracą na terenie tak trudnego przeciwnika, jak USA". Gdy skończył, przekazał mi prezenty. Pierwszym były trzy złote monety — medale z wizerunkami znanych wywiadowców działających krótko przed i w czasie wojny, członków tak zwanej Czerwonej Orkiestry[36], przy czym Wolf dodał, że członkowie Rote Kapelle są dla jego służb wzorem do naśladowania; dalej był talerz z malowidłem przedstawiającym atak na Pałac Zimowy w czasie rewolucji październikowej. Trzecim podarunkiem był album prezentujący NRD, dając mi go, Wolf powiedział, że to wstęp do wizyty, na którą mnie zaprosił.

W odpowiedzi na toast generała Wolfa powiedziałem, że nie dość, iż nigdy nie przypuszczałem, że spotkam tak wybitnego człowieka jak on, to tym bardziej że usłyszę z jego ust tyle komplementów. Ale że gdybym kiedykolwiek w jakikolwiek sposób mógł się choć w małej części odwdzięczyć się jego krajowi, to jestem gotów. Potem, gdy przemawiali kolejni towarzysze, mogliśmy wymieniać po kilka zdań. Patrzyłem na niego z podziwem. Na kontrast między nim a moimi towarzyszami... Myślałem, co by było, gdybym zaczynając pracę w USA, miał nie Sergiusza, a takiego szefa jak Wolf...

Był erudytą. Pochodził z wybitnej, inteligenckiej rodziny. Jego ojciec Friedrich był lekarzem i dramaturgiem, brat Konrad reżyserem filmowym. Sam Wolf miał w sobie wiele godności, a jednocześnie był bardzo ciepłym i serdecznym człowiekiem. Opowiadał o różnych, trudnych wymianach, wspominał ludzi, z których wydobyciem z Zachodu ma problem. Niezwykłe było dla mnie, po tych wszystkich przeżyciach amerykańskich, słuchanie tego człowieka, który bez cienia zadęcia mówił, iż dla niego punktem honoru jest wydobycie z więzień europejskich czy amerykańskich wszystkich współpracowników, których wysłał z misją, a którzy wciąż „nie dobili do macierzystego portu".

Wypiliśmy tradycyjny toast za tych, co na morzu. Za tych wszystkich,

którzy są teraz w różnych miejscach „w pracy”, i za tych, którzy w wyniku swojej pracy odsiadują wyroki.

W pewnej chwili ni stąd, ni zowąd zapytał:

— Panowie dyrektorzy z Polski, czy wiecie już, czego mogliby sobie zażyczyć Amerykanie w zamian za Williama Bella?

Pani Maria błyskawicznie przetłumaczyła, a panowie dyrektorzy z Polski zrobili miny, które wskazywały, iż nie tylko nie wiedzą, ale nawet nie brali takiego rozwiązania pod uwagę. A we mnie coś się wzburzyło, gdy popatrzyłem na ich syte, zadowolone twarze. Tak, Bell sypnął mnie przed FBI, ale nie on sypnął pierwszy! Pierwszy sygnał zdrady wyszedł z Centrali. Z mojej Centrali! Kiedyś brali pod uwagę przeniesienie Bella z rodziną do Polski w razie wpadki, a teraz?

Oni trwali nadal w osłupieniu, a Markus Wolf spokojnie kontynuował:

— Jeżeli panowie się zgodzą, mecenas Vogel podczas kolejnego kontaktu z Amerykanami zapyta o Bella.

„Panowie” zrobili jakiś ruch głową pomiędzy „tak” a „nie” i Wolf nie dręczył ich dalej. Ale w rozmowie za mną powiedział, iż przypuszcza, że Amerykanie nie zgodzą się na przejście Bella, tak jak Rosjanie na wydanie Sacharowa. Kolacja dobiegła końca i czekało nas pożegnanie. Mimo wielkiej euforii z powrotu do świata żywych, poczułem lekkie ukłucie po tym zderzeniu kultur, jakim było zestawienie Wolfa i moich dyrektorów. Widziałem też krzywe spojrzenia naczelnika rzucane z końca stołu w stronę Wolfa i mnie.

Następnego dnia wracaliśmy do Polski. Wszystko było podporządkowane temu, abyśmy o godzinie 13 wylądowali na Okęciu. Był jednak 13 czerwca i w związku z tym niespodzianki. W Berlinie szalała potężna burza i kontrolerzy lotniska nie chcieli wydać zgody na start. Delegacja się denerwowała, a Niemcy byli nieubłagani. W końcu po jakichś burzliwych dyskusjach zezwolono na start naszego samolotu, wszystkie inne pozostały zaś na lotnisku. Nie boję się latać, ale podróż była okropna. Trzęsło nami nieprawdopodobnie. Czułem się jednak bezpiecznie. Samolot, którym sterują polscy piloci wojskowi, to dla mnie wystarczająca gwarancja. Na pokładzie jednak nastroje były kiepskie. Był z nami dziennikarz Henryk Chądzyński. Nie wytrzymał nerwowo i otworzył butelkę koniaku, inni natychmiast przyłączyli się do niego. Ja nie potrzebowałem. Niektórzy zazdrościli pułkownikowi Biczykowi, który wyjechał do Warszawy dzień wcześniej samochodem, ponieważ bał się latać. Krótko przed lądowaniem naczelnik Wydziału VI powiedział, że na lotnisku będę musiał do kamery telewizyjnej zameldować się dowódcy. Potem poprosił, abym dał mu swój paszport. Nie zapytałem, po co ani

dlaczego. Po prostu mu go oddałem. Byłem szczęśliwy, że za chwilę zobaczę dzieci, że będę w Polsce. Nie zastanawiałem się, po co to robi.

Miałem wysiąść sam, pierwszy. Zameldować się i wtedy dopiero wysiądzie reszta (telewizja!).

Gdy siadaliśmy na pasie startowym, padał deszcz, lecz gdy wychodziłem z samolotu, zaświeciło słońce.

Oczywiście wziąłem to za dobry znak.

Jestem w Polsce.

— Towarzyszu generale! Kapitan Marian Zacharski melduje się po wykonaniu zadania wywiadowczego!

Generał Zdzisław Sarewicz wyściskał mnie serdecznie.

Za nim stała moja mama. Była tak przejęta i wzruszona, że nie złożyła parasolki, choć już nie padało. Dwie dziewczynki. Moje córki. Ubrane jednakowo. Małgosia spuszczała głowę. Karolinka, choć mogła mnie zupełnie nie pamiętać, przytuliła się szybciej. Przyklęknąłem, żeby je do siebie przygarnąć. Małgosia przełamywała się dłużej, w końcu nadstawiła policzek do pocałowania. Poczułem, że za chwilę, przed tymi cholernymi kamerami, popłyną mi łzy.

Przywitałem się z bratem. Pomyślałem o ojcu, który nie doczekał mojego powrotu.

Byli ludzie, których w ogóle nie znałem, ale z którymi serdecznie się witałem.

W końcu wszyscy ruszyliśmy do budynku VIP-ów w wojskowej części Okęcia. Nie mogłem oderwać oczu od swoich córek. Wiedziałem, że urosną. Ale nie wiedziałem, że będą takie ładne! Gdy rozstawaliśmy się, bez pożegnania, Małgosia miała sześć, a Karolina trzy lata. Teraz jedna ma dziesięć, a druga siedem. U dzieci to cała epoka. Były speszone telewizją, tłumem ludzi. Trzymały się Basi. Pomyślałem: „Jeszcze chwilkę, jeszcze trochę. Jeszcze parę spraw i już będziemy razem”.

Szef Wywiadu MSW generał Zdzisław Sarewicz wygłosił mowę powitalną:

Drogi kapitanie Zacharski!

W imieniu kierownictwa partii i Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, kierownictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Służby Wywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych witam Was gorąco i serdecznie na ziemi ojczystej.

Długo oczekiwaliśmy na tę chwilę — zarówno Wy, jak i członkowie Waszej rodziny oraz kierownictwo i kolektyw Służby Wywiadu MSW.

Wasz powrót do ojczyzny następuje po blisko czteroletniej rozłące z rodziną i krajem, i pobycie w ciężkim więzieniu amerykańskim. Przez cały ten okres, codziennie, byliśmy myślami z Wami, kapitanie Zacharski. Dzieliliśmy z Wami Wasze troski i kłopoty — Waszą osobistą tragedię.

Okres ten był wyjątkowo niesprzyjający dla rychłego uwolnienia Was z więzienia. Nieprzejednane stanowisko administracji amerykańskiej, traktującej również Waszą osobę jako element wrogiej Polsce Ludowej gry politycznej, znacznie opóźniło moment Waszego uwolnienia. Chciałem jednak zapewnić Was, kapitanie Zacharski, że nie ustawaliśmy nawet na godzinę w wysiłkach, które podjęliśmy już w dzień po aresztowaniu na rzecz Waszego uwolnienia i zorganizowania powrotu do ojczyzny. Ogromną, niewymierną pomoc otrzymaliśmy w tym zakresie od naszych wypróbowanych przyjaciół — służb wywiadowczych bratnich państw socjalistycznych.

Oto jesteśmy wreszcie razem, drogi kapitanie Zacharski. Po pełnej niezwykłego poświęcenia walce z przeciwnikiem na pierwszej linii cichego frontu, po wykazaniu hartu ducha i najwyższej odpowiedzialności w najtrudniejszym dla Was okresie pobytu w więzieniu, jesteście w Polsce. Wasza determinacja, zaangażowanie i postawa polityczna w tych trudnych dniach, miesiącach i latach, a także postawa i pomoc Waszej rodziny, wielce pomogły nam w skomplikowanych działaniach podejmowanych w celu Waszego uwolnienia.

W tym miejscu chciałbym wyrazić moje najgłębsze podziękowanie i podziw pani Czesławie Zacharskiej i pani Barbarze Zacharskiej, które dzielnie, jak przystało na matkę i żonę — Polki, swoją postawą, swym sercem i swym rozumem przybliżyły dzień Waszego uwolnienia. Nie mogę nie wspomnieć także o Waszym ojcu — Wacławie Zacharskim, którego, niestety, w tak doniosłej chwili nie ma już wśród nas. Lecz pamięć o nim, jako o człowieku, który wniósł nieocenioną pomoc w dzieło Waszego uwolnienia, pozostanie na zawsze w naszych sercach i pamięci.

Drogi kapitanie Zacharski!

Wasza służba na terenie przeciwnika oraz jej efekty zostały przez nas bardzo wysoko ocenione, a zaprezentowana przez Was postawa polityczna, umiłowanie ojczyzny i strzeżenie tajemnic Wywiadu w najtrudniejszych chwilach stanowią dla nas wzór postępowania.

Jak przystało na oficera służby wywiadowczej i żarliwego Polaka — patrioty wykonywaliście z całym poświęceniem trudne i odpowiedzialne zadania.

W imieniu kierownictwa Resortu Spraw Wewnętrznych i swoim osobiście składam Wam wyrazy najgłębszego podziękowania.

Z olbrzymią satysfakcją i uznaniem przyjąłem od Was meldunek o wykonaniu zadań. Poprzez osiągnięte efekty, okazanie bezkompromisowej postawy, odwagę i poświęcenie udowodniliście najwyższe kwalifikacje operacyjne, polityczne i moralne oficera socjalistycznej służby wywiadowczej.

Niech wysiłek, trudy i niebezpieczeństwa, jakie napotkaliście w swojej służbie na terenie przeciwnika, będą trwałym elementem w budowie siły Polski Ludowej i mocy obronnej państw-członków Układu Warszawskiego.

Jeszcze raz, drogi kapitanie Zacharski, składam Wam wyrazy podziękowania i naszego serdecznego uznania.

Gdy uroczystości dobiegły końca, dostałem krótki harmonogram na piśmie. Jutro o 11 spotkanie w Centrali. 17 i 21 czerwca spotkania z oficerami. Początek lipca — spotkanie z kierownictwem resortu spraw wewnętrznych. Od 15 lipca do 15 sierpnia urlop z rodziną nad polskim morzem.

Do domu zawiózł nas kierowca. Pojechaliśmy na Ursynów. Zobaczyłem bloki, które wyglądały jednakowo i zastanawiałem się, jak ja tu trafię z powrotem, kiedy jutro pojadę na spotkanie do Centrali.

Po powrocie ze Stanów moja służba zajęła się Basią. Dali jej mieszkanie, pomogli się urządzić.

Basia powiedziała mi wieczorem, że Karolina chce, abym jutro przyszedł po nią do szkoły. Chce pokazać dzieciom, że też ma tatusia. Ale na drugi dzień rano, gdy poszła na podwórko, dzieci musiały jej coś powiedzieć (w „Dzienniku Telewizyjnym” była relacja z mojego powitania). I poprosiła, żebym jednak nie przychodził. Zacięła się i nie chciała wyjaśnić, o co chodzi.

Miałem świadomość, że rzadko kto się zastanawia nad tym, że wywiad naukowo-techniczny, choć strukturą przynależy do MSW, nie zajmuje się sprawami wewnętrznymi. Dla ludzi władza to władza, a MSW to represje. A stan znienawidzenia władz PRL-u sięgał już zenitu. Nie miałem na to żadnego wpływu. Wcześniej też nigdy nie myślałem o tym w taki sposób. Gdyby wywiad podlegał Ministerstwu Sportu, byłbym pracownikiem Ministerstwa Sportu.

Koło dziesiątej przyjechał po mnie samochód i pojechaliśmy na spotkanie do Centrali na Rakowieckiej. Najpierw krótko u zastępcy szefa Wywiadu, dyrektora Biczyka, który odpowiadał za pion naukowo-techniczny, a następnie zaproszono mnie piętro wyżej do dyrektora

wywiadu, a więc Departamentu I MSW, generała Zdzisława Sarewicza. Generała poznałem wczoraj na lotnisku. Gdy wyjeżdżałem z Polski, kto inny był szefem służb. Wiem już, że i on, i pułkownik Twerd pochodzą z kontrwywiadu. Stąd obecność Twerda w czasie wymiany — on „oddawał swój urobek", to jemu zawdzięczam schwytanie odpowiedniej ilości szpiegów amerykańskich na wymianę.

Generał robi na mnie dobre wrażenie. Jest w nim jakaś zacność, ciepło. Budzi instynktowny szacunek. Po rozmowie z nim wiem, iż wczorajsze przemówienie ktoś mu pisał. W kontakcie jest bezpośredni i serdeczny, nie ma w nim cienia partyjnej nowomowy. Ale cóż, wczoraj uroczystość, telewizja, było i odpowiednie przemówienie.

Gdy wyszedłem z sekretariatu na drugim piętrze, z poszczególnych pokoi zaczęli wychodzić pracujący tam oficerowie. Utworzyli szpaler, którym doszedłem do schodów. Na następnym piętrze to samo.

Byłem zaskoczony i skrępowany. Chociaż ich ciche uznanie, ten dowód szacunku, wzruszył mnie głęboko. Był jak salwa honorowa.

> „Kapitan Marian Zacharski wrócił do kraju.
> 13. bieżącego miesiąca powrócił do kraju
> oficer polskiego wywiadu resortu spraw wewnętrznych kapitan Marian Zacharski. Został
> on zwolniony, w efekcie starań władz polskich, przez władze Stanów Zjednoczonych,
> w ramach wielostronnej akcji wymiennej. Kapitan Zacharski wrócił do kraju w dobrej
> formie psychicznej, mimo kilkuletniego pobytu w amerykańskim więzieniu o obostrzonym rygorze. Jak wcześniej informowaliśmy,
> amerykańskie służby specjalne nakłaniały
> go wielokrotnie do zdrady ojczyzny. Wytrwał jednak w swej patriotycznej postawie,
> zdecydowanie odrzucając wszelkie namowy
> i oferty współpracy".
> „Rzeczpospolita" nr 137 z dnia 14 czerwca
> 1985 roku

Wieczorem jadę z bratem na grób ojca. Mama nie miała siły nam towarzyszyć. Przeżycia ostatnich dni, mimo szczęśliwego finału, wyczerpały ją emocjonalnie. Cmentarz na Woli. W samochodzie cisza. Nie rozmawiamy z Bogdanem. On o nic nie pyta, ja nie mówię. To pierwsza cisza, którą słyszę od powrotu. Gdy wolno idziemy do grobu ojca, czuję się, jakbym z nim, nieżyjącym rozmawiał. Nagle mam potrzebę opowiedzenia mu tego wszystkiego, co się stało. Wytłumaczenia się. W

myślach wciąż powtarzam: „Nie pękłem, tato, nie pękłem”. Ale gdy widzę nagrobek, a na nim wyryty napis: „Wacław Zacharski”, pękam, jak w więzieniu w Memphis, gdy przyszli powiedzieć mi, że ojciec nie żyje. Czas się cofa, konfrontacja ze śmiercią ojca, z jego odejściem bez pożegnania, jest tak samo bolesna jak wtedy. Bogdan staje z boku, nie przeszkadza. Gdy się uspokajam, mówi:

— Ojciec przed samą śmiercią, powiedział do matki: „Nikomu z was nie wolno winić Mariana za jego wybór”.

Zagryzam wargi. Ta nieodbyta rozmowa z ojcem ciąży mi. Ale nie cofnę czasu. Zapalam znicz.

Następnego dnia znów przyjeżdża po mnie kierowca i zawozi mnie na kolejne spotkanie do Centrali. Obiecuję sobie, że jutro spróbuję sam wrócić do domu. I trafić. Ale na nic moje obietnice. Po oficjalnym spotkaniu z oficerami mojego VI Wydziału, mała uroczystość w kasynie koło Wisłostrady; potem proponują mi wyjście na wódkę, już poza firmę i w mniejszym gronie. Jedziemy do Adrii, jest nas sześć, siedem osób. Nareszcie możemy pogadać we własnym gronie, bez sztywnego towarzystwa. Jestem ciekaw wszystkiego, byłem oficerem wywiadu, ale nigdy nie pracowałem w tym gmachu. Wspominają Sergiusza, o jego następcy, Franciszku, mówią żartobliwie „tajemniczy James”, nie wprost, raczej między wierszami podpowiadają mi, abym był czujny wobec naczelnika. Sformułowanie „bezinteresowna zawiść” chyba nie pada, ale tak bym rozumiał te sugestie. Nie chcę ich wypytywać, co tu się działo, trochę mówią sami. O tym, że Zdzichu, mój oficer prowadzący, wyjechał na placówkę zagraniczną już jakiś czas temu. O tym, jak powstała w Departamencie specjalna grupa operacyjna do „łapania szpiegów” przeznaczonych na moją wymianę. O tym, jakie cyrki wyprawiano wokół Pawłowskiego, żeby zgodził się nie przechodzić na drugą stronę. O idiotycznym uporze Jaruzelskiego na jego punkcie. Nie miałem o niczym pojęcia. Docierały do mnie wiadomości z konsulatu, ale zwykle w formie lakonicznego komunikatu, że „sprawa jest w toku”. Nie wiedziałem, co tutaj się dzieje. Byłem wściekły i rozżalony na „ojca narodu”, gdy Basia powiedziała mi o czekoladzie dla dzieci na otarcie łez, ale nie przypuszczałem, że z powodu jego wybujałych ambicji na temat munduru wymiana może lec w gruzach. Między wywiadem wojskowym a cywilnym nie ma miłości we wszystkich służbach w każdym kraju. My, z sekcji naukowo-technicznej, mamy na ten temat swoje, odrębne zdanie. Opowiadają też, ile było zachwytu nad materiałami, które przywoziłem. I ile kłopotów mieli „specjaliści z WAT-u”, żeby zrozumieć, o co w nich chodzi. Jak deliberowali, czy to w ogóle możliwe… taka technika. Bawimy

się długo. Ale skutki są natychmiastowe. Rano jestem wezwany do dyrektora Biczyka i dowiaduję się, iż w Centrali mogę przebywać wyłącznie pod obstawą dwóch oficerów. Dwóch konkretnych oficerów: W. i H. Nie było ich z nami poprzedniego wieczoru w Adrii, ale jeśli wczoraj zrozumiałem sugestie kolegów, są to zaufani naczelnika. W każdym razie na pewno w mojej sprawie.

Spotkania w Centrali trwają. Odwiedzają nas znajomi, rodzina. Żona przedstawia mi przyjaciół, których poznała, gdy mnie nie było. Zygmunt z żoną. Mieszkają po sąsiedzku, w bloku naprzeciwko. Żona Zygmunta pracuje w Komendzie Stołecznej MO. Często się spotykają, lubią ze sobą rozmawiać. Mówi, jak Zygmunt jej pomagał, gdy dostała mieszkanie. Mieszkanie było nowe, w świeżo oddanych blokach, więc miało cały możliwy zestaw usterek, od krzywych ścian do niedomykających się okien. Śmieją się teraz z tego. Zygmunt mówi, iż Basia miała taki „amerykański gust" i trudno było sprostać jej oczekiwaniom. Całuje Basię. Fajni ludzie.

Sprawa Zacharskiego, teczka, Departament I MSW,notatka wewnętrzna, 24 czerwca 1985 roku „Dostarczone przez Zacharskiego dokumenty uzyskały wysoką ocenę Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i zaprzyjaźnionych służb radzieckich. Posłużyły one do wprowadzenia wielu zmian w planach rozwoju przyszłościowej techniki militarnej ZSRR i stały się podstawą budowy nowych konstrukcji. Znalazło to wyraz w specjalnym podziękowaniu towarzysza Andropowa, przewodniczącego KGB, przekazanym Ministrowi Spraw Wewnętrznych PRL i świadczącym, że uzyskane materiały wniosły poważny wkład w umacnianie obronności państw socjalistycznych".

Z harmonogramu spotkań z Barbarą Zacharską.

17 września 1982 — Zygmunt „X" dokonał wizji lokalu mieszkalnego Zacharskich pod kątem założenia PP[37].

[...]

Naczelnik Wydziału VI do Naczelnika Wydziału II, Biura „W"[38] ppłk. Andrzeja B.

Proszę o spowodowanie otwarcia, dokonania kserokopii oraz zamknięcia przesłanego w załączeniu dokumentu.

Po zrealizowaniu powyższego oryginał dokumentu wraz z kopertą prosimy zapakować w odrębną kopertę i spowodować wysłanie jej na następujący adres:

Marian Zacharski

Warszawa

ul. Kulczyńskiego 5 m 6

Nadawca: Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Warszawa

Napisy na kopercie należy wykonać na maszynie do pisania. Wykonaną kserokopię proszę przekazać — tel. 46-42, tow. W.
Załącznik:
1 dokument — tajne spec. znaczenia.

Na początku lipca dostałem pismo z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w którym proszono, abym potwierdził swoją wolę pozostania po wymianie w Polsce. Tłumaczono to jakimiś zawiłościami formalnymi. Wydawało mi się, że tamto oświadczenie, które dawałem mecenasowi Vogelowi, było jednoznaczne, ale nie ma problemu, skoro trzeba, to trzeba. Potwierdzam i odsyłam. Ponieważ po tamtej imprezie w Adrii powiedziano mi, iż mam informować naczelnika (poprzez jednego lub drugiego z „zaufanych") o wszelkiej korespondencji dotyczącej spraw związanych z wymianą (o ile taka nastąpi, jak zaznaczył dyrektor), więc informuję. Zanoszę list z MSZ panu W.[39]

Dziewczynki kończą rok szkolny. Karolinka, po „aferze z podwórka" nie chce, żebym przychodził do szkoły na zakończenie roku, ale Małgosia spodziewa się nagrody za doskonałe wyniki z języka angielskiego. Idziemy razem. Moja starsza córka miała dziesięć miesięcy, gdy przeprowadziliśmy się do Stanów, sześć lat, gdy wróciła do Polski. Mówi biegle po angielsku, dorastała z tym językiem, miała amerykańskie dzieciństwo. Jest taka dumna, że tata zobaczy, jak odbiera nagrodę. Macha do mnie z daleka, gdy stoi ze swoją klasą i zaczynają wyczytywać nazwiska nagrodzonych uczniów. Ale apel kończy się, a jej nazwisko nie pada. Dzieci rozchodzą się, Małgosia stoi w miejscu ze spuszczoną głową. Idę do niej. Przygarniam do siebie ją i jej gorzki szloch. Jakaś kobieta przygląda się nam.

— Małgosiu, to twoja nauczycielka?

Mała kiwa głową. Zostawiam córkę i podchodzę do tej kobiety. Chociaż nie muszę zadawać pytania, jej nienawistny wzrok mówi sam za siebie. Patrzy na mnie jak na szczura, którego się boi i brzydzi jednocześnie.

— Panie Zacharski — cedzi przez zęby z wyższością — pana córka musi się pozbyć tego amerykańskiego akcentu. To polska szkoła. Nazwisko ojca tu nie wystarczy!

Moje córki, gdy przez cztery lata wychowywały się bez kontaktu z ojcem, przeżywały swój osobisty dramat. Teraz, gdy wróciłem, natychmiast odzywają się ci, którzy z racji odmiennych poglądów politycznych oddadzą moim dzieciom razy za ojca! Pięści mi się zaciskają. Kocham moje dziewczynki do szaleństwa. Nie pozwolę, żeby znowu

cierpiały przeze mnie. Patrzę w pytające, zapłakane oczy Małgosi i mówię do niej, jak do dorosłej:

— Córeczko, nie zawsze ci, którzy nas oceniają, robią to sprawiedliwie. Czasami kierują nimi inne, osobiste pobudki. Nie możesz brać tego do siebie. Ta pani wystawia sobie ocenę, nie tobie. Zresztą, kochanie, chyba nie należy oczekiwać sprawiedliwości na każdy rogu. Ten świat nie jest zły, ale daleko mu do doskonałości.

Mówię do Małgosi a w myśli podejmuję postanowienie, że zrobię wszystko, by pokazać moim córkom świat, by go im otworzyć, a nie zamykać. Pewnie, że nie jest doskonały, ale chcę, żeby go zobaczyły. Nie pozwolę ich utopić w bagnie miernoty. Bylejakości. Po powrocie wiele rzeczy nie układa się tak, jak powinno. W więzieniu po prostu tęskniłem za wolnością, za rodziną. Nie zastanawiałem się, jak to będzie. Teraz widzę, że nie jest łatwo. Między Basią a mną jest jakaś pusta przestrzeń, która nie chce się zapełnić. Dystans, który nie maleje. Dzieci mają przeze mnie przykrości. Gdy mnie nie było, sytuacja w kraju zmieniła się radykalnie. Mimo tego, co przeszedłem, nie dla wszystkich jestem bohaterem. Zresztą tego akurat nie oczekuję. Nieufni są nawet moi pracodawcy. W porządku, może potrzebują czasu. Może wszyscy potrzebujemy czasu, by się ze sobą oswoić.

Od 9 rano do popołudnia, czasem do wieczora, trwają „rozmowy”. Prowadzą je ze mną zaufani naczelnika, W. i H. Oczywiście nagrywają. Mam im opowiadać dzień po dniu wszystko, co się działo od mojego aresztowania. Pytania są drobiazgowe. Atmosfera przyjazna, świetne jedzenie. Mam się czuć komfortowo, mimo iż regularnie mnie przesłuchują. Minęły ledwie dwa tygodnie od mojego powrotu. Za dwa kolejne pojadę z Basią i dziewczynkami na wczasy. Nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Dla mnie święto odzyskanej wolności trwa. Cieszę się co dzień, gdy budzę się we własnym łóżku. Cieszę się tym, że mogę sam wyjść z domu. Że mogę włączyć telewizor, kiedy chcę. Gówno w nim jest, ale jest mój. Sam sobie zapalam światło i sam je gaszę. Jem normalny chleb. Wszystko mi się podoba. Jestem szczęśliwym, wolnym człowiekiem. I niezależnie od tego, co ci dwaj tutaj i ten, który im to zlecił, myślą, nic tego nie zmieni. Nawet ich wszawe zachowanie, ich niegodna podejrzliwość. Jak się trochę zdenerwuję, przypominam sobie Sergiusza i czasy, gdy woziłem w swojej walizce materiały na wagę złota, a on krzyczał, że miałem nie brać. Od razu mi lepiej. Dobrze, niech sobie pytają. Na tym polega cudowna, niczym niezastąpiona, równowaga ducha człowieka, który nic nie ma do ukrycia. To oni mylą się we własnych pytaniach, tak chcą je czujnie, chytrze zadać, żebym się na czymś wyłożył.

Wpadają we własne sidła. Kto nie musi kłamać, nie kłamie. Więc się nie pomyli. Mam was gdzieś, drodzy towarzysze. Chociaż szkoda dla takich jak wy nadstawiać karku. Ale ani wy nie jesteście całym światem, ani on na was się nie kończy. Jest tylu świetnych młodych oficerów. Amen.

Po dwóch tygodniach dają mi spokój. Chyba są niepocieszeni, ale więcej pytań nie da się zadać. Sporządzają raport i zanoszą naczelnikowi. A ja pakuję się przed wyjazdem na wakacje.

Gdy naczelnik dostaje raport, nie ma już żadnego powodu, by zwlekać z wypłatą. Wzywają mnie, podpisuję. W tym zakresie moja służba zachowała się godnie. Gdy Basia wróciła z dziećmi do Polski po moim aresztowaniu, była bez pieniędzy. Ówczesny szef, generał Słowikowski, postanowił, iż będą wypłacali jej część mojego wynagrodzenia. Gdy potrzebowała pieniędzy na wkład mieszkaniowy, dali jej pożyczkę. W tym sensie naprawdę dbali o moją rodzinę. A pieniądze, które zarabiałbym w Polamco, w dolarach, odkładali aż do mojego przyjazdu. Teraz wypłacili mi to wszystko. Można to uznać za odszkodowanie albo za zaległe wynagrodzenie. Tak czy inaczej to sporo pieniędzy, zwłaszcza z racji kursu dolara. Operacja miała być utajniona, ale niemal tego samego dnia jeden z kolegów mówi mi, iż są w wydziale ludzie, którzy mówią, że też by sobie chętnie posiedzieli w więzieniu za takie pieniądze. Krew się we mnie zagotowała. Tchórze, którzy w życiu tyłka zza biurka nie ruszyli. Niech najpierw coś zrobią, a potem pieprzą takie głupoty! Więc jeszcze i to: polskie piekiełko zawiści. W euforii po powrocie do ojczyzny zapomniałem, że to — prędzej czy później — musiało się tak skończyć.

Kumpel mówi:

— Nie przejmuj się, Włodek, wszędzie są mendy, które za dolary oddałyby się w niewolę! Ale ty na swoje ciężko zapracowałeś.

Przed samym urlopem mam jeszcze spotkanie z ministrem spraw wewnętrznych generałem Czesławem Kiszczakiem. Obecne jest kierownictwo resortu, generał Pożoga, generał Sarewicz i… kamera.

Powitanie, dekoracja Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Kilka słów od ministra. Kamera znika.

Siadamy przy stoliku, kawa, słodycze. Kiszczak pyta mnie o samopoczucie, o przeżycia w amerykańskim więzieniu. Bez zadęcia, normalnie.

Każdy z nich potrafi być normalnym człowiekiem, jakby marksizm-leninizm był garniturem paradnym, który wkładają na specjalne okazje.

Pożoga pochodzi z Gdańska, jest szefem wywiadu i kontrwywiadu, Sarewicz kierownictwo wywiadu objął, także przechodząc z kontrwywiadu. W żadnym z nich nie czuję tej „rewolucyjnej nadczujności", jaką wykazują się niżsi rangą. Nie szukając daleko, mój naczelnik.

Gdy pyta mnie o Stany, rozmawiamy; nie ma w tym, a w każdym razie nie czuję, podchwytliwej gry.

Kiszczak pyta, czy mam jakieś plany na przyszłość, co bym chciał robić.

— Panie generale, chciałbym, jeśli to jest możliwe, dostać jakąś pracę. Przepraszam, że o tym mówię, ale nie mogę tak siedzieć bezczynnie.

Kiszczak roześmiał się szczerze:

— Dobre! Gdyby mi pan powiedział, że nie chce pan pracować do końca życia, to miałbym z tym pewien kłopot, ale skoro pan chce pracować, to nie widzę żadnego problemu!

Zwrócił się do Sarewicza i Pożogi:

— Towarzysze, kapitan Zacharski ma dostać pracę taką, jaką zechce!

Żegnamy się, wychodzimy.

Idziemy do gabinetu generała Sarewicza. Szef prosi sekretarkę, by zawołała Biczyka i Franciszka. Gdy przychodzą, mówi do niech:

— Panowie, wracamy ze spotkania u najwyższego. Towarzysz minister Kiszczak życzy sobie, by kapitan Zacharski dostał pracę. By dostał taką pracę, jaką zechce!

Widzę, jak „tajemniczy James" krzywo zerka na order w klapie mojej marynarki. Ale przed przełożonym zachowuje się usłużnie. Cholera, jak to się robi?! Ćwiczył ten wyraz twarzy? Mam jakąś wadę genetyczną, że tego nie umiem? Z szefami do tej pory albo miałem stosunki partnerskie, albo wcale. Coraz wyraźniej widzę, że mam jakiś problem z podległością.

Biczyk pyta:

— Z pracą dla kapitana to może być kłopot... Nawet w Berlinie sam minister Wolf mówił, że pan się stał, nie z własnej winy oczywiście, znanym publicznie wywiadowcą... A w naszym fachu to śmierć zawodowa...

— Ale mówił również generał Wolf, że z moich doświadczeń powinniśmy, przepraszam, moi przełożeni powinni zrobić użytek — tak się dokładnie wyraził.

— Tak, tak było. — Potakują w stronę Sarewicza, który nie był z nami w Berlinie.

— No dobrze, ma pan jakiś pomysł, kapitanie? — przerywa to gadanie Sarewicz.

— Mam. Chciałbym zostać szefem LOT-u albo Peweksu.

Widzę, że Franciszek wciska się w fotel. Ale przy przełożonym nie waży się komentować.

— Mam doświadczenie w kierowaniu dużą spółką na rynku zagranicznym. Za granicę mnie nie wyślecie w chwili obecnej, to odpada. Ale mogę rozkręcić każdą inną dużą firmę, tak aby umiała sprostać wyzwaniom rynkowym w kontakcie z firmami zagranicznymi. Moje wyniki z Polamco o tym świadczą.

— Podoba mi się ten pomysł! — mówi Sarewicz, ale zaraz dodaje — tyle że LOT odpada, to siedziba naszej konkurencji, służb wojskowych. Murem się ustawią, żeby cię tam nie wpuścić. A mieliby się czego bać, wlałbyś tam trochę świeżej krwi! Ale Pewex — nie widzę przeszkód.

Ja zaś czuję, że i Biczyk, i Franio widzą same przeszkody. Najważniejszą jest to, że polecenie idzie od Kiszczaka i jeśli tego nie załatwią, to generał rozliczy ich szybko. Sarewicz zwraca się do nich:

— Panowie, kapitan Zacharski jedzie na urlop, a wy macie miesiąc, żeby przygotować Pewex. Tylko porządnie, bez żadnych nachalnych działań! Nie po to wprowadzamy swojego człowieka do firmy, by się zrobił koło tego szum. Sprawdzić mi tam, czy kogoś z aktualnej kadry kierowniczej nie warto by wysłać na zagraniczną placówkę, chętnych nigdy nie brakuje! Zresztą, co ja was będę pracy uczył!

Zabieram wszystkie swoje dziewczyny i jedziemy nad morze. Na podwójny turnus. Do Mielna.

Mamy domek kempingowy w ośrodku MSW. I miesiąc wakacji. Pogoda doskonała. Wylegujemy się na plaży. Czasem wspominamy Kalifornię, choć staramy się tego unikać. Dziewczynki biegają i piszczą. Powolutku przyzwyczajamy się do siebie. One do tego, że mają ojca. Początkowo ze wszystkim zwracają się do Basi. Po jakimś czasie zaczynam być dla nich kimś rzeczywistym.

Czasami ludzie rozpoznają mnie na plaży, w kinie, w kolejce po frytki. Główne wydanie „Dziennika Telewizyjnego” z relacją z mojego powrotu miało dużą oglądalność. Reakcje są różne, bo społeczeństwo ma przynajmniej dwa odmienne punkty widzenia. Dla tych, którzy są związani z opozycją, jestem pracownikiem znienawidzonych służb. Nieważne, że wywiad to inna ich część. A dla aparatczyków stałem się podejrzany, bo siedziałem w amerykańskim więzieniu. Koło się zamyka.

Kobiety jednak obdarzają mnie długimi spojrzeniami. Mama mnie trochę odkarmiła, ale na plaży wciąż widać, że jestem chudy. Na szczęście biegi w Memphis dały mi trochę muskulatury. Jedzenie w ośrodku kiepskie, ale

nadal nic mi nie przeszkadza. Oficer, który przychodzi prawie co dzień, by spytać, co słychać i czy czegoś nam nie trzeba, też nie. Ani ci państwo w domku obok, którzy, gdy tylko wracamy znad morza, wyciągają leżaczki i przykryci gazetami albo i nie, robią nam zdjęcia. A gdy idziemy na spacer, zazwyczaj są tam, gdzie my. A gdy stoimy po rybę, też stoją, do tej samej budki.

Ja to wszystko rejestruję, ale straciłem całkowicie „czujność rewolucyjną". Innymi słowy: mam to gdzieś. Chcą za mną łazić? Niech łażą. Są podejrzliwi? Niech będą. Przecież im nie zabronię. Nie mam na to żadnego wpływu. Może, jak przeanalizują raport z Magdalenki, jak sprawdzą notatka po notatce, że wszystko się zgadza z tym, co mówiłem, siedząc w więzieniu, dadzą mi spokój.

Ludzie o życiorysach naruszonych komuną, stanem wojennym, nie chcą przyjąć do wiadomości, że ktoś mógł się nie dać złamać. Znacznie łatwiej, znacznie wygodniej byłoby, gdyby „bohater" miał rysę na życiorysie, jakąś wyrazistą skazę. Byłby swój. Nawet można by mu łaskawie wybaczyć. Ale brak rysy? To sprawia, że jest niepokojąco niezależny. A to dyskredytuje w oczach środowiska.

Bałtyk jest taki piękny! Namiętnie wpatruję się w horyzont, w linię, która nie ma granic.

Mam urlop. I jestem u siebie.

---

[1] Paszport służbowy.

[2] O życiu Howarda Hughesa opowiada słynny film Martina Scorsese „Aviator" z 2004 roku. O rosyjskiej łodzi podwodnej opublikowano m.in. następujące książki: Roy Varner i Wayne Collier, „A Matter of Risk", wyd. Random House 1978; Kenneth R. Sewell i Clint Richmond, „Red Star Rouge", 2005 r.

[3] IRS — (Internal Revenue Service) — amerykański urząd podatkowy.

[4] PSA — (Pacific Southwest Airlines) to bardzo atrakcyjna i ogromnie popularna lokalna linia lotnicza, obsługująca początkowo tylko rejon Kalifornii, a więc Los Angeles, San Francisco, San Diego, Sacramento. Linia ta słynęła ze stewardes ubranych w bardzo krótkie spódniczki lub jeszcze krótsze spodenki i, sądząc po ich wyglądzie, starannie dobieranych pod względem urody.

[5] Covert All Weather Gun System.

[6] Wydział VI — wywiad naukowo-techniczny, w tym elektronika i zagadnienia związane z nowoczesnymi urządzeniami o charakterze stricte

militarnym.

[7] DARPA — Defense Advanced Research Projects Agency. Agencja będąca dla amerykańskiego Departamentu Obrony centralnym biurem badań i rozwoju. Jej podstawową misją jest zapewnienie utrzymania technologicznej przewagi Stanów Zjednoczonych w zakresie techniki wojskowej, a także zapobieżenie zaskoczeniu technologicznemu, które mogłoby narazić bezpieczeństwo narodowe Stanów Zjednoczonych. Zajmuje się również przygotowaniem tego typu technologicznych niespodzianek wobec ich adwersarzy. Została utworzona w 1958 roku jako odpowiedź na wysłanie przez Rosjan Sputnika.

[8] Zdjęcia poklatkowe – zdjęcia robione kamerą filmową wyposażoną w specjalną funkcję. Film przesuwa się jak w normalnym aparacie fotograficznym, po każdym zdjęciu, na następną klatkę. Dzięki temu, można z jednego filmu wykonać około 3 tysięcy zdjęć.

[9] Nielegał — „oficer, kadrowy pracownik wywiadu działający w warunkach głębokiej konspiracji na terenie obcego państwa, poza oficjalnymi strukturami przedstawicielstwa swojego kraju. Wyposażony w fikcyjny życiorys, czyli legendę, przeważnie ma obywatelstwo danego państwa. Działa w pojedynkę lub w parze ze współmałżonkiem. Nie utrzymuje żadnych kontaktów z lokalną rezydenturą legalną. Zadaniem nielegała jest wtopienie się w środowisko dla utrwalenia legendy i dotarcie do interesującego obiektu, a następnie organizacja działań wywiadowczych, w tym najważniejszego, czyli zbudowanie siatki szpiegowskiej. Szkolenie nielegała jest długotrwałe i bardzo żmudne. Po zainicjowaniu pracy operacyjnej utrzymuje kontakt bezpośrednio z Centralą swej służby za pośrednictwem łączności radiowej, kurierów lub skrzynek kontaktowych. W wypadku większej liczby nielegałów są tworzone rezydentury nielegalne”. Jan Larecki, „Wielki leksykon służb specjalnych świata”, Książka i Wiedza 2007.

[10] Później, gdy wyszło na jaw, że prototyp udoskonalonego pocisku TOW BGM-71C Improved TOW znajduje się w rękach polskiego wywiadu, zrezygnowano z jego produkcji w USA. Dokonano kolejnego usprawnienia i ukazał się model znany jako BGM-71D TOW 2, a następnie BGM-71E TOW 2A.

[11] AAA — American Automobile Association.

[12] Czarny program — program o najwyższym stopniu utajnienia.

[13] Wielka afera szpiegowska, opisana dalej w związku z osobą Christophera J. Boyce’a. Andrew Daulton Lee był współpracownikiem Boyce’a. W chwili aresztowania 6 stycznia 1977 roku, przed gmachem ambasady radzieckiej w Mexico City, miał przy sobie sfotografowane

dokumenty programu Pyramider. Został skazany na dożywocie.

[14] Pojawił się wymizerowany, małomówny emisariusz z Sekcji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Departamentu Sprawiedliwości. Nazywał się John Dion. Wszystko, co Brewer wiedział, to to, że Dion jest, aby przeprowadzić „stadko" (zaangażowanych pracowników — przyp. mój) przez sprawę, rozkazywać mu, a nawet, co było możliwe, zabrać mu tę sprawę. Brewer: „Początkowo miałem bardzo negatywne odczucia. Był bardzo powściągliwy, sztywny, taki: «Ja tutaj jestem mózgiem, ja reprezentuję Waszyngton». On nigdy tego nie powiedział. Takie miałem odczucia". „San Francisco Examiner", wtorek, 30 sierpnia 1994 r. Autor Scott Winokur.

[15] DIA — Defense Intelligence Agency (Agencja Wywiadu Ministerstwa Obrony USA), utworzona 1 października 1965 roku na bazie organizacji wywiadowczych działających w poszczególnych rodzajach sił zbrojnych.

[16] „To było jak spierać się z nadjeżdżającym walcem parowym. Sprawa w wykonaniu strony rządowej była zaplanowaną produkcją, rodzajem *show* wystawionego przez FBI, aby uzyskać pozytywny oddźwięk publiczny. Przekształcili to w publiczny spektakl" — wypowiedź Edwarda Staduma dla gazety „San Francisco Examiner|", wtorek, 30 sierpnia 1994 r.

[17] John Edgar Hoover (1895-1972) — wieloletni (1924-1972), legendarny dyrektor Federalnego Biura Śledczego (FBI), znany między innymi z radykalnych antykomunistycznych poglądów.

[18] Mój obrońca tak komentuje zeznania SA Sullivana: „Myślałem, że ten rodzaj jakiejś szkolnej dziecinady, który kreuje u jurorów atmosferę „płaszcza i szpady" (kolokwialne synonimy szpiegowania — przypis mój) jest niedorzeczny i nie fair". Jak pisze dalej autor artykułu: „W niektórych przypadkach Stadum wierzył, że strona rządowa wydobywała zeznania skalkulowane na rozjątrzenie jurorów bez rzucania jakiegoś znaczącego światła na fakty". „San Francisco Examiner", 30 sierpnia 1994 roku, autor Scott Winokur.

[19] Günther Guillaume (1927-1995) — oficer Wywiadu NRD przerzucony do pracy w RFN. W 1957 roku wstępuje do SPD, w 1964 zostaje ważnym funkcjonariuszem tej partii. Kanclerz Willy Brandt zatrudnia go w swoim biurze. Ma dostęp do największych tajemnic RFN w Urzędzie Kanclerskim. 24 kwietnia 1974 zostaje aresztowany. W wyniku skandalu wywołanego odkryciem szpiega w swym najbliższym otoczeniu, 7 maja 1974 roku ze stanowiska zrezygnował kanclerz RFN Willy Brandt. W 1975 Guillaume zostaje skazany na karę 13 lat więzienia. W 1981 roku wraca do NRD w wyniku wymiany. Zostaje awansowany do stopnia

pułkownika. Umieszczenie swojego oficera wśród najbliższych współpracowników kanclerza RFN było jednym z największych sukcesów legendarnego szefa służby Wywiadu NRD generała Markusa Wolfa.

[20] Bardzo szybko stało się jasne, że ma (Brewer — przypis mój) nie zadawać FBI pytań; FBI było niechętne do udzielania odpowiedzi z wyjątkiem tych najbardziej niezbędnych. Wielu prokuratorów oprotestowałoby narzucenie na nich takich limitów. Brewer nie. W Wietnamie posiadał dostęp do tak wielkich tajemnic — top secret — z dodatkową klauzulą zezwalającą na wgląd w superwrażliwe informacje pochodzące z łączności (czy nasłuchu — przypis mój), że do dnia dzisiejszego nie może rozmawiać o pewnych swoich tamtejszych obowiązkach. Rozumiał działanie systemu i respektował go. „Byłem dobrym żołnierzem" — powiedział. „Byłem idealnym facetem dla nich, aby prowadzić tę sprawę, ponieważ nie zadawałem pytań". „San Francisco Examiner", 30 sierpnia 1994 roku, autor Scott Winokur.

[21] Skonstruowany przez Polaka, Stefana Kudelskiego (ur. 1929 roku w Warszawie, od 1943 roku w Szwajcarii, studiował na politechnice w Lozannie), niezawodny magnetofon Nagra był wykorzystywany także przez reporterów radiowych i telewizyjnych oraz studia filmowe. Za sprzęt dźwiękowy firmy Nagra przeznaczony do kin Kudelski dostał cztery nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej, w tym statuetkę Oscara.

[22] Biuro Radcy Handlowego było częścią polskiej ambasady.

[23] Książka dotyczy historii działalności w USA rosyjskiego nielegała o nazwisku Abel, negocjacji o jego wymianie i samej wymiany za Powersa, pilota samolotu szpiegowskiego U-2, strąconego 1 maja 1960 roku nad ZSRR. To jedna z największych historii szpiegowskich okresu zimnej wojny. Do wymiany doszło na moście w Berlinie. Negocjatorem ze strony wschodniej był mecenas Wolfgang Vogel.

[24] „Marian, oczekuję dnia, gdy my też spotkamy się na moście. Do tego czasu pamiętaj, że lód jest zimny w Islandii — Ed (przyjaciel Mariana)". Mój adwokat nawiązuje w tej dedykacji do wymiany na moście (Abel — Powers, patrz: przypis wcześniejszy), do zeznań emerytowanego agenta FBI Corneliusa Sullivana i do pierwszego momentu nawiązania kontaktu między polskimi oficerami a Bellem w Innsbrucku.

[25] Christoper Boyce — aresztowany w styczniu 1977 roku na terenie campusu uniwersyteckiego w Kalifornii, gdzie studiował program języka chińskiego. Skazany przez Sąd Federalny na 40 lat pozbawienia wolności za przekazywanie KGB tajnych informacji. Jego ojciec, emerytowany oficer FBI, załatwił mu pracę w 1975 roku w TRW Systems Incorporated. W wieku 21 lat, dysponujący wielką wrodzoną inteligencją, Boyce

pracował w „czarnym sejfie” zaprojektowanym dla bezpiecznej łączności pomiędzy CIA i TRW. Zaszokowany tym, czego się dowiedział o działalności operacyjnej CIA poza granicami Stanów Zjednoczonych, wysłał swojego kolegę Daultona Lee do ambasady radzieckiej w Meksyku w celu nawiązania kontaktu i rozpoczęcia dostarczania supertajnych dokumentów. Lee otrzymał wyrok dożywotniego więzienia. Boyce uciekł z więzienia w Lompoc w Kalifornii w roku 1980 i przez 19 miesięcy pozostawał na wolności. Po schwytaniu dostał dodatkowy wyrok w wysokości 28 lat.

[26] Jako pierwszy tego zagadkowego mężczyznę opisał Robert Lindsey w książce „The Falcon and the Snowman” dotyczącej sprawy Boyce’a.

[27] Edward Stadum: „To była fascynująca sprawa, niewyobrażalnie trudna sprawa. Teraz wiem, że nie miałem szans (wygrania — przypis mój), ale wówczas tego nie wiedziałem. Prokurator Brewer miał wszystkie karty. Nie mógł tego przegrać”. Stadum powiedział, że w trakcie toczącej się sprawy rozwinął głęboki szacunek dla swojego klienta. „San Francisco Examiner”, 30 sierpnia 1994 roku, autor Scott Winokur.

[28] Robert Brewer po wygranym procesie został adwokatem w San Diego w renomowanej kancelarii prawniczej McKenna Long and Aldridge LLP.

[29] CMC — *Central Monitoring Case* (centralnie nadzorowana sprawa). Jakiekolwiek decyzje dotyczące więźnia objętego CMC muszą uzyskać aprobatę Centralnego Biura Więziennictwa w Waszyngtonie. W wypadku Bella i moim nie wolno było nam, na przykład, być razem w tym samym więzieniu. Nie wolno nam było mieć jakiegokolwiek kontaktu osobistego, listownego etc. Każde przeniesienie do innego więzienia musiało być zatwierdzone przez Centralne Biuro Więziennictwa w Waszyngtonie. Stąd takie zaskoczenie ich pomyłką w gmachu sądu. Ale czy to na pewno była pomyłka?

[30] Bill Bell najpierw odsiaduje swój wyrok w federalnym więzieniu w Springfield w stanie Missouri, następnie przenoszą go bliżej domu, do więzienia Terminal Island w San Pedro w Kalifornii. To jest to samo więzienie, w którym byłem przetrzymywany przez pierwszych siedem miesięcy, aż do zakończenia procesu. Po wyjściu na wolność Bell przenosi się w rejon Santa Barbara. Jest samotny. Opuszczony. Po pewnym czasie odnajdują go martwego, leżącego na podłodze z rozrzuconymi wokół butelkami po alkoholu. Ironią losu jest to, że w Centrali Wywiadu w Warszawie czekały na niego należne mu znaczne kwoty pieniężne. Nie znaleziono sposobu, aby dostarczyć je Bellowi. Może to by mu pomogło przetrwać i ustabilizować swoje życie?

[31] Obywatelka NRD, o której mowa, to Alice Michelson. Została aresztowana 1 października 1984 roku, kiedy chciała wejść na pokład samolotu odlatującego z Nowego Jorku do Pragi. Miała przy sobie nagrania na taśmie ukryte w paczce papierosów. Była kurierem radzieckiego kontrwywiadu wojskowego. Nagranie otrzymała od sierżanta armii amerykańskiej, który odgrywał rolę osoby współpracującej z kontrwywiadem wojskowym ZSRR. W chwili aresztowania miała 67 lat. Została oskarżona i trzymano ją w areszcie do czasu wymiany bez wyznaczenia kaucji.

[32] Agent FBI nawiązywał do morderstwa księdza Jerzego Popiełuszki, które miało miejsce 19 października 1984 roku. Jednak ten fakt nie miał żadnego związku z negocjacjami, które na dobre ruszyły po zabójstwie kapłana „Solidarności”.

[33] Tak określają nagły przewóz więźnia.

[34] John Edward P. był wysokim rangą funkcjonariuszem CIA, o czym wówczas nie mogłem wiedzieć. Jego rola podczas tej podróży polegała na nieustającej gotowości, gdybym zdecydował się, nawet w ostatniej chwili, nie wracać do Polski. Nie wolno mu było ze mną rozmawiać. Ale gdybym zmienił zdanie, to wówczas on stałby się dowódcą tego „zgrupowania”. Po latach, po zmianach ustrojowych, spotkaliśmy się w Polsce. W naszym obiekcie w Magdalence. W pewnym sensie zostaliśmy przyjaciółmi. Jego postać powróci w drugiej części moich wspomnień.

[35] Nicholson — żołnierz amerykański, który podczas rutynowej misji kontrolnej, jakie wykonywały sojusznicze armie we wschodnim sektorze jako siły okupacyjne Berlina, podszedł zbyt blisko bazy rosyjskiej i został zastrzelony przez strażnika. Jego ciało wracało na Zachód także przez most Glienicke.

[36] Rote Kapelle — organizacja wywiadowcza działająca w całej Europie i dostarczająca do ZSRR informacje o tajnych planach faszystowskich Niemiec. Dr Harnak, jeden z dwóch przywódców Czerwonej Orkiestry, po schwytaniu został skazany na śmierć. Jego małżonka była Amerykanką, co początkowo uchroniło ją od wyroku śmierci, lecz osobista interwencja Hitlera sprawiła, że wyrok zrewidowano i wykonano.

[37] PP — podsłuch pomieszczenia.

[38] Biuro „W” zajmowało się kontrolą korespondencji.

[39] Sprawa była znacznie bardziej skomplikowana, niż mi się wówczas wydawało, ale dowiedziałem się o tym dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Otóż, zgodnie z umową o wymianie, wszystkim więźniom, w tym i mnie, przysługiwało prawo rezygnacji i powrotu, w

moim wypadku do USA. Był dwutygodniowy okres na potwierdzenie i miesięczny na powrót. Jasne jest, iż z takiego prawa nigdy nie chciałbym skorzystać, ale ówcześni przełożeni ukryli przede mną fakt, iż takowe w ogóle mam.

FRAGMENT LISTY DOKUMENTÓW PRZEKAZANYCH WYWIADOWI POLSKIEMU PRZEZ WILLIAMA HOLDENA BELLA

1. Executive Summary for CAWGS, Spin Table Doppler. Resolution Improvement Real Beam
2. LPIR Phase II Final Report
3. Proposal for Millimeter Wave, LPIR
4. Hughes Programmable Signal Processor
5. Proposal for CAWGS Addendum II CAWGS Antena Concepts
6. Index Microwave Products
7. Controller General of the USA Foreign Military Sales of Defense F-15, F-5, F-16, F-18
8. CAWGS, Volume II, Technical Proposal
9. Proposal to Hughes Aircraft for CAWGS Turret, Cost Volume
10. Proposal to Hughes for CAWGS – Turret
11. Gun Serve Drive and Stabilization for CAWGS Air Defense System
12. Proposal for CAWGS Vehicle Integration Tasks Volume II RDT and Capabilities
13. Electromagnetic Launching Projector
14. BSTAR (Battlefield Surveillance and Target Acquisition Radar)
15. Army Advanced Artillery Technology Program
16. Soviet Army Echelonment and Objectives in Offensive Operations
17. DARPA Problem Area Briefing and New Technology for an Advanced Indirect Fire System
18. Target Acquisition and Weapon Delivery System (TAWDS)
19. Advanced F-15 Air to Ground Attack Radar

20. Fire Control System for High Survivability Test Vehicle
21. Phoenix F-14 Armament System
22. Laser Target Designator
23. Anti-Armor Concept Study
24. System TADS/PNVS:
    Part 1 Book 1A Substituting Technical Data TADS
    Part 1 Book 1B
    Part 1 Book 1C
    Part 1 Book 1 Addendum 1 Rockwell TADS Laser Tracker
    Part 1 Book 2 Substituting Technical Data PNVS
    Part 1 Book 3 Substituting Technical Data Mechanical Electrical Interface
25. F-18 Radar Set:
    Volume I Executive Summary
    Volume II Technical Book 1 Requirements and Performance
    Volume II Technical Book 1 Appendix Detailed Performance Analysis
    Volume II Technical Book 2 Mechanization
    Volume II Technical Book 2 Appendices Physical Design Analysis, Test Supporting USE Data
    Volume II Technical Book 3 Reliability
    Volume II Technical Book 4 Trade Studies
26. X-21 Tank Fire Control Ballistic Computer System
27. STAR Air to Ground Radar
28. Contract Brief CAWGS
29. Proposal for Variable Search and Track Air Defense VSTAR
30. HIMAG Phase II Advanced Development
31. Korean Indigenous Tank Fire Control System M60A3 Derivative
32. Fire Control System for HSTVL
33. Proposal for TOW Guidance Link Improvement Program (TGLIP) Volume 1 Technical
34. Millimeter Waves Seminars
35. Applications of MMW Radar for Tactical Systems
36. 60 GHz Mixer-Preamp IR and D Space
37. 94-140 GHz Radar Systems Studies
38. Far Infrared Technology
39. Advanced Planning Briefing for Industry at US Military Academy
40. Dual Purpose Weapon System
41. Medium Caliber Armament Systems ACVT (Armored Combat Vehicle Technology
42. Cannon Launched Beamrider Guided Projectile Volume I Engineering

Design
43. Proposal for AN/TPQ 37 Extended LPIR
Volume II Technical Book 1 System for AN/TPQ36
Volume II Technical Book 1
44. Phoenix F-14 (AWG-9) Armament System:
Volume I Part A Definition and Analitical Solution
Volume I Part B Analitical Solutions AIM-54 Missile
Volume III Mechanization AWG-9
Volume IV Mechanization AIM-54 Missile
Volume VIII Performance Verification
45. Proceedings of Sixth DARPA Tri-Service Millimiter Wave Conference
46. F-15 Radar Set Operation and Maintenance Instruction Handbook Training Materials Volume I, II, III
47. Dual Purpose Weapon System (DPWS) Final Report
48. IR Imaging Guidance Unit Free Flight Demonstration Program, Technical Report, part I SFOV, Part II (DFOV)
49. CWD Cooperative Weapon Delivery Study, Phase II
50. Advanced Phase Array Design Concept
51. Proposal for Project STARTLE Millimeter Wave Radar
52. FLEXAR Prototype Design Review
53. Handbook of Soviet Ground Forces
54. Millimeter Wave Technology Program
55. Attack Helicopter Operations
56. Gunfighter DIVAD
57. US Roland
58. Track Radar Functional Description Volume IV Book 2-11
59. Surveillance Radar IJF Functional Description, Volume IV Book 1
60. Engagement Operational Procedure Volume III
61. Communication Subsystem Description, Volume IV
Summary Description, System Specification
Defense, System Tactical
Modes and Functions
62. DIVAD
63. Programmable Signal Processor
64. Ground Laser Locator Designator
65. Gun Servo Drive and Stabilization
66. STAR Air to Ground Radar
67. Anti Armor Concept Computer System
68. XM21 Ballistic Computer System
69. Korean Indigenous Tank Fire Control System

70. Air Defense Artillery Handbook
71. Millimeter Radar Test Program
72. Millimeter Wave Fuse Development Program
73. Improved Vulcan Air Defense System (IVADS)
74. Dual Antenna Ranging Tracking and Search Radar for STARTLE
75. Method of Measuring of Yaw and Spin Rate of Projectiles
76. Dual Frequency HAWTADS Radar System Concept
77. Millimeter Wave Fuse Development Study, Final Report
78. Simultaneous Transit and Receive STAR
79. FLEXAR Briefing
80. Rationale for Selecting a Modular Diode
81. HIMAG Phase II Advanced Development, Volume III FSC, Phase I Study
82. HSTVL-Fire Control System for High Energy Survivability Test
83. CWD – Cooperative Weapon Delivery Study
84. Millimeter Wave Tracking Radar Study
85. STAR Multi Beam, Multi Frequency TWS Quiet Radar
86. Millimeter Wave Tank Fire Control and Radar
87. DIVAD
88. LoAD PPD Program Summary, Schedule and Milestones
89. LoAD PLU Description Document
90. LoAD MX Threat Parameters
91. LoAD MX Threat (Laydown Definition) 5,280 Ft Shelter
92. Prime Item Development Specification for Sensor
93. System Specification for LoAD Deceptive MX only
94. AN/TSQ-73 Missile Minder System and Program Description
95. PATRIOT System and Program Description
96. Improved HAWK System and Program Description
97. HAWK Headquarters
98. HAWK Firing Battery
99. HAWK Maintenance Battery
100. HAWK General Support Section
101. STINGER Post System and Program Description Manpad
102. POST = Passive Optical System Technique
103. MANPAD = Man Portable Air Defense Missile System
104. ROLAND System and Program Description
105. SHORAD Missile System, Short Range Air Defense System
106. CHAPARRAL System and Program Description
107. SHORAD for Fair Weather Daylight
108. DIVAD Gun System and Program Description

109. Replaced 20 mm VULCAN Gun System
110. Division Air Defense Batallion
111. Division Air Defense Gun Battery
112. Division Air Defense Chaparral Battery
113. DIVAD Gun Direct Support Element
114. DIVAD Gun General Support Element
115. Obsolescent Systems
116. SHORAD Command and Control System
117. FAAR and TAADS Description, Distrubution List
118. TARAN Mark 1-S Weapon Control System, Operational and Tactical Analysis Report, Control and Functions
119. TARAN Mark 1-S Weapon Control System, Performance and Tactical Recommendation, Weapon Control System, Equipment Specification
120. TARAN Mark 1-S Weapon Control System, Training Course Classified Supplement
121. HAWTADS Sensor, Search, Acquisition and Precision Tracing and Weapon Guidance System
122. 94 GHZ Radar System
    Proposal for Director Fire Control, System Integration
    Director Feasibility, Evaluation
    Volume 1 – Technical
    Director Fire Control System Integration
    Director Feasibility Evaluation
    Addendum to Volume I Technical Background
123. Surface Effect Frigate
124. AAW-SSW Combat System FLEXAR
    Conceptual Definitions and Evaluation
    Fire Control System
125. MK-92 and 76 mm calibre (Oto malara) Gun Mount
126. MK-75, Evaluation Report
127. AN/SPS-52 C 128. 3-D Radar for the US Navy’s, Dog Combat System
129. Millimeter Wave Radar, System Concept Study, Phase 1
130. SEMCOR
131. Radar System Capable Tracking Low Flying Subsonic Aircraft at mm Wave Frequencies
132. TARAN Improvement Program, Operational Analysis
133. Low Attitude Air Defense for Mirage IIIS
134. TARAN HM-50S, Flight Program Report, Interim Report
135. TARAN MK-1, HM-55S Flight Test Program, Final Report

136. KUTLAS Ku-band Tactical, Lightweight Avionics, Weapon Control System
Air to Air
Air to Ground
137. TARAN 4-S Radar, Performance
138. TARAN Mark 1-S Training Course System Analysis
139. Program for Research and Development, Fiscal Year 1982
141. DIVAD
Divisional Air Defense, Gun System
142. DIVAD, Revision of Operational Capability „ROC”
143. Millimeter Wave Propagation Through Smokes, Technical Report
144. Defense Technical Information Center 1981
145. Bi-static Thinned Linear, Array Investigation, „BISTAR”
146. BRAZO, Air to Air Arm Feasibility Demonstration Program
147. Taran Improvement Program

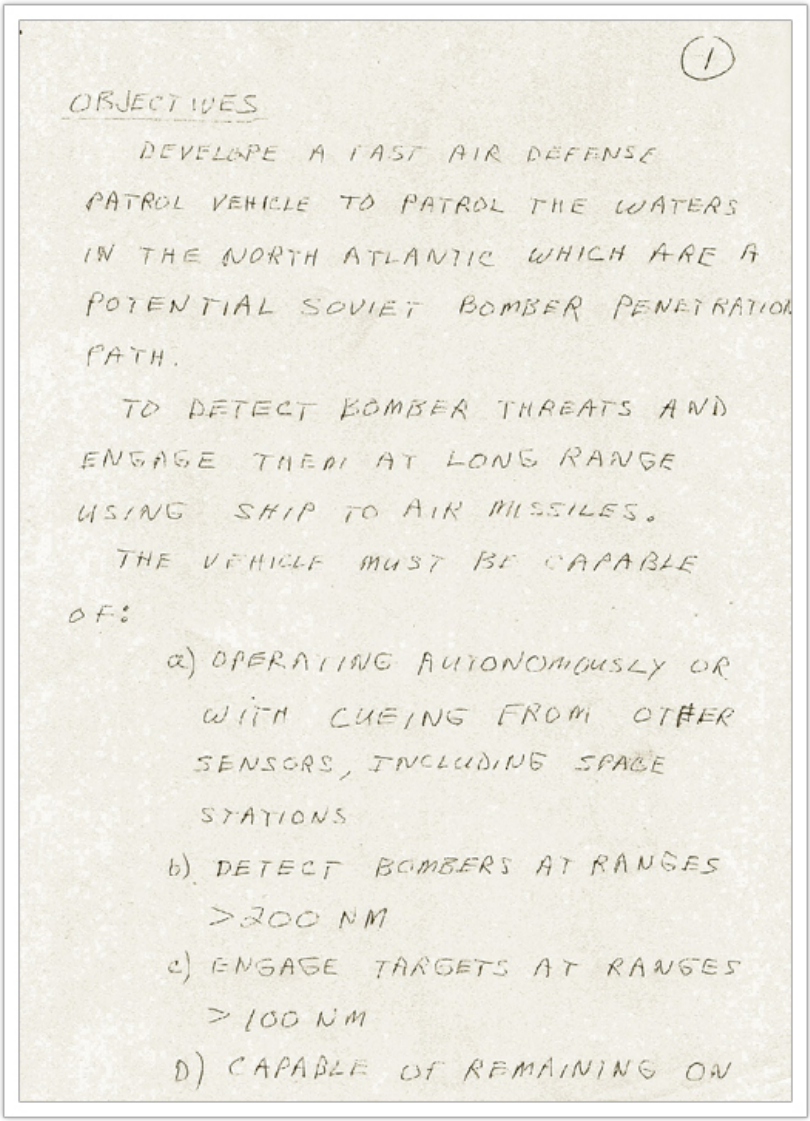

(1)

OBJECTIVES

DEVELOPE A FAST AIR DEFENSE PATROL VEHICLE TO PATROL THE WATERS IN THE NORTH ATLANTIC WHICH ARE A POTENTIAL SOVIET BOMBER PENETRATION PATH.

TO DETECT BOMBER THREATS AND ENGAGE THEM AT LONG RANGE USING SHIP TO AIR MISSILES.

THE VEHICLE MUST BE CAPABLE OF:

a) OPERATING AUTONOMOUSLY OR WITH CUEING FROM OTHER SENSORS, INCLUDING SPACE STATIONS

b) DETECT BOMBERS AT RANGES >200 NM

c) ENGAGE TARGETS AT RANGES >100 NM

D) CAPABLE OF REMAINING ON

Odręcznie sporządzony dokument dotyczący założeń programu o kryptonimie „Girlfriend”. Chodzi o pierwszą łódź zbudowaną jako Stealth, a więc niewykrywalną przez urządzenia (np. radary) przeciwnika.

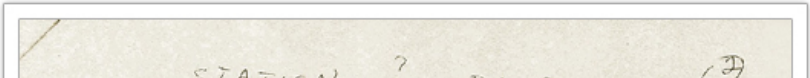

STATION ? DAYS (D)

E) CAPABLE OF HIGH SPEED DASH FOR DEFENSE

F) BE INVISABLE TO SURFACE AND AIRBORNE RADAR SENSORS

G) BE NON DETECTABLE BY SUBMARINE SONAR

F) RADAR OPERATION IN A LOW PROBABILITY OF INTERCEPT MODE (eg, IMMUNE TO DETECTION BY PASSIVE INTERCEPT RECEIVERS

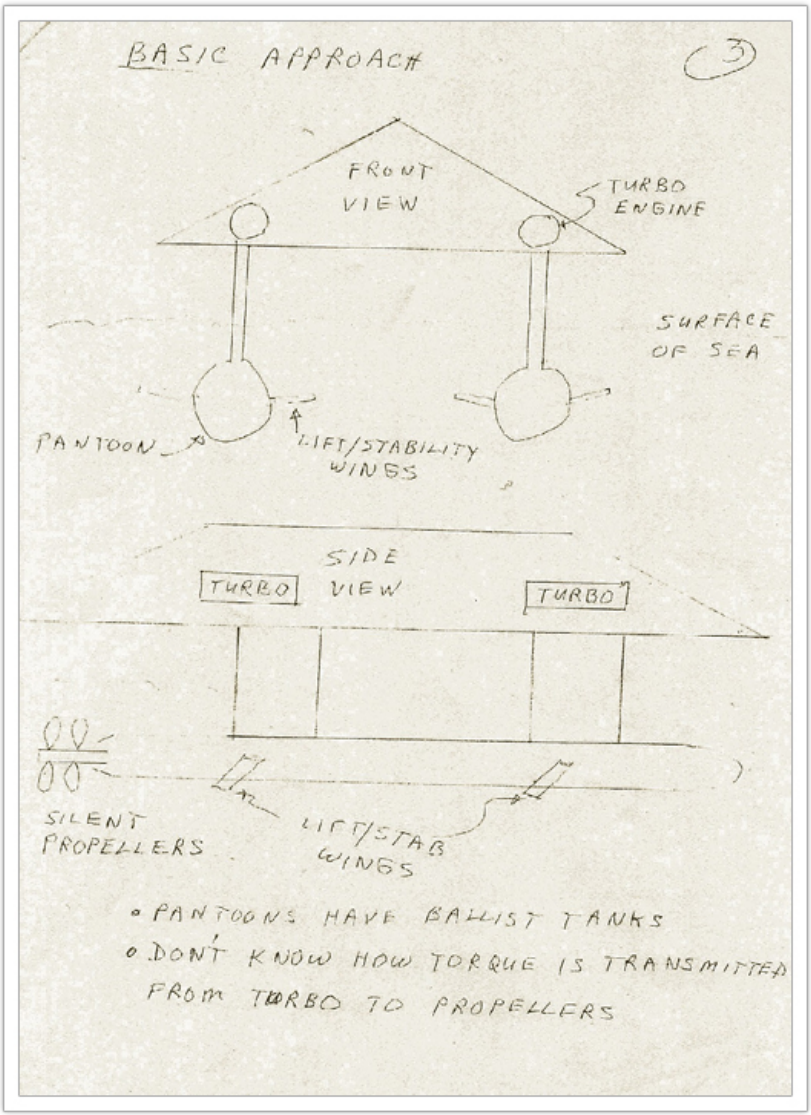
BASIC APPROACH
3
FRONT VIEW
TURBO ENGINE
SURFACE OF SEA
PANTOON
LIFT/STABILITY WINGS
SIDE VIEW
TURBO
TURBO
SILENT PROPELLERS
LIFT/STAB WINGS
• PANTOONS HAVE BALLIST TANKS
• DON'T KNOW HOW TORQUE IS TRANSMITTED FROM TURBO TO PROPELLERS

FD-497 (1-28-57)

1-00005

Time	Initial	IC OG	Activity Recorded
:33am	AMC	IC	MARION ZACHARSKI to BASIA ZACHARSKI POLISH MARION advises that he is still in London, and will depart there for Warsaw on Saturday. He hopes to be back home by next Friday at the latest. MARION asks BASIA if she has been watching the news on television for any broadcasts about Poland, but BASIA advises that she has been too busy. MARION has no comment, and asks about the children. BASIA informs him that all is well at the house. MARION asks BASIA if she'll be ready for a trip to Hawaii in February, and BASIA responds "Well, maybe we can". She does not like to travel with the children and always has a difficult time finding someone to look after them. She reminds MARION to pick up some perfume for her at the airport. MARION advises BASIA that he will call again on Saturday morning - he adds that he has made many purchases on this trip. BASIA reprimands, says he spends too much money. Conversation closes.
0:54am	AMC	IC	WALDEK GREY to BASIA ZACHARSKI POLISH GREY phones in order to check-up on BASIA, who tells him that MARION has already phoned her twice from London. GREY asks BASIA if MARION likes it there, but BASIA does not know - says he has not been there for very long. BASIA advises that MARION has no special news about events in Poland, and states that they cannot converse for very long anyway. MARION will be returning to Poland on Saturday. He has been in London for about a week. BASIA tells GREY that since MARION left about a half a month ago, everything at the office has come to a standstill BASIA states that TRZECIAK, the head of the CG office, is also presently in Poland. BASIA advises that they (MARION and TRZECIAK) both have posts already lined up for them in Poland. BASIA expresses her doubts (unusual) that things will be better there - says she cannot remember when things have been in such an uproar. GREY states his concern for the children and their schooling...he feels it would be better to remain here - the children would become more proficient in their English. BASIA agrees and thinks it would be best here in California, but adds that if MARION were to become a director in the company it would be better in the long run to have everything already in Poland. GREY states that this is true. BASIA says that everything should be straightened out by March. Conversation closes.

Log 15172 Page 1

Day Thur Date 1/15/81

Employee's Name

CHARRON

Date Stamp

SEARCHED INDEXED

SERIALIZED FILED

JAN 15 1981

FBI — LOS ANGELES

Przykłady zapisów FBI z podsłuchów mojego telefonu.

FD-297 (1-28-57)

1-00009

Time	Initial	IC OG	Activity Recorded
4:19pm	AMC	OG	MARION ZACHARSKI to POTENTIAL BUYER re business. MAN expresses a concern to MARION as to what might happen to their spare parts should Russia invade Pola MARION states flatly that it is next to impossible th anything like that will ever happen, and adds that he should know as he just returned from Poland. MARION t MAN that should something happen the international industries would have to proceed with business in the normal fashion - the longest delay in production woul be one week at the most. POTENTIAL BUYER seems satisfied. He is dealing throus Raliegh Bros. and would mean a large profit for POLA LA is they make a deal...
4:21pm	AMC	OG	MARION ZACHARSKI to MAN(RALEIGH BROS.) re business. NPI.
4:57pm	AMC	OG	BASIA ZACHARSKI to POLF POLISH NPI
6:48pm	AMC	IC	RITA BELL to MARION ZACHARSKI MZ: "Hello?" RB: "Already in bed?!" MZ: "No-o-o!" RB: "No? What are you doing?" MZ: "Oh, well, right now really nothing. We just fini dinner." RB: "Why dont you come over and have a drink with us' MZ: "Okay... Can we do it a little bit later?" RB: "What time?" MZ: "Oh, in about a half hour or so." RB: "Uh-huh...Quarter after six, uh... Between 6:30 a 7:00?" MZ: "Uh-huh!" RB: "Okay sure." MZ: "thank you." RB: "Bring Barbara." MZ: "Alrighty" RB: "Okay bye." MZ: "Thank you bye"

Log 15172 Page

Day Thur Date 1/22/81

Employee's Name

Charron

Date Stamp

SEARCHED INDEXED

SERIALIZED FILED

FBI — LOS ANGELES

7 (1-28-57)

1-00048

Time	Initial	IC OG	Activity Recorded
am	AMC	IC	MARION ZACHARSKI to BASIA ZACHARSKI POLISH MARION advises that he'll be arriving tonight around 6:40pm. MARION tells BASIA to go to the TWA building as he will be coming in on Braniff. His flight number is 371 out of Dallas.

Log 15172 Page

Day Fri. Date 6/26/81

Employee's Name

charron

Date

REAMP
SEARCHED INDEXED
SERIALIZED FILED
AUG 10 1981
FBI — LOS ANGELES

FBI/DOJ

FD-287 (1-28-57)

Time	Initial	IC OG	Activity Recorded #1 HOME
6:10pm	AMC	IC	BILL BELL to MARIAN ZACHARSKI MZ: 'Hello' BB: 'Mario!' MZ: 'Oh hi!' BB: 'How you doing?' MZ: 'Im okay, how are you?' BB: 'Pretty good ... Feel like playin'?' MZ: 'Oh, I cannot play today I still got a little bit sore throat you know... problem....' BB: 'Oh, okay, uh... you know... I prefer not to, uh, also, I mean, you know...' MZ: 'Yeah, you must be pooped like hell you know...' BB: 'Yeah' MZ: ' Are you?' BB: 'Oh yeah Im kinda tired right just now just with the change of time...' MZ: 'Uh-huh'...'Maybe I will stop by later a little bit for a minute or so' BB: 'Alright fine.' MZ: 'Okay?' BB: 'Yeah, I'll give you a good drink of Vodka...' MZ: 'Oh boy!' (laughs) BB: 'I understand you tried some of it...' MZ: 'Yeah, the one time I stopped by she gave me a good water.' (both laugh) MZ: 'Alright, I'll see you' BB: 'Okay bye.' MZ: 'Bye-bye'

Log ~~1517~~ Page	Employee's Name	Date Stamp
Day Thur. Date ~~12/13/79~~	Ann M. Charron	

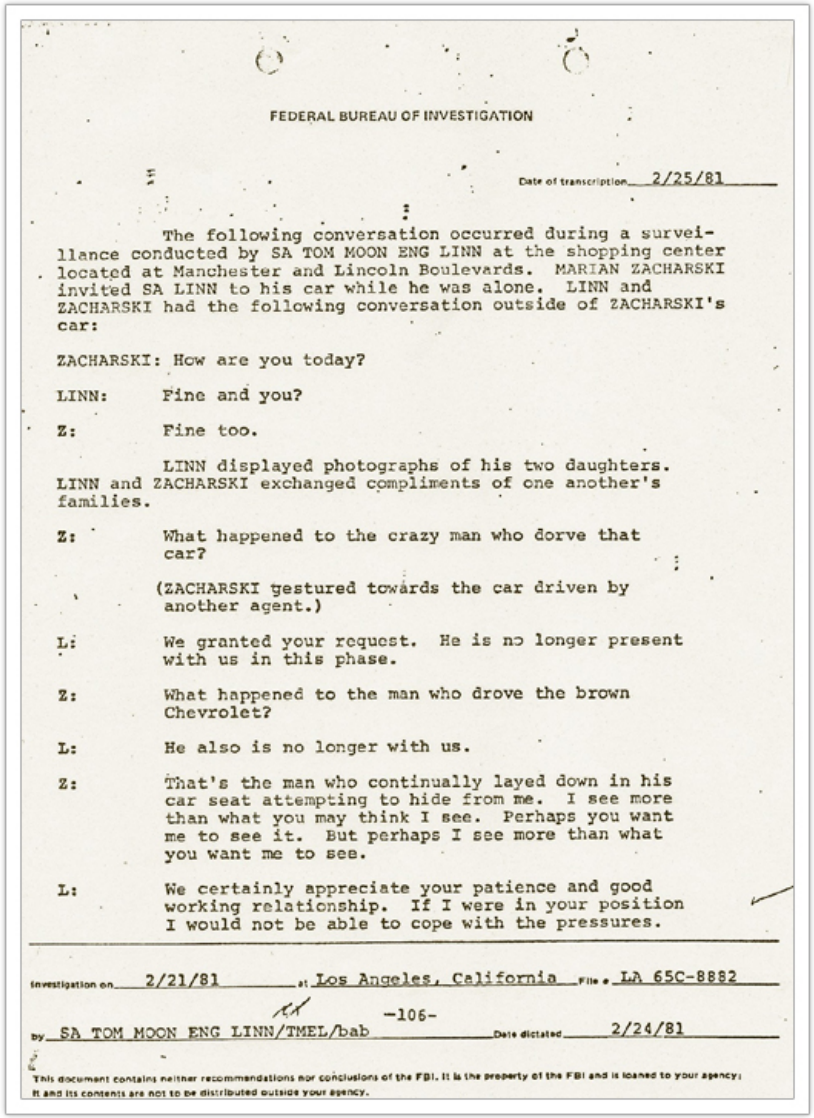

FEDERAL BUREAU OF INVESTIGATION

Date of transcription 2/25/81

The following conversation occurred during a surveillance conducted by SA TOM MOON ENG LINN at the shopping center located at Manchester and Lincoln Boulevards. MARIAN ZACHARSKI invited SA LINN to his car while he was alone. LINN and ZACHARSKI had the following conversation outside of ZACHARSKI's car:

ZACHARSKI: How are you today?

LINN: Fine and you?

Z: Fine too.

LINN displayed photographs of his two daughters. LINN and ZACHARSKI exchanged compliments of one another's families.

Z: What happened to the crazy man who dorve that car?

(ZACHARSKI gestured towards the car driven by another agent.)

L: We granted your request. He is no longer present with us in this phase.

Z: What happened to the man who drove the brown Chevrolet?

L: He also is no longer with us.

Z: That's the man who continually layed down in his car seat attempting to hide from me. I see more than what you may think I see. Perhaps you want me to see it. But perhaps I see more than what you want me to see.

L: We certainly appreciate your patience and good working relationship. If I were in your position I would not be able to cope with the pressures.

Investigation on 2/21/81 at Los Angeles, California File # LA 65C-8882

-106-

by SA TOM MOON ENG LINN/TMEL/bab Date dictated 2/24/81

This document contains neither recommendations nor conclusions of the FBI. It is the property of the FBI and is loaned to your agency; it and its contents are not to be distributed outside your agency.

Fragment stenogramu FBI z rozmowy między ich agentem specjalnym Tomem Moon Eng Linnem a mną.

Z: I don't let it bother me. If you want to waste your time and fuel following me, that's your decision. Why are you following me?

L: I can't really respond to that.

Z: I think you and the blond curly haired man who drives the gray car, are nice guys. However, I very much dislike that crazy man.

What happened to you Friday morning?

L: I don't understand what you're attempting to say.

Z: Friday morning I had a big meeting with Washington officials.

L: In regards to your business?

Z: Yes. We are transacting business. I intend to sell machinery to them. I sold machinery to your government in the past. As a matter of fact, I have four employees who have top secret clearances.

L: Why do they have the clearances?

Z: For the installation of machinery apparently in restricted areas.

L: Your employees must be American citizens.

Z: Two are but I think two are not. I think they obtained special top secret clearances for the installation of the equipment.

L: Where is this equipment installed?

Z: (Offered no comment.)

I plan to vacation here soon.

L: In the U. S.?

Z: There's a lot of beautiful country I want to see before I leave.

L: You leaving the U. S. permanently?

Z: Yes.

L: Where are you going?

Z: I can't offer that information.

L: You're certainly doing a lot of traveling.

Z: I have been traveling since I was 22. I'm now 29 and will turn 30 soon.

LINN and ZACHARSKI discuss the major issues.

L: Does your family enjoy traveling?

Z: Yes limited travel. On Sunday I took my family to Big Bear Lake and Lake Arrowhead in order to show my youngest daughter snow.

L: Your children do not see much of their relatives.

Z: True. Its a long distance to Poland and it takes a great deal of time to get there.

L: How long is the flight?

Z: Approximately 11 and a half hours of flight time. I get extremely bored on the long flights. I eat three meals, watch all the movies and do some reading.

L: Do you also have a couple of drinks to pass the time?

Z: No. I do not drink on aircraft. In fact I drink very little.

L: I drink no alcoholic beverage due to some physical reactions.

Z: We have friends who live above us. The wife is Filipino. She has an extremely low tolerance for alcoholic beverages.

L: This is the first time I've heard of a Filipino with low tolerance. I do understand that its quite common in orientals.

Z: I don't know about orientals. I've had limited association with them. Did you notice my addition to the car?

L: You mean the dent on the right side?

Z: No. The license plate holder.

ZACHARSKI took LINN to the front of his car and showed him the license plate cover which read "Happiness is being Polish". ZACHARSKI explained that a friend of his located the plate cover and gave it to him. ZACHARSKI explained that the dent on the right rear section of his car was caused by his wife.

L: Do you intend to have that repaired?

Z: No. I'm getting rid of this car. I do not like Chrysler products. I hope Chrysler folds.

L: Why?

Z: They manufacture terrible cars. The Horizon that our company owns and this car (the Chrysler Cordoba) are continually breaking down. I wanted to buy American cars since...since I make money here, I think I should spend money here.

L: What type of car do you intend to purchase?

Z: I'm undecided. I noticed you are hiring young people now.

L: True. But weren't you rather young when you came to the U. S.?

Z: Yes.

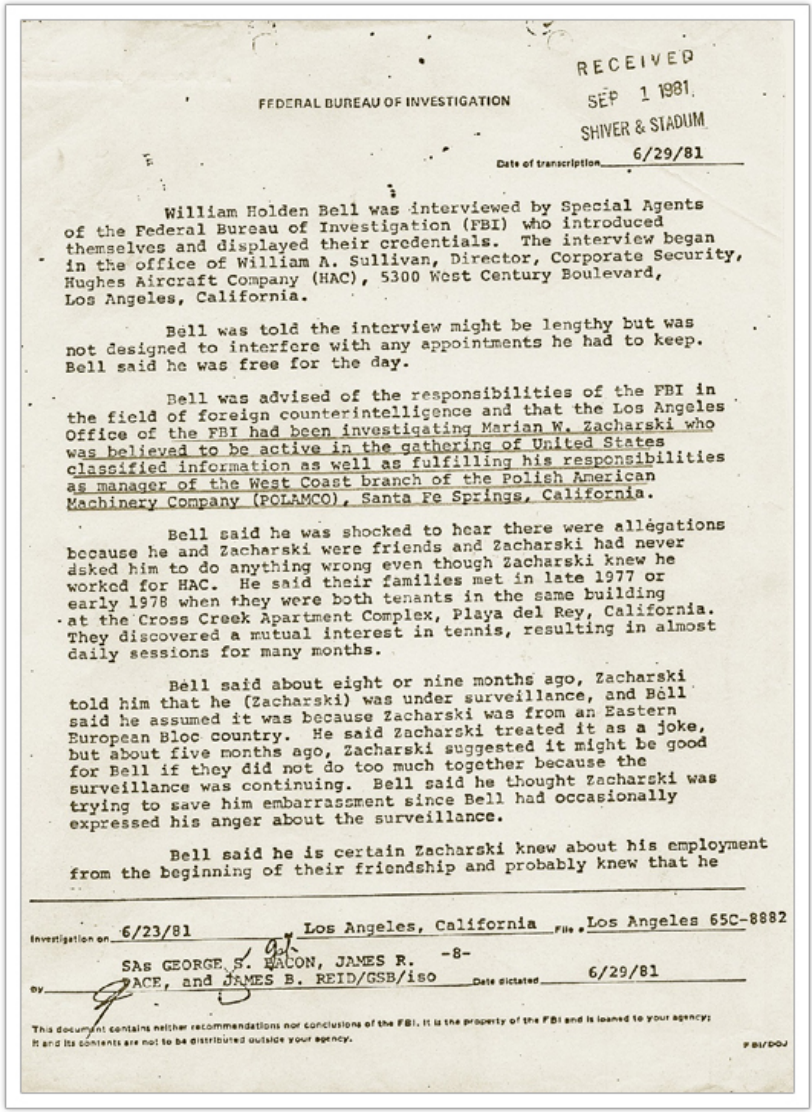

FEDERAL BUREAU OF INVESTIGATION

RECEIVED
SEP 1 1981
SHIVER & STADUM

Date of transcription 6/29/81

William Holden Bell was interviewed by Special Agents of the Federal Bureau of Investigation (FBI) who introduced themselves and displayed their credentials. The interview began in the office of William A. Sullivan, Director, Corporate Security, Hughes Aircraft Company (HAC), 5300 West Century Boulevard, Los Angeles, California.

Bell was told the interview might be lengthy but was not designed to interfere with any appointments he had to keep. Bell said he was free for the day.

Bell was advised of the responsibilities of the FBI in the field of foreign counterintelligence and that the Los Angeles Office of the FBI had been investigating Marian W. Zacharski who was believed to be active in the gathering of United States classified information as well as fulfilling his responsibilities as manager of the West Coast branch of the Polish American Machinery Company (POLAMCO), Santa Fe Springs, California.

Bell said he was shocked to hear there were allegations because he and Zacharski were friends and Zacharski had never asked him to do anything wrong even though Zacharski knew he worked for HAC. He said their families met in late 1977 or early 1978 when they were both tenants in the same building at the Cross Creek Apartment Complex, Playa del Rey, California. They discovered a mutual interest in tennis, resulting in almost daily sessions for many months.

Bell said about eight or nine months ago, Zacharski told him that he (Zacharski) was under surveillance, and Bell said he assumed it was because Zacharski was from an Eastern European Bloc country. He said Zacharski treated it as a joke, but about five months ago, Zacharski suggested it might be good for Bell if they did not do too much together because the surveillance was continuing. Bell said he thought Zacharski was trying to save him embarrassment since Bell had occasionally expressed his anger about the surveillance.

Bell said he is certain Zacharski knew about his employment from the beginning of their friendship and probably knew that he

Investigation on 6/23/81 Los Angeles, California File # Los Angeles 65C-8882

by SAs GEORGE S. BACON, JAMES R. -8- PACE, and JAMES B. REID/GSB/iso Date dictated 6/29/81

This document contains neither recommendations nor conclusions of the FBI. It is the property of the FBI and is loaned to your agency; it and its contents are not to be distributed outside your agency.

FBI/DOJ

Raport FBI z rozmowy przeprowadzonej przez agentów specjalnych z Williamem H.Bellem w dniu 23 (wtorek) czerwca 1981 roku. W jej wyniku Bell przyznał się do przekazywania dokumentów stronie polskiej. Potwierdził to następnie własnoręcznym podpisem złożonym na swoim oświadczeniu przygotowanym przez oficerów FBI.

worked for the radar systems group at HAC, but Zacharski never asked him to do anything wrong. He said Zacharski once asked for copies of the "Hughes News" and "Vector," both public publications, but saw nothing wrong with that request. Bell said he also recalled that Zacharski asked some questions about the F-15 and F-18 airplanes, but he could not now recall the questions.

Bell said he has received enough briefings to know that he should have reported his relationship with Zacharski as soon as he knew about the surveillance of Zacharski, but he could not believe the surveillance was justified and reporting their relationship might ruin their friendship.

Bell said he did not believe Zacharski would be a likely candidate for defection, but if he stayed in the United States for several more years, he might find it too attractive to go home to Poland.

At this point, the interviewing Agents and Bell mutually agreed to suspend the interview for lunch. It was decided to go to the Holiday Inn which is located directly north across Century Boulevard from the HAC Corporate Security Office. Bell said he had no objections to continuing the interview at the Holiday Inn since it would be more comfortable than the office. Bell said he was going to call his secretary to let her know where he could be reached. He hung up the telephone saying she must have gone to lunch because she did not answer. The Agents then proceeded to drive their vehicles to the Holiday Inn parking lot. Bell said he preferred to leave his car at the HAC lot and would return for it after the interview. He then walked across Century Boulevard to the Holiday Inn.

Following lunch, the interview began again in Room 635 of the Holiday Inn.

Bell said since he first began working for HAC, he has made numerous business trips abroad but had never taken any vacation trips abroad until November, 1979. He said since then, he has also vacationed abroad in May and October, 1980, and in April, 1981. He said he had visited France, Switzerland, Belgium, and Austria during these vacations. He said he had once been employed by the international division of HAC, had worked in Europe, and had developed many friends whom he visited. He also said his wife's parents lived in Belgium, and he had visited them on several occasions.

Bell then read an English translation of an article which appeared in the May 14, 1981, edition of "Nowy Dziennik," a Polish publication. This article reports briefly on the

At this time I cannot recall all of the types of documents which I provided to Marian Zacharski or by film to my contacts in Europe. I do believe that I can provide a fairly accurate list of the information from my notes at home and at my office.

At the time I became involved with Zacharski my present wife and I were in financial difficulty. I had gone through a bankruptcy proceeding and a divorce and it appeared to me this was an opportunity to clear up the outstanding debts that we had. I was fully aware that the approach that Mr. Zacharski made to me initially would be dangerous as I undertook to help him and as I began to receive money and provide him with additional documents, I knew I was committing an act of espionage against the U. S. Government.

I have read the above statement and acknowledge that it is true and accurate to the best of my belief.

William H Bell
WILLIAM HOLDEN BELL

WITNESSES: James B. Reid, Special Agent, FBI, Los Angeles, 6/23/81
JAMES B. REID

Geo. S. Bacon, Special Agent, FBI, Los Angeles 6/23/81
GEORGE S. BACON

James R. Pace, Special Agent, FBI, Los Angeles 6/23/81
JAMES R. PACE

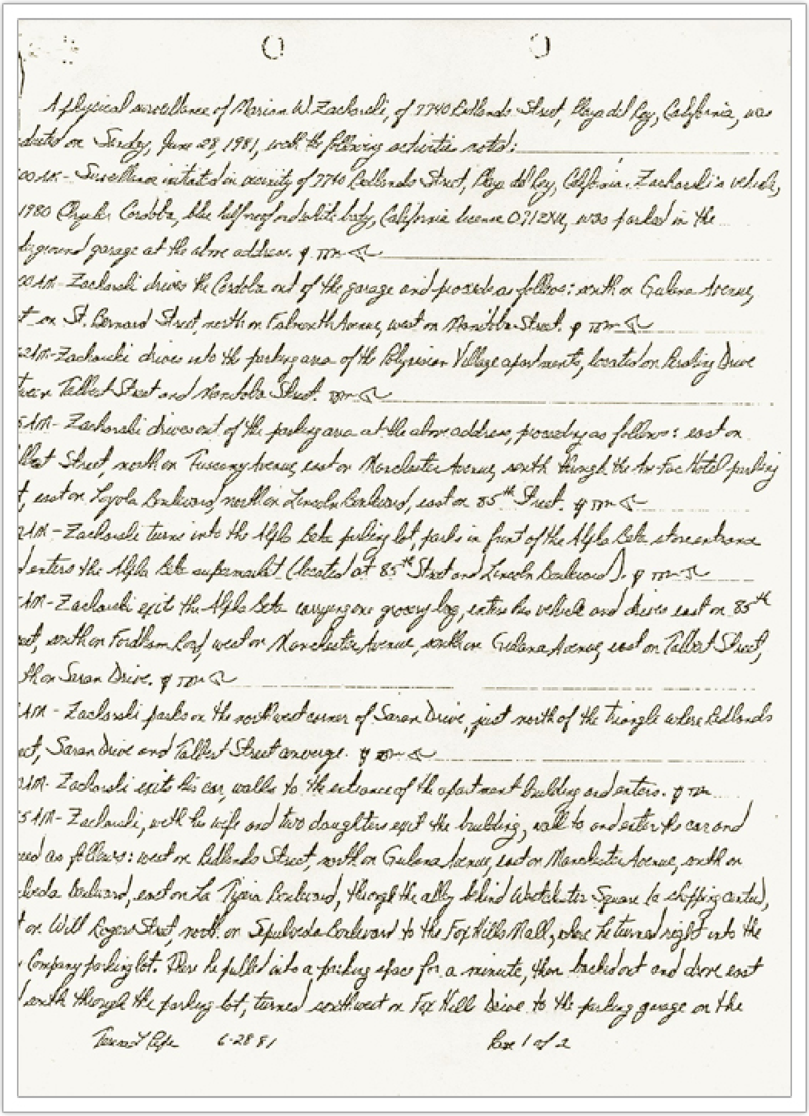

A physical surveillance of Marian W. Zacharski, of 7740 Redlands Street, Playa del Rey, California, was
…ducted on Sunday, June 28, 1981, with the following activities noted:
…00 AM – Surveillance initiated in vicinity of 7740 Redlands Street, Playa del Rey, California. Zacharski's vehicle,
1980 Chrysler Cordoba, blue half roof and white body, California license 071ZXU, was parked in the
…derground garage at the above address. [illegible]
…00 AM – Zacharski drives the Cordoba out of the garage and proceeds as follows: north on Galena Avenue,
…t on St. Bernard Street, north on Falmouth Avenue, west on Manitoba Street. [illegible]
…21 AM – Zacharski drives into the parking area of the Polynesian Village apartments, located on Pershing Drive
…een Talbot Street and Manitoba Street. [illegible]
…5 AM – Zacharski drives out of the parking area at the above address, proceeding as follows: east on
…lbot Street, north on Tuscany Avenue, east on Manchester Avenue, north through the [illegible] Hotel parking
…t, east on Loyola Boulevard, north on Lincoln Boulevard, east on 85th Street. [illegible]
…2 AM – Zacharski turns into the Alpha Beta parking lot, parks in front of the Alpha Beta store entrance
…d enters the Alpha Beta supermarket (located at 85th Street and Lincoln Boulevard). [illegible]
…AM – Zacharski exits the Alpha Beta carrying one grocery bag, enters his vehicle and drives east on 85th
…eet, south on Fordham Road, west on Manchester Avenue, south on Galena Avenue, east on Talbot Street,
…th on Saran Drive. [illegible]
…AM – Zacharski parks on the northwest corner of Saran Drive, just north of the triangle where Redlands
…eet, Saran Drive and Talbot Street converge. [illegible]
…AM – Zacharski exits his car, walks to the entrance of the apartment building and enters. [illegible]
…5 AM – Zacharski, with his wife and two daughters exit the building, walk to and enter his car and
…eed as follows: west on Redlands Street, north on Galena Avenue, east on Manchester Avenue, north on
…lveda Boulevard, east on La Tijera Boulevard, through the alley behind Westchester Square (a shopping center),
…t on Will Rogers Street, north on Sepulveda Boulevard to the Fox Hills Mall, where he turned right into the
… Company parking lot. There he pulled into a parking space for a minute, then backed out and drove east
… south through the parking lot, turned southwest on Fox Hill Drive to the parking garage on the

Thomas Pyle 6-28-81 Page 1 of 2

Ostatnie zapisy w prowadzonej za mną obserwacji w dniu aresztowania, tj. 28 czerwca 1981 roku. Ostatnie zdanie brzmi: „obserwacja zakończona”.

Physical Surveillance of Marian W. Zacharski on Sunday, June 28, 1981.

theast side of the mall. TBM

9 AM - Zacharski entered the parking garage, parked on Level 3, Section D, by the J.C. Penney sign.

AM - Zacharski, his wife and two daughters enter the mall, where they visit various stores and

ps. TBM

5 PM - Zacharski and family exit the mall, enter their vehicle and proceed as follows: north

Sepulveda Boulevard, west on Slauson Avenue, west on Jefferson Boulevard, west on Culver Boulevard,

th on Nicholson Street, south on Pershing Drive. TBM

6 PM - Zacharski stops at the Mi-T-Mart at the southwest corner of Pershing ~~Drive~~ Drive and

nchester Avenue. TBM

29 PM - Zacharski drives north on Manchester Avenue. TBM

8 PM - Zacharski drives into the parking lot of Dale's Market at the northwest corner of

chester Avenue and Falmouth Avenue; he then drives out of Dale's Market, around the

ly, south on Falmouth Avenue, west on Manchester Avenue, north on Lincoln Boulevard, through

lley to the Liquor Deli at ~~Lincoln Boulevard~~ Manchester Avenue and Loyola Boulevard. He stops the car,

ts the store, and comes out several minutes later carrying some cardboard boxes. He then

ves west on Manchester Avenue, then south on Seran Drive. TBM

9 PM - Zacharski parks in the alley behind his residence. TBM

1 PM - Zacharski and family enter the apartment building. TBM

PM - FBI Special Agents enter Zacharski's residence. TBM

PM - Surveillance terminated. TBM

SOS Terrence L. Pope, FBI, Los Angeles, Ca 6-28-81

SOS Thomas Bourdon Mayo, FBI, LOS ANGELES, CALIF. 6/28/81. TBM

SOS Thomas C. Cook, FBI, Los Angeles, Calif. 6-28-81

Page 2 of 2

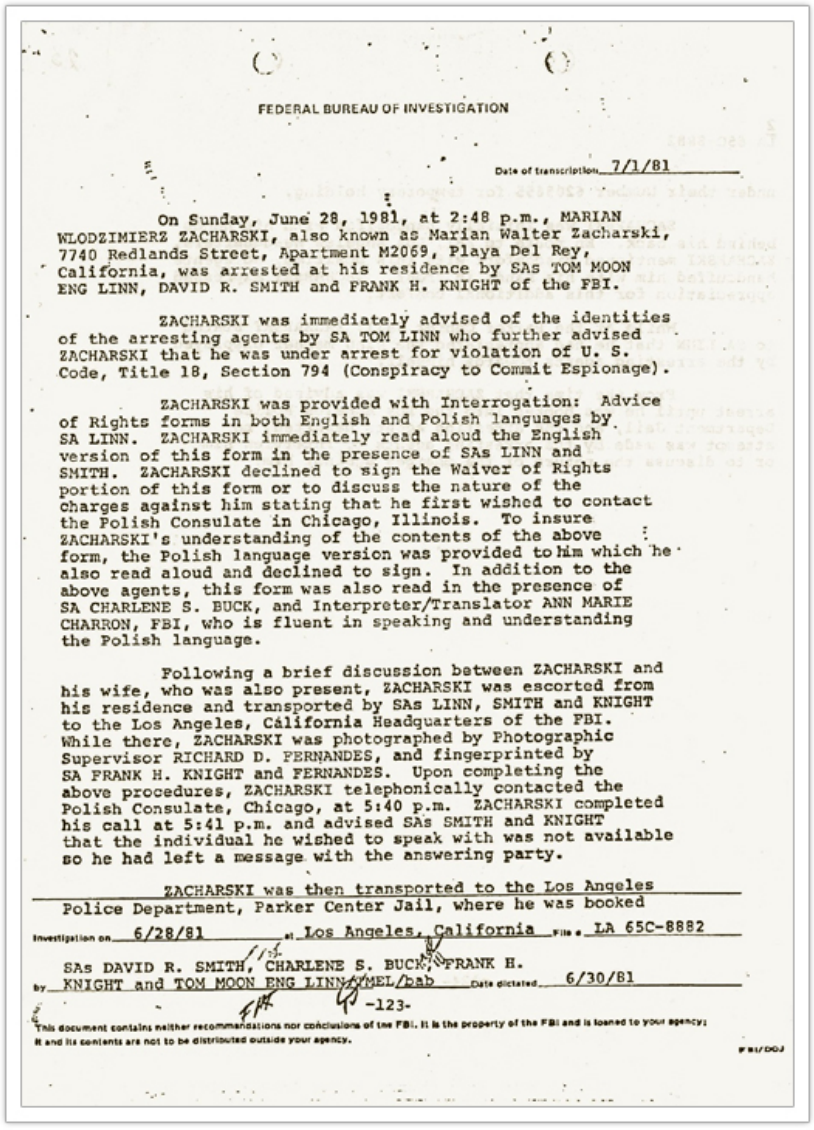

FEDERAL BUREAU OF INVESTIGATION

Date of transcription 7/1/81

On Sunday, June 28, 1981, at 2:48 p.m., MARIAN WLODZIMIERZ ZACHARSKI, also known as Marian Walter Zacharski, 7740 Redlands Street, Apartment M2069, Playa Del Rey, California, was arrested at his residence by SAs TOM MOON ENG LINN, DAVID R. SMITH and FRANK H. KNIGHT of the FBI.

ZACHARSKI was immediately advised of the identities of the arresting agents by SA TOM LINN who further advised ZACHARSKI that he was under arrest for violation of U. S. Code, Title 18, Section 794 (Conspiracy to Commit Espionage).

ZACHARSKI was provided with Interrogation: Advice of Rights forms in both English and Polish languages by SA LINN. ZACHARSKI immediately read aloud the English version of this form in the presence of SAs LINN and SMITH. ZACHARSKI declined to sign the Waiver of Rights portion of this form or to discuss the nature of the charges against him stating that he first wished to contact the Polish Consulate in Chicago, Illinois. To insure ZACHARSKI's understanding of the contents of the above form, the Polish language version was provided to him which he also read aloud and declined to sign. In addition to the above agents, this form was also read in the presence of SA CHARLENE S. BUCK, and Interpreter/Translator ANN MARIE CHARRON, FBI, who is fluent in speaking and understanding the Polish language.

Following a brief discussion between ZACHARSKI and his wife, who was also present, ZACHARSKI was escorted from his residence and transported by SAs LINN, SMITH and KNIGHT to the Los Angeles, California Headquarters of the FBI. While there, ZACHARSKI was photographed by Photographic Supervisor RICHARD D. FERNANDES, and fingerprinted by SA FRANK H. KNIGHT and FERNANDES. Upon completing the above procedures, ZACHARSKI telephonically contacted the Polish Consulate, Chicago, at 5:40 p.m. ZACHARSKI completed his call at 5:41 p.m. and advised SAs SMITH and KNIGHT that the individual he wished to speak with was not available so he had left a message with the answering party.

ZACHARSKI was then transported to the Los Angeles Police Department, Parker Center Jail, where he was booked

Investigation on 6/28/81 at Los Angeles, California File # LA 65C-8882

by SAs DAVID R. SMITH, CHARLENE S. BUCK, FRANK H. KNIGHT and TOM MOON ENG LINN/MEL/bab Date dictated 6/30/81

-123-

This document contains neither recommendations nor conclusions of the FBI. It is the property of the FBI and is loaned to your agency; it and its contents are not to be distributed outside your agency.

FBI/DOJ

Raport FBI z mojego aresztowania w dniu 28 czerwca 1981 roku.

under their Number 6205655 for temporary holding.

ZACHARSKI was initially handcuffed with his hands behind his back. En route to FBI, Los Angeles Headquarters, ZACHARSKI mentioned discomfort with this position, so agents handcuffed him with his hands in front. ZACHARSKI expressed appreciation for this additional comfort.

While at the Parker Center Jail, ZACHARSKI stated to SA LINN that he had appreciated the kind manner displayed by the arresting agents towards himself.

From the time that ZACHARSKI was advised of his arrest until he was booked into the Los Angeles Police Department Jail, and the arresting agents departed, no attempt was made by the arresting agents to interview him or to discuss the nature of the charges against him.

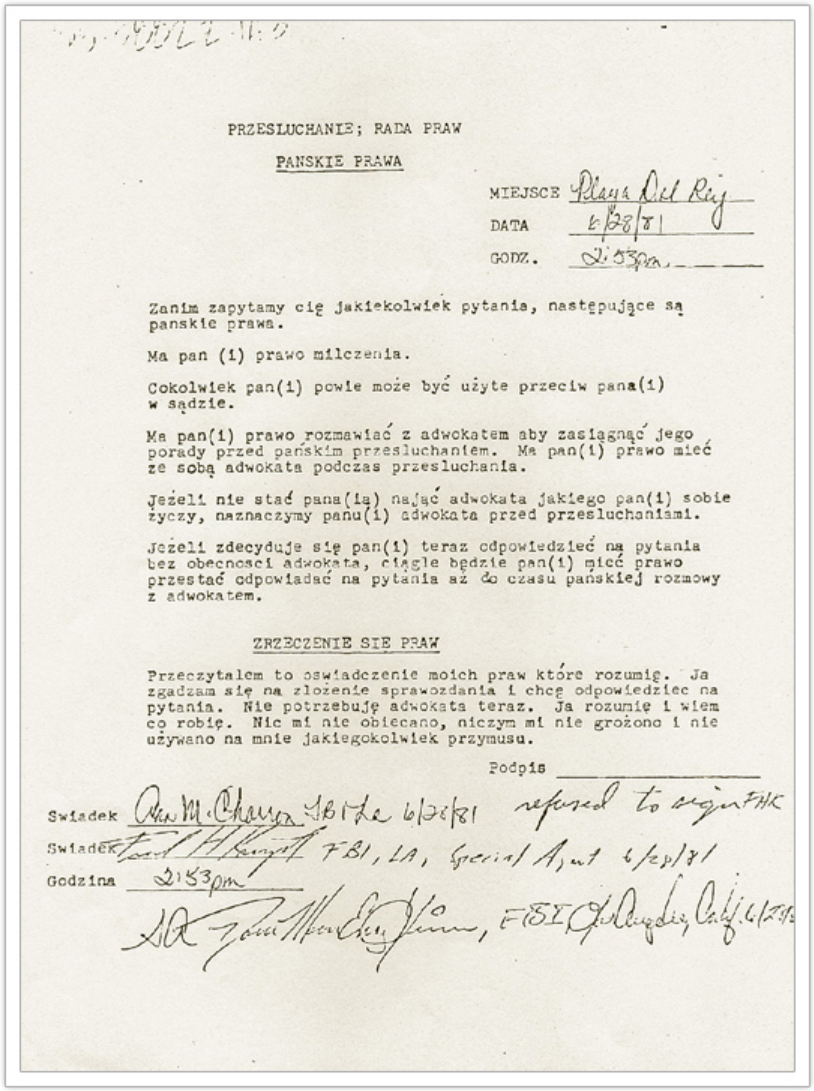

PRZESLUCHANIE; RADA PRAW

PANSKIE PRAWA

MIEJSCE Playa Del Rey
DATA 6/28/81
GODZ. 2:53pm

Zanim zapytamy cię jakiekolwiek pytania, następujące są panskie prawa.

Ma pan (i) prawo milczenia.

Cokolwiek pan(i) powie może być użyte przeciw pana(i) w sądzie.

Ma pan(i) prawo rozmawiać z adwokatem aby zasięgnąć jego porady przed panskim przesluchaniem. Ma pan(i) prawo mieć ze sobą adwokata podczas przesluchania.

Jeżeli nie stać pana(ią) nająć adwokata jakiego pan(i) sobie życzy, naznaczymy panu(i) adwokata przed przesluchaniami.

Jeżeli zdecyduje się pan(i) teraz odpowiedzieć na pytania bez obecnosci adwokata, ciągle będzie pan(i) mieć prawo przestać odpowiadać na pytania aż do czasu panskiej rozmowy z adwokatem.

ZRZECZENIE SIE PRAW

Przeczytałem to oświadczenie moich praw które rozumię. Ja zgadzam się na złożenie sprawozdania i chcę odpowiedzieć na pytania. Nie potrzebuję adwokata teraz. Ja rozumię i wiem co robię. Nic mi nie obiecano, niczym mi nie grożono i nie używano na mnie jakiegokolwiek przymusu.

Podpis _____

Swiadek refused to sign FBK
Swiadek FBI, LA, Special Agt 6/28/81
Godzina 2:53pm
FBI Los Angeles, Calif. 6/28/81

Informacja o przysługujących prawach przedstawiona mi przez oficerów FBI w trakcie aresztowania.

FEDERAL BUREAU OF INVESTIGATION

1 Date of transcription 6/29/81

I coordinated the search of the apartment of MARIAN WALTER ZACHARSKI at 7740 Redlands Street, Apartment M-2069, pursuant to a search warrant issued by U.S. Magistrate JAMES J. PENNE on June 28, 1981.

The following Special Agents (SAs) took part in the search:

SA JOHN M. JUSTICE
SA EDGAR J. DEL ROSARIO
SA CHARLENE S. BUCK
SA MARK A. MERFALEN
SA DONALD W. OXLEY
SA MICHAEL N. BOONE
SA HARRY M. BROWN
SA PHIL K. WALTER
SA DEWEY L. CADY
SA EUGENE B. MC CARTHY
Translator ANN CHARRON

I took the following items of evidence from the SAs who located and seized them. I immediately logged, tagged, invoiced, packaged and secured each piece of evidence as it was brought to me.

1) One plastic bottle with writing "Oxy 5" found by SA DONALD W. OXLEY, on shelf number one of hall cupboard.

2) One cardboard container with five bottles with colored liquid, contents had been opened, found by SA OXLEY on shelf number one of hall cupboard.

3) One plastic bag containing numerous safety matches, found by SA OXLEY on shelf number one of hall cupboard.

4) One wood figure, approximately 16" high, found by SA DEWEY L. CADY on left free-standing speaker in living room.

Investigation on 6/28/81 at Playa Del Rey/Los Angeles, California File # Los Angeles 65C-8882

by SA CHARLES W. EVELYN, III/clb -127- Date dictated 6/29/81

This document contains neither recommendations nor conclusions of the FBI. It is the property of the FBI and is loaned to your agency; it and its contents are not to be distributed outside your agency.

FBI/DOJ

Raport FBI z przeszukania mojego mieszkania.

10

5) One brown paper sack containing two pieces of photographic equipment - one shutter release and one camera mount device; and five boxes of 35 millimeter film, found by SA OXLEY in hall cupboard on shelf number two.

6) One brown paper bag containing six boxes of film and one roll not in a box, found by SA OXLEY on shelf number two in hall cupboard.

7) One Sony micro-dictation cassette recorder, model #BM500, and case, with mini cassette tape inside, found by SA CHARLENE S. BUCK on shelf number one of living room wall unit.

8) One Sanyo cassette tape recorder, model M1000, with case, found by SA BUCK on shelf number one of living room wall unit.

9) One Minolta SRT 121 camera, 35 millimeter, with case and with film, found by SA MARK A. MERFALEN on shelf number three in hall cupboard.

10) One TDK T-120 video cassette tape found by SA BUCK on shelf number one of dining room wall unit.

11) Two exposed rolls of 35 millimeter film found by SA OXLEY on shelf number three of hall cupboard.

12) One "Technal" proof-printer found by SA MICHAEL N. BOONE in hall bedroom number two on wall shelf.

13) One brown cardboard box containing: Kodak Presstape Universal Splicer; four boxes; four reels #1185, 1186, 1187, 1189; Kodak Super "8" movie film; one Kodak microphone; one 884 movie reel; one Canon plastic camera cover; one Canon tape reel in plastic case; one Kodak 884 movie reel in plastic case, one Canon PS 1000 movie projector, found by SA EDGAR J. DEL ROSARIO.

14) Four gold coins: one U.S. $20, year 1925; one South Africa Kruggerrand (1977); one 10 Zlotych piece; one 20 Zlotych piece, found by SA OXLEY in hall cupboard on shelf number three.

15) One Sony Condenser microphone found by SA DEL ROSARIO in packing box in the living room.

16) One 8" by 10" color photograph of MARIAN ZACHARSKI, BARBARA ZACHARSKI, RITA BELL and WILLIAM BELL, found by SA BUCK in a packing box in dining room/living room.

17) One box containing five mini cassette tapes found by SA DEL ROSARIO in a packing box in the living room.

18) One cassette tape found by SA DEL ROSARIO in a packing box in the living room.

19) One cassette tape found by SA DEL ROSARIO in packing box in living room.

20) Part of address book with telephone number of WILLIAM BELL and RITA BELL found by SA EUGENE B. MC CARTHY in packing box in the living room.

21) One Canon 514XL-S Canonsound camera with case found by SA OXLEY on shelf number three in hall cupboard.

22) 24 empty black film containers found by SA OXLEY in hall cupboard on shelf number three.

At the conclusion of the search, I sealed all items of evidence in three cardboard boxes in the presence of the searching Agents, and transported the boxes to Los Angeles FBI Headquarters where I placed the sealed boxes containing the items of evidence in the vault of Assistant Special Agent in Charge JOSEPH R. MELLITT, where SA PHIL K. WALTER and SA DEWEY L. CADY secured them.

Worszawa, dnia 6 lipca 1981r.

W dniu 28.06.1981r. / niedziela/ nocne dzienniki amerykańskiej telewizji / ABC, CBS,NBS/ poinformowały o aresztowaniu w L.A. obywatela polskiego M. Zacharskiego oraz obywatela USA William H. Bell pod zarzutem szpiegowstwa na szkodę USA.

Przedstawiono transmisję konferencji prasowej zorganizowanej przez FBI w L.A., umieszczono zdjęcia M.Zacharskiego i W.A. Bell.

W dniu 29.06.81 / poniedziałek/ amerykańska prasa codzienna podała szczegóły z konferencji prasowej oraz z innych informacji pochodzących z FBI m.in.

Los Angeles Times - Richard Mellitt specjalny agent FBI poinformował, że o aresztowaniu wiedzieli w Białym Domu i Departamencie Sprawiedliwości, oraz że Departament Stanu poinformował o tym Rząd Polski.

Chicago Tribune - Dyrektor FBI William Webster z Waszyngtonu stwierdza, że oskarżenia są zasadne.

W dniu 30.06.81 amerykańska telewizja podaje dalsze szczegóły:

- 23.06.81 W.H. Bell był przesłuchiwany przez FBI i że 28.06.81 na polecenie FBI umówił spotkanie z M. Zacharskim i rozmowę tą na polecenie FBI nagrał na magnetofon.

Pierwsza notatka sporządzona w Polsce tuż po moim aresztowaniu, porządkująca wydarzenia z tym związane.

- 29.06.81 Bell został zwolniony za kaucją 50 tys. dolarów USA.

Z informacji K.G. w Chicago i Ambasadora Spasowskiego wynika że

FBI w dniu 28.06.81 dzwoniła do Konsulatu Generalnego w Chicago i rozmawiało z woźnym.

29.06 Konsul Biały polecił zwrócić się do dyżurnego FBI w L.A. o podanie powodu aresztowania i umożliwienie widzenia się z M. Zacharskim. FBI stwierdziło, że sprawę przekazuje do D.S.

1.07 Ambasador Spasowski w rozmowie ze Scanlan z D.S prosił o informacje w sprawie Zacharskiego i otrzymał odpowiedź, że DS nie otrzymał w tej sprawie informacji.

W dniu 2.07 Tow. Szewczyk przeprowadził rozmowę z Radcą Ambasady USA w Warszawie p. Andrews. Tow. Szewczyk stwierdził, że otrzymał wiadomość, że prasa amerykańska poinformowała o aresztowaniu obywatela polskiego M.Zacharskiego i że jest zaskoczony brakiem oficjalnej informacji w tej sprawie z DS jak również rozgłosem nadanym przez amerykańskie środki masowego przekazu, tym bardziej,że to strona amerykańska nalegała na dyskrecję w tego rodzaju sprawach. Dodatkowo po konferencji prasowej Min. Pożogi, która to polska prasa relacjonowała 26 maja br. Amerykanie pytali MSZ czy Polacy dotrzymują umowy i uzyskali odpowiedź że tak.
Andrews stwierdził, że on sam dowiedział się o tym z doniesień prasowych.Wydarzenie miało miejsce w niedziele, FBI poinformowało dyżurnego D.S. który nie przekazał tej informacji dalej i dlatego DS nie mógł wpłynąć na zatrzymanie nadawania rozgłosu przez środki masowego przekazu. Andrews stwierdził że amerykanie chcą dotrzymywać umowy, jednak proces będzie publiczny i nie będą mogli wyłączyć z niego prasy. Będą robili starania by prasa nie robiła zbyt dużego rozgłosu.

W dniach 2-3.07 Attache Kudaś przebywał w L.A. i otrzymał oficjalny akt oskarżenia i widział się z M. Zacharskim dwukrotnie. Wg. Kudaśia M. Zacharski jest psychicznie załamany ale odmówi przyznania się do winy oraz kooperacji z organami wymiaru sprawiedliwości. Zacharski poparł sugestię wysłania żony do Polski. M. Zacharski nie był dotychczas przesłuchiwany i nie podpisywał żadnych dokumentów.

Attache Kudaś konsultował sprawę z adw. Edwardem Stadum / wg. Konsula Białego - dobry prawnik o dużej praktyce w sprawach karnych/.

Z oceny adw. E. Stadum wynika, że sytuacja prawna M.Zacharskiego jest b.poważna. Akt oskarżenia będzie zatwierdzony przez Grand Jury na posiedzeniu w dniu 13.07.

Adwokat oczekuje wytycznych co do dwóch koncepcji prowadzenia sprawy

1. Pełne aktywne prowadzenie obrony z podważaniem aktu oskarżenia i wykorzystywaniem dostępnych środków prawnych do stworzenia dogodnych taktycznie sytuacji procesowych co kosztowałoby ok. 75 tys. dolarów USA.

2. Zapewnienie formalnej obrony podczas procesu. Wariant ten E.Stadum gotów jest przyjąć gdy będziemy dążyć do uwolnienia M.Zacharskiego na drodze dyplomatycznej.

Adwokat E. Stadum poinformował również, że istnieje możliwość prawnego wystąpienia do Sądu o zwolnienie M.Zacharskiego za kaucją. Wysokość kaucji ocenia na 1 mln. dolarów USA / 10% gotówką,- 90% zabezpieczone polskimi aktywami w USA/ lub zwolnienie M.Zacharskiego do czasu procesu na podstawie zapewnienia Ambasadora PRL iż Zacharski nie opuści USA i stawi się na każde żądanie organów ścigania z tym że inicjatywa winna wyjść od strony polskiej drogą dyplomatyczną.

Uważamy za wskazane poczynienie następujących kroków

1. Oficjalne zwrócenie się Ambasady PRL do DS z prośbą o wyjaśnienie powodów aresztowania M.Zacharskiego i zapytaniem czy D.S. ma w tym zakresie odpowiednie sugestie.

   W rozmowie należałoby wyrazić zdziwienie, że pomimo posiadanych informacji / wg. relacji Los Angeles Times z 29.06.81/ nie poinformowało naszej ambasady.

2. Złożyć zapewnienie Ambasadora PRL iż Zacharski nie opuści USA i stawi się na każde żądanie Sądu.

3. Przenieść M.Zacharskiego do Ambasady PRL w Waszyngtonie.Koszty będą zrefundowane przez Dep. Konsularny.

4. Wydelegować przedstawiciela Konsulatu PRL do L.A. dla otoczenia opieką żony Zacharskiego przy jej wyjeździe i złożeniu wizyty Zacharskiemu i stwierdzenie że władze polskie robią wszystko by jego zwolnić oraz że żona otrzyma mieszkanie i będzie czekała w Warszawie.

expressed such view or had such conversations with other jurors.

THE COURT: Anything else?

MR. STADUM: Whether anything else has occurred during the trial in the jury room or out of the court room that has led to her belief, if she does have one, that --

THE COURT: The slap-on-the-hand type of thing.

MR. STADUM: -- that it doesn't matter.

THE COURT: Mr. Brewer?

MR. BREWER: I leave it to your discretion.

THE COURT: All right. Thank you.

Let's get a bailiff to bring her in.

MR. BREWER: Has the Court made a decision concerning inquiry of other jurors?

THE COURT: I think so, but I want to talk with Mrs. Sloman first.

(Juror No. 5, Nora Sloman at this point entered chambers.)

THE COURT: Hello, Mrs. Sloman. Come on in and have a seat over here. Just be seated, please.

We had a question or two we wanted to ask you. It has come to our attention that the other day when everybody was released to go home and come back here prepared to be sequestered for a while that you expressed some concern about leaving your cat, your cat was ill or had an operation or

Fragment oficjalnego zapisu sądowego stenografa z posiedzenia sądu in camera w czwartek, 12 listopada 1981 roku, dotyczący wypowiedzi jednej z jurorek, pani Sloman, iż w związku z chorobą jej kota nie ma zamiaru być odizolowana „od świata zewnętrznego” na czas obrad ławy przysięgłych. Stwierdziła, między innymi, że i tak dostanę tylko po łapach i zostanę deportowany. Mój adwokat złożył natychmiast wniosek o unieważnienie procesu. Oczywiście wniosek ten, sędzia natychmiast odrzucił.

something?

MRS. SLOMAN: No, your Honor. We have no children. We have had her for fourteen years, and we have gotten, shall I say, a little overly fond of her, and we just got her back from the vet. She has been there for a week. She has a very bad liver, and we didn't know if she was going to live or die, and I have been very upset about that, and my husband had just brought her home that day, and I talked to him at noon, or prior to that, and he said, "She's just laying there." And I thought, "Oh, dear, no." He didn't feel that he could take her in if they had to put her to sleep.

THE COURT: By the way, you're doing awfully good with a 14-year-old cat.

MRS. SLOMAN: That's what the vet said.

He told me, he said, "I don't think I could take her in if it comes to that."

So I was a little upset.

I went home Tuesday and called the veterinarian, and I spoke to him, and he said no -- and he said, "She is old, but she is responding. Just give her a week or so."

So now we've been force feeding her, and she is coming along beautifully, and my husband has calmed down, which was giving me fits. But it's fine now. I think it

was just kind of a case, your Honor, where I was, you know, like this (indicating), and I was upset.

THE COURT: We understood that there had been some kind of a statement made about, "Well, nothing is going to happen; he'll get a slap on the wrist and be deported anyway." Did you say something like that?

MRS. SLOMAN: I really don't remember. I might have said, "I don't know what's going to happen," not too much, you know.

THE COURT: Well, I think the way it was said to us was that, "Well, nothing is going to happen anyway," and "He's just going to get a slap on the wrist and be deported," and I'm sure if you said that, you could --

MRS. SLOMAN: As I say, I may have said something similar I was so upset, really. If you would rather I left, I would be happy to leave.

THE COURT: Well, the question is, had anything like that -- it was said then -- but has anything like that been discussed at all?

MRS. SLOMAN: No, your Honor. I was just very, very upset, and I guess I just wasn't thinking, and I've had things piling up at work, and then here, and everything, and my little baby was laying there, and as I say, she is the only baby I have, and really I was just almost half way out of my mind, really.

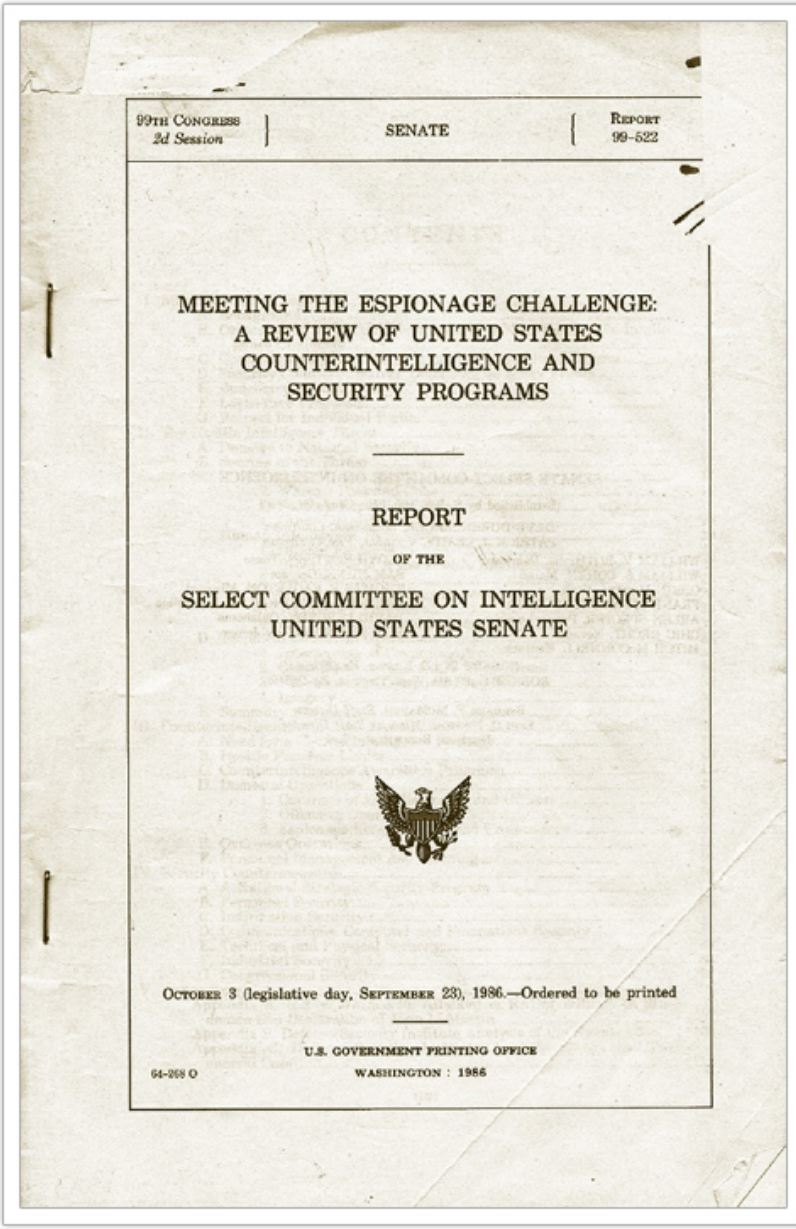

99TH CONGRESS
2d Session

SENATE

REPORT
99-522

MEETING THE ESPIONAGE CHALLENGE:
A REVIEW OF UNITED STATES
COUNTERINTELLIGENCE AND
SECURITY PROGRAMS

REPORT

OF THE

SELECT COMMITTEE ON INTELLIGENCE
UNITED STATES SENATE

OCTOBER 3 (legislative day, SEPTEMBER 23), 1986.—Ordered to be printed

U.S. GOVERNMENT PRINTING OFFICE
64-268 O WASHINGTON : 1986

Jest to fragment dokumentu amerykańskiego Senatu. „Załącznik C” poświęcony został analizie mojego kontaktu z Bellem. Treść dokumentu opiera się na wiedzy przekazanej im przez Bella. Bell, moim zdaniem celowo, przedstawiał fakty w taki sposób, by się wybielić, umniejszając swoją rolę w całym przedsięwzięciu. Jednocześnie jego postawa nie

pozwoliła na ustalenie rzeczywistego wymiaru strat. Rozumiem go i nawet cenię za to, że o wielu elementach sprawy nie poinformował prowadzących dochodzenie. Rozumiem, że, nie mówiąc prawdy, walczył o niski wyrok, a następnie o wcześniejsze zwolnienie z więzienia. Tym niemniej jest to ciekawa analiza. Pokazuje również, jakie wnioski Amerykanie starali się wyciągnąć z tej sprawy, aby w przyszłości zapobiec podobnym rekrutacjom agentów przez służby obcych wywiadów. Dzisiaj jest to już tak odległa historia, iż możemy spokojnie pokazać zdecydowanie więcej faktów, niż wynika to z opowieści Bella. Tłumaczenie poniższe jest wolnym przekładem wybranych fragmentów dokumentu.

RAPORT KOMITETU DS. WYWIADU
SENATU STANÓW ZJEDNOCZONYCH

„Załącznik C" (z biuletynu Defense Security Institute, Security Awarness, czerwiec 1983 r.)

Złapany przez swoją nieświadomość: Sprawa Williama Bella i Mariana Zacharskiego.

Marian Zacharski przybył do Los Angeles z Polski w końcu roku 1976. Został mianowany menadżerem biura na Zachodnim Wybrzeżu w Polish-American Machinery Corporation (Polamco), firmie zarejestrowanej w USA, spełniającej rolę marketingowego ramienia polskiej agencji handlowej Metalexport.

Jednak maszyny nie były jedynym zajęciem Zacharskiego. Drugie zadanie wyznaczyła mu Polska Służba Wywiadu, a było nim typowanie i werbunek agentów w ramach kalifornijskiego przemysłu aeronautycznego. Sukces odnosił w obu dziedzinach: na początku 1981 roku (w wieku 29 lat) został mianowany prezydentem Polamco i zwerbował co najmniej jednego agenta z dostępem do tajnych informacji i technologii dotyczących broni.

Później szczęście odwróciło się od Zacharskiego i w końcu 1981 roku odbywał już karę dożywotniego więzienia za szpiegostwo przeciwko Stanom Zjednoczonym. Wcześniej jednak zdołał dokonać wiele dobrego dla polskiego eksportu i jednocześnie mnóstwa szkód dla narodowego bezpieczeństwa USA.

William Bell był agentem Zacharskiego. Urodził się w Seattle w stanie Waszyngton 14 maja 1920 roku. Był zatrudniony jako inżynier w Hughes Aircraft Company. W 1977 roku spotkał polskiego biznesmena w kompleksie apartamentowym Cross Creek w Playa del Rey, gdzie obydwaj zamieszkiwali. Obaj interesowali się tenisem, a także zajmowali się przemysłem aeronautycznym, który był odbiorcą wielu maszyn sprzedawanych przez Zacharskiego.

Po prawie roku czysto towarzyskich, rekreacyjnych kontaktów Zacharski zaczął prosić Bella o literaturę branżową, ogólnie dostępną

pracownikom Hughes. Potem poprosił o „interesujący" materiał i otrzymał do przejrzenia najpierw poufne, a potem tajne dokumenty.

Zapłacił Belowi hojnie za jego (niewymagającą wielkiego wysiłku) pracę „konsultacyjną". A kiedy zaproponował, aby Bell za dodatkowe tysiące dolarów sfotografował tajne dokumenty, przewiózł je do Europy i spotkał się tam z innymi polskimi przedstawicielami, Bell był gotowy na to przystać. Wkrótce po tym poczuł, że „wpadł po uszy" i jest zbyt głęboko zaangażowany, aby się wycofać. William Bell znajduje się obecnie w więzieniu, odbywając karę ośmiu lat pozbawienia wolności.

Podejście werbunkowe Zacharskiego było standardowe. Powinno być tak oczywiste, a przez to tak nieefektywne, jak próby sprzedania akcji mostu Brooklińskiego. Ale podatność Bella nie była rezultatem niedojrzałości, znikomego doświadczenia lub braku edukacji, treningu czy inteligencji. Miał 57 lat, kiedy spotkał Zacharskiego, 25 lat stażu pracy w sektorze obronnym, Bachelor of Science w fizyce stosowanej z uniwersytetu UCLA i dwa dłuższe, służbowe pobyty zagraniczne. Bell był poinformowany o zagrożeniach ze strony wrgich służb wywiadowczych, ale nie rozpoznał klasycznego podejścia, kiedy się z nim spotkał w rzeczywistości. Nie wierzył, że to może się przytrafić właśnie jemu, że ten sympatyczny, polski miłośnik tenisa (który przypominał mu jego starszego syna) mógł być kimś innym, niż tym, na kogo wyglądał.

Bell był doświadczony, wykształcony i poinformowany — ale nie był świadomy. Posługujemy się jego historią (o co zresztą sam apelował), aby nagłaśniając ją, wzmocnić świadomość innych, którzy mogą spotkać się z podobnym podejściem. W nadziei, że – gdy znajdą się w takim położeniu - zareagują szybkim poinformowaniem pracowników ds. bezpieczeństwa dla ochrony siebie i dla ochrony bezpieczeństwa narodowego USA.

I. FAKTY

Marian Zacharski został aresztowany za szpiegostwo w czerwcu 1981 roku, a jego proces rozpoczął się w październiku. Został skazany na dożywocie głównie na podstawie zeznań Williama Bella. Niewysoki wyrok Bella wynikał z wzięcia pod uwagę jego współpracy z rządem w ostatnich etapach śledztwa i w czasie procesu.

Poniższa relacja ze sprawy szpiegowskiej Bell/Zacharski jest oparta przede wszystkim na protokołach z procesu Zacharskiego, a ponadto na zeznaniach Bella złożonych w maju 1982 roku przed Senackim Stałym Podkomitetem do spraw Dochodzeń.

TRUDNE CZASY

Jesienią 1977 roku Bell został przedstawiony Marianowi Zacharskiemu na basenie w kompleksie apartamentowym Cross Creek. Niewiele wcześniej William Bell wrócił do Los Angeles ze służbowego pobytu w Brukseli, jako menedżer europejskich operacji dla Grupy Systemów

Radarowych Hughes International Corporation. Był teraz menedżerem projektów w oddziale Systemów Zaawansowanych - Grupy Systemów Radarowych w głównych biurach Hughes w Los Angeles.

Bell miał dostęp do materiałów tajnych i był odpowiedzialny, jak później zeznał, za „projektowanie i wdrażanie urządzeń radarowych sterujących ogniem przeciw pojazdom pancernym". Był pracownikiem Hughes od czasu uzyskania dyplomu uniwersytetu UCLA w 1952 roku, zatrudnionym w ośrodku w Los Angeles z wyjątkiem dwóch pobytów służbowych w Europie (w połowie lat sześćdziesiątych i od 1974 do 1976 roku).

W zeznaniach senackich Bell oświadczył, że służbowe pobyty za granicą były dla niego „finansowym koszmarem", chociaż sprawiały wrażenie intratnych i fascynujących". Po powrocie w 1976 roku, jak przypomina, był „ścigany przez cztery odrębne biura IRS za zalegle podatki i niedozwolone odliczenia, głównie wywodzące się z moich zagranicznych pobytów służbowych". Rok 1976 był punktem krytycznym w życiu Bella z kilku powodów. Rozwiódł się z żoną, po 29 latach małżeństwa („i długich procedurach prawnych") oraz stanął w obliczu płatności alimentów w wysokości 200 dolarów tygodniowo. Kumulacja długów zmusiła go w lipcu 1976 roku do złożenia wniosku o bankructwo. W ciągu poprzedniego roku rodzina Bella przeżyła tragedię: stratę dziewiętnastoletniego syna w wyniku wypadku na campingu w Meksyku.

Poza kłopotami finansowymi, rozwodem i osobistą tragedią Bell później przypomniał sobie poczucie „bycia outsiderem" po swoim powrocie do firmy w Los Angeles. „Wróciłem z Europy, aby znaleźć młodszą grupę pracowników w Hughes. Zostałem przesunięty na bocznicę w cichym pokoju". Ale pomimo jego rozczarowania pozycją w firmie, Bell w rzeczywistości dostał ważne, odpowiedzialne zadania - rozwoju zaawansowanych systemów broni – fakt, który Marian Zacharski szybko poznał i wykorzystał.

NOWE POCZĄTKI

W 1977 roku, gdy poznał Mariana Zacharskiego, Bell próbował zacząć życie od nowa. Ponownie ożenił się („z młodą obywatelką belgijską" – jego byłą sekretarką za granicą) i zamieszkał z nową żoną i jej sześcioletnim synem w kompleksie apartamentów Cross Creek. Stopniowo próbował wyjść z kłopotów finansowych (chociaż alimenty, podatki i długi nadal powodowały napięcia w jego wynoszącym 35 tysięcy dolarów rocznie dochodzie). Odnalazł spokój w towarzystwie bliskiego przyjaciela:

„Zacharski i jego żona wprowadzili się do kompleksu apartamentów i zacząłem grać w tenisa (z nim) codziennie. Powoli stał się moim najlepszym przyjacielem. Był prawie w wieku mojego najstarszego syna, który od czasu rozwodu był bliski matce i raczej zdystansowany w stosunku do mnie". Marian „łatwo pozyskiwał przyjaciół", przypomina

Bell.

Obie pary często spotykały się towarzysko zarówno w swoim gronie, jak i z „małym ONZ-etem", grupą towarzyską w ich kompleksie mieszkalnym, składającą się z par, w których jedna lub obydwie (strony) były obcokrajowcami. Obydwaj mężczyźni odnaleźli również wspólne zainteresowania zawodowe. Zacharski był wykwalifikowanym, odnoszącym sukcesy sprzedawcą sprzętu przemysłowego i przemysł aeronautyczny Kalifornii był jednym z jego głównych celów zawodowych. Naturalnie dyskutował o interesach ze swoim partnerem tenisowym i około połowy 1978 roku, poprosił Bella o pomoc w nawiązywaniu kontaktów z Hughes i z innymi firmami w tej branży.

Bell dał Zacharskiemu nazwisko szefa zakupów w Hughes, a także skontaktował osoby w Lockheed i Northrop. I za to Zacharski zapłacił mu około 5 tysięcy dolarów. W trakcie procesu zadający mu pytania adwokat dziwił się, dlaczego Bell nie był podejrzliwy z powodu takiej hojności. Był, jak twierdził, chociaż tylko przez krótki czas. „Otrzymać 4, czy 5 tysięcy dolarów za nierobienie praktycznie niczego, uczyniło mnie bardzo podejrzliwym".

Pytanie: Również uczyniło Pana bardzo zadowolonym, czyż nie, panie Bell?"

Odpowiedź: „Oczywiście, że tak. Potrzebowałem pieniędzy".

SUMIENNY KONSULTANT

Bell i Zacharski dyskutowali o możliwości, aby Bell mógł na stałe sprawować w Polamco funkcję „inżyniera konsultanta" i doradcy do spraw sprzedaży. Chociaż warunki tego układu pozostały nieokreślone („pracowałem w jakimś sensie i mówiłem o pracy jako konsultant Polamco…"). Około połowy 1978 roku Bell zaczął ponownie dostarczać drukowane materiały z biura, aby pomóc Zacharskiemu w zorientowaniu się w możliwościach sprzedaży. „Zaczęło się od małych rzeczy" – powiedział później Bell Wielkiej Ławie Przysięgłych, „takich jak «Hughes News» – gazetka firmowa".

Potem przyszły dokumenty o zawartości bardziej technicznej. Przyniósł Zacharskiemu kopię „Vector", techniczną publikację dotyczącą programów firmy Hughes. Zacharski specjalnie poprosił o materiały jawnie publikowane. Ale wówczas Bell zaczął dobrowolnie dostarczać i inne materiały w odpowiedzi na ogólnie wyrażone przez Zacharskiego zainteresowanie. „Mogłem wywnioskować z naszych rozmów, że były rzeczy, które on chciałby zobaczyć. Rozmawialiśmy o nich na kortach tenisowych – na początku wyłącznie o dokumentach nietajnych".

Podczas lata 1978 roku Bell dostarczył Zacharskiemu kilka dokumentów „dotyczących elementów, które podlegały obróbce na maszynach". To były (dokumenty) nieutajnione, przynajmniej w większej części, ale „możliwe, że był tam jeden poufny… Nie jestem pewien". Bell

nigdy nie miał pewności, kiedy dokładnie po raz pierwszy przekazał Zacharskiemu dokument poufny – ani nawet, które i ile takich dokumentów przekazał.

Być może był on również niepewny w swoim rozumieniu wymagań bezpieczeństwa przy obchodzeniu się z materiałem poufnym, co pokazała wymiana w sądzie między Bellem a prokuratorem Robertem Brewerem:

Pytanie: Czy to (zabieranie dokumentów do domu) stanowiłoby pogwałcenie polityki bezpieczeństwa?

Odpowiedź: Nie, dokument poufny nie. Możesz zabrać dokument poufny do domu. Nie możesz zabrać tajnego dokumentu do domu.

CAWGS, LPIR I DPWS

Tajne dokumenty, które Bell przekazał, mogą być precyzyjniej zidentyfikowane, ponieważ firma prowadziła ich rejestry (nie jest to wymagane według „Podręcznika bezpieczeństwa przemysłowego dla materiałów poufnych"). Bell ustalił, że jego pierwsze przekazanie materiału tajnego miało miejsce w październiku lub listopadzie 1978 roku, kiedy to pożyczył Zacharskiemu (na kortach tenisowych) kopię nr 8 „Propozycji systemu broni operującej w każdych warunkach pogodowych, streszczenie dla kadry kierowniczej, Tom I". Bell był autorem tego dokumentu. Chciał, aby Zacharski rozumiał jego rolę w Hughes i chciał również zrobić na nim wrażenie swoją pracą. „Byłem z tego dumny" – powiedział o streszczeniu dla kadry kierowniczej i „dałem mu to". Później Bell przekazał nieutajniony dokument na ten sam temat i podstemplował go jako „tajny", „aby wyglądał na bardziej ważny".

W tym czasie system broni operującej w każdych warunkach pogodowych (CAWGS) był głównym projektem rozwojowym pod technicznym kierownictwem Bella. Przewidywał on zastosowanie w czołgach radaru o małej możliwości wykrycia (LPIR) lub „cichego radaru". LPIR używa „zamaskowanego" sygnału radarowego, który jest dla przeciwnika trudny do zidentyfikowania jako radar; pozbawiając go tym samym możliwości przedsięwzięcia akcji unikowej lub użycia sygnału radarowego w celu nakierowania nań zwrotnego ognia. CAWGS, następnie przemianowany na Dual Purpose Weapon System lub „DPWS" (do użycia przeciwko samolotom lub czołgom) był głównym zajęciem Bella w trakcie jego znajomości z Zacharskim. Był to, według zeznań procesowych, podstawowy program ujawniony przez jego działalność wywiadowczą.

PRZYJACIEL W POTRZEBIE

W połowie 1978 roku ogłoszono, że apartamenty Cross Creek będą zamienione na lokale własnościowe. Bell i jego żona chcieli tam pozostać, ale on martwił się, że nie będzie w stanie wpłacić zaliczki wymaganej do wykupienia mieszkania.

Jego przyjaciel Zacharski powiedział, że być może będzie mógł mu

pomóc. I w lutym 1979 roku dostarczył Bellowi 12 tysięcy dolarów, w dwóch płatnościach przekazanych w kopertach, w drzwiach mieszkania Bella. Jak później Bell zeznawał, były to szybkie i nieskomplikowane transakcje:

Pytanie: Czy coś mu powiedziałeś?

Odpowiedź: Dzięki.

Pieniądze przeznaczył na wpłatę na mieszkanie i uregulowanie zaległości podatkowych. Zakładał, że pieniądze pochodziły z funduszu marketingowego Polamco. Uznał, że to dobra wola inspirowała Mariana do tej hojności. „Myślałem, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi i wiedziałem, że on chciałby, abym pozostał w kompleksie apartamentów. Chciałem mieć to mieszkanie i przyjąłem pieniądze".

ZAGRANICZNY ŁĄCZNIK

Kiedy latem 1979 roku Zacharski zasugerował Bellowi, aby odbył podróż do Europy i spotkał się tam z (bliżej nieokreślonymi) polskimi przedstawicielami, Bell nadal sądził, że było to związane z działalnością „konsultingową" („sądziłem, że będą ludźmi z Polamco"). Poproszono go o sfotografowanie dokumentów z pracy i przywiezienie ze sobą filmu na spotkanie w Innsbrucku w Austrii. Wcześniej Marian dał Billowi kamerę filmową firmy Canon – która, jak się okazało, miała możliwości robienia zdjęć klatka po klatce – idealną do fotografowania dokumentów. Dostarczył mu również trójnóg i specjalny film, a także poinstruował Bella w sposobie używania kamery.

William Bell wyruszył na pierwszą z czterech zagranicznych „misji" 26 listopada 1979 roku. Marian dał mu około 2500 dolarów na wydatki, chociaż żona Bella była stewardesą i jego transatlantycka opłata za przelot wynosiła 18 dolarów. Rano 30 listopada poszedł do wcześniej wskazanej restauracji w Innsbrucku i spotkał mężczyznę, który przedstawił się jako „Paul" i zapytał: „Czy jest Pan przyjacielem Mariana?" – co było wcześniej uzgodnionym sygnałem rozpoznawczym. Obydwaj wyszli z restauracji i wsiedli do samochodu prowadzonego przez innego mężczyznę (nie zapamiętał jego imienia) i pojechali na peryferie Innsbrucku.

Bell przekazał film i trzej mężczyźni dyskutowali o pracy Bella, rodzajach informacji, które powinien on próbować gromadzić, a także potrzebie zachowania bezpieczeństwa i tajności. W pewnym momencie pokazano Bellowi zdjęcie jego żony i syna. „On (Paul) powiedział mi, że mam piękną rodzinę. Następnie powiedział, że nasze bezpieczeństwo zależy od każdego z nas i jeżeli ktoś wyjdzie z linii, to on się nimi zajmie". Polacy nie precyzowali tego punktu, ale Bell jasno odebrał to jako „zrozumiałą samą przez się groźbę" w słowach Paula. Zanim opuścił Innsbruck otrzymał 7 tysięcy dolarów i zgodził się na następne spotkanie w tym samym mieście, w maju 1980 roku.

UTRACONA NIEWINNOŚĆ

Po powrocie do Los Angeles Bell otrzymał od Zacharskiego dodatkową listę z życzeniami pożądanych przez Polaków celów. Przy tej i innych okazjach był zaskoczony wysoce sprecyzowaną wiedzą Zacharskiego o oznaczeniach systemów, a nawet numerach poszczególnych dokumentów.

Pytanie: A czy kiedykolwiek zapytał pan Zacharskiego, gdzie otrzymał te numery?

Odpowiedź: Tak

Pytanie: Co on powiedział, jeżeli cokolwiek powiedział?

Odpowiedź: On mi nie odpowiedział. Tylko się uśmiechnął.

Od tego momentu, czyli od końca 1979 roku, Bell nie mógł dłużej podtrzymywać iluzji, że był zaangażowany w (mniej lub bardziej) niewinny układ konsultingowy z Polamco. Było jasne, jak zeznawał, że „prowadził działalność szpiegowską" dla „agentów lub oficerów Służby Wywiadowczej Polski". I sam Zacharski w tym czasie zarzucił to udawanie. Już nie kierował do Bella próśb o pomoc w promocji obrabiarek.

c.d. ze str. 118

Sprawa Bella jak każda inna sprawa szpiegowska ma swoje unikalne i szczególne elementy. Ale ta jest, ogólnie mówiąc, sprawą „podręcznikową", która potwierdza wiele istniejących od dawna spostrzeżeń kontrwywiadowczych, jak i szablonów zaczerpniętych z niedawnych spraw szpiegowskich.

MOTYW I SKŁONNOŚĆ

Uzysk finansowy był podstawowym motywem Bella. Jest to typowe w ostatnich sprawach wywiadowczych, a jego zeznanie było całkowicie jasne w tym punkcie. Polityka i ideologia nie odgrywały roli.

Pytanie: Pan nie jest, innymi słowy, tajnym polskim patriotą?

Odpowiedź: Nie, nie jestem.

Motywacją była przede wszystkim żądza zarobienia pieniędzy. „Pan Zacharski znalazł głupca, który potrzebował pieniędzy. Miałem słaby punkt. Wykorzystał mnie". Bell również wskazał ukryte groźby „Paula". To odegrało pewną rolę w jego myśleniu, zniechęciło go do wycofania się, ale „motywem były zawsze pieniądze".

Pytanie: Czy było warto?

Odpowiedź: Nie, absolutnie nie.

Trudności finansowe i inne problemy osobiste były ważnym powodem podatności Bella na rekrutację. Z jego zeznań procesowych wynika, że stawiał czoło różnym rodzajom trudności, które każdy napotyka w jakimś momencie życia, chociaż zbieg szeregu nieszczęść w szybkim tempie następujących po sobie wyraźnie przyczynił się do braku równowagi w ocenie. Wycofanie dostępu do tajemnic, w sprawach takich jak ta byłoby

generalnie zarówno okrutne, jak i bezużyteczne. Ale oczywiście jakakolwiek pomoc lub porada, którą firma może wesprzeć pracowników w kłopotach, w połączeniu z aktywnym programem szkolenia w zakresie bezpieczeństwa, mogłaby zapewnić, że osoba taka jak Bell nie stałaby się aż tak łatwym celem dla kogoś takiego jak Zacharski.

Niezadowolenie z pracy lub pewne symptomy żalu do firmy lub rządu USA okazały się czynnikami wytwarzającymi skłonność do zdrady w szeregu ostatnich spraw (Boyce, Kampiles, Edwin Moore etc.). W wypadku Bella, należy zwrócić uwagę na pewne oznaki jego niezadowolenia z Hughes. Służbowe pobyty w Europie nie były tak lukratywne, za jakie je uznawano; czuł się jak outsider wśród młodego personelu w firmie w Los Angeles. Ale i w tym wypadku kłopoty Bella były raczej z rodzaju zwykłych, nie dostarczając widocznych ostrzeżeń dla pracownika, który był gotowy przedsięwziąć desperackie kroki.

OZNAKI SZPIEGOSTWA

W ostatnich latach podjęto szereg prób w celu nakreślenia profilu zachowań typowego szpiega, by rozpoznać szablony działań, które są charakterystyczne dla toczącego się procederu szpiegostwa. Lista takich „sygnałów ostrzegawczych" opublikowana ostatnio przez Biuro Dochodzeń Specjalnych Amerykańskich Sił Powietrznych jest zamieszczona po tym artykule (od str. 122). Bell jest prawdopodobnie jedną z tych spraw, która uwydatnia tę analizę, a jego działalność faktycznie wskazuje na kilka głównych oznak szpiegostwa. AFOSI nazywa te oznaki „uncją prewencji", gdyż wczesne zgłoszenie podejrzanego zachowania może pomóc zatrzymać operację szpiegowską, zanim powstaną szkody nie do naprawienia.

Nieuzasadniony dobrobyt jest dobrze znany jako możliwy wskaźnik toczącej się operacji wywiadowczej i na pewno Bell uzyskał znaczący wzrost w dochodach, pochodzący z jego nielegalnej działalności.

Próby uzyskania nieautoryzowanego dostępu do tajnych informacji (np. poza uzasadnioną potrzebą, tylko po to, by wiedzieć) są często charakterystyczne dla pracowitego szpiega, ale wygląda, że Bell unikał tej pułapki. Był on widocznie ostrożnym (lub leniwym) agentem i nie poszukiwał informacji poza swoimi projektami.

Wynoszenie tajnych materiałów z obiektu jest nieuniknione podczas szpiegostwa i na pewno Bell podjął ryzyko w tym wypadku. Kiedy wynosił dokumenty do domu, by je sfotografować, był narażony na wykrycie, jako że Hughes miało politykę wyrywkowych kontroli przy wyjściach z obiektu. Albo Bell miał szczęście, albo był w stanie przewidzieć przeszukania. W każdym razie nigdy nie został złapany na gorącym uczynku.

Regularne podróże zagraniczne bez wystarczającego uzasadnienia to również znak ostrzegawczy, jak pokazuje przypadek Bella. To właśnie one przyczyniły się do wykrycia jego działalności. Jego podróże do

Europy były częściowo uzasadnione interesami firmowymi i wizytami rodzinnymi. Ale zeznania (samego Bella i przedstawiciela Biura Bezpieczeństwa Hughes'a) wskazują, że jego zagraniczne podróże i, w jednym wypadku, niekompletne przedstawienie planu podróży były czynnikiem, który pomógł umieścić go na liście podejrzanych.

c.d. ze str. 120

KLASYCZNY MODUS OPERANDI

Jest jasne, że za tym usidleniem kryło się coś więcej niż proste pokusy finansowe. I nie powinniśmy brać zbyt dosłownie oświadczenia Bella, że był „głupcem, który potrzebował pieniędzy". Głupcem może i był, i na pewno miał duże potrzeby finansowe. Ale zbytnie podkreślanie głupoty Bella może prowadzić nas do ignorowania umiejętności Zacharskiego. Poza tym zaabsorbowanie motywami finansowymi może zaciemnić fakt, że pierwszą wzmiankę o pieniądzach poprzedziło wiele miesięcy pielęgnowania znajomości między Zacharskim i Bellem. Nie wolno nam ignorować subtelnego, ale silnego, psychologicznego wpływu, który wzmocnił zaoferowane materialne zachęty i położył fundament pod podatność Bella poprzez wytworzenie gotowości postrzegania ofert Zacharskiego jako pełnych dobrych intencji i motywowanych przyjaźnią i dobrą wolą.

PRZYKRYCIE

Rekrutacja Bella była rezultatem (niekoniecznie jedynym) ostrożnie zaplanowanej i rozpisanej na nuty operacji wywiadowczej. Zacharski jako ogniskowa tej operacji otrzymał najlepszą z możliwych formę przykrycia dla swojej działalności, trafnie skalkulowane zamaskowanie, tak aby nie wzbudzać najmniejszych podejrzeń. Zaczynając od tego, że jego narodowość należy do tych, które cieszą się życzliwością. Jako obywatel kraju ze wschodniej Europy nie wzbudzał tych samych zagrażających wyobrażeń jak obywatel sowiecki, chociaż nie ma wątpliwości, że informacjami, które zebrał, podzielono się z sojusznikiem Polski w Układzie Warszawskim.

(W związku z tym należy przypomnieć, że w roku 1976, w którym Zacharski przybył (do Los Angeles), kandydat na prezydenta był bliski zadeklarowania Polski jako członka wolnego świata!). [...]

Kiedy spotkał Williama Bella, tak jak musiał spotkać wielu innych na podobnych stanowiskach, i kiedy zdecydował się kultywować tę znajomość, Zacharski pracował z wielką ostrożnością i subtelnością. Był wykwalifikowanym sprzedawcą i mistrzem perswazji, i był też dobrze wyposażony do realizacji swojego zadania.

Bell zeznał, że pierwszy raz spotkali się w sierpniu 1977 roku. Nie przypominał sobie jakichkolwiek próśb Zacharskiego, aż do połowy 1978 roku. Tak więc Zacharski spędził większą część roku, po prostu zaprzyjaźniając się ze swoim potencjalnym (agentem - przypis Autora),

wkradając się do jego życia prywatnego, spotykając i zaprzyjaźniając się z jego rodziną, oceniając jego cechy charakteru (w tym wady), poznając, co lubi, czego nie lubi, wnikliwie dostrzegając jego słabości i ponad wszystko - potrzeby.

Dopiero po wielu miesiącach umacniania znajomości zaczął aktywnie szukać pomocy Bella i zaspakajać jego żądzę pieniędzy. Cornelius G. Sullivan, były agent FBI ds. kontrwywiadowczych, zeznał w procesie, że to jest przełomowa „linia podziału" w procesie pozyskiwania agenta, granica między zwykłym kontaktem towarzyskim i takim, który zawiera otwartą wymianę. Ta bariera jest zwykle pokonywana, jak powiedział Sullivan, najpierw poprzez proszenie o jawne i wyglądające niewinnie przysługi – to jest oczywiście podejście, które zaadaptował Zacharski.

Jest także druga linia podziału pomiędzy dostarczaniem niewinnych, publicznych materiałów a przekazywaniem pozycji z ograniczonym dostępem, wrażliwych i/lub utajnionych. Zacharski użył procesu „konsultacji", aby zatrzeć granicę między działalnością legalną i nielegalną, i to być może był główny sukces w jego bardzo udanej strategii. Faktycznie takie postępowanie było aż tak efektywne, że Bell najwyraźniej z własnej inicjatywy, dobrowolnie zaproponował pierwsze przekazy utajnionych materiałów

Nazywam się Zacharski. Marian Zacharski. Wbrew regułom

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Zamiast wstępu
Słowo wstępne
*
Dokumenty
Karta redakcyjna

Copyright © by Marian Zacharski, 2009
All rights reserved

Opieka redakcyjna
Tadeusz Zysk
Jan Grzegorczyk
Marta Stołowska
Katarzyna Lajborek-Jarysz

Projekt graficzny okładki
Agnieszka Herman

Opracowanie graficzne i techniczne
Barbara i Przemysław Kida

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-798-9

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. (061) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, tel./fax (061) 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

www.woblink.com

Plik opracowany przez Woblink i eLib.pl